

ARIANA FRANKLIN  
Mistrzynie sztuki śmierci  
Przekład MACIEJ NOWAK-KREYER  
Tytuł oryginału  
Mistress of the Art of Death

*Helen Heller, mistrzyni sztuki przerażania*

**Prolog**

Oto nadchodzą. Słyszemy brzęk uprząży dobiegający od strony gościńca i widzimy kurz unoszący się ku niebu w ciepły wiosenny dzień.

To pielgrzymi wracający z Canterbury, gdzie spędzili Wielkanoc. Do płaszczy i kapturów przypięli wizerunki świętego Tomasza, męczennika w mitrze - mnisi z Canterbury pewnie zarabiają na nich sporo grosza.

Pątnicy stanowią przyjemną odmianę wśród strumienia wozów, których furmani i ciągnące je woły są ponurzy i znużeni sianem i oraniem. Ci wędrowcy zaś są dobrze odżywieni, hałaśliwi, rozradowani łaską, jaka spłynęła na nich dzięki odbytej wyprawie.

Lecz jednym z nich, równie wesołym jak reszta, jest morderca dzieci. Łaska Boża nie spływa na tych, którzy zabijają niewiniątka.

Na czele procesji jedzie kobieta - tęga niewiasta na wielkiej dereszowatej kłaczy, do zawoju ma przypiętą srebrną pielgrzymią plakietkę. Znamy ową białogłową. To przeorysza klasztoru Świętej Radegundy w Cambridge. Mówi coś. Głośno. Towarzysząca jej mniszka na potulnym koniku milczy. Mogła sobie pozwolić tylko na cynowego świętego Tomasza.

Między nimi podąży wysoki rycerz, sprawnie kierując rumakiem - na koleczkę włożył tunikę z krzyżem, a więc był na krucjacie. Podobnie jak przeorysza, wykosztował się, aby kupić srebrną plakietkę. Po cichu komentuje głośne słowa przeoryszy. Ona tego nie słyszy, ale młoda zakonnica się uśmiecha. Nerwowo.

Za tą grupą idą muły ciągnące wóz. A na wozie jest tylko jedna rzecz: prostokątna, nieco zbyt mała jak na miejsce, które dla niej przeznaczono. Rycerz i giermek najwyraźniej jej strzegą. Ową rzecz okrywa sukno ozdobione znakami herbowymi. Ruch wozu przesunął nieco materiał, odsłonił róg szkatuły z rzeźbionego złota - dużego relikwiarza albo małej trumny. Giermek pochyla się na koniu i naciąga sukno, tak że tajemniczy przedmiot zostaje znowu zakryty.

Jest też królewski urzędnik. Jowialny, rośli, zbyt otyły jak na swój wiek, ubrany jak zwykły monarszy poddany. Czymś się jednak wyróżnia. Po pierwsze, jego sługa nosi królewską tunikę z wyhaftowanymi lwami Andegawenów, po drugie, z wypchanej sakwy przy siodle mężczyzny wystają liczydło i ostra krawędź wagi do pieniędzy.

Jeśli nie liczyć giermka, jedzie sam. Nikt wszak nie lubi poborców podatków.

Teraz przeor. Poznajemy go po fioletowej komży, jaką noszą wszyscy kanonicy od Świętego Augustyna.

To przeor Gotfryd z Barnwell, klasztoru Świętego Augustyna, który razem ze znacznie mniejszym konwentem Świętej Radegundy wznosi się po drugiej stronie wielkiego zakola rzeki Cam. Zrozumiałe, że on i przeorysza się nie cierpią. Zakonnikom towarzyszy trzech mnichów, a także rycerz -jeszcze jeden krzyżowiec, sądząc po tunice - oraz giermek.

Och, przeor jest chory. Powinien jechać na czele procesji, ale zdaje się, że jego brzuch - pokaźnych rozmiarów - przysparza mu strasznych katuszy. Duchowny jęczy, zupełnie ignoruje kleryka z tonsurą, który próbuje zwrócić na siebie jego uwagę. Biedak, dopóki nie dotrze do swojego klasztoru, nikt nie zdoła ulżyć mu w cierpieniu, nie ma nawet gospody.

Mieszczanin o czerwonej twarzy i jego żona - tych dwoje stara się troszczyć o przeora i udziela rad jego mnichom. Jakiś minstrel śpiewa, przygrywając sobie na lutni. Za nim jedzie łowczy, z włóczniami i psami - ogary są równie pstre jak angielska pogoda.

Potem grupa mułów i sług. Zwyczajna, barwna tłuszcza.

Ach, jeszcze coś. Na samiuteńkim końcu procesji. Coś jeszcze bardziej pstrokatego od całej reszty pospólstwa. Wóz z płócienną budą, na której wymalowano kabalistyczne

symbole, a na koźle dwóch mężczyzn, jeden duży, drugi mały, obaj smagli, głowę i policzki większego okrywa saraceński turban. Z tyłu wozu siedzi kobieta, niczym chłopka wymachuje okrytymi spódnicą nogami. Uważnie przypatruje się każdemu drzewu, każdemu splachetkowi trawy, zdaje się zadawać pytania: „jak się nazywasz?“, „czy do czegoś się przydasz?“, „jeśli nie, to dlaczego?“ Niby jakiś dworski uczonec. Albo wiejski głupek.

Na szerokim poboczu, które dzieli nas od tych wszystkich ludzi (bo nawet na Wielkim Trakcie Północnym, nawet w owym roku 1171, żadne drzewo nie rośnie bliżej drogi niż na odległość strzału z łuku, tak by nie dawać schronienia rabusiom), stoi mała przydrożna kapliczka, zwyczajna wiejska rzeźba poświęcona Maryi Dziewicy.

Niektórzy jeźdźcy szykują się już, żeby minąć ją z ukłonem i pozdrowieniem dla Najświętszej Panny, przeorysza jednak robi cały pokaz, wzywa pachółka, by pomógł jej zsiąść z konia. Następnie wlecze się po trawie, kłeka i głośno się modli.

Jeden po drugim, nieco niechętnie, przyłączają się do niej pozostali. Przeor Gotfryd przewraca oczyma i jęczy, kiedy pomagają mu zsiąść z konia.

Nawet ta dziwna trójka schodzi z wozu, pada na kolana, chociaż ukryty z tyłu smaglejszy mężczyzna zdaje się kierować swoje modlitwy na wschód. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, skoro po traktach Henryka II bezkarnie wędrują Saraceni i inni bezbożnicy.

Usta mruczą modlitwy do świętej, ręce kreślą niewidzialne krzyże. Bóg, choć zapewne z bólem, pozwala, aby dłonie, które oprawiały ciała niewinnych, pozostały czyste.

Cała kawalkada, już z powrotem na wozach i koniach, rusza ku Cambridge. Rozmowy cichną wśród skrzywienia furmanek ze zbożem i poćwierkiwania ptaków.

Jednak my mamy teraz w rękach kłębek nici, która poprowadzi nas prosto do owego zabójcy dzieci. Aby ją jednak odwinąć, musimy cofnąć się w czasie o dwanaście miesięcy...

## **Rozdział I**

### **Anglia, rok 1170**

Do roku krzyku. Król krzyczał, aby uwolnić go od jego arcybiskupa. Mnisi z Canterbury krzyczeli, kiedy rycerze monarchy rozbryzgali mózg arcybiskupa na posadzce jego katedry. Papież krzyczał, aby król odprawił pokutę. Angielski Kościół krzyczał triumfalnie - teraz miał już króla w garści.

A gdzieś daleko, w Cambridgeshire, krzyczało dziecko. Krzyczało przenikliwym, cieniutkim głosikiem, który jednak zajął ważne miejsce między innymi krzykami.

Najpierw w owym krzyku brzmiała nadzieja. Był sygnałem, który oznaczał: „chodź i zabierz mnie, boję się”. Albowiem aż do teraz dorośli trzymali dziecko z dala od niebezpieczeństw, odciągali od pszczelich uli, bulgoczących kociołków i paleniska kowala. Dorośli po prostu musieli być gdzieś blisko. Zawsze byli.

Słyszając ten dźwięk, sarny pasące się na łące zalanej księżycowym światłem uniosły głowy i popatrzyły uważnie - ale to nie żadne z ich młodych krzyczało ze strachu. Lis zastygł w pół ruchu, z uniesioną łapą, aby nasłuchiwać i upewnić się, czy nie grozi mu niebezpieczeństwo.

Gardło, z którego wydobył się krzyk, było za małe, a jego właściciel znalazł się w miejscu zbyt odludnym, aby ktokolwiek zdołał przyjść z pomocą. Krzyk się zmienił: pojawiło się w nim niedowierzanie, z owego zdumienia stał się cienki, piszczący niczym myśliwski gwizdek wzywający psy.

Sarny uciekły, rozpierchły się między drzewami, białe kuse ogony niczym kamienie domina poleciały w mrok.

Teraz krzyk stał się błaganiem, może skierowanym do oprawcy, może do Boga. „Proszę, nie, proszę, nie”. Potem złamał się, przechodząc w monotony jęk agonii i utraty nadziei.

Dźwięk wreszcie ucichł, a jego miejsce znów zajęły zwyczajne odgłosy nocy - wietrzyk szumiący w krzakach, pomrukiwanie borsuka, setki cichych krzyków małych ssaków i ptaków, ginących w paszczach drapieżników.

W Dover ponaglany starzec spiesznie przemierzał zamek, z szybkością, która zadziwiła przy jego reumatyzmie. W ogromnej zimnej warowni echem odbijały się gwałtowne dźwięki. Mimo szybkiego tempa starca przenikał chłód - może dlatego, że się bał. Dworzani prowadził go do człowieka, którego bali się wszyscy.

Mijali kamienne korytarze, otwarte drzwi, za którymi czasem było światło i ciepło, rozlegały się rozmowy i dźwięki wioli, a czasem drzwi pozostawały zamknięte, by ukryć to,

co starzec wyobrażał sobie jako bezbożne sceny.

Ich przemarsz sprawiał, że zamkowa służba chowała się po kątach albo zmykała z drogi; zostawiali za sobą szlak upuszczonych tac, rozlanych nocników i rzucanych pod nos, pełnych urazy przekleństw.

Jeszcze ostatnie, kręcone schody i już znaleźli się na długiej galerii, w której ustawiono pod ścianami pulpity i jeden wielki stół o blacie przykrytym zielonym suknem, podzielonym na kwadraty. Porozkładano na nich stopy żetonów. W pomieszczeniu było mniej więcej trzydziestu klerków, skrzypiących piórami po pergaminie. Po drutach liczydeł śmigały i klikały kolorowe kulki, unosił się nad tym zgiełk, niczym nad polem pełnym sztucznych świerszczy.

W owym miejscu odpoczywał tylko jeden człowiek, siedzący na okiennym parapecie.

- Przybył Aaron z Lincoln, panie - oznajmił szambelan.

Aaron z Lincoln przykleknął na obolałe kolano i dotknął czoła palcami prawej dłoni, następnie pełnym szacunku gestem wyciągnął dłoń wnętrzem ku mężczyźnie na parapecie.

- Wiesz, co to jest? - zapytał mężczyzna. Aaron niezgrabnie obejrzał się za siebie, popatrzył na olbrzymi stół.

Nie odpowiedział. Wiedział, co to jest, pytanie zadane przez Henryka II było czysto retoryczne.

- Nie służy do zabawy, to pewne - powiedział król. - To szachownica. Każdy z tych kwadratów odpowiada jednemu z moich angielskich hrabstw, a żetony na nich pokazują, ile każde z nich powinno oddać do królewskiego skarbcza. Wstań. - Chwycił starca i zaprowadził go do stołu, wskazując jeden z kwadratów. - To Cambridgeshire. - Puścił Aarona. - Aaronie, użyj swojej wielkiej wiedzy o pieniądzach i powiedz mi, jak myślisz, ile jest tu żetonów?

- Za mało, panie?

- W rzeczy samej - odparł Henryk. - Dochodowe hrabstwo Cambridge. Zazwyczaj. Nieco płaskie, ale wytwarza pokaźną ilość ziarna, bydła i ryb i wpłaca niemałe sumy do skarbcza. Zazwyczaj. Mieszka w nim sporo Żydów, którzy też wpłacają niemałe sumy. Zazwyczaj. Zatem rzekłbyś, że liczba żetonów nie równa się jego rzeczywistemu bogactwu?

Raz jeszcze starzec nie odpowiedział.

- A czemuż tak jest? - zapytał Henryk. Aaron tym razem się odezwał, zmęczonym głosem:

- Domyślam się, mój panie, że to przez te dzieci. Śmierć dzieci jest zawsze opłakiwana...

- Zaiste, jest. - Król podźwignął się na krawędź stołu, tak aby móc majtać nogami. - A kiedy staje się sprawą ekonomii, jest już czymś katastrofalnym. Mieszkańcy Cambridge buntują się, a Żydzi... Gdzie oni są?

- Skryli się na zamku, panie.

- Raczej w tym, co z niego zostało - zgodził się Henryk. - Tam rzeczywiście są. Na moim zamku, jedząc moją strawę z mojej łaski i wydalając ją od razu, bo srają ze strachu. A to wszystko znaczy, Aaronie, że nie zarabiają dla mnie żadnych pieniędzy.

- Nie, mój panie.

- A zbuntowani chłopcy spalili wschodnią wieżę zamku, w której były wszystkie dokumenty o długach należnych Żydom, a przez to należnych mnie, nie wspominając już o aktach danin. Albowiem wierzą oni, że Żydzi torturują i zabijają ich dzieci.

Po raz pierwszy, wśród grzmotu werbli dudniących w głowie starca jak na egzekucję, rozległ się świst nadziei.

- Ale ty nie, panie?

- Co ja nie?

- Nie wierzysz, że to Żydzi zabijają dzieci?

- Ja tego nie wiem, Aaronie - łagodnie odparł król. Nie odrywając oczu od starca, unióśł dłoń. Skryba wetknął mu w nią zwój pergaminu. - Oto zeznanie pewnego Rogera z Acton, wedle którego takie postęпки są dla was czymś zwyczajnym. Wedle zacnego Rogera Żydzi, zazwyczaj w czas Wielkanocy, zamęczają na śmierć co najmniej jedno chrześcijańskie dziecko, wsadzają je do zamykanej na zawiasy baryłki nabitej od wewnątrz ostrymi gwoździami. Zawsze to robili i zawsze będą.

Spojrzał na pergamin.

- „Wsadzają dziecię do baryłki, zamykają je tak, aby gwoździe wbiły mu się w ciało. Owe diabły zbierają potem krew, która spływa do naczyń, żeby mieszać ją z obrzędowym chlebem”. - Henryk II unióśł wzrok. -

To niezbyt przyjemne, Aaronie. - Wrócił do lektury pergaminu. - Och, i jeszcze bardzo się przy tym śmiejecie.

- Wiesz, że to nieprawda, mój panie.

Król zwrócił na te słowa równie małą uwagę, jak na kolejne kliknięcie liczydła.

- Ale tej Wielkanocy, Aaronie, właśnie tej Wielkanocy zaczęliście je ponoć krzyżować. Oczywiście nasz zacny Roger z Acton twierdzi, że dziecię, które znaleziono, zostało ukrzyżowane. Jak ono miało na imię?

- Piotr z Trumpington, mój panie - podpowiedział usłużny skryba.

- Ówże Piotr z Trumpington został ukrzyżowany i dlatego ten sam los mógł także spotkać pozostałą dwójkę zaginionych dzieci. Zostały ukrzyżowane, Aaronie.

Król wypowiedział łagodnie to potężne i straszliwe słowo, które wędrując wzdłuż chłodnej galerii, nabierało mocy.

- Pojawiają się żądania, aby uczynić małego Piotra świętym, tak jakby już nie było ich wystarczająco dużo. Na razie mamy, Aaronie, dwoje zaginionych dzieci oraz jedno pozbawione krwi okaleczone ciało, znalezione wśród mokradeł. Starczyłoby tego na mnóstwo macy.

Henryk wstał od stołu i powędrował galerią, starzec szedł za nim, zostawiając gdzieś z tyłu pole sztucznych świerszczy. Król wyciągnął spod okna stołek i kopniakiem posłał go w stronę Aarona.

- Siadaj. Tutaj było ciszej. Wilgotne zimne powietrze płynące przez okna bez szyb sprawiło, że starzec zadrżał. Z nich dwóch to Aaron był kosztowniej odziany. Henryk II nosił się jak myśliwy, niedbale. Dworzanie królowej namaszczeni włosy wonnymi pomadami i pachnieli olejkiem różanym, monarcha jednak cuchnął końmi i potem. Skórę dłoni miał stwardniałą, rude włosy na głowie okrągłej jak kamienna kula przycięte krótko. Aaron jednak pomyślał, że mimo to nikt nigdy nie wziął go za kogoś innego niż władcę imperium rozciągającego się od granicy ze Szkocją po Pireneje.

Aaron mógłby nawet miłować Henryka, gdyby tylko nie był on tak straszliwie nieprzewidywalny. Kiedy król wpadał w szał, gryzł dywany, a ludzie umierali.

- Aaronie, Bóg nienawidzi was, Żydów - powiedział Henryk. - Zabiliście Jego Syna.

Aaron zamknął oczy, czekał.

- I Bóg nienawidzi mnie. Aaron otworzył oczy. Król podniósł głos, jego słowa stały się lamentem rozbrzmiewającym w całej galerii jak rozpaczliwy odgłos trąby.

- Słodki Boże, wybacz nieszczęsnemu i skruszonemu królowi. Ty wszak wiesz, jak Tomasz Becket przeciwstawiał mi się we wszystkim z takim uporem, że w szale poprosiłem o jego śmierć. *Peccavi, peccavi* za owych rycerzy, którzy źle odczytali mój gniew i ruszyli, aby go zabić, sądząc, że zadowolą mnie takim bezceństwem. Ty, w Twej prawości, odwróciłeś ode mnie Swoją twarz. Jam robakiem, *mea culpa, mea culpa, mea culpa*. Pełzam rażony Twym gniewem, zaś arcybiskup Tomasz jest już przyjęty do Twej chwały i zasiada po prawicy Twego Łaskawego Syna, Jezusa Chrystusa.

Odwrociły się twarze. Pióra zastygły w pół wyrazu, zatrzymały się liczydła.

Henryk przestał bić się w piersi. A potem dodał, już ciszej:

- I jeśli się nie mylę, jest dla Ciebie takim samym wrzodem na tyłku, jak dla mnie.

Pochylił się do przodu, delikatnie podetknął palec pod podbródek Aarona z Lincoln i uniół jego twarz.

- Gdy ci niczemnicy posiekali Becketa, stałem się wrażliwy na ciosy. Kościół pragnie zemsty, chce mojej wątroby, cieplej i dymiącej, chce rekompensaty i musi ją dostać. A najbardziej chce, zawsze chciał, wygnania was, Żydów, z chrześcijańskich ziem.

Skryba powrócił do swojej pracy.

Król pomachał Żydowi dokumentem przed nosem.

- To jest, Aaronie, petycja o wypędzenie z mojego królestwa wszystkich Żydów. Teraz właśnie jej faksymile, pióra Rogera z Acton, niechaj piekielne psy przeżują mu jajca, jest już w drodze do papieża. Dziecko zamordowane w Cambridge i ta zaginiona dwójka mają być pretekstem do żądania wygnania twojego ludu, co zważywszy na śmierć Becketa, może się okazać czymś, czemu nie zdołam się przeciwstawić. Bo jak się przeciwstawię, Jego Świątobliwość będzie zmuszony ekskomunikować mnie i obłożyć całe królestwo interdyktem. Wyobrażasz sobie, co to jest interdzykt? To jest rzucenie w ciemność. Dzieciom odmawia się chrztu, nie błogosławi małżeństw, zmarli mają pozostać niepogrzebani, bez

błogosławieństwa Kościoła. A każdy mądrała w zasranych gaciach może podważyć moje prawo do sprawowania rządów.

Henryk wstał i zaczął się przechadzać. Przystanął, by wyprostować róg arrasu, przesuniętego wiatrem.

- Czyż nie jestem dobrym królem, Aaronie? - rzucił przez ramię.
- Jesteś, mój panie - padła stosowna odpowiedź. I prawdziwa.
- Czyż nie jestem dobry dla swoich Żydów, Aaronie?
- Jesteś, mój panie, zaiste jesteś.

I znowu prawda. Henryk ciągnął podatki od Żydów niczym chłop mleko od dojrzałej krowy, lecz żaden inny monarcha na świecie nie był dla nich sprawiedliwszy. Żaden też nie utrzymywał w swoim niewielkim królestwie takiego ładu, Żydzi czuli się w nim chyba bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej. Z Francji, Hiszpanii, z krajów krzyżowców, z Rosji, przybywali, aby cieszyć się przywilejami i bezpieczeństwem w Anglii Plantageneta.

Gdzież my się podziejemy, pomyślał Aaron. Panie, Panie, nie ślij nas znowu na puszcze. Jeśli nie możemy mieć naszej Ziemi Obiecanej, pozwól nam przynajmniej żyć pod rządami takiego faraona, co nas strzeże.

Henryk przytaknął.

- Aaronie, lichwa to grzech. Kościół jej nie pochwała, nie pozwala chrześcijanom kłaść swych dusz i się nią parać. Zostawia to wam, Żydom, którzy dusz nie macie. Oczywiście to nie przeszkadza Kościołowi od was pożyczać. Ileż katedr wzniesiono dzięki pożyczkom tylko od ciebie samego?

- Lincoln, mój panie - Aaron zaczął rachować na drżących, powykrecanych artretyzmem palcach - Peterborough, St Albans, potem co najmniej dziewięć opactw cystersów, potem...

- Tak, tak. Chodzi właśnie o to, że jedna siódma mojego rocznego dochodu to zyski z podatków płaconych przez was, Żydom. A Kościół chce, żebym się was pozbył.

Król znowu rozpoczął wędrówkę i raz jeszcze w galerii grzmiały słowa wymawiane z twardym, andegaweńskim akcentem.

- Czyż nie utrzymuję w tym królestwie pokoju, jakiego nigdy nie znało? Na rany boskie, co oni sobie myślą? Że jak to robię?

Zdenerwowani skrybowie opuścili pióra, aby się pokłonić. Tak, panie. Zaiste, robisz to, panie.

- Tak, robisz to, panie - powiedział Aaron.

- Nie robię tego modlitwą i postem, to ci mówię. - Henryk się uspokoił. - Potrzebuję pieniędzy, żeby uzbroić moją armię, opłacić moich sędziów, zdławić bunt za granicą i spełniać piekielnie drogie zachcianki żony. Pokój to pieniądze, Aaronie, a pieniądze to pokój.

- Chwycił starca za poły płaszcza i przyciągnął blisko siebie. - Kto zabija te dzieci?

- Nie my, mój panie. Kto, nie wiemy.

Przez jedną chwilę bliskości straszliwe błękitne oczy o krótkich, prawie niewidocznych rzęsach wpatrywały się w duszę Aarona.

- Nie my, prawda? - powiedział król. Puścił starca, uniesione poły płaszcza opadły na swoje miejsce. Jednak twarz monarchy pozostawała nieodgadniona, a jego głos stał się łagodnym szeptem: - Ale sądzę, że lepiej będzie, jak się dowiemy, prawda? I to szybko.

Kiedy szambelan odprowadzał Aarona z Lincoln ku schodom, Henryk II zawołał:

- Wiesz, Aaronie, bardzo tęskniłbym za wami, Żydami.

Starzec się odwrócił. Król uśmiechał się albo raczej jego porozdzielane przerwami silne i drobne zęby wyszczerzyły się w grymasie podobnym do uśmiechu.

- Jednak nie aż tak jak wy, Żydzi, tęsknilibyście za mną - dodał.

Kilka tygodni później w południowych Włoszech...

...Gordinus Afrykańczyk dobrotliwie zamrugał, patrząc na swojego gościa, i pokiwał palcem. Znał jego imię, ogłoszono mu je z wielką pompą: „Z Palermo, w imieniu Jego Królewskiej Mości, przybywa jego wielmożność, Mordechaj fil Berachiah”. Nawet przypominał sobie tę twarz. Tyle że on, Gordinus, pamiętał ludzi głównie po ich chorobach.

- Skrofuły! - stwierdził wreszcie triumfalnie. - Miałeś, panie, skrofuły! Jak tam one?

Mordechaja fil Berachiaha trudno było zbić z pantafyku. Inaczej nie zostałby sekretarzem króla Sycylii i strażnikiem monarszych sekretów. Chociaż właśnie go obrażono - o skrofułach nie należy przecież wspominać publicznie - jego wielka twarz pozostawała całkowicie

spokojna, głos chłodny.

- Przybyłem zobaczyć, czy Szymon z Neapolu już się szykuje.

- A do czego się szykuje? - zapytał Gordinus ciekawie. Z geniuszem, pomyślał Mordechaj, zawsze ciężko się rozmawia, a kiedy, tak jak teraz, zaczyna już murszeć, staje się to wręcz niemożliwe. Postanowił zatem wspomóc się wagą królewskiego „my”.

- Szykuje się do wyruszenia do Anglii, Gordinusie. Szymon Menahem z Neapolu.

Wysyłamy zaś Szymona z Neapolu do Anglii, aby rozwiązał problem, który mają tamtejsi Żydzi.

Z odsieczą przybył sekretarz Gordinusa. Zbliżył się do ściany pełnej schowków, z których niby końce rur wystawały zwoje pergaminu. Przemówił zachęcającym tonem jak do dziecka:

- Pamiętasz, panie? Dostaliśmy list od króla... O bogowie, on to gdzieś przełożył.

Zanosilo się, że wszystko trochę potrwa. Wielmożny Mordechaj powlókł się po mozaikowej posadzce, przedstawiającej kupidyny łowiące ryby. Rzymska robota, sprzed co najmniej tysiąca lat. To była wszak jedna z willi Hadriana.

Nieźle im się powodzi, tym medykom. Mordechaj jakoś zignorował fakt, że jego własne *palazzo* w Palermo miało posadzkę z marmuru i złota.

Usiadł na kamiennej ławie, która biegła wzdłuż balustrady. Był stamtąd widok na rozciągające się w dole miasto, a dalej na środkowe Morze Tyrreńskie.

Gordinus, zawsze czujny jako medyk, choć pod innymi względami niekoniecznie, polecił:

- Jego wielmożność będzie potrzebować poduszki. Gajuszu! Przyniesiono poduszkę. A także daktyle. I wino. Gajusz zapytał nerwowo:

- Czy tak będzie dobrze, wasza miłość?

Królewski dwór, podobnie jak całe królestwo Sycylii, zamieszkiwali przedstawiciele wielu ras oraz religii: Arabowie, Longobardowie, Grecy, Normandczycy i jak w przypadku Szymona, Żydzi - a zatem każda oferta poczęstunku mogła urazić czyjeś uczucia religijne.

Jego miłość przytaknęła. Poczul się lepiej. Poduszka wygodnie tkwiła pod jego pośladkami, chłodziła go morską bryza, wino smakowało. Nie powinien czuć się urażony bezpośredniością tego starca; prawdopodobnie, załatwiwszy wszystkie sprawy, sam wspomniałby o swoich skrofulach. Gordinus ostatnim razem go uleczył. Wszak to miasto medyków, a jeśli kogokolwiek można było nazwać dziekanem tutejszej wielkiej Szkoły Medyków, to Gordinusa Afrykańczyka.

Mordechaj przyglądał się starcowi, u którego gościł i który wrócił teraz do lektury manuskryptu. Patrzył na obwisłą skórę ramienia, napinającą się, kiedy maczał pióro w inkauscie, aby coś poprawić. Kimże on był? Tunezyjczykiem? Maurem?

Zaraz po przybyciu do willi Mordechaj zapytał majordomusa, czy ma zostawić buty na progu.

- Nie pamiętam, jakiej wiary jest twój pan - usprawiedliwił się.

- To tak jak ja, mój panie. Pomyślał teraz, że tylko w Salerno ludzie oddani służbie cierpiącym potrafią zapomnieć o swoich zwyczajach i bogach.

Nie do końca miał pewność, czy to godne pochwały; efekty były jednak cudowne. Ale łamano odwieczne prawa, przeprowadzano sekcje zmarłych, kobietom spędzano płody zagrażające ich zdrowiu, medycyną mogły parać się niewiasty, dzięki chirurgii wnikało w ciało.

Potrzebujący przybywali setkami; ludzie, którzy usłyszeli nazwę Salerno, wędrowali do miasta, bywało, że na własny koszt. Czasem wieźli chorych. Przedzierali się przez pustynie, stepy, bagna i góry, aby zdobyć lekarstwo.

Mordechaj, sącząc wino, spoglądając w dół na labirynt dachów, iglic i kopuł, dziwował się, nie po raz pierwszy, że ze wszystkich miast właśnie tutaj, a nie w Rzymie, nie w Paryżu, nie w Konstantynopolu, nie w Jerozolimie, powstała Szkoła Medyków, która wydawała medyków słynnych na cały świat.

I wtedy rozległ się dźwięk klasztornych dzwonów, bijących na nonę, zderzając się z głosem muezina wzywającego z meczetu do modlitwy i walcząc ze śpiewem kantorów z synagogi, a wszystko to unosiło się ku wzgórzom, aby zaatakować uszy słuchacza na balkonie, brzmiąc kakofonią niskich i wysokich dźwięków.

Właśnie o to chodziło. O tę mieszaninę. Twardzi, chciwi awanturnicy z Normandii, którzy wykroili sobie królestwo Sycylii i południowej Italii, byli pragmatykami, w dodatku pragmatykami myślącymi perspektywicznie. Jeśli kogoś potrzebowali, nie dbali, jakiego boga

czci. Jeśli mieli ustanowić pokój - a dzięki temu dobrobyt - to musieli zjednoczyć różne narody, które podbili. Nie było więc żadnych Sycylińczyków drugiej kategorii. Arabski, grecki, łacina i francuski stanowiły tu języki urzędowe. Kariera czekała człowieka każdej wiary, pod warunkiem że wykazywał się zdolnościami.

Ja też nie mam na co narzekać, pomyślał Mordechaj. Jakkolwiek by na to spojrzeć, on, Żyd, razem z prawosławnymi i katolikami pracował w służbie normandzkiego króla. Galera, która go przywiozła, stanowiła część sycylijskiej floty wojennej, dowodzonej przez arabskiego admirała.

Wśród uliczek na dole galabija ocierała się o rycerską kolczugę, kaftan o mnisi habit, a ich właściciele nie tylko na siebie nie pluli, ale wymieniali się pozdrowieniami i wieściami - a przede wszystkim ideami.

- Oto on, mój panie - oznajmił Gajusz. Gordinus wziął list.

- Ach tak, oczywiście. Teraz sobie przypominam... „Wysłać Szymona Menahema z Neapolu w specjalnej misji...” hm, hm „...Żydzi w Anglii znaleźli się w dosyć niebezpiecznej sytuacji... Miejscowe dzieci są męczone i zabijane...” Och... „oskarża się o to Żydów”... Och, och... „Polecamy ci odnaleźć i wysłać ze wspomnianym Szymonem osobę zaznajomioną z istotą śmierci, osobę, która zna zarówno angielski, jak i jidysz, lecz w żadnym z nich nie plotkuje”. - Uśmiechnął się do sekretarza: - I to uczyniłem, nieprawdaż?

Gajusz jakby się zawahał.

- Było kilka problemów, mój panie...

- Oczywiście, że to uczyniłem, pamiętam doskonale. I znalazłem nie tylko eksperta od tych nieprzyjemnych spraw, ale także osobę znającą, prócz wymienionych języków, także łacinę, francuski, grecki. Znakomitego badacza. Mówiłem o tym Szymonowi, bo zdawał się nieco zaniepokojony. Mówiłem mu, że nie znajdzie nikogo lepszego.

- Znakomicie. - Mordechaj wstał. - Znakomicie.

- Tak. - Gordinus nadal triumfował. - Sądzę, że dokładnie spełniliśmy wymagania króla, nieprawdaż, Gajuszu?

- Co do joty, mój panie.

W zachowaniu sługi było coś dziwnego - Mordechaj umiał rozpoznawać takie rzeczy. I dlatego, zaczął się teraz zastanawiać, Szymon z Neapolu zmartwił się tym, kogo wybrali mu na towarzysza?

- Przy okazji, jak się miewa król? - zapytał Gordinus. - Rozwiązał się już jego mały problem?

Nie zastanawiając się, czym może być ów mały problem, Mordechaj zwrócił się do Gajusza.

- Kogo on wysłał?

Gajusz spojrział ku swojemu mistrzowi, który wrócił do lektury. Ściszył głos.

- W tej kwestii dokonano wyboru nietypowej osoby i zastanawiam się...

- Człowieku, słuchaj, to niezwykle delikatna misja. Nie wybrał nikogo ze Wschodu, prawda? Kogoś złotego? Wyróżniającego się w Anglii niczym cytryna?

- Nie, wcale tak nie zrobiłem - zripostował Gordinus.

- W takim razie, kogo wysłałeś, panie? Gordinus powiedział.

- Kogo? - Mordechaj zapytał raz jeszcze, nie dowierając. Gordinus powtórzył.

I tak, w owym roku krzyków, powietrze rozdarł kolejny wrzask. Mordechaja.

- Ty głupcze, ty stary głupcze!

## Rozdział 2

Nasz przeor umiera - oznajmił mnich. Był młody i zrozpaczony. - Przeor Gotfryd umiera i nie ma gdzie złożyć głowy. W imię Boże, użyczcie nam swojego wozu.

Cała kawalkada patrzyła na niego, jak kłóci się ze swoimi braćmi zakonnymi o to, gdzie ich zwierzchnik powinien spędzić swe ostatnie chwile na świecie. Dwóch mnichów proponowało karawan przeorowszy, a w ostateczności kryty plandeką wóz tych włóczęgów o pogańskim wyglądzie.

Szczerze mówiąc, zgraja odzianych w czerń ludzi na trakcie, cisnących się wokół skrecającego się z bólu przeora i przepychających się do niego z poradami, przypominała kruki skłębione nad trupem.

Niewysoka zakonnica, towarzysza przeorowszy, usiłowała coś podać Gotfrydowi.

- Panie, to ta sama kostka świętego co wcześniej, ale błagam, użyj jej ponownie. Tym razem jej cudowne właściwości na pewno...

Cichy głos niemal tonął we wrzaskliwych naleganiach skryby zwanego Rogerem z Acton, który dręczył biednego przeora już od Canterbury.

- Prawdziwa kostka prawdziwego ukrzyżowanego świętego. Tylko uwierz, panie...

Nawet przeorysza forsowała ów pomysł.

- Przeorze Gotfrydzie, dotknij tym chorej części ciała, módl się żarliwie, a święty Piotrus ci pomoże.

Sprawę rozstrzygnął sam cierpiący, który między przekleństwami a wrzaskami bólu, jeśli dobrze go zrozumiano, oznajmił, że miejsce mu obojętne, nieważne, jak będzie pogańskie, byle tylko zabrano go z dala od przeoryszy, tego przeklętego skryby i reszty gapiących się łotrów, którzy tylko stoją wokół i patrzą, jak wije się w agonii. Nie jest, jak twierdził z niejakim wigorem, jakimś niezwykłym widowiskiem. Niektórzy idący traktem chłopci zatrzymywali się bowiem, mieszały z pielgrzymami i ciekawie przyglądali drgawkom zakonnika.

Zjawił się wóz domokrażców. Młody mnich zwrócił się do jadących nim mężczyzn w normandzkiej francuszczyźnie, mając nadzieję, że go rozumieją, jako że i oni, i kobieta gawędzili ze sobą w obcej mowie.

Przez chwilę zastanawiali się, nie wiedząc, co zrobić. Potem odezwała się kobieta - drobna, zaniedbana.

- Co mu jest? Mnich ją zbył.

- Odejdź, to nie sprawa dla niewiasty. Odsunęła się, na co niższy z mężczyzn spojrzał z z troskaniem.

- Oczywiście, bracie... hm... - powiedział.

- Bracie Ninianie - oznajmił brat Ninian.

- Jestem Szymon z Neapolu. Ten zacy człowiek to Mansur. Oczywiście, bracie Ninianie, nasz wóz jest do waszej dyspozycji. Cóż dręczy tego biednego, pobożnego człowieka?

Brat Ninian wyjaśnił.

Wyraz twarzy Saracena nie zmienił się, pewnie nigdy się nie zmieniał, jednak Szymona z Neapolu przepelniło współczucie. Nie potrafiłby sobie wyobrazić gorszej przypadłości.

- Możliwe, że możemy się nawet bardzo przydać - powiedział. - Podróżuję z kimś, kto skończył Szkołę Medyków w Salerno...

- Z medykiem? On jest medykiem? - Mnich już pobiegł ku przeorowi i tłumowi. - Oni są z Salerno! - krzyczał. - Ten śniady jest medykiem z Salerno!

Już sama nazwa miasta kojarzyła się z medycyną, wszyscy ją znali. To, że owa trójka przybywała z Italii, tłumaczyło również jej dziwaczny wygląd. Zresztą, ktoś tam wiedział dokładnie, jak wyglądają Włosi?

Kobieta wróciła do mężczyzn jadących wozem.

Mansur obrzucił Szymona jednym ze swoich wymownych spojrzeń, bicząc wzrokiem.

- Ta gaduła tutaj powiedziała, że to ja jestem medykiem z Salerno.

- Czy ja coś takiego powiedziałem? Czy ja coś takiego w ogóle powiedziałem? - Szymon zaczął wymachiwać rękoma. - Ja tylko powiedziałem, że towarzyszy mi...

Mansur odwrócił się do kobiety.

- Tamten niewierny nie może się wysikać - oznajmił.

- Biedak - stwierdził Szymon. - Już od jedenastu godzin. Mówi, że zaraz pęknie.

Pojmujesz to, pani? Utopić się we własnych płynach?

Potrafiła to pojąć, bez wątplenia ów człowiek miał zablokowane ujście moczu. I w końcu pęknie, w każdym razie pęknie mu pęcherz. Męska przypadłość, widywała już coś takiego na stole w czasie sekcji. Gordinus dokonywał kiedyś pośmiertnych oględzin podobnego przypadku, jednak mówił, że pacjenta dałoby się uratować, jeśli... jeśli... tak, to było właśnie to. Jej przybrany ojciec opisywał sposób postępowania w takich sytuacjach, widziany na własne oczy w Egipcie.

- Hm - mruknęła. Szymon skoczył jak oparzony.

- Można mu pomóc? Boże, gdyby udało się go wyleczyć, przyniosłoby to bezcenne korzyści naszej misji. To wpływowy człowiek.

Do diabła z wpływami! Adelia dostrzegła tylko bliźniego, który cierpiał - i jeśli nic się z tym nie zrobi, będzie cierpiał coraz bardziej, póki nie utopi się we własnej urynie. Ale co,



jeśli postawiła złą diagnozę? Mogły być też inne przyczyny zatrzymania moczu. Co, jeśli się myliła?

- Hm - mruknęła raz jeszcze, teraz jednak innym tonem.

- Jest jakieś ryzyko? - Nastawienie Szymona do całej sprawy też się zmieniło. - On mógłby umrzeć? Pani, rozważmy nasze położenie...

Nie zwróciła na niego uwagi. O mało nie odwróciła się i nie otworzyła ust, by spytać Małgorzaty o zdanie. Wtedy ogarnęła ją okropna tęsknota. Miejsce, gdzie zawsze siedziała jej zażywna ukochana niania, było puste i miało już takie pozostać. Małgorzata umarła bowiem w Ouistreham.

Wraz z rozpaczą przyszło poczucie winy. Małgorzata nigdy nie powinna wyruszać z Salerno, a jednak na to nalegała. Adelia, która przez wzgląd na wymogi przyzwoitości potrzebowała niewieściego towarzystwa i bała się brać ze sobą kogokolwiek innego prócz ukochanej służącej, zgodziła się. Podróż okazała się jednak ciężka, niemal tysiąc mil morskiej wędrowki, z czego najgorsza Zatoka Biskajska. Tego było za wiele dla starej kobiety. Poraziła ją apopleksja. Ukochana przyjaciółka, która kochała Adelię i wspierała ją przez dwadzieścia pięć lat, została pochowana na maleńkim cmentarzyku u brzegów Orne, ona sama zaś musiała zmierzać do Anglii samotnie niczym Rut wśród obcych pól jęczmienia.

Co by ta pocziwa dusza na to wszystko powiedziała?

„Nie wiem, dlaczego pytasz, bo i tak na nic nie zważasz. Chcesz zaryzykować z tym nieszczęśnikiem, dobrze cię znam, kwiatuśku, zatem nie przejmuj się moim zdaniem. I tak nigdy tego nie robisz”.

Nigdy tego nie robiła.

Na ustach Adelii pojawił się delikatny uśmiech, kiedy w jej wspomnieniach zabrzmiały dźwięczne zgłoski i akcent z Devon. Małgorzata była po to, żeby jej wysłuchiwać. I była jej spokojem.

- Może powinniśmy dać sobie z tym spokój, pani? - zasugerował Szymon.

- Ten człowiek umiera - odpowiedziała. Tak jak Szymon wiedziała, w jakim znajdą się niebezpieczeństwie,

jeśli im się nie powiedzie. Od kiedy trafili do tego nieznanego kraju, czuła głównie osamotnienie, a jego obcość sprawiała, że nawet najmilsze towarzystwo zdawało się wrogiem. Jednak w tej sprawie możliwe ryzyko wyglądało na nieznaczące w porównaniu z ewentualnym zyskiem, gdyby zdołali pomóc przeorowi. Była medykiem, ten człowiek umierał. Nie miała wyboru.

Rozejrzała się. Trakt, zapewne rzymski, wiódł prosto niczym palec wskazujący właściwą drogę. Na zachodzie, z lewej strony, rozciągała się równina, tam zaczynały się łąki Cambridgeshire, ciemne łąki i mokradła, teraz o zachodzie słońca stykające się z cynobrowozłotą linią horyzontu. Po prawej stronie wznosiło się zalesione zbocze niewysokiego wzgórza, wspinała się po nim ścieżka. Żadnego domostwa, zagrody czy nawet pasterskiego szałas.

Wzrok Adelii spoczął na rowie, niemal grobli, między traktem a zboczem wzgórza. Wiedziała, co tam można czasem znaleźć, tak jak zresztą orientowała się we wszystkich darach natury.

Potrzebowali odrobiny odosobnienia. Potrzebowali też światła. I nieco tego, co było w rowie.

Wydała odpowiednie polecenia.

Trzej mnisi przyprowadzili cierpiącego przeora. Gdzieś z boku dreptał, protestując Roger z Acton; wciąż nalegał, aby użyć relikwii od przeorowsy.

Najstarszy z zakonników zwrócił się do Mansura i Szymona:

- Brat Ninian mówi, że jesteście medykami z Salerno. Rysy twarzy miał tak ostre, iż zdołałby ociosać nimi krzemień. Szymon spojrzał ku Mansurowi nad głową Adelii, która stała między nimi. Nie mijając się z prawdą, oznajmił:

- Wśród nas, sir, jest osoba o sporej wiedzy medycznej.

- Możecie mi pomóc?! - wrzasnął przeor na Szymona łamiącym się głosem.

Szymon poczuł szturchnięcie w żebra.

- Tak - odpowiedział. Brat Gilbert zawisł jednak na ramieniu cierpiącego, czując niechęć do przekazania zwierzchnika w obce ręce.

- Panie, my nie wiemy, czy ci ludzie to chrześcijanie. Będziesz potrzebował wsparcia w

modlitwie, zostaną przy tobie.

Szymon pokręcił głową.

- Misterium, którego należy tu dokonać, musi odbyć się bez świadków. Prywatność to rzecz niezbędna między medykiem a pacjentem.

- Na Chrystusa, ulżycie moim cierpieniom! - W ten sposób przeor Gotfryd rozwiązał ostatnie wątpliwości. Brat Gilbert i jego chrześcijańskie wsparcie zostali odepchnięci na bok, pozostałych dwóch mnichów odsunięto, wydając im nakaz nieruszania się z miejsca, rycerza odprawiono, aby trzymał straż. Przeor, potykając się i machając rękami, dotarł do wiszącego stopnia z tyłu wozu i został podciągnięty przez Szymona i Mansura.

Roger z Acton biegł za wozem.

- Panie! - wołał. - Gdybyś tylko uwierzył w cudowne właściwości kostki świętego Piotrusia...

Odpowiedział mu wrzask.

- Już próbowałem i wciąż nie mogę się wyszczać! Wóz potoczył się w górę grobli, zniknął między drzewami. Adelia, zbierając coś w rowie, ruszyła za nimi.

- Boję się o niego - powiedział brat Gilbert, choć w jego głosie zabrzmiała też nuta zawiści.

- To czary! - Roger z Acton potrafił chyba tylko krzyczeć. - Lepsza śmierć niż ulga z rąk Beliala!

Obaj chcieli podążyć za wozem, jednak rycerz, sir Gerwazy, którego mnisi zawsze irytowali, nagle zastąpił im drogę.

- Powiedział „nie” - rzucił. Sir Joscelin, rycerz przeora, okazał się równie nieugięty.

- Bracie, myślę, że powinniśmy go z nimi zostawić.

Tych dwóch stało obok siebie, dwóch odzianych w kolczugi krzyżowców, którzy walczyli w Ziemi Świętej, pełnych pogardy dla owych gorszych mężczyzn w powłóczystych szatach, służących Bogu w bezpieczniejszych miejscach.

Ścieżka powiodła na dziwaczne wzgórze. Wóz podskakiwał na zboczu, którym dotarli w końcu do wielkiego trawiastego kręgu wystającego ponad drzewami. W świetle ostatnich promieni zachodzącego słońca wzniesienie wyglądało jak głowa, wielka, zielona głowa o płaskim łysym czubku.

Widok ów wzbudził niepokój wśród pielgrzymów na trakcie, u stóp wzniesienia, gdzie reszta kawalkady postanowiła teraz po rozdzieleniu zatrzymać się i rozłożyć obóz na poboczu, nieopodal rycerzy.

- Co to za miejsce? - zapytał brat Gilbert, wypatrując wozu, którego jednak nie mógł dostrzec.

Jeden z pachołków przerwał rozsiodływanie konia swojego pana.

- To tam to Krąg Wandlebury, panie. A to są wzgórza Gog i Magog. Gog i Magog, brytyjscy giganci, równie pogańscy jak ich imiona.

Chrześcijanie skupili się wokół ognia, a jeszcze mocniej przyłgnęli do siebie, kiedy z drugiej strony traktu, zza ciemnych drzew zabrzmiał donośny głos sir Gerwazego:

- Tu składano krwawe ofiary. Stąd ruszał dziki gon, moi panowie. Okropności.

Łowczy przeora Gotfryda, który szykował właśnie psy do nocy, wydał policzki i przytaknął.

Mansurowi też nie podobało się to miejsce. Poprowadził wóz mniej więcej do połowy zbocza i zatrzymał go na płaskiej, szerokiej półce skalnej. Wyprzągł muły, niepokoiły je jęki przeora siedzącego pod plandeką. Wypuścił zwierzęta, by się pasły, a potem zajął się rozpalaniem ognia.

Pojawiła się miska, w której zabulgotał wrzątek. Adelia wrzuciła tam to, co zebrała w rowie, i wpatrywała się w naczynie.

- Trzciny? - zapytał Szymon. - Po co? Powiedziała mu. Zbladł.

- On... On nie pozwoli... On jest mnichem.

- On jest pacjentem. - Poruszyła łodygami trzciny, wybrała dwie i dokładnie je osuszyła. - Przygotuj go.

- Przygotuj? Żaden mężczyzna nie jest gotowy na coś takiego. Pani, ufam ci całkowicie, ale... może jeszcze zapytam... czy dokonywałaś już kiedyś takiej operacji?

- Nie. Gdzie moja sakwa? Poszedł za nią przez trawę.

- A chociaż widziałaś, jak jej dokonywano?

- Na boskie zebra, będzie kiepskie światło. - Podniosła głos. - Mansur, dwie latarnie. Zawieś je wewnątrz, na obręczach plandeki. Dobrze, no, gdzie są te kawałki sukna? - Zaczęła grzebać w sakwie z koziej skóry, gdzie trzymała swoje instrumenty.

- Może powinniśmy wyjaśnić całą kwestię - zapytał Szymon, starając się zachować spokój. - Nigdy sama nie przeprowadzałaś takiej operacji ani nie widziałaś, jak ją robiono, tak?

- Nie widziałam, już mówiłam. - Uniosła oczy. - Gordinus raz o niej wspominał. A Gerszom, mój przybrany ojciec, opisał mi całą procedurę po wizycie w Egipcie. Widział ją na jakimś starożytnym malowidle w grobowcu.

- Starożytne egipskie malowidła! - Szymon każde słowo wypowiedział z jednakową wagą. - Czy były kolorowe?

- Nie widzę żadnego powodu, dlaczego to nie miałyby zadziałać - powiedziała. - Wziąwszy pod uwagę moją wiedzę na temat anatomii mężczyzn, to logicznie uzasadnione działanie.

Ruszyła przez trawy. Szymon rzucił się ku niej i ją powstrzymał.

- Pani, może pójdziemy nieco dalej ścieżką tego rozumowania? Zamierzasz przeprowadzić operację, niebezpieczną operację...

- Tak, sądzę, że taka właśnie będzie.

- ...na wielce poważnym dostojniku kościelnym. Tam czekają na niego jego przyjaciele...

- Szymon z Neapolu wskazał w dół pogrążającego się w ciemnościach wzgórza. - ...żadnego z nich nie raduje nasz udział w tej sprawie. Jesteśmy dla nich intruzami, a nie szanowanymi osobami.

Zeby mówić dalej, musiał wepchnąć się przed nią, bo inaczej minęłaby go w drodze do wozu.

- Może się zdarzyć, nie mówię, że na pewno, ale może, że owi przyjaciele kierują się własną logiką i jeśli przeor umrze, powieszą naszą trójkę tak, jak logiczne jest powieszenie mokrego prania na sznurze. Raz jeszcze pytam, czy nie powinniśmy dać działać naturze? Tylko pytam.

- Mistrzu Szymonie, ten człowiek umiera.

- Ja... - Wtedy światło latarni Mansura padło mu na twarz. Zatrzymał się, pokonany. - Tak, moja Rebeka zrobiłaby to samo. - Rebeka była jego żoną, wzorcem, wedle którego oceniał ludzkie miłosierdzie. - Czyń swoją powinność, medyczko.

- Będę potrzebowała twojej pomocy. Uniósł ręce i zaraz je opuścił.

- Masz ją. - Poszedł razem z nią, wzdychając i mamrocząc. - O Panie, czyż to byłoby takie złe, gdyby pozwolić działać naturze? Tylko pytam.

Mansur poczekał, aż tych dwoje wespnie się do wozu, oparł się o niego plecami, skrzyżował ramiona i zaczął pełnić wartę.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca już zgasły, a księżyc jeszcze nie zdołał ich zastąpić, wzgórze i łągi pogrążyły się więc w ciemnościach.

W dole, na skraju traktu, od pielgrzymów zgromadzonych przy ognisku odłączyła się masywna postać, tak jakby ruszyła za potrzebą. Schowana w ciemnościach, przeszła gościniec i ze zręcznością zaskakującą przy jej wadze, przeskoczyła rów, po czym znikła w krzakach po drugiej stronie drogi. Cicho przeklinając jeżyny, które podarły jej płaszcz, wspięła się ku półce, gdzie stał wóz. Węszyła, tak by prowadził ją smród mulów, a od czasu do czasu kierowała się na przebłyski światła między drzewami.

Zatrzymała się, aby spróbować podsłuchać rozmowę dwóch rycerzy, którzy stali na ścieżce niczym strażnicze wieże, zasłaniając wóz. Nosale ich hełmów sprawiały, że wyglądali jednakowo.

Do uszu tajemniczego szpiega dotarła wzmianka jednego z nich o dzikim gonie.

- ...to jest diabelskie wzgórze, bez ochyby - odparł jego towarzysz.

- Żaden wieśniak się do niego nie zbliża i chciałbym, żebyśmy również się nie zbliżali. Już wołałbym Saracenów.

Szpieg przeżegnał się i wspiął wyżej. Szedł niebywale ostrożnie. Nie-dostrzeżony minął Araba, kolejny posąg w księżycowym blasku. Wreszcie dotarł do miejsca, z którego mógł spojrzeć na wóz z góry. W świetle latarni pojazd wyglądał niczym jaśniejący owal na czarnym aksamicie.

Usadowił się wygodnie. Wokół niego podszycie szeleściło ciągłym ruchem obojętnego na

wszystko inne leśnego życia. Nad głową zahuczała sowa, jakby ruszała na łowy.

Z wozu nagle dobiegły odgłosy rozmowy. Brzmiał jasny, spokojny głos.

- Połóż się. To nie powinno boleć. Mistrzu Szymonie, czy mógłbyś podkasać jego szaty... Słysząc było, jak przeor Gotfryd odpowiada ostro.

- Co ona mi tam majstruje na dole? Co ona ma w ręku?

- Połóż się, panie - odparł człowiek, nazwany mistrzem Szymonem.

- Zamknij oczy. Bądź pewien, ta niewiasta wie, co robi.

- No, no nie - powiedział spanikowany przeor. - No nie. Wpadłem w sidła wiedźmy. Niech Bóg się nade mną zmiłuje, ta kobieta wyrwie mi duszę przez mojego siusiaka.

- Nie ruszaj się, do kroćset! - Wyższy głos, pełen skupienia i surowszy. - Chcesz, żeby pękł ci pęcherz? Mistrzu Szymonie, trzymaj jego przyrodzenie w górze. W górze, potrzebuję gładkiego wejścia.

Przeor zaskrzeczał.

- Szymonie, miska. Szybko, szybko. Przytrzymaj ją tutaj. Potem rozległ się dźwięk, jakby plusk wodospadu spływającego do basenu oraz jęk spełnienia, taki, jaki mężczyzna wydaje, uprawiając miłość, albo gdy opróżnia pęcherz z jego zawartości.

Wyżej, na wzgórzu, poborca podatków szeroko otworzył oczy, z zaciekawienia przygryzał wargi, przytakiwał sam sobie, kiwając głową, i zaczął sunąć w dół.

Zastanowił się, czy rycerze słyszeli to samo, co on. Pomyślał, że pewnie nie. Byli prawie poza zasięgiem słów dobiegających z wozu, a czepki, które opatulaly im głowy, chroniąc przed uciskiem hełmów, jeszcze dodatkowo tłumiły dźwięk. Zatem tylko on, wyjąwszy tych na wozie oraz Araba, był obecnie w posiadaniu intrygującej wiedzy.

Wracając tą samą drogą, którą przybył, musiał kilka razy przycupnąć w ciemnościach. Zaskakujące, jak wielu pielgrzymów wędrowało po wzgórzu tej nocy.

Ujrzał brata Gilberta, ten przypuszczalnie chciał dowiedzieć się, co dokładnie działo się na wozie. Ujrzał Hugona, łowczego przeora, może zmierzał w tej samej sprawie. A może, jak na łowczego przystało, przetrząsał krzaki. A czy owa postać o nieokreślonych do końca kształtach, prześlizgująca się ku drzewom, była kobietą? Żoną kupca, która szukała jakiegoś odludnego miejsca, by spokojnie załatwić potrzebę? Zakonnica podążająca z tym samym pragnieniem? A może to jakiś mnich?

Nie miał pojęcia.

### Rozdział 3

Blask świtu padł na pielgrzymów zgromadzonych na skraju traktu i ujawnił, że są zmoknięci i poirytowani. Przeorysza, bardzo niezadowolona, zaczęła czynić wyrzuty rycerzowi, kiedy przybył zapytać, jak minęła noc. - Gdzieś się podziewał, sir Joscelinie?

- Strzegłem przeora, pani. Był w rękach cudzoziemców i mógł potrzebować pomocy.

Zakonnica jednak na to nie zważała.

- Taki był jego wybór. Mogłam wędrować dalej nocą, gdybyś był z nami i nas chronił. Tylko cztery mile zostały do Cambridge. Święty Piotruś czeka na relikwiarz, aby spoczęły w nim jego kości, i trwa to już wystarczająco długo.

- Można było zabrać kości ze sobą, pani. Wędrowka przeoryszy do Cambridge stanowiła nie tylko świątobliwą pielgrzymkę, ale także miała na celu odebranie relikwiarza, zamówionego dwanaście miesięcy wcześniej u złotników od Świętego Tomasza Becketa. Zakonnica łudziła się, że kiedy szkielet nowego świętego jej zgromadzenia, który leżał dotąd w pośledniej skrzyni w Cambridge, spocznie w ozdobnej trumnie, to można za sprawą owych kości oczekiwać wielkich rzeczy.

- Niosę jego świętą kostkę ręki - rzuciła - a gdyby przeor Gotfryd miał wiarę, ta kostka wystarczyłaby, aby ukoić jego cierpienia.

- Nawet jeśli, matko, to nie mogliśmy zostawić biednego przeora w jego stanie w rękach obcych, nieprawdaż? - łagodnie zapytała drobna mniszka.

Jednak przeorysza najwyraźniej potrafiłaby coś takiego zrobić. Nikt chyba mniej od niej nie lubił przeora Gotfryda.

- On ma swojego własnego rycerza, czyż nie?

- Potrzeba dwóch, aby stróżować całą noc, pani - odparł sir Gerwazy. - Jednego, by pilnował, podczas kiedy drugi śpi.

Był rozeźlony. W rzeczy samej obaj rycerze mieli zaczerwienione oczy, tak jakby żaden z

nich nie odpoczywał.

- A ja, czy mogłam zaznać snu? W tym całym zamieszaniu, wśród płaczących się wszędzie ludzi? I dlaczego on zażądał podwójnej straży?

Większość niesnasek między konwentem Świętej Radegundy a kanonią Świętego Augustyna w Barnwell brała się z podejrzeń przeoryszy Joanny, że przeor zazdrości jej cudów dokonywanych za sprawą kości świętego Piotrusia. Teraz, gdy zyskają odpowiednią oprawę, ich sława będzie się szerzyć, pątnicy wędrujący do nich powiększą dochód klasztoru, będzie się dokonywać więcej cudów. I, bez wątpienia, przeor Gotfryd czuł przez to zawiść.

- Załatwmy swoje sprawy, nim on wydobrzeje. - Rozejrzała się wokół. - Gdzie jest Hugo z moimi ogarami? Do czorta, z pewnością w ogóle nie zabierze ich na to wzgórze.

Sir Joscelin od razu ruszył na poszukiwania krnąbrnego łowczego. Sir Gerwazy, którego psy znajdowały się w sforze Hugona, ruszył w ślad za nim.

Przeor, wypawszy się dobrze, odzyskiwał siły. Siedział na kłodzie i jadł jajka usmażone na patelni przez wędrowców z Salerno. Nie wiedział, o co najpierw zapytać.

- Jestem zaiste zdumiony, mistrzu Szymonie - powiedział. Drobny człowieczek siedzący naprzeciwko skinął głową ze współczuciem.

- Rozumiem cię, panie. *Certum est, quia impossibile.*

To, że ów obdarty domokrażca cytował Tertuliana, zadziwiło przeora jeszcze bardziej. Kim są ci ludzie? Tak czy owak, starożytny mędrzec miał rację; musiało to być prawdą, albowiem było niemożliwe. Dobrze, a zatem pierwsze pytanie.

- Dokąd ona poszła?

- Lubi spacerować po wzgórzach, mój panie, studiować naturę, zbierać zioła.

- Powinna uważać, wędrując po tym tutaj; miejscowi omijają je szerokim łukiem, zostawiają je owcom, mawiają, że Krąg Wandlebury nawiedzany jest przez dziki gon i więdźmy.

- Mansur zawsze jej towarzyszy.

- Ten Saracen? - Przeor Gotfryd miał się za człowieka o szerokich horyzontach, poza tym był wdzięczny, jednak poczuł się też rozczarowany. - Czyli ona jest wiedźmą?

Szymon się skrzywił.

- Panie, błagam... Gdybyś mógł unikać tego słowa w jej obecności... Ona jest znakomicie wykształconym medykiem. - Przerwał na chwilę. - Choć nietuzinkowym - dodał, znowu ściśle trzymając się prawdy. - Szkoła w Salerno pozwala praktykować niewiastom.

- Słyszałem o tym - powiedział przeor. - Salerno, ech? Nie wierzyłem w to, nie bardziej niż w latające krowy. Wygląda na to, że muszę zacząć wypatrywać krów nad głową.

- Zawsze tak najlepiej, mój panie.

Przeor włożył do ust nieco jajecznicy i rozejrzał się, podziwiając zieleń wiosny, ciesząc się świergotem ptaków, czego nie czynił już od jakiegoś czasu. Zaczynał inaczej widzieć całość spraw. Ta grupka, choć bez wątpienia niewyglądająca na szacowną, była jednak uczone; a w takim razie jej wygląd wprowadzał w błąd.

- Mistrzu Szymonie, ta niewiasta mnie uratowała. Czy tej szczególnej operacji nauczyła się w Salerno?

- Mniemam, że nauczyła się jej od najlepszych egipskich medyków.

- Niesamowite. Powiedz mi, ile mam jej zapłacić.

- Ona nie przyjmie żadnej zapłaty.

- Naprawdę? - Robiło się coraz ciekawiej, z minuty na minutę. Przecież ani ten mężczyzna, ani owa kobieta nie wyglądali na takich, co mają choć szylinga przy duszy.

- Mistrzu Szymonie, ona mnie skłęła.

- Panie, przyjmij moje przeprosiny. Obawiam się, że jej umiejętności nie obejmują dwornych manier.

- Nie, rzeczywiście nie obejmują. - Ani też, jak zdołał do tej pory zauważyć, niczego, co zazwyczaj umiały niewiasty. - Wybacz mi, staremu człowiekowi, impertynencję, ale bym mógł się do niej zwracać jak należy, z którym z was jest ona... związana?

- Z żadnym, mój panie. - Domokrażca wydawał się bardziej rozbawiony niż urażony. - Mansur to jej sługa, eunuch, takie bowiem nieszczęście go spotkało. Ja sam jestem oddany żonie i dzieciom, pozostałym w Neapolu. Nie ma tu żadnego związku w takim sensie... Jesteśmy tylko sojusznikami, złączonymi przez okoliczności.

Przeor, choć nie był człowiekiem łatwowiernym, uwierzył mu, co jeszcze tylko

powiększyło jego ciekawość. Co, do diaska, tych troje tutaj robiło?

- Tak czy owak - powiedział głośno i surowym tonem - muszę wam rzec, że czegokolwiek szukacie w Cambridge, narazicie się na szwank waszą niezwykłością. Niewiasta medyk winna mieć towarzyszkę niewiastę.

Tym razem to Szymon był zaskoczony, a przeor Gotfryd widział, że ów mężczyzna rzeczywiście traktuje tę kobietę wyłącznie jak towarzysza.

- Przypuszczam, że powinna - stwierdził Szymon. - Kiedy wyruszaliśmy na naszą misję, była z nami niewiasta, jej niania, jednak owa stara kobieta zmarła po drodze.

- Radzę znaleźć inną. Przeor milczał chwilę, potem zapytał jeszcze:

- Wspomniałeś o misji. Mógłbym zapytać, na czym ona polega? Szymon jakby się zawałał.

- Mistrzu Szymonie - dodał Gotfryd. - Zakładam, że nie przebyliście tej całej drogi z Salerno tylko po to, by sprzedawać cudowne mikstury. Jeśli wasza misja jest delikatna, możecie mi o niej powiedzieć bez lęku.

Widząc, że mężczyzna wciąż się waha, przeor mlasnął i wyluszczył to, co było wszak oczywiste.

- Ujmując rzecz metaforycznie, mistrzu Szymonie, trzymacie mnie teraz za jaja. Czyż mógłbym zawieść wasze zaufanie, skoro wy zdołalibyście łatwo pomścić zdradę, mówiąc miejskiemu heroldowi, iż ja, kanonik z klasztoru Świętego Augustyna, osoba o dużym znaczeniu w Cambridge i nie chwaląc się, także w dalszych rejonach kraju, nie tylko złożyłem swój wstydlivy członek w dłonie kobiety, ale także miałem wsuniętą weń trzcinę? Jakże, parafrazując nieśmiertelnego Horacego, zagrano by to w Koryncie?

- Aha - odparł Szymon.

- Zatem, mów bez obaw, mistrzu Szymonie. Zaspokój ciekawość starego człowieka.

Szymon powiedział. Przybyli, aby odkryć, kto morduje i uprowadza dzieci z Cambridge. Nie należy sądzić, że ich misja ma wkraczać w kompetencje miejscowych urzędników, tylko...

- ...tylko że śledztwo prowadzone przez zwierzchność czasem zamyka więcej ust, niżli otwiera, zaś wy, incognito i lekceważeni...

Na miejscu Szymona właśnie na to położyłby nacisk. Nie chodziło o wtrącanie się w cudze sprawy. Skoro jednak poszukiwania mordercy się przedłużają, wyjątkowo szcwanego i niczemnego mordercy, to trzeba podjąć specjalne kroki...

- Nasi mocodawcy, ci, którzy nas przysłali, zdają się sądzić, że pani Adelia i ja mamy odpowiednie umiejętności, jeśli chodzi o takie sprawy...

Przeor Gotfryd, przysłuchując się opowieści o misji, dowiedział się też, że Szymon z Neapolu jest Żydem. Poczł nagły przyływ paniki. Jako zwierzchnik wielkiego klasztoru odpowiadał za stan świata, kiedy Bóg przyjrzy mu się w Dzień Sądu, co mogło nastąpić w każdej chwili. Cóż winien rzec Wszechmogącemu, który wszak mówił, że ustanowiona ma zostać jedna prawowita wiara? Jak wyjaśni przed tronem Bożym istnienie nieochrzczonej infekcji w tym, co powinno być niepodzielnym i zdrowym ciałem? Jak wytłumaczy się z tego, że nic nie uczynił?

Humanizm walczył w nim z naukami pobranymi w seminarium -i wygrał. To był bój toczony od dawna. Cóż mógł zrobić? Nie należał do tych, którzy pochwalali wytępienie Żydów, nie chciał patrzeć, jak ich dusze, jeśli oni mają dusze, są kaleczone i słane do otchłani. Nie tylko więc nie tępił Żydów z Cambridgeshire, ale chronił ich, choć czynił srogie wyrzuty innym duchownym za popieranie grzechu lichwy poprzez pożyczanie od nich pieniędzy.

A teraz sam zaciągnął dług u Żyda - winien był mu życie. I zaiste, gdyby ten człowiek, nieważne czy Żyd, czy nie, zdołał wyjaśnić sprawę, przez którą cierpiało Cambridge, wtedy przeor stanąłby po jego stronie. Dlaczego jednak przyprowadził ze sobą medyka, medyka niewiastę?

Zatem przeor Gotfryd słuchał opowieści Szymona, a jego zdumienie zastąpiła troska - frasował się zwłaszcza otwartością tego człowieka, cechą, której do tej pory nie przypisywał jego rasie. Zamiast sprytnych wybiegów słyszał prawdę.

Pomyślał sobie: Nieboraku, tak niewiele trzeba, abyś wyjawiał swoje sekrety. On przecież był tak naturalny, nie miał w sobie żadnej chytryści. Któż go przysłał, nieboraka?

Kiedy Szymon skończył, zapadła cisza, przerywana tylko śpiewem kosa na dzikiej wiśni.

- Zostałeś zatem przysłany przez Żydów na ratunek Żydom?  
- Nie całkiem, mój panie. Głównym graczem w tej materii zdaje się król Sycylii, jak wiesz, Normandczyk. Sam się temu dziwowałem. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wmieszane są w to jeszcze inne siły; zwłaszcza że nie sprawdzano nam glejtów w Dover, co sprawia, że myślę, iż angielskie władze nie są aż tak nieświadome tego, po co przybyliśmy. Zapewniam, że jeśli Żydom udowodni się tę straszliwą zbrodnię, chętnie sam pomogę mocować sznur, na którym ich powieszają.

Dobrze. Przeor na to przystał.

- Czy mogę jednak spytać, dlaczego niezbędna do tego przedsięwzięcia była obecność tej niewiasty, medyka? Naprawdę, taki rara avis, jeśli zostanie odkryty, przyciągnie bardzo niepożądaną ciekawość.

- Ja też miałem początkowo wątpliwości - przyznał Szymon. Wątpliwości? Szczerze mówiąc, był przerażony. Płeć medyka, który

miał mu towarzyszyć, pozostawała nieznaną aż do chwili, gdy orszak Adelii wszedł na statek do Anglii. Wtedy zaś było już za późno na protesty, ale mimo to protestował. Gordinus Afrykańczyk, największy z medyków i najbardziej naiwny z ludzi, wziął jego gestykulację za pożegnalne machanie i także mu machał, aż odległość między burtą a nadbrzeżem całkiem ich rozdzieliła.

- Miałem wątpliwości - powtórzył - choć niewiasta okazała się skromna, rozumna i znakomicie zna angielski. Niemniej... - Szymon rozpromienił się, jego pomarszczona twarz pomarszczyła się jeszcze bardziej w grymasie zadowolenia. To sprawiło, że przeor odwrócił swoją uwagę od pewnej drażliwej kwestii. Będzie jeszcze czas, aby dowiedzieć się o niezwykłych umiejętnościach Adelii, lecz teraz jeszcze nie nadszedł. - Jak powiedziała moja żona, Pan chadza własnymi ścieżkami. Dlaczegoż inaczej ona miałaby znaleźć się w pobliżu w godzinie waszej największej potrzeby?

Przeor Gotfryd przytaknął powolnym ruchem. Bez wątpienia. Już zdążył paść na kolana, aby podziękować Bogu Wszchemogącemu za postawienie ich na jego drodze.

- Pomocne będzie, zanim dotrzemy do miasta - łagodnie naciskał Szymon z Neapolu - gdy dowiemy się więcej o zabójstwie dziecka i jak doszło do zaginięcia dwojga pozostałych...

Pozwolił, aby jego słowa zawisły w powietrzu.

- Dzieci - powiedział w końcu przeor Gotfryd ciężkim głosem. - Muszę powiedzieć ci, mistrzu Szymonie, że gdy ruszaliśmy do Canterbury, liczba tych zaginionych dzieci wynosiła już nie dwoje, ale troje. Zaiste, gdybym nie ślubował odbyć tej pielgrzymki, nie opuściłbym Canterbury z obawy, że ta liczba może jeszcze się zwiększyć. Niechaj Bóg zlituje się nad ich duszami, wszyscy lękamy się, że te maleństwa mógł spotkać taki sam los jak pierwsze, jak Piotra. Że zostały ukrzyżowane.

- Nie z rąk Żydów, mój panie. Nie krzyżujemy dzieci. Ukrzyżowaliście Syna Bożego, pomyślał przeor. Nieboraku, jeśli przyznasz się tam, dokąd zmierzasz, że jesteś Żydem, rozerwą cię na strzępy. I twoją medyczkę razem z tobą.

Do licha, pomyślał, powinienem włączyć się do tej sprawy.

- Muszę ci rzec, mistrzu Szymonie - oznajmił - że tutejsi są niebywale wściekli na Żydom. Lękają się, że nadal zabierać im się będzie ich latorośle.

- Panie, a jakie śledztwo przeprowadzono? Jakie są dowody pozwalające oskarżać Żydom?

- Oskarżenie padło niemal od razu - powiedział przeor Gotfryd. - I obawiam się, że nie bez przyczyny.

Geniusz Szymona Menahema jako agenta, detektywa, pośrednika, wywiadowcy i szpiega - bo tak naprawdę znał się doskonale na każdym z owych zajęć - polegał na tym, iż ludzie brali go właśnie za tego, na kogo wyglądał. Nie potrafili uwierzyć, że ten mizerny, nerwowy człowieczek, tak bezpośredni, wręcz naiwny, ten, który chętnie dzielił się informacjami, w dodatku poufnymi, że on zdołałby ich przechytrzyć. Dopiero gdy zawarto już umowę oraz przypieczętowano układ, pojawiała się drugie dno i rozumieli, że Szymon osiągnął dokładnie to, czego chcieli jego chlebodawcy. Ale mogli sobie wtedy mówić: „to przecież taki nieborak”.

I właśnie za sprawą tego nieboraka, który bardzo dokładnie przeanalizował charakter przeora i jego świeżo zaciągnięty dług, ówże wrażliwy przeor zaczął mówić nieborakowi wszystko, czego ten chciał się dowiedzieć...

Zaczął się ponad rok temu, w ostatni piątek przed Niedzielą Palmową. Pięcioletni Piotr,

dziecko z Trumpington, wioski na południowy zachód od Cambridge, wyszedł z domu, by nazbierać bazi, jak kazała mu matka.

- Bazie w Anglii zastępują palmę na Niedzielę Palmową.

Piotr nie zrywał ich z wierzb w pobliżu domu, lecz podreptał na północ wzdłuż Cam do drzewa na brzegu rzeki, nieopodal klasztoru Świętej Radegundy, które jak powiadano, było szczególnie święte, albowiem zasadzone własnoręcznie przez Radegundę.

- Tak jakby - powiedział przeor gorzko, przerywając opowieść - jakaś niemiecka święta z ciemnych wieków wybrała się na spacer do Cambridgeshire akurat po to, aby zasadzić drzewo. Ale ta harpia.... - to już odnosiło się do przeoryszy od Świętej Radegundy - akurat coś powie.

Tak się złożyło, że tego samego dnia, w ostatni piątek przed Niedzielą Palmową, paru najbogatszych i najważniejszych Żydów Anglii zgromadziło się w Cambridge w domu Chaima Leonisa z okazji zaślubin jego córki. Piotr mógł oglądać uroczystości z drugiego brzegu rzeki, kiedy wędrował, aby ścinać bazie.

Nie wrócił jednak do domu tą samą drogą, którą przybył, lecz wybrał krótszą trasę, przez Dzielnicę Żydowską, przeszedł most i ruszył przez miasto, tak żeby móc obejrzeć wozy i osiodłane konie gości Chaima, czekające w stajni.

- Bo wiedz, że jego wuj, wuj Piotra, był stajennym Chaima.

- To chrześcijanom wolno tutaj pracować u Żydów? - zapytał Szymon, tak jakby właśnie nie poznał odpowiedzi. - Wielkie nieba.

- Och tak. Żydzi to dobrzy pracodawcy. I Piotr regularnie odwiedzał stajnie, nawet kuchnie, gdzie kucharz Chaima, też Żyd, czasem dawał mu cukierki, co później wywleczono jako fakt obciążający to domostwo, uznając to za przynętę.

- Mówże dalej, panie.

- Dobrze. Wuj Piotra, Godwin, był zapracowany z racji owej nadzwyczajnej mnogości koni i nie mógł zajmować się chłopcem, kazał mu więc wracać do domu, sądził, że dziecko posłucha i wróci. Aż do późnego wieczoru, kiedy matka Piotra przybyła, szukając go, do miasta, nikt nie wiedział, że dziecko zniknęło. Zaalarmowano strażę, a także rzecznych bajlifów. Podejrzewano, że chłopiec wpadł do Cam. O świcie przeszukano brzegi, niczego jednak nie znaleziono.

Niczego przez ponad tydzień. Gdy mieszczanie i wieśniacy na kolanach szli pod wielkopiątkowy krzyż w parafialnych kościołach, wznoszono modlitwy do Boga Wszchemogącego, aby Piotr z Trumpington powrócił.

W Poniedziałek Wielkanocny modlitwy zostały wysłuchane, jednak w straszliwy sposób. Okaleczone ciało Piotra znaleziono w rzece nieopodal domu Chaima, pod pomostem.

Przeor wrzucił ramionami.

- Nawet wtedy nie obwiniano Żydów. Dzieci spadają, wpadają do rzek, studni, rowów. Nie, my myśleliśmy, że to wypadek. Póki nie pojawiła się praczka Marta. Marta mieszka przy ulicy Mostowej i wśród jej klientów był Chaim Leonis. W ten wieczór, w który zniknął Piotruś, jak opowiadała, przyniosła do Chaima kosz świeżego prania pod tylne drzwi. Ujrawszy je otwarte, weszła przez nie...

- Przyniosła pranie o tak późnej porze? - zdziwił się Szymon. Przeor Gotfryd pochylił głowę.

- Myślę, że musimy przyjąć, iż Marta była ciekawska. Nigdy jeszcze nie widziała żydowskiego wesela. Jak my wszyscy, rzecz jasna. Tak czy owak, weszła do środka. Z tyłu domu było pusto, uroczystości przeniosły się do ogrodu z przodu. Drzwi do głównej sali były lekko uchylone...

- Kolejne otwarte drzwi - stwierdził Szymon, najwyraźniej znowu zaskoczony.

Przeor spojrział na niego.

- Czy opowiadam coś, o czym już wiesz?

- Proszę o wybaczenie, panie. Proszę najuniżeniej, mów dalej.

- No dobrze. Marta zajrzała do tej sali i zobaczyła, tak mówiła, zobaczyła dziecko zwisające za ręce z krzyża. Nie miała możliwości zrobić niczego innego niż się przerazić, a właśnie wtedy żona Chaima przysłała na dół, skłęła ją, ona zaś uciekła.

- I nie zaalarmowała straży? - zapytał Szymon. Przeor przytaknął.

- Zaiste, to jest właśnie słabość jej opowieści. Jeśli Marta widziała ciało wtedy, gdy mówiła, to nie zaalarmowała straży. Nie zaalarmowała nikogo do czasu, gdy znaleziono trupa



Piotrusia. Wtedy i tylko wtedy szepnęła o tym, co widziała, sąsiadowi, który to szepnął drugiemu sąsiadowi, ten zaś poszedł do zamku i opowiedział o wszystkim szeryfowi. A potem szybko znalazły się już mocne dowody. Na ulicze przed domem Chaima znaleziono pęczek bazi. Człowiek, który dostarczał na zamek torf, zeznał, że w piątek przed Niedzielą Palmową widział z drugiego brzegu rzeki dwóch mężczyzn - jeden miał żydowski kapelusz - jak cisnęli jakiś tłumok z Wielkiego Mostu do rzeki Cam. Inni powiedzieli wtedy, że słyszeli krzyki dobiegające z domu Chaima. Ja sam obejrzałem ciało po tym, jak wyciągnięto je z rzeki, i widziałem na nim ślady ukrzyżowania. - Zachmurzył się. - Biedne małe ciało było strasznie opuchnięte, ale pozostały ślady na nadgarstkach, a brzuch rozplątano, tak jakby włócznią i... były też inne rany.

W mieście natychmiast zawrzało. Aby uchronić od wybicia co do nogi wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci z Dzielnicy Żydowskiej, szeryf i jego ludzie zamknęli ich na zamku w Cambridge. Działali w imieniu króla, pod którego opieką znajdują się Żydzi.

- Mimo to Chaim został schwytany przez łaknących pomsty i powieszony na wierzbie świętej Radegundy. Pochwycili też jego żonę, kiedy błagała o zmiłowanie nad nim, i rozerwali na strzepy. - Przeor Gotfryd się przeżegnał. - Szeryf i ja zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale pokonała nas furia mieszczan. - Skrzywił się, wspomnienie zabolowało.

- Widziałem zacnych mężów zmienionych w piekielne ogary, matrony, które stały się menadami. - Podniósł czapkę i przesunął dłonią po łysiejącej głowie. - Mimo to, mistrzu Szymonie, można rzec, że udało nam się

opanować zamieszki. Szeryf zdołał przywrócić porządek i była nadzieja, że skoro Chaim nie żyje, pozostali Żydzi będą mogli powrócić do swoich domów. Ale nie. Teraz na scenie zjawił się Roger z Acton, kleryk nowy w naszym mieście, jeden z pielgrzymów do Canterbury. Bez wątpienia go spostrzegłeś, taki impertynencki człeczyna na pajęczych, chudych nóżkach, o nikczemnym wyglądzie i wątpliwej czystości oraz bladej gębie. Tak się składa, że mistrz Roger jest... - przeor spojrzął na Szymona, jakby ogarnęło go poczucie winy - jest kuzynem przeoryszy od Świętej Radegundy. *Mea culpa*, obawiam się, że posprzeczaliśmy się nad trupem. Jednak ta kobieta, mistrzu Szymonie, ona nie widziała tam ciała małego chłopca, które należy pogrzebać po chrześcijańsku, lecz nabytek dla tego siedliska demonów, które nazywa konwentem, źródło dochodów od pielgrzymów, ludzi chorych i kalekich, szukających uzdrowienia. Atrakcję, mistrzu Szymonie.

- Usiadł ponownie. - I tymże się stało. Roger z Acton rozniósł wieści. Naszą przeoryszę widziano, kiedy radziła się tych dorobkiewiczów z Canterbury, jak sprzedawać relikwie i wizerunki świętego Piotrusia przy bramie klasztoru. *Quid non mortalia pectora cogis, auri sacra fames*/Nic tak nie porusza ludzkich serc, jak przekłeta żądza złota!

- Jestem zaszokowany, panie - odparł Szymon.

- I winienś być, mistrzu Szymonie. Ona ma kostkę wziętą z dłoni chłopca i wraz ze swoim kuzynem przyciskali mi ją, gdy byłem w potrzebie, mówiąc, że to winno ukoić ból od razu. Jak widzisz, Roger z Acton pragnął dodać mnie do listy uleczonych, moje imię miało znaleźć się w petycji do Rzymu o oficjalne uznanie świętego Piotrusia.

- Rozumiem.

- Kostka, której bez skrpułów dotknąłem, bo tak wielka była moja męka, nie zadziałała. Ukojenie przyszło z najmniej oczekiwanej strony.

- Przeor wstał. - Co przypomina mi, że muszę się wysikać.

Szymon wyciągał rękę, aby go jeszcze zatrzymać.

- Ale co z pozostałymi dziećmi, panie? Tymi, które wciąż są zaginione? Przeor Gotfryd przez chwilę stał, jak gdyby przysłuchiwał się kosowi.

- Na razie nic - powiedział. - Miasto nasyciło się Chaimem i Miriam. Żydzi w zamku gotowali się do tego, aby go opuścić. Ale wtedy zniknął kolejny chłopiec i już nie odważyliśmy się ich przenosić.

Przeor odwrócił twarz, tak że Szymon jej nie widział.

- To stało się w noc Wszystkich Świętych. To był chłopiec z mojej klasztornej szkoły. - Szymon usłyszał, jak głos mężczyzny się załamuje.

- Potem dziewczynka, córka łowcy ptactwa. W świętych Młodzianków Męczenników, Boże pomóż nam. Potem, ostatnio, w święto Edwarda Króla i Męczennika jeszcze jeden chłopiec.

- Ale, mój panie, któż oskarżał Żydów w związku ze zniknięciem tych dzieci? Czyż oni

wszyscy nie byli wtedy zamknięci w zamku?

- Do dzisiejszego dnia, mistrzu Szymonie, Żydów obdarzono już tutaj umiejętnością przelatywania ponad zamkowymi krenelazami, uwierzono, że porywają dzieci i rozszarpują je, a ich szczątki rozrzucają gdzieś po drodze. Radzę ci, nie mów, kim jesteś. Wiedz, że... - przeor urwał - były też znaki.

- Znaki?

- Kabalistyczne symbole, odnalezione tam, gdzie po raz ostatni widziano każde z tych dzieci. Mieszczanie mówią, że przypominają gwiazdę Dawida. A teraz... - Przeor Gotfryd skrzyżował nogi. - Naprawdę muszę się wysikać. To rzecz nie cierpiąca zwłoki.

Szymon patrzył, jak duchowny drepcze ku drzewom.

- Powodzenia, panie. Dobrze zrobiłem, że powiedziałem właśnie tyle, ile powiedziałem, pomyślał. Zyskaliśmy cennego sojusznika. W zamian za informacje, też przekazałem informacje, choć nie wszystkie.

Ścieżka prowadząca na szczyt Kręgu Wandlebury powstała przez osunięcie się gruntu, które rozdarło część wielkiego wału wykopanego przez starożytnych, aby chronić to miejsce. Wyrównały je przechodzące tędy owce i teraz Adelia, z koszem na ramieniu, wspinała się kilka chwil, nie tracąc oddechu. Znalazła się sama na szczycie wzgórza, wielkim kole trawy, naznaczonym przypominającymi czarną porzeczkę owczymi bobkami.

Z daleka szczyt wzgórza zdawał się całkiem łysy. Jedyne wysokie drzewa rosły niżej, w grupie wzdłuż wschodniej krawędzi, a resztę szczytu porastały krzaki głogu i jałowca. Płaską powierzchnię tu i ówdzie dziurawiły dziwaczne doły, niektóre miały prawie trzy stopy głębokości i co najmniej dwa jardy średnicy.

Nieźle miejsce, żeby skrócić kostkę.

Na wschodzie, tam gdzie wstawało słońce, zbocze spływało delikatnie w dół, na zachodzie dość gwałtownie urywało się przed równiną.

Rozpięła płaszcz, splotła dłonie za karkiem, przeciągnęła się, pozwalając, aby bryza przeniknęła przez nędzną tunikę z kłującej wełny, jaką po błaganiach Szymona z Neapolu zgodziła się włożyć w Dover.

- Pani, naszą misję będziemy wypełniać wśród pospólstwa. Jeśli mamy się z nimi zmieszać, dowiedzieć się tego, co wiedzą, to musimy wyglądać jak oni.

- Oczywiście, bo na przykład taki Mansur w każdym calu wygląda jak saksoński wieśniak - powiedziała. - A co z naszym akcentem?

Jednak Szymon upierał się, że to bardzo ważne, bo trzech cudzoziemskich wędrownych medyków, zawsze lubianych przez lud, usłyszy więcej sekretów niż tysiąc śledczych.

- Nie może być przepaści między nami a tymi, których będziemy pytać. Chcemy prawdy, nie szacunku.

- Dla czegoś takiego - pokazała na tunikę - to już na pewno nikt nie będzie nas szanować.

Lecz to Szymon, bardziej doświadczony w zwodzeniu ludzi niż ona, dowodził misją. Adelia wzięła zatem ową rurę z sukna, przytrzymała do barków szpilami, jednak pod nią zostawiła jedwabną szatę. Nie należała do tych, którzy płyną z prądem mody, ale do diaska, nawet dla króla Sycylii nie zniosłaby workowego materiału ocierającego się o skórę.

Zamknęła oczy, rażone światłem, znużone nocą spędzoną na czuwaniu przy pacjencie. Baczyła, czy nie dostaje on gorączki. O świetle skóra przeora była jednak chłodna, a jego puls równy. Na razie zabieg okazał się skuteczny. Pozostawało sprawdzić, czy duchowny zdoła oddać mocz samodzielnie i bez bólu. Pożyjemy, zobaczymy, jak zwykła mawiać Małgorzata.

Zaczęła spacerować, wypatrywała użytecznych roślin. Przy okazji zauważyła, że jej tanie buty - kolejne przekłete przebranie - przy każdym kroku rozsiewają słodkawe, nieznanne zapachy. Wśród traw rosło mnóstwo cennych roślin. Widziała młode listki werbeny, bluszczu, kocimiętki, *Clinopodium vulgare*, przez Anglików nazywane dzięką bazylią, choć ani jej nie przypominało, ani nie pachniało jak bazylią. Kiedyś kupiła stary angielski zielnik, który zdobyli skądś mnisi z klasztoru Świętej Łucji, ale nie zdołała go przeczytać. Oddała go Małgorzacie, żeby przypominał jej o ojczyźnie, ale później jednak odebrała księgę, by trochę ją postudiumować.

A były tam ilustracje tego, co teraz rosło pod jej stopami. Poczuli się tak podekscytowani, jakby na ulicy spotkała kogoś sławnego.

Autor zielnika, podobnie jak większość jego kolegów po piórze, opierał się głównie na

Galenie i podawał obiegowe informacje, że wawrzyn chroni przed błyskawicami, kozłek strzeże przed zarazą, majeranek dobrze robi na macicę - jak gdyby kobieca macica pływała do gardła i w dół niczym wiśnia w butelce. Czemuż im się nigdy nie chciało po prostu spojrzeć?

Zaczęła zbierać zioła.

Na początku robiła to niepewnie. Nie było wcale ku temu powodów, bo wielki krąg na szczycie wzgórza jak został kiedyś opuszczony, tak pozostawał opuszczony. Chmury zmieniały jednak wygląd okolicy, kiedy ich cienie przemykały po trawie. Skarłowaciały głóg przybrał kształt zgarbionej staruchy, jakiś nagły pisk - sroki - sprawił, że mniejsze ptaki poderwały się do lotu.

Adelię przepelniał niepokój, sprawiający, iż chciała jak najmniej wystawać ponad płaski krajobraz. Ależ okazała się głupia. Zwabiona tutejszymi ziołami i spokojem owego miejsca, zmęczona gadatliwym towarzystwem, w którym przebywała od Canterbury, popełniła błąd, wędrując samotnie, każąc Mansurowi zostać i opiekować się przeorem. Błąd. Odrzuciła wszelkie zabezpieczenia chroniące ją przed gwałtem. Bez Małgorzaty albo Mansura u boku, dopóki w pobliżu znajdowali się mężczyźni, równie dobrze mogłaby przyczepić sobie transparent z napisem „posiądź mnie”. Gdyby zaproszenie zostało przyjęte, uznano by to za jej winę, a nie napastnika.

Co to za przekłete więzienie, w którym mężczyźni trzymają kobiety! Medyczkę wściekały jego niewidzialne kraty, już kiedy Mansur nalegał, aby towarzyszyć jej w długich, ciemnych korytarzach szkoły w Salerno, przez co wyglądała śmiesznie, chodząc tak z wykładu na wykład niczym obdarzona jakimiś nadzwyczajnymi przywilejami. To ją wyraźnie piętnowało. Ale dostała nauczkę, och, dostała ją tamtego dnia, gdy wreszcie uciekła opiekunowi. Poznała wówczas wściekłość, desperację, kiedy musiała szarpać się z jakimś żakiem, poniżające wołanie o pomoc, na które, dzięki Bogu, odpowiedziano, a potem jeszcze kazania prawione przez profesorów i oczywiście Mansura oraz Małgorzatę o grzechach arogancji i beztroski.

Nikt zaś nie winił owego młodego mężczyzny. Chociaż Mansur i tak złamał mu potem nos, aby nauczyć dobrych manier.

Jednak Adelia pozostała sobą i nadal była zadziorna. Zmusiła się więc, aby pójść nieco dalej, w stronę drzew, zerwała jedno, dwa zioła, później rozejrzała się wokół.

Nic. Trzepot kwiecica głogu na wietrzyku, kolejne, nagłe przyćmienie światła, kiedy chmura przesłoniła słońce.

Jakiś bażant zaczął postukiwać i wrzeszczeć. Odwróciła się.

On jakby wyskoczył spod ziemi. Szedł ku niej, rzucając długi cień. Tym razem nie był to przyszczaty żak. Zbliżał się jeden z towarzyszących pielgrzymce silnych i pewnych siebie krzyżowców, metalowe kółka kolczugi brzęczały pod tuniką. Usta śmiały się, ale oczy były twarde tak jak żelazo zasłaniające głowę i nos.

- No, no, no - powiedział niecierpliwym głosem. - No, no, no, moja pani.

Adelia poczuła się bardzo zmęczona własną głupotą i tym, co miało się wnet zdarzyć. Nosila przy sobie różne rzeczy, a jedna z nich, paskudny mały sztylecik, tkwiła w cholewie buta. Dostała go od swojej sycylijskiej przybranej matki, prostolinijnej kobiety, z zaleceniem, aby wbiła napastnikowi w oko. Żydowski przybrany ojciec zaproponował bardziej subtelny sposób obrony:

- Mów im, że jesteś medykiem i wyglądaj na zatroskaną ich pojawieniem się. Zapytaj się, czy mieli już do czynienia z zarazą. To sprawi, że każdy mężczyzna opuści chorągiew.

Ona jednak wątpiła, czy którakolwiek z tych sztuczek da coś przeciwko temu człowiekowi w kolczudze. Zresztą, w związku ze swoją misją, nie chciała rozgłaszać wszem wobec, czym się naprawdę zajmuje.

Stała wyprostowana i próbowała zachować godność, póki on znajdował się w pewnej odległości od niej.

- Tak? - rzuciła ostro. Taki ton mógł robić wrażenie, kiedy w Salerno była Wezuwią Adelią Rachelą Ortese Aguilar, ale na tym samotnym wzgórzu niewiele znaczył w ustach biednie odzianej cudzoziemki, tak naprawdę znanej tylko z tego, że podróżowała wozem domokrażców wraz z dwoma mężczyznami.

- To właśnie lubię - stwierdził mężczyzna. - Kobieta, która mówi „tak”.

Ruszył przed siebie. Nie miała już żadnych wątpliwości co do jego zamiarów. Co gorsza, potknęła się i upadła.

Wtedy jednocześnie wydarzyły się dwie rzeczy.

Z kępy drzew dobiegło świszczące „wuum-wumm”, tak jakby coś wirującego przecinało powietrze. Między Adelią i rycerzem w trawę wbił się mały toporek.

Poprzez wzgórze ktoś krzyknął:

- Na Boga, Gerwazy, przywołaj swoje parszywe psy i chodź na dół. Ta stara dziewica już nie może się nas doczekać.

Adelią widziała, jak zmienia się spojrzenie rycerza. Pochyliła się ku niemu i z pewnym wysiłkiem wyszarpnęła topór z ziemi. Wstała z uśmiechem, trzymając narzędzie.

- To muszą być jakieś czary - powiedziała po angielsku. Drugi krzyżowiec wciąż nawoływał kompana, domagając się, aby odnalazł swoje psy i wracał na trakt.

Niezadowolony na twarzy niedoszłego napastnika zmieniło się w coś na kształt silnej niechęci, a potem, bezwiednie, w brak zainteresowania. Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę towarzysza.

Nie zyskałaś przyjaciela, powiedziała sobie Adelia. Boże, jak ja nie cierpię się bać. Do licha z nim, do licha. I do licha z tym przeklętym krajem. W ogóle tu nie chciałam przyjeżdżać. W złym humorze, drżąc, pomaszzerowała do cienia drzew.

- Mówiłam ci, żebyś został przy wozie - odezwała się po arabsku.

- W rzeczy samej - odparł Mansur.

Oddała mu topór. Nazywał go *Pawenah*, czyli „motylek”. Saracen wetknął broń za pas, tak aby pozostawała ukryta pod obszerną szatą, a na widoku zostawił tradycyjny sztylet w przepięknej pochwie. Arabowie rzadko używali toporków do miotania, jednak znały ją niektóre plemiona. Mansur zaś należał do tych, których przodkowie spotkali wikingów, kiedy ci zawędrowali do Arabii, i w zamian za egzotyczne dobra uzyskali od ludzi Północy nie tylko broń, ale także tajemnicę wykuwania znakomitej stali na jej ostrza.

Pani i sługa razem schodzili zadrzewionym stokiem wzgórza. Adelia potykała się, Mansur kroczył pewnie niczym po traktach.

- Która z tych kup koziego łajna to była? - zapragnął wiedzieć.

- Ten, którego wołają Gerwazy. Ten drugi ma chyba na imię Joscelin.

- Krzyżowcy - powiedział i splunął.

Adelia też nie miała najlepszego zdania o krzyżowcach. Salerno leżało na jednym ze szlaków do Ziemi Świętej. Większość uczestników krucjat, jadących na nie lub też właśnie z nich powracających, była wręcz nie do zniesienia. Ci wyruszający do Ziemi Świętej, równie ciemni, jak ochoczy do służby Bogu, zakłócali harmonię, w której w królestwie Sycylii żyli wyznawcy różnych religii i przedstawiciele różnych ras. Protestowali przeciwko obecności Żydów, Maurów, a nawet chrześcijan, tych praktykujących inne niż oni wyznania. Często ich atakowali. Z kolei powracający byli zazwyczaj zgorzkniali, schorowani i ubodzy - tylko niewielu zyskiwało fortunę albo łaskę bożą, której oczekiwali - i z tego powodu przysparzali takich samych problemów.

Znała też krzyżowców, którzy w ogóle nie wyprawiali się do Ziemi Świętej, tylko zostawali w Salerno, póki nie wydali wszystkiego, a potem wracali do domu, gdzie cieszyli się podziwem ziomków z wioski albo miasteczka, racząc ich opowieściami oraz pyszniąc się płaszczem krzyżowców, kupionym za niewielkie pieniądze na targu w Salerno.

- Nieźle go wystraszyłeś - powiedziała. - Dobry rzut.

- Nieprawda - odparł Arab. - Chybiłem. Adelia odwróciła się w jego stronę.

- Mansur, słuchaj. Nie jesteśmy tutaj, żeby mordować miejscowych. ...

Zatrzymała się. Dotarli do ścieżki, tuż przed nimi stał drugi z krzyżowców, ten nazywany Joscelinem, opiekun przeoryszy. Znalazł jednego z psów i pochylał się, aby przypiąć smycz do obroży, utyskiwał na towarzyszącego mu łowczego.

Kiedy podeszli, podniósł głowę, uśmiechnął się, ukłonił Mansurowi i życzył Adeli miłego dnia.

- Cieszę się, że widzę cię, pani, w towarzystwie. To nie jest miejsce, po którym piękne niewiasty winny chodzić same, podobnie zresztą jak wszyscy inni.

Nie wspomniał o zdarzeniu na szczycie wzgórza, jednak powiedział wszystko, co należało: przeprosił za swego kompana, nie wypowiadając bezpośrednich przeprosin, i jednocześnie ją skarcił. Tylko dlaczego nazwał ją piękną, skoro taka nie była? Czy mężczyźni zawsze muszą flirtować? Jeśli tak, pomyślała niechętnie, to prawdopodobnie ten odnosił większe sukcesy niż wielu innych.

Zdjął hełm i kolczy kaptur, pod którymi ukazały się gęste, ciemne włosy, skręcone w loki

od potu. Oczy, co zdumiewające, miał niebieskie. I zważywszy na jego pozycję, zachowywał się dwornie w stosunku do kobiety, która najwyraźniej nie miała żadnej.

Łowczy stał obok, nic nie mówił, przyglądał im się z wyraźną niechęcią.

Sir Joscelin zapytał o przeora. Ostrożnie dobierając słowa, Adelia powiedziała mu, wskazawszy na Mansura, że medyk uważa, iż kuracja pomogła pacjentowi.

Sir Joscelin skłonił się przed Mansurem. Adelia pomyślała, że na krucjacie nauczył się przynajmniej dobrych manier.

- Ach tak, arabska medycyna - stwierdził. - Zyskała sobie nasz szacunek, tych, którzy ruszyli do Ziemi Świętej.

- Czy ty, panie, i twój przyjaciel byliście tam razem? - intrygowało ją, że tych dwóch tak się od siebie różni.

- Byliśmy tam w różnym czasie - odparł. - To niezwykle, bo choć obaj pochodzimy z Cambridge, spotkaliśmy się dopiero, wracając. Outremer jest rozległy.

Sądząc po jakości jego butów i ciężkim, złotym pierścieniu na palcu, nieźle mu się tam powiodło.

Skinęła głową i ruszyła w swoją stronę. Dopiero gdy już odeszła razem z Mansurem, przypomniała sobie, że powinna dygnać. Potem jednak zapomniała o rycerzu, zapomniała nawet o osiłku, którego miał za towarzysza. Była medykiem i swoje myśli skupiła na chorym.

Kiedy przeor triumfalnie wrócił do obozowiska, okazało się, że kobieta już tam była i siedziała samotnie obok dogasającego ogniska, Saracen zaś pakował wóz i zaprzęgał muły.

Gotfryd bał się tej chwili. On, człowiek szanowany, niedawno leżał półnagi, ogarnięty strachem, przed niewiastą; jego spokój i cała godność gdzieś się ulotniły.

Tylko poczucie zaciągniętego długu, świadomość, że bez jej pomocy mógłby umrzeć, powstrzymały go od zignorowania kobiety albo wymknięcia się, zanim trafi się okazja, by spotkali się ponownie.

Uniosła wzrok, słysząc, że się zbliża.

- Oddałeś mocz, panie?

- Tak - odparł krótko.

- Bez bólu?

- Tak.

- Dobrze - stwierdziła. To było tak jak wtedy... Już sobie przypomniał. Jakaś bezdomna kobieta zaczęła rodzić u bram opactwa i brat Theo z izby chorych musiał asystować przy rozwiązaniu. Nazajutrz, kiedy wraz z bratem Theo odwiedził matkę i dziecko, zastanawiał się, kto powinien czuć się bardziej zawstydzony - niewiasta, która rodząc, obnażyła przed mężczyzną najintymniejsze części swojego ciała, czy też mnich, mający z nimi do czynienia.

Ani jedno, ani drugie. Żadne z nich nie czuło się zakłopotane. Spoglądali po sobie z podziwem.

I tak było teraz. Bystre brązowe oczy, które na niego patrzyły, nie miały płci, to były oczy towarzysza broni; ona stała się jego bratem żołnierzem, może tylko nieco młodszym. Razem walczyli z wrogiem i wygrali.

Poczuł do niej wdzięczność i za to, i za udzieloną pomoc. Szybko podszedł do kobiety i zbliżył jej dłoń do swych ust.

- *Puella mirabile* - powiedział. Gdyby Adelia chętnie okazywała uczucia, czego jednak nie robiła,

uściskałaby serdecznie owego mężczyznę. A więc poskutkowało. Od tak dawna już nie przyjmowała pacjentów, że zapomniała o tej bezcennej przyjemności spoglądania na istotę uwolnioną od cierpienia. Jednak musiała być ostrożna co do dalszych prognoz.

- Nie do końca takie *mirabile* - powiedziała mu. - To znowu może się zdarzyć.

- Do licha - odparł przeor. - Do licha z tym - opamiętał się. - Proszę o wybaczenie, pani.

Poklepała go po dłoni, usadowiła na pieńku, sama zaś spoczęła na trawie, na skrzyżowanych nogach.

- Mężczyźni mają pewien gruczoł, powiązany z organami płciowymi - zaczęła tłumaczyć.

- Otacza szyjkę pęcherza i początek prącia. W twoim wypadku, panie, sadzę, że on się powiększył. Wczoraj uciskał tak bardzo, że pęcherz nie mógł działać.

- Co mam z tym zrobić? - zapytał.

- Musicie się nauczyć, jak ulżyć pęcherzowi, gdyby znowu stało się to potrzebne, tak jak

ja to zrobiłam, aby słomka posłużyła jako *catheter*.

- *Catheter*? - Było to greckie słowo, oznaczające cewnik.

- Powiniście to poćwiczyć. Pokażę wam. Dobry Boże, pomyślał, ona to naprawdę zrobi. I nie będzie to dla niej znaczyło nic więcej niżli część leczenia. Spokojnie rozmawiam o takich rzeczach z niewiastą, a ona spokojnie rozmawia o tym ze mną.

Jadąc z Canterbury, ledwie ją zauważał, chyba że jako jednego z łachmaniarzy - choć teraz, gdy o niej pomyślał, przypomniał sobie, że w trakcie nocnych postojów w zajazdach przyłączała się do mniszek w kwaterach dla kobiet, nie zostawała na wozie razem ze swoimi towarzyszami. Ostatniej nocy, kiedy marszczyła brwi, przyglądając się jego wstydliwym częściom ciała, zachowywała się niczym skryba skupiony nad trudnym manuskrypcem. Tego ranka jej profesjonalizm wydobyl ich oboje ponad mętne wody różnic płci.

Jednak była niewiastą i nieboraczką, tak samo skromną jak jej słowa. Kobieta potrafiąca wmieszać się w tłum, zniknąć w nim, białogłową będącą gdzieś w tle, szarą myszką wśród innych myszek. Teraz, kiedy znalazła się w centrum jego uwagi, przeor Gotfryd poczuł się wręcz rozdrażniony ową skromnością. Nie istniał wszak żaden powód takiej nijakości. Rysy miała subtelne i regularne, a z tego, co z trudem zdołał dostrzec pod osłoną płaszcza, w który się opatulila, podobne było jej ciało. Cerę również miała ładną, brzoskwiniową, delikatną, nieco śniadą, taką, jaką czasem widywało się na północy Italii albo w Grecji. Zęby białe. Zapewne pod czepkiem o zrolowanym brzegu, nasuniętym na uszy, kryły się bujne włosy. Ile miała lat? Wciąż jeszcze trwała jej młodość.

Słońce oświetliło jej twarz, która od piękna wołała inteligencję, oblicze, gdzie bystrość umysłu odepchnęła kobiecość. Ani śladu upiększania. Ta kobieta była bardzo czysta, musiał przyznać, wręcz wyszorowana jak na tarce. Przeor, który zawsze chętnie potępiał malujące się niewiasty, u tej jednej brak upiększeń odczuwał niemalże jak afront. Poza tym mógł też przysiąc, że ona wciąż jest dziewicą.

Adelia, spoglądając na Gotfryda, widziała zaś człowieka, który jadał za dużo, tak jak wielu zwierzchników klasztorów - tyle że akurat w tym wypadku brak umiarkowania w jedzeniu i piciu nie stanowił kompensowania braku miłości cielesnej. Czuli się w towarzystwie owego zakonnika bezpiecznie. Kobiety były dla niego zwykłymi, normalnymi istotami, dostrzegła to od razu, albowiem u mężczyzn rzadko się zdarzało. Nie uważał ich ani za harpie, ani za kusicielki. Miał w sobie pożądanie, jednak ani nie folgował mu, ani też nie trzymał w ryzach biczowaniem. Miłe oczy mówiły, że to ktoś żyjący w zgodzie z samym z sobą, a puciołowatość, zbyt wielka puciołowatość, wskazywała na wrodzoną dobroć. Przeor był człowiekiem, który tolerował drobne grzeszki, włącznie ze swoimi. Oczywiście, uznawał Adelię za kogoś interesującego, jak każdy, kto ją spotkał.

Ale choć wydał jej się miły, zezłościła się na niego. Większą część nocy spędziła, opiekując się nim, więc mogłby teraz przynajmniej z uwagą wysłuchać jej rad.

- Słuchasz mnie w ogóle, panie?

- Och, wybac mi, pani. - Wyprostował się.

- Powiedziała, że mogę pokazać, jak używać cewnika. Cała czynność nie jest trudna, jeśli się wie, jak ją wykonać.

- Sądzę, pani - odparł - że winniśmy jednak poczekać, aż stanie się to konieczne.

- W porządku. - Będzie, jak chciał. - Tak swoją drogą, ważysz panie zbyt wiele.

Powinieneś więcej się ruszać i mniej jeść.

- Poluję co tydzień - odparł urażony.

- Na końskim grzbiecie. Lepiej pobiegnij, panie, za psami na własnych nogach.

Ona lubi dominować, pomyślał przeor Gotfryd. I ona pochodzi z Sycylii? Jego doświadczenie z Sycylijkami - krótkie, lecz niezapomniane

- przypomniało mu powaby Arabii. Ciemne oczy uśmiechające się do niego z za welonu, dotyk pomalowanych henną palców. Słowa tak miękkie jak skóra, woń...

Na kości Boga, pomyślała nagle Adelia, dlaczego oni tak wielką wagę przykładają do głupich ozdóbek?

- Po prostu mi się nie chce - rzuciła.

- Ee? Westchnęła niecierpliwie.

- Widzę, iż żalujesz, że jako niewiasta nie jestem przyozdobiona, a jako medyk jestem szorstka w słowach. Zawsze tak się dzieje. - Spojrzała prosto na niego. - Powiem ci prawdę i o jednym, i o drugim, przeorze. Jeśli szukasz przystrojonej niewiasty, idź sobie gdzie indziej.

Podnieś też jakikolwiek kamień - wskazała leżący nieopodal kawał krzemienia - a znajdziesz tam szarlatana, który omami cię dogodną koniunkcją Merkurego i Wenus, przepowie jasną przyszłość, za sztukę złota sprzeda zabarwioną wodę. Mnie się tego nie chce. Ode mnie dostaniesz tylko czystą prawdę.

Aż się odsunął. To była poufałość, wręcz arogancja uzdolnionego rzemieślnika. Zachowała się, jakby była tu kimś wezwanym do naprawy zepsutej rury.

Tyle że, przypomniał sobie, ona właśnie naprawiła jego własną rurę. Ale przecież nawet spraw czysto praktycznych nie trzeba załatwiać aż tak, bez ogródek.

- Zawsze jesteś taka szczerą w stosunku do swoich pacjentów? - spytał.

- Zazwyczaj nie mam pacjentów - odparła.

- Nie jestem zaskoczony. Roześmiała się.

Uroczą, pomyślał oczarowany przeor. Przypomniał sobie słowa Horacego, *Dulce ridentem Lalagen amabo*. Pokocham Lalagę, która tak słodko się śmieje. Śmiech tej młodej kobiety przydawał jej delikatności i niewinności, tak różnych od surowej pozy specjalisty, którą wcześniej przybrała. Nagły przypływ uczuć, jaki go ogarnął, nie był cielesnym pragnieniem, aby osiąść Lalagę, lecz ojcowskim, czystym afektem do córki. Muszę ją chronić, pomyślał.

Coś mu podała.

- Skąd masz papier? - zapytał.

- Robią go Arabowie.

Zerknął na spisana na arkuszu listę, kobieta bazgrała straszliwie, jednak zdołał ją rozczytać.

- Woda? Gotowana woda? Osiem kubków dziennie? Moja panno, chcesz mnie zabić? Poeta Horacy uczy nas, że niczego dobrego nie można spodziewać się po tych, którzy piją wodę.

- Zajrzyj więc do Marcjalisa - odparła. - On żył dłużej. *Non est vi-vere, sed valere vita est*. Życie to nie samo bycie żywym, ale też dobre samopoczucie.

Pokręcił głową, zdziwiony.

- Błagam, zdradź mi swoje imię - spytał uniżenie.

- Wezuwia Adelia Rachela Ortese Aguilar - powiedziała - albo *medica* Trotula, jeśli wolisz, który to tytuł przypisany jest niewiastom, profesorom szkoły.

Wcale nie wolał.

- Wezuwia? Ładne imię, brzmi niezwykle.

- Adelia - poprawiła. - Chodzi o to, że znaleziono mnie na stokach Wezuwiusza.

Wyciągnęła dłoń, jakby chciała uchwycić jego rękę. Wstrzymał oddech.

Zamiast dłoni, złapała jednak przegub, kciuk położyła na górze, resztę palców na miękkiej dolnej części. Paznokcie miała krótkie i czyste, podobnie jak resztę ciała.

- Gdy byłam niemowlęciem, zostawiono mnie na zboczu, w koszyku.

Mówiła z nieobecny wzrokiem, dostrzegł, że tak naprawdę go nie informuje, tylko sprawia, aby siedział cicho, gdy sprawdza mu tętno.

- Medycy, którzy odnaleźli mnie i wychowali, sądzili, że mogę być Greczynką, porzucenie to grecki sposób na niechcianą córkę.

Puściła jego nadgarstek, pokręciła głową.

- Za szybki - stwierdziła. - Naprawdę powinniście schudnąć, panie.

Koniecznie trzeba go zachować w zdrowiu, pomyślała. Jego brak byłby niepowetowaną stratą.

W głowie przeora aż wirowało od tych następujących po sobie niezwykłości. I choć może Pan sprawia, że ostatni stają się pierwszymi, nie było potrzeby, aby ona objawiała wszem wobec swoje niezbyt chwalebne pochodzenie. Dobry Boże, z dala od swego ludu stawała się wrażliwa niczym ślimak pozbawiony skorupy.

- Wychowywało cię dwóch mężczyzn? - zapytał. Poczuli się urażona, tak jakby sugerował, że w jej wychowaniu było

coś nienormalnego

- To było małżeństwo - odparła, marszcząc brwi. - Moja przybrana matka jest również Trotulą. Chrześcijką z Salerno.

- A twój przybrany ojciec?

- Żydem. I znowu. Czy ci ludzie zawsze podchodzili do tego tak beztrzesko?

- A zatem wychowano cię, pani, w jego wierze?

Miało to dla niego znaczenie. Ona była płomieniem, jego płomieniem, jego najjaśniejszym płomieniem, który należało chronić przed zgaśnięciem.

- Nie wierzę w nic poza tym, co można udowodnić - odparła. Poczul się zaszokowany.

- Nie wierzysz, pani, w stworzenie? W Boży plan? Mój Boże, mój Boże, nie ciskaj w nią gromu. Potrzebuję jej. Ona nie wie, co mówi.

Wstała. Eunuch przygotował już wóz do zjechania w stronę traktu. Szymon szedł w ich stronę.

- Pani Adelio - powiedział przeor - jestem twoim dłużnikiem i na swojej szalce wagi położę stosowne odważniki. Należy ci się nagroda i z bożą łaską otrzymasz ją ode mnie - mówił tak, bowiem nawet zaprzańcom należy płacić. A tego tu zaprzańca żałował całym sercem.

Kobieta odwróciła się, przyjrzała mu uważnie. Zobaczyła miłe oczy, jasny umysł, dobroć. Lubiała go. Ale jej profesja sprawiała, że przede wszystkim najważniejsze dla niej byłyby jego zwłoki - choć jeszcze nie teraz, lecz przecież w końcu, pewnego dnia... Ten gruczoł, który zatykał pęcherz. Zważyć go, porównać...

Szymon ruszył biegiem. Już widywał u niej takie spojrzenie. Nią nie kierowało nic poza medycyną; jeszcze chwila i poprosi przeora o pozwolenie na zbadanie jego ciała po śmierci.

- Panie, panie - wydyszał. - Panie, jeśli pragniesz wyświadczyć nam uprzejmość, wpłyn na przeoryszę, żeby pozwoliła medycze Trotuli obejrzeć szczątki świętego Piotrusia. To może rzucić nowe światło na sposób jego odejścia z tego świata.

- Naprawdę? - Przeor Gotfryd spojrział na Wezuwiał Adelię Rachelę Ortese. - A jak tego, pani, dokonasz?

- Jestem medykiem od umarłych - odpowiedziała.

#### **Rozdział 4**

Kiedy zbliżali się do wielkiej bramy opactwa Barnwell, w oddali widzieli zamek Cambridge, stojący na jedynym wzniesieniu w promieniu wielu mil. Jego kontury były poszarpane i nierówne za sprawą zrujnowanej wieży, która spłonęła rok temu. Teraz otaczały ją rusztowania. Warownia wydawała się maleńka w porównaniu ze znanymi Adelii wielkimi cytadelami wiszącymi na zboczach Apeninów, miała w sobie jednak majestatyczny urok.

- Zbudowana na rzymskich fundamentach - oznajmił przeor Gotfryd - aby strzec przeprawy przez rzekę, lecz tak jak wiele innych nie zdołała powstrzymać ani wikingów, ani Dunów, ani też księcia Normandii, Wilhelma. Zawsze po tym, jak zostawała zburzona, znowu ją odbudowywano.

Kawalkada była teraz mniejsza. Przeorysza pospieszyła naprzód, zabierając ze sobą swoją mniszkę, rycerza oraz krewniaka, Rogera z Acton. Mieszczanie skręcili ku Cherry Hinton.

Przeor Gotfryd, znowu na koniu i znowu zajmujący godne miejsce na czele procesji, musiał się schylać, aby rozmawiać ze swoimi wybawicielami, siedzącymi na koźle wozu zaprzęzonego w muły. Jego rycerz, sir Gerwazy, trzymał się z tyłu, spoglądając na to niechętnie.

- Cambridge was zaskoczy - opowiadał duchowny. - Mamy znakomitą Szkołę Pitagorejską, do której studenci przybywają ze wszystkich stron świata. Choć miasto znajduje się w głębi łądu, jest portem i to ruchliwym, niemal jak Dover, choć na szczęście mniej tu francuszczyzny. Wody Cam nie są zbyt wartkie, ale za to żeglowne aż do ujścia do rzeki Ouse, która wiedzie do Morza Północnego. Mogę chyba rzec, iż niewiele jest krain na Wschodzie, z których do naszych przystani nie przybywałyby dobra. Z nich zaś na grzbietach mułów rozwożone są do wszystkich zakątków Anglii po rzymskiej drodze, która wiedzie przez miasto.

- A co wy zawozicie do nich, panie? - zapytał Szymon.

- Wełnę. Znakomitą wełnę ze wschodniej Anglii. - Przeor Gotfryd uśmiechnął się z satysfakcją, wskazującą na to, że jest dostojnikiem, którego pastwiska dostarczają sporo owej wełny. - Poza tym wędzone ryby, węgorze, małże. Och tak, mistrzu Szymonie, dostrzeżesz, że Cambridge prosperuje dzięki handlowi, i ośmielę się rzec, wyrosło na miasto prawdziwie światowe.

Zaraz, czy na pewno ośmielił się tak rzec? Ścisnęło mu się serce, kiedy przyjrzał się tej trójce na wozie. Czy nawet w mieście przyzwyczajonym do wąsatych Skandynawów, przybyszów z Niderlandów w drewniakach, kosookich Rusinów, templariuszy i szpitalników



z Ziemi Świętej, Madziarów w zawiniętych czapkach, zaklinaczy węży, czyż tam owa trójka dziwaków nie zwróci na siebie uwagi? Przyjrzał się im, potem pochylił jeszcze niżej i szepnął:

- Jak zamierzacie się przedstawiać?

- Skoro naszemu pocziwemu Mansurowi przypisano już twoje wyleczenie, panie - niewinnie odparł Szymon - to myślę, że będziemy dalej korzystać z tego przebrania, przedstawiając go jako medyka, zaś panią Trotulę i mnie jako jego pomocników. Może zatrzymamy się na placu targowym? To ośrodek, z którego prowadzić możemy dalsze śledztwo...

- W tym przekętym wozie? - Skromność mistrza Szymona była wręcz porażająca. - Chcesz, panie, aby panią Adelię opluwały przekupki? Znieważali włóczędzy? - Przeor się uspokoił. - Rozumiem potrzebę ukrycia jej profesji, niewiasty zajmujące się leczeniem są nieznanne w Anglii. W rzeczy samej, mogłaby zostać uznana za dziwadło. - I to nawet większe niż naprawdę jest, pomyślał. - Nie poniżajmy jej, traktując jak jakąś posługaczkę. To porządne miasto, mistrzu Szymonie, możemy dać jej coś więcej.

- Panie... - Szymon dotknął dłonią czoła w geście wdzięczności. W duchu zaś dodał: No tak, tak właśnie sądziłem, że możecie.

- Nie byłoby też dla żadnego z was rozsądnie wyjawiać swoją wiarę albo jej brak - ciągnął przeor. - Cambridge jest jak napięta kusza, każde odstępstwo od zwyczajności może sprawić, że znowu wystrzeli.

Zwłaszcza, pomyślał, trzy takie odstępstwa od zwyczajności, mające rozdrapywać rany tego miasta.

Urwał. Podjechał do nich poborca podatków i wstrzymał konia, aby szedł w równej linii z mułami. Z szacunkiem uklonił się przeorowi, skłonił się też lekko Szymonowi i Mansurowi, potem zwrócił do Adelii:

- Pani, razem wędrujemy, a jeszcze nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jestem sir Roland Picot, do twych usług. Pozwolę sobie pogratulować uleczenia przeora.

Szymon prędko pochylił się w stronę jeźdźca.

- Gratulacje należą się temu szlachetnemu mężowi, sir. - Wskazał na powożącego Mansura. - To nasz medyk.

Poborca podatków okazał zaciekawienie.

- Naprawdę? Powiedziano mi, że stamtąd, gdzie odbywał się zabieg, dobiegał niewieści głos.

Naprawdę? A kto to powiedział, zastanowił się Szymon. Szturchnął Mansura.

- Odezwij się - polecił mu po arabsku. Mansur go zignorował. Ukradkiem Szymon kopnął go w kostkę.

- Odezwij się do niego, kłocu.

- A co to tłuste łajno chce, żebym powiedział?

- Medyk jest rad, że mógł służyć wielmożnemu przeorowi - oznajmił Szymon poborcy podatków. - Mówi, że ma nadzieję równie dobrze przysłużyć się wszystkim w Cambridge, którzy zechcą zasięgnąć u niego porady.

- Czyżby? - spytał sir Rowley Picot, nie przyznawszy się, iż zna arabski. - Mówi zdumiewająco wysokim głosem.

- W rzeczy samej, sir Rolandzie - odparł Szymon. - Jego głos można pomylić z niewieścim - przybrał konfidencjonalny ton. - Powinienem wyjaśnić, że wielmożny Mansur, będąc jeszcze dzieckiem, został przygarnięty przez mnichów, a jego śpiew okazał się tak piękny, że oni... ee, zadbali o to, aby taki pozostał.

- Na Boga, to *castrato* - stwierdził sir Roland, patrząc uważnie.

- I oczywiście, teraz poświęcił się medycynie - dodał Szymon. - Ale kiedy śpiewem chwali Pana, aniołowie płaczą z zachwyty.

Mansur dosłyszał słowo *castrato* i zaczął kłąć tak, iż aniołowie rzeczywiście zapłakali, głównie z powodu obelg rzucanych na chrześcijan, a także oskarżeń o chore związki między wielbładami i matkami bizantyjskich mnichów, zwłaszcza tych, którzy go okaleczyli. Głos mówiący po arabsku brzmiał sopranem, który mógł iść w zawody ze śpiewem ptaków, roztapiał się w powietrzu niczym słodkie sople.

- Słyszysz, sir Rowleyu? - zapytał Szymon. - To bez wątpienia ten głos, który tam słyszano.

- Z pewnością - stwierdził sir Roland. - Z pewnością - powtórzył, uśmiechając się przepraszająco.

Próbował wciągnąć do rozmowy Adelię, ale odpowiadała mu krótko i sucho. Miała już dość klejących się do niej Anglików. Skupiała się na podziwianiu krajobrazu. Wychowana wśród wzgórz, oczekiwała raczej, że nie spodoba jej się równina, i nie spodziewała się tak rozległego nieba ani znaczenia, jakiego przydawało ono samotnemu drzewu, pojawiającym się z rzadka kominom czy pojedynczej kościelnej wieży, sterczącym na jego tle. Mnogość zieleni sugerowała, że mogą się tam kryć nieznane zioła, zaorane pasiaste pola tworzyły zaś szachownicę szmaragdu i czerni.

I te wierzby. Było ich pełno, rosły wzdłuż strumieni, rowów oraz wałów. Wierzba krucha, aby wzmocnić brzegi, wierzba biała, wierzba szara. Wierzba iwa, wierzba na kije, wierzba na łożę, wierzba laurowa, wierzba trójpręcikowa, drzewa piękne, kiedy promienie słońca przenikają przez gałązki, a jeszcze piękniejsze, bo wywar z wierzbowej kory uśmierza ból...

Mansur wstrzymał muły, szarpnęło nią do przodu. Cała procesja przystanęła nagle na znak dany przez przeora uniesieniem ręki i zaczęła się modlić. Mężczyźni zdjęli czapki, trzymali je przy piersi.

Przez bramy miasta wjeżdżał niski wóz ochlapany błotem. Leżała na nim brudna płócienna płachta, przykrywająca trzy niewielkie zawiniątka. Woźnica prowadził konie ze spuszczoną głową. Podążała za nim kobieta, płakała głośno i rwała szaty.

Zaginione dzieci zostały odnalezione.

Kościół pod wezwaniem Świętego Andrzeja Mniejszego na gruntach klasztoru Świętego Augustyna w Barnwell miał ponad sześćdziesiąt jardów długości, ku bożej chwale ozdobiono go rzeźbami i malowidłami. Dziś jednak blask wiosennego słońca przefiltrowany przez wysokie okna jakby omijał masywny strop, kamienne twarze leżących wzdłuż ścian podobizn przeorów, figurę świętego Augustyna, zdobną ambonę, połyskujące ołtarz i tryptyk.

Jego strumienie padały natomiast na trzy małe katafalki w nawie głównej, z których każdy przykryty był fioletowym sukmem, a także na głowy klęczących wokół kobiet i mężczyzn w skromnych ubraniach.

Szczałki dzieci, wszystkich trojga, odnaleziono rankiem na ścieżce dla owiec, nieopodal Fleam Dyke. Pasterz, który potknął się o nie o świcie, wciąż jeszcze się trząsł.

- Ich tam w nocy nie było, przysięgam, przeorze. Nie mogło być, prawda? Lisy się do nich przecież nie dobrały. Leżały schludnie w równym rządku, jedno obok drugiego, tak było, niech Bóg świeci nad ich duszami. Jeżeli można tak o nich powiedzieć, leżały schludnie - przerwał i zaczął wymiotować.

Na każdym z ciał leżał przedmiot podobny do tego, który pozostawiono w miejscu, gdzie dzieci zniknęły. Spleciony z sitowia, przypominał gwiazdę Dawida.

Przeor Gotfryd nakazał, aby te trzy zawiniątka zanieśiono do kościoła, nie uległ również prośbom jednej z matek, w rozpaczliwej błagającej, aby je rozwinąć. Posłał człowieka do zamku z ostrzeżeniem dla szeryfa, że mogą nastąpić kolejne rozruchy, i żądaniem, aby przysłał swojego urzędnika, który jako koroner dokonałby oględzin ciał oraz nakazał wszczęcie publicznego śledztwa. Na zewnątrz duchowny okazywał spokój - w jego wnętrzu buchał żar.

Teraz pewnym głosem uspokajał jedną z matek, jej głośny płacz z wolna przechodził w ciche łkanie. Czytał zapewnienie o zwycięstwie nad śmiercią: „Oto ogłaszam wam tajemnicę: nie wszyscy pomrzemy, lecz wszyscy będziemy odmienieni. W jednym momencie, w mgnieniu oka, na dźwięk ostatniej trąby...” Zapach konwalii dochodzący z zewnątrz przez otwarte drzwi i mocna woń kadzideł wewnątrz prawie całkiem stłumiły odór śmierci.

Czysty śpiew kanoników niemal zagłuszył brzęczenie much dobiegające spod fioletowych okryć.

Słowa świętego Pawła trochę złagodziły smutek przeora, wyobraził sobie dusze niewiniątek, baraszkujące teraz na pastwiskach niebieskich. Nie stłumiły jednak jego gniewu, iż posłano je tam przedwcześnie. Dwojga z tych dzieci nie znał, jednak trzecim był Harold, syn sprzedawcy węgorki, uczący się w szkółce klasztornej u Świętego Augustyna. Bystry sześciolatek raz w tygodniu zjawiał się, by poznać abecadło. Rozpoznano go po rudych włosach. Był to również prawdziwy mały Sakson, w każdym calu - ostatniej jesieni podwędził jabłka z przyklasztornego sadu.

A ja złożyłem mu wtedy tyłek, pomyślał Gotfryd.

Adelia, skryta w cieniu kolumny z tyłu, patrzyła, jak na twarze wokół katafalków spływa swoista ulga. Bliskość między przeorem a mieszczanami stanowiła dla niej coś niezwykłego. W Salerno mnisi, nawet ci, którzy ruszali w świat czynić swoją posługę, utrzymywali dystans między sobą a świeckimi.

- Ale my nie jesteśmy zwykłymi zakonnikami - tłumaczył jej przeor Gotfryd - jesteśmy kanonikami. Mniej czasu poświęcamy modlitwie i chóralnym śpiewom, a więcej nauczaniu, pomocy ubogim i chorym, wysłuchiowaniu spowiedzi i pracy w parafii. - Próbował się uśmiechnąć. - Spodoba ci się, moja droga medyczko. Umiar we wszystkim.

Teraz patrzyła na niego, jak opuszcza chór po błogosławieństwie kończącym mszę i wraz z rodzicami wychodzi na światło dnia, jak obiecuje, że osobiście odprawi nabożeństwo pogrzebowe.

- I odkryję tego diabła, który to zrobił.

- Przeorze, my wiemy, kto to zrobił - odezwał się jeden z ojców. Pozostali mu przytaknęli, zabrzmiało to jak powarkiwanie psów.

- To nie mogą być Żydzi, mój synu. Nadal są zamknięci w zamku.

- Jakoś stamtąd wychodzą.

Ciała, wciąż przykryte fioletowym suknem, z czcią wyniesiono na suchą trawę obok bocznego wejścia, towarzyszył im przedstawiciel szeryfa w czapce koronera.

Kościół opustoszał. Szymon i Mansur rozsądnie uznali, że lepiej będzie, jeśli tu nie przyjdą. Żyd i Saracen w świętych murach? I to w takiej chwili?

Adelia, z przybornikiem z kozłej skóry leżącym u stóp, czekała w cieniu zakątka nieopodal grobowca Paulusa, przeora kanonii Świętego Augustyna w Barnwell, który odszedł do Boga w roku Pańskim 1151. Była podenerwowana tym, co miało się stać.

Nigdy jeszcze nie opuściła żadnych oględzin zwłok. Nie zamierzała też opuścić i tych. Właśnie po to się tutaj znalazła.

- Wysyłam cię na tę misję wraz z Szymonem z Neapolu nie dlatego, że jesteś medykiem od umarłych i mówisz po angielsku, ale dlatego, że jesteś najlepsza.

- Wiem - odparła. - Ale ja nie chcę na nią ruszać. Musiała. To był rozkaz króla Sycylii. W chłodnej kamiennej sali Szkoły Medyków w Salerno, tam gdzie dokonywano sekcji, miała zawsze przy sobie niezbędne instrumenty, a także Mansura do pomocy. Mogła polegać też na swoim przybranym ojcu, przełożonym wydziału, wiedziała, że to on przekaże wyniki badań władzom. Bo chociaż Adelia potrafiła odczytywać z ciał zmarłych więcej niż ojczym, więcej niż ktokolwiek inny, stwarzano fikcję, iż raporty z badań przesyłane przez Signorę są efektem prac medyka Gerszoma bin Aguilara. Nawet w Salerno, gdzie pozwalano praktykować kobietom medykom, sekcja zwłok, wyjaśniająca, w jaki sposób umarli odeszli - i bardzo często, za czyją sprawą - spotykała się z protestami Kościoła.

Na razie nauka zwyciężała w starciu z religią; inni medycy wiedzieli o pracy Adelii, dla świeckich władz stanowiła tajemnicę poliszynela. Jednak wystarczyłaby jedna oficjalna skarga do papieża, a dziewczyna zostałaby wygnana z kostnicy i całkiem możliwe, również ze Szkoły Medyków. Zatem, choć czując obrzydzenie do tej hipokryzji, Gerszom firmował nie swoje osiągnięcia.

Co zresztą bardzo odpowiadało Adelii. Podobało jej się to, że stoi sobie w cieniu. Po pierwsze, unikała czujnego wzroku Kościoła, po drugie, nie wiedziała, jak rozmawiać o zwykłych niewieściach sprawach, na których się nie znała, takich zaś rozmów po niej się spodziewano. Złe jej wychodziły, bo takie tematy ją nudziły. Niczym jeż ukryty w jesiennych liściach stroszyła się na wszystkich, którzy próbowali wydobywać ją na światło dnia.

Co innego, gdy przychodził do niej ktoś chory. Zanim poświęciła się oględzinom zmarłych, cierpiący widywali tę stronę natury Adelii, którą niewielu dostrzegało, i zapamiętywali medyczkę jako anioła bez skrzydeł. Pacjenci mężczyźni, gdy odzyskiwali zdrowie, zakochiwali się w niej, a przeor zdziwiłby się, gdyby usłyszał, że otrzymała więcej propozycji małżeństwa niż sporo bogatych piękności z Salerno. Wszystkie oferty jednak odrzuciła. W kostnicy szkoły mawiano, że Adelia zwraca na kogoś uwagę dopiero po jego śmierci.

Na marmurowy stół szkoły przywożono zwłoki ludzi w każdym wieku z całej południowej Italii, a także z Sycylii. Przysyłali je Signora i *praetori*, którzy mieli powody, aby dowiedzieć się, jak i dlaczego zmarli ci ludzie. Zazwyczaj Adelii udawało się uzyskać dla nich te informacje. Badanie trupów było jej pracą, tak zwyczajną jak dla szewca robienie butów.

Podobnie, na chłodno, starała się podchodzić do zwłok dzieci, z mocnym postanowieniem, że prawda o ich śmierci nie powinna zostać pochowana wraz z nimi. Jednak widok małych ciał sprawiał jej przykrość. Zawsze wzbudzały wielką żalność, ofiary morderstw zaś po prostu wstrząsały. A czekające na nią teraz zwłoki prawdopodobnie wyglądały tak straszliwie jak jeszcze żadne inne wcześniej. W dodatku będzie musiała przyjrzeć im się potajemnie, bez instrumentów, którymi dysponowała szkoła, bez Mansura do pomocy i przede wszystkim bez wsparcia przybranego ojca: „Adelio, nie wolno ci zdrzeć. Musisz zmierzyć się z brakiem człowieczeństwa”.

On nigdy nie mówił jej, że musi zmierzyć się ze złem; w każdym razie nie Złem pisany wielką literą, ponieważ Gerszom bin Aguilar wierzył, że człowiek sam czyni zło i dobro, zaś ani szatan, ani Bóg nie mają z tym nic wspólnego. Taką doktrynę mógł głosić tylko w Szkole Medyków w Salerno i to też niezbyt głośno.

Fakt, iż pozwolono jej na przeprowadzenie owego szczególnego śledztwa w zapadłym angielskim mieście, gdzie za coś takiego mogli ją przecież ukamienować, sam w sobie stanowił cud, o którego urzeczywistnienie Szymon z Neapolu musiał stoczyć zacięty bój. Przeor nie chciał się zgodzić, zdjęty niesmakiem na myśl, że jakaś kobieta jest gotowa do podobnego zajęcia. Obawiał się też, co nastąpi, jeśli się rozniesie, że cudzoziemka oglądała i badała biedne szczątki.

- Cambridge uzna to za profanację. Sam nie wiem, czy rzeczywiście nią nie będzie.

- Panie - odparł Szymon - pozwól nam się dowiedzieć, jak umarli te dzieci, bo pewne jest, że ci zamknięci Żydzi nie mogli do tego przyłożyć ręki. Jesteśmy ludźmi nowoczesnymi, wiemy, że z ludzkich ramion nie wyrastają skrzydła. A morderca chodzi sobie wolno. Pozwól tym nieszczęsnym, małym ciałkom, aby powiedziały nam, kim on jest. Zmarli przemawiają do medyk Trotuli. To jej fach. I te dzieci do niej przemówią.

Przeor Gotfryd uważał, że rozmowa ze zmarłymi jest równie mało prawdopodobna jak skrzydlaci ludzie.

- To wbrew nauczaniu świętej Matki Kościoła, zabraniającemu naruszania świętości ciała.

Ustał w końcu, kiedy Szymon obiecał, że to nie będzie sekcja, tylko oględziny.

Szymon podejrzewał, że przeor uległ nie dlatego, że uwierzył, iż zmarli zdołają przemówić, ale raczej z obawy, iż jeśli odmówi, Adelia wróci tam, skąd przybyła, i z następnym atakiem pęcherza będzie musiał zmierzyć się samotnie.

Zatem tutaj, w kraju, do którego początkowo wcale nie chciała wędrować, medycza musiała zmierzyć się z najgorszym przejawem braku człowieczeństwa.

- Ale, Wezuwio Adelio Rachelo Ortese Aguilar, takie jest twoje zadanie - powiedziała sobie. Kiedy czuła się niepewnie, lubiła przypominać sobie imiona, którymi tak szczerze ją obdarzyła, wraz z wykształceniem i niezwykłymi poglądami, pewna para, która zabrała ją z otoczonej lawą kołyski na Wezuwiuszu i wzięła do swojego domu. - Tylko ty potrafisz to zrobić, więc zrób to.

W ręce trzymała jeden z trzech przedmiotów, znalezionych na ciałach dzieci. Drugi z nich oddano szeryfowi, trzeci rozdarł oszalały z gniewu ojciec. Ten zaś ocalał przeor i cichaczem jej przekazał.

Ostrożnie, tak by nie przykuwać niczyjej uwagi, uniosła symbol, żeby oświetlił go wpadający do świątyni snop światła. Upleciony był z sitowia, pięknie i bardzo misternie, na kształt kwinkunksa, specjalnej figury geometrycznej. Jeśli miała to być gwiazda Dawida, zapomniano o jednym z wierchołków. Czy to jakaś wiadomość? Próba zrzucenia winy na Żydów przez kogoś słabo obeznanego z judaizmem? Podpis?

W Salerno, pomyślała, dałoby się ustalić, kto miał umiejętności, aby coś takiego zrobić, jednak tu, w Cambridge, gdzie sitowie rosło wszędzie, przy rzekach i strumieniach, jego pleceniem zajmowali się po domach wszyscy. Ona sama, idąc drogą do tego wielkiego klasztoru, widziała kobiety siedzące przed drzwiami, zajęte robieniem mat, koszy, samych w sobie stanowiących dzieła sztuki - a także mężczyzn, szykujących ozdobne strzechy.

Nie, pod tym względem owa gwiazda niczego nie mogła Adeli powieścić.

Powrócił roztrajkotany przeor Gotfryd.

- Koroner obejrzał ciała i zarządził publiczne śledztwo...

- A co on miał do powiedzenia?

- Ogłosił ich zmarłymi. - Na widok zdumionej miny kobiety dodał jeszcze: - Tak, tak, wiem, ale taką ma powinność. Koronerów nie wybiera się ze względu na ich umiejętności

lekarskie. Teraz umieściłem szczątki w pustelni świętej Werberty. To spokojne i chłodne miejsce, nieco zbyt ciemne jak na twoje potrzeby, pani, ale mogę przynieść lampy. Oczywiście, będzie tam trzymana straż, ale zostanie odwołana na czas twoich badań. Oficjalnie będziesz tam, by przygotować ciała do pochówku.

Znowu zdumiona mina.

- Tak, tak, będą się temu dziwić, ale ja jestem tutaj przeorem i pierwszą osobą po Bogu Wszechmogącym.

Zaprowadził ją do bocznych drzwi i pokazał, którądy ma iść. Jakiś nowicjusz pielący klasztorny ogródek spojrzął na nich z zaciekawieniem, ale pstryknięcie palców przełożonego nakłoniło go, by wrócił do pracy.

- Poszedłbym z tobą, pani, ale muszę jeszcze iść do zamku i porozmawiać o całej sytuacji z szeryfem. Tak między nami, to musimy zapobiec kolejnym zamieszkom.

Przeor, patrząc na drobną, ubraną w brunatne szaty postać, dźwigającą torbę z kozłej skóry, modlił się, aby w tym wypadku osądy jego i Boga Wszechmogącego były zgodne.

Odwrócił się, chcąc zmówić modlitwę przy ołtarzu, jednak ujrzał, jak od jednej z kolumn nawy oddziela się jakiś cień, co go przestraszyło, a potem rozeźliło. Właściciel cienia trzymał w dłoni zwój cienkiego pergaminu.

- Co tutaj robisz, sir Rolandzie?

- Miałem poprosić o pozwolenie na oględziny ciał, panie - odparł poborca podatków - ale zdaje się, że ktoś mnie uprzedził.

- To zajęcie koronera i on już zrobił, co do niego należało. Za dzień, dwa dni zacnie się oficjalne dochodzenie.

Sir Roland wskazał głową boczne wejście.

- Jednak słyszałem, panie, jak instruowałaś tę niewiastę, aby teraz ona je obejrzała. Masz nadzieję, że powie ci więcej?

Przeor Gotfryd rozejrzał się wokół, szukając pomocy, lecz nigdzie jej nie znalazł.

Poborca podatków dopytywał się z wyraźnym i szczerym zainteresowaniem.

- Jak ona może tego dokonać? Za sprawą czarów? Przywołań? Czy ona jest nekromantą? Wiedźmą?

To już posuwało się za daleko. Przeor odrzekł spokojnie:

- Mój synu, te dzieci są dla mnie świętością, a tu jest kościół. Teraz możesz odejść.

- Panie, proszę o wybaczenie. - Poborca nie wyglądał na zbitego z tropu. - Ale ja również przykładam wagę do tej sprawy i otrzymałem królewski nakaz, na mocy którego mam się tym zająć. - Pomachał zwojem tak, by zakółsały się zwisająca z niego monarsza pieczęć. - Kim jest ta kobieta?

Królewski nakaz był ważniejszy od autorytetu przeora kanonii, nawet pierwszego po Bogu.

- Jest medykiem, specjalizuje się w naukach o chorobach i rozkładzie - oznajmił ponuro.

- No, oczywiście, Salerno. Powinienem się domyślić. - Poborca podatków gwizdnął z zadowoleniem. - Niewiasta medyk z jedyne miejsca w chrześcijańskim świecie, gdzie ktoś taki nie stanowi sprzeczności sam w sobie.

- Znasz je?

- Zatrzymałem się tam kiedyś.

- Sir Rolandzie! - Przeor uniósł dłonie w geście przestrogi. - Dla bezpieczeństwa tej młodej damy, w imię spokoju tutejszej społeczności i tego miasta, to, co powiedziałem, nie może wyjść poza te mury.

- *Vir sapit qui pauca loquitur*, panie. To pierwsza rzecz, której uczą poborców podatków.

On jest nie tyle mądry, ile sprytny, uznał przeor, ale przypuszczalnie zdolny dochować tajemnicy. W jakim celu przybył? Nagle coś przyszło mu do głowy, wyciągnął rękę.

- Pokaż, panie, ten nakaz. - Przyjrzał się uważnie pismu, potem je oddał. - To tylko zwykły glejt dla poborcy podatków. Czyżby król zbierał teraz daniny i od umarłych?

- Nic podobnego, panie. - Sir Roland zdawał się urażony takim pomysłem. - I nie większe niż do tej pory. Ale jeśli ta niewiasta jest tu, aby prowadzić nieoficjalne śledztwo, jego rezultat może sprawić, iż zarówno miasto, jak i klasztor zostaną obłożone karną daniną. Nie powiem, że na pewno będą, ale mogą tu mieć zastosowanie grzywny, konfiskata dóbr *et caetera*. - Pulchne policzki poruszyły się w ujmującym uśmiechu. - Chyba że, oczywiście, będę mógł sam zobaczyć, iż wszystko jest w porządku.

Przeor poczuł się pokonany. Jak dotąd Henryk II powstrzymywał swoje chciwe dłonie, było jednak pewne, że przy okazji najbliższego sprawowania sądów Cambridge zostanie ukarane grzywną, i to dużą, za śmierć jednego z najbardziej dochodowych monarszych Żydów.

Każde naruszenie królewskich praw dawało władcy sposobność napelnienia szkatuły kosztem winnych. Henryk uważnie słuchał swoich poborców podatków, którzy spośród jego podwładnych budzili największy strach. Jeśli ten poborca doniesie mu o bezprawiu dokonanym w związku ze śmiercią dzieci, zęby żarłocznego lwa Plantagenetów wydrą miastu serce.

- Czego od nas chcesz, sir Rolandzie? - z udreką zapytał przeor Gotfryd.

- Chcę obejrzeć ciała. - Słowa te zostały wypowiedziane cicho, jednak smagnęły przeora niczym bicz.

Grube na dwie stopy mury utrzymywały chłód wewnątrz pustelni, leżącej na polanie na drugim krańcu lasu, tam gdzie z Barnwell wyruszano polować na jelenie, jednakże cela, w której saksońska święta Werberta spędziła swoje dorosłe życie - aż dosyć gwałtownie zakończył je najazd Dunów - nie nadawała się do tego, co miała zrobić Adelia. Po pierwsze, była niewielka. Po drugie, mimo dwóch lamp, które dostarczył przeor, panowały w niej ciemności. Szczelinę w murze przesłaniała drewniana okiennica. Przy maleńkim wejściu pod łukiem rosła wysoka do pasa trybula.

Do licha z sekretami, musi otworzyć drzwi, żeby mieć więcej światła - a muchy już szturmowały, pragnąc dostać się do środka.

Jak oni mogli się spodziewać, że będzie pracować w takich warunkach?

Adelia położyła swoją sakwę z kozłej skóry na trawie na zewnątrz, otworzyła ją, by zobaczyć, co ma w środku, potem przyjrzała się jeszcze raz - i już wiedziała, że odsuwa tę chwilę, kiedy przejdzie przez drzwi.

To śmieszne. Przecież nie jest amatorem. Szybko uklękła i poprosiła umarłych leżących za owymi drzwiami, by przebaczyli jej to, co robi z ich szczątkami. Poprosiła również, żeby sprawili, aby nie zapomniano o należnym im szacunku.

- Pozwólcie, niech wasze ciała i kości powiedzą mi to, czego nie mogą powiedzieć głosy.

Zawsze tak robiła. Nie miała pewności, czy zmarli ją słyszą, ale nie była aż taką ateistką jak jej przybrany ojciec, chociaż podejrzewała, że to, co czeka ją dzisiejszego popołudnia, może ją w kogoś takiego zmienić.

Wstała, wyjęła z sakwy ceratowy fartuch, włożyła go, zdjęła czepek, zawiązała na głowie hełm z gazy ze szklanym okularem. I otworzyła drzwi do celi...

Sir Roland Picot, zadowolony z siebie, rozkoszował się spacerem. Poszło łatwiej, niż się spodziewał. Tę szaloną kobietę, cudzoziemkę, na pewno zdołałby sobie jakoś podporządkować, ale nieoczekiwanym sukcesem stało się to, że kogoś tak ważnego jak przeor Gotfryd z powodu powiązań z ową niewiastą również miał w garści.

Kiedy zbliżył się do pustelni, przystanął. Wyglądała jak zwielokrotniony ul. Boże, jakże ci dawni pustelnicy lubili niewygodę. Widział też kobietą postać pochyloną nad stołem tuż za otwartymi drzwiami.

By jeszcze ją sprawdzić, zawołał:

- Pani?

- Słucham?

Aha, pomyślał sir Roland. Jak łatwo. Niczym chwywanie ćmy. Kiedy się wyprostowała i odwróciła w jego stronę, przemówił:

- Pamiętasz mnie, pani? Jestem sir Roland Picot, któremu przeor...

- Nie obchodzi mnie, kim jesteś - rzuciła. - Włóż do środka i odpędzaj muchy.

Wyjrzała, zobaczył odzianą w fartuch dziwną postać o głowie owada. Istota zerwała garść trybuli i wetknęła mu do ręki.

Nie takie plany miał sir Roland, lecz poszedł za nią, przeciskając się z niejakim trudem przez wejście do owego ula.

A potem znowu się przecisnął, tyle że w drugą stronę.

- O mój Boże.

- O co chodzi? - Była zła, podenerwowana. Oparł się o łuk drzwi, oddychając ciężko.

- Słodki Jezu, miej miłosierdzie dla nas wszystkich. - Smród był okropny. A jeszcze gorsze to, co leżało na stole.

- No to stój w drzwiach - mruknęła zirytowana. - Umiesz pisać?
- Sir Roland przytaknął z zamkniętymi oczyma.
- To pierwsza rzecz, jakiej uczą poborców podatków. Wręczyła mu tabliczkę i kredę.
- Notuj to, co będę mówiła. I przy okazji odganiaj muchy. Złość zniknęła z jej głosu, pojawił się w nim beznamiętny ton.
- Zwłoki młodej osoby płci żeńskiej. Na czaszce zostało jeszcze kilka jasnych włosów. A zatem jest to... - przerwała, aby zerknąć na listę, którą wypisała inkaustem na grzbiecie dłoni - ..Maria. Córka łowcy ptactwa. Wiek - sześć lat. Zniknęła na świętego Ambrożego, czyli... zaraz... rok temu. Zapisujesz?
- Tak, pani. - Kreda skrzypiała na tabliczce, jednak sir Ronald trzymał twarz zwróconą w stronę świeżego powietrza.
- Zwłoki są pozbawione ubrania. Ciało prawie całkowicie się rozłożyło. To, co zostało, miało kontakt z kredą. Na kręgosłupie jest pył wyglądający na zeschnięty torf, nieco jest go też w tylnej części miednicy. Jest tu gdzieś nieopodał bagnisko?
- Jesteśmy na skraju mokradeł. Zwłoki znaleziono na skraju bagniska.
- Czy ciała leżały twarzami do góry?
- Boże, nie wiem.
- Hm, jeśli tak, to by tłumaczyło ślady na plecach. Są nieznaczne. Ciała nie zakopano w mule, raczej w glebie bogatej w kredę. Ręce i stopy związane paskami czarnej materii. - Umilkła na chwilę. - W torbie mam pięsetę. Daj mi ją.
- Pogrzebał w sakwie i wydobyl parę cienkich drewnianych szczypczyków, patrzył, jak kobieta coś nimi zdejmuję i wyciąga to ku światłu.
- Matko Boska! - Powrócił do drzwi, tylko ramię wsunął do środka, by dalej wymachiwać tam trybulą. Z lasu dobiegło kukanie, jakby na potwierdzenie ciepła dnia i zapachu dzwonek, unoszącego się między drzewami. Witamy, kukułko, o Boże, witamy. Spóźniłaś się w tym roku.
- Wachluj mocniej - rzuciła do niego, a potem powróciła do monotonnego wykładu. -Te strzępy to paski sukna. Hm. Podaj mi fiołkę. Tutaj, tutaj. Gdzie ty jesteś, do licha?
- Wyjął fiołkę z torby. Podał jej, poczekał, potem odebrał, teraz ze straszliwym strzępkiem w środku.
- We włosach są okruchy kredy. Poza tym coś się do nich przyczepiło. Hm. Kształt cukierka, przypuszczalnie jakiś lepki rodzaj słodczy, który teraz wysechł na wąskie paseczki. To będzie wymagać dalszych badań. Podaj mi drugą fiołkę.
- Poleciła mu zamknąć obie fiołki czerwoną gliną wziętą z torby.
- Czerwone dla Marii. Dla każdego z pozostałych inny kolor. Zadbaj o to dobrze.
- Tak, pani.

Zazwyczaj przeor Gotfryd wjeżdżał na zamek z pompą, a szeryf Baldwin z równą pompą składał mu wizyty. Miasto zawsze przecież musi widzieć, jacy dwaj ludzie są w nim najważniejsi. Dziś jednak przez to, jak zatroskany był duchowny, herold i cały orszak zostali gdzieś z tyłu, a on ruszył przez Wielki Most na wzgórze zamkowe tylko w towarzystwie brata Niniana.

Mieszczanie biegli za nim, czepiając się strzemion. Dla wszystkich miał odpowiedzi przeczące. Nie, to nie byli Żydzi. Jak oni by w ogóle mogli? No, spokojnie. Nie. Demon nie został jeszcze schwytany, ale zostanie, z Bożą pomocą zostanie. Nie, dajcie spokój Żydom, to nie oni.

Martwił się i o Żydów, i o gojów. Kolejne rozruchy mogłyby sprowadzić na miasto królewski gniew.

A jakby tego nie było dosyć, pomyślał z rozpaczą, to jeszcze napatoczył się ten poborca podatków. Niech go Bóg pokarze, jego i całe jego plemię. Wyjawszy już sam fakt, że sir Roland wtykał nos tam, gdzie wtykać winien go raczej przeor, ba, zdecydowanie przeor, to duchowny troszczył się jeszcze o Adelie - i o siebie samego.

Ten smarkacz opowie wszystko królowi, pomyślał. Będzie i po niej, i po mnie. Podejrzewał nekromancję. Powieszają za to, a co do mnie... co do mnie, to doniosą papieżowi, no i mnie wygnają. A dlaczego, skoro ten poborca tak bardzo chciał obejrzeć ciała, nie nalegał na to, żeby asystować, kiedy badał je koroner? Dlaczego unikał oficjalnych działań, skoro sam był osobą publiczną?

Równie męczyło Gotfryda, że okrągła twarz sir Rolanda wydawała mu się dziwnie znajoma. Właśnie, sir Rolanda. Od kiedy to król pasuje poborców podatków na rycerzy? Zastanawiało go to przez całą drogę z Canterbury.

Gdy koń zaczął z trudem piąć się po stromej drodze do zamku, przeor oczyma duszy ujrzał scenę, jaka rozegrała się na tym wzgórzu rok temu. Ludzi szeryfa próbujących trzymać rozszałający tłum z dala od przestraszonych Żydów, siebie samego i szeryfa bezskutecznie walczących o porządek.

Panika i przekleństwa, ciemnota i przemoc... Tamtego dnia do Cambridge przybył sam diabeł.

A także ów poborca podatków. Twarz, która mignęła w tłumie i aż do teraz pozostawała zapomniana. Krzywiła się jak wszystkie pozostałe, a jej właściciel zmagał się... Zmagał się z kim? Z ludźmi szeryfa? Czy może stał po ich stronie? Ciężko było dostrzec w tym okropnym, hałaśliwym kłębowisku ludzkich kończyn.

Przeor cmoknął na konia, aby szedł dalej.

To, że ów człowiek pojawił się wtedy na placu, nie musiało być wcale czymś złowieszczym. Szeryfowie i poborcy podatków trzymali się razem. Szeryf zbierał daninę dla króla, królewski poborca dbał o to, by szeryf nie zatrzymywał zbyt wiele dla siebie.

Przeor szarpnął cugłami. Ale przecież widziałem go też znacznie później u Świętej Radegundy. Bił brawo szcudłarzowi. Właśnie wtedy, gdy zaginęła mała Maria. Boże, miej nas w opiece.

Przeor dźgnął konia piętami. Szybciej. Musi porozmawiać z szeryfem tak pilnie jak jeszcze nigdy dotąd.

- Hm. Miednica jest pęknięta od dołu, to możliwe przypadkowe uszkodzenie post mortem, choć jako że cięcia zdają się zadane z dużą siłą i na pozostałych kościach nie ma uszkodzeń, bardziej prawdopodobny jest rezultat działań jakiegoś dźgającego instrumentu atakującego srom...

Sir Roland znenawidził ją, znenawidził jej spokojny, wyważony ton. Krzywdziła teraz cały rodzaj niewieści, choćby przez sam sposób intonacji słów. Nie one powinny sprawiać, że otwierała swoje kobiece wargi, nie one winny nadawać im kształt i kłać powietrze. Relacjonowała czyn i niejako w nim przez to uczestniczyła. Stawała się sprawcą, jakąś wiedźmą. Jej oczy nie powinny bez rozlewu krwi spoglądać na to, co widziały.

Adelia zmuszała się zaś, aby widzieć nie człowieka, lecz świnię. Bo na świniach się uczyła. Świnie - w świecie zwierząt stworzenia najbliższe ludzkim ciałom i kościom. Na wzgórzach, za wysokim murem, Gordinus trzymał martwe świnie dla swoich studentów, niektóre zagrzebane, inne wystawione na światło dzienne. Jeszcze inne w drewnianej chatce, inne zaś w kamiennej.

Wielu studentów, których przyprowadzano do tej zagrody śmierci, odrzucał widok much oraz smród, rezygnowało. Tylko Adelia dostrzegała cud procesu, który truchło zmieniał w nicość.

- Nawet szkielet nie jest trwały i pozostawiony sam sobie w końcu rozsypie się w pył - nauczał Gordinus. - Co jest cudownym planem, bo dzięki temu nie przygniatają nas zgromadzone przez tysiąclecia trupy.

To było niesamowite, ten cały mechanizm, który zaczynał działać, gdy z ciała wyszło już ostatnie tchnienie, zostawiając je swoim własnym sprawom. Rozkład fascynował ją dlatego, że następował nawet bez pomocy ścierwnic i much plujek, one przybywały dopiero później, jeśli tylko miały dostęp do ciała. Wciąż nie rozumiała, czemu tak się działo.

Zatem, zdobywszy kwalifikacje medyka, nauczyła się swojego nowego fachu na świniach. Na świniach wiosną, na świniach latem, jesienią i zimą, o każdej porze roku, którą charakteryzował stosowny stopień rozkładu. Dowiadywała się, jak umarły, kiedy. Siedzące świnie, świnie skierowane głową do dołu, leżące świnie, świnie zarżnięte, zmarłe wskutek choroby, pogrzebane, niepogrzebane, trzymane w wodzie, stare świnie, maciory, które miały małe, knury, prosięta.

Prosię. Chwila zastanowienia. Prosię oglądane niedługo po śmierci. Miało tylko kilka dni. Zaniósł je do domu Gordinusa.

- Mam coś nowego - oznajmiła. - Ta materia w odbycie. Nie mogę określić, co to jest.

- To coś starego - powiedział. - Starego jak grzech. To ludzkie nasienie.



Zaprowadził ją na taras wychodzący na turkusowe morze, posadził, przypieczętował jej obecność kieliszkiem swojego najlepszego czerwonego wina. Potem zapytał, czy chce nadal uczyć się tego wszystkiego, czy też wrócić do zwyczajnej medycyny.

- Ujrzysz prawdę czy też będziesz jej unikać?

Przeczytał jej ustęp z Wergiliusza, z *Georgik*, nie mogła sobie przypomnieć który. Poemat zabrał ją na bezdroża skąpanych w słońcu wzgórz Toskanii, gdzie jagnięta, opite mlekiem, baraszkowały, podskakując radośnie pod opieką pasterzy, przygrywających sobie na fletniach Pana.

- Każdy z nich mógł wziąć owieczkę, wsunąć jej tylne nogi do swoich butów, a swój organ w jej tylny otwór - oznajmił Gordinus.

- Nie - odparła.

- Albo w dziecko.

- Nie.

- Albo w niemowlę.

- Nie.

- Ależ tak - mówił dalej. - Widywałem coś takiego. Czyż to nie psuje nieco *Georgik*?

- To psuje wszystko. - Potem jeszcze dodała: - Nie mogę uczyć się dalej.

- Człowiek szybuje między rajem a otchłanią - wesoło stwierdził Gordinus. - Czasem unosi się do pierwszego, czasem spada do drugiego. Ignorowanie jego zdolności do czynienia zła jest byciem z własnej woli ślepym na wyżyny, ku którym może poszybować. Wobec ruchu planet może to wszystko być jednym i tym samym. Widziałas ludzkie niziny, a właśnie przeczytałem ci kilka wersów o locie ku wyżynom. Wracaj zatem do domu, Adelio, i włóż opaskę na oczy. Nie mam do ciebie żalu. Ale jednocześnie zatkaj uszy na krzyki zmarłych. Nie dla ciebie jest prawda.

Poszła do domu, do szkół i szpitala, aby zyskać uznanie tych, których uczyła, i tych, którymi się opiekowała, ale skoro z jej oczu zdjęto przepaskę, z uszu wyjęto zatyczki, męczyły ją krzyki umarłych. Wróciła zatem do studiowania świń, a gdy była już gotowa, ludzkich ciał.

Jednak przy sprawach takich jak ta, która właśnie leżała przed nią na stole, znowu wkładała metaforyczną opaskę na oczy, zasłaniała je z własnej woli, aby powstrzymać swój upadek ku bezużyteczności wynikającej z rozpacz. Stanowiła konieczną przysłonę, która pozwalała patrzeć, ale nie pozwalała dostrzec rozerwanego, a kiedyś niepokalanego ciała dziecka, lecz tylko znajome szczątki świni.

Dźgnięcia w okolicy miednicy pozostawiły wyraźne ślady. Widywała już rany od noża, ale te nimi nie były. Ostrze instrumentu, którym zadano obrażenia, wydawało się bardziej złożone. Chętnie odłączyłaby miednicę od reszty ciała i poddała bardziej wnikliwemu oglądowi przy lepszym świetle. Obiecała jednak przeorowi Gotfrydowi nie dokonywać sekcji. Pstryknęła palcami, przywołując mężczyznę, aby przyniósł jej tabliczkę i kredę.

Przyglądał się jej, kiedy się odwróciła. Promienie słońca między kratami w maleńkim okienku pustelni świętej Werberty padały zarówno na kobietę, jak i olbrzymią kolorową muchę, która wisiała nad stołem. Gaza wygładziła rysy Adelii i uczyniła podobną do owada, kosmyki włosów przyciskała do głowy niczym spłaszczone czułki. I jeszcze owa brzęcząca natarczywie, wygłodniała, zwarta chmura unosząca się ponad nią.

Ukończyła diagram, podniosła tabliczkę i kredę tak, aby mężczyzna mógł je odebrać.

- Bierz to - rzuciła. Brakowało jej Mansura. Kiedy sir Roland się nie ruszył, odwróciła się i spostrzegła, jak na nią patrzy. Widywała już coś takiego. Znużonym głosem, niemal do siebie, powiedziała:

- Dlaczego oni zawsze chcą zabić posłańca? Odwzajemnił spojrzenie. Czy na tym właśnie polegała jego złość? Wyszła na zewnątrz, odganiając muchy.

- To dziecko powiedziało mi, co mu się przytrafiło. Przy odrobinie szczęścia może powiedzieć mi także, gdzie. A potem, przy jeszcze większym szczęściu, zdołamy dojść do tego, kto to zrobił. Jeśli nie chcesz się tego dowiedzieć, to idź do diabła. Ale znajdź mi kogoś, kto chce się dowiedzieć.

Uniosła kask, przecesała włosy, przelotnie błysnęły kolorem ciemnoblon. Zwróciła twarz ku słońcu.

Pomyślał, że chodzi o oczy. Przymknawszy powieki, wracała do swoich prawdziwych lat, których jak dostrzegł, miała trochę mniej niż on. Wtedy nieco bardziej zbliżała się do

kobiecości. Te oczy nie były dla niego. Wolał słodsze. I okrągłejsze. Otwarte ją postarzały. Zimne i ciemne jak kamienie, mające też tyle samo emocji, ile one. Nic dziwnego, jeśli zastanowią się, na co patrzyły.

Ale jeśli ona naprawdę potrafiłaby wywróżyć...

Oczy zwróciły się w jego stronę.

- No i? Szybko chwycił i zabrał z jej ręki tabliczkę oraz kredę.

- Do usług, pani.

- Jest więcej gazy - powiedziała. - Zakryj sobie twarz, a potem wejdź i do czegoś się przydadaj.

A, i jeszcze dobre maniere, pomyślał, on przecież lubi niewiasty o dobrych manierach. Jednak kiedy znów nasunęła maskę na głowę, wyprostowała szczupłe ramiona i pomaszzerowała do kostnicy, dostrzegł w niej dzielność zmęczonego żołnierza, powracającego do boju.

W drugim zawiniątku był Harold, rudowłosy syn sprzedawcy węgorki, uczeń klasztornej szkoły.

- Ciało lepiej zachowane niż u Marii, wygląda to na mumifikację. Powieki odcięte, tak samo genitalia.

Rowley odłożył wachlarz zielska i się przeżegnał.

Tabliczka pokrywała się straszonymi wyrazami, słowami nie do wypowiedzenia, tyle że ona wszystkie je wymówiła. Więzy. Jakiś ostry instrument. Wtargnięcie w odbyt.

I, raz jeszcze, ślady kredy.

To ją zainteresowało. Rozpoznał to po jej pomrukach.

- Miejsce, gdzie wydobywa się kredę?

- Niedaleko jest Trakt Ickniel - powiedział, starając się być pomocny. - Wzgórza Gog i Magog, tam gdzie się zatrzymaliśmy z powodu przeora, są kredowe.

- Oboje mają kredę we włosach. W wypadku Harolda nieco też przyczepiło się do pięt.

- Co to znaczy?

- Że ciągnięto go po kredzie.

W trzecim zawiniątku spoczywały szczątki Ulryka, ośmiolatka, który zaginął tego roku na świętego Edwarda i fakt, że zniknął w porównaniu z innymi całkiem niedawno, sprawiał, iż badająca częściej mrucała swoje „hm”.

To zaś uczyniło sir Rowleya czujniejszym, bo zaczął już rozpoznawać, kiedy ta kobieta znajdowała lepszy i obszerniejszy materiał do badań.

- Brak powiek, brak genitaliów. Ten w ogóle nie został pochowany. Jaka była w tych stronach pogoda w marcu?

- Pani, sądzę, że w całej wschodniej Anglii było sucho. Narzekano powszechnie, że marnieją nowo zasadzone rośliny. Zimno, ale sucho.

Zimno, ale sucho. W pamięci, z której słyszała w Salerno, zaczęła przeglądać zagrodę śmierci i zatrzymała się przy świni z numerem siedemdziesiąt osiem. Mniej więcej taka sama masa ciała. Zwierzę też leżało martwe ponad miesiąc przy pogodzie chłodnej i suchej, a nastąpił znacznie większy rozkład. Adelia spodziewałaby się więc po tych zwłokach podobnego stanu.

- Czy trzymano cię przy życiu po tym, jak zaginałeś? - zapytała ciała, zapominając, że słyszy ją ten obcy, a nie Mansur.

- Jezus Maria, czemu to mówisz? Zacytowała Eklezjastesa, co zwykła robić przy swoich studentach.

Wszystko ma swoją porę... Czas narodzin i czas śmierci; czas siewu i czas zbierania tego, co się zasiało. A także czas gnicia.

- Więc ten diabeł trzymał go żywcem? Jak długo?

- Nie wiem. Istniały tysiące powodów różnicy między tym trupem a świnią numer siedemdziesiąt osiem. Czuli się zirytowani, bo była zmęczona i bardzo smutna. Mansur o nic by nie pytał, dobrze wiedząc, że jej spostrzeżeń nie należy traktować jako rozmowy.

- Z tego się nie dowiem. Ulryk też miał kredę na piętach. Do czasu, gdy każde ciało znów owinięto w płótno, aby można było

złożyć je do trumny, słońce zaczynało już zachodzić. Kobieta wyszła na zewnątrz, zdjęła fartuch i kask, zaś sir Roland chwycił lampy, wyniósł je, zostawiając celę oraz to, co w niej spoczywało, pogrążone w błogosławionej ciemności.

Przy drzwiach klęknął, tak jak kiedyś przed Grobem Pańskim w Jerozolimie. Tamta maleńka komnatka była tylko nieco większa od izby, którą miał teraz przed sobą. Stół, gdzie leżały dzieci z Cambridge, miał mniej więcej takie same rozmiary jak Grób Chrystusa. I tam też było ciemno. Nad świętym miejscem i obok niego wznosił się kompleks ołtarzy i kaplic, tworzących wielką bazylikę, zbudowaną przez pierwszych krzyżowców. Rozbrzmiewał echem szeptów pielgrzymów oraz głosami greckich prawosławnych mnichów, śpiewających na Golgocie niekończące się hymny.

Tutaj było słycać tylko brzęk much.

Winien się pomodlić za zmarłych oraz o pomoc i przebaczenie dla siebie.

Teraz się za nich pomodlił.

Kiedy wyszedł, kobieta myła się, opłukiwała twarz i ręce wodą z miski. Gdy skończyła, zrobił to samo - medyczka wcześniej zaprawiła wodę mydlnicą. Gniotąc łodygi, oczyścił dłonie. Czuł się zmęczony, o Jezusie, jak bardzo czuł się zmęczony.

- Gdzie się zatrzymałaś? - zapytał. Popatrzyła na niego, jakby widziała go po raz pierwszy.

- Mówiłaś, że jak masz na imię? Starał się nie denerwować. Jej wygląd wskazywał, że była zmęczona

jeszcze bardziej niż on.

- Sir Roland Picot, pani. Rowley dla przyjaciół. Którym, z tego co dostrzegał, nie miała zbyt chętności się stać. Skinęła głową.

- Dziękuję za pomoc. Spakowała torbę, podniosła ją i wyszła. Pospieszył za nią.

- Czy mogę spytać, jakie wnioski wyciągnęłaś ze swoich badań?

Nie odpowiedziała.

Do licha z tą kobietą. Uznał, że skoro robił dla niej notatki, to pewnie wycofała się teraz, aby wnioski wyciągnął już sam. Jednak Rowley, który wcale nie był pokornym człowiekiem, miał świadomość, że spotkał kogoś o wiedzy, o której on nawet nie mógłby marzyć. Spróbował więc raz jeszcze.

- Komu złożysz raport o tym, czego się dowiedziałaś? Bez odpowiedzi. Szli poprzez długie cienie dębów, padające na mury przyklasztornego parku. Z kaplicy dobiegał dźwięk dzwonów obwieszczających nieszpory, a przed nimi, tam gdzie na tle nieba z zachodzącym słońcem stały piekarnia i browar, z budynków wysypywały się postaci w fioletowych komżach, niczym kwietne płatki rzucane w jednym kierunku.

- Pójdziemy na nieszpory?

Jeśli sir Roland kiedykolwiek potrzebował balsamu wieczornej litanii, to właśnie teraz.

Pokręciła głową.

- Nie pomodlisz się za te dzieci? - zapytał wściekle. Odwróciła się, ujrzał twarz aż upiorną ze zmęczenia i wściekłości.

- Nie jestem tutaj, aby się za nie modlić - odparła. - Przybyłam po to, by przemówić w ich imieniu.

## Rozdział 5

Przeor Gotfryd, wróciwszy tego popołudnia z zamku do mało skromnego domu, w którym zamieszkiwali kolejni przeorzy od Świętego Augustyna, musiał odbyć jeszcze jedno spotkanie.

- Ona czeka na ciebie, przeorze, w bibliotece - krótko oznajmił brat Gilbert. Nie pochwałił spotkania swojego przełożonego z kobietą bez świadków.

Przeor Gotfryd wszedł do środka i zasiadł na wielkim krześle za stołem. Nie poprosił niewiasty, aby usiadła, wiedział bowiem, że i tak nie skorzysta z zaproszenia. Nie przywitał jej, nie było potrzeby. Potwierdził od razu swoje zobowiązanie wobec przybyszy z Salerno, wyjawiał swój problem i propozycje jego rozwiązania.

Kobieta słuchała. Choć nie była ani wysoka, ani otyła, to w butach z węgorskiej skóry, z muskularnymi ramionami splecionymi na fartuchu, z siwymi włosami wymykającymi się spod przepoconego zawoju wokół głowy, miała w sobie kobiece, masywne barbarzyństwo pramatki, które zmieniało wygodną, zastawioną księgami komnatę przeora w jaskinię.

- A zatem oczekuję twojej pomocy, Gyltho - rzekł na koniec Gotfryd. - Oni cię potrzebują.

Nastąpiła pauza.

- Lato się zbliża - odparła Gyltho głębokim głosem. - W lecie mam dużo pracy przy węgorskich.

Późną wiosną Gyltha oraz jej wnuk wylaniali się z mokradeł, tocząc pojemniki pełne wijących się, srebrnych węgorzy i osiadali w swojej letniej rezydencji nad Cam, o dachu pokrytym sitowiem.

Tam, wśród cudownych oparów, powstawały węgorze marynowane, węgorze solone, wędzone i w galarecie, a wszystkie, za sprawą przepisów znanych tylko Gylcie, lepsze od jakichkolwiek innych. Wykupywali je na pniu czekający już klienci doceniający ich jakość.

- Wiem, że masz - cierpliwie odparł przeor Gotfryd. Usiadł z powrotem na swoim wielkim krześle. Odwrócił się ku postawnej Angielce ze wschodu. - Ale to, moje dziewczę, bardzo ciężka robota, a ty się starzejesz.

- Ty też.

Oboje dobrze się znali. Najlepiej. Kiedy dwadzieścia pięć lat temu młody normandzki ksiądz przybył do Cambridge, aby objąć parafię Świętej Marii, jego domem zajęła się pewna młoda kobieta z mokradeł. To, że może byli dla siebie kimś więcej niż panem i służącą, nikogo nie gorszyło, albowiem w Anglii do nieprzezwyczajania celibatu odnoszono się dosyć tolerancyjnie - lub w ogóle nie zwracano na te sprawy uwagi, zależnie od punktu widzenia. Rzym jeszcze wtedy nie wygrażał „księżym żonom”, tak jak działo się to później.

Młodemu ojcu Gotfrydowi przybywało w pasie za sprawą kuchni Gylthy, brzuch Gylthy również się powiększył, choć czy za sprawą jedzenia, czy też czegoś innego, nie wiedział nikt poza tą dwójką. Kiedy Bóg powołał ojca Gotfryda na kanonik Świętego Augustyna, Gyltha zniknęła wśród łęgów, z których przybyła, odrzucając proponowaną jej pomoc.

- Będą jeszcze dziewczki służebne - dodał teraz przeor przymilnym tonem. - Trochę gotowania, nieco krzątania przy domu, to wszystko.

- Cudzoziemcy - powiedziała Gyltha. - Nie znoszę cudzoziemców.

Patrząc na nią, przeor przypomniał sobie sporządzony przez Guthlaca opis mieszkańców trzęsawisk, wśród których ów szacowny święty chciał zaszczepić chrześcijaństwo: „Wielkie głowy, długie szyje, blade twarze i zęby jak u koni. Zbaw nas od nich, Panie”. Jednak ci ludzie znaleźli takie metody i odczuwali takie pragnienie wolności, że opierali się Wilhelmowi Zdobywcy dłużej i znacznie skuteczniej niż reszta Anglików.

Nie brakowało im też rozumu. Miała go także Gyltha. Jako gospodyni stanowiła wręcz *beau ideal* obmyślonego przez przeora Gotfryda układu - dosyć dziwaczna w obyciu, ale na tyle dobrze znana i ciesząca się zaufaniem mieszczan z Cambridge, by stać się pomostem między ludem a przybyszami. Jeśli tylko się zgodzi...

- A czyż ja nie jestem cudzoziemcem? - spytał. - A mnie zaakceptowałaś.

Gyltha uśmiechnęła się i na chwilę stała się pełna zaskakującego uroku, a przeor Gotfryd powrócił myślami do małej plebanii nieopodal kościoła Świętej Marii.

Kuł żelazo, póki gorące.

- To będzie dobre dla małego Ulfa.

- Już mu wystarczy to, co ma w szkole.

- Gdyby tylko dbał o to, aby ją odwiedzać. - Niechęć młodego Ulfa do uczęszczania do szkoły, prowadzonej przez przeora, niewielki miała związek z umysłem chłopaka, który był bystry, choć miewał nieraz niezwykle pomysły. Dlatego Gotfryd podejrzewał, mimo braku dowodów, że chłopak, jako wnuk Gylthy, jest także jego wnukiem. - Moje drogie dziewczę musi jednak coś w życiu osiągnąć.

Gyltha pochyliła się do przodu i dotknęła pokrytym bliznami palcem pulpitu, za którym siedział przeor.

- Co oni tutaj robią? Powiesz mi?

- Rozchorowałem się, prawda? A ona uratowała moje stare życie.

- Ona? Ja słyszałam, że ten czarnuch.

- Ona. I to nie żadne czary. To dobry medyk, nie znam nikogo lepszego.

Nie było sensu, aby ukrywać coś przed Gylthą, która, jeśli przyjęłaby przybyszów z Salerno, i tak by się wszystkiego dowiedziała. Zresztą ta kobieta była zamknięta w sobie jak małże. Które zresztą co roku dawała mu w prezencie i których niezły wybór spoczywał teraz w jego chłodnym loszku.

- Nie jestem pewien, kto ich tu przysłał - kontynuował - ale mają wykryć zabójcę dzieci.

- Harold... - Na twarzy Gylthy nie pojawiły się żadne emocje, ale głos jej złagodniał. -

Handlowałam z ojcem Harolda.

- Harold. Skinęła głową.

- Tego nie zrobili Żydzi, prawda?  
- Nie oni.  
- Tak właśnie sądziłam, że nie oni. Przez krużganki łączące dom przeora z kościołem dobiegło bicie dzwonów, wzywających braci na nieszpory. Gyltha westchnęła.  
- Dasz dziewczki służebne, jak obiecałeś, a ja zajmę się tym przeklętym gotowaniem.  
- *Benigne. Deo gratias.* - Przeor wstał i odprowadził Gylthę do drzwi. - Starzy Tubowie wciąż jeszcze hodują te swoje śmierzące psy?  
- One śmierdzą jeszcze bardziej.  
- Przyrowadź jednego dla niej. Jak jej będą zadawać pytania, mogą być z tego kłopoty. Trzeba mieć na nią baczenie. Och, i oni nie jedzą wieprzowiny. Albo skorupiaków.  
Klepnął Gylthę w tyłek, posyłając ją tak w drogę. Założył ramiona pod swoją komżą, ruszył do kaplicy na nieszpory.

Adelia siedziała na ławie w niebiańskim spokoju klasztoru, wdychała zapach rozmarynu dochodzący z niskiego żywopłotu, który odgradzał rozciągający się u jej stóp klomb. Wsłuchiwała się w psalmy śpiewane na nieszpory, sączące się zza krużganków przez wieczorne powietrze i otoczony płotem ogród warzywny gdzieś ku tej rajskiej przystani zacienionej drzewami. Próbowwała oczyścić umysł i pozwolić męskim głosom ukoić ranę zadaną przez ludzkie wynaturzenie. „Niechaj moja modlitwa będzie stale przed Tobą jak kadzidło”, śpiewali, „wzniesienie rąk moich - jak ofiara wieczorna!”

W klasztorным domu gościnnym, gdzie przeor Gotfryd ulokował ją na noc wraz z Szymonem i Mansurem, miano podać wieczerzę, ale to wiązałoby się z siadaniem do stołu razem z resztą wędrowców, Adelia zaś nie miała ochoty na pogaduszki. Mocno zaciągnęła troki swojej torby z kozłej skóry, tak aby uwięzić w tej niewielkiej przestrzeni wiadomości o martwych dzieciach wypisane kredą na tabliczce. Kiedy rozplącze troki, jutro, głosy zabitych wybuchną nagle, domagając się wysłuchania, wypełniając jej uszy. Ale dziś trzeba je uciszyć. Nie zniesie niczego prócz spokoju wieczoru.

Dopiero kiedy zrobiło się już niemal zbyt ciemno, aby cokolwiek dawało się dostrzec, podniosła torbę i ruszyła samotnie ścieżką pośród długich słupów z blasku świec, wskazujących, gdzie są okna domu gościnnego. Pójście spać bez posiłku nie było rozsądnym pomysłem. Leżała na wąskiej pryczy w wąskiej celi, przy korytarzu dla kobiet, zła, że w ogóle się tu znalazła, zła na króla Sycylii... Zła na ów kraj, niemal też na zabite dzieci, bo złożyły na jej barki ciężar swojej agonii.

- Ja raczej nie mogę wyruszyć - powiedziała Gordinusowi, kiedy po raz pierwszy przedstawił jej całą sprawę. - Mam swoich studentów, pracę.

Jednak nie pozostawiono jej wyboru. Rozkaz dla eksperta w sprawach dotyczących śmierci przyszedł od samego króla, a jemu, od kiedy rządził też południowymi Włochami, nie sposób było się sprzeciwić.

- Dlaczego wybrałeś akurat mnie?  
- Spełniasz warunki postawione przez króla - oznajmił Gordinus.  
- Nie znam nikogo innego, kto by je spełniał. Mistrz Szymon będzie szczęśliwy, iż będziesz mu towarzyszyć.

Szymon uznał się jednak nie tyle za szczęśliwego, ile obciążonego. Od razu to dostrzegła. Mimo jej umiejętności, obecność kobiety medyka, arabskiego pomocnika i towarzyszącej im matrony - Małgorzata, kochana Małgorzata, wtedy jeszcze żyła - przysporzył komplikacji, gdy stawiano Pelion na Osse, czyli w owej sprawie, która i bez tego była już trudna do rozwikłania.

Ale jedną z umiejętności Adellii, doprowadzoną do perfekcji na owym polu bitewnym, jakie stanowiła szkoła, było czynienie swojej kobiecości prawie niewidoczną, unikanie taryfy ulgowej przez niemal całkowite wtopienie się w społeczność, głównie męską. Jedynie wtedy, gdy podawano w wątpliwość jej umiejętności, koledzy żacy poznawali ostry język Adellii - przebywając wśród nich, nauczyła się kłać - a także jeszcze ostrzejszy temperament.

Nie było jednak potrzeby, aby cokolwiek z tego demonstrować Szymonowi. Traktował medyczkę uprzejmie i im dłużej podróżowali, tym większą odczuwał ulgę. Uznał ją za osobę skromną - które to miano, jak dawno już stwierdziła, odnosiło się do kobiet nieprzysparzających mężczyznom problemów. Najwyraźniej małżonka Szymona była

ideałem żydowskiej skromności, wedle którego oceniał wszystkie inne niewiasty. Mansur, kolejny dodatek do Adelii, także dowiódł, iż jest nieoceniony i nim dotarli do wybrzeży Francji, tam gdzie umarła Małgorzata, wędrowali w słodkiej harmonii.

Jak na razie tylko regularne miesięczki przypominały jej, że nie jest istotą bezpłciową. Dotarłszy do Anglii, cała trójka przesiadła się na wóz i udawała grupkę wędrownych znachorów, co dla każdego z nich było niczym więcej jak tylko pewną niewygodą i swoistą zabawą.

Tajemnicą pozostawało, dlaczego król Sycylii zaangażował właśnie Szymona z Neapolu, jednego ze swoich najlepszych ludzi, do śledztwa w sprawie Żydów na tej wilgotnej, chłodnej i zimnej wyspie na skraju świata. Nie wiedział tego Szymon, ona też nie. Dostali polecenie, aby oczyścić dobre imię Żydów z zarzutów morderstwa, to można było osiągnąć tylko poprzez odkrycie tożsamości prawdziwego zbrodniarza.

Jedno wiedziała na pewno - nigdy nie polubi Anglii - i nie polubiła. W Salerno była poważanym członkiem wysoce cenionej Szkoły Medyków, nikt poza przybyszami nie dziwił się, że spotyka kobietę medyka. A tutaj znalazła się całkiem sama. Ciało, które właśnie obejrzała, sprawiły, iż Cambridge wydało jej się mrocznym miejscem. Widywała już ofiary morderstw, ale rzadko tak strasznych. Gdzieś po tym kraju chodził i oddychał jego powietrzem prawdziwy rzeźnik niewiniątek.

Odnalezienie go mogło okazać się tym trudniejsze, iż Adelia nie cieszyła się tu żadną wysoką pozycją i uważano, że lepiej by było, gdyby w ogóle nie zajmowała się całą sprawą. W Salerno, choć po cichu, współpracowała z władzami. Teraz zaś po swojej stronie miała tylko przeora, a nawet on nie ważył się tego głosić otwarcie.

Wciąż zatroskana, zasnęła i śniła ponure sny.

Spała do późna, którego to przywileju rzadko udzielano tutejszym gościom.

- Przeor powiedział, że możesz, pani, opuścić jutrznię, albowiem jesteś bardzo znużona - powiedział jej brat Swithin, jowialny i gruby, niewysoki mnich opiekujący się pielgrzymami - ale widziałem, że jadłaś z apetytem, kiedy już się obudziłaś.

Śniadanie zjadła w kuchni. Składało się z szynki, rzadkiego smakołyku dla kogoś, kto podróżował w towarzystwie Żyda i muzułmanina, sera z mleka klasztornych owiec, świeżego chleba z klasztornej piekarni, świeżego masła, marynaty brata Swithina, kawałka węgorka w cieście oraz ciepłego mleka prosto od krowy.

- Byłaś wykończona, moja panno - stwierdził brat Swithin, dolewając jeszcze ze dzbanka. - Teraz lepiej?

Uśmiechnęła się do niego, prezentując białe wąsy z mleka.

- Znacznie lepiej.

Owszem, czuła się wykończona, cokolwiek to znaczyło, teraz jednak wigor powrócił, zniknęło zatroskanie i użalanie się nad sobą. Jakie to w sumie miało znaczenie, że musi pracować w obcym kraju? Dzieci były wszędzie takie same; dzieciństwo stanowiło coś niezależnego od narodowości, należała mu się ochrona mocą odwiecznych praw. Okrutny los, który spotkał Marię, Harolda, Ulryka, nie stawał się mniej straszliwy dlatego, że nie pochodzili z Salerno. To były dzieci wszystkich, zatem także i jej.

Adelia poczuła determinację, jakiej dotąd nie знаła. Należało, poprzez usunięcie mordercy, uczynić świat czystszy. „Lecz kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą we Mnie, temu byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi...”

Teraz nad głową zbrodniarza, choć jeszcze nie był tego świadom, zawisło niebezpieczeństwo, *medica* Trotula z Salerno, medyk umarłych, będzie się starać ze wszystkich sił wspartych przez wiedzę i umiejętności, aby go obalić.

Wróciła do swojej celi, chcąc przenieść notatki z tabliczki na papier, aby po powrocie do Salerno dostarczyć zapis efektów swojego śledztwa - choć nie wiedziała, czego w związku z nim oczekiwał król Sycylii.

To była straszliwa i powolna praca. Raz czy dwa musiała odrzucić pióro i zasłonić uszy. Mury celi rozbrzmiewały echem dziecięcych krzyków. „Bądź spokojna, och, bądź spokojna, tylko tak zdołasz go wytropić”. Ale krzyki nie chciały umilknąć, nie dało się ich ściszyć.

Szymon i Mansur wyszli już, aby rozgościć się na kwaterze, którą przeor znalazł im w mieście po to, żeby swoją misję wykonywali w spokoju. Minęło południe, kiedy Adelia wreszcie do nich dołączyła.

Uznała, że to do niej należy przyjrzenie się terytorium mordercy i rzucenie okiem na miasto. Zdziwiła się, ale nie zgorszyła, kiedy brat Swithin, zajęty nową grupą przybyszów, okazał się gotów na to, aby pozwolić jej pójść bez eskorty i że na rojnych ulicach Cambridge kobiety wszystkich stanów poruszały się bez towarzystwa i z odsłoniętymi twarzami.

To był inny świat. Tylko studenci Szkoły Pitagorejskiej, hałaśliwi i w czerwonych czapkach, stanowili dla niej coś znajomego. Studenci wszędzie wyglądali tak samo.

W Salerno uliczki skrywał cień rzucały przez górne przejścia i nadbudówki, mające chronić przed barbarzyńskim słońcem. To miasto otwierało się zaś niczym płaski kwiat, aby złapać odrobinę światła, którą dawało angielskie niebo.

Oczywiście, i tu widziała niebezpieczne boczne alejki, gdzie skromne, kryte sitowiem domy tłoczyły się niczym grzyby, lecz Adelia trzymała się głównych szlaków, wciąż jeszcze oświetlonych blaskiem długiego wieczoru. Pytała o drogę bez lęku o swoją reputację czy sakiewkę, czego nie mogłaby robić u siebie.

Dla tego miasta najważniejsza była woda, nie słońce. Płynęła ściekami po obu stronach ulicy, tak że do każdego domostwa, każdego sklepu wchodziło się po kładce. Cysterny, zbiorniki, sadzawki wprowadzały w błąd, sprawiając, że niektóre rzeczy widziało się podwójnie. Świnia, stojąca na skraju drogi, odbijała się w pobliskiej kałuży. Łabędzie wyglądały, jakby pływały po sobie samych. Kaczki z sadzawki sunęły ponad łukiem wejścia do kościoła, w rzeczywistości wznoszącego się nad nimi. Błądzące strumienie ukazywały podobizny dachów i okien, wierzbowe liście zdawały się wyrastać ku górze z drobnych cieków, w których się odbijały. A wszystko to zachodzące słońce barwiło na kolor bursztynu.

Adelia czuła, że Cambridge przygrywa jej do tańca, ale nie dawała się ponieść. Dla niej ta dwoistość wszystkiego stanowiła zewnętrzną oznakę dwoistości znacznie głębszej dwulicowości, to było Janusowe miasto, gdzie na dwóch nogach, jak zwykły człowiek, chadzała kreatura mordująca dzieci. Póki nie zostanie odnaleziona, całe Cambridge nosić będzie maskę, a ona nie zdoła spojrzeć na nie bez zastanawiania się, czy pod nią nie kryje się wilczy pysk.

Oczywiście, zabłądziła.

- Dobry człowieku, możesz mi wskazać drogę do kamienicy Starego Beniamina?

- A po co ci to, panienko?

To już była trzecia osoba, którą zatrzymała z prośbą o wskazanie kierunku, i trzecia, która chciała się dowiedzieć, dlaczego pyta.

„Zamierzam otworzyć tam dom uciech”, taka odpowiedź przyszła jej do głowy, ale już zdążyła się nauczyć, że na ciekawość mieszkańców Cambridge nie trzeba reagować ostro. Powiedziała więc tylko:

- Muszę się dowiedzieć, gdzie to jest.

- Tędy, potem skręć w lewo w uliczkę Jezusową, za róg naprzeciwko rzeki.

Skręciwszy ku rzece, spostrzegła niewielkie skupisko ludzi gapiących się, jak Mansur kończy rozpakowywać wóz i szykuje się, by wnieść bagaż po schodach przez frontowe drzwi.

Przeor Gotfryd uznał za znakomity pomysł, żeby cała trójka, która przybyła z Salerno w sprawie Żydów, zatrzymała się w jednym z opuszczonych domów Dzielnicy Żydowskiej.

Doszedł jednak do wniosku, że ich przeprowadzka do posiadłości bogatego Chaima, stojącej nieco dalej wzdłuż rzeki, byłaby niestosowna.

- Ale Stary Beniamin wzbudza wśród mieszczan mniejszą wrogość, chociaż jest właścicielem lombardu, przy którego bogactwach Chaim zdaje się ubogi - powiedział. - I jest stąd ładny widok na rzekę.

To właśnie ta część miasta, nazywana Dzielnicą Żydowską, na której skraju stała owa kamieniczka, uświadomiła Adeli, jak bardzo Żydzi z Cambridge byli wyłączeni - lub sami się wyłączyli - z życia miasta. Coś podobnego widziała prawie we wszystkich mijanych po drodze angielskich miejscowościach.

Nieważne, jakimi przywilejami się cieszyli, to było getto, teraz opuszczone. Kamieniczka Starego Beniamina opowiadała historię kielkującego strachu. Zwrócono ją do ulicy najwęższą częścią, tak aby najmniej jak tylko się da wystawić na atak z zewnątrz. Zbudowana została z kamienia, a nie ze wzmocnionej gliną wikliny, jej drzwi mogły wytrzymać taran. Nisza nad framugą była pusta, pudełko z mezuzą wyrwano.

Na szczycie schodków pojawiła się jakaś kobieta. Pomogła Mansurowi uporać się z wniesieniem bagażu. Kiedy zbliżyła się Adelia, jakiś gap zawołał:

- Co, Gyltha, pracujesz teraz dla nich?

- To mój zasrany interes - odparła kobieta na schodach. - Pilnuj swojego.

Tłum zachichotał, ale się nie rozszedł, swobodnie rozprawiając o całej sytuacji po wschodnioangielsku. Zresztą to, co przydarzyło się przeorowi po drodze, stało się już powszechnie znane.

- Czyli oni nie są Żydami. Nasza Gyltha nie zniosłaby pracy dla bezbożników.

- Słyszałem, że to Saraceni.

- O tym z zawojem na głowie mówią, że jest medykiem.

- Sądząc z wyglądu to diabeł, nie medyk.

- Ciekawe, ile bierze?

- To ona jest ich zabaweczką? - Te słowa odnosiły się do Adelii, towarzyszyło im skinienie głową w jej kierunku.

- Nie, nie jest - oznajmiła medyczka. Pytający mężczyzna aż się cofnął.

- Dziewko, ty mówisz po angielsku?

- Tak. A ty? - Ich wymowa, śpiewne „oi” i akcentowanie zakończeń zdań różniły się od dialektu zachodnioangielskiego, którego nauczyła się, siedząc u Małgorzaty na kolanach, ale wszystko rozumiała.

Wyglądała na bardziej rozbawioną niż urażoną.

- Ostra kotka, co? - rzucił mężczyzna do zgromadzonych. Potem znowu zwrócił się do Adelii: - Ten czarnuch to niezły medyk, prawda?

- Lepszy niż jakikolwiek inny, jakiego znajdziecie w okolicy - odparła. Pomyślała, że to nawet może być prawda. Infirmariusz w klasztorze był pewnie tylko zwykłym zielarzem, który choć udzielał porad za darmo, wiedzę swoją czerpał głównie z książek, a większość z nich zdaniem Adelii już dawno się zdezaktualizowała. Ludzie, których nie zdołał uleczyć i którzy nie mogli leczyć się sami, pozostawali na łasce miejscowych konowałów i kupowali od nich wyszukane, bezużyteczne, drogie oraz przypuszczalnie obrzydliwe mikstury, mające przede wszystkim robić wrażenie, a nie kurować.

Nowy znajomek Adelii uznał jej słowa za rekomendację.

- To tak sobie myślę, że w takim razie go odwiedzę. Braciszek Theo z klasztoru nie dał rady mnie wyleczyć.

Szeroko uśmiechnięta kobieta szturchnęła łokciem sąsiada.

- No, Wulf, powiedz jej, co ci jest.

- On powiedział, że jestem ciężkim przypadkiem hipochondrii -oznajmił Wulf posłusznie - i nie wie, jak to leczyć.

Adelia zauważyła, że nikt nie pytał dlaczego ona, Szymon i Mansur tutaj przyjechali. Dla mężczyzn i kobiet z Cambridge było czymś naturalnym, że cudzoziemcy rozgaszczali się w ich mieście. Czyż różni obcy nie przybywali tu ze wszystkich stron świata, aby robić interesy? Gdzież by im było lepiej? Za granicą żyją wszak smoki.

Próbowała przepchać się do bramy, ale jakaś kobieta trzymająca małe dziecko zastąpiła jej drogę.

- Bardzo go boli uszko. Musi do medyka. Nie wszyscy zjawili się tu z ciekawości.

- Medyk jest zajęty - powiedziała Adelia. Jednak dziecko kwiliło z bólu. - Och, popatrz na to.

Ktoś z tłumu usłużnie podał latarnię, a ona przyglądała się uchu. Otworzyła torbę, żeby wyciągnąć szczypce.

- Przytrzymaj go, niech się nie rusza - poleciała i wyjęła z ucha mały koralik.

Równie dobrze mogłaby rozerwać tamę.

- Przebóg, to mądra kobieta - powiedział ktoś i w ciągu kilku chwil zaczęto się ku niej przepychać. Tak, pod nieobecność medyka mogła też być i mądra kobieta.

Ratunek przyszedł w postaci tej, którą wołano Gyltha. Zeszła po schodach i dźgając łokciami, utorowała sobie drogę do Adelii.

- Wynocha stąd! - zawołała. - Oni nawet się jeszcze tu nie sprowadzili.

Przepchnęła Adelię przez bramę.

- Szybko, dziewczyno - poleciała, zatarasowała bramę swym sporym ciałem i syknęła: - Już koniec.

Adelia nie zwróciła na nią uwagi.

- Ten starzec, tam - powiedziała, wskazując palcem. - On ma zimnicę. - To wyglądało na



malarię i było czymś całkiem niespodziewanym. Myślała, że owa choroba zdarza się tylko w okolicy rzymskich bagien.

- To już powie medyk - głośno oznajmiła Gyltha, tak aby usłyszeli to zgromadzeni, a następnie odezwała się do Adelii: - Wchodź, dziewczyno. On jutro też to będzie miał.

I tak pewnie niewiele dałoby się zrobić.

- Połóż go do łóżka. Spróbuj zbić mu gorączkę. - Adelia krzyknęła do kobiety podtrzymującej trzęsącego się starca, kiedy Gyltha wciągała japo schodach.

A zanim gospodyni zabrała medyczkę za drzwi i je zamknęła, ona zdążyła jeszcze krzyknąć:

- Wilgotne sukno!

Gyltha pokręciła głową, spoglądając na Adelię, podobnie zrobił Szymon, który przyglądał się całej scenie.

Oczywiście teraz medykiem był przecież Mansur. Musiała o tym pamiętać.

- Ale jeśli to malaria, to ciekawe - odezwała się do Szymona - Cambridge i Rzym.

Przypuszczam, że cechą wspólną są mokradła.

W Rzymie winą za chorobę obciążano złe powietrze, stąd wzięła się jej nazwa. Inni uważali, że wywołuje ją picie stojącej wody. Adelia, która nie znalazła potwierdzenia dla żadnej z tych hipotez, zachowywała otwarty umysł.

- Na trzęsawiskach często zdarza się zimnica - powiedziała jej Gyltha. - My radzimy sobie z tym, dając opium. Uśmierza drgawki.

- Opium? Siejecie tutaj mak? - Na boskie zebro, mając dostęp do opium, mogłaby złagodzić mnóstwo cierpienia. Myślami wróciła do malarii. - Zastanawiam się, czy będę miała możliwość zerknąć na śledzoną tego mężczyzny, kiedy umrze - wymamrotała do Szymona.

- Możemy zapytać - odparł Szymon, przewracając oczyma. - Zimni-ca, dzieciobójca, co za różnica. Od razu się ujawnijmy.

- Nie zapomniałam o mordercy - ostro ucięła Adelia. - Przyglądałam się jego dziełu.

Dotknął jej dłoni.

- Jest źle?

- Jest źle.

Zmęczona twarz przed nią stała się teraz pełna cierpienia. Oto człowiek, który mając dzieci, wyobraził sobie najgorsze, co mogło im się przytrafić. Pomyślała, że Szymon jak mało kto potrafi współczuć i to czyni go dobrym śledczym. Ale także ma swoją cenę.

Teraz większość współczucia była dla niej.

- Dasz radę to znieść?

- Do tego mnie szkolono - odparła. Pokręcił głową.

- Nikt nie jest szkolony do tego, co dzisiaj widziałas. - Wziął głęboki oddech i z trudem wydukał w swoim angielskim: - Oto Gyltha. Przeor Gotfryd przysłał nam ją, aby łaskawie zajmowała się domem. Wie, co tutaj robimy.

Podobnie, jak się okazało, ktoś czekający przycupnięty w kącie razem z jakimś zwierzęciem.

-A to jest Ulf, jak sądzę wnuk Gylthy. A tutaj mamy... Co to jest?

- To jest Stróż - wyjaśniła Gyltha. - A ty, U l f, zdejmij przed panią tę piekielną czapkę.

Jeszcze nigdy Adelia nie widziała trójki tak brzydkich istot. Kobieta i chłopiec mieli głowy w kształcie trumien, kościste twarze, duże zęby. Takie rysy rozpoznawała już jako charakterystyczne dla mieszkańców bagien. Dzieciak, Ulf, tylko dlatego nie wyglądał równie paskudnie jak babka, że był jeszcze malcem, ośmio- albo dziewięcioletnim, jego rysy wciąż łagodziło dzieciństwo.

Stróż okazał się wielką kulą splątanej wełny, z której wystawały cztery nogi, niczym druty do robienia swetrów. Przypominał owcę, choć prawdopodobnie był psem, bo przecież żadna owca by tak nie śmierdziała.

- Prezent od przeora - oznajmiła Gyltha. - Macie go karmić.

Izba, w której się zgromadzili, też nie wyglądała szczególnie ujmująco. Ciasna i skromna, z wejściem wprost z dworu, naprzeciwko zaś niego znajdowały się drugie, równie mocne wrota do pozostałej części domu. Nawet za dnia musiało tu być ciemno, a dziś wieczór dwie wąskie szczeliny okien rozświetlała latarnia, która ukazywała puste połamane półki.

- Tutaj właśnie Stary Ben prowadził swój lombard - oznajmiła Gyltha, dodając z mocą: - Tyle że jakiś łotr skradł wszystko, co było coś warte.

Jakiś inny łotr, a może ten sam, użył tego miejsca jako latryny.

Adelię ogarnęła tęsknota za domem. Przede wszystkim za Małgorzatą, za jej pełną miłości obecnością. Ale także, o Boże, za Salerno, za drzewkami pomarańczowymi, słońcem i cieniem, za akweduktami, za morzem, za pełną wody rzymską łaźnią w domu, który dzieliła z przybranymi rodzicami, za mozaikowymi podłogami, za wyćwiczonymi służącymi, za akceptacją jej pozycji jako *medica*, za udogodnieniami zapewnianymi przez szkołę, za sałatą - nie jadła niczego zielonego, od kiedy przybyła do tego kraju zapomnianego przez Boga, którego mieszkańcy opychają się mięsem.

Gyltha pchnięciem otworzyła wewnętrzne drzwi i teraz spojrzeli wzdłuż sieni domu Starego Beniamina. Wyglądał tu lepiej.

Pachniało wodą, ługiem i woskiem. Kiedy weszli, przez drzwi na drugim końcu pomieszczenia wysunęły się dwie dziewczki z wiadrami i miotłami. Z beczkowo sklepionego stropu zwisały na łańcuchach wypolerowane lampy bożnicowe, oświetlały zielone sitowie i łagodne lśnienie wiązowej posadzki. Kręte schody podtrzymywane przez kamienny filar prowadziły na piętro i w dół, do piwniczki.

Podłużna izba wyglądała niezwykle przez dość bezładnie rozmieszczone z lewej strony oszklone okna, których zróżnicowane rozmiary sugerowały, że Stary Beniamin, wyznając zasadę, że nic nie może się zmarnować, powiększał lub zmniejszał pierwotne rozmiary otworu, aby wykorzystać całe cenne szkło. Był też wykusz, dwa okna z małych szyb osadzonych w ołowiu, oba otwarte, by wpuszczać zapach rzeki: jedna niewielka, zwykła szyba oraz witrażowa róża, która mogła pochodzić tylko z chrześcijańskiego kościoła. W efekcie uzyskano nieład, ale i odmianę po zazwyczaj gołych okiennicach, niepozbawioną swoistego uroku.

Jednak dla Mansura i Szymona *ne plus ultra* było gdzie indziej, w kuchni, oddzielnym budynku za głównym gmachem. Namawiali Adelię, aby tam poszła.

- Gyltha jest kucharką- oznajmił Szymon takim tonem, jakby właśnie wyszedł z piasków Egiptu do ziemi Kanaan. - Nasz przeor...

- ..niechaj jego cień nigdy się nie skurczy... - powiedział Mansur.

- ..nasz zacny, bardzo zacny przeor przysłał nam kucharkę, która mogłaby równać się z moją własną dobrą Bekką. - Jego żona nosiła imię Rebeka. - Gyltha *superba*. Spójrz, *medica*, spójrz, co ona pichci.

Na ogromnym palenisku na roznach obracały się rozmaite produkty, ociekając tłuszczem do rozgrzanego torfu. Z haków zwisały kociołki, a z ich wnętrza wydobywała się pachnąca rybami para, zaś ciasto kremowego koloru czekało już, aby rozwałkować je na wielkim, posypanym mąką stole.

- Cóż za strawa, soczyste ryby, minogi, właśnie, minogi, o chwalmy Pana, kaczka w miodzie, jagnięcina.

Adelia jeszcze nie widziała tych dwóch mężczyzn, ogarniętych takim entuzjazmem.

Pozostałą resztę słonecznego światła wykorzystali na rozpakowanie rzeczy. Było kilka wolnych pomieszczeń, Adelia dostała izbę na piętrze, miły pokój z widokiem na rzekę - luksus po wspólnych noclegach w zajazdach. Wnęki w ścianach okazały się puste, splądrowali je uczestnicy zamieszek, zostawiając w ten sposób opróżnione półki, zapraszające, by rozłożyła na nich zioła i mikstury.

Tego wieczoru Gyltha, wołając ich na wieczerzę, zdenerwowała się tym, ile czasu Mansurowi oraz Szymonowi zajmowało dokonanie rytualnych ablucji, zaś Adeli, która podejrzewała, że brud jest trujący, umycie rąk przed zasiądciem przy stole.

- Wystygnie - rzuciła do nich. - Nie będę gotowała dla pogan, jeśli nie dbają o to, czy jedzenie im nie wystygnie.

- Nie będziesz - zapewnił ją Szymon. - Gyltho, nie będziesz. Stół udekorowały bogactwa kraju mokradeł, pełnego ptactwa i ryb.

W stęsknionych oczach Adeli brakowało tu stosownej porcji zieleniny, ale i tak bez wątpienia widok był wspaniały.

- Niech będzie pochwalony *Ha-Szem*, Bóg nasz, Król Wszechświata, który daje nam chleb tej ziemi - powiedział Szymon i oderwał kawałek białego bochenka na stole.

Mansur wspomniął w modlitwie Salmana Persa, który dał strawę Mahometowi.

- Niech nie opuszcza nas dobre zdrowie - oznajmiła Adelia i zasiedli wspólnie do posiłku.

Na statku płynącym z Salerno Mansur jadał razem z załogą, ale w trakcie ostatniego etapu wędrówki, w angielskich zajazdach i przy ogniskach zapanowała demokracja, z której nikt nie zamierzał dobrowolnie zrezygnować. Skoro Mansur przyjął teraz rolę głowy domu, nie wypadało odsyłać go do kuchni, aby jadł z dziewczkami służebnymi.

Adelia chętnie opowiedziałaby przy wieczerzy o odkryciach, ale mężczyźni, spodziewając się, jakie one będą, nie chcieli zajmować swoich żołądków niczym innym niż potrawami Gylthy. Ewentualnie jeszcze rozmową na temat owych potraw. Adelia była zdumiona, ile czasu i pochwał mogą obaj poświęcić jagnięcinie, słodkiemu sosowi i serom.

Dla niej wiatr i jedzenie były czymś podobnym - jednego potrzebowały statki i wiatraki, aby się poruszać, drugiego żywe istoty, ale poza tym obie sprawy nie miały większego znaczenia.

Szymon pił wino. Wraz z nim wędrowała beczułka z jego ulubionej, toskańskiej winnicy, o angielskich winach twierdził, że nie nadają się do spożycia. Mansur i Adelia, tak jak zawsze, pili przecedzoną i przegotowaną wodę.

Szymon wciąż namawiał Adelię, żeby nalała sobie nieco wina i jeszcze coś zjadła, lecz protestowała, twierdząc, że dostała w klasztorze obfite śniadanie. Martwił się, że oględziny ciała tak ją przybiły, że aż się pochorowała. Właśnie tak by podziały na niego. Medyczka jednak dostrzegła w tym zwątpienie w swój profesjonalizm i odparła ostro:

- Taką mam pracę. Po co w końcu tutaj przybyłam? Mansur powiedział Neapolitańczykowi, żeby dał jej spokój.

- *Medica* zawsze dziobie jak wróbelek. Sam Arab zdecydowanie nie dziobał.

- Roztyjesz się - ostrzegła go Adelia. To był jego największy koszmar. Zbyt wielu eunuchów obrastało w sadło od nadmiaru jedzenia.

Mansur westchnął.

- Ta niewiasta to prawdziwa syrena gotowania. Potrafi przez żołądek znaleźć drogę do męskiego serca.

Obraz Gylthy jako syreny rozbawił Adelię.

- Mam jej to powiedzieć? Ku jej zaskoczeniu wzruszył ramionami i przytaknął.

- Ooo - powiedziała. Przez te wszystkie lata, od kiedy przybrani rodzice mianowali go jej strażnikiem, nigdy nie słyszała, by pochwalił jakąkolwiek kobietę. Fakt, iż skomplementował niewiastę o twarzy konia, której językiem nie mówił, stanowił rzecz niespodziewaną oraz intrygującą.

Obie usługujące im dziewczki miały na imię Matylda, co wiodło do omyłek. Różniły się tylko inicjałami swoich parafialnych świątych i dlatego wołano na nie Matylda B. i Matylda W. Tak nieufnie patrzyły na Mansura, jakby był tresowanym niedźwiedziem, którzy zasiadł właśnie za stołem. Wyłaniały się z otwartego przejścia wiodącego z kuchni do tylnych drzwi za podwyższeniem i przynosiły danie po daniu, nie zbliżając się do krańca stołu. Chichotały nerwowo i zostawiały potrawy na tyle daleko, że trzeba je było przysuwać do Saracena.

No cóż, pomyślała Adelia, muszą się do niego przyzwyczaić.

Wreszcie na stole opustoszało. Szymon dzwignął się, westchnął i znów usiadł.

- A zatem, pani?

- To tylko przypuszczenia, rozumiecie - powiedziała. To była jej stała wymówka.

Poczekala, aż obaj mężczyźni się skupią, potem wzięła głęboki oddech i zaczęła:

- Sądzę, że dzieci zabrano tam, gdzie wydobywa się krede, i je zabito. To może nie pasować do świętego Piotrusia, który zdaje się odrębnym przypadkiem. Może dlatego, że to pierwsza ofiara i morderca nie wpadł jeszcze w rutynę. Ale z trójki, którą obejrzałam, obaj chłopcy mieli kredę wbity w pięty, co znaczy, że ich po niej ciągnięto, są też jej ślady na szczątkach wszystkich trojga. Dłonie i stopy spętano im oddartymi pasami sukna.

Popatrzyła na Szymona.

- Ładna, czarna wełna. Zachowałam próbki.

- Rozeznam się wśród kupców sukiennych.

- Jednego z ciał nie zakopał, ale trzymał na zewnątrz, gdzieś, gdzie było sucho i chłodno. - Starala się zachować spokój. - Ponadto dziewczynka została kilkakrotnie pchnięta w okolice łona, podobnie chłopcy. Najlepiej zachowane ciało chłopca nie miało genitaliów i powiedziałabym, że pozostali też ucierpieli w taki sam sposób.

Szymon ukrył twarz w dłoniach. Mansur siedział bardzo cicho.

- Uważam, że wszystkim odcięto powieki - kontynuowała Adelia - ale nie mogę powiedzieć, czy przed śmiercią, czy po niej.

- Chadzają wśród nas demony - cicho powiedział Szymon. - Dlaczegoż, Panie, pozwalasz, aby oprawcy z Gehenny zamieszkiwali ludzkie ciała?

Adelia sprzeczała się co do tego, czy mordercy można przypisywać związek z szatanem, choćby dlatego, że to trochę by go oczyszczało, czyniąc ofiarą jakiejś zewnętrznej siły. Dla niej ów człowiek był wściekłą bestią, niczym rozszalały pies. Wtedy jednak pomyślała: a może uznawanie, że zapadł na jakąś chorobę jest również usprawiedliwieniem tego, czego nie można usprawiedliwić?

- Maria... - umilkła. Nazywanie trupa imieniem stanowiło błąd, którego zwykle nie popełniała, odsuwało obiektywizm, wprowadzało emocje, podczas gdy ważne było pozostawanie beznamietnym. Nie miała pojęcia, dlaczego to zrobiła. Zaczęła od nowa.

- Ciało dziewczynki miało coś przyklejonego do włosów. Na początku myślałam, że to męskie nasienie... - Szymon gwałtownie chwycił się dłonią stołu, a ona przypomniała sobie, że nie mówi do swoich studentów. - Tak czy owak, obiekt ten zachował swój pierwotny, podłużny kształt, zapewne cukierka.

Teraz do rzeczy.

- Szczególnie uważnie musimy zastanowić się nad czasem i miejscem odnalezienia ciał - oznajmiła spokojnie. - Znaleziono je na mulastym podłożu. Na każdym był kurz, choć pasterz, który na nie wpadł, zapewniał przeora Gotfryda, że dzień wcześniej ich tam jeszcze nie było. W takim razie zabrano je z miejsca, gdzie je trzymano, na kredzie, do miejsca, gdzie tego ranka znalazł je pasterz, na muł.

Zdawało się, jakby od tamtej pory minął już rok. Szymon wpatrywał się w jej oczy, czytał z nich.

- Tego ranka przybyliśmy do Cambridge - powiedział. - Noc wcześniej byliśmy... Jak się nazywało to miejsce?

- To część wzgórz Gog i Magog - podsunęła Adelia. - Kreda. Mansur podążył za tokiem jej rozumowania.

- Czyli nocą ten pies je przeniósł. Z naszego powodu?

Wzruszyła ramionami. Powiedziała tylko to, co było do udowodnienia, wyciąganie wniosków pozostawiła innym. Czekala, co z tym wszystkim zrobi Szymon z Neapolu.

Wspólna podróż wzbudziła w niej szacunek dla śledczego. Podekscytowanie, niemal naiwność, jakie okazywał innym, nie stanowiły wyszukanego kamuflażu, lecz reakcją na przebywanie wśród ludzi i w żaden sposób nie zdradzały umysłu, który kalkulował błyskotliwie i szybko. Za zaszczyt dla siebie i Mansura uważała, że gdy byli sami, pozwalała im patrzeć, jak nim pracuje.

- Zaiste... - Pięści Szymona delikatnie uderzyły w stół. - To nastąpiło zbyt szybko, aby stanowić zbieg okoliczności. Od jak dawna te biedne duszyczki były zaginione? W jednym przypadku od roku? Ale kiedy nasza kawalkada pielgrzymów zatrzymała się przy drodze zeszłej nocy i nasz wóz pojechał w górę zbocza... to odnaleziono wszystkie naraz.

- On nas widział - powiedział Mansur.

- I przeniósł ciała...

- Przeniósł ciała. - Szymon rozpostarł szeroko dłonie. - Ale dlaczego? Bał się, że znajdziemy je tam, gdzie je trzymał, na wzgórzu.

Adelia, wcielając się w rolę adwokata diabła, zapytała:

- Dlaczego miał się bać, że akurat my je znajdziemy? Przez te wszystkie miesiące inni też musieli chodzić po tych wzgórzach, a ich nie znaleźli.

- Może aż tak wielu tam nie chadzało. Zaraz, jak się nazywało, jak się nazywało to wzgórze, na którym byliśmy... Przeor mi mówił... - Po-stukał się w czoło, potem uniósł wzrok ku dziewczce, która przysłała przyciąć knoty.

- Matyldo?

- Tak, panie? Szymon pochylił się ku niej.

- Krąg Wandlebury.

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy, przeżegnała się i wycofała. Szymon rozejrzał się wokół.

- Krąg Wandlebury - oznajmił. - Co mówiłem? Nasz przeor miał rację. To jest miejsce związane z różnymi przesadami. Nikt tam nie chodzi, pozostawia je się tylko owcom. Ale my

tam zeszłej nocy poszliśmy. Widział nas. Dlaczego tam poszliśmy? Nie wiedział. Żeby rozbić namioty? Zatrzymać się tam? Przejść się po tamtym miejscu? Nie miał więc pewności, co będziemy robić, i niepokoił się, bo tam były ciała, a my mogliśmy je znaleźć. Przeniósł je. - Odchylił się na krześle. - On ma kryjówkę na Kręgu Wandlebury.

Widział nas. Adelia doznała nagłej, nieprzyjemnej wizji skrzydeł nietoperza złożonych nad stosem kości, pyska węszącego za obcymi, nagłego uchwytu pazurów.

- Czyli wykopał te ciała? Przeniósł je na jakąś odległość? Zostawił, żeby je znaleziono? - mówił Mansur, głos robił mu się coraz cieńszy, w miarę jak rosło w nim niedowierzenie. - Czy on mógłby być taki głupi?

- Próbował nas zwieść, żebyśmy nie wiedzieli, że ciała leżały najpierw na kredzie - oznajmił Szymon. - Nie przeczuwał, że z nami jest *medica* Trotula.

- A może on chciał, żeby je znaleziono - zasugerowała Adelia. - Czy on z nas szydzi? Weszła Gyltha.

- Kto wystraszył moje Matyldy? - Zachowywała się agresywnie, a obcinacz do knotów trzymała tak, że Szymon w przestraszu aż splótł dłonie na kolanach.

- Gyltha, Krąg Wandlebury - powiedział Neapolitańczyk.

- I co? Nie wiercie w te bzdury, co gadają o wzgórzu. Dziki gon? Ja sobie tym nie zawracam głowy. - Postawiła latarenkę i zaczęła ciąć knot. - To tylko zwykłe wzgórze, to całe Wandlebury. Ja mam gdzieś takie wzgórze.

- Dziki gon? - dopytywał się Szymon. - Co to jest dziki gon?

- Zgraja wściekłych kundli o czerwonych ślepiach, prowadzona przez księcia ciemności, a ja nie wierzę nawet w słowo z tego, ja myślę, że tu chodzi o zwykłych zabójców owiec. A ty, Ulf, wylaż stamtąd, ty szkodniku, bo poszczuję na ciebie całą taką sforę.

Po drugiej stronie sali była galeryjka, schody na nią zakrywały drzwi w obłożonej drewnem ścianie, gdzie właśnie przycupnęła mała, niepozorna postać wnuka Gylthy. Mruczał coś i gapił się na nich.

- Co mówi ten chłopiec?

- Nic! - Pchnęła dzieciaka w stronę kuchni. - Zapytajcie o dziki gon tego obiboka Wulfa, on zna mnóstwo tych bredni. Wydaje mu się, że kiedyś to widział, i sprzedaje wam tę gadkę za kufelek piwa.

Kiedy wyszła, odezwał się Szymon.

- Dziki gon, *Benandanti*, *Chausse Sauvage*. *Das Woden here*. To wierzenie rozpowszechnione w całej Europie i wszędzie jest mniej więcej takie samo. Zawsze mowa o psach z płonącymi ślepiami, zawsze o czarnym i straszliwym jeźdźcu, zawsze tych, co to widzą, spotyka śmierć.

W pokoju zapadła cisza. Adelia jakoś bardziej niż do tej pory zaczęła dostrzegać ciemność, czając się za otwartymi skrzydłami okien z połączonych kawałków szkła. Zaczęła widzieć mrok, gdzie coś szeleściło wśród wysokiej trawy. Z trzcin nad rzeką dobiegło buczenie wiosennych bąków, akompaniując przy posiłku. Teraz ów brzęk nabrał głębi uderzeń w żałobny bęben.

Potarła ramię, aby pozbyć się gęsiej skórki.

- Czyli możemy przyjąć, że zabójca mieszka na wzgórzu? - spytała.

- Możliwe, że tak. Możliwe, że nie - odparł Szymon. - Z tego, co zrozumiałem, dzieci znikają z okolic miasta. Raczej mało prawdopodobne, aby cała trójka, w różnym czasie, zawędrowała tak daleko, aż na wzgórze, z własnej nieprzymuszonej woli. Małe są też szanse, aby ta kreatura cały swój czas spędzała w owym miejscu, strzegąc kryjówki i napadając zniemacka tych, którzy by się tam zbliżyli. Te dzieci raczej tam zwabiono, co również jest niezbyt prawdopodobne, bo to przecież dystans kilku mil. Chyba że je tam zabrano. Możemy przyjąć zatem, że ów człowiek wypatrywał swoich ofiar w Cambridge, a na wzgórzu tylko zabijał. - Zerknął na swój kubek z winem, jakby dopiero go zauważył. - Co by na to wszystko powiedziała moja Bekka? - Napił się.

Adelia i Mansur milczeli. Było coś jeszcze. Coś czającego się na zewnątrz, czekającego tylko, aby wejść do domu.

- Nie... - Szymon mówił teraz powoli. - ...nie, jest jeszcze inne wyjaśnienie. Nie podoba mi się ono, lecz trzeba je rozważyć. Niemal pewne jest, że to nasza obecność na wzgórzu doprowadziła do szybkiego zabrania ciał. A co, jeśli my nie tyle zostaliśmy wtedy dostrzeżeni przez mordercę, który już był in situ, za sprawą niezwykłego zbiegu okoliczności, ile to

właśnie my przyprowadziliśmy go ze sobą?

Owo czające się coś właśnie znalazło się w środku.

- Kiedy zajmowaliśmy się przeorem Gotfrydem - kontynuował Szymon - co tej długiej nocy robili inni członkowie naszej grupy? Co? Przyjaciele, musimy rozważyć taką możliwość, że ten nasz morderca jest jednym z pielgrzymów, do których dołączyliśmy w Canterbury.

Noc za oknami zrobiła się jeszcze ciemniejsza.

## Rozdział 6

Miękkie postania były kolejną rzeczą, którą Gyltha nie zawracała sobie głowy. Adelia chciała materac wypchany gęsim puchem, taki na jakim sypiała w Salerno. Nie omieszkała swojego życzenia wypowiedzieć na głos. Przecież, jakkolwiek by na to spojrzeć, po niebie nad Cambridge latało mnóstwo gęsi.

- Gęsie pióra cholernie ciężko się czyści - stwierdziła Gyltha. - Słoma jest czystsza, zmienia się ją codziennie.

Między nimi dwiema panowało już napięcie. Adelia domagała się więcej zieleniny w swoich posiłkach, co Gyltha traktowała wręcz jako obrazę majestatu. Teraz nadszedł czas próby, taka a nie inna odpowiedź mogła zdecydować, kto w przyszłości zyska przewagę.

Chociaż z drugiej strony prowadzenie choćby najskromniejszego gospodarstwa domowego przekraczało zdolności medyczki. Miała niewiele koniecznych do tego umiejętności, mało wiedziała o robieniu zapasów czy też załatwianiu spraw z kupcami innymi niż aptekarze. Nie potrafiła też prażyć, tkąć, jej znajomość ziół i przypraw ograniczała się do spraw leczenia, nie gotowania. Szyć umiała jedynie na tyle, by połączyć brzegi rozdartego ciała albo połączyć zwłoki, które rozcięła w trakcie sekcji.

W Salerno podobne sprawy nie miały znaczenia. Wspaniała człowiek, jakim był jej przybrany ojciec, wcześniej rozpoznał u Adelii umysł równy swojemu - a ponieważ mieszkali w Salerno, zachęcił ją, by została medyką, takim jak on i jego żona. Prowadzeniem dużej willi zajmowała się jego szwagierka. Potrafiła tak doglądać gospodarstwa, że wszystko toczyło się niczym na dobrze naoliwionych kołach, i nawet nie podnosiła przy tym głosu.

A poza tym przecież pobyt Adelii w Anglii miał być tylko chwilowy, bez potrzeby zajmowała się obejściem.

Medyczka nie zamierzała jednak dawać się tyranizować jakiejś służącej. Odparła zatem ostro:

- No to zadbaj, żeby słomę faktycznie zmieniano codziennie. Poszła na kompromis, na razie ustępując Gylcie, ostateczny rezultat

bitwy wciąż pozostawał nieustalony. Teraz nie miała jednak ochoty prowadzić do rozstrzygnięcia, bo bolała ją głowa.

Ostatniej nocy Stróż dzielił z nią izbę, co stanowiło wynik innej przegranej batalii. Na protesty Adelii, twierdzącej, że pies za bardzo cuchnie, by nocować gdziekolwiek indziej niż na dworze, Gyltha odparła:

- To rozkaz przeora. Pies ma łązić wszędzie tam, gdzie ty. I tak oto pochrapywanie zwierzęcia zmieszało się z nawoływaniem

i piskami od strony rzeki, do których medyczka również nie była przyzwyczajona. Co gorsza, sny zmieniły się w koszmary za sprawą poczynionej przez Szymona sugestii, iż twarz mordercy może się okazać znajoma. Zanim udała się na spoczynek, rozwinęła jeszcze ten temat.

- Kto spał przy ognisku przy trakcie i kto stamtąd odchodził? Jakiś mnich? Rycerz? Łowczy? Poborca podatków? Czy to któryś z nich wykradł się, aby zebrać te biedne kości? Pamiętajcie, one były lekkie i może wziął konia do pomocy. Kupiec? Jeden z pachołków? Minstrel? Słudzy? Musimy wszystkich wziąć pod uwagę.

Kimkolwiek on był, ostatniej nocy wleciał przez okno jej izby pod postacią sroki, trzymającej w szponach żywe dziecko. Usiadłszy na piersiach Adelii, rozdarł ciało. Pozbawione powiek oko przypatrywało jej się bacznie, dziób zaś wydziobywał dziecięcą wątrobę.

Senna wizja okazała się tak przekonująca, że medyczka obudziła się, dysząc ciężko, przekonana, iż jakiś ptak naprawdę właśnie zabił dziecko.

- Gdzie jest mistrz Szymon? - zapytała Gylthy. Było jeszcze wcześniej. Zwrócone na

zachód okna sali wychodziły

na łąkę, wciąż jeszcze zacienioną przez dom, lekko opadającą ku rzece, gdzie światło słońca już połyskiwało na wodach Cam, tak gładkich, głębokich i błędzących między wierzbami, że Adelia aż poczuła nagłą chęć, żeby pójść tam i zanurzyć się jak kaczką.

- Wyszedł. Chciał się dowiedzieć, gdzie tutaj są kupcy handlujący wełną.

- Mieliliśmy dzisiaj iść na Krąg Wandlebury - odparła medyczka, zirytowana.

Wczoraj wieczorem uzgodnili, że przede wszystkim muszą odkryć kryjówkę mordercy.

- I tak powiedział, ale Czarniawy nie może dziś z nim iść, więc on chce pójść jutro.

- Mansur - rzuciła Adelia. - On ma na imię Mansur. Dlaczego nie może iść?

Gyltha skinęła ku drugiemu końcowi sali i w stronę lombardu Starego Beniamina.

- Przez nich. Adelia stanęła na palcach, wyrzała przez jedną z wąskich okiennych szczelin.

Pod wejściem zgromadził się tłum. Niektórzy z nich siedzieli tak, jakby czekali już od dłuższego czasu.

- Przyszli się spotkać z medykiem Mansurem - oznajmiła Gyltha, kładąc nacisk na imię eunucha. - Właśnie dlatego nie możecie iść na wzgórze.

To komplikowało sprawę. Powinni przewidzieć coś podobnego, ale kiedy pozwolili Mansurowi wcielić się w rolę medyka, nieznanego, zagranicznego lekarza w tętniącym życiem mieście, jakoś nie przyszło im do głowy, że na kark mogą zwalić mu się pacjenci. Wieści o ich spotkaniu z przeorem rozeszły się i uznano, że remedium na wszelkie choroby znaleźć można przy uliczce Jezusowej.

Adelia była skonsternowana.

- Ale co ja mam z nimi zrobić? Gyltha wzruszyła ramionami.

- Z tego, co widać, większość z nich i tak umrze. Najwyraźniej święty Piotruś im nie pomógł.

Święty Piotruś, ten mały, cudowny szkielet, którego kości przeorysza, niczym jakiś uliczny naganiacz, wychwalała głośno całą drogę z Canterbury.

Adelia westchnęła. Zrobiło jej się żal cierpiących ludzi, którzy przybywali do relikwii pchani rozpaczą, a teraz, rozczarowani, zjawili się tutaj. I tak naprawdę, wyjąwszy kilka przypadków, ona sama potrafiła zdziałać niewiele więcej. Zioła, pijawki, mikstury, a nawet wiara, to wszystko nie mogło powstrzymać fali chorób, zżerającej ludzkość. Medyczka chciała, aby działo się inaczej. O Boże, jak bardzo chciała.

Wiele czasu minęło, od kiedy ostatni raz miała do czynienia z żywymi pacjentami - wyjąwszy skrajne przypadki, gdy w okolicy brakło zwyczajnego lekarza, tak jak było z przeorem.

Teraz pod jej drzwiami zgromadziło się mnóstwo ludzkiego bólu, nie mogła tego zlekceważyć. Coś należało zrobić. Ale jeśli zobaczono by ją, jak leczy, to przecież każdy lekarz w Cambridge pobiegłby z tym do biskupa. Kościół nigdy nie pochwalał wtrącania się człowieka do choroby, przez stulecia utrzymywał, że bożymi metodami leczenia są modlitwa i święte relikwie, reszta zaś należy do szatańskich sprawek. Pozwolił tylko na kuracje przeprowadzane w klasztorach i nie mając innego wyjścia, tolerował świeckich medyków dopóty, dopóki nie przeciągali struny. Jednakże niewiastom jako istotom z natury grzesznym w żadnym razie nie wolno było leczyć, oprócz wyznaczonych do tego położnych - a i tak musiały uważać, żeby nie oskarżono ich o czary.

Nawet w Salerno, owym sławnym ośrodku medycyny, Kościół próbował wprowadzić celibat wśród lekarzy. Nie powiodło się, podobnie jak nie udało się zabronić praktyki lekarskiej kobietom. Ale to było Salerno, wyjątek potwierdzający regułę...

- Co zrobimy? - zapytała. Małgorzata, najpraktyczniejsza z kobiet, z pewnością by wiedziała.

„Na wszystko jest sposób. Po prostu zostaw to starej Małgorzacie”.

- Co się strachasz? - burknęła Gyltha. - To łatwe jak pocałowanie ręki. Udajesz, że jesteś pomocnicą lekarza, mieszasz mu mikstury czy coś. Oni po angielsku gadają, co im jest. Ty mówisz o tym doktorowi tym swoim bebleniem, on ci odbebluje i gadasz im, co robić.

Niezbyt wyszukane, ale genialnie proste. Jeśli okazałoby się, że potrzeba jakiejś kuracji, na zewnątrz wszystko by wyglądało, jakby to doktor Mansur przekazywał polecenia swojej służce.

- To nawet niegłupie - stwierdziła Adelia.

- No to się bierz do roboty. - Gyltha wzruszyła ramionami.

Saracen, gdy opowiedziano mu o wszystkim, jak zwykle zachował spokój. Angielka uznała, że Arab nie ma odpowiedniego wyglądu.

- Medyku, weź go na targ, niech se kupi płaszcz z gwiazdami, czaszkę na stolik i coś do przepowiadania z gwiazd.

Adelia zeszywniała, gdy usłyszała sugestię korzystania z magii.

- On będzie praktykować medycynę, a nie gusła. Cambridge musiało więc zadowolnić się zawojem okalającym twarz

Mansura o profilu niczym dziób ciemnego orla i głosem operującym w wyższych rejestrach. Dość w tym magii dla wszystkich.

Ulfa posłano do apteki z listą zakupów. Poczekalnią uczyniono miejsce, gdzie mieścił się dotąd lombard.

Bardzo zamożni zatrudniali własnych medyków, bardzo ubodzy leczyli się sami. Ci zaś, którzy przyszedli na uliczkę Jezusową, nie byli ani jednymi, ani drugimi. Zjawili się rzemieślnicy, pracujący za gotówkę.

Gdy przychodziło do najgorszego, potrafili wyłożyć grosz czy dwa albo nawet kure, tak aby mieć czym zapłacić za poradę.

I właśnie u większości z nich doszło do najgorszego. Domowe środki nie działały, nic też nie dało ptactwo, które przekazali klasztorowi Świętej Radegundy. Jak mówiła Gyltha, święty Piotruś im nie pomógł.

- Skąd to się wzięło? - Adelia pytała żony kowala, delikatnie czyszcząc wacikiem jej oczy, sklezione żółtą wydzieliną. Przypomniała sobie, aby jeszcze dodać: - Medyk chce to wiedzieć.

Najwyraźniej przeorysza od Świętej Radegundy namówiła kobietę, aby zamoczyła chustę w szlamie z gnijących zwłok, które kiedyś były świętym Piotrusiem, gdy wyciągnięto go z rzeki, a potem wytarła nią oczy. Miało to wyleczyć postępującą ślepotę.

- Ktoś powinien ukatrupić tę przeoryszę - warknęła po arabsku lekarka do Mansura.

Żona kowala domyśliła się znaczenia słów i zaczęła bronić zakonnicy.

- To nie wina Piotrusia. Przeorysza powiedziała, że ja nie modliłam się wystarczająco żarliwie.

- Zabiję ją - stwierdziła Adelia. Nie mogła nic poradzić na ślepotę tej kobiety, ale dała jej do przemywania oczu słaby, precedzony wywar z rzepiku. Stosowany regularnie powinien wyleczyć zapalenie.

Przez resztę poranka niewiele było okazji do zmniejszenia wściekłości medyczki. Złamane kości pozostawiono zbyt długo samym sobie i pozrastały się krzywo. Trzymany w objęciach matki martwy niemowlak mógł zostać uratowany, jeśli przy jego konwulsjach podano by wywar z kory wierzbowej. Trzy złamane palce u nogi opanowała gangrena: sukno nasączone opium, trzymane przez pół minuty nad nosem młodego mężczyzny, i zręczne użycie noża ocaliło stopę, ale amputacji wcale nie trzeba byłoby robić, gdyby pacjent nie tracił czasu na zwracanie się do świętego Piotrusia.

Gdy zaszyto i opatrzone kikuty, a chory wrócił do domu, poczekalnia opustoszała. Adelia szalała.

- Niech szlag trafi tę świętą Radegundę i wszystkie jej gnaty! Widzieliście tego niemowlaka? Widzieliście to? - Rozwścieczona, odwróciła się ku Mansurowi: - A tobie co przyszło do głowy, żeby zalecać dziecku cukier na kaszel?

Mansur rozsmakował się w swojej pozycji. Kiedy pacjenci mu się kłaniali, robił im nad głowami tajemnicze gesty. Odwrócił się w stronę Adelii.

- No, cukier na czkawkę - odparł.

- A co, teraz ty jesteś medykiem? Cukier to może jest arabskie lekarstwo, ale on nie rośnie w tym kraju i jest tutaj bardzo drogi, a zresztą w tym wypadku na nic by się nie przydał.

Głośno tupiąc, poszła do kuchni, żeby napić się z kadzi. Kiedy skończyła, cisnęła cynowy kubek z powrotem do wody.

- Niech ich diabli, niech diabli wezmą tę ich ciemnotę! Gyltha uniosła wzrok znad rozwałkowanego ciasta. Dzisiaj przydała

się, by objaśnić nazwy kilku dolegliwości, wypowiedzianych we wschodnioangielskim narzeczu. Na przykład „kuternoga” okazał się kulawym.

- No, dziecko, ale przecież uratowałaś giczoła młodego Cookera.

- On kładzie strzechy - odparła Adelia. - Jak będzie wchodził po drabinie z dwoma



palcami u stopy?

- Łatwiej, niż gdyby w ogóle nie miał nogi.

Stosunek Gylthy do medycyki teraz nieco się zmienił, ale Adelia miała zbyt podły humor, aby to zauważyć. Rankiem przyszło do niej dwudziestu jeden zrozpaczonych ludzi - a raczej do medyka Mansura - ona zaś umiałaby pomóc tylko ośmiorgu z nich, gdyby zgłosili się wcześniej. A tak, uratowała zaledwie trójkę, no w sumie czwórkę. Kaszlące dziecko mogło znaleźć ulgę dzięki wdychaniu oparów wywaru z sosny, jeśli tylko nie miało zbyt zajętych płuc.

Jakoś przeoczyła fakt, że nie przybyła tutaj, aby kogokolwiek leczyć. No, ale oni wszyscy znaleźli się przecież w potrzebie.

Myślnami powędrowała daleko. Żuła ciastko, które Gyltha wsunęła jej do ręki. Pomyślała, że jeśli pacjenci nadal będą przybywać tak tłumnie jak dzisiaj, musi zorganizować sobie własną kuchnię. Nalewki, wywary, maści, proszki, żeby to wszystko robić i przechowywać, potrzeba czasu oraz miejsca.

Aptekarze często przecież okazywali się naciągaczami. Nie ufała im, od kiedy Signore D'Amelie przyłapano na mieszanii swoich najcenniejszych proszków z kredą.

Kreda. Właśnie tam, gdzie ona była, właśnie tam Szymon i Mansur powinni się teraz znajdować, przeszukiwać kredowe wzgórze Wandlebury. Adelia uznała jednak, że dobrze, iż śledczy nie wyruszył samotnie do tego przyprawiającego o ciarki miejsca. Wszak do zagładania w owe tajemnicze jamy potrzeba więcej niż jednego człowieka. Nie wspominając już, że z któregoś z nich mógł wyskoczyć morderca. A wtedy z pewnością przydałby się Mansur.

- Mówiłaś, że mistrz Szymon odwiedza handlarzy wełną?

- Zabrał ze sobą te strzępki, którymi tamten diabeł związał dzieciaki - przytaknęła Gyltha.

- Chce się dowiedzieć, czy któryś z kupców sprzedawał taką wełnę i komu.

Tak. Adelia wyszukała dla niego dwa paski sukna. Jako że wzgórze Wandlebury musiało poczekać, Szymon zajął się inną sprawą, choć medyczka zdziwiła się, że opowiedział o tym Gylcie. Ale, w sumie, jako ich gospodyni należała do zaufanych osób.

- Chodźmy na górę - powiedziała jej Adelia, pokazując, aby ruszyła za nią. Umilkła na chwilę. - Tamto ciastko...

- Moje owsiane miodowe ciastko.

- Było bardzo pożywne.

Zaprowadziła Gylthę do stołu w swojej izbie, na której leżała zawartość torby z kozłej skóry. Wskazała jeden ze skrawków dziwnej substancji-- Widziałaś już kiedyś coś takiego?

- Co to jest?

- Myślę, że to może być cukierek. Owa substancja miała kształt podłużny, była szarawa, kruszyła się,

lecz pozostawała twarda niczym kamień. Adelia musiała użyć najostrzejszego ze swoich noży, aby odciąć z niej skrawek. Gdy to zrobiła, odsłoniło się różowe wnętrze i wydobyło się coś, co jeśli dobrze poszukało się w pamięci, stanowiło słabiusienki cień woni jakiegoś pachnidła.

- To było wplątane we włosy Marii - oznajmiła. Gyltha zacisnęła powieki, przeżegnała się, a potem otworzyła oczy,

by dokładnie się przyjrzeć.

- Ja bym powiedziała, że to żelatyna - zachęcała ją Adelia. - O woni kwiatów albo owocu. Słodzona miodem.

- Smakołyk bogacza - natychmiast stwierdziła Gyltha. - Nie widziałam czegoś takiego.

Ulf!

Nie minęła chwila, a jej wnuk już zjawił się w izbie. Adelia podejrzewała, że czekał pod drzwiami.

- Widziałeś kiedy coś takiego? - zapytała go Gyltha.

- Łakocie - warknął chłopak. Czyli naprawdę warował pod drzwiami. - Ja cały czas kupuję słodczyce, pieniądze aż mnie świerzbiją...

Kiedy tak mamrotał, jego bystre małe oczka zlustrowały cukierek, fiolki, pozostałe paski sukna suszące się obok okna, wszystkie dowody przyniesione z pustelni świętej Werberty.

Adelia zakryła je sukmem.

- No i? Ulf pokręcił głową, pozując teraz na autorytet.

- To tutaj ma zły kształt. U nas cukierki są jak świderki i kulki.
- No to wynocha - rzuciła mu Gyltha. Kiedy chłopak odszedł, rozłożyła ręce.
- Jeśli on czegoś takiego nie widział, znaczy się, że tego u nas nie ma.

Adelia była rozczarowana. Ostatniej nocy olbrzymia grupa podejrzanych, równająca się wszystkim mieszkańcom Cambridge, zmniejszyła się nieco dzięki decyzji o skupieniu się na pielgrzymach. Ale nawet teraz, nie licząc żon, mniszek i służek, podejrzanych było czterdziestu siedmiu.

- Pewnie możemy też odliczyć tego kupca z Cherry Hinton, prawda? Wyglądał na niegroźnego.

Jednak po rozmowie z Gylthą okazało się, że Cherry Hinton leży na zachód od Cambridge i prosta stamtąd droga na wzgórze Wandlebury.

- Nie odliczamy nikogo - oznajmił Szymon. Aby jednak zawęzić grupę podejrzanych, zanim zaczną wypytywać te czterdzieści siedem osób, śledczy zabrał się do poszukiwania źródła skrawków sukna, Adelia zaś - słodyczy.

Które to źródła okazały się nie do ustalenia.

- Chociaż musimy zakładać, że rzadkość występowania owych rzeczy wzmocni ich związek z zabójcą, kiedy już go odnajdziemy - oznajmiła Adelia.

Gyltha nadstawiła uszu.

- Sądzisz, że to on zabił Marię?

- Tak właśnie sądzę.

- Biedna Maria była kruszyną, bała się ojca, zawsze ją lał, ją i jej matkę, wszystkiego się bała. Nigdy daleko nie wędrowała. - Gyltha obejrzała cukierek. - I ty myślisz, że ją tym zwabiono?

Obie kobiety podzieliły chwilę refleksji i zastanowienia. Przed oczyma stanęła im ręka robiąca zachęcające gesty, druga, trzymająca zamorski smakołyk. Dziecko, które wabione zbliża się coraz bardziej, bardziej, jak ptak kuszony przez wiercącego się gronostaja...

Gyltha pobiegła w dół schodów, aby przestrzec Ulfa przed niebezpieczeństwem, jakim mogą być mężczyźni częstujący słodyczami.

Sześciolatka, pomyślała Adelia. Ciągle wystraszona, sześć lat życia z brutalnym ojcem i straszliwa śmierć. Co ja mogę zrobić? Co ja mam zrobić?

Poszła na dół.

- Mogę pożyczyć Ulfa? Może coś da obejrzenie tych miejsc, w których zniknęło każde z dzieci. No i powinnam przyjrzeć się kościom świętego Piotrusia.

- Wiele ci one, dziewczyno, nie powiedzą. Mniszki je wygotowały.

- Wiem. - Tak zwykle robiono z ciałem domniemanego świętego. - Ale same kości też potrafią mówić.

Piotruś był *primus inter pares* wśród zamordowanych dzieci, pierwszym, które zaginęło, i pierwszym, które umarło. Z tego co dało się wydedukować, jedyne, czym jego śmierć różniła się od pozostałych, stanowiło to, iż prawdopodobnie doszło do niej w Cambridge.

Zatem tylko jego zgon mógł być skutkiem ukrzyżowania. Jeśli nie da się udowodnić, że stało się inaczej, misja Adelii i Szymona zakończy się niepowodzeniem. Żydzi nie zostaną oczyszczeni z zarzutów, nieważne, ilu zabójców śledczy wyciągną z kredowych wzgórz.

Złapała się, że tłumaczy to Gylcie.

- Może rodziców chłopca da się nakłonić, aby ze mną porozmawiali. Oni mogli widzieć jego ciało, zanim je ugotowano.

- Walter i jego żonka? Oni widzieli gwoździe w jego małych rączkach i koronę cierniową na jego biednej główce i nie powiedzą nic innego, bo stracą wtedy mnóstwo grosza.

- Robią pieniądze na swoim synu? Gyltha wskazała w górę rzeki.

- Przejdź się do Trumpington i ich chaty, której nie dojrzysz zza tłumy cisnącego się do środka, tłumy chcących pooddychać tym samym powietrzem, co święty Piotruś, i dotknąć koszuliny świętego Piotrusia, która nią nie może być, bo przecież on swoją jedyną miał na grzbiecie. A Walter i Ethy siedzą sobie na przyzbie i biorą po pensie.

- Żałosne. Gyltha zawiesiła kociołek nad ogniem, odwróciła się.

- Wygląda na to, że nigdy ci niczego nie brakowało, pani. Zwróciła się do niej „pani”, co było znaczące. Równowaga, do której udało im się dojść dzisiaj rano, się zachwiała.

Adelia przyznała, że faktycznie, niczego jej nie brakowało.

- W takim razie poczekaj, aż będziesz miała sześcioro bachorów do wykarmienia, nie

licząc tego, które umarło, i będziesz musiała w zamian za dach nad głową przez cztery dni orać i żąć na klasztornych polach, tak samo jak na własnym, nie mówiąc już o takiej Agnieszce, która musi zajmować się tym przeklętym sprzętaniem. Może ty nie pochwalasz tego, jak oni sobie poczynają, ale to nie jest żalosne, tu chodzi o to, żeby przetrwać.

Adelia umilkła. Odezwiała się dopiero po chwili.

- To ja pójdę do Świętej Radegundy i poproszę o możliwość obejrzenia kości w ich relikwiarzu. Wtopię się w tło - odezwiała się do Mansura z naciskiem, kiedy zaczął się już gotować, aby jej towarzyszyć. - Nie możesz iść. Równie dobrze mogłabym wtopić się w tło wraz z trupą akrobatów.

Zaprotestował, ale wyjaśniła, że jest środek dnia, wokół pełno ludzi, a ona ma swój nóż i psa, którego smród każdego wroga powali z odległości dwudziestu kroków. Zresztą, pomyślała, Arabowi nawet się uśmiecha pozostanie tutaj z Gylthą, w kuchni.

Wyszła.

Za sadem, wzdłuż krawędzi wspólnej między stał bal na podpórkach, ciągnąc się ku rzece i mając z dwóch stron pasma uprawnych pól. Mężczyźni i kobiety trudzili się, orząc pod wiosenny siew. Od czasu do czasu ktoś chylił przed nią czoło. Jeszcze dalej wiatr nadymał przypięte szpilkami pranie...

Jak zobaczyła Adelia, Cam stanowiła granicę. Za rzeką ciągnęły się delikatne wzniesienia, niektóre zalesione, inne nagie, gdzieś daleko stała zagroda, mała stąd niczym zabawka. A za plecami medyczki było miasto ze swoimi hałaśliwymi nadbrzeżami. Tłoczyło się po prawej stronie, tak jakby rozkoszowało się niczym niezakłóconym widokiem.

- Gdzie leży Trumpington? - zapytała Ulfa.

- Trumpington - burknął chłopiec do psa. Skręcili w lewo. Kąt, pod jakim padały promienie popołudniowego słońca, pokazywał, że ruszyli na południe. Mijały ich łodzie. Kobiety i mężczyźni odpychali je tyczkami od dna, zajęci swoimi sprawami, rzeka służyła im za trakt. Niektórzy machali do Ulfa, chłopiec odwzajemniał pozdrowienia skinieniem głowy i każdego przedstawiał psu.

- To Sawney, płynie, żeby zebrać daniny, stara larwa... To Gammer White z praniem dla Cheniesów... Siostra Tłuscioszka z jedzeniem dla pustelników, patrz, jak się rozděła... O, stara Moggy szybko się dziś sprawiła z kupcami na targu...

Szli szosą po grobli, która chroniła buty Adelii, bosa stopy chłopca i łapy Stróża od zapadnięcia się w mokradle. Niżej krowy pasły się w wysokiej trawie oraz jaskrach, między wierzbami i olchami, a ich racice plaskały zasysane przez błoto, gdy zmierzały ku świeżej części podmokłej łąki. Adelia jeszcze nigdy nie widziała tyle zieleni i tak różnorodnej. I tylu ptaków. I tyle bydła. W Salerno pastwiska były wypalone słońcem, nadawały się jedynie dla kóz.

Chłopiec zatrzymał się, wskazał skupisko strzech w oddali, nad którym wznosiła się wieża kościoła.

- Trumpington - powiadomił psa. Adelia przytaknęła.

- No, a teraz, gdzie jest drzewo świętej Radegundy? Chłopiec wyrócił oczyma i zaintonował:

- Święta Raddy! - Po czym wrócił drogą, którą tu przyszli.

Wraz ze Stróżem, który bez przekonania dreptał za nimi, przekroczyli rzekę po kładce i ruszyli na północ lewym brzegiem Cam, a na każdym kroku chłopiec żalił się psu. Z tego, co Adelia zdołała zrozumieć, narzekał, iż Gyltha zmieniała teraz zajęcie. Będąc u babki chłopcem na posyłki do załatwiania spraw związanych ze sprzedażą węgorzy, od czasu do czasu dostawał jakiś napiwek od klientów. A teraz owo źródło wyschło.

Medyczka nie zwracała na niego uwagi.

Wśród wzgórz na zachodzie melodyjnie zagrał róg. Stróż i Ulf podejrzliwie spojrzeli spode łba.

- Wilk - wyjaśnił Ulf psu. Echo ucichło i ruszyli dalej.

Teraz Adelia spjrzała poprzez wodę na Cambridge. Jego nierówne dachy, naszpikowane kościelnymi wieżami, pozbawione konkurencji na tle czystego nieba przykuwały uwagę, nawet miały w sobie pewne piękno.

W oddali wznosił się Wielki Most, masywny, solidny, choć niezbyt piękny łuk, teraz zapełniony tłumem ludzi. Za nim, tam gdzie rzeka tworzyła głęboki zbiornik pod zamkowym wzgórzem - w tej okolicy wyglądającym niemal jak góra - statki tak bardzo cisnęły się na

nadbrzeżach, że patrząc stąd, aż wydawało się niemożliwe, iż się ze sobą nie zderzają. Drewniane żurawie opadały i podnosiły się niczym szukające żab bociany. Rozbrzmiewały krzyki oraz polecenia w różnych językach. To, czym tutaj pływano, było tak samo różnorodne jak języki; wiosłowe łodzie, barki ciągnięte przez konie, barki, na których odpychano się od dna tykami, tratwy, korabie, a nawet, ku zdumieniu Adelii, arabski *dhow*. Widziała mężczyzn o jasnych warkoczach, odzianych w skóry. Wyglądali jak niedźwiedzie, skakali tam i z powrotem między barkami, jakby tańczyli ku ucieście portowych robotników.

Hałas i zgiełk, niesione bryzą, kontrastowały ze spokojem brzegu, po którym Adelia szła wraz z chłopcem. Usłyszała, że Ulf oznajmia psu, iż zbliżają się właśnie do drzewa świętej Radegundy.

Przyjrzała się mu uważnie. Drzewo otaczał płot. Zaraz za ogrodzeniem był mały stragan, a na nim stos gałązek. Dwie mniszki odrywały patyczki, do każdego przyczepiały wstążkę i sprzedawały jako relikwie.

Tu właśnie święty Piotruś zebrał bazie i tu później powieszono Żyda Chaima.

Drzewo stało poza terenem klasztoru, którego granicę wyznaczał mur, od strony rzeki wiodący ku wrotom obok szopy na łodzie i niewielkiej przystani, ale w stronę zachodnią biegł tak daleko w las, że Adelia nie była w stanie dostrzec jego krańca.

W otwartej bramie inne mniszki uwijały się wśród tłumu pielgrzymów. Wyglądały niczym czarno-białe pszczołki, kierujące zbieraczy miodu w stronę swojego ula. Kiedy Adelia przeszła pod łukiem furty, jakaś zakonnica, siedząca za stołem na słonecznym dziedzińcu, rozmawiała właśnie ze stojącymi przed nią mężczyzną i kobietą.

- Pens za nawiedzenie grobu świętego Piotrusia - oznajmiła. Po chwili dodała jeszcze: - Albo tuzin jaj, brakuje nam jaj, kury się nie nosią.

- A garniec miodu? - zaproponowała kobieta. Mniszka mruknęła coś pod nosem, ale pozwoliła im wejść. Adelia zapłaciła dwa pensy, bo zakonnica powiedziała, że inaczej nie wpuści Stróża, zaś Ulf nie chciał wchodzić bez psa. Wrzucone przez medyczkę pieniądze brzęknęły w misce, już prawie pełnej. Sprzeczką zahamowała nieco ruch kolejki, która uformowała się już za medyczką. Jakaś nadzorującą wszystko siostra zaczynała się denerwować opóźnieniem i niemal przepchnęła Adelię przez wejście.

Chcąc nie chcąc, Adelia porównywała pierwszy angielski żeński klasztor, jaki widziała, z konwentem St Giorgio, największym spośród trzech żeńskich zgromadzeń Salerno. Wiedziała, że takie porównywanie jest niesprawiedliwe, bo St Giorgio było wszak zamożną fundacją, miejscem pełnym marmuru i mozaik, z brązowymi wrotami otwierającymi się na dziedzińcu, gdzie powietrze chłodziły fontanny. Miejscem, które jak zawsze mawiała matka Ambrozja, „miało nakarmić pięknem przychodzące tu głodne dusze”.

Jeśli dusze z Cambridge wyglądały takiej strawy u Świętej Radegundy, odchodziły z kwitkiem. Na ów dom mniszek mało ktołożył datki, co sugerowało, że angielscy bogacze nie cenili zbyt wysoko żeńskiej duchownej posługi. Ale, prawdę mówiąc, w tworzącym klasztor zespole podłużnych budowli kryła się przyjemna prostota linii, mimo że żaden gmach nie był większy i bardziej ozdobny od spichlerza w St Giorgio. Jednak brakowało w tym wszystkim piękna. Podobnie jak miłosierdzia. Tutaj zakonnice zajmowały się głównie sprzedawaniem, nie dawaniami.

Na straganach ustawionych wzdłuż ścieżki do kościoła leżało pełno talizmanów świętego Piotrusia, wizerunków, proporczyków, figurek, kawałków bazi świętego Piotrusia, ampułek z krwią świętego Piotrusia, którą, jeśli to rzeczywiście była ludzka krew, tak rozcieńczono, że został po niej tylko delikatny ślad różu.

Wielu chciało to kupić.

- Co pomaga na chore stawy...? A co na biegunkę, na bezpłodność? Czy to wyleczy kulawą krowę?

W przybytku Świętej Radegundy nie zamierzano czekać całych lat, aż Rzym uzna świętość małego męczennika. Ale nie działało się tu jeszcze to, co w Canterbury, gdzie przemysł oparty na męczeństwie świętego Tomasza Becketa stał się znacznie większy i lepiej zorganizowany.

Adelia, pamiętając reprimendę od Gylthy, nie miała pretensji do owego biednego zgromadzenia o eksploatację męczennika. Ale nadal nie podobał się jej prostacki sposób, w jaki to wszystko robiono. Na miejscu działał już Roger z Acton. Wędrował wzdłuż kolejki pątników, wymachiwał ampułką, zachęcał zgromadzonych do kupowania.

- Ten, kto raz obmyje się krwią małego świętego, już nie będzie musiał się więcej myć!  
Ostry smród, jaki od niego zalatywał, dowodził, iż wziął sobie do serca tę radę.

Medyczka pamiętała, że Roger miotał się całą drogą do Canterbury jak zwariowana małpka, ciągle krzyczał. Nosił za dużą czapkę z klapami na uszy, zaś zielono-czarną suknię poplamioną miał błotem i jedzeniem.

W grupie pielgrzymów, która składała się w większości z osób wykształconych, ów człowiek zdawał się jakimś idiotą. Jednakże tutaj, wśród zrozpaczonych ludzi, jego skrzekliwy głosik miał moc. Roger z Acton mówił „kupujcie”, a słuchacze kupowali.

Sądono, że palec boży, gdy kogoś dotyka, naznacza go świętym szaleństwem. Acton wzbudzał respekt taki sam jak wychudzeni mężczyźni kiwający się w jaskiniach Wschodu albo słupnik balansujący na szczycie kolumny. Czyż święci nie doznają niewygód? Czyż zwłoki Tomasza Becketa nie miały na sobie włosienicy rojącej się od robactwa? Brud, ekstaza i umiejętność cytowania Biblii stanowiły oznaki świętości.

To był człowiek z rodzaju, jaki Adelia zawsze uznawała za niebezpieczny. Właśnie tacy ludzie obwoływali zdziwaczałe staruchy wiedźmami i zaciągali cudzołożników przed sąd, to ich nawoływania wszczynały akty przemocy wymierzone w inne rasy, w inne wiary.

Pozostawało pytanie, jak bardzo akurat ten jest niebezpieczny.

Czy to byłeś ty, rozmyślała Adelia, przyglądając się mężczyźnie. Czy to ty skradasz się na Krąg Wandlebury? Czy naprawdę pławisz się w dziecięcej krwi?

Jeszcze go o to nie zapyta, nie, póki nie ma dowodu, ale jak na razie Roger pozostawał całkiem niezłym kandydatem.

Nie rozpoznał jej, tak samo jak przeorysza Joanna, która minęła ich w drodze do bramy. Zakonnica ubrana była w strój do jazdy konnej, na jej nadgarstku siedział sokół. Przechodząc, zachęcała klientów myśliwskim okrzykiem *Tally-ho*.

Arogancka pewność siebie tej kobiety sprawiała, iż Adelia spodziewała się, że klasztor, nad którym sprawowała pieczę, będzie znakomicie zorganizowany. Ujrzała jednak mnóstwo zaniedbań. Kościół obrastał zielskiem, brakowało mu dachówek. Mniszki nosiły połatane habity, białe suknie pod czarnymi zawojami w większości były brudne, samym zaś zakonnicom brakowało ogłady.

Drepcząc za ogonkiem pątników wchodzących do kościoła, Adelia zastanawiała się, na co wydawane są pieniądze zarobione dzięki świętemu Piotrusiowi. Raczej nie na większą chwałę bożą. Także nie na wygody dla pielgrzymów. Nikt nie zajmował się chorymi, brakło ławek dla chromych, nie dawano pokarmów ani napojów. Jediną oznaką zainteresowania się sprawą noclegów dla pątników była pomięta lista miejskich gospód, przybita do klasztornej furty.

Jednakże ci, którzy dreptali w kolejce przed Adelią, nie zwracali na to uwagi. Jakaś kobieta o kulach, która, sądząc po plakietkach z jej odzieży, mogła pochlubić się pielgrzymowaniem do Canterbury, Winchester, Walsingham, Bury St Edmunds i St Albans, wyrozumiale odnosiła się do tutejszych kiepskich warunków.

- Pokładam w nim nadzieję - powiedziała. - On jest młodym świętym, ale ukrzyżowali go Żydzi. Jezus go więc wysłucha, na pewno.

Angielski święty, który z tych samych rąk podzielił los Syna Bożego. Który oddychał tym samym powietrzem, jakim oni teraz oddychają. Adelia przyłapała się na tym, iż wbrew sobie modli się, aby rzeczywiście pomógł.

Znalazła się już wewnątrz kościoła. Jakiś klerk siedział przy stoliku obok wejścia, właśnie spisywał relację kobiety o bladej twarzy. Opowiadała mu, że poczuła się lepiej po dotknięciu relikwiarza.

To jednak dla Rogera z Acton było za mało. Przybył i zadawał natarczywe pytania.

- Czy czujesz się silniejsza? Czujesz Ducha Świętego? Czujesz, że obmyto cię z grzechów? Minęła ci słabość?

- Tak - odparła kobieta, potem powtórzyła raz jeszcze bardziej egzaltowanym tonem. - Tak!

- Kolejny cud! - Wyciągnięto ją na zewnątrz, aby pokazać czekającym. - Ludzie, ozdrowienie! Chwalmy Pana i jego małego świętego!

Kościół pachniał drewnem i sianem. Kredowy szkic na kamiennej posadzce nawy głównej pokazywał, że ktoś starał się wyrysować na kamieniach jerozolimski labirynt. Jednak zaledwie kilku pielgrzymów słuchało zakonnicy, starającej się nakłonić do tego, by nim chodzono, reszta zaś pchała się ku bocznej kaplicy. Tam leżał relikwiarz, zasłonięty przed

Adelią pielgrzymami.

Czekając, rozejrzała się wokół. Piękna, kamienna tablica na ścianie głosiła: „Mężne Serce. AD 1151-AD 1169. Sprawileś się dzielnie, dobry i wierny sługo". Z drewnianych palców figury świętej Marii wisiały wodze i kielno.

Para stojąca przed Adelią dotarła do relikwiarza. Padli na kolana, pozwalając medycze pierwszy raz obejrzeć miejsce spoczynku Piotrusia.

Wstrzymała oddech. W białym blasku świec ujrzała wspaniałość, która wynagrodziła wszelkie dotychczasowe niedociągnięcia. Zobaczyła nie tylko jaśniejący relikwiarz, ale też młodą zakonnice u jego wezłowi. Klęczała, niewzruszona niczym kamień. Na jej twarzy malował się wielki smutek, dłonie złączyła w modlitwie, wyglądała, jakby żywcem przeniesiono ją z kart Nowego Testamentu. Niczym matka i jej martwe dziecko, razem tworzyli obraz pełen smutnego uroku.

Adelia poczuła ciarki przebiegające po karku. Nagle ogarnęło ją przemożne pragnienie, aby uwierzyć. Tutaj z pewnością czuć było promieniującą Prawdę, tę, która sprawiała, że wszystkie wątpliwości co do istnienia niebios i Boga zdawały się śmiechu warte.

Para się modliła. Ich syn przebywał teraz w Syrii, Adelia słyszała, jak o nim rozmawiali. Razem, tak jakby mieli już w tym praktykę, szeptali:

- O święte dziecko, jeśli wspomnisz o naszym chłopcu Panu i wrócisz go do domu bezpiecznie, będziemy ci wdzięczni po wsze czasy.

Boże, pomyślała Adelia, pozwól mi uwierzyć. Prośba tak czysta i prosta musiała zostać wysłuchana. Pozwól mi uwierzyć, tak pragnę uwierzyć.

Mężczyzna i kobieta odeszli, trzymając się za ręce. Adelia klęknęła. Mniszka uśmiechnęła się do niej. To była ta nieśmiała zakonnica, która towarzyszyła przeorowszy do Canterbury i z powrotem, teraz jednak bojaźliwość zmieniła się we współczucie. W oczach miała miłość.

- Święty Piotruś cię wysłucha, siostró.

Relikwiarz w kształcie trumienki ustawiono na rzeźbionym, kamiennym katafalku, tak aby znajdował się na poziomie oczu klęczącego. Już wiedziała, na co wydano pieniądze zgromadzenia. Na podłużne, wysadzane klejnotami pudełko, przez mistrza złotnika ozdobione scenami z życia chłopca, spędzanego w domu i na polach, a także męczeńskiej śmierci z rąk demonów oraz wstąpienia do raju, dokąd prowadziła go Maria.

W jeden z boków relikwiarza wstawiono cienką macicę perłową, tworząc w ten sposób okienko. Zaglądając w nie, Adelia widziała tylko kości dłoni, ułożone jak do modlitwy, na niewielkiej, aksamitnej poduszce.

- Jeśli chcesz, możesz ucałować jego kostkę. - Zakonnica wskazała monstrancję leżącą na wyściółce u szczytu relikwiarza. Przypominała saksońską broszę, a w niej wśród cennych kamieni znajdowała się oprawiona w złoto sękata kostka.

Kość trapezowa prawej dłoni. Blask chwały zbladł. Adelia znów stała się sobą.

- Dam jeszcze pensa i chcę obejrzeć cały szkielet. Mniszka zmarszczyła jasną brew. Była piękna. Potem nachyliła się

do przodu, zdjęła monstrancję i uniosła pokrywę relikwiarza. Gdy to robiła, zsunął jej się rękaw, odsłaniając ramię poczerwiałe od siniaków.

Adelia spojrzała na nią zszokowana. Tę delikatną, miłą dziewczynę bito. Mniszka uśmiechnęła się i opuściła rękaw.

- Bóg jest dobry - powiedziała. Lekarka miała taką nadzieję. Nie pytając o pozwolenie, wzięła jedną

ze świec i zbliżyła płomień do kostek.

O Boże, były takie drobne. Przeorowsza Joanna w swoich wyobrażeniach znacznie dodała swojemu świętemu wielkości. Relikwiarz sporządzono za duży, szkielet niemal w nim tonął. Adelia pomyślała, że wygląda jak mały chłopczyk w zbyt obszernym ubraniu.

Medycze łyzy napływały do oczu, chociaż widziała, iż zniekształcenie dłoni i stóp wynikało z usunięcia kości trapezowej. W kończynie nie wbito zatem żadnych gwoździ, nie przebito również klatki piersiowej ani kręgosłupa. Rana od włóczni, którą przeor Gotfryd opisywał Szymonowi, najprawdopodobniej stanowiła efekt procesów gnilnych. Ciało pewnie napuchło za bardzo, skóra nie wytrzymała i brzuch pękł.

Ale w okolicach miednicy ujrzała takie same ostre, nieregularne zarysowania jak u innych dzieci. Musiała się powstrzymać od wetknięcia dłoni do relikwiarza, podniesienia kości i przyjrzenia im się z bliska. Ale i tak miała niemal całkowitą pewność. Chłopca kilkakrotnie

dźgnięto ową szczególną klingą, nieznanego jej rodzaju.

- Hej, niewiasto! - Stojący za nią stawali się niecierpliwi. Adelia przeżegnała się i odeszła, wrzucając klerkowi przy drzwiach pensa na stół.

- Czy zostałaś uleczona, pani? - zapytał skryba. - Muszę zapisywać każdy cud.

- Możesz napisać, że poczułam się lepiej - odparła.

Lepszymi słowami byłoby „utwierdzona w słuszności tego, co robię”, pomyślała gorzko. Ja, *medica* Trotula, mam dowód, że ów chłopiec nie umarł na krzyżu, tylko z rąk jakiegoś rzeźnika, który wciąż jest wśród nas. A teraz idź, powiedz to sędziom, którzy nie wiedzą nic o anatomii, a jeszcze mniej o nią dbają, zwłaszcza gdy jej tajniki wyjawia cudzoziemka.

Dopiero kiedy znalazła się na zewnątrz, uświadomiła sobie, że Ulf nie wszedł z nią do środka. Ujrzała go, jak siedzi na ziemi pod furką i obejmuje kolana ramionami.

Adelia palnęła bez namysłu:

- Znałeś się ze świętym Piotrusiem? Odpowiedzią był wymuszony sarkazm, jak zwykle adresowany do

Stróża:

- W ogóle, bo przecież zimą ja nigdy nie chodziłem z nim do tej parszywej budy, prawda? W ogóle go nie znałem, co?

- Oczywiście, że go znałeś. Przepraszam. - Wiedziała, że zachowała się głupio. Ten szkielet był kiedyś kolegą i przyjacielem chłopca, któremu pewnie jest go żal. Dodała łagodnym tonem: - W sumie niewielu z nas może powiedzieć, że chadzało na lekcje ze świętym.

Ulf wzruszył ramionami.

Adelia nie miała doświadczenia w postępowaniu z dziećmi. Jeśli już się z nimi spotykała, to zwykle z umarłymi. Nie widziała żadnego powodu, by zwracać się do nich inaczej niż do ciekawych wszystkiego istot ludzkich i kiedy nie chciały z nią rozmawiać, tak jak ten tutaj, była w kropce.

- Przejdziemy się jeszcze raz do drzewa świętej Radegundy - oznajmiła. Chciała zamienić kilka słów z tamtejszymi mniszkami.

Wrócili tą samą trasą. Lekarce przyszła do głowy pewna myśl.

- Czy ty aby nie widziałeś tego swojego kolegi w dzień, w którym zaginął?

Chłopiec, nachylony do psa, wywrócił oczyma zirytowany.

- To była Wielkanoc. Na Wielkanoc ja i babka jesteśmy jeszcze na mokradłach.

- Och, powiedz - parła dalej. Chyba warto było próbować. Za jej plecami chłopiec zwrócił się do psa.

- Ale Will widział. Will z nim był, prawda? Adelia się odwróciła. - Will? Ulf zamruczał pod nosem, pies patrzył tępo.

- On i Will zrywali razem bazie. W relacji o ostatnim dniu świętego Piotrusia, jaką przeor Gotfryd

przekazał Szymonowi i jej, nie było mowy o żadnym Willu.

- Kim jest Will?

Kiedy Ulf miał się już odezwać do psa, Adelia położyła dłoń na głowie chłopca i przekreśliła go twarzą do siebie.

- Wolalabym, żebyś mówił wprost do mnie. Dzieciak odwrócił głowę z powrotem, aby móc spojrzeć na Stróża.

- Nie lubimy jej - oznajmił.

- I ja też was nie lubię - odparła Adelia - ale tu chodzi o to, kto zabił twojego kolegę ze szkoły i dlaczego to zrobił. Znam się na dociekaniu takich rzeczy i w tym wypadku potrzebuję twojej wiedzy o miejscowych sprawach, którą ty i twoja babka macie mi służyć. To, czy się wzajemnie lubimy, czy też nie, nie ma tu żadnego znaczenia.

- To zrobiły te wstrętne Żydy.

- Jesteś pewien?

Pierwszy raz Ulf spojrzał prosto na nią. Gdyby był teraz z nimi poborca podatków, zauważyłby u niego to, co dostrzegał u Adelii, gdy pracowała. Oczy chłopca postarzały jego twarz. Medyczka ujrzała w nich aż odpychający spryt.

- Chodź ze mną - polecił malec.

Adelia wytarła dłonie o spódnicę. Włosy dziecka, tam gdzie wychodziły spod czapki, były tłuste i prawdopodobnie zamieszkałe przez robactwo. Ruszyła za Ulfem. Wreszcie się

zatrzymał.

Teraz spoglądali poprzez rzekę na dużą, imponującą posiadłość z trawnikiem, który ciągnął się do niewielkiego pomostu. Po zamkniętych wszystkich okiennicach i zielsku porastającym rynnę widach było, że dom jest opuszczony.

- Tu mieszkał ten główny Żyd - oznajmił Ulf.
- To dom Chaima? Tam gdzie podobno ukrzyżowano Piotra? Chłopiec przytaknął.
- Tyle że wcale tak nie było.
- Z tego, co wiem, jakaś kobieta widziała ciało wiszące w jednej z izb.
- Marta - odparł chłopiec, a z jego tonu dało się wyczytać, że owo imię jest dla niego nazwą z tej samej kategorii, co reumatyzm, czyli oznacza rzecz nielubianą, choć do przeżycia.
- Ona by wszystko powiedziała, żeby tylko ktoś na nią zwrócił uwagę. - Jakby zagalopowując się w obmawianiu krajanki z Cambridge, dodał jeszcze: - A ja w ogóle bym jej nie wierzył, kiedy ona mówiła, że coś widziała, tak jak bym nie wierzył staremu torfiarzowi. Popatrz tutaj.

Znowu ruszyli, minęli wierzbę świętej Radegundy i stragan z gałęziami, skierowali się do mostu.

Tam właśnie człowiek, który dostarczał torf na zamek, ujrzał dwóch Żydów wrzucających do Cam pakunek, rzekomo ciało Piotrusia.

- Czyli sprzedawca torfu też się mylił? - zapytała Adelia. Chłopiec skinął głową.
- Stary torfiarz to na wpół ślepy i przeżarty przez robale łgarz. On nic nie widział. No bo .

...

Teraz wrócili do miejsca, z którego widać było dom Chaima.

- No bo - mówił Ulf, wskazując pusty pomost wrzynający się w wodę. - No bo tu znaleźli ciało, ono utknęło między tymi podporami. Czyli nikt nic nie zrzucił z mostu, no bo przecież...?

Spojrzał na nią, wyczekując. To był sprawdzian.

- No bo - dokończyła Adelia - zwłoki nie płyną pod prąd. Znające życie oczy chłopca nagle poweselały jak u nauczyciela, którego uczeń zabłyśnie czymś niespodziewanie. Zdała egzamin.

Ale skoro zeznanie sprzedawcy torfu okazało się tak ewidentnie nieprawdziwe, w dodatku wątpliwości wzbudzały słowa tej kobiety, która twierdziła, że zaledwie chwilę wcześniej widziała ukrzyżowane ciało dziecka w domu Chaima - to dlaczego jako winnych od razu wskazano Żydów?

- Bo ci przeklętnicy to zrobili - powiedział chłopiec. - Tyle że nie wtedy.

Gestem umorusanej ręki kazał jej usiąść, a potem przycupnął obok. Zaczął mówić, szybko, pozwalając wejść w świat dzieciaków, które stworzyły teorię opartą na własnych obserwacjach, nie zgadzając się z wnioskami wyciągniętymi przez dorosłych.

Adelia miała problem nie tylko z wschodnioangielskim akcentem, ale i w ogóle ze zrozumieniem gwary. Skakała więc od jednego zrozumiałego zdania do drugiego, jakby z kępy na kępę po trzęsawisku.

Will, z tego co zrozumiała, był chłopcem mniej więcej w wieku Ulfa i tak jak Piotr poszedł nazbierać bazi do ozdób na Niedzielę Palmową. Will właściwie mieszkał w Cambridge, ale on i chłopiec z Trumpington spotkali się pod drzewem świętej Radegundy, gdzie przywabił ich widok weselnych ceremonii na trawniku domu Chaima. Potem Will towarzyszył Piotrowi na drugą stronę mostu i w drodze przez miasto. Obaj chcieli zobaczyć, czy coś ciekawego jest w stajniach na tyłach domu Chaima.

Później Will opuścił swojego kompana, żeby nazbierać bazi dla matki.

Nastąpiła przerwa w opowieści, ale Adelia wiedziała, że to jeszcze nie koniec. Ulf był urodzonym gawędziarzem. Słońce mocno grzało i całkiem miło siedziało się w plamiastym cieniu wierzbowych gałęzek, chociaż futro Stróża wzbogaciło się po drodze o coś bardzo nieprzyjemnego, co zrobiło się jeszcze bardziej nieprzyjemne teraz, kiedy już wyszło. Ulf, trzymając w rzece swoje ruchliwe stopki, narzekał na głód.

- Daj mi pensiaka, a pójde coś kupię dla nas w kramie z ciastkami.
- Później - naciskała Adelia. - Niech to wszystko uporządkuję. Will odszedł do domu, a Piotr zniknął u Chaima i nikt go już więcej nie widział.

Dzieciak parsknął rozbawiony.

- Nikt go już nie widział poza Willem.
- Will widział go potem jeszcze raz?! To zdarzyło się później, tego samego dnia. Robiło



się już ciemno,

Will wrócił nad Cam, żeby przynieść ojcu kociołek z kolacją. Mężczyzna pracował aż do późnej nocy, uszczelniając barcę, aby była gotowa na rano.

I Will z brzegu, na którym leżało Cambridge, widział Piotra stojącego po drugiej stronie rzeki.

- Tu był, właśnie tutaj. Tu, gdzie my, do diabła, siedzimy. Will zawołał do Piotra, że już powinien wracać do domu.

- No bo powinien - dodał Ulf pouczającym tonem - bo jak na bagnach w Trumpington złapie cię noc, to błędne ogniki poprowadzą cię prosto do piekła.

Adelia nie zwróciła uwagi na błędne ogniki, nie wiedziała, co to jest, i nie dbała o to.

- Mów dalej.

- No i Piotr mu odrzyknął, że już idzie, bo ma spotkać kogoś z żydubami.

- Żydubami?

- Żydubami. - Ulf się zniecierpliwił, dwukrotnie wskazał palcem dom Chaima. - Żyduby, właśnie tak powiedział. Miał spotkać kogoś z żydubami, a Will miał pójść z nim. Ale Will powiedział, że nie pójdzie i się teraz okropnie cieszy, że tak zrobił, bo właśnie po tym nikt już więcej Piotra nie widział.

Żyduby. Spotkać kogoś z żydubami? Pójść gdzieś w sprawie żydubów? I skąd takie określenie? Co prawda istniało chyba ze sto obraźliwych określeń Żydów i od kiedy pojawiła się w Anglii, usłyszała już większość z nich, ale tego jeszcze nie.

Zastanowiła się nad tym, odtwarzając w głowie scenę, która rozegrała się nocą nad rzeką. Nawet dziś, w pełnym słońcu, chociaż nieco dalej, przy drzewie świętej Radegundy kręciło się sporo osób, ta część nadbrzeża pozostawała spokojna, w pobliżu rósł las. Jakże ciemno musiało tu wtedy być.

Sądząc z opowieści, mały Piotr chadzał z głową w chmurach. Ulf opisał tego dzieciaka jako roztargnionego i narwanego, przeciwieństwo spokojnego Willa.

Widziała go teraz oczyma duszy. Mała postać machająca do kolegi, niewyraźna wśród zmierzchu ogarniającego drzewa i znikająca wśród nich na zawsze.

- Czy Will komukolwiek o tym wspominał? Will nic nie powiedział, przynajmniej dorosłym. Za bardzo się bał, że

te parszywe Żydy przyjdą po niego jako następnego. W każdym razie tak uważał Ulf. Will wyjawiał swój sekret tylko rówieśnikom, owemu tajnemu światu dziecięcych kolegów, ludzikom sięgających do kolan, ukrytym i pogardzanym.

Tak czy siak, stało się wszak to, co powinno się ich zdaniem wydarzyć. Żydzi zostali oskarżeni, zbrodniarz i jego żona ukarani.

Dzięki czemu zabójca mógł spokojnie mordować dalej, pomyślała Adelia.

Ulf przypatrywał się jej.

- Chcesz więcej? Jest więcej. Ale przemokną ci buty. Pokazał jej swój ostateczny dowód na to, że Piotr wrócił do domu

Chaima później tej nocy, dowód winy Chaima. Adelia, by tam dotrzeć, musiała schodzić ostrożnie ku rzece i nisko się schylać. Rzeczywiście przemokły jej buty. I dół spódnicy. A na reszcie medyczki znalazło się sporo mułu z Cambridge. Stróż poszedł z nimi.

Kiedy wszyscy troje wdrapali się z powrotem na brzeg, padły na nich cienie ciemniejsze od tych rzucanych przez drzewa.

- Na oczy Boga, to ta cudzoziemska dziwka! - zawołał sir Gerwazy.

- Wyłania się z rzeki niczym Afrodyta - powiedział sir Joscelin. Mieli na sobie skórzane myśliwskie stroje i niby jacyś dwaj bogowie

siedzieli na rumakach okrytych płatanami piany. Przed sir Joscelinem wisiał trup wilka, zasłonięty płaszczem. Wystawał spod niego ociekający pysk zwierzęcia, wciąż zastygły w grymasie warkotu.

Z tyłu trzymał się łowczy, który towarzyszył im na pielgrzymce, prowadził na smyczy trzy wilczury, a każdy z nich był wystarczająco duży, aby złapać Adelię i gdzieś zaciągnąć. Psie oczy patrzyły na nią łagodnie z topornych, wąsatych pysków.

Adelia chciała odejść, lecz sir Gerwazy szturchnął kolanami konia i ruszył do przodu, tak że ona, Ulf i Stróż znaleźli się w trójkącie o bokach z wierzchowców i podstawie z rzeki.

- Gerwazy, czy powinniśmy zapytać, co nasz gość w Cambridge robi tutaj, taplając się w mule? - Joscelin był rozbawiony.

- Powinniśmy. Powinniśmy też, do licha, powiedzieć szeryfowi o jej magicznych siekierkach, które latają, kiedy jakiś mąż wreszcie zwróci na nią uwagę.

Gerwazy, teraz nieco bardziej jowialny, ale wciąż groźny, najwyraźniej chciał odzyskać przewagę utraconą w stosunku do Adelii przy pierwszym spotkaniu.

- Ee? No i co, więdźmo? Gdzie teraz twój saraceński kochaś? - Każde następne pytanie było coraz głośniejsze. - Co powiesz na cofanie się do wody? Ee? Ee? To twój bachor? W sumie to nawet jest wystarczająco brudny.

Tym razem się nie bała. Ty tępy kłocu, pomyślała. Jak ważysz się do mnie odzywać.

Jednocześnie ogarnęła ją swoista fascynacja. Nie potrafiła oderwać wzroku od jego oczu. Było w nich jeszcze więcej nienawiści, wystarczająco dużo, aby zaćmić Rogera z Acton. On by ją zgwałcił na tamtym wzgórzu tylko po to, żeby pokazać, iż mu wolno. Zrobiłby to również teraz, gdyby nie zjawił się z towarzyszem. Odważny wobec słabszych.

Czy to byłeś ty?

Chłopiec stał obok cicho jak śmierć. Pies skulił się za jej nogami, gdzie nie widziały go wilczury.

- Gerwazy! - rzucił ostro sir Joscelin. Potem odezwał się do Adelii: - Pani, nie zwracaj uwagi na mojego przyjaciela. Jest rozeźlony, bo jego włócznia chybiła starego lupusa... - poklepał wilczy łeb - .. a moja nie.

Uśmiechnął się do towarzysza, a potem odwrócił znowu w stronę medyczki.

- Słyszałem, że zacy przeor znalazł ci lepszą kwaterę niżli wóz.

- Dziękuję - odparła. - Znalazł.

- A twój przyjaciel medyk? On się tutaj zatrzymał?

- Zatrzymał.

- Saraceńskie ścierwo i dziwka, oto co dobrze wygląda rozciągnięte na ziemi! - Sir Gerwazy robił się coraz bardziej niespokojny i poirytowany.

Tak to właśnie jest być jednym ze słabszych, pomyślała Adelia. Silni lżą cię bezkarnie. O, ty się jeszcze doigrasz.

Sir Joscelin nie zwracał uwagi na towarzysza.

- Przypuszczam, że twój medyk nie może nic zrobić dla biednego Gelherta? Wilk rozdarł mu łapę. - Wskazał głową jednego ze swoich psów. Zwierzę trzymało uniesioną nogę.

I to też jest obelga, pomyślała Adelia, choć może nie powiedziała jej specjalnie.

- Lepiej mu idzie z ludźmi - odparła. - Powinieneś poradzić swojemu przyjacielowi, aby go odwiedził tak szybko, jak to możliwe.

- Ee? Co powiedziała ta suczka?

- Sądzisz, iż on jest chory? - dopytywał się Joscelin.

- Ma tego oznaki.

- Jakie oznaki? - Gerwazy nagle się zaniepokoił. - Jakie oznaki, kobieto?

- Ja nie jestem tym, kto może o tym wyrokować - odezwała się do Joscelina. Co zresztą było prawdą, bo żadnych oznak nie miał. - Ale dobrze będzie, jeśli spotka się z medykiem. I to szybko.

Zdenerwowanie zmieniło się w przerażenie.

- O Boże, dzisiaj rano kichałem całe siedem razy.

- Kichanie - w zamyśleniu oznajmiła Adelia. - To może być to.

- O mój Boże! - Szarpnął za wodze i zawrócił konia, dźgnął boki ostrogami, pozostawiając medyczkę ochlapaną mułem, lecz zadowoloną.

Joscelin, śmiejąc się, uchylił czapki.

- Dobrego dnia, pani! Myśliwy uklonił się, zebrał psy i poszedł za rycerzami.

To mógł być każdy z nich, pomyślała Adelia, patrząc, jak odchodzą. Dlatego że Gerwazy jest brutalny, a inni nic dla niego nie znaczą.

Sir Joscelin, choć o ujmujących manierach, to równie dobry kandydat jak jego nikczemny towarzysz, do którego najwyraźniej był przywiązany. No i znalazł się na wzgórzu tamtego ranka.

Ale któż się nie znalazł? Hugo, łowczy o twarzy mdłej jak mleko, równie dobrze mógł się dopuścić tych okrucieństw jak Roger z Acton, tyle że nie dając niczego po sobie poznać.

Pyzaty kupiec z Cherry Hinton. Minstrel. Mnisi. Zakonnik, na którego wołali brat Gilbert, największy zgryźliwiec, jakiego kiedykolwiek spotkała. Wszyscy mieli tamtej nocy dostęp do

Kręgu Wandlebury. A co do ciekawskiego poborcy podatków, to już wszystko w nim wydawało się podejrzanym.

A dlaczego ja biorę pod uwagę tylko mężczyzn? Jest jeszcze przeorysza, mniszka, żona kupca, służki...

Nie, kobiety należy oczyścić z zarzutów. Takich zbrodni nie popełniają niewiasty. Żadna kobieta nie byłaby zdolna do skrzywdzenia dziecka. Adelia oglądała wiele efektów tortur i zaniedbania, ale jedyne przypadki zbliżone do okrutnego gwałtu stanowiły dzieło mężczyzn, zawsze mężczyzn.

- Rozmawiali z tobą - spokój Ulfa w przeciwieństwie do jej spokoju stanowił efekt zamarcia w podziw. - To byli krzyżowcy. Obaj. Obaj byli w Ziemi Świętej.

- W rzeczy samej - odparła beznamiętnie.

Byli, wrócili bogaci, zasłużywszy na swoje ostrogi. Sir Gerwazy objął pieczę nad posiadłością Coton jako lennem męskiego klasztoru, sir Joscelin nad posiadłością Grantchester jako lennem klasztoru Świętej Radegundy. Obaj byli również znakomitymi myśliwymi. Pożyczyli Hugona oraz wilczury od przeora Gotfryda, ruszyli odgonić czarta jak ten, co wisi na wierzchołku sir Joscelina i porywał owce z traktu do Trumpington. Wszak Hugo słynął jako najlepszy łowca wilków w całym Cambridgeshire...

Mężczyźni, pomyślała, słuchając jego głosu pełnego podziwu. Zawsze tacy sami, nawet mali chłopcy...

Ale ten tutaj spoznał na nią raz jeszcze, znowu oczyma przepelnionymi życiową mądrością.

- A ty im się postawiłaś.

Ona też już zdobyła swoje ostrogi.

Teraz zaprzyjaźnieni, razem wrócili do domu Starego Beniamina, a wzgardzony Stróż szedł za nimi.

Gdy Szymon zjawił się w domu, zapadła już ciemność. Zgłodniały zabrał się z wielkim apetytem do gulaszu z węgorkami z kluskami i ryby zapiekanej w cieście. Dziś wypadł piątek, a Gyltha ściśle przestrzegała postów. Narzekał, że w Cambridge i okolicy jest bardzo wielu handlarzy wełną.

- Przemile istoty ludzkie, każdy z nich przyjaźnie tłumaczył mi, że moje skrawki pochodzą ze starej dostawy sukna... Najwyraźniej czegoś na kształt aksamitu... Ale, mój Boże, niemożliwe jest wyśledzenie białej, z jakiej one pochodzą, co miało mi posłużyć do wybadania jego historii.

Mimo przeciętności wyglądu i stroju, Szymon z Neapolu pochodził z bogatej rodziny. Przed podróżą nigdy nie zajmował się tym, co dzieje się z owczą wełną, zanim trafi do sukniennic. Teraz zaś okazał się tym zafascynowany.

Opowiadał Mansurowi i Adelii, kiedy jedli.

- Korzystają z uryny, żeby oczyścić runo, wicie? Płuczą je w kadziach z moczem, zbieranym od całych rodzin.

Potem następowało gępienie, folowanie, farbowanie, bejcowanie.

- Możecie sobie wyobrazić, jakie problemy są z otrzymaniem czarnego koloru? *Experto credito* bazować musi na ciemnoniebieskim urzeczku albo połączeniu tanin i żelaza. Mówię wam, żółty jest łatwiejszy. Rozmawiałem dzisiaj z farbiarzami, którzy ucieszyliby się, gdyby wszyscy odziewali się na żółto tak jak damy nocy...

Adelia zaczęła stukać palcami. Wesoły nastrój Szymona sugerował, że jego wyprawa zakończyła się sukcesem, ale medycza też przyniosła wieści.

Zauważył to.

- Och, bardzo dobrze. Splot zdaje się poluznioną wełną czesankową w stosunku do swojej pierwotnej, solidnej podstawy, ale nawet tak nie możemy go wyśledzić, jeśli ten strzęp... - Szymon pogładził czule materiał, Adelia zaś dostrzegła, że w gorączce śledztwa zapomniał, do czego go użyto. - .. jeśli ten strzępek nie ma obrębienia, przełożonego osnową, używanego do wzmocnienia brzegów, charakterystycznego dla tkacza...

Spoznał jej w oczy i dał spokój.

- To część dostawy wysłanej do opata Ely trzy lata temu. Opat ma koncesję na dostawy sukna do wszystkich miejsc związanych z kultem w Cambridgeshire, takiego sukna, w jakie odziewa swoich duchownych.

Mansur odezwał się pierwszy.

- Habit? To jest z mnisiego habitu?

- Tak. Zapadła pełna zamyślenia cisza, wśród której wieczerza przestała być istotna.

- Jedyna osoba duchowna, którą możemy oczyścić z zarzutów, to przeor, bo był z nami całą noc.

Szymon przytaknął.

- Jego mnisi pod komżami noszą się na czarno.

- Te święte niewiasty też - dodał Mansur.

- To prawda - uśmiechnął się do niego Szymon - ale w tym wypadku bez znaczenia, ponieważ w trakcie śledztwa spotkałem się raz jeszcze z kupcem z Cherry Hinton, który, jak się szczęśliwie okazało, handluje wełną. Zapewnił mnie, że mniszki i jego żona oraz służące spędziły noc pod namiotem, otoczone z zewnątrz i strzeżone przez mężczyzn. Jeśli któraś z tych dam jest naszym mordercą, nie zdołałaby niespostrzeżenie chodzić po wzgórzach i nosić ciała.

Co w kręgu podejrzanych pozostawiało trzech zakonników towarzyszących przeorowi Gotfrydowi. Szymon ich wymienił.

Młody brat Ninian. Na pewno nie. Chociaż dlaczego nie?

Brat Gilbert. Nieprzyjemny człowiek, możliwy podejrzany.

Inni?

Nikt nie mógł sobie przypomnieć ani twarzy, ani charakterystycznych cech trzeciego mnicha.

- Póki nie przeprowadzimy dalszego śledztwa, nasze spekulacje są bezcelowe - oznajmił Szymon. - Zniszczony habit, może gdzieś porzucony. Morderca mógł go zdobyć gdziekolwiek. Zajmiemy się tym, jak będziemy bardziej wypoczęci. - Zasiadł ponownie i sięgnął po kubek z winem. - A teraz, pani, proszę o wybaczenie. Tak rzadko się zdarza, że to my, Żydzi, kogoś ścigamy, że jak widzisz, stałem się podekscytowany opowieścią o pogoni za zwierzyną jak każdy myśliwy. Jakże wieści?

Adelia przedstawiała swoje wiadomości chronologicznie i nie ukrywając niczego. Jakkolwiek by na to spojrzeć, prowadzone przez nią dochodzenie okazało się bardziej owocne niż Szymona, ale nie czuła, by jej się to podobało. Bo nie podobało.

Szymona podniosła na duchu opowieść o oględzinach kości świętego Piotrusia.

- To daje nam przewagę. Tego chłopca nigdy nie ukrzyżowano.

- Nie, nie ukrzyżowano - oznajmiła i słowami zabrała swoich słuchaczy na drugi brzeg rzeki, przedstawiła rozmowę z Ulfem.

- Mamy to. - Szymon parsknął winem. - Pani, ocaliłaś Izrael. To dziecko było widziane po wyjściu z domu Chaima? To znaczy, że musimy znaleźć tego chłopca, Willa, i zabrać go do szeryfa. „Spójrzcie, panie szeryfie, oto żyjący dowód na to, że Żydzi nie mają nic wspólnego ze śmiercią świętego Piotrusia...”

Cichł stopniowo, widząc minę Adelii.

- Obawiam się, że jednak mają- powiedziała.

## Rozdział 7

W ciągu roku straż trzymana przez mieszczan u wrót zamku Cambridge, pilnująca, aby z warowni nie uciekli Żydzi, stopniała do osoby Agnieszki, żony sprzedawcy węgorki i matki Harolda, którego ciało wciąż czekało na pogrzeb.

Mały szałas, który sobie zbudowała z łożyny, wyglądał jak ul stojący pod wielką bramą. Za dnia siedziała u wejścia, szydełkując, obok miała wzięty od męża oścień na węgorkę zwrócony ostrzem w dół. Po drugiej stronie, obok siebie, położyła duży dzwonek. Nocą spała w chatce.

Pewnego razu zimą, kiedy szeryf próbował przemycić Żydów na zewnątrz, sądząc, iż niewiasta pogrążona jest we śnie, Agnieszka użyła obu sprzętów. Oścień o mało nie przebił jednego z ludzi szeryfa, a dzwonek poderwał całe miasto na nogi. Żydzi pospiesznie wrócili za mury.

Strzeżono też zamkowych furtek, pilnowały ich gęsi, mające wszcząć raban, jeśli ktoś będzie próbował wyjść, podobnie jak niegdyś ostrzegły Kapitol przed atakiem Galów. Kiedy ludzie szeryfa usiłowali powystrzelać je z zamkowych murów, podniosły taki krzyk, że

mieszczanie znowu zerwali się zaalarmowani.

Adelia, wspinając się po stromej, krętej i umocnionej drodze na zamek, zdziwiła się, że pospólstwo tak długo zdołało przeciwstawiać się władzom. Na Sycylii oddział królewskich żołnierzy załatwiłby całą sprawę w kilka minut.

- I w rezultacie dokonaliby masakry? - zapytał Szymon. - A gdzie od- eskortować Żydów, żeby znowu nie znaleźli się w takiej samej sytuacji? Cały kraj wierzy, że Żydzi z Cambridge krzyżują dzieci.

Dziś był przygnębiony i jak podejrzewała Adelia, bardzo rozeźlony.

- Też tak sędzę.

Zastanowiła się nad więzami, które krepowały w tej kwestii angielskiego króla. Spodziewałaby się raczej, że ktoś taki jak on, silny władca, straszliwie ukarze mieszkańców Cambridge za zamordowanie jednego z Żydów, który przynosił mu ogromny dochód. Henryk odpowiadał wszak za śmierć Becketa, koniec końców był tyranem. Ale na razie jeszcze się powstrzymywał.

Gyltha, kiedy medyczka zapytała ją, jak to wszystko może się skończyć, odparła, iż miasto nie uniknie pewnie jakiejś grzywny za zabicie Chaima, ale nie spodziewa się masowego wieszania winnych. Monarcha pozostawał wyrozumiały, pod warunkiem że ktoś nie zapołożył na jego zwierzynę albo nie zirytował go ponad wytrzymałość, jak arcybiskup Tomasz.

- To nie tak, jak dawniej bywało, kiedy jego mamusia i wuj Stefan wojowali ze sobą- opowiadała. - Wieszanie? Galopem przyjeżdżał jakiś baron i nieważne, po jakiej był stronie, nieważne, po jakiej stronie ty byłeś. Wieszal cię, ot tak, za to, że akurat podrapałeś się po tyłku.

- Co racja, to racja - stwierdziła Adelia. - Niemiły obyczaj. Obie kobiety zaczynały się coraz lepiej rozumieć. Wojna domowa toczona przez Matyldę i Stefana, z tego co mówiła

Gyltha, dotarła nawet na mokradła. Wyspa Ely oraz stojąca na niej katedra tyle razy przechodziły z rąk do rąk, że nigdy nie było wiadomo, kto właśnie jest tam biskupem.

- My, biedne ludziska, byliśmy jak to ścierwo szarpane przez wilki. A kiedy przybył Gotfryd de Mandeville... - Dotarłszy do tego miejsca, Gyltha pokręciła głową i zamilkła. Potem jeszcze dodała: - To trwało ze trzynaście lat. Trzynaście lat, kiedy Bóg i święci spali i mieli wszystko gdzieś.

„Trzynaście lat, podczas których Bóg i święci spali”. Od kiedy przybyła do Anglii, Adelia z tysiąc razy słyszała te słowa jako określenie wojny domowej. Ludzie wciąż pamiętali, mimo że koronacja Henryka II zakończyła walki. Minęło dwadzieścia lat, a konflikt nie powrócił. Anglia stała się spokojnym krajem.

Plantagenet był człowiekiem znacznie przebieglejszym, niż początkowo sądziła. Może należało przewartościować sądy na jego temat.

Minęli ostatni zakręt podejścia, wyszli na otwartą przestrzeń przed zamkiem.

Wzgórze ze stołpem, postawione przez Wilhelma Zdobywcę, aby strzec przeprawy na rzece, dawno już zniknęło. Drewnianą palisadę zastąpiły masywne mury, twierdza obrosła w budynki gospodarcze i służebne, kościół i stajnie, baraki, kwatery dla kobiet, kuchnie, pralnię, ogrody warzywne i zielne, serownię, szranki, szubienice oraz lochy niezbędne dla szeryfa administrującego sporym, dobrze prosperującym miastem. Na drugim krańcu warowni rusztowania oraz platformy otaczały budowaną teraz wieżę, która miała zastąpić tę zawaaloną wskutek pożaru.

Pod bramą dwóch strażników opierało się o włócznie i gawędziło z Agnieszką, która siedziała, szydełkując, na stołku obok szałasu. Była tam jeszcze jedna osoba. Siedziała na ziemi, opierała głowę o mur zamku.

- Czy ten człowiek jest wszędzie? - jęknęła Adelia.

Roger z Acton na widok przybyszy zerwał się na równe nogi. Podniósł leżącą obok drewnianą tablicę na kiju i zaczął krzyżeć. Napis sporządzony kredą głosił: „Mudl się za świętego Piotrusia, ukszyżowanego przez żydów”.

Wczoraj naganiał pielgrzymów do klasztoru Świętej Radegundy. Dziś zaś, gdy się okazało, że szeryfa odwiedzi biskup, Acton przygotował się na jego powitanie.

Jak zwykle nie rozpoznał ani Adeli, ani, mimo jedyne w swoim rodzaju wyglądu Mansura, dwóch towarzyszących jej mężczyzn. On nie dostrzega ludzi, pomyślała, tylko paliwo dla ognia piekielnego. Zauważyła, że brudna sutanna Rogera uszyta jest z

czesankowej wełny.

Jeśli czuł się rozczarowany, iż jeszcze nie zdołał pokrzyknąć przed biskupem, to dawał temu wyraz.

- Męczyli biedne dziecię, aż popłynęła krew! - wrzeszczał na nich. - Zgrzytali zębami i nazywali Jezusa fałszywym prorokiem! Umęczyli je, topiąc, a potem ukrzyżowali.

Szymon podszedł do żołnierzy i poprosił o spotkanie z szeryfem. Oznajmił, że przybył z Salerno. Musiał podnieść głos, aby go usłyszano. Na starszym z wartowników nie zrobił wrażenia.

- Gdzie to jest? - zapytał rozwrzeszczanego skryby. - Zamkniesz się wreszcie? - zwrócił do Actona.

- Przeor Gotfryd prosił nas, abyśmy pomogli szeryfowi.

- Co? Nic nie słyszę, bo ten szalony mnich wszystko zagłusza. Przybyszami nagle zainteresował się młodszy strażnik.

- Hej, czy to ten czarny, co uleczył przeora?

- Ten sam. Roger z Acton teraz zauważył Mansura i podszedł blisko. Oddech mu cuchnął.

- Saracenie, czy wierzysz w naszego Pana, Jezusa Chrystusa? Starszy wartownik trzasnął go w ucho.

- Zamknij się. Znow odwrócił się do Szymona.

- A to co?

- To pies łaskawej pani. Ulf, choć łatwo to nie przyszło, został na kwaterze, jednak Gyltha nalegała, żeby Stróż chodził z Adelią wszędzie.

- On mnie przed niczym nie obroni - protestowała medyczka. - Kiedy spotkałam tych przeklętych krzyżowców, skulił się za mną. On się boi.

- On nie jest od bronienia - oznajmiła wtedy Gyltha. - On jest Stróżem.

- Rob, czyli rozumiem, że oni mogą wejść? Strażnik mrugnął do kobiety przed wejściem do chatki uplecionej z łozy.

- Agnieszko, wszystko w porządku? Jednak i tak kapitan straży sprawdził, czy trójka przybyszy nie chowa

gdzieś broni i dopiero potem, usatysfakcjonowany, pozwolił im przejść przez bramę.

Actona trzeba było powstrzymać, żeby nie ruszył za nimi.

- Zabić Żydów! - wrzeszczał. - Zabić krzyżowników!

Przyczyna tych środków ostrożności stała się jasna, kiedy weszli na dziedziniec. Zażywało tam ruchu mniej więcej pięćdziesięciu Żydów, korzystając ze słońca. Mężczyźni głównie spacerowali i rozmawiali. Kobiety plotkowały w kącie albo bawiły się z dziećmi. Tak jak wszyscy Żydzi w krajach chrześcijańskich, ci tutaj odziani byli podobnie jak mieszczanie, chociaż dwóch czy trzech mężczyzn nosiło stożkowate czapki zwane *Judenhut*.

Cechę wyróżniającą ową szczególną grupę Żydów stanowił ich oplakany wygląd. Adelię to zaszokowało. W Salerno mieszkali ubodzy *Żydzi*, tak jak ubodzy Sycylijczycy, Grecy i muzułmanie, ale ich biedę łagodziły datki oraz dary od bogatszych pobratymców. Szczerze mówiąc, chrześcijanie z Salerno twierdzili trochę pogardliwie, że „wśród Żydów nie ma żebraków”. Jałmużna stanowiła fundament wszystkich wielkich religii, zaś w judaizmie słowa „daj mu to, co jego, uznając, że to co majątnością twoją, także i jego” stanowiły wręcz prawo. Łaska spływała raczej na dającego niż obdarowywanego.

Adelia przypomniała sobie starego człowieka, który doprowadzał jej przybraną matkę do złości, odmawiając podziękowania za posiłki, otrzymywane w jej kuchni.

- Czyż ja jem to, co twoje? - zwykł mawiać. - Jem to, co Boga. Hojność okazywana przez szeryfa jego niechcianym gościom, z tego

co widziała medyczka, nie była zbyt duża. Żydzi wychudli. Adelia pomyślała, że w zamkowej kuchni pewnie niewiele sobie robiono z koszerności i dlatego posiłki często pozostawały niezjedzone. Ubrania, które ci ludzie w pośpiechu rok temu zabrali z domów, zaczęły się już drzeć.

Kiedy trójka przybyszów szła po dziedzińcu, niektóre kobiety z nadzieją uniosły wzrok. Mężczyzn zbyt pochłaniała dyskusja, aby zauważyli obcych.

Prowadzeni przez młodszego żołnierza sprzed bramy, wszyscy troje przeszli po moście nad fosą, następnie pod broną i przez kolejny dziedziniec.

Zamkowa sala była chłodna, ogromna i pełna ruchu. Na długich stołach piętrzyły się stosy

dokumentów, zwoje pergaminu i rachunki. Skrybowie, którzy się nad nimi biedzili, od czasu do czasu przerywali, aby podejść do podwyższenia, gdzie przy jeszcze jednym stole na dużym krześle siedział duży mężczyzna, a przed nim w zastraszającym i groźnym zawaleniem tempie rosła góra kolejnych dokumentów, zwojów pergaminu i rachunków.

Adelia nie była dobrze obeznana z funkcją szeryfa, jednak Szymon wytłumaczył jej, że na obszarze hrabstwa to człowiek o największym znaczeniu po królu, reprezentant monarchy, wraz z biskupem diecezji główny przedstawiciel prawa. Samodzielnie zaś odpowiadał za zbieranie podatków, utrzymywanie pokoju. On był tym, który ścigał złoczyńców, dbał, by nie handlowano w niedzielę, by wszyscy płacili dziesięcinę, a Kościół płacił swoje skarbowe, organizował egzekucje, konfiskował dla króla majątki powieszonych. Zajmował się też porzuconymi dziećmi, uciekinierami, banitami, pilnował, żeby do królewskiej szkatuły trafiały stosowne należności. Dwa razy do roku dostarczał pieniądze, stanowiące efekt tej działalności, oraz odpowiednie rachunki do królewskiej Izby Skarbowej w Winchester, gdzie, jak powiedział Szymon, niedopłacenie jednego pensa mogło go kosztować stanowisko.

- Dlaczego, przy tym wszystkim, ktokolwiek chce taką posadę? - dopytywała się Adelia.

- Bo on dostaje procent od podatków - wyjaśnił Szymon. Sądząc z jakości szat szeryfa z Hertfordshire oraz ilości złota i srebra zdobiących jego palce, procent musiał być znaczny, choć w tej chwili wątpliwe się wydawało, by szeryf Baldwin uważał, iż wystarczający. Z trudem dałoby się go nazwać zakłopotanym, już prędzej całkiem zbitym z tropu.

Pustym wzrokiem spoglądał na żołnierza obwieszczającego mu przybycie gości.

- Czy oni nie widzą, że jestem zajęty? Czy oni nie wiedzą, że się zbliżają sądy?

Jakiś wysoki i masywny mężczyzna, który pochylał się na dokumentami obok szeryfa, właśnie się wyprostował.

- Mniemam, mój panie, że ci ludzie mogą okazać się przydatni w sprawie Żydów - oznajmił sir Rowley.

Puścił oko do Adelii. Spojrzała na niego obojętnie. Kolejny człowiek, który jest wszędzie, tak jak Roger z Acton. I może jeszcze bardziej złowrogi.

Wczoraj Szymon otrzymał list od przeora Gotfryda, w którym ten znowu ostrzegał go przed królewskim poborcą podatków, „...ten człowiek był w mieście, kiedy zniknęło co najmniej dwoje dzieci. Niech mi dobry Pan wybaczy, jeśli rzucam podejrzenie na tego, co na nie wcale nie zasługuje, ale uważam, że winniśmy być ostrożni, póki nie będziemy wiedzieli, na czym stoimy”.

Szymon zgodził się, że przeor ma powody do podejrzeń.

- Jednak nie większe niż w przypadku reszty osób - dodał. Powiedział, że jemu poborca podatków przypadł do gustu. Adelia, która spostrzegła, co kryje się pod miłą powierzchownością, kiedy sir Rowley wymusił swoją obecność podczas oględzin zwłok dzieci, miała inne zdanie. Picot ją denerwował.

Wyglądało na to, że trzyma w garści cały zamek. Szeryf patrzył na niego błagalnym wzrokiem, niezdolny poradzić sobie z niczym poza swoimi własnymi, najpilniejszymi sprawami.

- Czy oni nie wiedzą, że zbliżają się sądy? Sir Rowley odwrócił się do Szymona.

- Mój pan życzy sobie wiedzieć, po co tu przyszlście.

- Za pozwoleniem, chcemy porozmawiać z Jehudą Gabirole - oznajmił Szymon.

- Chyba nic nie szkodzi, panie? Pokażę im drogę. - Rowley już ruszył.

Szeryf go powstrzymał.

- Picot, nie zostawiaj mnie.

- Nie na długo, mój panie, przyrzekam.

Poprowadził przybyłą trójkę przez salę, cały czas usta mu się nie zamykały.

- Szeryf właśnie się dowiedział, że sądy mają zebrać się w Cambridge. Jako że musi dostarczyć Szachownicy werdykty przysięgłych, oznacza to całkiem sporą dodatkową pracę, no i on czuje, że to wszystko go już, można powiedzieć, przygniata. Podobnie mnie, rzecz jasna.

Uśmiechnął się do nich szeroko i wesoło. Trudno było chyba znaleźć człowieka mniej czymkolwiek przygniecionego.

- Do tej pracy należy choćby próba odkrycia, jakie długi są należne Żydom, a przez to królowi. Chaim był głównym bankierem w tym hrabstwie, a wszystkie jego rachunki

przypadły w pożarze wieży. Trudność ich odzyskania jest, co się samo przez się rozumie, znaczna. Jednakowoż...

W dziwny sposób, bokiem, ukłonił się Adellii.

- Słyszałem, że pani medyk mąciła wodę w Cam. Można by mniemać, że takie rzeczy nie przystoją medykowi, zwłaszcza pamiętając, co tam się wlewa. Może miałaś jakieś swoje powody, pani?

- Co to są te sądy? - zapytała Adelia. Przeszli drzwiami i szli za sir Rowleyem w górę krętych schodów wieży. Stróż człapał za nimi.

Przez ramię poborca podatków rzucił:

- Ach, sądy. To tak naprawdę zebranie wędrownych sędziów królewskich. Dzień sądu, niemal tak straszliwy jak Boży, straszliwy dla tych, których los waży się wówczas na szali. Sąd nad piwem i kara za jego rozwadnianie. Sąd nad chlebem i to samo za jego niedoważanie. Wtrącanie do lochu, uznanie więźniów za winnych lub wypuszczenie ich jako niewinnych. Werdykty dotyczące ziemi, jej posiadania, werdykty w sprawie sporów, uprawomocnienie ... i tak dalej. Zbierają się sędziowie. Nie zdarza się to co roku, ale jak już się zdarzy... Matko Boska, pomóż nam, jakie te schody strome.

Prowadząc ich, sapał ciężko. Większe promyki światła wpadały przez wąskie okna w kamieniu, oświetlały kolejne piętra. Na każdym były łukowato zwieńczone drzwi.

- Spróbuj schudnąć - poradziła mu Adelia, podczas wchodzenia wpatrująca się w jego pośladki.

- To same mięśnie, pani.

- Sadło - oznajmiła.

Zwolniła, tak by poborca schował się za kolejnym zakretem i szepnęła do idącego za nią Szymona.

- On chce wysłuchać tego, co mamy do powiedzenia.

Szymon puścił poręcz, której przytrzymał się, idąc w górę, i rozłożył ręce.

- Czyli już musi wiedzieć... po co tu jesteśmy. Więc co za różnica? Różnica była taka, że ów mężczyzna mógł wyciągnąć wnioski z tego,

co powiedziane zostanie Żydom. Adelia nie ufała wnioskowi, póki nie zebrała wszystkich dowodów. I nie ufała też sir Rowleyowi.

- Ale jeśli to on jest mordercą?

- To tym bardziej już o wszystkim wie. - Szymon zamknął oczy i wymacał poręcz.

Sir Rowley czekał na Adelię u szczytu schodów, dosyć zmęczony.

- Uważasz pani, że jestem tłusty? Powinnaś wiedzieć, że kiedy Nur ad-Din usłyszał, że nadejdam, spakował swoje namioty i cichaczem wyniósł się z pustyni.

- Byłeś na krucjacie?

- W Ziemi Świętej nie dano by sobie beze mnie rady.

Zostawił ich w niewielkim, okrągłym pomieszczeniu, gdzie było tylko kilka taboretów, stół i dwa nieoszlone okna, z których rozciągał się szeroki widok na okolicę. Obiecał, że pan Gabirol za chwilę się zjawi i że wyśle pacholka po coś do jedzenia i picia.

Szymon przemierzał izbę, zaś Mansur jak zwykle stał nieporuszony niczym posąg. Adelia podeszła do okien, jednego wychodzącego na wschód, drugiego na zachód, i podziwiała panoramę widoczną z każdego z nich.

Na zachodzie, wśród niskich wzgórz widziała szczyty murów, na których łopotał sztandar. Nawet pomniejszona odległością, posiadłość wydzierżawiona sir Gerwazemu przez klasztor przeora była większa, niż medyczka spodziewałaby się, biorąc pod uwagę rycerskie dochody. Jeśli posiadłość sir Joscelina, lenno od klasztoru mniszek, znajdująca się na południowy wschód, niewidoczna z żadnego z okien, miała podobne rozmiary, to obu szlachcom najwyraźniej dobrze się powodziło w zbieraniu danin i na krucjatach.

Weszło dwóch mężczyzn. Jehuda Gabirol był młody, czarne pejsy miał mocno zwinięte w spirale, wisały po obu stronach twarzy z zapadłymi policzkami, bladymi w sposób typowy dla mieszkańców Hiszpanii.

Drugi, niezapraszany gość miał już swoje lata, zmęczył się wspinaczką. Chwycił się framugi i dysząc, przedstawił Szymonowi.

- Beniamin ben Raw Mosze. A jeśli ty jesteś Szymon z Neapolu, to znam twojego ojca. Stary Eli wciąż żyje, prawda?



Szymon uklonił się dość szorstko, w sposób dla niego nietypowy, podobnie przedstawił Adelię i Mansura. Podał tylko ich imiona, nie tłumacząc powodu przybycia.

Starzec skinął ku nim głową, wciąż drżąc.

- Czy to wy zajmujecie mój dom? Jako że Szymon milczał, odezwała się Adelia.

- Tak, my. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- A czy powinienem? - smutnie zapytał Stary Beniamin. - Czy jest w dobrym stanie?

- Tak. Lepiej, żeby ktoś w nim mieszkał, tak sędzę.

- Podobają wam się okna w sieni?

- Bardzo ładne. A przede wszystkim nietypowe. Szymon zwrócił się do młodszego z mężczyzn:

- Jehudo Gabirolu, rok temu, tuż przed Paschą, poślubiłeś tutaj, w Cambridge, córkę Chaima ben Eliezera.

- To początek wszystkich moich kłopotów - ponuro oznajmił Jehuda.

- Ten chłopiec przybył tu w tym celu z Hiszpanii - wyjaśnił Beniamin. - Zaaranżowałem całą sprawę. Mówię sobie, że wszak to dobry ożenek. Jeśli zaś wszystko obróciło się w tak niefortunny sposób, to czyż tu zawinił *szadchan swat*?

Szymon nadal go ignorował, wpatrywał się w Jehudę.

- Tamtego dnia w mieście zniknęło dziecko. Może zacy pan Gabirol rzuci nieco światła na to, co się z tym dzieckiem stało.

Adelia jeszcze nigdy nie widziała Szymona w takim stanie. Był wściekły.

Obaj mężczyźni wybuchnęli słowami w jidysz. Cienki głos młodszego przeważał nad głębszym Beniamina.

- Skądże mam wiedzieć? Czy ja jestem stróżem angielskich dzieci? Szymon uderzył go w twarz. Na parapecie zachodniego okna usiadł niedawno krogulec, jednak

teraz poderwał się do lotu, przestraszony wibracją wewnątrz komnaty, wywołaną odgłosem policzka wymierzonego przez Szymona. Dźwięk ciosu odbił się echem od ścian. Na twarzy Jehudy zaczerwieniły się ślady palców.

Mansur zrobił krok do przodu, aby ochronić towarzysza, gdyby zechciano pomścić ten cios, ale młody mężczyzna tylko zasłonił oblicze i pochylił głowę.

- Co innego mogliśmy zrobić? Co innego?

Adelia stała pod oknem. Nikt nie zwracał na nią uwagi, zaś trzech Żydów uspokoiło się na tyle, by przenieść swoje stołki na środek pokoju i na nich usiąść. Nawet teraz dbają o ten swój cały ceremoniał, pomyślała.

Mówił głównie Beniamin, młody Jehuda płakał i się trząsł.

To był dobry ożenek, opowiadał swat, sojusz pieniędzy i kultury, ślub córki bogacza i młodego hiszpańskiego scholarza ze znakomitego rodu, którego Chaim chciał zatrzymać u siebie jako *eidem afkest*, czyli mieszkającego przy nim zięcia. Dałby mu posag wysokości dziesięciu marek...

- Dalej - ponaglał Szymon.

W piękny wiosenny dzień *chuppah* synagogi udekorowano kaczeńcami.

- Ja sam rozbiłem szkło...

- Dalej. Wrócono do domu Chaima na wesele, które, jak się spodziewano po bogactwie gospodarza, potrwać miało tydzień. Grano na fujarkach, fidele, cymbałach, stoły uginały się od jedzenia, raz po raz napełniano kubki winem, pannę młodą posadzono na tronie pod białym aksamitem, wygłoszono mowy - a wszystko to na łące, nad brzegiem rzeki, albowiem nawet ten wielki dom nie pomieścił wszystkich gości, z których część wędrowała tutaj ponad tysiąc mil.

- No i może, może też trochę Chaim popisywał się przed resztą miasta - przyznał Beniamin.

Na pewno tak było, pomyślała Adelia. Popisywał się przed mieszczanami, którzy nie zaprosiliby go do siebie, ale za to chętnie pożyczali od niego pieniądze. Oczywiście, że tak.

- Dalej. - Szymon był bezlitosny, jednak w tej właśnie chwili Mansur uniósł rękę i zaczął bębnić palcami o drzwi.

On tu jest. Adelia stężała. Poborca podatków ich podsłuchiwał.

Mansur otworzył drzwi szarpnięciem, które niemal wyrwało je z zawiasów. To nie sir Rowley klęczał na progu, z okiem na wysokości dziurki od klucza. To jego giermek. Obok, na podłodze, stała taca z dzbanem i kubkami.

Płynnie, niemal jednocześnie, Mansur uniósł tacę i skopał szpiega ze schodów. Sługa, bardzo młody, potoczył się aż za zakręt, gdzie zatrzymał się z nogami wyżej głowy.

- Au, au. Jednak kiedy Mansur ruszył, jakby zamierzał iść w jego stronę i kopnąć raz jeszcze, chłopak wstał i poczłapał dalej schodami, wycofując się.

Dziwne, pomyślała Adelia, że trzech Żydów, siedzących na stołkach, prawie nie zwróciło na ten incydent uwagi, tak jakby tylko jakiś kolejny ptak wylądował na parapecie.

Czy to właśnie grubiotki sir Rowley jest zabójcą? Co go tak ciekawia te zamordowane dzieci?

Niektórzy ludzie - wiedziała, bo widziała ich na własne oczy - przybywali podekscytowani śmiercią, próbując łapówką kupić wejście do kamiennej izby w szkole, gdzie pracowała nad trupami. Gordinus musiał rozstawiać strażę na swoim polu śmierci, aby odpędzać mężczyzn, a nawet kobiety, chcących rzucić okiem na gnijące świnie.

Jednak u sir Rowleya nie dostrzegła tej szczególnej ciekawości. Kiedy wykonywała sekcje w celi świętej Werberty, zdawał się przepelniony obrzydzeniem.

Lecz wysłał tego wyrostka - Pipina, tak nazywał się giermek - aby podglądał przez dziurkę od klucza, co sugerowało, że jeśli chodzi o śledztwo prowadzone przez nią i Szymona, chce trzymać rękę na pulsie. Robił to albo z ciekawości (w takim razie czemu po prostu nie zapytał?), albo ze strachu, że zaprowadzi ono do niego.

Kim ty jesteś?

Jedyna odpowiedź brzmiała, że z pewnością nie tym, na kogo wyglądał. Adelia znowu powróciła do trzech mężczyzn, siedzących w kręgu.

Szymon nie pozwolił jeszcze Mansurowi rozdać tego, co przyniesiono na tacy. Naciskał dalej dwóch Żydów, by kontynuowali opowieść o weselu córki Chaima.

Relacja dotarła do wieczoru w dniu ślubu. Zapadł zmrok, zrobiło się ciemno i goście weselni wrócili do domu, aby tam tańczyć, jednak lampy rozwieszane w ogrodzie wciąż się paliły.

- I może jeszcze mężczyźni troszeczkę się spili - oznajmił Beniamin.

- Powiesz nam wreszcie? - Szymon jeszcze nigdy nie okazywał takiej wściekłości.

- Mówię wam przecież, mówię. A zatem narzeczona i jej matka, te dwie kobiety były sobie bliższe niż ktokolwiek inny, wyszły na zewnątrz, aby odetchnąć świeżym powietrzem, porozmawiać... - Beniamin mówił coraz wolniej, nie chcąc wyjaśnić, o co chodzi.

- Tam było ciało. - Wszyscy odwrócili się ku Jehudzie, o którym zdążono już zapomnieć. - Na trawniku, tak jakby ktoś je wyrzucił z rzeki, z łodzi. Znalazły je kobiety. Poświecono lampą.

- Mały chłopiec?

- Być może. - Jehuda, jeśli cokolwiek widział, to przez opary wypitego wina. - Chaim to zobaczył. Kobiety krzyczały.

- Widziałeś to, Beniaminie? - po raz pierwszy wtrąciła się Adelia. Beniamin zerknął na nią, zlekceważył i odezwał się do Szymona, tak jakby to on zadał pytanie.

- Ja byłem *szadchan*.

Swat z tego wspaniałego wesela, częstowany winem przez wszystkich. Jak on mógł dostrzec cokolwiek?

- Co zrobił Chaim?

- Zgasił wszystkie lampy - powiedział Jehuda.

Adelia dostrzegła, że Szymon skłania głowę, jakby uznał ten pomysł za rozsądny. Pierwsze, co się robi po odkryciu trupa na swoim trawniku, jest zgaszenie lamp, aby zwłok nie dostrzegli sąsiedzi ani przechodnie.

To ją zaszokowało. Pomyślała jednak, że przecież nie jest Żydówką. Plotka, wedle której Izraelici na Paschę składają ofiary z chrześcijańskich dzieci, ciągnęła się za nimi niczym dodatkowy cień, przyszyty do pięt i trafiający wszędzie.

- Ta legenda to narzędzie - tłumaczył jej przybrany ojciec - używane przeciwko każdej religii, która wywołuje lęk i nienawiść w tych, co jej się boją i nienawidzą. W I wieku, za czasów Rzymu, tymi, których oskarżano o używanie w obrzędach ciała i krwi dzieci, byli pierwsi chrześcijanie.

Teraz za pożeraczy dzieci uważano Żydów i uważać ich miano za nich jeszcze całe wieki. Owo przekonanie tak głęboko zagnieździło się w chrześcijańskiej mitologii i tak często Żydzi

cierpieli z tego powodu, że pierwszą, natychmiastową reakcją na znalezienie zwłok chrześcijańskiego dziecka na żydowskim trawniku stanowiło ukrycie ciała.

- I co mogliśmy zrobić?! - krzyczał Beniamin. - Ty mi powiedz, co powinniśmy zrobić? Tamtej nocy byli z nami wszyscy ważni angielscy Żydzi. Z Paryża przyjechał rabbi Dawid, z Niemiec rabbi Meir, wielcy komentatorzy Pisma, Szolem z Chester przywiózł swoją rodzinę. Czy chcieliśmy, aby takich wielkich panów jak oni rozszarpano na kawałki? Potrzebowaliśmy czasu, żeby się mogli oddalić.

Zatem, kiedy ważni goście wsiedli już na konie i rozpierzchli się wśród nocy, Chaim owinął ciało w obrus i zaniósł do swojej piwnicy. Pozostali na miejscu Żydzi z Cambridge raczej nie rozmawiali o tym, jak i dlaczego małe ciało pojawiło się na trawniku, kto to zrobił, o co tu w ogóle chodziło. Ważne było tylko, aby pozbyć się trupa.

Im wcale nie zabrakło ludzkich uczuć, Adelia zapewniła siebie samą, tylko każdy z Żydów poczuł, że jemu i jego rodzinie zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo. Inne rzeczy przestały więc mieć znaczenie.

Ale wszystko zepsuli.

- Jaśniał świt - opowiadał Beniamin. - Nie doszliśmy do żadnego wniosku, bo i jak mieliśmy myśleć? Wino, strach... Chaim zdecydował więc za nas, swoich sąsiadów. Niechaj Bóg ukoi jego duszę. „Idźcie do domu”, powiedział nam, „idźcie do domu i zajmijcie się swoimi sprawami tak, jakby nic się nie stało. Ja sobie z tym poradzę, ja i mój zięć”.

Beniamin uniósł czapkę i przesunął palcami po głowie, tak jakby wciąż miał na niej włosy.

- Jahwe, wybacz nam to, co uczyniliśmy.

- A jak Chaim i jego zięć sobie z tym poradzi? - Szymon nachylił się prosto ku Jehudzie, który znowu skrył twarz w dłoniach. - Był już dzień, nie mogliście wynieść ciała chyłkiem z tego domu, tak by nikt was nie widział.

Nastąpiła cisza.

- Może - ciągnął Szymon - może w tym właśnie momencie Chaim przypomniał sobie o odpływie w swojej piwnicy.

Jehuda uniósł wzrok.

- Co to jest? - Szymon pytał, prawie nie okazując zainteresowania. - Kibel? Droga ucieczki?

- Ściek - ponuro oznajmił Jehuda. - Przez piwnicę przepływa strumień.

Szymon skinął głową.

- A zatem w piwnicy jest ściek. Duży ściek? Wiodący do rzeki? - Na chwilę uniósł wzrok na Adelię, która odpowiedziała mu skinieniem głowy. - Jego ujście znajduje się pod pomostem, do którego cumują barki Chaima, prawda?

- Skąd wiesz?

- A zatem - oznajmił Szymon, wciąż beznamytnie - tamtędy przepchnęliście ciało.

Jehuda zatrząsł się i znowu zaszlochał.

- Odmówiliśmy nad nim modlitwy. Staliśmy w ciemnościach piwnicy i odmówiliśmy modlitwę za zmarłych.

- Odmówiliście modlitwę za zmarłych? Dobrze, to dobrze. To ucieszy Pana. Ale czy poszliście zobaczyć, czy ciało dryfuje swobodnie, dopłynąwszy do rzeki?

Jehuda, zaskoczony, przestał szlochać.

- Nie dopłynęło?

Szymon już stał, uniósł ramiona, wołając do Boga, czemuż to pozwala istnieć takim głupcom.

- Przeszukano rzekę - wtrąciła Adelia w dialekcie z Salerno, tylko dla uszu Szymona i Mansura. - Całe miasto wyszło na poszukiwania. Nawet jeśli to ciało utknęło w drewnianych elementach pomostu, w trakcie takich poszukiwań by je znaleziono.

Szymon, spoglądając na nią, pokręcił głową.

- Oni dyskutowali - powiedział ciężko, w tym samym języku. - Jesteśmy Żydami, pani. My dyskutujemy. Zastanawiamy się nad zyskiem, rezultatami, zastanawiamy się, czy to do przyjęcia przez Boga i co się stanie, jeśli, tak czy siak, to zrobimy. Mówię ci, do momentu kiedy oni skończyli się naradzać i podjęli decyzję, ci, co przeszukiwali okolicę, już dawno sobie poszli - westchnął. - Oni są jak osły, a nawet gorsi od osłów, ale to nie oni zabili tego chłopca.

- Wiem.

Jednak żaden sąd im nie uwierzy. Jehuda oraz jego teść, słusznie lękając się o życie, zrobili rzecz desperacką i spartaczyli ją, zyskując jedynie kilka dni, aż do chwili, gdy ciało leżące pod poziomem wody, pod pomostem, napuchło i wypłynęło na wierzch.

Odwróciła się ku Jehudzie, nie mogąc już dłużej czekać.

- Zanim ciało trafiło do ścieku, obejrzelście je? W jakim było stanie? Czy było okaleczone? Czy było ubrane?

Jehuda i Benjamin zareagowali na jej pytania z niesmakiem.

- Czy to ty przyprowadziłeś tu do nas tę gulicę, złego ducha bezczeszczonego groby? - Benjamin domagał się wyjaśnień od Szymona.

- Gulicę? Gulicę?!!! - Szymon wyglądał, jakby znowu miał kogoś uderzyć, a Mansur położył na nim rękę. - Wyrzuciliście biednego małego chłopczyka do ścieku i mówicie mi tu o gulach?

Adelia wyszła z komnaty, pozostawiając Neapolitańczyka wygłaszającego swoją tyradę. W zamku wciąż była jeszcze osoba, która mogła jej powiedzieć to, czego chciała się dowiedzieć.

Kiedy przemierzała główną salę, wędrując na dziedziniec, spostrzegł ją poborca podatków. Na chwilę odszedł od szeryfa, aby porozmawiać z giermkim.

- Nie ma z nią tego Saracena, prawda? - Pipin był zdenerwowany. Wciąż niepokoił się o swój zadek.

- Zobacz tylko, z kim ona rozmawia.

Adelia szła poprzez słoneczny dziedziniec do kąta, w którym zgromadziły się żydowskie kobiety. Zdołała odnaleźć wśród nich tę, której szukała. Poznała ją po młodym wyglądzie i tym, że spośród wszystkich kobiet jedynie ona dostała krzesło. A także po nabrzmiałym brzuchu. Adelia oceniła, że to co najmniej ósmy miesiąc.

Ukloniła się więc przed córką Chaima.

- Czy mam zaszczyt z panią Diną? Ciemne oczy, wielkie i zalęknione, zwróciły się w jej stronę.

- Słucham? Dziewczyna była zbyt chuda jak na swój stan. Zaokrąglony brzuch wyglądał niczym narośl przyczepiona do delikatnej rośliny. Cienie pod oczami i zapadłe policzki czerniły się na skórze cienkiej jak pergamin.

W Adelii odezwał się lekarz. Pani, pomyślała, potrzebna ci kuchnia Gylthy. I ja o to zadbam.

Przedstawiła się jako Adelia, córka Gerszoma z Salerno. Jej przybrany ojciec może nie całkiem był ortodoksyjnym Żydem, ale brakowało czasu, aby wywlekać tu kwestię braku wiary, jego albo jej.

- Możemy porozmawiać? - Rozejrzała się po innych, gromadzących się blisko kobietach. - Same?

Dina przez chwilę siedziała bez ruchu. Miała na sobie welon chroniący przed słońcem, wykonany z niemal przezroczystego muślinu. Jej ozdobne nakrycie głowy nie było takie, jakie nosi się codziennie. Spod starej chusty udrapowanej wokół ramion wystawał jedwab inkrustowany perłami. Adelii zrobiło się jej żal - dziewczyna nadal miała na sobie ubranie, w którym szła do ślubu.

Wreszcie machnięcie ręką sprawiło, że kobiety się rozpierzchły. Dina, choć osierocona uciekinierka, wciąż cieszyła się poważaniem u innych niewiast, jako córka najbogatszego Żyda w Cambridgeshire. I się nudziła. Zamknięta tutaj przez rok, usłyszała już wszystko, co jej towarzyszyki miały do powiedzenia - i to kilka razy.

- Tak? - Dziewczyna uniosła welon. Miała może z szesnaście lat, nie więcej, ładna, ale o twarzy pełnej zgryzoty. Kiedy usłyszała, czego chce Adelia, odwróciła głowę. - Nie będę o tym mówić.

- Trzeba złapać prawdziwego mordercę.

- Oni wszyscy są mordercami. - Zwróciła głowę na bok, próbując nasłuchiwać, i podniosła palce, gestem nakazując Adelii, żeby słuchała wraz z nią.

Zza zewnętrznego muru dobiegały okrzyki przytłumione przez odległość, świadczące o tym, że Roger z Acton stosownie zareagował na przybycie biskupa pod zamkowe bramy. Spośród wrzasków dawało się wyłowić słowa „zabić Żyda”.

- Czy ty wiesz, co oni zrobili mojemu ojcu? - odezwała się Dina. - Co oni zrobili mojej

matce? - Młoda twarz wykrzywiła się z rozpacz, stając się przez to jeszcze młodsza. -  
Tęsknię za matką, bardzo.

Adelia uklękła obok niej, wzięła dłoń dziewczyny i przyłożyła sobie do policzka.

- Ona chciałaby, żebyś była dzielna.

- Ja nie potrafię. - Dina z powrotem odwróciła głowę, dała popłynąć łzom.

Medyczka rzuciła okiem tam, gdzie pozostałe kobiety szykowały się już, by podejść, i powstrzymała je, kręcąc głową.

- Właśnie, że potrafisz - powiedziała. Położyła dłoń Diny i swoją własną na nabrzmiałym brzuchu dziewczyny. - Twoja matka chciałaby, abyś była dzielna, dla jej wnuka.

Jednak rozpacz Diny, raz uwolniona, mieszała się już ze zgrozą.

- Oni zabiorą też dziecko. - Szeroko otworzyła oczy. - Nie słyszysz? Oni chcą się tu wdrzeć. Oni chcą się tu wdrzeć!

Jakie to wszystko było dla nich straszne. Adelia potrafiła sobie wyobrazić izolację, nawet nudę, ale nie takie czekanie dzień w dzień jak zwierzę z nogą w pułapce, czekanie, aż nadejdą wilki. Nie dawało się zapomnieć, że na zewnątrz czyha już sfora. Przypominało o tym wycie Rogera z Acton.

Bezskutecznie próbowała ją pocieszyć.

- Król nie pozwoli im wejść. - I dodała jeszcze: - Twój mąż jest tutaj, aby cię obronić.

- Akurat zdoła - powiedziała Żydówka z pogardą, co osuszyła jej łzy. Czy miała takie niskie mniemanie o królu, czy też o swoim mężu?

Dina, aż do dnia ślubu, nie widziała mężczyzny, któremu została obiecana jako żona. Adelia nigdy nie uważała, że to dobry zwyczaj. Żydowskie prawo nie pozwalało, by młoda kobieta wychodziła za mąż wbrew swojej woli, ale zbyt często oznaczało to jedynie, że nie zmuszano jej do poślubienia człowieka, którego nienawidziła. Sama Adelia uniknęła małżeństwa dzięki liberalnym poglądom przybranego ojca, zgadzającego się spełnić jej życzenie pozostania niezamężną.

- Dzięki Bogu, mnóstwo jest dobrych żon - oznajmił - a tylko kilku dobrych medyków. A dobra kobieta medyk warta jest więcej niż klejnoty.

W przypadku zaś Diny, straszliwy dzień zaślubin i uwięzienie, jakie po nim nastąpiło, nie wróżyły dobrze małżeńskiemu pozyciu.

- Słuchaj mnie - energicznie odezwała się Adelia - jeśli twoje dziecko nie ma spędzić reszty życia w tym zamku, jeśli zabójca nie ma pozostać na wolności, aby mordować inne dzieci, powiedz mi wszystko, co wiesz. - W desperacji dorzuciła jeszcze: - Wybacz mi, ale w pewnym sensie, on także zabił twoich rodziców.

Mokre od łez, piękne oczy popatrzyły na nią uważnie jak na kogoś naiwnego i niewinnego.

- Ale przecież właśnie dlatego oni to zrobili. Czy ty nie wiesz?

- Nie wiem czego?

- Dlaczego oni zabili chłopca. My wiemy. Zabili go tylko dlatego, żeby nas obwinie. W innym razie dlaczego by podrzucili ciało na nasz trawnik?

- Nie - powiedziała Adelia. - Nie.

- Oczywiście, że to zrobili. - Twarz Diny oszpeciła pogarda. - To było zaplanowane. Potem nasłali na nas tłuszcę. Zabić Żydów! Zabić lichwiarza Chaima! Oto co krzyczeli i co zrobili.

- Zabić Żydów! - Niczym echo dobiegło zza bramy.

- Od tamtego czasu umarły też inne dzieci - powiedziała Adelia. Była wstrząśnięta tym nowym pomysłem.

- One też, zabito je, żeby ta tłuszcza miała wymówkę, kiedy przyjdzie powywieszać resztę nas - mówiła Dina jak nakręcona. Aż wreszcie przerwała i rzuciła: - Wiesz, że moja matka szła przede mną? Wiesz to? I dlatego rozszarpali ją, a nie mnie?

Nagle zasłoniła twarz rękami i zaczęła się kołysać do przodu i do tyłu, tak jak jej mąż kilka minut wcześniej, tyle że Dina modliła się za zmarłych.

- *Oseh szalom bimrometw, hujaase szalom alejnu, we'al kol lisrael we'imru. Amen.*

- *Amen.* On, który czyni pokój w swoich świętych miejscach, niech ześle nam pokój i pokój Izraelowi. Jeśli istniejesz, Boże, modliła się Adelia, niech tak się właśnie stanie.

Bo jasne, że ci ludzie mogli uznać swoje nieszczęście za starannie zaplanowane, za intrygę

gojów, którzy zamordowali dzieci, aby tak uczyniwszy, móc mordować Żydów. Dina nie pytała dlaczego. Historia dawała jej odpowiedzi.

Łagodnie, choć stanowczo, medyczka odsunęła dłonie dziewczyny, tak by móc spojrzeć jej w twarz.

- Posłuchaj mnie, pani. Jeden człowiek zabił te wszystkie dzieci, jeden. Widziałam ich ciała i on zadał im rany straszliwe, naprawdę okropne. On to robi, bo powodują nim żądze, których nie pojmujemy, bo nie jest człowiekiem w takim sensie, jaki pojmujemy. Teraz Szymon z Neapolu przybył do Anglii, aby oczyścić Żydów z winy, jednak nie proszę cię, żebyś mu pomagała dlatego, że jesteś Żydówką. Proszę dlatego, że to wbrew prawom boskim i ludzkim, aby dzieci cierpiały tak jak tamte.

Zamkowe hałasy wspiły się codziennym długim crescendo, głośząc wrzaski Rogera z Acton do poziomu ptasiego popiskiwanego.

Jakiś byk, czekający na paszę, dodał swoje muczenie do zgrzytu obrotowej oselki, na której giermkowie ostrzyli miecze swoich panów.

Żołnierze ćwiczyli musztrę. Dzieci, właśnie wypuszczone, aby się bawić w ogrodzie szeryfa, śmiały się i krzyczały.

Dalej, w szrankach, poborca podatków, który postanowił zrzucić nieco tłuszczu i przyłączył się do rycerzy ćwiczących drewnianymi mieczami.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytała Dina. Adelia poklepała ją po policzku.

- Jesteś córką godną swojej dzielnej matki. - Nabrała oddechu. - Dino, widziałas ciało na trawniku, zanim zgaszono światła, zanim zostało przykryte obrusem, zanim je wyniesiono. W jakim było stanie?

- Biedne dziecko. - Teraz Dina nie płakała nad sobą, nie nad swoim dzieckiem, nie nad swoją matką. - Biedny chłopczyk. Ktoś odciął mu powieki.

## Rozdział 8

Musiałam się upewnić - powiedziała Adelia. - Ten chłopiec mógł zginąć z ręki kogoś innego niż nasz zabójca albo nawet przypadkiem, obrażenia mogły powstać już po śmierci.

- Zapewne, oni zawsze tak robią - zakpił Szymon. - Kiedy umierają przypadkowo, to skaczą akurat na najbliższy żydowski trawnik.

- To było potrzebne, by upewnić się, że umarł tak jak pozostali. Trzeba to było udowodnić. - Adelia czuła się równie zmęczona jak Szymon, choć do sposobu, w jaki Żydzi potraktowali ciało na swoim trawniku, nie podeszła aż z taką odrazą. - Teraz możemy mieć pewność, iż to nie Żydzi go zabili.

- A kto w to uwierzy? - Szymon był zdecydowanie przygnębiony. Jedli kolację. Ostatnie promienie słońca wpadały prosto przez dziwne

okna, ogrzewały pokój i nadawały złotą barwę cynowemu dzbanowi Szymona. Aby oszczędzać wino, przestawił się na angielskie piwo. Mansur pił podpiwek, który przygotowała mu Gyltha. I to właśnie Mansur zapytał teraz:

- Dlaczego ten pies odciął im powieki?

- Nie wiem. - Adelia nie chciała się nad tym zastanawiać.

- Chcielibyście wiedzieć, co ja myślę? - zapytał Szymon. Ona nie chciała. W Salerno dostawała czasem zwłoki osób, które

zmarły w niejasnych okolicznościach. Oglądała je. Przekazywała wyniki przybranemu ojcu, który powiadamiał władze, i ciała zabierano. Czasem, zawsze później, dowiadywała się, co stało się ze zbrodniarzem - jeśli został odnaleziony. A teraz, po raz pierwszy, była bezpośrednio zaangażowana w polowanie na zabójcę i wcale jej się to nie podobało.

- Myślę, że jak dla niego one umarły za szybko - oznajmił Szymon.

- Myślę, że chciał być obiektem ich uwagi, nawet kiedy już nie żyły. Adelia odwróciła głowę i patrzyła na muszki tańczące w snopie słonecznego światła.

- Już wiem, jaką część ciała mu obetnę, jak go złapiemy, *Inszallah*

- oznajmił Mansur.

- Będę ci pomagał - powiedział Szymon. Tych dwóch ludzi tak bardzo się różniło. Arab, potężny, siedzący na krześle, o śniadej twarzy prawie bez wyrazu pod białymi zawojami turbanu. Żyd nachylał się do przodu, słońce wyostrzyło linię jego policzków, palce otaczały dzban. A obaj byli zgodni.

Dlaczego mężczyźni uważają to zawsze za coś najgorszego? Może dla nich faktycznie

stanowiło najgorsze. Ale było przecież takie banalne, niczym kastrowanie dzikiego zwierzęcia. Cierpienie zadane przez ową szczególną istotę miało zaś rozmiary zbyt wielkie jak na zwykłą ludzką zemstę, ból powodowany przez nią rozszedł się zbyt szeroko. Adelia pomyślała o Agnieszce, matce Harolda i trzymanej przez nią straży. Pomyślała o rodzicach, zgromadzonych wokół małych katafalków w kościele klasztoru Świętego Augustyna. O dwóch mężczyznach w piwnicy Chaima, modlących się przy czynieniu czegoś sprzecznego z ich naturą, kiedy pozbywali się straszliwego ciężaru. Pomyślała o Dinie i cieniach, które na nią opadły i które mogą się już nigdy nie unieść.

Pomyślała, że jeśli nie brać pod uwagę wiekuistego potępienia, nie ma stosownego zadośćuczynienia dla tych zmarłych ani dla żywych, których pozostawili. Nie w tym życiu.

- Zgadzasz się ze mną, medyczko?

- W czym?

- Z moją teorią co do tych okaleczeń.

- To nie moje poletko. Nie jestem tutaj, aby zrozumieć, dlaczego morderca robi to, co robi, lecz po to, aby dowiedzieć, że właśnie on to zrobił.

Wpatrywali się w nią.

- Proszę o wybaczenie - dodała znacznie ciszej - ale ja nie będę wchodzić w jego umysł.

- Pani - odezwał się Szymon - musimy zrobić dokładnie to, nim zakończymy sprawę.

Myśleć tak, jak myśli on.

- No to myśl - odparła. - To ty tu jesteś najsubtelniejszy. Westchnął ze smutkiem. Tego wieczoru wszyscy byli ponurzy.

- Zbierzmy to, czego się o nim dowiedzieliśmy do tej pory. Mansur?

- Przed tym świętym chłopaczkiem nikogo tutaj nie zabijał. Może po raz pierwszy pojawił się tutaj rok temu.

- Aha, czyli myślisz, że robił to już wcześniej gdzie indziej?

- Szakał zawsze będzie szakalem.

- Prawda - oznajmił Szymon. - A może to nowy rekrut armii Belzebuba, właśnie zaczynający zaspokajać swoje żądze?

Adelia się skrzywiła. Teoria, że morderca jest kimś młodym, klóciła się z podpowiedziami intuicji. Szymon uniósł głowę.

- Ty tak nie sądzisz, pani? Westchnęła. Musiała się odezwać, choć nie miała ochoty.

- Tak przypuszczacie?

- Poza przypuszczeniami niewiele więcej mamy. Niechętnie, bo jej podejrzenia wynikały z czegoś, co było mniej niż cieniem przezierającym poprzez mgłę, oznajmiła:

- Ataki są pełne szału, co sugeruje młodzika, ale są zaplanowane, co sugeruje dojrzałość.

Zwabił dzieci do szczególnego, ustronnego miejsca, takiego jak to wzgórze. Myślę, że tak musiało być, bo nikt nie słyszał ich okrzyków cierpienia. Przypuszczalnie poświęcił na to sporo czasu. Nie w wypadku świętego Piotrusia, przy nim bardziej się spieszył, ale przy następnych dzieciach już tak.

Przerwała, albowiem jej teoria była wręcz potworna i oparta na wątych dowodach.

- Może być tak, że trzymano je przy życiu przez jakiś czas po ich uprowadzeniu. To by sugerowało perwersyjną cierpliwość i zamięłowanie do przedłużonej agonii. Ja spodziewałabym się po ciele ostatniej ofiary, zważywszy na dzień, w jakim je odnaleziono, że nosić będzie oznaki bardziej zaawansowanego rozkładu.

Spojrzała prosto na nich.

- Ale to może być też zależne od tak wielu innych spraw, że nie powinno się do tego faktu przykładać w ogóle żadnej wagi.

- Ach! - Szymon odsunął od siebie kubek, jakby poczuł do niego obrzydzenie. - Czyli nie posunęliśmy się wcale dalej. Mimo wszystko musimy przyjrzeć się temu, co robiło czterdzieści siedem osób, niezależnie od tego, czy nosili czarną czesankową wełnę, czy nie. Napiszę do żony, że jeszcze długo mnie nie będzie w domu.

- Jest jeszcze jedna sprawa - powiedziała Adelia. - Przyszło mi to do głowy dzisiaj, kiedy rozmawiałam z Diną. Ta biedna niewiasta uważa, że zabójstwa są wynikiem spisku mającego oczernić jej pobratymców.

- To nie to - odparł Szymon. - Tak, on próbuje wmieszać w to Żydów tymi gwiazdami Dawida, ale nie dlatego zabija.

- Zgadzam się. Jakikolwiek jest podstawowy motyw tych morderstw, nie wiąże się z rasą.

Jest w tym zbyt dużo cielesnej, dzikiej żądzy.

Urwała. Obiecała, że nie spróbuje wnikać w umysł zabójcy, a czuła, jak on już wyciąga swoje macki, aby wejść w jej głowę.

- Ale i tak on nie widzi powodu, czemu by na tym nie skorzystał. Dlaczegoż inaczej wyrzuciłby świętego Piotrusia na trawnik Chaima?

Szymon uniósł brwi. Tego pytania wszak nie trzeba było nawet zadawać.

- Chaim był Żydem. Odwiecznym kozłem ofiarnym.

- To zadziało cholernie dobrze - oznajmił Mansur. - Na zabójcę nie padło żadne podejrzenie. I... - przesunął palcem po gardle. - Żegnajcie, Żydzi.

- Właśnie tak - powiedziała Adelia. - Żegnajcie, Żydzi. Raz jeszcze. Ja się zgadzam z tym, że ten człowiek, jak już popełnił swój czyn, chciał wmieszać w to Żydów. Ale dlaczego wybrał akurat tego szczególnego Żyda? Dlaczego nie porzucił ciała obok jakiegokolwiek innego domu? Tej nocy były opuszczone i ciemne, bo wszyscy Żydzi bawili się na weselu Diny. Jeśli był na łódce, a przypuszczalnie był, to raczej ten dom, dom Starego Beniamina, nieopodal rzeki, bardziej nadawał się, żeby podłożyć trupa. A on podjął niepotrzebne ryzyko i wybrał trawnik Chaima, dobrze oświetlony, i tam porzucił ciało.

Szymon nachylił się jeszcze bardziej do przodu, jego nos prawie dotknął jednego ze stojących tam lichtarzy.

- Mów dalej. Adelia wzruszyła ramionami.

- Ja tylko zwracam uwagę na to, co się w rezultacie stało. Żydów oskarża się o zbrodnię, tłum ogarnia szaleństwo, Chaim, najważniejszy bankier w Cambridge, zostaje powieszony. Wieża, w której znajdują się dokumenty o wszystkich tych, którzy winni są pieniądze lichwiarzom, staje w płomieniach, w tym i akta dłużników Chaima.

- Czyli był winien pieniądze Chaimowi? Nasz morderca zaspokoił swoje żądze i chciał umorzyć swe długi. - Szymon zastanowił się nad tym. - Ale czy mógł przewidzieć, że tłum spali wieżę? Albo że zwróci się przeciwko Chaimowi i powiesi go z tego powodu?

- On był w tłumie - oznajmił Mansur, a jego chłopięcy głos przemienił się w pisk. - „Zabić Żydów. Zabić Chaima. Precz z brudną lichwą. Ludzie, na zamek! Weźcie pochodnie!”

Ulf, zaalarmowany dźwiękiem, wychylił głowę za balustradę galeryjki. Ta głowa wyglądała wśród zapadającego zmierzchu jak biały i niesforny dmuchawiec. Adelia wskazała go palcem.

- Idź spać - poleciła.

- Dlaczego paplecie tak po obcemu?

- Żebyś nie mógł podsłuchiwać. Idź spać. Zza balustrady wyłoniło się więcej Ulfa.

- Czyli myślicie, że to w ogóle nie Żydki zrobiły to wszystko Piotrowi i reszcie?

- Nie - powiedziała medyczka i dodała coś jeszcze, bo to przecież był Ulf, ten który odkrył i pokazał jej ściek. - Piotr już nie żył, kiedy znaleźli go na trawniku. Byli przestraszeni i wrzucili go do ścieku, żeby ich o nic nie podejrzewano.

- Ale wymyślili, co? - mruknął chłopiec z niesmakiem. - No, ale kto im to zrobił?

- Nie wiemy. Ktoś, kto chciał, żeby oskarżono Chaima, ktoś, kto był mu winien pieniądze. Idź spać.

Szymon uniósł rękę, aby jeszcze zatrzymać chłopca.

- Nie wiemy kto, synu, ale próbujemy się dowiedzieć. Potem zwrócił się jeszcze do Adelii w języku Salerno.

- Dzieciak jest bystry. Już raz się przydał. Może zdoła dla nas po-szpiegować.

- Nie - aż zaskoczyła ją pasja, z jaką to powiedziała.

- Mogę pomóc. - Chłopiec zszedł z balustrady i spiesznie podreptał schodami na dół. - Znam się na tropieniu. Zajrzę wszędzie w mieście.

W świetle świec pojawiła się Gyltha.

- Ulf, idź spać, bo inaczej nakarmię tobą koty.

- No, babciu, powiedz im - prosił Ulf rozpaczliwie. - Powiedz im, jaki ze mnie dobry tropiciel. I ja wiem, gdzie można usłyszeć różne ciekawe rzeczy, prawda, babciu? Ja słyszę rzeczy, o których nikt nie wie, że ja je w ogóle słyszę, bo nikt nie zwraca na mnie uwagi, a ja wiem, jak się dostać do różnych miejsc... Babciu, ja mam prawo. Harold i Piotr byli moimi kolegami.

Wzrok Gylthy napotkał spojrzenie Adelii i, w jednej strasznej chwili, powiedziały medyczce, że starsza kobieta wie to, co ona. Wie, że morderca może uderzyć ponownie.



Szakał zawsze będzie szakalem.

- Ulf mógłby pójść jutro z nami i pokazać, gdzie znaleziono tych troje dzieci - zaproponował Szymon.

- To u podnóży kręgu - zaprotestowała Gyltha. - Nie chcę, żeby chłopak się tam szwendał.

- Jest z nami Mansur. Gyltho, mordercy nie ma na wzgórzu, on jest w mieście. Dzieci uprowadzono z miasta.

Gyltha popatrzyła na Adelię, która skinęła głową. Ulf będzie bezpieczniejszy w ich towarzystwie, niż samemu wędrując i tropiąc po Cambridge.

Kobieta zastanawiała się jeszcze.

- A co z chorymi?

- Przez ten czas nie będziemy ich przyjmować - stanowczo oznajmił Szymon.

- Zanim medyk ruszy na wzgórze - równie stanowczo powiedziała Adelia - zajmie się najpoważniejszymi przypadkami z wczoraj. Chcę się upewnić co do tego dzieciaka z kaszlem. I trzeba zmienić opatrunek po amputacji.

Szymon westchnął.

- Powinniśmy przebrać się za astrologów. Albo prawników. Ogólnie rzecz biorąc, kogoś bezużytecznego. Obawiam się, że postępując w duchu Hipokratesa, weźmiemy sobie niezłe jarzmo na barki.

- I tak się stanie. - W bardzo niewielkim panteonie Adelii Hipokrates sprawował władzę najwyższą.

Ulf dał się namówić, aby położyć się tam, gdzie spał wraz ze sługami. Gyltha wróciła do kuchni, a pozostała trójka na nowo podjęła rozmowę. Szymon Zabębnił palcami po stole. Zastanawiał się. Nagle przemówił.

- Mansurze, mój dobry, mądry przyjacielu, sądzę, że masz rację, nasz zabójca był w tym tłumie rok temu, nawoływał do uśmiercenia Chaima. Zgadzasz się ze mną, pani?

- Tak mogło być - ostrożnie stwierdziła Adelia. - Z pewnością pani Dina wierzy, że tłum podjudzono właśnie z takim zamiarem.

Zabić Żydów, pomyślała, największe pragnienie Rogera z Acton. Jakże by pasowało, gdyby okazał się równie straszliwy w działaniu jak pod względem charakteru.

Powiedziała to na głos, a potem zwątpiła, czy ma rację. Morderca tych dzieci z pewnością posiadał dar przekonywania. Nie potrafiła sobie wyobrazić, aby bojaźliwa Maria dała się skusić Actonowi, nieważne, ile cukierków by jej proponował. Jemu brakowało subtelności, był wrzaskliwym bufonem, szkaradą. Ani, sadząc po tym, jak pomstował na Żydów, nie zdołałby od nich czegokolwiek pożyczyć.

- Niekoniecznie tak - oznajmił Szymon. - Widziałem ludzi wychodzących z kantoru mojego ojca, przeklinających go za lichwę i jednocześnie mających mieszki pełne jego złota. Tak czy owak, ów chłopina nosi czesankową wełnę i musimy sprawdzić, czy był w Cambridge w interesującym nas okresie.

Nastrój mu się poprawił. Może jednak nie czekała go aż tak długa rozłąka z rodziną, jak się spodziewał.

- *Au loup!*- zakrzyknął. Widząc ich zdumienie, uśmiechnął się i dodał jeszcze:

- Przyjaciele, złapaliśmy trop. Jesteśmy Nemrodami. O Panie, gdybym znał dreszcz podniecenia towarzyszący pogoni, to porzuciłbym nauki na rzecz polowania. *Tyer-hillaut!* Czyż to nie ten zew?

- Ja myślę, że Anglicy wołają *halloo* i *Tally-ho*.

- Czyżby? Jakże szybko psuje się język. Ach! Tak czy owak, nasza zwierzyna jest już w zasięgu wzroku. Jutro wrócę do zamku i użyję tego nadzwyczajnego organu... - poklepał się po nosie, który zmarszczył się niczym chrapy - ...aby wywęszyć, który człowiek w tym mieście winien był Chaimowi pieniądze i nie chciał ich oddać.

- Jutro nie - odparła Adelia. - Jutro idziemy na wzgórze Wandlebury. - Prowadzenie tam poszukiwań mogło wymagać zaangażowania całej trójki. No i Ulfa.

- W takim razie pojutrze. - Szymon nie dawał się łatwo zbić z tropu. Uniósł swój dzban przed Adelią, a potem Mansurem. - Jesteśmy na tropie, moi drodzy. To mężczyzna dojrzały, który był trzy dni temu na wzgórzu Wandlebury i w Cambridge w taki, a taki dzień, mężczyzna bardzo zadłużony u Chaima i przewodzący tłumowi łaknącemu krwi bankiera. I mający dostęp do czarnej czesankowej wełny. - Wychylił duszkiem wino, otarł usta. - Znamy już niemal rozmiar jego butów.

- A on może i tak się okazać całkiem inną osobą - powiedziała medyczka.

Do tej listy dodałaby jeszcze genialną zdolność maskowania się, bo na pewno dzieci, tak jak Piotr, z własnej woli szły na spotkanie z mordercą, zwabione jego urokiem, nawet poczuciem humoru.

Pomyślała o otyłym poborcy podatków.

Gyltha nie zgadzała się, aby jej pracodawcy przesiadywali do późna, zaczęła więc sprzątać ze stołu, kiedy jeszcze przy nim byli.

- Hej - powiedziała - popatrzymy sobie na ten wasz cukiereczek. Wpuściłam wujka Matyldy B. do kuchni, on handluje słodyczami, może widział już coś takiego.

Adelia, wlokąc się po schodach, pomyślała, że w Salerno podobne zachowanie byłoby w ogóle nie do pomyślenia. W willi rodziców ciotka zawsze dbała, by słudzy znali swoje miejsce i się go trzymali, odzywając się, oczywiście z szacunkiem, tylko gdy musieli.

Ale z drugiej strony, przyszło jej do głowy, co jest lepsze? Służalność? Czy współpraca?

Wzięła cukierek, ten, który znalazła wplątany we włosy Marii, i wraz z prostokątem lnu położyła na stole. Szymon odsunął się, a wuj Matyldy B. dźgnął substancję paluchem i pokręcił głową.

- Jesteś pewny? - Adelia zbliżyła świecę, by miał lepsze światło.

- Ależ to jujuba - oznajmił nagle Mansur.

- W cukrze, jak sądzę - o z n a j m i ł wuj. - Za drogie j a k n a m ó j interes, my słodzimy miodem.

- O czym ty mówisz? - zapytała Araba medyczka.

- To jest jujuba. Moja matka to przyrządzała, niechaj Allah ją błogosławi.

- Jujuba - powtórzyła Adelia. - Jasne. Coś takiego robili w arabskiej dzielnicy Salerno. O Boże...

Opadła na krzesło.

- Co to jest? - Szymon zerwał się na nogi. - Co?

- To nie była żadna żyduba, chodziło o jujubę. - Zacisnęła powieki, z trudem tworząc w myślach obraz małego chłopca, który odwraca głowę i patrzy, a potem znika w ciemności między drzewami.

Gdy znowu otworzyła oczy, Gyltha już wyprowadziła z izby Matyldę B. i jej wujka, potem wróciła. Na skierowanych ku medyczce twarzach malowało się zdziwienie.

Adelia odezwała się więc po angielsku.

- Właśnie o to chodziło świętemu Piotrusiowi. Ulf nam o tym opowiadał. Mówił, że Piotr wołał przez rzekę do swojego kolegi Willa, że idzie po żyduby. Ale to nie o to chodziło. On powiedział, że idzie po jujuby. Will tego słowa nie znał i usłyszał je jako żyduby.

Nikt się nie odezwał. Gyltha wzięła krzesło i usiadła razem z innymi, łokcie oparła na stole, dłonie przyłożyła do czoła. Szymon przerwał ciszę.

- Tak, masz rację. Gyltha uniosła wzrok.

- To jasne, że tym je zwabił. Ale pierwszy raz słyszę o czymś takim.

- Mógł je przywieźć arabski handlarz - podsunął Szymon. - To słodycze ze Wschodu.

Poszukajmy kogoś mającego kontakty z Arabami.

- Może jakiś krzyżowiec lubiący słodycze - powiedział Mansur. - Krzyżowcy przywozili to ze sobą do Salerno, może któryś przywiózł tutaj.

- Racja! - Szymon był podekscytowany. - Prawda. Nasz zabójca był w Ziemi Świętej.

Adelia nie pomyślała o sir Gerwazym czy o sir Joscelinie, lecz o poborcy podatków, trzecim z krzyżowców.

Owce, tak jak konie, unikają stąpania po ciałach leżących na ziemi. Pasterz nazywany Waltem, właśnie dlatego tamtego dnia, kiedy zaprowadził stado na pastwisko na wzgórzu Wandlebury, ujrzał, jak w ich wełnistym potoku powstaje pusta przestrzeń, jakby rozstąpić mu się kazał niewidzialny prorok. Nim dotarł do owej przeszkody, której unikały zwierzęta, morze owiec znów się zamknęło.

Zaczął wycić pies pasterza.

Widok dziecięcych ciał i dziwacznej plecionki, leżącej na piersi każdego z nich, zniszczył Waltowi spokój jego życia, w którym dotychczas jedynym wrogiem była brzydka pogoda lub zwierz chodzący na czterech łapach i dający się odgonić.

Teraz stary Walt starał się jakoś dojść do siebie. Jego suche, poznaczone zmarszczkami dłonie złączyły się na kosturze. Pochylił głowę i ramiona skrywała opończa, głęboko

osadzone oczy przypominające paciorki wpatrywały się uważnie w trawę, tam gdzie wcześniej leżały trupy. Mamrotał coś do siebie.

Ulf, siedzący blisko niego, mówił, że starzec modli się do Wielkiej Pani, „aby uleczyła miejsca takie jak to”.

Adelia odeszła kilka jardów, znalazła kamień i usiadła na nim, ze Stróżem przy boku. Próbowwała wypytywać pasterza, ale on, choć przesunął po medycze spojrzeniem, chyba jej nie widział. Dostrzegła, że Walt w ogóle jej nie zauważa, jakby jego zdolność pojmowania nie obejmowała kobiety cudzoziemki, wręcz zrobiła się dla niego przejrzysta.

Rejestrował tylko obecność Ulfa, który również pochodził z mokradeł i tym samym stanowił solidny, znany element krajobrazu.

Jakże dziwnego krajobrazu. Po lewej teren łagodnie opadał ku płaskiej powierzchni mokradeł, oceanowi olch i wierzb kryjących swoje sekrety. Po prawej, gdzieś daleko, był goły szczyt wzgórza o zalesionych zboczach, gdzie Adelia, Szymon, Mansur i Ulf spędzili ostatnie trzy godziny, badając tamtejsze dziwne zagłębienia terenu, schylali się, aby zajrzeć pod krzaki, szukali kryjówki, w której dokonano zbrodni - i nic nie znaleźli.

Zaczął śiać deszcz, ustał, chmury zasłoniły słońce i odsłoniły je ponownie.

Adelia wiedziała, że gdzieś w pobliżu jest miejsce kaźni, dlatego ciężka cisza, wciąż jeszcze wibrująca od nieusłyszanych krzyków, przyniała wszystkie naturalne odgłosy: świergot ptaków, liście szeleszczące w deszczu, skrzyp sędziwej jabłoni poruszanej bryzą, sapanie mieszcucha Szymona, kiedy się wspinali. Odgłosy owiec gryzących kępy trawy.

Ucieszyła się, kiedy ujrzawszy pasterza z klasztoru od przeora - owce były własnością przybytku Świętego Augustyna - miała wymówkę, aby odejść stamtąd i razem z Ulfem ruszyć ku mężczyźnie, pozostawiając swoich towarzyszy zajętych przeczesywaniem wzgórza.

Chyba już dziesiąty raz powtórzyła w głowie tok rozumowania, który ich tutaj przywiódł. Dzieci umarły na kredowym podłożu. Bez wątpienia.

Znaleziono je w mule, tam w dole, na błotnistej owczej ścieżce, wiodącej na szczyt. I co więcej, znaleziono rankiem, zaraz po tym, jak na owo wzgórze wtargnęli obcy. Zatem trupy przeniesiono z kredowych mogił w nocy. Najbliższe kredowe podłoże, jedyny jego odsłonięty kawałek, z którego dałoby się zabrać je w tak krótkim czasie, to Krąg Wandlebury.

Spojrzała ku niemu, migotał po ostatnim deszczowym prysznicy. Dostrzegła, że Szymon i Mansur gdzieś znikli.

Mogli przedzierać się przez głębokie, mroczne aleje, ciemne przez pochylone nad nimi drzewa. Kiedyś były to rowy otaczające wzgórze.

Jakież pradawny lud obwarował krąg i z jakiego powodu? Przyłapała się na tym, że rozmyśla, czy krew owych dzieci była pierwsza, jaką tutaj rozlano. Czyżby owo miejsce nierozłącznie wiązało się ze złem i przyzywało mrok ludzkiej duszy, tak jak przyzywało tego zbrodniarza?

A może Wezuwia Adelia Rachela Ortese Aguilar stawała się równie podatna na przesady, jak jakiś staruch mamroczący zaklęcia nad poletkiem trawy?

- On zamierza w końcu coś nam powiedzieć, czy nie? - syknęła do Ulfa. - Musi wiedzieć, czy tu jest jakaś jaskinia, czy coś takiego.

- On już tam więcej nie pójdzie - odszepnął jej chłopak. - Mówi, że nocami tam tańcuje stary Nick. Te jamy to ślady jego stóp.

- Ale pozwala tam chodzić swoim owcom.

- O tej porze roku to najlepsze pastwisko w promieniu wielu mil. Z nim jest jego pies. Pies mu powie, jak coś będzie nie tak.

Mądry pies. Starczyło tylko, by uniósł wargę, a już Stróż przycupnął z dala od szczytu wzgórza, czekając, aż Adelia zejdzie.

Medyczka zastanowiła się, do jakiej Wielkiej Pani zwracał się pasterz. Do Marii, matki Jezusa? A może do jakiejś starszej matki?

Kościół nie zdołał do końca wyplenić wiary w dawnych bogów. I dlatego starcowi zagłębienie na szczycie wzgórza mogło wydać się odciskiem kopyta jakiegoś potwora starszego od chrześcijańskiego szatana o tysiące lat.

Oczyrna duszy ujrzała wielką rogatą bestię depczącą dzieci. Zdenerwowała się na siebie. Co się z nią dzieje?

Odczuwała też coraz dotkliwiej mokro i zimno.

- Zapytaj go, czy naprawdę widział tam kiedyś starego Nicka, niech go szlag.

Ulf zadał pytanie cichym, śpiewnym akcentem, nie całkiem rozumiała słowa. Starzec odpowiedział w ten sam sposób.

- On mówi, że nie podchodzi blisko i ja mu się nie dziwię. Ale widział tam nocami ogień...
- Jaki ogień?
- Światło. Ogień starego Nicka. Walt myśli, że stary Nick przy nim tańczy.
- Jaki ogień? Gdzie? Kiedy? Jednak nawał pytań zakłócał pasterzowi pokój, jaki chciał na

nowo

zawrzeć z tym miejscem, Ulf gestem nakazał ciszę, Adelia zaś wróciła do rozmyślań o duchach, tych dobrych i tych złych.

Kiedy była dziś na tym wzgórzu, cieszyła się, że pod tuniką ma drewniany krucyfiks, dar od Małgorzaty, nawet jeśli nosiła go tylko przez wzgląd na nią.

Wcale nie sprzeciwiała się naukom Nowego Testamentu. Sama w sobie była to religia głosząca życzliwość i współczucie. Kiedy klęczała przy swojej umierającej niani, właśnie Jezusa Małgorzata błagała, by ją ocalił. Nie uratował Angielki, lecz Adelia Mu to wybaczyła. Pełne miłości serce niani stało się już zbyt znużone, aby bić dłużej. Przynajmniej koniec miała spokojny.

Tym, czemu przeciwstawiała się lekarka, była kościelna interpretacja Boga jako małostkowego, głupiego, chciwego pieniędzy, wstecznego i przedpotopowego tyрана, który stworzywszy zdumiewająco różnorodny świat, zakazał wszelkich prób zgłębienia jego złożoności, zostawiając swój lud w ciemnocie.

Przeciwstawiała się też kłamstwu. Mając siedem lat, kiedy uczyła się pisać w konwencie St Giorgio, gotowa była wierzyć we wszystko, czego nauczały ją zakonnice i Biblia. Dopóki matka Ambrozja nie wspomniała o żebrach Adama...

Pasterz zakończył swoje modlitwy i odezwał się do Ulfa:

- O czym on mówi?

- Gada o trupach, o tym, co ten diabeł im zrobił. Uderzało, iż stary Walt zwraca się do Ulfa jak do równego sobie.

Może, pomyślała Adelia, fakt, iż chłopiec umie czytać, wyniósł go w oczach pasterza tak wysoko, że zniknęła różnica wieku.

- Co on teraz mówi?

- On teraz mówi, że jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego, nie od kiedy stary Nick był tu ostatnim razem i zrobił coś podobnego owcom.

- Och, to pewnie był wilk albo coś w tym rodzaju.

- Miał nadzieję, że ostatni raz widział takie łotrostwo, ale on wrócił. Co stary Nick zrobił owcom? Adelia zapytała nagle, ostro:

- Co on im zrobił? - Potem dodała: - Jakim owcom? Kiedy? Ulf zadał pytanie i usłyszał odpowiedź.

- To było w roku wielkiej burzy.

- Na litość boską. Och, nieważne. Gdzie on położył resztki zwierząt?

Najpierw Adelia i Ulf zamiast łopat używali gałęzi, ale kreda okazała się za krucha, by dało się ją wydobywać większymi kawałami i szybko musieli zabrać się do kopania własnymi rękoma.

- Czego my szukamy? - zapytał Ulf, nie do końca wszystko rozumiejąc.

- Kości, chłopcze, kości. Czyichś, nie lisa, nie wilka, nie psa... Ktoś zaatakował te owce, tak on powiedział, prawda?

- Powiedział, że to stary Nick.

- To nie był zaden stary Nick. Rany były podobne, tak powiedział, prawda?

Twarz Ulfa spochmurniała, co znaczyło - już zaczynała to poznawać - że nie spodobał mu się przedstawiony przez pasterza opis ran.

A może on nie powinien w ogóle tego słuchać, pomyślała, ale teraz było już za późno.

- Kop dalej. W którym roku była ta wielka burza?

- W tym roku, kiedy zawałiła się dzwonnica u Świętego Ethela. Adelia westchnęła. W świecie Ulfa pory roku miały niepostrzeżenie,

dni urodzin niezauważone, upływ czasu znaczyły tylko jakieś niezwykle wydarzenia.

- A jak dawno to było? - dopytywała się, a potem dodała jeszcze, chcąc naprowadzić

chłopca na właściwy trop: - Jakoś tak w Gody?

- To nie były Gody, to było, jak zakwitły pierwiosnki. - Jednak spojrzenie na umazaną kredą twarz Adelii skłoniło Ulfa do wysilenia pamięci. - Minęło od tego czasu już sześć, z siedem Godów.

- Kop dalej. Sześć, siedem lat temu. Czyli to się stało, kiedy na Kręgu Wandlebury stała zagroda dla

owiec. Stary Walt opowiadał, iż zamykał tam zwierzęta na noc. Przestał tak robić, kiedy pewnego ranka ujrzał wejście do niej wyłamane, a na trawie wokół zmasakrowane trupy zwierząt.

Przeor Gotfryd, kiedy o tym usłyszał, nie uwierzył w opowieść pasterza o diable. Powiedział, że to robota jakiegoś wilka, wysłał myśliwych.

Lecz Walt dobrze wiedział, że to wcale nie było zwierzę. Wilki nie robią czegoś takiego, nie robią tego w taki sposób. Wykopał jamę u dołu wzgórza, z dala od pastwisk, i zaniósł tam trupy, jeden po drugim, następnie pochował, aby „spoczywały w spokoju”, jak oznajmił Ulfowi.

Jakież człowiek miał tak wypaczoną duszę, aby poszlachtować biedne owce?

Tylko jeden. Dzięki Bogu, tylko jeden.

- No i mam. - Ulf odkrył podłużną czaszkę.

- Dobra robota. - Po swojej stronie dołu Adelia też wymacała palcami kości. - To są te zwierzęta, o które nam chodziło.

Stary Walt ułatwił im pracę. Starając się zapewnić spoczynek duchom owiec, ułożył zwłoki starannie w rzędy jak ciała poległych na polu bitwy.

Adelia wyciągnęła jedno z truchel i usiadłszy, położyła sobie na kolanach, zadem w swoją stronę. Oczyszczyła z kredy. Musiała przeczekać kolejny deszczyk, zanim słońce poświeciło na tyle szczerze, aby mogła obejrzeć szkielet.

- Ulf- powiedziała cicho - przyprowadź tu mistrza Szymona i Mansura.

Kości były czyste, nie oblepiała ich wełna, czyli leżały tutaj od dłuższego czasu. Ujrzała straszliwe obrażenia tam, gdzie u świni znajdowały się miednica i kość łonowa - ze wszystkich zwierząt tylko jej szkielet Adelia dobrze знаła. Stary Walt miał rację. Żadnych śladów po zębach. To rany klute.

Kiedy chłopiec odszedł, sięgnęła po swój mieszek, rozluźniła rzemień, wyjęła małą, podróżną tabliczkę, bez której nigdzie się nie ruszała, i zaczęła na niej notować.

Rysy na kościach, takie same jak u dzieci. Może zadane innym ostrzem, ale bardzo podobnym, topornie ociosanym niczym końcówka płaskiego kawałka drewna, zastrugana w szpic.

Jaka to, do licha, broń? Z pewnością nie zrobiono jej z drewna. To także nie stalowe ostrze, raczej też nie żelazne, zbyt szerokie. Jednak ostre, niesłychanie ostre - kręgosłup zwierzęcia został przecięty.

Czy właśnie tu przerażająca, cielesna żądza owego mordercy ujawniła się po raz pierwszy? W stosunku do bezbronnych zwierząt? Ten zbrodniarz zawsze atakuje bezbronnych.

Ale skąd przerwa, sześć, siedem lat, aż do zeszłego roku? Żądz takich jak ta z pewnością nie można powstrzymać zbyt długo. Przypuszczalnie więc ich nie hamował. Gdzie indziej z pewnością też ginęły zwierzęta, a ich śmiercią obciążano wilka. A kiedy zwierzęta przestały mu wystarczać? Kiedy postanowił dobrać się do dzieci? Czy święty Piotruś był pierwszy?

Wyjechał, pomyślała. Szakał zawsze pozostanie szakalem. Były inne śmierci, w innych okolicach, ale to wzgórze stanowiło jego ulubione miejsce zabijania. To tu właśnie tańczył. Nie było go, ale teraz wrócił.

Ostrożnie zamknęła tabliczkę, chroniąc ją przed deszczem, położyła truchło przed sobą, tak by móc sięgnąć do jamy po więcej kości.

Usłyszała, że ktoś życzy jej dobrego dnia.

On wrócił.

Przez chwilę siedziała bardzo cicho, potem przekręciła się, niezręcznie, odsłaniając. Dłonie położyła na szkieletach w jamie, tak aby podeprzeć górę ciała i chronić się przed upadkiem na szczyt stosu gnatów.

- Znowu rozmawiasz z kośćmi, pani? - z zaciekawieniem spytał poborca podatków. - Co ci powiedziały? Bee?

Adelia dostrzegła, że spódnica podwinęła jej się do góry, ukazując sporo gołej nogi, a ona nie ma jak jej zsunać.

Sir Rowley pochylił się, złapał medyczkę pod pachy i uniósł jak lalkę.

- Niczym Łazarz, prosto z grobu - oznajmił. - Jest nawet grobowy pył.

Zaczął ją otrzępywać, wzbijając chmury ostro pachnącej kredy. Odepchnęła jego dłoń, już nie wystraszona, lecz wściekła, bardzo wściekła.

- Co ty tutaj robisz, panie?

- Przechadzam się, dla zdrowia. Powinnaś mnie pochwalić. Aż promieniował zdrowiem i dobrym humorem. W owym szarym

krajobrazie stanowił najbardziej wyróżniający się element - miał rumiane policzki oraz czerwony płaszcz. Przypominał przerośniętego drozda. Zdjął czapkę, kłaniając się przed medyczką, równocześnie podniósł jej tabliczkę z notatkami. Czyniąc to niby niezdarnie, otworzył ją i jakby przypadkiem odsłonił przed swoimi oczyma zapiski.

Genialne. Nachylił się, by zerknąć na szkielety. Powoli się rozprostował.

- Kiedy to zrobiono?

- Sześć albo siedem lat temu - odparła.

Czy to byłeś ty, pomyślała. Czy za tymi wesołymi niebieskimi oczami kryje się szaleństwo?

- A zatem on zaczął od owiec - powiedział.

- Tak. Bystry umysł? A może spryt nakazujący udawać, świadomość, że ona i tak coś właśnie odkryła?

Miał napięte mięśnie szczęk. Teraz stał przed nią ktoś inny, już nie ten dobrotliwy człowiek. Adeli zdało się, że jakby wyszczupłał.

Deszcz się nasilił. Ani śladu Szymona albo Mansura.

Nagle poborca podatków złapał ją za ramię i pociągnął za sobą. Stróż, który wcześniej w ogóle nie ostrzegł o nadejściu tego człowieka, teraz wesoło podreptał za nimi. Medyczka wiedziała, że powinna się bać, ale tym, co teraz czuła, była wściekłość.

Zatrzymali się pod sklepieniem z bukowych konarów, gdzie Picot nią potrząsnął.

- Czemu za każdym razem wyprzedzasz mnie o krok? Kim ty jesteś, kobieto?

Była Wezuwią Adelią Rachelą Ortese Aguilar i poczuła się dotknięta.

- Jestem medyczką z Salerno, a ty jesteś mi winien szacunek. Spojrzał na swoje wielkie dłonie, zaciśnięte na ramionach Adeli, puścił ją.

- Proszę o wybaczenie, pani. Spróbował się uśmiechnąć.

- To nie wystarczy, prawda?

Zdjął swój płaszcz, ostrożnie położył go u stóp drzewa i zaprosił Adelię, aby na nim spoczęła. Chętnie to zrobiła. Wciąż jeszcze trzęsły jej się nogi. Usiadł obok niej.

- Ale, jak widzisz, pani - zaczął spokojnie tłumaczyć - mnie szczególnie zależy na odnalezieniu tego zabójcy. Choć za każdym razem, kiedy idę za niczą wiodącą mnie w głąb labiryntu tego, nie znajduję Minotaura, lecz Ariadnę.

I Ariadna znajduje ciebie, pomyślała.

- Mogę zapytać, jaka nić poprowadziła cię tu dzisiaj? - zapytała.

Stróż oparł łapę o pień drzewa, a potem usadowił się na wolnym kawałku płaszcza.

- Och tak - powiedział sir Rowley. - Łatwo to wyjaśnić. Byłaś pani, na tyle dobra, aby powierzyć mi spisywanie historii tych biednych kości, z którymi rozmawiałaś w chacie pustelniczki, historii o ich przeniesieniu z kredy na muł. Chwila zastanowienia pozwoliła dociec nawet, kiedy to przeniesienie miało miejsce. - Spojrzał na nią. - Jak miemam, twoi towarzysze przeszukują wzgórze?

Przytaknęła.

- Nic nie znajduję. Wiem to dobrze, bo sam przeczesywałem to wszystko przez ostatnie dwa wieczory i wierz mi, o pani, nie jest to miejsce odpowiednie, aby przebywać tu, kiedy zapadnie zmrok.

Walnął pięścią w rozciągnięty między nimi płaszcz. Adelia aż podskoczyła, zaś Stróż uniósł ślepią.

- Ale to stało się tutaj, na rany boskie. Tutaj wiedzie trop Minotaura. Powiedzieli nam o tym ci biedni młodziankowie.

Popatrzył na swoją dłoń, jakby widział ją po raz pierwszy, rozprostował palce.

- A zatem przeprosiłem lorda szeryfa i przyjechałem tutaj przyjrzeć się wszystkiemu raz

jeszcze. I co znalazłem? Panią medyk, słuchającą kolejnych kości. I teraz wiesz już wszystko.

Znowu poweselał.

Kiedy mówił, ulewa zaczęła słabnąć, pokazało się słońce. On jest jak ta pogoda, pomyślała Adelia. A ja nie wiem wszystkiego.

- Lubisz jujubę, panie? - spytała.

- Uwielbiam, pani. Dlaczego pytasz? Chcesz mnie poczęstować?

- Nie.

- Och. Popatrzył na nią tak, jakby jego umysłu nie powinno się już dłużej niepokoić, a potem odezwał się, mówiąc powoli i życzliwym głosem:

- Może opowiesz mi, pani, kto posłał ciebie i twoich towarzyszy, abyście prowadzili to śledztwo?

- Król Sycylii - odparła. Ostrożnie pokiwał głową.

- Król Sycylii. Zaczęła się śmiać. Przecież równie dobrze mogłaby to być królowa Saby albo cesarz chiński. On i tak nie rozpozna prawdy, albowiem nie ma tego we zwyczaju. Pomyśli, że jestem szalona.

A kiedy się śmiała, promienie słońca przeniknęły młode bukowe listki i światło padło na nią niczym deszcz świeżo wybitych, miedzianych pensów.

Twarz poborca zmieniała się tak, że Adelia ucichła i odwróciła wzrok.

- Wracaj do domu, pani - powiedział. - Wracaj do Salerno. Teraz zobaczyła Ulfa prowadzącego ku nim Szymona i Mansura od strony mogiły owiec.

Poborca podatków znowu przybrał pozę pełną powagi. Witam, witam zacnych panów. To ty, panie, pomagałeś naszej łaskawej pani medyk, kiedy oglądała zwłoki tamtych biednych dzieci... Tak jak on podejrzewał, że właśnie to wzgórze jest miejscem... Przeszukiwał je, ale nic nie znalazł. .. Czy oni, cała czwórka, nie podzieliliby się zdobytą wiedzą, aby doprowadzić tego demona przed oblicze sprawiedliwości...

Adelia odsunęła się, chcąc dołączyć do Ulfa, który uderzał się czapką po nodze, starając strzepać krople deszczu. Pomachał nią w stronę Picota.

- Nie lubię go.

Sir Rowley, w roztargnieniu, pomyślała, że później tego żałował, głaskał psi łeb, wciskający mu się na kolana.

Ulf zaburczał z niesmakiem.

- Myślisz, że to ten sam załatwił owce? - spytał później. - Tak jak Harolda i resztę?

- Tak - odparła - To była podobna broń. Chłopak się zastanowił.

- Jak myślisz, gdzie on zabijał, jak go tu nie było...? Mądre pytanie. Adelia zadała je sobie od razu na samym początku.

To było także pytanie, które powinien zadać poborca podatków. A tego nie zrobił.

Bo on wie, pomyślała.

Szymon z Neapolu, jadąc z powrotem do miasta, wozem, niczym porządny aptekarz po dniu spędzonym na zbieraniu ziół, wyraził swoje zadowolenie z połączenia sił z sir Rowleyem Picotem.

- Bystry umysł jak na kogoś jego postury, nie znam bystrzejszego. W najwyższym stopniu zainteresował się znaczeniem, które przypisaliśmy zjawieniu się ciała świętego Piotrusia akurat na trawniku Chaima, a jako że ma dostęp do rachunków hrabstwa, obiecał pomóc mi w odkryciu, kto był winien Chaimowi pieniądze. A zatem on i Mansur zamierzają zbadać arabskie statki kupieckie i zobaczyć, który z nich przewozi jujubę.

- Na Boga! - zakrzyknęła Adelia. - O wszystkim mu powiedziałeś?

- Prawie o wszystkim - uśmiechnął się, widząc jej irytację. - Moja droga pani medyk, jeśli on jest zabójcą, to i tak już wszystko wie.

- Jeśli on jest zabójcą, to wie, że jesteśmy coraz bliżej. Wie wystarczająco dużo, aby nas zwieść. Kazał mi wracać do Salerno.

- Tak, zaiste. Martwi się o ciebie. „To nie jest sprawa dla kobiety”, powiedział mi. „Czy ty chcesz, żeby ją zamordowano we własnym łóżku?” - Szymon puścił do niej oko. Miał dobry humor. - Ciekawe, dlaczego zawsze mają nas mordować w naszych łóżkach? Nigdy nie morduje się nas przy śniadaniu. Albo w kąpielni.

- Och, przestań. Nie ufam temu człowiekowi.

- Ja ufam, a mam spore doświadczenie z ludźmi.

- On mnie wyprowadza z równowagi. Szymon mrugnął do Mansura.
- W tym też duże doświadczenie z kobietami. Myślę, że on jej się podoba.
- A czy on powiedział ci, że był krzyżowcem? - z furią rzuciła Adelia.
- Nie - odwrócił się do niej, teraz śmiertelnie poważny. - Nie, tego mi nie mówił.
- Był nim.

## Rozdział 9

W Cambridge istniał zwyczaj, że pątnicy po powrocie z pielgrzymki urządzali ucztę. W trakcie podróży zawierano wszak sojusze, ubijano interesy, aranżowano małżeństwa, doświadczano świętości i nowych doznań, ogólnie rzecz biorąc, poszerzały się horyzonty, a ci, którzy dzielili owe rzeczy, chętnie spotykali się później raz jeszcze, by rozmawiać o nich i uczcić szczęśliwy powrót.

Tym razem wyprawienie biesiady przypadło przeoryszy od Świętej Radegundy. Jednakowoż, ponieważ przybytek Świętej Radegundy był jeszcze biednym, niewielkim konwentem - co wkrótce miało się zmienić za sprawą świętego Piotrusia i starań przełożonej zgromadzenia - zaszczyt przygotowania uczyty spłynął na rycerza i lennika klasztoru, sir Joscelina z Grantchester. Miał posiadłość i ziemie znacznie większe od zakonnych, co zresztą często zdarzało się u takich lenników jak on.

Sir Joscelin słyszał ze swoich uczt. Mówiono, że kiedy w zeszłym roku podejmował opata z Ramsay, zginęło przez to trzydzieści wołów, sześćdziesiąt świń, sto pięćdziesiąt kapłonów, trzysta skowronków (przez swoje smakowite języki), a także dwóch rycerzy, poległych w turnieju urządzanym dla rozrywki duchownego, turnieju, który wymknął się całkiem spod kontroli.

Zatem bardzo ceniono sobie zaproszenia od krzyżowca. Ci, którzy nie uczestniczyli w pielgrzymce, ale pozostawali w bliskich związkach z pielgrzymami, żony, córki, synowie, zacni i możni mieszkańcy hrabstwa, kanonicy, mniszki, wszyscy uznaliby się za pokrzywdzonych, gdyby ich pominęto. Większość z nich dostarczyła mnóstwa pracy dostawcom strojów i ozdób, ledwo dając im, resztką oddechu, pobłogosławić imię przeoryszy od Świętej Radegundy i jej wiernego rycerza, sir Joscelina.

Dopiero rankiem w dniu uczyty sługa Grantchestera przybył z zaproszeniem dla trójki cudzoziemców z uliczki Jezusowej. Przyodziały specjalnie na tę okazję, z rogiem, w który miał zadać, zdumiał się, kiedy Gyltha zaciągnęła go ku tylnym drzwiom.

- Matt, nie wchodźże od frontu, medyk leczy.

- Gyltha, pozwól mi chociaż zagrać sygnał na rogu. Mój pan zawsze oznajmia swoje zaproszenie dźwiękiem rogu.

Zabrano go do kuchni na kubek podpiwku. Gyltha lubiła się o wszystko porządnie wypytać.

Adelia była w sieni i sprzeczała się z ostatnim dziś pacjentem Mansura. Zawsze zostawiała sobie Wulfa na koniec.

- Wulf, nic ci nie jest. Nie masz ani duszności, ani zimnicy, ani kaszlu, ani nosówki, ani gryzawicy, cokolwiek to jest, a już z pewnością nie masz laktacji.

- Czy medyk tak właśnie powiedział? Adelia, zmęczona, odwróciła się do Mansura.

- No, powiedz coś.

- Daj temu upierdliwemu psu kopniaka w rzyć.

- Medyk zalecił spokojną pracę na świeżym powietrzu - oznajmiła medyczka.

- Przy moich plecach?

- Nic ci się nie dzieje złego z plecami. Wulfa uznawała za swoisty fenomen. W społeczeństwie feudalnym,

gdzie każdy, wyjąwszy raczkującą klasę kupiecką, musiał dla kogoś pracować na swoje utrzymanie, on uniknął poddaństwa, zapewne więcej swojemu lordowi, i ożenił się z praczką z Cambridge, gotową pracować za dwoje. On dosłownie bał się pracy. Czuł się przez nią chory. Ale żeby uniknąć wyśmiania, musiał wynaleźć sobie jakąś chorobę właśnie po to, by nie czuć się chorym.

Adelia obchodziła się z nim równie uprzejmie jak z resztą pacjentów. Zastanawiała się, czy po śmierci jego mózg, po zakonserwowaniu, mógłby trafić do niej do badań i poszukiwań brakującej części. Nie chciała jednak teraz iść na lekarski kompromis i zalecać leku na schorzenie, które nie istniało.



- A co z tym... bumelanctwem? Wciąż na to cierpię, prawda?  
- To ciężki przypadek - oznajmiła i zatrzasnęła drzwi. Nadal padało, przez co było chłodno, jako że Gyltha od końca marca

do początku listopada nie paliła w piecu w głównej sali. W domu Starego Beniamina ciepło panowało tylko w kuchni, cztery yardy od właściwego budynku, w owym pełnym zgiełku miejscu, wyposażonym w przyrządy tak straszliwe, że gdyby nie dobywające się stamtąd oszałamiające zapachy, można by je wziąć za salę tortur.

Dzisiaj w kuchni pojawił się nowy obiekt, drewniana beczułka przypominająca kocioł do gotowania bielizny. Nad nią zaś, na haku, wisiała najlepsza szafranowa suknia spodnia Adelii, uszyta z jedwabiu i w Anglii jeszcze przez nią niezakładana. Para miała wygładzić zagięcia. Medyczka myślała, że ów strój wciąż jest w izbie na piętrze, wciśnięty gdzieś między pozostałe ubrania.

- Po co to?

- Kapiel. Dla ciebie - wyjaśniła Gyltha. Adelia jakoś specjalnie nie protestowała. Nie kąpała się wszak od

chwili, gdy ostatni raz wyszła z wyłożonego kafelkami i ogrzewanego basenu w willi swoich przybranych rodziców, zbudowanego przez Rzymian niemal piętnaście wieków temu. Wiadro z wodą, przynoszone co rano do jej izby przez Matyldę zupełnie tego nie rekompensowało. Jednakowoż to, co właśnie widziała, świadczyło, że zanosi się na jakąś uroczystość.

- Po co? - zapytała więc.

- Nie chce, żebyście mi przynieśli wstyd na uczcie - wyjaśniła Gyltha.

Wedle słów kobiety zaproszenie od sir Joscelina dla medyka Mansura i jego dwojga pomocników stanowiło, jak sama dowiedziała się po dokładnym wypyтaniu, efekt nalegań przeora Gotfryda. Wszak, po prawdzie, nie byli pielgrzymami, dołączyli do pątników dopiero w drodze powrotnej.

Gyltha potraktowała to wszystko jako wyzwanie - kamienny spokój jej twarzy zdradzał, że w rzeczywistości jest podekscytowana. Skoro już związała się z ową trójką dziwaków, koniecznie musiała, przez wzgląd na swoją godność i reputację, sprawić, by wyglądali dobrze, gdy wystawią się na wnikliwe spojrzenia wielkich tego świata. Skąpą miała wiedzę o tym, czego wymaga się przy takich okazjach, pomogła jej jednak Matylda B., której matka pracowała jako pomywaczka na zamku i widywała przygotowania do strojenia oraz upiększania damy szeryfa z okazji świątecznych dni, nawet samo strojenie i upiększanie.

Będąc dziewczynką, Adelia zbyt wiele czasu spędzała na nauce, aby brać udział w zabawach innych młodych kobiet. Później zaś była już na to zbyt zapracowana. Zresztą jako że nie zamierzała wychodzić za mąż, przybrani rodzice nie zachęcali jej do błyszczenia w wyższych sferach. Złe więc przygotowała się do uczestnictwa w przyjęciach i hulankach, jakie odbywały się w pałacach Salerno. Gdy musiała już to robić, większość czasu spędzała schowana za jakąś kolumną, jednocześnie urażona i zakłopotana.

I to zaproszenie obudziło w niej starą niechęć. W pierwszym odruchu poszukała wymówki, aby go nie przyjąć.

- Muszę porozmawiać jeszcze z mistrzem Szymonem.

Jednak Szymon był teraz na zamku, zamknięty tam z Żydami, i starał się odkryć, czyja niewypłacalność mogła przyczynić się do śmierci Chaima.

- Powiedziałyby, żebyście poszli - odparła Gyltha.

I faktycznie, pewnie by tak się stało. Zgromadzenie wszystkich podejrzanych pod jednym dachem, z językami rozwiązanymi trunkami, stanowiło okazję dowiedzenia się, kto co o kim wie.

- Ale i tak poślij Ulfa na zamek, żeby go zapytał. Prawdę mówiąc, medyczka, teraz gdy się już zastanowiła, przestała

być taka niechętna pójściu na ucztę. Jej dni w Cambridge znaczyła dotąd śmierć, za sprawą zamordowanych dzieci i zmarłych pacjentów. Kaszlące dziecko dostało zapalenia płuc, chory na zimnicę skonał, podobnie ten z kamieniem w nerce, nie uratowała również młodej matki, którą zbyt późno do niej przywieziono. Sukcesy Adelii: amputacja, uleczenie gorączki czy przepukliny niewiele liczyły się przy sprawach, które uważała za swoje porażki.

Miło byłoby, choć raz, spotkać się z żywymi i zdrowymi ludźmi przy okazji wspólnej zabawy. Mogłaby wszak skryć się gdzieś z tyłu. Nikt by jej nie zauważył. Zresztą ucztą w

Cambridge, pomyślała Adelia, wyrafinowaniem ustępowała zapewne przyjęciom w pałacach królów i papieży w Salerno. Nie powinna się zatem czuć onieśmielona spotkaniem, które jak wszystko na to wskazywało, zanosilo się na zwykłą wiejską pohulanke.

No i bardzo chciała się wykapać. Gdyby wiedziała, że to możliwe, zażądałaby kąpieli już wcześniej.

Uznawała jednak, iż przygotowanie kąpieli stanowi jedną z wielu rzeczy, których Gyltha się nie tyka. A teraz nie miała wyboru. Jej gospodyni i obie Matyldy za bardzo się uparły. Czasu brakowało. Uczta, która mogła potrwać sześć albo i siedem godzin, zaczynała się już w południe.

Rozebrała się, wskoczyła do balii. Do wody wiano ług wraz z garścią cennych kwiatnych płatków. Adelia niemal do krwi wyszorowała się pumeksem i wytrzymała zaatakowanie swoich włosów jeszcze większą ilością ługu oraz szczotką, a następnie skropienie lawendowym pachnidłem.

Wyciągnięta z balii, została opatulona kocem, głowę wsadzono jej do chlebowego pieca.

Włosy Adeli sprawiły zawód służącym, więcej się spodziewano, sądząc po tym, co wystawało spod noszonego zawsze czepek. Miała jednak zwyczaj ścinać je do ramion.

- Kolor w porządku - mruknęła Gyltha.

- Ale są za krótkie - zaprotestowała Matylda B. - Musimy je wsadzić w siatkę.

- Siatka kosztuje.

- Ja jeszcze nawet nie wiem, czy tam pójde - krzyknęła Adelia z wnętrza pieca.

- Pójdiesz tam, do diabła. No dobrze. Wciąż klęcząc przy piecu, wskazała zajmującym się nią

kobietom swój trzos. Pieniądzy jej nie brakowało. Szymon dostał list kredytowy z Banku Lukkańskiego, który miał swoje oddziały w Anglii. Zabrał gotówkę dla nich obojga.

- A jeśli idziecie na targ - dodała jeszcze - to już czas, żebyście wszystkie trzy miały nowe sukienki. Weźcie sobie z łokieć najlepszego kamlotu.

Ich uczynność sprawiła, iż medyczka zawstydzila się, że chodzą obdarte, podczas gdy ona tak się stroi.

- Lniane wystarczą - odparła krótko zadowolona Gyltha. Adelię ubrano w giezło i suknię, po czym posadzono na stołku, aby

szczotkować włosy tak długo, póki nie zaczęły wyglądać jak białe złoto. Kobiety kupiły srebrną siatkę i uformowały z niej niewielkie kieszonki, które teraz przyczepiały do warkoczy, upiętych wokół uszu medyczki. Kobiety wciąż jeszcze się trudziły, kiedy zjawił się Szymon. Widząc Adelię, zamrugał.

- No. No, no, no... Ulfowi aż opadła szczeka. Zakłopotana medyczka odparła rozeźlona:

- Tyle zawracania głowy, a ja nie wiem, czy w ogóle powinniśmy tam iść.

- Nie iść tam? Moja droga pani, jeśli Cambridge zostanie teraz pozbawione twojego widoku, same niebiosy zapłaczą. Znam tylko jedną kobietę równie piękną, a ona jest teraz w Neapolu.

Adelia uśmiechnęła się do niego. Jako człowiek subtelny i skromny wiedział, że zadowoli ją tylko taki komplement, który wypowiedziany zostanie bez żadnej kokieterii. I prawiąc komplementy, zawsze ostrożnie wspominał o swojej żonie, którą ubóstwiał. Czynił tak nie tylko po to, aby zaznaczyć, że on znajduje się w zakazanej strefie, ale także żeby zapewnić, iż Adelia jest w strefie zakazanej dla niego. Wszystko inne mogło zaś wystawić na szwank wzajemne kontakty, z konieczności bliskie. To właśnie pozwalało im być przyjaciółmi: ona i on wzajemnie szanowali swój profesjonalizm.

Miło z jego strony, pomyślała, że równa ją ze swoją żoną, którą oczyma duszy wciąż postrzegał jako szczupłą pannę o cerze jak kość słoniowa, którą poślubił w Neapolu dwadzieścia lat temu, chociaż, przypuszczalnie, urodziwszy mu dziewięćoro dzieci, owa dama dawno już przestała być wiotka.

Tego ranka miał doskonały humor.

- Wkrótce wrócimy do domu - oznajmił. - Nie mogę powiedzieć za dużo, póki nie odnajdę potrzebnych nam dokumentów, ale istnieją kopie spalonych rachunków. Jestem pewien, że muszą gdzieś być. Chaim przechowywał je wraz z dokumentami bankowymi. Jako że mnóstwo tego, wygląda bowiem na to, że ten człowiek pożyczal pieniądze całej wschodniej Anglii, zabrałem je do zamku, żeby sir Rowley mógł mi asystować przy ich przeglądaniu.

- Czy to rozsądne? - zapytała Adelia.

- Tak sędzę, tak sędzę. Ten człowiek dobrze zna się na rachunkach i tak jak nam, jemu też bardzo zależy na odkryciu, kto co winien był Chaimowi i kto żałował tego tak bardzo, że aż zapragnął jego śmierci.

-Hm.

I tak nie posłuchałby wątpliwości medyczki. Szymon uważał, że dobrze wie, jakim typem człowieka jest sir Rowley, niezależnie od jego udziału w krucjacie. Szybko włożył swoje najlepsze szaty, gotując się do wizyty u Grantchestera, i wyszedł z domu, kierując się w stronę zamku.

Adelia, pozostawiona sama sobie, włożyła szarą suknię, aby przyćmić nieco blask szafranu, który w ten sposób wystawał tylko u dołu i na rękawach.

- Nie chcę zwracać na siebie uwagi.

Jednak Matyldy nalegały, by uzupełniła swoją garderobę jeszcze jednym znaczącym elementem, brokatowym suknem w jesiennych barwach, Gyltha zaś, po krótkim wahaniu, zgodziła się z nimi. Ostrożnie nasunięto je na koafiurę Adelii. Potem jeszcze szpiczaste cizemki, które Małgorzata wyhaftowała srebrną nicią, a do tego nowe białe pończoszki.

Troje służących spojrzęło na całość, by ocenić rezultat.

Matyldy pokiwały głowami i zaklaskały. Gyltha zaś powiedziała:

- Myślę, że może być - co jak na nią stanowiło wręcz komplement. Adelia, gdy zerknęła szybko na swoje odbicie w wypolerowanym, ale

nierównym dnie kociołka na ryby, zobaczyła widok na kształt koślawej jabłoni, jednak najwyraźniej spełniła wymagania pozostałych.

- Na uczcie za medyczką powinien stać jakiś paż - oznajmiła Matylda B. - Szeryf i inni tacy zawsze mają pazia, co by stał za ich krzesłem. Mama ich nazywa pierdziolapami.

- Paż, e? Ulf, który wgapił się w Adelię z rozdziawionymi ustami, zauważył, że spoczęło na nim spojrzenie czterech par oczu. Rzucił się do ucieczki.

Pościg i bitwa okazały się straszliwie zacięte. Wrzaski Ulfa sprowadziły sąsiadów z całej okolicy, którzy zjawili się zobaczyć, czy teraz kolejnemu dziecku nie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Adelię, trzymającą się z dala, aby przypadkiem nie obryzgać jej przy okazji zamieszania wodą z balii, aż rozboleł brzuch ze śmiechu.

Wydano kolejne pieniądze, tym razem u mateczki Mili, w której składziku znaleziono starą, choć zdatną do użytku tunikę o prawie dobrym rozmiarze. Dało się ją całkiem ładnie oczyścić octem. Ulf, odziany w nią, z płowymi włosami sterczącymi wokół twarzy niczym promienie, zły jak diabli, także przeszedł oględziny pozytywnie.

Mansur przyćmił ich oboje. Zawój jego kefii podtrzymywała złocona opaska, jedwab długim, lekkim pasmem opływał śnieżnobiałą, wełnianą szatę. Na pasie połyskiwał wysadzany klejnotami sztylet.

- O synu południowej godziny - powiedział Adelia, kłaniając się. - *Eeh-l-Halaawa di!*

Mansur pochylił głowę, jednak spojrzenie utkwiał w Gylcie, która z odwróconą twarzą wsadzała pogrzbacz do ognia.

- Ustrojony jak słup majowy - stwierdziła.

O nie, pomyślała Adelia.

Można było się pośmiać z tego małpowania wykwintnych manier, kiedy u wejścia do posiadłości odbierano kaptury, miecze i rękawice od gości, którzy buty i płaszcze mieli ubłocone po wędrowce znad rzeki - niemal wszyscy przyплыnęli łódkami. Zabawnie też wyglądało, kiedy ci, co znali się doskonale i blisko już od wielu lat, teraz zeszywniali zwracali się do siebie, używając tytułów. Śmieszyły również pierścienie na kobiecych dłoniach, stwardniałych od robienia sera w domowej serowni.

Wiele jednak rzeczy można było też podziwiać. Chociażby to, jak miłe okazywało się powitanie u łukowatej bramy z rzeźbionymi normandzkimi szewronami przez samego sir Joscelina, zamiast wywołania przez nadętego majordomusa z laską z kości słoniowej. I jakże miło było dostać w chłodny dzień ciepłego wina zaprawionego korzeniami, a nie oziębionego lodem. Czuć zapach jagnięciny, wołowiny i wieprzowiny, skwierczących na roznach na dziedzińcu, a nie tylko oglądać, jak to było we zwyczaju w południowych Włoszech, gospodarza udającego, że jedzenie pojawia się samo i nagle, za skinieniem ręki.

Zresztą w towarzystwie skrzywionego Ulfa i ze Stróżem u stóp, a nie małym pieskiem niesionym przez pazia, jak było w zwyczaju innych dam, Adelia nie miała podstaw, by czuć

się jakoś wyniośle.

Oczywiście Mansur w oczach mieszkańców Cambridge plasował się na wysokiej pozycji, a jego strój i wzrost zwracały uwagę. Sir Joscelin przywitał go pełnym wdzięku pozdrowieniem i słowami:

- *As-salaamu-alajkum*. Sprawę jego kardu także załatwiono taktownie.

- Ten sztylet to nie jest broń - wyjaśnił sir Joscelin odźwiernemu, który szamotał się, aby wyciągnąć go Mansurowi z za pasa i odłożyć wraz z mieczami gości.

- To, jak wiemy my, starzy krzyżowcy, jest tylko ozdobą takiego szlachetnego męża.

Odwrocił się z ukłonem do Adelii i poprosił ją, by przetłumaczyła zacnemu medykowi jego przeprosiny za spóźnione zaproszenie.

- Lękałem się, że nudziłyby go nasze wiejskie zabawy, jednak przeor Gotfryd zapewnił mnie, że tak wcale nie będzie.

Choć stale okazywał swoje dobre maniery, nawet jeśli lekarka wyglądała w jego oczach jak jakaś cudzoziemska zdzira, Adelia uświadomiła sobie, że Gyltha już rozpowiedziała, iż asystentka lekarza jest dziewczcą.

Przeorysza powitała ich bez większych ceregieli, nie okazując zainteresowania, w dodatku zaszokował ją sposób, w jaki rycerz powitał Adelię i Mansura.

- Miałeś już do czynienia z tymi ludźmi, sir Joscelinie? - zapytała.

- Zaczny medyk ocalił stopę mojego strzecharza, a i przypuszczałnie jego życie.

Jednak niebieskie, wesołe oczy wpatrywały się w Adelię, która bała się, że sir Joscelin doskonale wie, kto dokonał amputacji.

- Moje drogie dziewczę, moje drogie dziewczę. - Uścisk przeora Gotfryda na jej ramieniu okręcił ją do tyłu. - Jakże pięknie wyglądasz. *Nec me meminisse pigebit Adeliae dum memor ipse, dum spiritus hos regit artus*.

Uśmiechnęła się. Stęskniła się za nim.

- Dobrze się czujecie, panie?

- Sikam, jak nie przymierzając, rumak. Dziękuję. Nachylił się do jej ucha, tak by usłyszała go przez zgiełk rozmów.

- A jak tam idzie śledztwo? Zaniedbali informowanie go, a przecież to, że dowiedzieli się już tak

wiele, stanowiło zasługę właśnie przeora. Byli jednak tacy zajęci.

- Jesteśmy już na tropie i mamy nadzieję, że dziś dowiemy się więcej - powiedziała. - Możemy opowiedzieć ci, panie, jutro o wszystkim? Szczególnie chciałabym zapytać o...

Ale w tej właśnie chwili poborca podatków zjawił się we własnej osobie, parę stóp od nich, i popatrzył na nią ponad głowami tłumu. Zaczął przepychać się w jej stronę. Wyglądał jakby na szczuplejszego. Ukłonił się.

- Witam cię, pani Adelio. Odwzajemniła ukłon.

- Czy mistrz Szymon jest z tobą?

- Został dłużej na zamku. - Mrugnął do niej porozumiewawczo. - Musiałem odprowadzić tutaj szeryfa i jego panią, dlatego też nie miałem innego wyboru, jak zostawić go przy jego studiach. Błagał mnie, abym przekazał ci, że zjawi się później. Mogę powiedzieć...

Cokolwiek chciał rzec, przerwał mu głos trąby. Nadszedł czas, by uctować.

Przeor Gotfryd, unosząc wysoko dłoń medyczki, przyłączył się do pochodu, wiodąc Adelię ku sali, z Mansurem u boku. Tam musieli się rozdzielić. Duchowny zasiadł u szczytu stołu, na podwyższeniu z jednego końca, a Mansur i ona w części położonej znacznie niżej. Lekarke ciekawiło, jak to będzie; pierwszeństwo przy stole stanowiło ogromny problem dla gościa oraz gospodarza.

Adelia widziała w Salerno, jak jej ciotka niemal mdleje ze zmartwienia, głowiąc się, jak sadować wysoko urodzonych gości przy stole, by żadnego z nich śmiertelnie nie urazić... Teoretycznie zasady były proste: księżę równy arcybiskupowi, biskup earlowi, baron na włościach wyższy rangą od barona z wizytą i tak dalej. Ale załóżmy, że legat, równy baronowi z wizytą, jest legatem papieskim, gdzie go zatem umieścić? A co, jeśli arcybiskup nie znosił księcia, co często się zdarzało? Albo na odwrót, co zdarzało się jeszcze częściej? Z przypadkowej obrazy mogły wynikać bijatyki i waśnie. Winę zrzucano zawsze na nieszczęsnego gospodarza.

Sprawa ta zajmowała nawet Gylthę, pośrednio chodziło wszak o jej honor. Grantchester wezwał ją też tutaj, by z okazji uczyty użyła swych niezwykłych talentów i zajęła się

węgorzami w jego kuchniach.

- Będę się przyglądać i jeśli sir Joscelin posadzi którekolwiek z was za sobą, to będzie ostatnia baryłka węgorzy, jaką ode mnie dostanie.

Wchodząc, Adelia dostrzegła, że Gyltha z troską wystawia głowę zza drzwi.

Poczuła, jakie zapanowało napięcie, zobaczyła, jak oczy gości łypać zaczęły na lewo i prawo, kiedy marszałek sir Joscelina prowadził gości na ich miejsca. Ludzie z niższych stanów, szczególnie ci, co doszli do czegoś sami, mający ambicje przerastające swoje urodzenie, byli równie czuli na konwenanse jak ci z wyższych sfer. Może nawet bardziej.

Ulf już dokonał małego zwiadu.

- On będzie siedział tam u góry, a ty tutaj na dole - oznajmił, wodząc kciukiem między Adelią a Mansurem. Zwrócił się do Araba. Przybrał spokojny, cierpliwy ton, jakby mówił do małego dziecka. Zawsze to robił, gdy odzywał się do Saracena.

- T y . Siadaj. Tutaj. Sir Joscelin okazał się wielkoduszny, pomyślała Adelia. Poczuła ulgę przez wzgląd na Gylthę i na siebie samą. Mansur był czuły na punkcie swojej godności, no i miał sztylet u pasa, nieważne, że tylko jako ozdobę. Co prawda nie usadowiono go przy górnym stole wraz z gospodarzem i gospodynią, przeorem, szeryfem i tak dalej, ale też nie mógł oczekiwać, że tam trafi. Znalazł się zaś całkiem blisko, przy jednym z długich stołów, ciągnących się przez całą wielką salę. Miła młoda zakonnica, która pozwoliła Adeli obejrzeć kości świętego Piotrusia, zasiadła po jego lewicy. Znacznie mniej szczęśliwie, naprzeciwko, usadowiono Rogera z Acton.

Medyczka pomyślała, że znalezienie miejsca dla poborcy podatków musiało przysporzyć nie lada problemów. Przez wzgląd na swoją profesję nie cieszył się sympatią, jednak był też człowiekiem króla i w tym momencie prawą ręką szeryfa. Sir Joscelin zdecydował się na bezpieczne umieszczenie go obok żony szeryfa, którą sir Rowley Picot zabawiał rozmową.

Oficjalnie występując tylko jako cudzoziemka, pomocnica lekarza mieszająca mu mikstury, Adelia znalazła się przy innym stole, o niższym krańcu zwróconym ku głównej części sali - jednakowoż kilka miejsc ponad ozdobną solniczką, stanowiącą granicę między gośćmi a sługami, których obecność tutaj dyktowało przykazanie Chrystusa, by karmić ubogich. Zaś ci jeszcze ubożsi zgromadzili się na dziedzińcu wokół paleniska, czekając na resztki.

Po prawej stronie lekarki zasiadł łowczy Hugo o twarzy jak zwykle nieporuszonej, choć skłonił się jej dosyć dwornie. Z lewej spoczął starszawy, niewielki mężczyzna, którego nie znała.

Zmartwiło ją, że brat Gilbert został usadowiony dokładnie naprzeciwko niej. Jego też to zmartwiło.

Rozniesiono tace z jedzeniem, rodzice po kryjomu bili po rękach swoje dzieci, sięgające już po strawę. Wiele przecież miało się jeszcze zdarzyć, nim rozpocznie się posiłek. Sir Joscelin musiał złożyć hołd przeoryszy Joannie, co uczynił, przyklękawszy na jedno kolano. Jego lenno symbolizowało sześć mlecznobiałych gołębi w złoconej klatce.

Przeor Gotfryd musiał odmówić modlitwę przed jedzeniem. Trzeba było napełnić winem kielichy do toastu za Tomasza z Canterbury oraz nowego rekruta męczeńskiej chwały, Piotrusia z Trumpington, główne powody dzisiejszej uczty. Dziwny zwyczaj, pomyślała Adelia, kiedy wstała, aby wypić zdrowie umarłych.

Wśród pełnych szacunku pomruków rozległ się też jednak nieharmonijny skrzek.

- Ten poganin obraża naszych świętych! Roger z Acton z triumfalną zapalczywością wskazywał Mansura.

- Wznosi toast wodą!

Adelia zamknęła oczy. Boże, nie pozwól mu zadźgać tej świni. Jednak Mansur stał spokojnie, sącząc swoją wodę. Ale sir Joscelin

wygłosił stosowną reprimendę, tak by usłyszała ją cała sala.

- Zacny Rogerze, wiara tego szlachetnego pana zabrania mu pijania trunku. Jeśli nie jesteś w stanie spokojnie wypić swojego, to może winienes pójść za jego przykładem.

Piękna odpowiedź. Acton opadł na ławę. Opinia Adeli o gospodarzu znacznie się polepszyła.

Nie daj mu się oczarować, powiedziała sobie jednak w duchu. Memento mori. Dosłownie, pamiętaj o śmierci. To on może być mordercą. On jest krzyżowcem. Tak jak poborca podatków.

Przy wyższym stole siedział jeszcze ktoś. Kiedy wchodziła do sali, sir Gerwazy przyglądał się każdemu jej krokowi.

Czy to ty?

Adelia była już pewna, że morderca dzieci brał udział w krucjacie. I nie chodziło tylko o rozpoznanie w słodyczach arabskiej jujuby, ale także o upływ czasu między atakiem na owce a pierwszą napaścią na dziecko. Zgadzał się dokładnie z okresem, który minął od odpowiedzi Cambridge na wezwanie na krucjatę i wysłania do Ziemi Świętej swoich synów. Problem polegał na tym, że poszło ich tak wielu...

- Kto opuścił miasto w rok wielkiej burzy... - zastanowiła się Gyltha, kiedy ją o to zapytano. - No tak, córka mateczki Mili, jak się puściła z takim domokrążcą...

- Gyltho, mężczyźni, mężczyźni.

- O, całe mnóstwo młodych poszło. Wiesz, opat z Ely nawoływał po całym kraju, żeby brać krzyż. - Przez „kraj” Gyltha rozumiała hrabstwo. - Chyba całe setki poszły z lordem Fitzgilbertem do Ziemi Świętej.

Kobieta opowiadała, że to był zły rok. Wielka burza zniszczyła plony, powódź zmyła ludzi i zabudowania, mokradła całkiem zalała, nawet spokojna Cam szalała w furii. Bóg okazał swój gniew za grzechy Cam-bridgeshire. Ułagodzić Go mogła tylko krucjata na Jego wrogów.

Lord Fitzgilbert chciał poszukać w Syrii ziem, aby zastąpiły jego utopione włości, i zatknął chorągiew Chrystusa pośrodku placu targowego w Cambridge. Przybywali młodzi mężczyźni, których majątek zniszczyła burza, a także ludzie ambitni, awanturnicy, odrzuceni zalotnicy i mężowie sekutnic. Sądy dawały przestępcom wybór między lochem a wzięciem krzyża. Grzechy szeptane księżom podczas spowiedzi odpuszczano, pod warunkiem że winowajca ruszy na krucjatę.

Wreszcie z miasta wymaszerowała niewielka armia.

Lord Fitzgilbert powrócił zabalsamowany, w trumnie, i teraz spoczywał we własnej kapliczce pod nagrobkiem ze swoją podobizną, odziane w kolczugę nogi miał skrzyżowane, jak przystało na uczestnika krucjaty. Niektórzy wrócili do domu i umarli na choroby, które ze sobą przywlekli, po czym spoczęli w mniej wyszukanych mogiłach, oznaczonych kamieniem z wrytym na nim zwykłym mieczem. Jeszcze inni stali się tylko imionami z listy zmarłych, przywiezionej przez tych, którzy ocalili. Inni zaś znaleźli bogatsze, choć surowsze życie w Syrii i woleli tam pozostać.

Część dawnych krzyżowców powróciła do swoich starych zajęć, w związku z czym, stosownie do słów Gylthy, Adelia i Szymon powinni teraz uważnie przyjrzeć się dwóm sklepikarzom, kilku chłopom pańszczyźnianym, kowalowi, temu samemu aptekarzowi, który dostarczał lekarstw medykowskiemu Mansurowi, nie wspominając już o bracie Gilbertcie i skrytym kanoniku, towarzyszącym przeorowi Gotfrydowi na szlaku.

- Brat Gotfryd ruszył na krucjatę?

- Właśnie tak. I nie należy podejrzewać tylko tych, którzy wrócili jako wielcy panowie, jak sir Joscelin i sir Gerwazy - ciągnęła Gyltha. - Wiele było pożyczek od Żydów, może małe sumy, ale wystarczająco duże dla tych, co nie mogli ich spłacić. No i nie jest pewne, czy ten, co wrzeszczał na Żydów, to ten sam diabeł, który zabił dzieci. Wielu jest takich, którzy chętnie zobaczyliby Żyda na stryczku i oni mieniają się chrześcijanami!

Adelia, zniechęcona rozmiarami problemu, wykrzywiła się na gospodynię, chociaż wiedziała, że ona ma rację.

A zatem, pomyślała, rozglądając się wokół, nie powinnam od razu przypisywać bogactwu sir Joscelina jakiegoś podejrzanego pochodzenia. Mógł je zdobyć w Syrii, a nie na Żydzie Chaimie. To z pewnością właśnie ono zmieniło saksońską posiadłość w kamienny dworek niemałej urody. Olbrzymia sala, gdzie ucztowali, miała nowy, rzeźbiony strop, tak piękny, że Adelia nie widziała podobnego jeszcze nigdzie w Anglii. Z galerii nad podwyższeniem dobiegała muzyka, grana z wprawą na fletach i wioli. Metalowe sztuce, które biesiadnicy zwykle przynosili ze sobą, okazały się niepotrzebne, albowiem przy każdym miejscu położono nóż i łyżkę. Miski i czarki do obmywania palców, czekające na stole, misternie wykonano ze srebra, serwety zaś z adamaszku.

Swoim podziwem podzieliła się z towarzyszami. Łowczy Hugo tylko skinął głową. Mały człowieczek z lewej stwierdził:

- Powinnaś to miejsce, panienko, zobaczyć za dawnych dni, wałaca się zarobaczona

stodoła, tak tu było, kiedy miał to sir Tibault, ojciec sir Joscelina. To był paskudny, stary brutal. Niech spoczywa w spokoju, koniec końców zachlał się na śmierć. Czyż nie mam racji, Hugonie?

- Jego syn jest inny - burknął Hugo.

- Jest, zaiste. Tak różny jak kreda od sera. Joscelin przywrócił to miejsce do życia. Dobrze wykorzystał swoje złoto.

- Złoto? - zapytała Adelia. Mały człowieczek ożywił się, widząc jej zainteresowanie.

- Tak mi powiedział. „W Ziemi Świętej jest złoto, panie Herbercie”, tak mi mówił. „Mnóstwo go jest, panie Herbercie”. Bo widzisz, panienko, ja, tak swoją drogą, szyję mu buty, a mężczyzna nie kłamie temu, kto mu szyje buty.

- Czy sir Gerwazy też wrócił ze złotem?

- Z toną albo i więcej, tak mówią, tyle że on tak nie wydaje pieniędzy.

- Czy oni razem zdobyli swoje złoto?

- Nie umiem powiedzieć. Pewnikiem tak. Rzadko się rozdzielają. Jak Dawid i Jonatan.

Adelia zerknęła w stronę wyższego stołu, gdzie owi Dawid i Jonatan, przystojni, pewni siebie i tak dobrze czujący się we własnym towarzystwie, rozmawiali ponad głową przeoryszy.

A jeżeli są dwaj mordercy, działający razem... Nie przyszło jej to wcześniej do głowy, a powinno.

- Czy oni mają żony?

- Gerwazy ma, biedną, małą i zapłakaną istotę, która zostaje w domu.

- Szewc odczuwał radość, że może się popisać wiedzą o możliwych panach. - Sir Joscelin stara się o rękę córki barona Peterborough. To niezła partia.

Piskliwy dźwięk rogu uciszył wszystkie rozmowy. Goście usiedli. Pojawiło się jedzenie.

Przy wyższym stole Rowley Picot pozwolił sobie otrzeć się kolanem o kolano żony szeryfa, co wyraźnie jej się spodobało. Puścił też oko do młodej zakonnicy przy stole niżej, sprawiając, iż się zarumieniła, jednak odkrył, że najczęściej spogląda prosto na panią medyk, siedzącą wśród ciężko pracujących ludzi. Musiał przyznać, że pięknie się wyszykowała. Aksamitna, kremowa skóra kryła się pod szafranową suknią, zapraszając, by jej dotknąć. Aż zaświerzbiły go końcówki palców. I nie tylko one go zaświerzbiły; te jasne włosy sugerowały, że owa kobieta blondynką jest wszędzie...

A niechajże ją, tę małą suczkę. Sir Rowley otrząsnął się z kosmatych myśli. Dowiedziała się już za dużo, mistrz Szymon razem z nią, mając jeszcze tego wielkiego Araba do ochrony. Eunucha, dzięki Bogu.

Do licha, pomyślała Adelia, przynieśli tego jeszcze więcej.

Po raz drugi dźwięk rogu ogłosił dostarczenie z kuchni następnego dania, pod wodzą mistrza ceremonii. Pojawiło się jeszcze więcej jeszcze większych półmisków, na których jedzenie piętrzyło się niczym małe góry. Każde z naczyń musiało nieść aż dwóch ludzi. Szczęśliwi biesiadnicy powitali to wiwatami. I stali się jeszcze szczęśliwsi.

Usunięto resztki pierwszego dania. Nasączone sosem chlebowe miski wrzucono do wózka i wywieziono na zewnątrz, gdzie obszarpani mężczyźni, kobiety i dzieci już na nie czekali. Rozłożono świeże nakrycia.

- *Et maintenant, milords, mesdames* - znowu odezwał się kuchmistrz.

- *Venyson en furnety gely. Porcelle farce enforce. Pokokkye. Crans. Veny-son roste. Conyn. Byttere truffee. Pulle endore. Braun freyes avec graunt tartetz. Leche Lumbarde. A soltelle.*

Normandzka francuszczyzna do normandzkiego jedzenia.

- To francuski - uprzejmie wyjaśnił Adeli mistrz Herbert, szewc. Tak jakby nie mówił tego już przy pierwszym daniu. - Sir Joscelin sprowadził kucharza aż z Francji.

A ja bym chciała, żeby może on tam już wrócił. Wystarczy mi, wystarczy.

Czuła się dziwnie.

Na początku odmówiła picia wina i poprosiła o przegotowaną wodę, która to prośba zaskoczyła sługę niosącego dzban trunku i nie została spełniona. Przekonana przez mistrza Herberta, że miód pitny podawany jako alternatywa dla wina i piwa jest całkiem niewinnym napojem robionym z pszczelego miodu, spragniona, opróżniła kilka kubków.

I wciąż chciało jej się pić. Niespokojnie pomachała na Ulfa, by przyniósł wody z dzbana Mansura. Chłopiec tego nie zauważył.

Odmachał jej za to Szymon z Neapolu. Właśnie wszedł do sali i kłaniał się przeoryszy Joannie oraz sir Joscelinowi. Przepraszał gorąco za spóźnienie.

Czegoś się dowiedział, pomyślała Adelia, siadając. Już po samym sposobie, w jaki szedł, widziała, że czas spędzony z Żydami przyniósł rezultaty. Patrzyła, jak podekscytowany rozmawia z poborcą podatków u krańca wysokiego stołu, potem zniknął jej z widoku, zasiadł nieco dalej, po tej samej stronie blatu co ona.

Pojawiły się kruszejące od tygodnia pawie, wciąż jeszcze prezentujące swoje ogony, a małe pieczone prosiaczki smutno ssały jabłka wetknięte im do ryjków. Na Adelię podejrzliwie spoglądało oko opieczzonego bąka, który lepiej wyglądałby na surowo, wśród trzciny i mokradeł, tam gdzie było jego miejsce.

Po cichu się przed nim usprawiedliwiła. Przykro mi. Przykro mi, że wypchali cię truflami przez tyłek.

Raz jeszcze dostrzegła Gylthę zerkającą przez drzwi do kuchni. Adelia usiadła prosto. Staram się nie przynieść ci wstydu, no staram się, staram.

Na jej czystej misce pojawiła się sarnina w gulaszu z kaszą. Do tego podano jakieś *gely* z talerzyka. Przypuszczalnie czerwoną porzeczkę. Ja chcę sałaty, pomyślała z rozpaczą.

Lenno przeoryszy uciekło z klatki i dołączyło do wróbli na krokwiach dachu, bombardując stoły odchodami.

Brat Gilbert, który nie zwracał uwagi na siedzące mu po bokach mniszki, a za to wpatrywał się w Adelię, nachylił się przez stół.

- Myślę, pani, że winnaś skromnie schować swoje włosy.

- A to dlaczego? - Odwzajemniła spojrzenie. - Winnaś raczej ukryć swoje kędziory pod welonem, lepiej, abyś odziała się w żałobne szaty, schowała swoją powierzchowność. O córo Ewy, noś strój pokutny, za sprawą hańby Ewy, której odium to przyczyna upadku rasy człowieczej.

- To nie jej wina - powiedziała zakonnica siedząca z lewej. - Upadek rasy człowieczej nie wynika akurat z jej winy. Mojej zresztą też nie.

Była to koścista kobieta w średnim wieku, dużo piła, podobnie jak brat Gilbert. Adeli podobało się jej zachowanie. Mnich odwrócił się ku zakonnicy.

- Milcz, niewiasto. Będziesz się spierać z wielkim świętym Tertulianem? Ty, mieszkanka domu rozwiązłego życia?

- A bo co? - triumfalnie zapiszczała kobieta. - Mamy lepszego świętego niż wy. Mamy świętego Piotrusia. A najlepsze, co wy macie, to wielki palec świętej Ethelredy.

- Mamy fragment Krzyża Pańskiego! - krzyknął brat Gilbert.

- A kto nie ma? - rzuciła zakonnica siedząca z drugiej strony. Brat Gilbert zsiadł zatem ze swojego rumaka, prosto w krew i pył bitewnego pola.

- Gównno będziecie mieli, nie świętego Piotrusia, jak archidiakon przyjrzy się temu waszemu konwentowi, ty zdiro. A przyjrzy się. Och, ja wiem, co się dzieje u Świętej Radegundy. Rozwiązłość, zaniedbywanie posług, odwiedziny mężczyzn w celach, polowania, wędrówki w górę rzeki i wcale nie sądzę, żeby po to, aby zawozić jedzenie pustelnikom. Och, ja to wiem.

- Oczywiście, że wozimy im jedzenie! - Teraz odezwała się mniszka z prawej strony brata Gilberta, równie pulchna jak jej siostra zakonna chuda. - A jeśli potem odwiedzę jeszcze cioteczkę, to co to szkodzi?

W głowie Adeli zadźwięczał głos Ulfa. „Siostra Tłuścioszka z jedzeniem dla pustelników, patrz, jak się rozděła”. Spojrzała na zakonnice przez zmrużone oczy.

- Widziałam cię - rzuciła wesoło. - Widziałam cię, jak płynęłaś łódką w górę rzeki.

- Mogę się założyć, że nie widziałas jej, jak wracała. - Brat Gilbert aż pluł ze złości. - Zostają tam na całą noc. Nurzają się w rozpuście i żądzy. W porządnym domu zakonnym zostałyby już wychłostane tak, że ich tyłki aż spłynęłyby krwią, ale gdzie jest ich przeorysza? Na łowach!

Człowiek, który nienawidzi, pomyślała Adelia. Człowiek pełen nienawiści. I krzyżowiec. Nachyliła się ponad stołem.

- Bracie Gilbercie, czy lubisz jujubę?

- Co? Nie, nie cierpię łakoci - odwrócił się od niej, aby dalej krytykować klasztor Świętej



Radegundy.

Po prawej stronie medycyki odezwał się cichy, smutny głos.

- Nasza Maria lubiła łakocie. Ku zdumieniu Adelii po zapadłych policzkach łowczego

Hugona

spłynęły łzy, kapiąc mu do gulaszu.

- Nie płacz - powiedziała. - Nie płacz. Usłyszała szept szewca, siedzącego z lewej.

- Ona była jego siostrzenicą. Ta mała zamordowana Maria. Dzieckiem jego siostry.

- Przykro mi. - Adelia dotknęła dłoni myśliwego. - Tak bardzo mi przykro.

Jego niebieskie oczy, zaczerwione i nieskończenie smutne, spozrzały w jej oczy.

- Dorwę go. Wyrwę mu wątrobę.

- Oboje go dorwiemy - zapewniła i zdenerwowała się, że zrzęcenie brata Gilberta zakłócało taką chwilę. Wyciągnęła rękę ponad stołem i dźgnęła mnicha w pierś.

- Nie ma żadnego świętego Tertuliana.

- Co?

- Tertuliana. Tego, na którego się powoływałeś, mówiąc o Ewie. On nie był świętym.

Myślałeś, że był świętym? Nie był. Opuścił Kościół. Był bowiem - powiedziała to ostrożnie - niezbyt ortodoksyjny. Oto właśnie, jaki był. Przyłączył się do montanistów. A... później nigdy go nie ogłoszono świętym.

Zakonnice bardzo poweselały.

- Nie wiedziałeś o tym, prawda? - rzuciła ta chuda.

Odpowiedź brata Gilberta zagłuszył dźwięk trąb, na wyższy stół powędrowało kolejne danie.

- *Blaundersorye, Quincys in comfyte, Curiews en miel, Pertyche, Ey-roundangels, Petty-perneux...*

- Co to jest petty-perno? - zapytał myśliwy, wciąż płacząc.

- Małe zagubione jajeczka - odpowiedziała Adelia i zaczęła niepowstrzymanie szlochać.

Ta część jej mózgu, która jeszcze z kretesem nie przegrała walki z pitnym miodem, uniosła ją na nogi i zagnała do bocznego stolika, na którym był dzban wody. Złapawszy go, ruszyła ku drzwiom, ze Stróżem u boku.

Kiedy szła, bacznie przyglądał się jej poborca podatków.

Kilku gości było już w ogrodach. Mężczyźni w zamyśleniu spoglądali na pnie drzew, a kobiety rozpierzchły się, szukając spokojnych miejsc, by sobie przykucnąć. Ci bardziej wstydlivi, ustawili się w kolejce do osłoniętych ławek z wyciętymi dziurami, które sir Joscelin ustawił nad strumieniem spływającym do Cam.

Adelia, pijąc łąpczywie z dzbanka, powędrowała za stajnie, a miły zapach koni przenikał za ciemne budynki, gdzie zakapturzeni, ptasi drapieżcy śnili o nurkowaniu w dół i zabijaniu. Świecił księżyc. Była trawa i był sad...

Poborca podatków znalazł ją śpiącą pod jabłonią. Kiedy wyciągnął ku niej rękę, uniosł głowę jakiś mały, ciemny i cuchnący kształt obok, a jeszcze inny, znacznie wyższy i ze sztyletem za pasem, wyłonił się z mroków.

Sir Rowley pokazał im obu, że ma puste ręce.

- Czy mógłbym ją skrzywdzić? Adelia otworzyła oczy. Usiadła, dotknęła czoła.

- Tertulian nie był świętym, Picot - oznajmiła.

- Zawsze się nad tym zastanawiałem. - Usiadł obok niej. Wypowiedziała jego nazwisko tak, jakby byli starymi przyjaciółmi, zabiła go z tropu przyjemność, jaką mu to sprawiło. - Co ty piłaś?

Skupiła się.

- To było żółte.

- Miód. Potrzeba saksońskiej krzepy, aby zdzierżyć miód. - Pomógł jej wstać. - Chodź, powinnaś to z siebie wytańczyć.

- Ja nie tańczę. Może pójdziemy i skopiemy brata Gilberta?

- Kusisz mnie, ale myślę, że tylko zatańczymy. Z sali wyniesiono stoły. Subtelni muzycy z galeryjki zmienili się w trzech spoconych, tęgich drabów na podwyższeniu. Jeden grał na bębenku, dwóch na skrzypkach, kolejny wykrzykiwał kroki tańca wśród zgiełku, który łączył w sobie piski, śmiechy, tupanie, wir szalejący teraz na posadzce.

Poborca podatków wciągnął weń Adelię.

To nie był zdyscyplinowany, złożony taniec z wyższych sfer Salerno, gdzie trzymano się

za końce palców i starannie ustawiano stopy. Nie było tu elegancji. Mieszkańcy Cambridge nie mieli czasu, by uczęszczać na lekcje w terpsychorze. Oni po prostu tańczyli. Niezmordowanie, nieprzerwanie, spoceni i z werwą, z entuzjazmem, zmuszeni dzikością swoich dawnych bogów. Jakieś potknięcie tu i tam, nie ten ruch co trzeba - ale kto by o to dbał. Wstawaj i tańcz dalej, tańcz, tańcz. Lewa stopa do lewej, prawa tupie z przodu. „Plecę do pleców”. Złap się za spódnicę, śmieję się. „Prawe ramię do prawego!”. „W krąg i w lewo”, „Naprzód, hej!” „Skręcamy”. „Przechodzimy, panie i panowie, przechodzimy, do licha”. „I wracamy”.

Maźnice błyszcząły jak święte ognie. Pogniecione sitowie, zalegające podłogę, nappełniło salę świeżą wonią zieleni. Nie ma czasu, by nabrać oddechu, oto już „końska kłótnia”, powrót, krąg, do śródeczka, pod łukiem, jeszcze raz i jeszcze raz.

Miód wyparował z Adelii, a zastąpiło go upojenie wspólnym ruchem. Lśniące twarze pojawiały się, znikwały, śliskie dłonie łapały medyczkę, okręcały ją. Sir Gerwazy, potem ktoś inny, mistrz Herbert, szeryf, przeor, poborca podatków, znowu sir Gerwazy. Zawirował nią tak gwałtownie, że przestraszyła się, iż ją puści, a ona zatoczy się i uderzy w ścianę. Do śródeczka, pod łukiem, galop, przechodzimy.

Takty muzyki pojawiały się i znikwały. Szymon dał Adelii znać, że wychodzi, ale jego uśmiech - akurat wtedy z wielką szybkością obracał nią sir Rowley - zdradził medyczkę, iż ona może zostać i bawić się dalej. Wysoka przeorysza z małym Ulfem kręcili się na karuzeli ze swoich skrzyżowanych rąk. Sir Joscelin z poważną miną mówił coś do drobnej mniszki, kiedy przyciskając się do siebie plecami, kręcili w tańcu. Dookoła Mansura powstał krąg podziwiających go biesiadników, twarz Saracena była kamienna, tańczył nad skrzyżowanymi mieczami do intonowanego *maqam*. Roger z Acton starał się zmusić korowód, aby kierował się na prawo. „Ci, co skracają w lewo, są przewrotni i Bóg ich nienawidzi! Księga Przysłów, dwadzieścia siedem!” Tratowano go.

Dobry Boże, kucharz tańczy z żoną szeryfa. Nie ma czasu, by się dziwić. Prawe ramię do prawego. Tańcz, tańcz. Jej ramiona i ramiona Picota tworzące łuk, pod nim przechodzą Gyltha i przeor Gotfryd. Młoda zakonnica i aptekarz. Teraz łowczy Hugo z Matyldą B. Ci za sobą i ci przed sobą, składający wspólnie pokłon tańczącemu bóstwu. O Boże, to uskrzydłona radość. Łap ją, łap.

Adelia aż przetarła w tańcu trzewik, ale nie zauważyła tego dopóty, dopóki nie zabołały ją podeszwy stóp.

Wyślizgnęła się z zamętu. Już czas wychodzić, kilku gości też już opuszczało salę, chociaż większość gromadziła się przy bocznych stołach, gdzie podawano wieczerzę.

Pokuśtykała do drzwi. Przyłączył się do niej Mansur.

- Czy mi się wydawało, czy też mistrz Szymon już poszedł? - zapytała go.

Arab ruszył się rozejrzeć. Wrócił, idąc od strony kuchni ze śpiącym Ulfem w ramionach.

- Ta kobieta mówi, że poszedł prosto. - Mansur nigdy nie wymieniał imienia Gylthy; dla niego zawsze pozostawała „tą kobietą”.

- Czy ona i Matylda zostają?

- Pomagają w kuchni. My zabierzemy chłopca.

Wyglądało na to, że przeor Gotfryd i jego mnisi dawno już sobie poszli. Podobnie zakonnice, wyjąwszy przeoryszę Joannę, która trwała przy bocznym stole z plackiem z dziczyzną w jednej ręce i z kuflem w drugiej. Była tak pijana, że uśmiechnęła się do Mansura i kawałkiem placka pobłogosławiła dygającą Adelie.

Spotkali sir Joscelina. Wychodził z dziedzińca, gdzie jakieś oświetlone płomieniami kształty ogryzały kości.

- Zaszczyciłeś nas, panie - powiedziała. - Medyk Mansur pragnie, abym wyraziła ci naszą wdzięczność.

- Wracasz za rzekę? Mogę wezwać swoją barękę...

Nie, nie, przybyli tu w czółnie Starego Beniamina, ale dziękują.

Nawet z maźnicami, płonącymi na stojakach, było niemal za ciemno, żeby odróżnić łódkę Starego Beniamina od pozostałych, czekających przy brzegu. Wszystkie, oprócz tej należącej do szeryfa Baldwina, wyglądały tak samo skromnie. Wzięli pierwszą z brzegu.

Adelia siadła na dziobie, wciąż jeszcze śpiącego Ulfa położyła jej na kolanach. Stróż, cały nieszczęśliwy, stał z łapami w zębie. Mansur chwycił tyczkę...

Łódź zakołysała się niebezpiecznie, kiedy wskoczył do niej sir Rowley Picot.

- Do zamku, przewoźniku. - Usadowił się na ławeczce. - Czyż nie jest pięknie?  
Delikatna mgła unosiła się nad wodą, a sierp księżycy świecił słabo, co jakiś czas znikając za drzewami, które chyląc się nad wodą, czyniły z rzeki tunel. Obłok upiornej bieli zmienił się w łopot skrzydeł i rozczłonny łabędź ustąpił im drogi.

Mansur, tak jak zawsze, kiedy wprawiał w ruch łódkę, przyśpiewywał sobie, bez żadnej konkretnej melodii, wspominając wodę i sitowie innej krainy.

Sir Rowley skomplementował jego flisackie umiejętności.

- On jest Arabem z bagien - wyjaśniła Adelia. - Na mokradłach czuje się jak w domu.  
- Tak jak właśnie teraz? To niespodziewane u eunucha. Nagle zaczęła bronić towarzysza.  
- A czego się spodziewałeś? Tłuściocha rozwalającego się w haremie?  
Odsunął się gwałtownie.  
- Szczerze mówiąc, tak. Tylko takich widziałem.  
- Wtedy, gdy byłeś na krucjacie? - zapytała, wciąż atakując.  
- Kiedy byłem na krucjacie - przyznał.  
- No to masz ograniczone doświadczenie z eunuchami, sir Rowleyu. Ja na przykład jestem przekonana, że Mansur pewnego dnia poślubi Gylthę.  
A niech to, miód wciąż jeszcze rozwiązywał jej język. Czyżby zdemaskowała swojego drogiego Araba? I Gylthę?

Ale nie mogła pozwolić, żeby ten ktoś, możliwy zabójca, oczerniał człowieka, któremu nie dorasta do pięt. Rowley pochylił się do przodu.

- Naprawdę? Sądziłem, że jego... ee... jego stan wyklucza małżeństwo.  
Niech to wszystko szlag trafi i ogień piekielny pochłonie, teraz sama się postawiła w roli osoby, która musi wyjaśnić, na czym dokładnie polega kastracja. Ale jak to zrobić?  
- W takim związku wykluczone są jedynie dzieci. Jako że Gyltha jest już w wieku wykluczającym noszenie dziecka, wątpię, aby to kogoś martwiło.  
- Rozumiem. A pozostałe... ee... aspekty małżeństwa?  
- Oni mogą utrzymywać erekcję - odparła ostro. A do licha z eufemizmami, dlaczego unikać zwykłych faktów. Jeśli nie chciał wiedzieć, to mógł nie pytać.  
Widziała, że go zszokowała. Ale jeszcze nie skończyła.  
- Myślisz, że Mansur sam chciał być taki? Kiedy był małym dzieckiem, porwali go łowcy niewolników i z powodu ładnego głosu sprzedali bizantyjskim mnichom, którzy go wykastrowali, tak aby go nie stracił. Miał osiem lat i musiał śpiewać mnichom, chrześcijańskim mnichom, swoim oprawcom.  
- Czy mogę zapytać, skąd go wzięłaś?  
- Uciekł. Mój przybrany ojciec znalazł go na ulicach Aleksandrii i zawiózł do swojego domu w Salerno. Mój ojciec skupia się na pomocy zagubionym i opuszczonym.  
Już dość, już dość, powiedziała sobie. Skąd ta chęć, by mu o tym opowiadać? On jest dla ciebie nikim, może nawet kimś gorszym niż nikt. Niczym jest już to, że spędziłaś z nim jakiś kawałek swojego życia.

Wśród trzciny rozległo się cmoknięcie i zaszleściła pardwa. Coś, jakiś wodny szczur, wślizgnęło się do rzeki i odpłynęło, zostawiając za sobą oświetlone księżycem zmarszczki na wodzie. Płaskodenna łódź wpłynęła w kolejny tunel.

Zabrzmiał w nim głos sir Rowleya.

- Adelio.  
- Tak? - Zamknęła oczy.  
- Zrobiłaś już w tej sprawie wszystko, co mogłaś. Kiedy dotrzemy do domu Starego Beniamina, pójdę razem z tobą zamienić słowo z mistrzem Szymonem. Muszę go przekonać, aby tym razem zadbał, żebyś wróciła do Salerno.  
- Nie rozumiem - odparła. - Morderca nie został jeszcze wykryty.  
- Osaczamy go, jeśli zaś spłoszymy, stanie się niebezpieczny, póki go nie złapiemy. Nie chciałbym, żeby skoczył na kogoś z nagonki.  
Złość, jaką zawsze wzbudzał w niej poborca podatków, teraz rozpałała ją do czerwoności.  
- Kogoś z nagonki? Jestem wykształcona, powtarzam, wykształcona i wybrana do tej misji przez króla Sycylii, a nie przez Szymona i z pewnością nie przez ciebie.  
- Pani, ja tylko martwię się o twoje bezpieczeństwo. Było już za późno. Nie powinien sugerować komuś o jej pozycji, aby wracał do domu. Obraził jej profesjonalizm.  
Adelia przerzuciła się na arabski, jedyny język, w którym mogła swobodnie kląć, bo

Małgorzata go nie rozumiała. Używała wyrażeń podsłuchanych w trakcie częstych kłótni Mansura z marokańskim kucharzem u jej przybranych rodziców. Tylko ów język potrafił zmniejszyć furię, jaką wzbudził w niej sir Rowley Picot. Mówiła o chorych osłach i jego niezdrowym do nich pociągu, o jego psich atrybutach, jego pchłach, jego dziurawym jelicie i tym, co zwykł jadać. Powiedziała mu, co może sobie zrobić ze swoimi zmartwieniami, a co dotyczyło się znowu jego trzewi. Nie dbała, czy Picot ją zrozumie. I tak już pojął, co miała na myśli.

Mansur, śmiejąc się szeroko, wyprowadził łódź z tunelu.

Reszta podróży minęła w ciszy.

Kiedy dotarli do domu Starego Beniamina, Adelia nie pozwoliła Pilotowi się odprowadzić.

- Czy mam zabrać go na zamek? - dopytywał się Mansur.

- Gdziekolwiek, zabierz go gdziekolwiek - odparła. Nazajutrz, kiedy rzeczny bajlif przybył, aby oznajmić Gylcie, iż na zamek wiozą właśnie trupa Szymona, Adelia wiedziała, że gdy przeklinała, ich łódź mijała jego ciało, dryfujące twarzą do dołu, wśród trzciny Trumpington.

## Rozdział 10

Czy ona mnie słyszy? - sir Rowley zapytał Gylthy.

- Słyszysz cię aż w Peterborough - odparła kobieta. Poborca krzyczał. - Tyle że ona cię nie słucha.

Słuchała, ale nie sir Rowleya Picota. Słuchała głosu Szymona z Neapolu, jasnego i wyraźnego. Nie mówił niczego szczególnego, tylko gawędził swym zwykłym, czystym i zaafetowanym tenorem - w tej właśnie chwili o wełnie i jej obróbce. „Możecie sobie wyobrazić, jakie problemy są z otrzymaniem czarnego koloru?”

Chciała mu powiedzieć, że ma teraz trudność z wyobrazeniem go sobie martwego, że opóźnia tę chwilę, bo strata jest zbyt wielka i dlatego należy ją zignorować, jego utracone życie odsłoniło przepaść, której wcześniej nie dostrzegała, bo on ją właśnie wypełniał.

Oni się mylili. Szymon nie był taką osobą, żeby, ot tak sobie, umrzeć.

Sir Rowley rozejrzał się po kuchni Starego Beniamina, szukając wsparcia. Czy wszystkie kobiety tu ogłuszono? A chłopak? Czy ona zamierzała już zawsze tak siedzieć i wpatrywać się w ogień?

Odezwwał się do eunucha, który stał z założonymi rękoma, przez drzwi spoglądając na rzekę.

- Mansurze. - Musiał podejść blisko, by ich twarze znalazły się na jednym poziomie. - Mansurze. Ciało jest na zamku. W każdej chwili Żydzi mogą się dowiedzieć, że ono tam jest i sami je pochować. Oni wiedzą, że był jednym z nich. Posłuchaj mnie. - Złapał Araba za ramiona, potrząsnął nim. - Nie ma czasu na żalobę. Musi pierwsza obejrzeć ciało. On został zamordowany, nie widzisz tego?

- Ty mówisz po arabsku?

- A ty co myślałeś, ty wielki wielbłądzie? Obudź ją, niech się ruszy.

Adelia przechyliła głowę na bok, by zastanowić się nad ową równowagą, którą dawało im się utrzymać, jej i Szymonowi, tym pozbawionym cielesnych podtekstów przywiązaniem oraz akceptacją, szacunkiem nie bez wesołości. Podobna przyjaźń między mężczyzną a kobietą zdarzała się zbyt rzadko, by jeszcze kiedyś znowu być jej daną. Teraz wiedziała już, jak by się czuła, gdyby utraciła swojego przybranego ojca.

Rozeźliła się, czyniąc zarzuty zmarłemu. Jak mogłeś okazać się tak nieostrożny? Byłeś dla nas wszystkich taki cenny. Ponieśliśmy stratę. Umieranie w bagnie angielskiej rzeki było czymś głupim.

Nieszczęsna kobieta, którą bardzo kochał. Jego dzieci.

Na jej ramieniu spoczęła dłoń Mansura.

- Ten człowiek mówi, że Szymon został zamordowany. Od razu zerwała się na nogi.

- Nie. - Patrzyła prosto na Picota. - To był wypadek. Ten człowiek, ten od wody, powiedział Gylcie, że to był wypadek.

- Kobieto, on znalazł rachunki, on już wiedział, o kogo chodzi! - Sir Rowley zacisnął zęby ze złości, potem zaczął mówić powoli: - Słuchaj mnie. Czy ty mnie słyszysz?

- Tak.

- Spóźnił się na ucztę Joscelina. Słyszysz mnie?  
- Tak - powiedziała. - Widziałam go.  
- Podeszedł do głównego stołu i przeprosił za spóźnienie. Marszałek pokazał mu jego miejsce, ale kiedy Szymon przechodził obok mnie, zatrzymał się i poklepał po trzosię przy pasie. I powiedział... słuchasz mnie? On powiedział: „Mamy go, sir Rowleyu. Znalazłem rachunki”. Powiedział to cicho, ale właśnie to powiedział.

- „Mamy go, sir Rowleyu” - powtórzyła Adelia.  
- Tak powiedział. Właśnie oglądałem jego ciało. Przy pasie nie ma trzosa. Został zabity właśnie z jego powodu.

Adelia usłyszała, jak Matylda B. piszczy z przerażenia. Gyltha zaklęła. Czyżby ona i Picot rozmawiali po angielsku? Pewnie tak.

- Dlaczego miałby ci to powiedzieć? - zapytała.  
- Wielkie nieba, kobieto, zajmowaliśmy się tym razem przez cały dzień. To było nie do pomyślenia, żeby jedynymi rejestrami długów były te, które spłonęły. Ci przekłeci Żydzi mogli je dostać w swoje ręce w każdej chwili, gdyby tylko wiedzieli. Były u bankiera Chaima.

- Nie mów tak o nich! - Przycisnęła dłoń do jego piersi. - Nie mów tak. Szymon był Żydem.

- Właśnie. - Złapał ją za rękę. - Właśnie dlatego musisz teraz ze mną pójść zbadać jego ciało, zanim zabiorą je Żydzi. - Ujrzał wyraz jej twarzy i pozostał bezlitosny. - Musisz się dowiedzieć, co mu się stało. Kiedy. Wiedząc to, przy odrobinie szczęścia, będziemy mogli wydedukować, kto to zrobił. Sama mnie tego nauczyłaś.

- On był moim przyjacielem - odparła. - Ja nie potrafię. - Jej dusza buntowała się na samą myśl, myśl o Szymonie obnażonym, obmacywanym, rozcinanym. I to przez nią. Sekcja zwłok stanowiła naruszenie żydowskiego prawa. Nakazy chrześcijańskiego Kościoła mogła zlekceważyć w każdej chwili, ale przez wzgląd na drogiego, kochanego Szymona, nie mogłaby zlekceważyć judaizmu.

Gyltha weszła między nich i z wielką uwagą spojrzała poborcy podatków w twarz.

- Co ty gadasz? Mistrz Szymon został zabity przez tego samego, co te dzieciaki? Czy to prawda?

- Tak, tak.

- I ona może to odczytać z jego biednego trupa? Sir Rowley rozpoznał sojuszniczkę i skinął głową.

- Tak. Może. Gyltha zwróciła się do Matyldy B.

- Dawaj jej płaszcz. - I do Adeli: - Idziemy razem. - I do Ulfa: - Zostajesz tutaj, chłopcze. Pomóż Matyldom.

Wszyscy otoczyli Adelię, wraz z podążającym za nimi Mansurem i Stróżem pociągnęli medyczkę przez ulicę, w stronę mostu. Nie przestawała jednak protestować.

- To nie on, nie ten morderca. On atakuje tylko bezbronnych. To coś innego, to jest... - Zwolniła, próbując się zastanowić, co to właściwie jest. - To jest jakieś takie zwyczajne okropieństwo.

Dla rzeczego bajlifa, który powiadomił ich o odnalezieniu Szymona, ciała znajdowane w rzece były czymś zwyczajnym. Ona też nie przeczyła jego słowom stwierdzającym utonięcie, bo na marmurowym stole kostnicy w Salerno oglądała już przecież tyle napęczniałych wodą ciał. Ludzie topili się w kąpielach, żeglarze wypadali za burtę, a że większość marynarzy nie potrafiła pływać, rozszalałe fale wciągały swoje ofiary w morze. Dzieci, mężczyźni i kobiety tonęli w rzekach, sadzawkach, fontannach, kałużach. Ludzie dokonywali fatalnych w skutkach ocen, stawiali nieostrożne kroki. To był taki zwyczajny sposób umierania...

Słyszała, jak poborca podatków, popędzając ją, dyszy ciężko, niecierpliwie.

- Ten człowiek jest dzikim psem. Dzikie psy rzucają się do gardła, kiedy poczują się zagrożone. Szymon stał się zagrożeniem.

- Nie był zbyt duży - powiedziała Gyltha. - Miły, drobny człowieczek, ale słaby jak królik.

Nie, nie był duży. Był za to kimś, kogo dało się zamordować. Umysł Adeli walczył z tą myślą. Ona i Szymon przybyli, aby rozwiązać problem, jaki sami ściągnęli sobie na głowy ludzie z tego niezbyt wielkiego miasta w dalekim kraju - ale nie po to, żeby razem z nimi cierpieć z powodu owego problemu. Medyczka uznawała ich oboje za wyłączonych z tego wszystkiego, jakby za sprawą specjalnej dyspensy udzielanej prowadzącym śledztwo. I

wiedziała, że tak samo myślał Szymon.

Przystanąła.

- Grozi nam niebezpieczeństwo? Poborca podatków także się zatrzymał.

- No, cieszę się, że wreszcie to pojęłaś. Myślałaś, że jesteś pod ochroną? Towarzysze medycy znowu zaczęli się krzątać, rozmawiali ze sobą ponad jej głową.

- Gyltha, widziałaś go, jak wychodził?

- Nie tam, żeby wychodził. Zajrzał do kuchni, pochwalił moje gotowanie i powiedział mi do widzenia. - Głos kobiety zdrzął na moment. - Zawsze był z niego taki uprzejmy jegomość.

- Czy to było, zanim zaczęły się tańce? Gyltha westchnęła. Zeszłej nocy pracowała w kuchni u sir Joscelina.

- Nie mam pojęcia, możliwe. Powiedział, że się musi przyłożyć do swych studiów, zanim pójdzie spać, to pamiętam. To że wyszedł wcześniej.

- Przyłożyć się do swoich studiów?

- Tak właśnie gadał.

- Zamierzał przejrzeć rejestry. Tak jak zwykle na moście panował tłok. Mieli problem z tym, aby iść

jedno obok drugiego. Adelię, trzymaną przez sir Rowleya, potracali przechodnie, w większości klerkowie, wszyscy się gdzieś spieszyli. Każdy na szyi nosił łańcuch, oznakę swojej funkcji. Urzędników było mnóstwo. Do Cambridge zawitali przedstawiciele władz. Medyczkę trochę zastanawiało, dlaczego akurat tutaj.

Tymczasem nad jej głową padły pytanie i odpowiedź.

- Czy on mówił, że idzie do domu? Czy że płynie łódką?

- Nie mając ani trochę światła? On na pewno poszedłby na nogach. Ale jak większość mieszkańców Cambridge, Gyltha uznawała łódź

za jedyny rozsądny środek transportu.

- Musiałby być ktoś wychodzący o tej samej porze, co by mu zaproponował, że go podwiezie.

- Obawiam się, że tak się właśnie stało.

- Dobry Boże, miej nas wszystkich w opiece.

Nie, nie, pomyślała Adelia. Szymon nie zachowałby się aż tak nieostrożnie. Nie był dzieckiem, które dałoby się zwabić jujubą. Taki mieszczuch jak on pewnie nierozsądnie próbował wrócić wzdłuż brzegu rzeki. Poślizgnął się po ciemku, to był wypadek.

- Kto wychodził razem z nim? - zabrzmiał głos Picota.

Jednak Gyltha nie potrafiła odpowiedzieć. Dotarli wreszcie do zamku. Na wewnętrznym dziedzińcu nie było dziś Żydów, za to jeszcze więcej klerków, całe tuziny, namnożyli się jak chrabąszcze.

Poborca podatków wyjaśnił Gylcie, co się dzieje.

- To są królewscy skrybowie, szykują się do sądów. Parę dni potrwa, zanim wszystko będzie gotowe. Chodźcie tędy. Zabrali go do kaplicy.

Gdy cała trójka dotarła już na miejsce, okazało się, że kaplica jest pusta, wyjąwszy zanikowego kapelana, który pracowicie machał kadzielnicą po całej nawie, jakby chciał ją ponownie poświęcić.

- Wiedzieliście, że to było ciało Żyda? Sir Rowleyu? Coś takiego! Myśleliśmy, że on jest chrześcijaninem, ale kiedy zaczęliśmy go przygotowywać do pogrzebu... - Ojciec Alkuin chwycił poborcę za ramię i odciągnął go tak, żeby kobiety niczego nie usłyszały. - Kiedy go rozebraliśmy, zobaczyliśmy dowód. On był obrzezany.

- Co z nim zrobiono?

- Na niebiosa, nie mógł tutaj zostać. Kazałem go wynieść. Nie można go tutaj pogrzebać, chociaż Żydzi robią o to dużo hałasu. Posłałem po przeora, chociaż to bardziej sprawa dla biskupa, ale przeor Gotfryd wie, jak uspokoić Żydów.

Ojciec Alkuin spostrzegł Mansura i zbladł.

- Chcesz sprowadzić do tego świętego miejsca jeszcze jednego poganina? Zabieraj go stąd, zabieraj!

Sir Rowley ujrzał rozpacz na twarzy Adelii. Chwycił małego księdza za przód szaty i podniósł parę cali nad ziemię.

- Gdzie zabrali ciało?  
- Nie wiem. Puszczaj mnie, ty diable! - Kiedy stanął z powrotem na własnych nogach, dodał jeszcze buntowniczym tonem: - Ani też nie dbam o to.  
Wrócił do brzęczenia kadzielnicą, zniknął w obłoku kadzidła i złości.  
- Oni go nie traktują z szacunkiem - powiedziała Adelia. - Och, Picot, zadbaj, żeby on miał porządny żydowski pogrzeb.  
Szymon z Neapolu, chociaż może wyglądał na humanistę i kosmopolitę, tak naprawdę był prawowiernym Żydem. Zawsze martwił się brakiem wiary u Adelii. Wydawało jej się czymś strasznym, aby ot tak pozbyto się jego ciała, ignorując obrzędy jego religii.  
- To nie w porządku - zgodziła się Gyltha. - To tak, jak mówi Dobra Księga: „Zabrano Pana z grobu i nie wiemy, gdzie Go położono”.  
Może to było bluźnierstwo, ale wypowiedziane z oburzeniem i smutkiem.  
- Drogie panie - oznajmił sir Rowley Picot. - Nawet jeśli miałbym zwrócić się w tej sprawie do samego Ducha Świętego, mistrz Szymon doczeka się godnego pogrzebu. - Ruszył przed siebie, zawrócił. - Wygląda na to, że Żydzi właśnie go zabrali.  
Ruszył w stronę żydowskiej wieży. Kiedy reszta poszła za nim, Adelia wsunęła dłoń w dłoń swojej gospodyni.  
Przeor Gotfryd stał u wejścia do baszty i rozmawiał z człowiekiem, którego medyczka nie знаła, ale w którym od razu rozpoznała rabina. Nie chodziło o loki nieprzystrzyżonej brody, ubrany był tak samo nędznie jak reszta Żydów. Tu chodziło o jego oczy. Uczone, bardziej surowe niż u przeora Gotfryda, jednak z taką samą mądrością i znużonym rozbawieniem. Ludzie z podobnymi oczyma spokojnie rozprawiali o żydowskim prawie z jej przybranym ojcem. Pomyślała, że to jakiś znawca Talmudu i poczuła ulgę. Zadbaj o ciało Szymona tak, jak Szymon by sobie życzył. I jako że to było zabronione, nie pozwoli, aby zwłoki poddawano sekcji, nieważne, co uczyni sir Rowley - to też przyniosło Adelii ulgę. Przeor Gotfryd trzymał ją za rękę.  
- Moje drogie dziewczę, co za cios, co za cios dla nas wszystkich. Dla ciebie ta strata musi być niewyobrażalna. Boże miłosierny, jakże ja lubiłem tego człowieka, choć krótka była nasza znajomość, jednak dostrzegałem u mistrza Szymona z Neapolu dobroć duszy i oplakuję jego odejście.  
- Przeorze, on musi zostać pochowany zgodnie z żydowskim prawem, co oznacza, że musi nastąpić to jeszcze dzisiaj.  
Trzymanie zwłok ponad ziemią dłużej niż dobę stanowiło ich pohańbienie.  
- Ach, jeśli chodzi o to... - Przeor Gotfryd stracił rezon. Odwrócił się do poborcy podatków, podobnie jak rabin. To stanowiło sprawę dla mężczyzn. - Sytuacja zrobiła się poważna, sir Rowleyu. Zaiście, jestem zaskoczony, że nie stało się tak już wcześniej, ale szczęśliwie, nikt z ludu rabina Gotsce nie umarł na zamku w przeciągu owego roku uwięzienia...  
- To za sprawą zamkowej kuchni - zabrzmiał niski głos rabina Gotsce, ale jeśli żartował, po jego twarzy niczego nie było widać.  
- Dlatego - kontynuował przeor - muszę przyznać, że to moja wina, iż jeszcze nie poczyniono żadnych przygotowań...  
- W zamku nie ma miejsca do chowania Żydów - powiedział rabin Gotsce.  
Przeor Gotfryd przytaknął.  
- Obawiam się, że ojciec Alkuin uznaje cały ten teren za ziemię chrześcijańską. Sir Rowley się skrzywił.  
- Może nocą zdołamy przemycić go do miasta.  
- W Cambridge nie ma miejsca do chowania Żydów - powtórzył rabin Gotsce.  
Wszyscy wpatrywali się w niego. Poza przeorem, który zdawał się zawstydzony.  
- A co zrobiono z Chaimem i jego żoną? - spytał Rowley. Gotfryd wyjaśnił niechętnie:  
- Na niepoświęconej ziemi, razem z samobójcami. Cokolwiek innego mogło wywołać kolejne zamieszki.  
Za otwartymi drzwiami do wieży, przed którymi wszyscy stali, widać było krzątanie. Po krętych schodach w górę i w dół chodziły kobiety z miednicami i kawałkami sukna, zaś w sieni stała grupa mężczyzn. Rozmawiali. Adelia dostrzegła pośrodku Jehudę Gabirola, trzymającego się za czoło.  
Złapała się też za własne, bo ponad tym całym zamętem ktoś rzeczywiście cierpiał.

Rozmowa przeora, rabina i poborcy podatków ciągle przerywana była głośnym i głębokim dźwiękiem, wydobywającym się z jednego z wyższych okien wieży, czymś pomiędzy jęczeniem a dyszeniem zepsutych miechów. Mężczyźni go ignorowali.

- Co to jest? - zapytała, ale nikt nie odpowiedział.

- W takim razie gdzie zwykle zabieracie swoich zmarłych? - odezwał się Rowley do rabina.

- Do Londynu. Król jest na tyle dobry, że dał nam cmentarz niedaleko Dzielnicy Żydowskiej w Londynie. Zawsze tak było.

- To jedyny?

- Jedyny. Jeśli umieramy w Yorku albo na granicy ze Szkocją, w Devon albo w Kornwalii, musimy zabierać nasze trumny do Londynu. Oczywiście, musimy płacić specjalne myto. Trzeba przecież za coś wynająć psy, żeby szczekały na nas we wszystkich miejscowościach, przez które przejeżdżamy. - Uśmiechnął się smutno. - A to kosztuje.

- Nie wiedziałem - powiedział Rowley. Drobny rabin skłonił się uprzejmie.

- A skądbyś miał, panie?

- Jak widzicie, mamy problem - stwierdził przeor Gotfryd. - Tego biednego ciała nie można pogrzebać w obrębie zamkowych murów, chociaż wątpię, żebyśmy dali radę zwozić mieszczan tak długo, czy też na tyle skutecznie, aby przemycić je do Londynu.

Przemycić? Do Londynu? Rozpacz Adelii zmieniała się w złość, którą z trudem hamowała. Odezwała się.

- Wybacz mi, ale Szymon z Neapolu to nie jest jakaś niedogodność, od której trzeba się uwolnić. Został wysłany przez króla Sycylii, żeby pozbyć się chodzącego wśród was mordercy i jeśli ten człowiek tutaj ma rację - wskazała poborcę podatków - przez to umarł. Na Boga, przynajmniej możecie godnie go pochować.

- Ona ma rację, przeorze - oznajmiła Gyltha. - To był dobry człowiek.

Obie kobiety wprawiły mężczyzn w zakłopotanie. A jeszcze bardziej zakłopotał ich kolejny jęk dobiegający z górnego okna izby, który zmienił się w niemożliwy do pomylenia z niczym innym kobiecy pisk.

Rabin Gotsce uznał, że powinien udzielić wyjaśnień.

- To pani Dina.

- Dziecko? - dopytywała się Adelia.

- Nieco przed czasem - wyjaśnił Żyd - ale niewiasty mają nadzieję na szczęśliwe rozwiązanie.

Usłyszała, jak Gyltha mówi:

- Bóg daje i Bóg odbiera. Medyczka nie pytała, jak teraz czuje się Dina, bo najwyraźniej czuła

się źle. Adelię powoli zaczęła opuszczać wściekłość. A więc jednak pojawia się coś nowego, nowa dobra rzecz na tym okrutnym świecie. Dostrzegł to rabin.

- Jesteś Żydówką, pani?

- Wychował mnie Żyd. Ja byłam tylko przyjacielem Szymona.

- I tak mi powiedział. Zostań w pokoju, córko. Dla nas w tej biednej małej społeczności wyprawienie twojemu przyjacielowi pogrzebu to święty obowiązek. Już dokonaliśmy rytualnego przygotowania zwłok do pochówku, obmycia i oczyszczenia ciała, zaczynającego wędrówkę ku następnemu etapowi. Szymon został odziany w prosty, biały strój pogrzebowy *tachrichim*. Trumna z wierzbowych gałązek, tak jak nakazał nasz wielki mędrzec rabban Gamliel, jest właśnie dla niego przygotowywana. Widzisz? Drę swoje szaty nad nim - rabin rozszarpał przód nieco już zniszczonej tuniki w geście rytualnej żałoby.

Powinna wiedzieć.

- Dziękuję, rabbi, dziękuję. Jednak było coś jeszcze.

- Ale nie powinno zostawiać się go samego.

- On nie jest sam. Stary Beniamin jako *szomer* trzyma straż i recytuje stosowne psalmy. - Rabin Gotsce rozejrzał się wokół. Przeor i poborca podatków pograżyli się w dyskusji. Ściszył głos: - A co do pogrzebu... My jesteśmy ludźmi elastycznymi, zaś Pan widzi, co jest dla nas możliwe, a co nie. Nie będzie się gniewał, jeśli trochę coś dopasujemy- ściszył głos niemal do szeptu. - Zawsze widzieliśmy, że prawa chrześcijan także są elastyczne, zwłaszcza jeśli idzie o pieniądze. Zebraliśmy garstkę pieniędzy, jakie tu mieliśmy, aby kupić działkę na ziemiach tegoż zamku, gdzie naszego przyjaciela będzie można godnie pochować.



Adelia uśmiechnęła się, po raz pierwszy tego dnia.

- Mam pieniądze, i to dużo. Rabin Gotsce nieco się odsunął.

- W takim razie czymże się przejmować? - Chwycił ją za rękę, aby wypowiedzieć błogosławieństwo dla pogrążonych w żałobie. „Niech pochwalony będzie na wieki Bóg nasz, władca wszechświata, prawdziwy sędzia”.

Przez chwilę Adelia poczuła wdzięczność. Może sprawiło to błogosławieństwo, może obecność życzliwych ludzi albo narodziny dziecka Diny.

Jednak, pomyślała, Szymon, nieważne jak zostanie pochowany, nie żyje. Światu odebrano coś bardzo cennego. I ty, Adelio, jesteś powołana, aby ustalić, czy stało się to przypadkowo, czy też za sprawą morderstwa. Nikt inny nie zdoła tego zrobić.

Wciąż czuła niechęć do badania ciała Szymona, która, jak sobie uświadomiła, była częściowo lękiem przed tym, co mogła odkryć. Jeśli zabiła go owa przebywająca na wolności bestia, zadała śmiertelny cios nie tylko człowiekowi, ale także zdecydowaniu Adelii, by kontynuować misję. Bez Szymona cała odpowiedzialność spadała wszak na medyczkę, a bez Neapolitańczyka była tylko jak samotna, złamana i bardzo drżąca trzcina.

Jednak rabin, któremu sir Rowley tłumaczył teraz coś bardzo szybko, nie miał zamiaru dopuszczać jej w pobliże ciała Szymona z Neapolu.

- Nie - powtarzał. - W ogóle nie, a już na pewno nie kobieta.

- *Dux femina facti* - wtrącił się przeor Gotfryd, pragnąc jakoś pomóc.

- Sir, przeor ma rację - błagał Rowley. - Osobą powołaną do przeprowadzenia badania jest kobieta. Zmarli przemawiają do niej. Mówią jej o przyczynie swojej śmierci, z czego można wydedukować, kto był jej sprawcą. Jesteśmy to winni temu zmarłemu, winni sprawiedliwości, musimy sprawdzić, czy zabójca dzieci był także jego zabójcą. Na litość boską, człowieku, on to robił dla twojego ludu. Jeśli został zamordowany, to nie chcesz, żeby go pomszczono?

- *Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor* - przeor wciąż przychodził z pomocą. - Mścicielu, powstań z moich martwych kości.

Rabin się skłonił.

- Sprawiedliwość to rzecz dobra, panie - rzekł - ale poznaliśmy, że znaleźć można ją tylko na drugim świecie. Prosisz, aby tego dokonać, zaklinając się na Boga, ale jakże my możemy uradować Pana, łamiąc Jego prawa?

- Dumny nędzarz - powiedziała Gyltha do Adelii, potrząsając głową

- Właśnie to czyni go Żydem.

Czasem lekarka zastanawiała się, jak ta rasa i religia przetrwały w obliczu niemal powszechnej oraz niewytłumaczalnej wrogości. Bezdumność, prześladowania, poniżenia, próby ludobójstwa. Naród żydowski doznał wszystkich tych rzeczy i dlatego jeszcze bardziej kurczowo trzymał się swojej tożsamości. W trakcie pierwszej krucjaty armie chrześcijan, o głowach pełnych religijnego zapału i trunków, uznawały za swój ewangeliczny obowiązek nawracanie Żydów na ziemiach, które przemierzały. Stawiano ich przed wyborem między chrztem a śmiercią. Odpowiedzią były tysiące zabitych wyznawców judaizmu.

Rabin Gotsce należał do ludzi rozsądnych, ale prędzej umarłby na stopniach owej wieży, niż pozwolił na złamanie zasad swojej wiary i na to, żeby kobieta dotknęła zwłok mężczyzny. Nieważne, jak wiele pożytku mógł przynieść ten dotyk.

Co tylko pokazuje, pomyślała Adelia, że trzy wielkie religie są przynajmniej zgodne co do niższości jej płci. Zaiste, pobożny Żyd codziennie dziękował w swoich modlitwach Bogu, iż nie urodził się kobietą.

Podczas gdy medyczka milcząco analizowała niewesołe spostrzeżenie, obok toczyła się zacięta dyskusja, w której najczęściej słychać było głos sir Rowleya. Wreszcie zwrócił się do niej.

- Udało mi się zyskać tyle - oznajmił. - Przeor i ja zostaniemy dopuszczeni, aby spojrzeć na ciało. Możesz stać na zewnątrz i mówić nam, na co mamy patrzeć.

Głupie, ale chyba to zadowoli wszystkich, łącznie z nią...

Z dużym wysiłkiem Żydzi zanieśli ciało do komnaty na szczycie wieży, jedynej niezajętej, tam gdzie po raz pierwszy ona, Szymon i Mansur spotkali się ze Starym Beniaminem i Jehudą.

Rabin, jakby lękając się religijnych ekscesów, kazał Adelii czekać na półpiętrze, przy schodach na dole, razem ze Stróżem. Usłyszała, jak otwierane są drzwi izby. Nim zamknęły

się ponownie, dobiegł ją jeszcze urywek śpiewu Starego Beniamina, nucącego *Tehilim*, spływający w dół schodów.

Picot ma rację, pomyślała. Szymona nie należy składać do grobu, nie wysłuchawszy go wcześniej. Duch tego człowieka uznałby to za najgorsze zbezczeszczenie.

Usiadła na kamiennym schodku i skupiła się, kierując umysł ku mechanizmowi śmierci przez utonięcie.

Nie było łatwo. Nie mogła wyciąć fragmentu płuc, aby sprawdzić, czy są wzdęte, czy zawierają muł albo glony, diagnozę będzie musiała więc oprzeć na wykluczaniu innych przyczyn zgonu. W rzeczy samej, pomyślała, prawdopodobnie nie znajdzie w ogóle żadnych dowodów wskazujących na morderstwo. Przypuszczalnie zdoła tylko ustalić, że nastąpiło utonięcie, ale czy Szymon był żywy, kiedy wpadał do wody pozostanie zagadką: wpadł sam, czy go wepchnięto?

Usłyszała głos Starego Beniamina. „Panie, Ty dla nas byłeś ucieczką z pokolenia na pokolenie...” I łomot butów poborcy podatków, schodzącego do niej po schodach.

- Wygląda na spokojnego. Co mamy robić?

- Czy na ustach i nozdrzach jest piana? - zapytała.

- Nie. Umyli go.

- Naciśnij klatkę piersiową, jeśli będzie piana, otrzyj ją i naciśnij znowu.

- Nie wiem, czy rabin mi pozwoli. Ręce goja. Adelia wstała.

- Nie pytaj go, po prostu to zrób! - Znowu stała się medykiem badających umarłych.

Rowley pospieszył na górę.

„... W nocy nie ulęknieś się strachu ani za dnia - lecącej strzały...”

Oparła się o trójkąt okiennej szczeliny obok niej, bezmyślnie głaskała Stróża po łbie i oglądała krajobraz, który widziała już kiedyś: rzekę, drzewa i wzgórze za nimi, niczym z Wergiliusza.

Ale ja właśnie obawiam się strachu nocy, pomyślała.

Sir Rowley znowu znalazł się przy niej.

- Piana - stwierdził krótko. - Dwa razy. Różowawa. Czyli do wody trafił żywy. To już na coś wskazuje, ale jeszcze niczego nie dowodzi. Mógł dostać ataku serca i wpaść do rzeki.

- Czy ma siniaki? - spytała.

- Żadnego nie widzę. Są rozcięcia między palcami. Stary Beniamin powiedział, że znaleźli tam łodygi roślin. Czy to coś oznacza?

Raz jeszcze, pomyślała, oznacza to, że Szymon żył, kiedy wpadał do rzeki. W tej strasznej chwili, kiedy umierał, łapał się trzciny i sitowia, które zostały mu w ręce zaciśniętej w śmiertelnym skurczu.

- Szukajcie siniaków na plecach - poleciła - ale nie kładźcie go twarzą do dołu, to wbrew prawu.

Tym razem usłyszała, jak Picot kłóci się z rabinem. Rowley i Gotsce mówili ostrym tonem. Stary Beniamin nie zwracał uwagi na żadnego z nich.

„Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie odpocząć mogę”.

Sir Rowley wygrał spór. Wrócił do niej.

- Tutaj i tutaj ciągną się siniaki - oznajmił, kładąc dłoń na ramieniu, potem na drugim, aby pokazać linię poprzez górną część pleców. - Pobito go?

- Nie. Coś takiego czasem się zdarza. Walka, aby wydobyć się na powierzchnię, zrywa mięśnie wokół barków i szyi. On utonął, Picot. To wszystko, co mogę powiedzieć. Szymon utonął.

- Jest jeszcze jeden bardzo szczególny siniak - dodał Rowley. - Tutaj.

Tym razem wygiął rękę za plecy, poruszył palcami i odwrócił się, aby mogła je zobaczyć. Wskazał miejsce między dolnymi krawędziami łopatek.

- Co mogło go spowodować? Widząc, jak kobieta marszczy brwi, splunął na stopień schodów

i przykleknął, by nakreślić mały, wilgotny krąg na kamieniu.

- To właśnie tak wygląda. Okrągłe. Dość szczególne, tak jak mówiłem. Co to jest?

- Nie wiem - ogarnęła ją złość. Tymi swoimi głupimi prawami, swoim obawami przed pierwotną nieczystością kobiet, swoim nonsensem, oni wznosili barierę między medykiem a pacjentem. Szymon wołał do niej, a nie pozwalali jej go wysłuchać. - Przepraszam -

powiedziała.

Weszła po schodach i wmaszerowała do komnaty. Ciało leżało na boku. Nie minęła chwila, a już stamtąd wymaszerowała.

- Został zamordowany - oznajmiła Rowleyowi.
- Drag do odpychania łódki?
- Prawdopodobnie.
- Przytrzymali go nim pod wodą?
- Tak - powiedziała.

## Rozdział 11

Mur kurtynowy stanowił bastion, zza którego łucznicy mogli odpierać atak na zamek - i odparli podczas wojny Stefana z Matyldą. Dzisiaj panował tam spokój, było pusto, wyjąwszy chodzącego po nim strażnika i odzianą w płaszcz kobietę z psem, która stała przy krenelażu. Wartownik pozdrowił ją, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Jakie piękne popołudnie... Zachodni wietrzyk odsunął deszcz dalej na wschód i pędził wełniste chmurki po bladoniebieskim niebie. Dodawał urody i piękna, a jeszcze lepiej czynił to tam, gdzie spoglądała Adelia, na dole, wydymając płócienne dachy straganów, łopocząc porporcami na łodziach przycumowanych obok mostu, jeszcze niżej kołysząc wierzbowymi gałęziami, w zsynchronizowanym tańcu. Marszczył też rzekę, tworząc na niej błyszczące, nieregularne falki.

Ale ona tego wszystkiego nie widziała.

Jak to zrobiłeś, pytała zabójcy Szymona. Co takiego powiedziałaś, aby zwabić go w miejsce, skąd mogłeś zepchnąć do wody? Nie trzeba było wielkiej siły, aby przytrzymać drągiem dźgającym plecy. Mogłeś oprzeć się na kiju całym ciężarem, sprawić, iż nie sposób spod niego umknąć.

Minęła chwila, dwie, podczas których Szymon po omacku starał się czegoś chwycić jak chrabaszcz, aż wreszcie zgasło jego złożone i pełne dobroci życie.

Dobre nieba, jak to wyglądało? Ujrzała otaczające ciało kłęby mułu, omotujące je podwodne zielsko, widziała unoszące się bąbelkami resztki oddechu. Zaczęła ciężko dyszeć, współodczuwając panikę ofiary... Tak jakby wciągała do płuc wodę, a nie czyste powietrze Cambridge.

Przestań. To nic nie da.

A co da?

Bez wątpienia doprowadzenie przed oblicze sprawiedliwości jego zabójcy, który był też zabójcą dzieci. Ale jakże to będzie teraz trudne bez niego! „*Medica*, możemy musieć zrobić dokładnie to, nim zakończymy tę sprawę. Myśleć tak, jak myśli on”.

A ona odpowiedziała wtedy: „No to sam to rób. To ty tu jesteś najsztubtelniejszy”.

Teraz musi wejść w umysł, który widział w śmierci środek doraźny, zaś w przypadku dzieci - przyjemność.

Jednak potrafiła dostrzegać tylko niesione przez to wszystko ograniczenia. Stała się mniejsza. Wiedziała jedynie, że do wściekłości, jaką czuła z powodu umęczenia dzieci, dołączyła złość, że oto zjawiał się jakiś *deus ex machina*, aby wszystko sobie poustawić na właściwych miejscach. Ona i Szymon byli dotąd od tego oddzieleni, ponad wszystkim, ponad całym działaniem, byli tylko jego zwieńczeniem, a nie kontynuacją. Dla niej, jak sądziła, oznaczało to formę wyższości - podczas gry jej bogowie nie zostawali wszak protagonistami. Ta wyższość zniknęła wskutek zamordowania Szymona. Ona sama została zaś wrzucona między graczy z Cambridge, równie nieświadoma i bezbronna jak każda z tych drobnych, miotanych wichrem i losem figurek.

Demokratycznie więc dołączyła do żałoby, do Agnieszki siedzącej przy swoim przypominającym ul szafasie, do łowczego Hugona, który oplakiwał siostrzenicę, do Gylthy i wszystkich innych mężczyzn, i kobiet, co utracili kogoś, kogo kochali.

Czuła się tak, póki nie usłyszała znajomych kroków zbliżających się wzdłuż umocnień, kroków, na które czekała. Jediną deską ratunku, której mogła się chwycić w tej topieli, stanowiło to, że poborca podatków wcale nie jest winien morderstw. Poczuliaby się szczęśliwa, bardzo szczęśliwa, mogąc uniżenie przeprosić go za swoje podejrzenia - tyle że on powiększał jeszcze bardziej całe to zmieszanie.

Wobec wszystkich ludzi poza najbliższymi Adelia starała się wyglądać na niewzruszoną, okazując nienaganne, lecz pełne dystansu maniery kogoś powołanego do tego zawodu przez bóstwo medycyny. Te pozory pomagały radzić sobie z impertynencją i zbytnią poufałością, a od czasu do czasu wręcz arogancją, z jaką traktowali ją koledzy żacy, a na początku nawet pierwsi pacjenci. W rzeczy samej, właściwie uważała się za kogoś wycofanego z rodzaju ludzkiego do jakiejś cichej, spokojnej kryjówki, gdzie jednak nikt inny nie mógł wejść, bo tam była narażona na ciosy.

Jednak osobie, której kroki teraz słyszała, okazała smutek i panikę, wzywała ją na pomoc, wspierała się na niej, nawet w nieszczęściu cieszyła się, że jest razem z nią.

Dlatego twarz, jaką Adelia pokazała sir Rowleyowi Picotowi, nie miała żadnego wyrazu.

- Jak brzmiał werdykt?

Nie wezwano jej, żeby zeznawała przed przysięgłymi, spiesźnie zgromadzonymi nad zwłokami Szymona. Sir Rowley uznał, że nie będzie dla niej dobrze ani też nie będzie do końca prawdą, jeśli zostanie przedstawiona jako ekspert od śmierci.

- Po pierwsze, jesteś kobietą, po drugie, cudzoziemką. Nawet jeśli ci uwierzyli, zyskałabyś tylko złą sławę. Pokażę im siniak na jego plecach i wyjaśnię, że starał się zbadać rachunki zabójcy dzieci i dlatego został jego ofiarą. Ale wątpię, żeby koroner i przysięgli, ci wszyscy prostacy, mieli tyle oleju w głowie, by z jakimkolwiek zrozumieniem podążyć za tak złożonym tokiem rozumowania.

A teraz z jego spojrzenia pojęła, że nie mieli.

- Przypadkowa śmierć przez utonięcie - oznajmił. - Oni myśleli, że oszalałem. - Oparł dłoń o boki i ze złością sapnął, patrząc na rozciągające się w dole miasto. - Wszystko, co mogę zdziałać, to nadważyć ich przekonanie, że to nie jeden z nich, lecz Żydzi zamordowali świętego Piotrusia i pozostałych.

Przez chwilę w zamęcie panującym w głowie Adelii coś stanęło dęba, pokazało straszliwe zębiska, a potem schowało się znowu, przykryte smutkiem, rozczarowaniem i niepokojem.

- A pogrzeb? - zapytała.

- Ach - powiedział - chodź ze mną. Stróż, posłusznie jak niewolnik, od razu się zerwał i podreptał za nim.

Medyczka poszła za nimi wolniej.

Budynek stał przy drodze prowadzącej ku wielkiemu dziedzińcowi. Gadanie zgromadzonych tam klerków uciszyło stanowcze, ogłuszające walenie młotka w drewniany pulpit. W rogu wznoszono nowy szafot po to, by ustawić tam trzy szubienice, których użyje się, gdy po sądach opustoszeją lochy hrabstwa i ci, którzy trafią przed oblicze sprawiedliwości, usłyszą wyroki.

Niemalże na wysokości przysłych stryczków, nieopodal zamkowej bramy, na podwyższeniu, do którego prowadziły schody, postawiono długi stół i ławę, gdzie mieli zasiąść sędziowie, górując nad tłuszcą.

Nieprzyjemny hałas nieco zelżał, kiedy sir Rowley poprowadził Adelię i jej psa trochę dalej. Szesnaście lat królewskiego pokoju Plantagenetów pozwoliło szeryfom z Cambridgeshire zrezygnować tutaj z używania konstrukcji łączącej resztę warowni z ich kwaterami. Teraz schody prowadziły z nich w dół ku otoczonemu murem ogrodowi. Można też było doń wejść z zewnątrz fortecy przez zwińczoną łukiem bramę.

W ogrodzie panowały cisza i spokój. Adelia usłyszała pierwsze wiosenne pszczoły, wylatujące z kwiatów.

Bardzo angielski ogród stworzono, by służył leczeniu i gotowaniu, a nie żeby cieszyć oczy. O tej porze roku brakowało w nim jeszcze barw, wyjąwszy kaczęce między kamieniami ścieżki i zaledwie cień błękitu, gdzie kępa fiołków wyrosła wzdłuż podstawy muru. Pachniało świeżo ziemią.

- Czy tutaj może być? - od niechcienia zapytał sir Rowley. Adelia wpatrywała się w niego otepiała.

- To ogród szeryfa i jego pani - odezwał się z przesadnym spokojem. - Zgodzili się, żeby pochowano tutaj Szymona.

Wziął ją za ramię i poprowadził ścieżką, tam gdzie rosła dzika wiśnia, obsypana delikatnym białym kwieciami. Trawa rosnąca wokół drzewa była nieprzystrzyżona i usłana stokrotkami.

- Pomyśleliśmy, że tutaj. Adelia zamknęła oczy i odetchnęła. Chwilę potem powiedziała:

- Muszę im zapłacić.

- Z pewnością nie - poborca podatków zdawał się urażony. - Powiedziałem, że to ogród szeryfa, ale powinienem raczej powiedzieć, że to ogród króla, albowiem król jest najwyższym właścicielem każdego skrawka angielskiej ziemi, wyjąwszy tę należącą do Kościoła. Henryk Plantagenet jest przywiązany do swoich Żydów, a ja jestem jego człowiekiem, trzeba było zatem tylko wytłumaczyć szeryfowi Baldwinowi, że goszcząc Żydów, ugości króla. Zresztą w pewnym sensie rzeczywiście to zrobi i to wkrótce, bo Henryk ma złożyć wizytę na zamku już niedługo, co stanowiło kolejną rzecz, na którą zwróciłem uwagę jego wielmożności.

Umilkł na chwilę, zmarszczył brwi.

- Będę naciskał na króla, aby żydowskie cmentarze założono w każdym mieście, ich brak to skandal. Nie potrafię uwierzyć, że świadomie na to pozwala.

A zatem tu nie chodziło o pieniądze. Jednak Adelia wiedziała, wobec kogo ma dług. Nadszedł czas, by go spłacić i to z nawiązką.

Przyklękła na jedno kolano. Złożyła Rowleyowi głęboki ukłon.

- Sir, jestem twoją dłużniczką, nie tylko przez twoją życzliwość, ale także ze względu na podejrzenia o niegodziwość, jakie żywiłam wobec ciebie. Naprawdę bardzo ich żałuję.

Spojrzał na nią.

- Jakich podejrzeń? Skrzywiła się z niechęcią.

- Sądziłam, że to ty możesz być mordercą.

- Ja?!

- Byłeś na krucjacie - zaznaczyła - tak jak on. Byłeś w Cambridge o stosownej porze.

Byłeś wśród tych, którzy znaleźli się w pobliżu Kręgu Wandlebury w noc, kiedy przeniesiono ciała dzieci... - Na boże zębra, w miarę wykładania owej teorii, zdawała się ona coraz bardziej uzasadniona, dlaczego w ogóle miałyby za nią przeproszać? - Jakże inaczej mogłam pomyśleć? - zapytała go.

Zastygł niczym posąg, jego błękitne oczy wpatrywały się w nią, palcem wskazywał na Adelię i na siebie w geście pełnym niedowierzania.

- Ja? Zniecierpliwiła się.

- Teraz wiem, że niesłusznie.

- Do licha ciężkiego i to jak - powiedział z taką mocą, że aż spłoszył jakiegoś drozda. - Pani, chciałbym, żebyś wiedziała, że ja bardzo lubię dzieci. Podejrzewam, że mogłem nawet spłodzić kilkoro, choć nie mam co do tego pewności. Rany boskie, ale ja przecież ścigałem tego niegodziwca, mówiłem ci o tym.

- Zabójca mógł powiedzieć to samo, a ty nie wyjaśniłeś, dlaczego to robisz.

Zastanowił się chwilę.

- Nie powiedziałem, prawda? Ścisłe mówiąc, to jest tylko moja sprawa i... chociaż w tych okolicznościach... - Spojrzał znowu w dół, na nią. - Powierzę ci mój sekret, pani.

- Zachowam go tylko dla siebie - odparła. Nieco dalej, w ogrodzie znajdował się usypany z ziemi kopiec, na

którym można było usiąść, nieopodal miejsca, gdzie młode listki uformowały gobelin na ceglany murze. Wskazał go, a potem usiadł obok, złączone dłonie oparł na kolanie. Zaczął opowieść o sobie.

- Powinnaś wiedzieć, że jestem człowiekiem, któremu szczęście sprzyja.

Sprzyjała mu fortuna, bo ojciec, siodlarz lorda Astona z Hertfordshire, zadbał o jego wykształcenie, sprzyjało mu szczęście, bo jego postura i siła sprawiły, że ludzie zwracali na niego uwagę, miał szczęście, iż natura obdarzyła go przy tym bystrym umysłem.

- Powinnaś także wiedzieć, że moje zdolności matematyczne są nadzwyczajne. Tak jak mój talent do języków...

I nie cofasz się, prac do przodu, pomyślała Adelia, rozbawiona. Podслуchała to powiedzenie u Gylthy.

Pan jego ojca wcześniej poznał się na zdolnościach młodego Rowleya Picota i wysłał go do Szkoły Pitagorejskiej, tutaj w Cambridge, gdzie studiował naukę Greków i Arabów.

Nauczyciele polecieli go Gotfrydowi de Luciemu, kanclerzowi Henryka II, do którego trafił na służbę.

- Jako poborca podatków? - naiwnie zapytała Adelia.

- Jako pisarz sądowy, na początek - odparł sir Rowley. - W końcu zwróciłem na siebie uwagę samego króla.

- Jakżeby inaczej.  
- Mam dalej opowiadać? - zapytał. - Czy może lepiej porozmawiamy o pogodzie?  
Zawstydzona, odparła:  
- Proszę cię, opowiadaj dalej, mój panie. Naprawdę jestem ciekawa. Dlaczego ja się z nim drażnię, pomyślała, w ten najważniejszy z dni?  
Bo on sprawia, że ten dzień staje się dla mnie znośny, dzięki wszystkiemu, co robi i mówi.  
O mój Boże, pomyślała zszokowana. On mnie pociąga.  
Owa świadomość przyszła nagle, niczym jakiś atak. Jakby gromadziła się i rosła w ciasnym oraz sekretnym miejscu gdzieś w niej i nagle urosła do takich rozmiarów, że dłużej nie mogła już zostać niepostrzeżona. Pociąga mnie? Aż czuła od tego słabość nóg, jej umysł spostrzegł otumanienie, a także jakby niedowierzanie w to coś zupełnie nieprawdopodobnego, zaprotestowała wobec owej jaskrawej niedogodności.  
On jest dla mnie mężczyzną zbyt lekkim i nie chodzi o wagę, ale o charakter. To jest jakieś nagle oczarowanie, szaleństwo, które ogarnęło mnie za sprawą wiosennego ogrodu i jego nieoczekiwanej życzliwości. A może dlatego, że została właśnie opuszczona. To minie. To musi minąć.  
Z ożywieniem opowiadał o Henryku II:  
- .. jestem człowiekiem króla, pod każdym względem. Dziś poborca podatków, jutro... ten, kimkolwiek on zechce, żebym się stał. - Odwrócił się w jej stronę. - Kim był Szymon z Neapolu? Czym się zajmował?  
- Był... - Adelia próbowała zebrać myśli. - Szymon? Tak... potajemnie pracował dla króla Sycylii, między innymi.  
Splotła ręce... Jemu nie wolno było zobaczyć, że drzą. Nie wolno. Skupiła się.  
- Powiedział mi kiedyś, że jest takim medykiem od spraw niematerialnych, takim, który naprawia zepsute sytuacje.  
- Takim, kto potrafi wszystko załatwić. „Nie martw się, Szymon z Neapolu już się tym zajmie”.  
- Tak. Sądzę, że właśnie kimś takim był.  
Mężczyzna obok niej skinął głową, a że wręcz wściekle ciekawiło go, czym zajmował się Szymon, wszystkim, co się go tyczyło, zrozumiała, iż poborca też należał do osób potrafiących wszystko załatwić. Król Anglii mawiał pewnie w swojej andegaweńskiej francuszczyźnie: *Ne vous en faites pas, Picot va tout arranger*.  
- To niezwykle - powiedział teraz ten, co potrafił wszystko załatwić - ale ta opowieść zaczyna się od martwego dziecka.  
Królewskiego dziecka, następcy tronu Anglii i imperium, które zbudował dla niego ojciec. Wilhelm Plantagenet, syn króla Henryka II i królowej Eleonory z Akwitanii, urodzony w 1153 roku. Zmarły w roku 1156.  
- Henryk nie wierzył w krucjaty - opowiadał Rowley. - „Odwróć się tylko na chwilę plecami”, mawiał, „a jak wyjedziesz, to jakiś łotr ukradnie ci tron”. - Uśmiechnął się. - Eleonora jednak wierzyła. Pojechała na jedną ze swoim pierwszym mężem.  
I stworzyła legendę, którą śpiewano w całym chrześcijańskim świecie, chociaż nie w kościołach. W głowie Adeli pojawiły się wizje Amazonki z obnażonymi piersiami, pracującej bezwstydnie przez piaski pustyni, ciągnącej za sobą Ludwika, nieszczęsnego pobożnego króla Francji.  
- Małemu Wilhelmowi zaplanowano przyszłość i ślubowano, że ruszy na krucjatę, kiedy dorośnie. Eleonora i Henryk zrobili mu nawet mały mieczyk, a kiedy chłopiec umarł, Eleonora zapragnęła, by zabrano go do Ziemi Świętej.  
Tak, pomyślała Adelia, poruszona. Widywała już tyle podobnych wypraw, zatrzymujących się po drodze, w Salerno. Ojca wiozącego miecz swojego syna, syna z mieczem ojca, wędrowali do Jerozolimy, tak aby ich bliscy choć pośrednio uczestniczyli w krucjacie. Czasem wskutek przysięgi, własnej lub tych, którzy zmarli, nim zdołali wypełnić ślubowanie.  
Może jeszcze wczoraj nie poczułaby się tak poruszona, jednak śmierć przyjaciela i owa nowa, niespodziewana pasja sprawiły, że pokochała cały świat pełną bólu miłością. Jakże to było poruszające.  
Rowley opowiadał dalej:  
- Długi czas król odmawiał wysyłania kogokolwiek. Utrzymywał, że Bóg nie odmówi

trzyletniemu dziecku wstępu do raju tylko dlatego, że nie wypełniło przysięgi. Ale królowa ciągle nie dawała za wygraną, aż prawie siedem lat temu wybrał Guiscarda de Saumura, jednego ze swoich andegaweńskich wujów, i kazał mu wieść miecz do Jerozolimy.

I znowu Rowley uśmiechnął się szeroko do swoich myśli.

- Henryk zawsze robi coś z więcej niż jednego powodu. Lord Guiscard świetnie nadawał się do tego, aby zawieść miecz; silny, przedsiębiorczy i obeznany z Orientem, jednak był też w gorącej wodzie kąpany jak wszyscy Andegawenii. Spór z jednym z jego wasali zagrażał pokojowi w Andegawenii, więc król uznał, że czasowa nieobecność Guiscarda pozwoli uspokoić sytuację. Na wyprawie chronić miał go jakiś konny. Henryk uważał, że powinien wysłać z Guiscardem swojego człowieka, kogoś sprytnego o zdolnościach dyplomatycznych i jak się wyraził: „silnego, aby trzymać tego drania z dala od kłopotów”.

- Ciebie? - zapytała Adelia.

- Mnie - odparł zadowolony Rowley. - Henryk pasował mnie na rycerza, albowiem to ja miałem nieść miecz. Sama Eleonora przypięła mi go do pleców i do tego dnia, aż złożyłem go z powrotem w grobie młodego Wilhelma, nigdy się z nim nie rozstawałem. Nocą, kiedy go zdejmowałem, spałem z nim. I tak właśnie wszyscy wyprawiliśmy się do Jerozolimy.

Nazwa tego miejsca zawładnęła ogrodem i dwojgiem siedzących w nim ludzi, wypełniając powietrze uwielbieniem oraz udręką trzech wrogich sobie religii. Było to niczym lamenty planet, mruczających własne piękne melodie i mknących prosto na siebie, ku zderzeniu.

- Jerozolima - powtórzył Rowley, a jego słowa były tymi królowej Saby: „Jednak nie dowierzałam tym wieściom, póki nie przyjechałam i nie zobaczyłam na własne oczy, że nawet połowy mi nie powiedziano”.

Niczym w transie stapał po kamieniach uświęconych przez Zbawiciela, na kolanach sunął wzdłuż Via Dolorosa, płacząc, padł na twarz przed Grobem Pańskim. Uznał, że to dobrze, iż ten ośrodek wszelkich cnót został oczyszczony przez pierwszą krucjatę z pogańskiej tyranii, tak aby chrześcijańscy pielgrzymi mogli znów oddawać tutaj cześć Panu, jak i on oddawał. Nie posiadał się z podziwu dla owego przedsięwzięcia.

- Nawet teraz nie mam pojęcia, jak oni tego dokonali - pokręcił głową, jakby wciąż nie dowierzał. - Muchy, skorpiony, pragnienie, upał. Koń zdycha pod tobą, wystarczy dotknąć cholernej zbroi, a już wyskakują ci pęcherze na rękach. I oni byli nieliczni, zdziesiątkowani przez zarazę. Nie, Bóg Ojciec był z tymi pierwszymi krzyżowcami, inaczej oni nigdy by nie odbili domu Jego Syna. W każdym razie tak wtedy myślałem.

Poznał także inne, bardziej ziemskie przyjemności. Potomkowie pierwszych krzyżowców zadomowili się na ziemi, którą nazwali Outremer. Zaiste, ciężko odróżniało się ich od Arabów, których modę teraz naśladowali.

Poborca podatków opisywał marmurowe pałace, dziedzińce z fontannami i drzewami figowymi, łaźnie.

-Przysięgam, były nawet wielkie mauryjskie baseny wpuszczone w podłogę.

Mały ogród przeniknęła mocna, głęboka woń pokusy.

Rowley z grupy rycerzy, w skład której wchodził, najbardziej czuł się oczarowany nie tyle niezwykłą egzotyką tego miejsca, ile jego brakiem wyraźnych konturów i złożonością.

- To było właśnie to, czego się nie spodziewałem, tego jak bardzo wszystko jest pogmatwane. To nie jest po prostu tak, że chrześcijanin staje przeciwko muzułmaninowi. Nic nie jest tam proste. Myślisz, na Boga, ten człowiek jest wrogiem, bo czci Allacha. I, na Boga, myślisz, że jeśli ktoś klęka przed krzyżem, to jest chrześcijaninem i musi być po twojej stronie. No i jest chrześcijaninem, ale niekoniecznie po twojej stronie, równie dobrze może być w sojuszu z muzułmańskim księciem.

Tyle Adelia wiedziała. Włoscy kupcy z powodzeniem handlowali ze swoimi muzułmańskimi odpowiednikami z Syrii i Aleksandrii na długo przed tym, jak papież Urban wezwał w 1096 roku do oswobodzenia Ziemi Świętej z rąk mahometan - i w swoich przekleństwach ślali całą krucjatę do diabła. Skłękli krzyżowców ponownie w roku 1147, kiedy z drugą krucjatą Frankowie raz jeszcze ruszyli do Ziemi Świętej, nie bardziej od swoich poprzedników rozumiejąc tę ludzką mozaikę, jaką najeżdżali. Rycerze psuli za to zyskowną współpracę, która od pokoleń istniała między przedstawicielami dwóch religii.

Kiedy Rowley opisywał melanz kultur, który go tak oczarował, Adelię zaniepokoiło, że pęka jej ostatnia linia obrony przed tym mężczyzną. Zawsze pierwsza do szufladkowania, szybko nadająca stosowne kategorie, znajdowała u niego szerokie horyzonty, rzadkie u

krzyżowców. Nie, nie. Muszę otrząsnąć się z zadurzenia, to dla mnie wręcz konieczne, aby go przestać podziwiać. Ja nie chcę się zakochać.

Rowley, nieświadom tego wszystkiego, opowiadał dalej.

- Wpierw byłem zdumiony, że Żyd i muzułmanin równie gorliwie modlili się w świątyni, tak samo jak ja, że była ona dla nich równie święta.

Nie pozwolił jednak, by odkrycie zasiało w jego głowie choćby ziarno zwątpienia w słusność krucjat.

- To przyszło później - oznajmił. Jednak niesmakiem zaczęła go napępiać rażąca, tyrańska wręcz

nietolerancja okazywana przez większość nowo przybyłych. Wolał towarzystwo oraz sposób życia ludzi, którzy byli potomkami pierwszych krzyżowców i zdomowili się już w tym tyglu. Dzięki ich gościnności arystokrata Guiscard i jego towarzysze mogli się cieszyć wynikającymi z niej korzyściami.

Nie było jeszcze mowy o powrocie do domu. Nauczyli się arabskiego, kapali w wodzie zaprawionej pachnącymi olejkami, dołączali do gospodarzy podczas polowań z niewielkimi berberyjskimi sokolikami, cieszyli się luźnymi szatami i towarzystwem uległych kobiet, a także sorbetem, miękkimi poduszkami, czarnymi służącymi oraz zaprawionym korzeniami jedzeniem. Kiedy ruszali na wojnę, przywdziewali pancerze, burnusami kryjąc się przed słońcem, a od swoich wrogów różnili się tylko krzyżami na tarczach.

Jadąc w bój, Guiscard i jego niewielki orszak całkiem już z pielgrzymów zmienili się w krzyżowców. Król Almaryk, nagłąc, wezwał do broni wszystkich Franków, żeby powstrzymali arabskiego wodza Nur-ad-Dina, który wmaszerował do Egiptu, by zjednoczyć muzułmanów przeciwko chrześcijanom.

- Nur-ad-Din był wielkim wojownikiem i wielkim łotrem. Wiesz, wtedy wydawało się nam, że przyłączając się do armii króla Jerozolimy, przyłączamy się też do króla niebios.

Pomaszerowali na południe.

Adelia zauważyła, że do tej pory mężczyzna opowiadał jej o wszystkim szczegółowo, o bieli budynków i ich złotych kopułach, wielkich szpitalach, zatłoczonych ulicach, bezmiarze pustyni. Jednakże przy opisach samej krucjaty stał się oszczędny w słowach.

- Święte szaleństwo - jedynie tyle miał do powiedzenia, choć dodał jeszcze: - Ale po obu stronach walczyli szlachetni rycerze. Kiedy Almaryk zachorował, Nur-ad-Din zaprzestał walki, póki on nie wydobrzeł.

Jednak za chrześcijańską armią ciągnęły szumowiny z Europy. Papieskie darowanie win grzesznikom i przestępcom, pod warunkiem że wezmą krzyż, sprowadziło do Ziemi Świętej ludzi, którzy zabijali wszystkich jak leci, pewni, że cokolwiek zrobią, i tak zostaną z radością przyjęci w objęcia Jezusa.

- Bydło - powiedział o nich Rowley - wciąż jeszcze cuchnące oborą, z której wylazło. Uciekli przed poddaństwem, a teraz chcieli ziemi i bogactw.

Mordowali Greków, Ormian oraz Koptów, wyznawców chrześcijaństwa starszego niż ich własne, ponieważ brali ich za pogan. Żydzi, Arabowie, znawcy greckiej i rzymskiej filozofii, biegli w matematyce, medycynie oraz astronomii, naukach, które rasy semickie dały Zachodowi, musieli kłaniać się ludziom niepotrafiącym ani pisać, ani czytać i niewidzącymi powodu, aby się tego nauczyć.

- Almaryk starał się trzymać ich w karchach - opowiadał Rowley - ale oni zjawiali się jak sępy. Wracając do swoich ludzi i odkrywał, że rozpruli nożami brzuchy jeńców, bo myśleli, że muzułmanie chowają klejnoty, połykając je. Kobiety, dzieci, to nie grało dla nich roli. Niektórzy z nich w ogóle nie przyłączali się do wojska, wędrowali po traktach, szukając łupu. Palili, oślepiali, a kiedy ich złapano, mówili, że robili to dla swoich nieśmiertelnych dusz. Przepuszczalnie wciąż tak mówią.

Zamilkł na chwilę.

- A nasz morderca był jednym z nich - oznajmił. Adelia szybko odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- Znasz go?

- Nigdy nie widziałem go na własne oczy. Ale tak, był tam.

Drozd powrócił. Poskakał na krzaku lawendy i przez chwilę popatrzył na dwie milczące postaci siedzące na jego terytorium. Potem odleciał, goniąc pokrzywnicę gdzieś poza ogrodem.



- Wiesz, co osiągnięto naszymi wielkimi krucjatami? - zapytał w końcu Rowley.

Adelia pokręciła głową. Rozczarowanie nie pasowało do jego twarzy, ale teraz na niej było, sprawiało, że wyglądał starzej. Medycza pomyślała, że może pod tą całą powierzchnią wesołości kryje się zgorzknienie.

- Powiem ci, co nimi osiągnięto - mówił dalej. - Wzbudziły wśród Arabów, którzy zwykle nienawidzą się nawzajem, taką nienawiść wobec obcych, że połączyli się w największą siłę zwróconą przeciwko chrześcijaństwu, jaką widział świat. Nazywa się islam.

Odszedł od niej i ruszył w stronę budynku. Przez całą drogę nie spuszczała z niego wzroku. Teraz już nie wydawał jej się opasły. Jak ona w ogóle mogła o nim tak myśleć. On był postawny.

Usłyszała, że woła o piwo.

Kiedy wrócił, trzymał w garści po kuflu. Podał jej jeden.

- Jak się człowiek spowiada, to mu się chce pić - oznajmił. Czy to właśnie była spowiedź?

Wzięła naczynie i pociągnęła łyk, niezdolna oderwać od niego oczu, wiedząc ze straszliwą jasnością, że do jakiegokolwiek grzechu się przyzna, z pewnością mu go odpuści.

Stał, patrzył na nią.

- Przez cztery lata nosiłem na plecach mieczyk Wilhelma Plantageneta - wyjaśnił. - Miałem go pod kolturą, tak żeby nie uległ zniszczeniu podczas walki. Zabierałem go do bitwy, wywoziłem z niej. Wpił się tak głęboko w moją skórę, że teraz jestem naznaczony krzyżem jak osiołek, co niósł Jezusa do Jerozolimy. To jedyna blizna, z której jestem dumny.

- Zerknął na Adelię. - Chcesz ją zobaczyć? Uśmiechnęła się do niego.

- Może jeszcze nie teraz.

Jesteś prostą dziewczyną, mówiła sobie, oczarowaną przez żołnierską opowieść.

Outremer, męstwo, krucjata to złudny romantyzm. Weź się w garść, kobieto.

- A zatem później - powiedział. Postawił swoje piwo i usiadł. - Gdzie skończyłem? Och, tak. Do tego czasu byłem już w drodze do Aleksandrii. Musieliśmy powstrzymać Nur-ad-Dina, aby nie zbudował statków w portach egipskiego wybrzeża. Nie, Saraceni jeszcze nie przystąpili do walki na morzu, jest takie arabskie przysłowie, że lepiej słuchać pierdzenia wielbłądów niż modlitw ryb, ale pewnego dnia i to uczynią. A zatem ruszyliśmy, walcząc, przebijaliśmy się przez Synaj.

Piasek, upał. Wiatr, nazywany przez muzułmanów *chamsin*, który kłuł w oczy. Znikąd atakowali konni łucznicy, niczym jacyś Scytowie.

- Byli jak centaury, wypuszczali w nas rój strzał gęsty jak chmara szarańczy, ludzie i konie wyglądali jak jeże.

Pragnienie.

A pośród tego wszystkiego Guiscard zachorował. Bardzo ciężko.

- W całym swoim życiu rzadko chorował i od razu przeraził się swoją śmiertelnością. Nie chciał umierać w obcym kraju. „Rowley, zabierz mnie do domu”, powiedział. „Obiecuj, że zabierzesz mnie do Andegawenii”. Obiecałem.

Występując w imieniu swojego chorego pana, Rowley uklęknął przed królem Jerozolimy, aby prosić o pozwolenie na powrót do Francji.

- Prawdę mówiąc, byłem nawet zadowolony. Zmęczyłem się zabijaniem. Czy po to właśnie Chrystus zstąpił na ziemię? Wciąż zadawałem sobie to pytanie. Spokojny sen zaczęły zakłócać mi myśli o małym chłopczyku w grobowcu, wciąż czekającym na swój miecz.

Nawet wtedy...

- Wypił ostatni łyk piwa, potem pokręcił głową, znużony. - Nawet wtedy czułem się winny, kiedy się zegnałem... Czułem się jak zdrajca. Przysięgam ci, nigdy nie odjechałbym z tej wojny przed zwycięstwem, gdyby nie przypadł mi obowiązek zawiezienia Guiscarda do domu.

Owszem, nie odjechałbyś, pomyślała. Ale dlaczego się usprawiedliwiasz? Przecież żyjesz, podobnie jak ci ludzie, których zabiłbyś, gdybyś został. Czemu bardziej się wstydzisz porzucenia takiej wojny niż jej kontynuowania? Może w mężczyznach jest jakaś brutalność - i na niebiosa, to właśnie przez taką pierwotną brutalność we mnie drzę.

Zaczął przygotowywać się do podróży powrotnej.

- Wiedziałem, że nie będzie łatwo - oznajmił. - Byliśmy w głębi Białej Pustyni, w sporej miejscowości zwanej Baharia, ale jeśli Bóg w ogóle o niej słyszał, to byłbym zaskoczony. Zamierzałem kierować się z powrotem na zachód, aby dotrzeć do Nilu i pożegłować do

Aleksandrii, wówczas wciąż jeszcze była w przyjaznych rękach. Tam chciałem wsiąść na statek do Italii. Ale wyjąwszy tę scytyjską jazdę, asasynów za każdym krzakiem, zatrute studnie, to byli jeszcze nasi drodzy chrześcijańscy banici szukający łupu. A przez lata Guiscard zebrał tyle relikwii i klejnotów, tyle aksamitu, że mieliśmy wędrować z taborem długim na dwieście metrów, wręcz prosząc się o napad.

A zatem Rowley wziął zakładników. Kufel drgnął w ręce Adelii.

- Wziąłeś zakładników?

- Tak. Tam to powszechnie przyjęta rzecz. Nie dla okupu, jak robimy to na Zachodzie. W Outremerze zakładnicy to bezpieczeństwo.

Powiedział, że byli gwarancją, kontraktem, żywą formą dobrej woli, przyrzeczeniem iż ugoda zostanie dotrzymana, koniecznym elementem dyplomacji, a także sposobem wymiany kulturowej między różnymi rasami. Książęta Franków, nawet czteroletni, umacniali sojusze między swoimi chrześcijańskimi ojcami i mauryjskimi możnymi. Synowie wielkich sułtanów mieszkali zaś w domach chrześcijan. Czasem nawet przez lata, jako gwarancja dobrego zachowania się swych rodzin.

- Zakładnicy oszczędzają przelewu krwi - wyjaśnił. - To znakomity pomysł. Powiedzmy, że jesteś obleżony w mieście i chcesz dojść do porozumienia z oblegającymi. Żądasz od nich zakładników, żeby mieć gwarancję, że nie wejdą gwałcić i mordować, i że gdy się poddasz, nie wezmą na tobie odwetu. I założmy też, że musisz opłacić okup, ale nie możesz zebrać od razu całej potrzebnej sumy, zatem proponujesz zakładników jako zastaw za resztę. Zakładników używa się prawie do wszystkiego. Kiedy cesarz Nicefor I Genik chciał pożyczyć na swój dwór pewnego arabskiego poety, dał zakładników kalifowi tegoż poety, Harunowi al-Raszidowi, jako zapewnienie, że ów człowiek powróci w dobrym zdrowiu. To jak zobowiązanie w lombardzie. Pokręciła głową zdziwiona.

- I to działa?

- Perfekcyjnie - zastanowił się chwilę. - No, prawie zawsze. Nigdy nie słyszałem o straceniu zakładnika, kiedy tam byłem, chociaż myślę, że pierwsi krzyżowcy mogli być nieco bardziej niecierpliwi. - Przekonywał ją gorliwie: - Sama widzisz, to wspaniała sprawa. Utrzymuje pokój, pomaga obu stronom zrozumieć się wzajemnie. Na przykład te mauryjskie łaźnie... My, ludzie Zachodu, nigdy byśmy ich nie poznali, gdyby jakiś wysoko urodzony zakładnik nie zażądał, aby mu je zbudowano.

Adelia zastanawiała się, jak ten system działa w drugą stronę. Czego ci europejscy rycerze, o których higienie nie miała zbyt wysokiego mniemania, uczyli tych, u których przebywali?

Ale widziała, że Rowley zbacza z drogi wiodącej do sedna. Pomyślała, że wcale nie chce do niego dotrzeć. Ja też nie chcę. To sedno będzie czymś straszliwym.

- A zatem wziąłem zakładników - powiedział. Patrzyła, jak jego palce mną tunikę na kolanach. Musiał wysłać posła do Al-Hakima Biamrallaha, do Farafrzy. Przez jego ziemie biegła większość ich wędrowki.

- Hakim był wyznania Fatymidów, był szyitą, a Fatymidzi trzymali naszą stronę przeciwko Nur-ad-Dinowi, który nie był szyitą. - Mrugnął do niej. - Jak już mówiłem, to skomplikowane.

Emisariusz zawiązał ze sobą dary i żądanie wydania zakładników, by zapewnić bezpieczne przejście Guiscarda, jego ludzi i jucznych zwierząt do Nilu.

- Tam właśnie zamierzaliśmy ich zostawić. Zakładników. Stamtąd mieli odebrać ich ludzie Hakima.

- Rozumiem - odparła bardzo łagodnie.

- Hakim to był stary, chytry lis - powiedział Rowley z szacunkiem, jeden chytry lis składał teraz hołd drugiemu. - Biała broda, ale więcej żon, niż ludzkie pojęcie by zdzierzyło. On i ja kilkakrotnie spotykaliśmy się w trakcie przemarszu, ruszaliśmy razem na łowy. Lubiłem go.

Adelia, wciąż patrząc na dłonie Rowleya, ładne dłonie stale chwytające materiał niczym drapieżny ptak ludzki przegub.

- I zgodził się?

- Och tak, zgodził.

Emisariusz powrócił bez darów, za to z dwoma zakładnikami, chłopcami. Byli to Ubaid, kuzyn Hakima, oraz Dzaafar, jeden z jego synów.

- Ubaid miał, myślę, prawie dwanaście lat, Dzaafar, ulubieniec ojca, osiem.

Poborca umilkł, potem jego głos stał się jakby nieobecny.

- Chłopcy odebrali dobre wychowanie jak wszystkie saraceńskie dzieci. Byli podekscytowani tym, że są zakładnikami, danymi przez swojego wuja i ojca. To dodawało im ważności. Traktowali to jak przygodę.

Wielkie dłonie wygięły się, ukazując kostki pod napiętą skórą.

- Przygodę - powtórzył. Zaskrzybiała furta ogrodu szeryfa i obok sir Rowleya i Adelii szybko

przeszło dwóch mężczyzn, niosących łopaty. Uchylił przed nimi czapek. Dotarli pod wiśnię, zaczęli kopać.

Bez słowa mężczyzna i kobieta zwrócili tam głowy, aby patrzeć, tak jakby obserwowali wszystko z oddali, nie mając z tym nic wspólnego, jak gdyby to coś działo się w zupełnie innym miejscu.

Rowleyowi ulżyło, że Hakim wysłał nie tylko poganiaczy mułów i wielbłądów, by pomóc przewozić dobra Guiscarda, ale także kilku wojowników, żeby ich strzegli.

- Do tego czasu nasza grupa rycerzy się zmniejszyła. Jakub Selkirk i d'Aix polegli w Antiochii, Gerard de Nantes w karczemnej bijatyce. Jedynymi, którzy zostali z dawnej grupy, byli Guiscard, Konrad de Vries i ja.

Guiscard, zbyt słaby, aby dosiadać konia, jechał pod palankinem, w tempie zależnym od tempa kroków niosących go niewolników, zatem wędrówka przez spalone słońcem pustkowie okazała się bardzo, bardzo powolna. Aż wreszcie stan Guiscarda pogorszył się tak bardzo, że nie dało się już podróżować.

- Byliśmy w połowie drogi, równie dużo mielibyśmy do przejścia, gdybyśmy chcieli zawrócić, jak i zmierzać dalej. Ale jeden z ludzi Haki-ma wiedział o oazie mniej więcej milę od traktu, a zatem zabraliśmy tam Guiscarda i rozstawiliśmy namioty. To była mała oaza, pusta, rosło tam jedynie kilka daktylowych palm, ale jakimś cudem było źródło słodkiej wody. I właśnie tam umarł.

- Przykro mi - oznajmiła Adelia. Ponury nastrój mężczyzny siedzącego obok niej stał się prawie namacalny.

- Mnie też było. Bardzo. - Uniósł głowę. - Ale nie było czasu, żeby go oplakiwać. Ty ze wszystkich ludzi wiesz chyba najlepiej, co dzieje się później ze zwłokami, a w tym upale działo się to szybko. Do czasu, jakbyśmy dotarli nad Nil, trup byłby już... no wiesz.

Jednak z drugiej strony Guiscard był andegaweńskim możnym, wujem Henryka Plantageneta, a nie jakimś włóczęgą, nie wypadało chować go w anonimowej dziurze, wygrzebanej w egipskim piachu. Jego lud pragnąłby, aby coś z niego wróciło do ojczyzny, żeby dało się odprawić uroczystości żałobne.

- Poza tym obiecałem mu przecież, że zabiorę go do domu. I właśnie wtedy, jak powiedział Rowley, popełnił błąd, którego skutki będą prześladować go aż po grób.

- Niech mi Bóg wybaczy, podzieliłem nasze siły.

Aby załatwić wszystko szybciej, postanowił zostawić w oazie młodych zakładników, a on i de Vries wraz z kilkoma służącymi pospiesznie ruszyli do Baharii, wioząc trupa z nadzieją, że gdzieś tam znajdą kogoś, kto zabalsamuje zwłoki.

- Byliśmy w końcu w Egipcie, a Herodot podaje wiele całkiem obrzydliwych szczegółów o tym, jak Egipcjanie konserwują swoich zmarłych.

- Czytałeś Herodota?

- To, co pisał o Egipcie, u Herodota jest wiele informacji o Egipcie. Na litość boską, pomyślała. Wybrał się na pustynię, kierując opisem sprzed tysiąca lat.

Opowiadał dalej.

- Chłopcy byli zadowoleni z sytuacji. Strzegło ich dwóch wojowników Hakima, zostało z nimi wielu służących i niewolników. Na czas naszej nieobecności dałem im wspaniałe ptaki Guiscarda, obaj chłopcy byli zdolnymi sokolnikami. Jedzenie, woda, namioty, schronienie na noc. A gdy zrobiłem wszystko, co mogłem, wysłałem jednego z arabskich służących do Hakima, aby powiedział mu, co się stało i gdzie są chłopcy, na wypadek gdyby coś mi się przytrafiło.

Cała lista usprawiedliwień. Musiał ją rozważać z tysiąc razy.

- Myślałem, że to my wystawiamy się na niebezpieczeństwo. De Vries i ja, jako że jechaliśmy tylko we dwóch. Chłopcy powinni być wystarczająco bezpieczni. - Odwrócił się do medyczki, jakby chciał nią potrząsnąć. - Do czorta, to był ich kraj.

- Tak - powiedziała Adelia.

Z głębi ogrodu, gdzie dwaj mężczyźni kopali grób Szymonowi, dobiegały regularne odgłosy: szurnięcie i szum, szurnięcie i szum. Nabierano i rozsypywano ziemię. Jednak to wszystko działo się cztery tysiące mil od tygła gorącego piasku, w którym teraz Adelia była z Rowleyem, ledwie mogąc oddychać.

Sporządzono specjalną uprząż, aby palankin ze zwłokami Guiscarda dało się wieźć między dwoma zwierzętami. Mając do towarzystwa jedynie poganiaczy mułów, sir Picot oraz jego towarzysz ruszyli tak szybko, jak tylko zdołali.

- Okazało się, że w Baharii nie ma nikogo znajomego się na balsamowaniu, ale znalazłem jakiegoś starego szamana, który specjalnie dla mnie wyciął mu serce i zamarynował, zaś resztę ciała wygotował, zostawiając sam szkielet.

Wszystko potrwało dłużej, niż Rowley się spodziewał, ale w końcu, z kośćmi Guiscarda w torbie i jego sercem w zaplombowanym słoiku, on i de Vries ruszyli z powrotem do oazy, gdzie dotarli osiem dni po tym, jak ją opuścili.

- Kiedy zostały nam jeszcze trzy mile, zobaczyliśmy sępy. Obóz napadnięto. Wszyscy służący nie żyli. Wojownicy Hakima dobrze spełnili swoją powinność, nim rozsiekano ich na kawałki. Na ziemi leżały też trzy trupy napastników. Namioty zniknęły, podobnie niewolnicy, majątność, zwierzęta.

Pośród straszliwej ciszy pustyni dwaj rycerze usłyszeli cichy płacz dochodzący ze szczytu jednej z palm. To był Ubaid, starszy z chłopców, żywy i cały.

- Zaatakowali nocą, a wśród ciemności on i jeden z niewolników zdołali wdrapać się na drzewo i ukryć wśród liści. Chłopiec przesiedział tam dzień i dwie noce. De Vries musiał się wspiąć i oderwać mu ręce od konara, żeby ściągnąć go na ziemię. Chłopak widział wszystko, nie był w stanie się poruszyć.

Nie zdołali jednak znaleźć ośmioletniego Dzaafara.

- Wciąż przetrząsaliśmy okolicę, szukając go, kiedy przybyli Hakim i jego ludzie. Doszły do niego wieści, że jakaś banda grasuje w okolicy, jednocześnie z wieściami o tym, że wyruszamy. Natychmiast pospieszył do oazy, szybko niczym piekielny wichur.

Rowley pochylił swoją wielką głowę, jakby trzymał rozżarzone węgle.

- Hakim nie miał do mnie żalu. Nie powiedział ani słowa, nawet później, kiedy znaleźliśmy... To, co znaleźliśmy. Ubaid wyjaśnił wszystko, powiedział starcowi, że to nie była moja wina, ale przez te wszystkie lata dobrze wiedziałem, kto tu naprawdę zawinił. Nie powinienem nigdy ich zostawiać, powinienem zabrać chłopców ze sobą. Byłem za nich odpowiedzialny. Byli moimi zakładnikami.

Palce Adeli przykryły na chwilę jego zaciśnięte dłonie. Nie zauważył tego.

Kiedy Ubaid mógł już mówić o tym, co się wydarzyło, opowiedział im o bandzie liczącej dwudziestu, może dwudziestu pięciu ludzi. Gdy pod jego stopami dokonywała się rzeź, słyszał słowa w różnych językach.

- Głównie mowę Franków - opowiadał Rowley.

Słyszał, jak jego mały kuzyn wzywa Allacha na pomoc.

- Tropiliśmy ich. Wyprzedzali nas o trzydzieści sześć godzin, ale uznaliśmy, że niesienie łupu ich spowolni. Drugiego dnia ujrzeliśmy ślady podków i samotnego konia, który odłączył się od reszty i zawrócił na południe.

Hakim posłał część swoich ludzi za głównymi siłami bandytów, sam zaś z Rowleyem ruszył śladem samotnego konnego.

- Teraz spoglądając na to wszystko, nie wiem, dlaczego tak uczynił. Tam zaś mógł się oddalić z tuzina przyczyn. Ale myślę, że on wiedział.

Obaj wszystko zrozumieli, kiedy dostrzegli sępy krążące nad czymś leżącym wśród wydm. Nagie ciało było skulone w piachu, niczym znak zapytania.

Rowley zamknął oczy.

- On zrobił temu małemu chłopcu takie rzeczy, na które żaden człowiek nie powinien patrzeć ani ich opisywać.

Ja na to patrzyłam, pomyślała Adelia. Czułam wściekłość, kiedy patrzyłam na to w chacie świętej Werberty. Opisywałam to. Jest mi przykro. Przykro przez wzgląd na ciebie.

- Graliśmy w szachy - mówił Rowley. - Ja i ten chłopiec. Podczas podróży. To był mądry dzieciak, pokonał mnie siedem razy na dziesięć.

Owinęli ciało w płaszcz Picota i zabrali do pałacu Hakima, gdzie pochowano je w nocy

przy żalobnym zawrodozeniu kobiet.

Polowanie zaczęło się teraz z całą mocą. Jakież dziwne był to pościg, prowadzony przez mułmańskiego wodza i chrześcijańskiego rycerza, poprzez pola bitew, gdzie wojowały ze sobą krzyż i półksiężyc.

- Na tej pustyni szalał diabeł - opowiadał Rowley. - Zsyłał na nas burze piaskowe zasypujące szlaki, miejsca popasów okazywały się pozbawione wody i zniszczone albo przez krzyżowców, albo Saracenów. Jednak nic nie mogło nas powstrzymać i wreszcie dopadliśmy główną grupę.

Ubaid miał rację, to była banda jakichś obszarpańców.

- Głównie dezertery, zbiegowie, uciekinierzy z chrześcijańskich więzień. Nasz zabójca im przewodził i biorąc chłopca, zabrał ze sobą też większość klejnotów, zostawiając swoich ludzi z własnym łupem, który nie był zbyt duży. Ledwie stawili nam opór, większość z nich otumaniona była haszyszem, reszta walczyła ze sobą o resztki zdobyczy. Każdego z nich przesłuchaliśmy, zanim umarł. Dokąd pojechał herszt? Kim on jest? Skąd pochodzi? Dokąd się skierował? Żaden z nich nie wiedział dużo o człowieku, za którym poszli. Srogi wódz, mówili. Szczęściarz, mówili.

Szczęściarz.

- Pochodzenie nie jest ważne dla takich szumowin jak oni. Dla nich był tylko kolejnym Frankiem, co oznacza, że pochodził z ziem od Szkocji po Bałtyk. Ich opisy jego wyglądu niewiele dały. Wysoki, średniego wzrostu, czarniawy, jasnowłose, wiesz, oni mówili wszystko, co tylko Hakim chciał wiedzieć, ale zdawało się, że każdy widział go całkiem inaczej. Jeden z nich powiedział nawet, że on ma rogi na głowie.

- Czy miał jakieś imię?

- Nazywali go Rakszasa. To imię demona, którym Maurowie straszą niegrzeczne dzieci. Z tego, co zdołałem dowiedzieć się od Hakima, Rakszasi pochodzą z Dalekiego Wschodu, myślę, że z Indii. Hindusi wypuścili ich na mułmanów w jakiejś dawnej bitwie. Przybierają różne kształty i nocą napadają na ludzi.

Adelia nachyliła się, zerwała łądźkę lawendy, roztarła ją między palcami i rozejrzała się po ogrodzie, chcąc zakorzenić się w tej angielskiej zieleni.

- On jest mądry - oznajmił poborca i zaraz się poprawił. - Nie, nie jest mądry, on ma instynkt, potrafi wywęszyć niebezpieczeństwo tak jak szczur. Wiedział, że go gonimy. Gdyby ruszył w stronę górnego Nilu, a byliśmy pewni, że tak zrobi, dostalibyśmy go. Hakim wysłał wieści tamtejszym fatymidzkim plemionom. Ale on skręcił na północny wschód, z powrotem do Palestyny.

Na nowo złapali trop w Gazie, gdzie dowiedzieli się, że na łodzi po-żegłował z portu Teda w stronę Cypru.

- Co? - zapytała Adelia. - W jaki sposób złapaliście trop?

- Klejnoty. Zabrał większość klejnotów Guiscarda. Musiał sprzedawać je po jednym, żeby być przed nami. Za każdym razem, kiedy to robił, za pośrednictwem plemion dochodziła o tym wieść do Hakima. Dostaliśmy opis tego, jak wygląda: wysoki mężczyzna, prawie tak wysoki jak ja.

W Gazie Rowley stracił również swoich towarzyszy.

- De Vries chciał zostać w Ziemi Świętej, zresztą nie ciążył na nim ten obowiązek, co na mnie. Dżaafer nie był jego zakładnikiem i nie on podjął decyzję, która sprawiła, że chłopca zabito. A jeśli chodzi o Hakima... Tam ów dobry starszy człowiek chciał ruszać ze mną, ale powiedziałem mu, że jest już na to zbyt leciwy, poza tym na chrześcijańskim Cyprze będzie się wyróżniał jak hurysa w gromadzie mnichów. No dobrze, tak mu tego nie powiedziałem, ale o to chodziło. Ale tam i wtedy uklęknałem przed nim i przysięgłem na swojego Pana, na Trójkę Świętą, na Maryję Pannę, że będę szedł za Rakszasa, jeśli okaże się to konieczne aż po grób, i obetnę draniowi głowę, i mu ją pošlę. I tak, z bożą pomocą, zrobię.

Poborca podatków osunął się na kolana, zdjął czapkę. Przeżegnał się.

Adelia siedziała w ciszy na kamieniu, zmieszana z powodu odrzy i straszliwego spokoju, które odnalazła w tym człowieku. Jakaś część jej samotności, tam gdzie została ciśnięta przez śmierć Szymona, teraz odeszła. On jednak nie był drugim Szymonem. Stał obok, kiedy przesłuchiowano bandytów, może nawet w tym asystował, a „przesłuchiwanie” bez wątpienia stanowiło w tym wypadku inną nazwę zamęczenia na śmierć, czego Szymon by nie zrobił i nie potrafiłby zrobić. Ten człowiek przysięgał na Jezusa, głoszącego miłosierdzie, że dokona

zemsty, modlił się o nią.

Ale kiedy położyła dłoń na zaciśniętej dłoni Rowleya, poczuła spływające po niej łzy. Przez chwilę pustkę, jaką zostawił po sobie Szymon, zappełnił ktoś, kogo serce, tak jak Szymona, mogło pęknąć nawet przez dziecko innej rasy i wiary.

Wzięła się w garść. On zaś wyprostował się, by kontynuować opowieść.

Tak jak razem z nią stawiał kroki przez pustkowia Outremeru, tak i teraz szła tuż za nim, gdy wioząc szczątki zmarłego, tropił przez Europę człowieka zwanego Rakszasa.

Z Gazy na Cypr, z Cypru na Rodos - wsiadł na następną łódź po nim, jednak burza rozdzieliła ściganego i ścigającego. Rowley podjął na nowo trop dopiero na Krecie. Stamtąd ruszył do Syrakuz, a z Syrakuz na wybrzeże Apulii. Do Salerno...

- Byłaś tam wtedy? - zapytał.

- Tak, byłam.

Do Neapolu, do Marsylii i ładem przez Francję. Opowiadał jej, że w chrześcijańskim świecie tak dziwna podróż jeszcze nigdy się nie odbyła - albowiem z chrześcijanami miała niewiele wspólnego. Pomagali mu ci, którymi gardzono: Arabowie i Żydzi, rzemieślnicy jubilerskiego fachu, wytwórcy świecidełek, właściciele lombardów, lichwiarze, robotnicy z uliczek, na które chrześcijańscy mieszczaństwo wysyłali swoich służących z rzeczami do naprawy, mieszkańcy gett. Właśnie tacy ludzie, do których musiał się zwracać tamten, by zdobyć pieniądze, zdesperowany i ścigany morderca z klejnotami do sprzedania.

- To nie była ta Francja, którą znałem, czułem się jak w jakimś obcym kraju. Byłem jak ślepiec, a oni dla mnie niczym lina z zawiązanymi supłami. Pytali: „dlaczego polujesz na tego człowieka?” Ja odpowiadałem: „on zabił dziecko”. Wystarczało. Tak, ich kuzyn, ciotka, syn szwagierki, ktoś słyszał o obcym, co w pobliskim mieście miał do sprzedania błyskotkę i to za niesamowicie niską cenę, bo musiał sprzedać ją szybko.

Rowley umilkł na chwilę.

-Wiesz, że każdy Żyd i rabin w chrześcijańskim świecie zdaje się wiedzieć wszystko o każdym innym Żydzie i Arabie?

- Oni tak muszą - powiedziała Adelia. Poborca wzruszył ramionami.

- W każdym razie, on nigdzie nie zatrzymywał się na tyle długo, abym zdołał go dopaść. Do czasu jak dotarłem do najbliższego miasta, on już wyruszył na północ. Zawsze na północ. Wiedziałem, że kieruje się do jakiegoś konkretnego miejsca.

Były też inne, straszliwe supły na linie.

- Zabił na Rodos, zanim tam dotarłem, w winnicy znaleziono jakąś małą chrześcijańską dziewczynkę. Całą wyspę ogarnęła wściekłość.

W Marsylii kolejna śmierć, tym razem mały żebrak zabrany z pobocza szlaku, ciała chłopca zadano tyle ran, że nawet władze, zazwyczaj niezbyt przejmujące się losem włóczęgów, wyznaczyły nagrodę za zabójcę.

W Montpellier jeszcze jeden chłopiec, tym razem zaledwie czteroletni.

- Po czynach ich poznanie, naucza nas Biblia - mówił Rowley. - I poznałem go po jego czynach. Pozaznaczał na mojej mapie punkty dziecięcymi ciałami. Zdawało się, że nie potrafi wytrzymać trzech miesięcy, nie dogodziwszy sobie. Kiedy traciłem jego trop, starczyło tylko poczekać na krzyk rodzica, odbijający się echem od jednego miasta do drugiego. Wtedy wsiadałem na konia i jechałem za nim.

Znajdował także kobiety, które Rakszasa zostawiał za sobą.

- Pociąga niewiasty, Bóg wie dlaczego. Nie traktował ich dobrze. Wszystkie te biedne posiniaczone istoty, które wypytywał Rowley, odmawiały pomocy.

- Zdawały się mieć nadzieję, że on kiedyś do nich wróci. To jednak nie miało znaczenia, do tego czasu, już tropiłem go po ptaku, którego miał przy sobie.

- Ptaku?

- To był szpak. W klatce. Wiedziałem, gdzie go kupił, na suku w Gazie. Mógłbym ci nawet powiedzieć, ile za niego zapłacił. Ale dlaczego go przy sobie trzymał... Może to był jego jedyny przyjaciel.

Na twarzy Rowleya pojawił się grymas uśmiechu.

- Dzięki Bogu, ten ptak go wyróżniał. Nie raz i nie dwa opowiadano mi o człowieku z ptasią klatką przy siodle. I koniec końców, dzięki temu wiedziałem, dokąd zmierza.

Gdy myśliwy i zwierzyna dotarli już do doliny Loary, sir Rowley popadł w rozterkę,

albowiem Angers było domem właściciela kości, które wiozł.

- Czy powinienem podążać za Rakszasa, jak przysięgałem? Czy wypełnić swoją przysięgę złożoną Guiscardowi i zabrać go do miejsca wiecznego spoczynku?

Opowiadał, że w Tours ów dylemat zaprowadził go do miejscowej katedry, gdzie modlił się o radę.

- I tam Bóg wszechmogący, cudownie, w swojej łasce, widząc, że moja sprawa jest słuszna, podał mi swoją dłoń.

Kiedy Rowley wyszedł z katedry jej wielkimi zachodnimi drzwiami i mrugał oślepiiony światłem słońca, usłyszał pisk ptaka, dobiegający z ulicy. Klatka wisiała za oknem jednego z domów.

- Spojrzałem na niego. On spojrzał na mnie i powiedział „dzień dobry” po angielsku. A ja pomyślałem wtedy: Bóg zaprowadził mnie na tę uliczkę celowo, sprawdźmy, czy to ulubieniec Rakszasy. A zatem zapukałem do drzwi i otworzyła mi kobieta. Zapytałem ją o męża. Powiedziała mi, że wyszedł, ale mógłbym przysiąc, że był w środku. Ta niewiasta przypominała tamte inne, potargana i wystraszona. Dobyłem miecza i przepchnąłem się obok niej. Jednak walczyła ze mną, kiedy próbowałem pójść na górę schodami, wczepiła się w moje ramię jak kotka i krzyczała. Usłyszałem, jak woła z komnaty na piętrze, a potem głucho uderzenie. Wyskoczył przez okno. Zawróciłem na dół, a kobieta przeszkadzała mi cały czas i gdy dotarłem do uliczki, jego już tam nie było.

Rowley w rozpaczliwym geście, opisując bezowocny pościg, przesunął dłonią po swoich gęstych kędzierzawych włosach.

- Wreszcie wróciłem do domu. Kobiety już nie było, ale w pokoju na piętrze ptak miał się w klatce na podłodze, tam gdzie Rakszasa stracił ją, kiedy uciekał. Podniosłem klatkę i ptak powiedział mi, gdzie go odnajdę.

- Och! Jak on ci powiedział?

- No, nie powiedział mi, gdzie tamten dokładnie mieszka. Spojrzał na mnie swoim koralowym, beczelnym okiem i oznajmił, że jestem ładnym chłopczykiem, mądrym chłopczykiem, wszystkie te takie zwyczajne rzeczy, ich banalność zaszokowała mnie, bo wiedziałem, że słucham głosu Rakszasy. On go specjalnie wyszkolił. Nie było niczego szczególnego w tym, co mówił ptak, ale w tym, jak mówił. Mówił z akcentem. Mówił z akcentem z hrabstwa Cambridge. Ptak naśladował sposób mówienia swojego pana. Rakszasa pochodził z Cambridge.

Poborca podatków przeżegnał się z wdzięczności do Boga, który okazał się dla niego tak łaskawy.

- Pozwoliłem ptakowi wypaplać cały swój repertuar - powiedział. - Teraz miałem już wystarczająco dużo czasu, mogłem spokojnie zabrać Guiscarda do Angers. Wiedziałem, gdzie kieruje się Rakszasa. On wracał do domu, aby osiąść tam z pozostałymi klejnotami Guiscarda. I tak zrobił. I tym razem już mi nie ucieknie.

Rowley spojrzał na Adelię.

- Wciąż mam tę klatkę - powiedział.

- Co stało się z ptakiem?

- Skręciłem mu kark.

Grabarze skończywszy robotę, odeszli niepostrzeżenie. Długi cień muru na krańcu ogrodu sięgnął ławki.

Adelia, drząc od chłodu nadchodzącego wieczoru, uświadomiła sobie, że od pewnego czasu przenika ją zimno. Może było jeszcze coś więcej do powiedzenia, ale w tej chwili nie potrafiła już o tym myśleć. Ani on. Wstał.

- Muszę przyjrzeć się przygotowaniom.

Inni jednak przyjrzeni się już za niego. Szeryf, Arab, poborca podatków, przeor augustianin, dwie kobiety i pies stali na szczycie schodów, na zewnątrz budynków, kiedy Szymon z Neapolu w swojej wierzbowej trumnie, poprzedzany przez ludzi z pochodniami i z wszystkimi Żydami, jacy byli na zamku z tyłu, niesiony był do miejsca pod wiśnią, na drugim krańcu ogrodu. Bliżej ich nie zaproszono. Pod sierpem księżyca postaci żałobników zdawały się bardzo ciemne, zaś kwiecie wiśni bardzo białe, jak zastygła w bezruchu śnieżna zamieć.

Szeryf poruszył się niespokojnie, Mansur położył dłonie na ramionach Adalii i ona odchyliła się ku niemu, słuchając niskich dźwięków Psalmu 91, wydobywających się z ust rabina, raczej nie starając się rozróżnić słów.

Raziła ją pewna rzecz, na którą wszyscy pozostali nie zwracali uwagi, bo przyzwyczajeni byli do hałasu w zamku. Nie podobały jej się uniesione głosy ludzi przy głównej bramie, którym ojciec Alkuin, miejscowy ksiądz, głośno wyrażał swoje niezadowolenie.

Tam też, wysłuchawszy tego wszystkiego, Agnieszka wyszła z szałasu i pobiegła do miasta, zaś Roger z Acton zaczął przekonywać strażników, iż ich zamek jest właśnie bezpieczny przez potajemny żydowski pochówek dokonywany w jego murach.

Żałobnicy pod wiśnią również słyszeli to wszystko. Ich uszy wylapywały ową zapowiedź kłopotów.

-*El ma'eleh rachamim* - głos rabina Gotsce jednak nie zadrżał. -*Shochayn bahmro...* Panie, wypełniony ojcowskim współczuciem, daj odpoczynek naszemu bratu Szymonowi, pod skrzydłami Twego schronienia, na wysokości, wśród świętości i czystości, jasnemu jak błyszczący firmament, i duszom wszystkich spośród Twego ludu, zgładzonych na tych ziemiach, po których chadzał ojciec Abraham i wokół nich.

Słowa, pomyślała Adelia. Jakiś niewinny ptak może powtórzyć słowa mordercy. Słowa można wypowiedzieć nad człowiekiem, którego on zabił, i tak wlać balsam do zbolącej duszy.

Usłyszała stuk, stuk, stuk grudek ziemi uderzających o trumnę. Teraz procesja szła przez ogród, by wyjść furta i chociaż Adelia nie była Żydówką, lecz tylko kobietą, każdy z mężczyzn pozdrawiał ją, przechodząc, tam gdzie stała, obok podstawy schodów.

*Hamakom y'nachem etchem b'toch sh'ar avilai tziyon ee yerusha-layim.* Niech Bóg ukołi cię wśród wszystkich żałobników Syjonu i Jerozolimy.

Rabin zatrzymał się i uklonił szeryfowi.

- Jesteśmy wdzięczni za twoją szczodrość, mój panie, niech nie sprawi ci ona kłopotów. Potem Żydzi odeszli.

- Dobrze - oznajmił szeryf Baldwin, otrzepując szatę. - Musimy wracać do pracy, sir Rowleyu. Jeśli ktoś tu będzie szukał dziś kłopotów, to ich nie znajdzie.

Adelia wyraziła mu swoją wdzięczność.

- A czy mogę odwiedzić grób jutro?

- Sądzę, że tak. Możesz tu przyprowadzić ze sobą medyka. Od tych wszystkich zmartwień zrobiła mi się fistuła i źle mi się siedzi.

Spojrzał w stronę bramy.

- Rowley, co to za zamieszanie?

Do ogrodu wtargnęło około dziesięciu mężczyzn, uzbrojonych w zaimprovizowany oręż, widły i ościenie na węgorki, prowadzonych przez Rogera z Acton. Byli oszaleli ze wściekłości, którą już zbyt długo tłumili. Wywrzaskiwali tyle rozmaitych przekleństw, że dopiero po chwili dało się spośród nich wyłowić słowa „dzieciobójca” i „Żyd”.

Acton zbliżał się do schodów, wymachując pochodnią w jednej dłoni i widłami w drugiej.

- Tego Żyda trzeba strącić do otchłani, którą sam uczynił - krzychał - aby Pan oczyścił nas z jego brudu. Przybyliśmy, aby wyrzucić go z naszego dziedzictwa! O zdrajcy, lękajcie się imienia Pana!

Z ust pryskała mu ślina. Za nim jakiś dryblas wymachiwał straszliwie wyglądającym kuchennym nożem.

Pozostali mężczyźni rozpierzchli się, szukając czegoś w ogrodzie.

- Znajdźcie grób, bracia - polecił, odwracając się do nich - abyśmy mogli na tym ścierwie dać upust naszej furii. Obiecane zostało, że kto pokarze pogan, sam nie zostanie pokarany!

- Nie - powiedziała Adelia. Oni przyszli go wykopać. Przyszli wykopać Szymona. - Nie.

- Dziwko! - Acton wchodził po schodach, widły trzymał wymierzone w nią. - Pokładałaś się z dzieciobójcami, ale nie będziemy dłużej znosić twego łajdactwa!

Jeden z mężczyzn stanął pod wiśnią, krzychał i wskazywał coś pozostałym.

- Tutaj, to tutaj! Adelia uniknęła ciosu Actona, zeszła po schodach i pobiegła w stronę ogrodu. Nie myślała o tym, co zrobi, gdy tam dotrze. Mogła jedynie myśleć o powstrzymaniu tego okropieństwa.

Sir Rowley Picot ruszył w jej ślady, Mansur zaraz za nim. Roger z Acton deptał mu po piętach, pozostali napastnicy też biegli, chcąc schwytać Araba. Zwarli się z dzikim wyciem, uderzeniami pięści, łomotem, dżganiem, tratowaniem. Adelia utonąła pod tym wszystkim.

Nie znała takiej brutalności. Powalił ją nie ból, ale ogromny szok wywołany tym wybuchem szaleńczej męskiej siły. Jakiś but złamał jej nos, schowała głowę, podczas gdy ponad nią jej świat rozpadał się na poszarpane kawałki.



Nad tym wszystkim dominował czyjś głos, spokojny i rozkazujący. Głos przeora.

Jeden po drugim odpadały kawałki obrazu rzeczywistości. Wreszcie nie zostało już nic. A potem pojawiło się coś i medyczka zdołała, chwiejąc się, wstać na nogi, ujrzeć postaci oddalające się od miejsca, gdzie Rowley Picot leżał z nożem wbitym w pobliżu krocza, zaś krew wypływała wokół zagłębionego w ciele ostrza.

## Rozdział 12

- Czy ja umarłem? - zapytał sir Rowley, nie zwracając się jednak do nikogo konkretnego.

- Nie - odparła Adelia.

Słaba, biała dłoń zaczęła macać pod pościelą. Rozległ się okrzyk czystej męki.

- O Jezu Chryste, gdzie mój kogucik?

- Jeśli chodzi ci o twoje przyrodzenie, jest wciąż na swoim miejscu. Pod opatrunkiem.

- Och! - Zapadłe oczy otworzyły się znowu. - Czy będzie działać?

- Jestem pewna - odparła Adelia - że będzie funkcjonować odpowiednio pod każdym względem.

- Och!

Zemdlał, osłabiony tą krótką wymianą słów, może nawet zapomniał, że w ogóle się odbyła?

Adelia nachyliła się i szczerzej przykryła go kocem.

- Ale było bardzo blisko - powiedziała łagodnie.

Blisko nie tylko utraty *membrum yirilis*, ale i życia. Nóż przeciął arterię i musiała przyciskać pięść do rany, dopóki Picota nie zaniecono pod dach. W ten sposób zapobiegła wykrwawieniu, zanim mogła użyć igły i nitki do haftowania, pożyczonych od żony szeryfa Baldwina. Nawet wtedy tryskająca obficie krew tak utrudniała jej pracę, że właściwe założenie szwów, o czym wiedziała jako jedyna spośród zgromadzonych wokół niej, stanowiło jedynie kwestię szczęścia.

A to była dopiero połowa bitwy. Medyczka zdołała wydobyć kawałki tuniki, które nóż wpechnął do rany, ale jak wiele brudu z samego ostrza zostało w środku, mogła tylko zgadywać. Ciała obce w ranie zwykle prowadziły do zakażenia, które zazwyczaj kończyło się śmiercią. Przypomniła sobie rozpadające się od gangreny trupy - a także pełną dystansu ciekawość, z jaką szukała na nich miejsca, od którego zaczynał się śmiertelny proces.

Tym razem nie zachowywała dystansu. Kiedy w ranę Rowleya wdało się zakażenie i stracił przytomność od gorączki, nigdy jeszcze w całym swoim życiu tak bardzo się nie modliła, jak wtedy, gdy kąpała go w zimnej wodzie oraz wlewała chłodzące wywary między jego bezsilne, trupioblade wargi.

A do kogo się modliła? Do czegoś, do czegokolwiek. Prosiła, błagała, żądała, żeby pozostał przy życiu.

Do licha! Składała obietnice chyba wszystkim bogom, do których się zwracała. W ten sposób była teraz wyznawczynią Jahwe, Allacha oraz Trójcy Świętej, do tego jeszcze dorzuciła Hipokratesa i płakała z wdzięczności dla nich wszystkich, kiedy na twarz pacjenta wystąpił pot, a rzeźenie zmieniło się w spokojne, naturalne chrapanie.

Następnym razem, kiedy się obudził, obserwowała jego dłoń, instynktownie szukając czegoś pod kocem. Ale prymitywni ci mężczyźni.

- Nadal na swoim miejscu. - Oczy zamknęły się z ulgą.

- Tak - powiedziała. Nawet stojąc u bram śmierci, pamiętają o swojej płci. Kogucik, zaiste, agresywny eufemizm.

Oczy otworzyły się ponownie.

- Wciąż tu jesteś?

- Tak.

- Jak długo?

- Pięć dni i... - spojrzała w stronę okna, gdzie popołudniowe słońce słało promienie przez szczeliny prosto na deski podłogi - i około siedmiu godzin.

- Tak długo. Niech mnie szlag! - Spróbował unieść głowę. - Gdzie jesteśmy?

- Na szczycie wieży. - Wkrótce po operacji, którą przeprowadziła na kuchennym stole u szeryfa, Mansur zaniósł pacjenta do wysokiej komnaty, zajmowanej przez Żydów, wykazując się niesamowitą siłą. Zrobił to, żeby medyczka i pacjent mieli spokój oraz ciszę, kiedy trwać będzie walka o życie.

W pokoju brakowało ustronnego miejsca. Na szczęście Adelię otaczali ludzie, którzy chętnie, a nawet gorliwie biegali po schodach, nosili nocniki, przeważnie kobiety, wdzięczne sir Rowleyowi za to, że stanął w obronie żydowskiego grobu. W rzeczy samej rannego ratowano wspólnym wysiłkiem i jeśli nawet Adelia nie przyjęła proponowanej jej pomocy, to tylko dlatego, że nie chciała urazić Mansura i Gylthy, którzy też traktowali całą sprawę osobiście.

Przez nieoszlone okna wpadł podmuch wiatru, pozbawiony odoru wyczuwalnego w dolnych partiach zamku, gdzie mieściły się otwarte szamba. Psuła go jedynie woń Stróża, który wszedł przez szczelinę ze schodów, na które go wypędzono. Nawet po kąpieli futro psa niemal od razu zaczęło cuchnąć tak, że smród atakował nos. Tylko na taki atak stać było to zwierzę. Znamienne, że Stróż nie wziął udziału w potyczce w ogrodzie szeryfa, gdzie powinien przecież stanąć w obronie swojej pani.

- Czy zabiłem tego niegodziwca? - zapytał głos z łóżka.

- Rogera z Acton? Nie, czuje się dobrze, chociaż został zamknięty w donzonie. Udało ci się okaleczyć rzeźnika Quinciego i sieknąć Colina od Świętego Idziego w szyję, jest jeszcze sprzedawca odpustów, którego widoki na zostanie ojcem nie są tak dobre jak twoje, ale mistrz Acton wyszedł cały.

- *Merde.*

Nawet tak krótka rozmowa go zmęczyła. Usnął. Kopulacja przede wszystkim, pomyślała. Potem bitwa. A chociaż jesteś teraz zdecydowanie szczuplejszy, widać po tobie skutki nieumiarkowania w picu. I pychy. W sumie, większość grzechów głównych. Zatem dlacego, z całej ludzkości, właśnie ty jesteś dla mnie tym jedynym?

Gyltha wszystkiego się domyśliła. Kiedy gorączka Rowleya wzrosła niebezpiecznie, Adelia nie pozwoliła, by gospodyni zajęła jej miejsce przy boku poborcy. Kobieta oznajmiła wtedy:

- Możesz go kochać, niewiasto, ale to nic nie da, jeśli i ty padniesz.

- Kochać go? - wy skrzeczała w odpowiedzi. - Ja się troszczę o pacjenta, on nie... Och, Gyltho, co ja mam robić? On nie jest mężczyzną dla mnie.

- A jakie, do pioruna, ma to znaczenie? - westchnęła Gyltha. W rzeczy samej. I tak oto wbrew Adeli wymuszono z niej wyznanie, choć do niczego

nie przyznała się głośno. Naprawdę, można było o Rowleyu powiedzieć mnóstwo dobrego. Pokazał przed Żydami, iż potrafił stanąć w obronie bezbronnych. Bywał zabawny, umiał ją rozśmieszyć. Ujęła ją gorliwość, z jaką raz za razem przeczesał wzgórze, gdzie złożono zmasakrowane ciało dziecka - wciąż z tym samym poczuciem winy, tym samym żalem. Mając, w delirium, równie gorącym i straszliwym co piaski pustyni, gonił mordercę, aż wreszcie medyczka podała mu opiaty, lękając się, że nadweręży osłabione ciało.

Ale tyle samo dawało się o nim powiedzieć złego. Trawiony gorączką, bełkotał o cielesnych zaletach znanych sobie kobiet, często mieszając ich powaby z urokiem jedzenia, którym również rozkoszował się na Wschodzie. Drobna, szczupła Sangeera delikatna jak szparag, Sarnina, tak pulchna, że starczyłoby na suty posiłek, Abda, czarna i piękna jak kawior. To była nie tyle lista niewiast, ile jadłospis. A co do Zabidy... Skape doświadczenie Adeli w tym, co mężczyźni robili z kobietami w łóżku, poszerzyło się teraz o wiedzę na temat wyczynów pewnej wygimnastykowanej niewiasty o bardzo otwartym umyśle.

Jeszcze bardziej mroziło jej krew w żyłach odkrycie ambicji Rowleya. Początkowo lekarka słuchając fantastycznych konwersacji Picota, prowadzonych z jakąś niewidzialną osobą, brała często padający zwrot „panie” za odnoszący się do króla niebios - aż okazało się, że chodzi o Henryka II. Powodujące rycerzem pragnienie odwetu na Rakszasy łączyło się z chęcią jednoczesnego wyświadczenia przysługi królowi Anglii. Za uwolnienie Henryka od utrapienia, które pozbawiało szachownicę dochodu z Cambridge, oczekiwał monarszej wdzięczności i nagrody.

Bardzo konkretnej nagrody.

- Zostać baronem czy biskupem? - pytał nieprzytomny, łapiąc rękę Adeli, kiedy próbowała go ukoić. Tak jakby od niej zależała decyzja. - Biskupstwo czy baronia?

Wspaniałe widoki na przyszłość związane z jednym i drugim jeszcze bardziej zwiększyły jego podniecenie.

- To się nie rusza. Nie potrafię tym ruszyć - mówił, jakby wóz, który podczepił do królewskiej gwiazdy, okazywał się zbyt ciężki, by go pociągnąć.

A zatem takim był mężczyzną. Bez wątpienia dzielnym i współczującym, ale także nieznanym umiarkowania w jedzeniu, rozpustnikiem, przebiegłym oraz żądnym wysokiej pozycji. Niedoskonałym, rozwiązłym. Nie w takim mężczyźnie Adelia zamierzała czy też w ogóle chciała się zakochać.

Ale się zakochała.

Kiedy cierpiąca głowa rzucała się po poduszce, ukazując linię gardła, i kiedy wołał ją: „medyczko, jesteś tutaj Adelio?“, jego grzechy, podobnie jak jej serce, całkiem topniały. Tak jak powiedziała Gyltha: „A jakie, do pioruna, ma to znaczenie?“

Przecież to musi mieć znaczenie. Wezuwia Adelia Rachela Ortese Aguilar miała własne cele. Nie dążyła do opływania w bogactwa, lecz chciała swym szczególnym darem służyć innym. Albowiem to był dar i wraz z nim przyszło zobowiązanie, żeby w przeciwieństwie do innych kobiet nie rodzić nowego życia, lecz poznać jego naturę i tym samym móc je ratować.

Zawsze wiedziała i potwierdzała teraz, że nie dla niej romantyczne uczucie. Dlatego była tak mocno przywiązana do swojej cnoty, niczym mniszka poślubiona Bogu. Tak długo, jak pozostawała zamknięta w Szkole Medyków w Salerno, przewidywała, że spokojnie dotrze do cichej, pożytecznej i szanowanej starości, czując pogardę - przyznawała się do tego - dla kobiet, które uległy miotającej nimi namiętności.

Teraz, w komnacie na wieży, oskarżała dawną siebie o zwykłą, przekłątą ignorancję. Nic nie wiedziałaś. Nic nie wiedziałaś o tym spustoszeniu, które sprawia, iż traci się rozsądek wbrew wszelkiemu trzeźwemu osądowi sytuacji.

Ale ty musisz zachować rozsądek. Rozsądek, kobieto.

Godziny, które poświęciła, aby ocalić tego człowieka, były dobrem. Ratowanie czyjegoś życia stanowiło przywilej, jego przywilej. Dla niej radość. Żałowała, kiedy odwoływana, musiała odchodzić od Rowleya, aby zająć się pacjentami, których Matylidy kierowały na zamek - tak aby ona i Mansur mogli ich przyjmować. Choć tak naprawdę przyjmowała ich tylko ona.

Teraz nadszedł czas, by ochłonać.

Małżeństwo nie wchodziło w rachubę, nawet zakładając, że on się jej oświadczy, co raczej nie było prawdopodobne. Adelia miała wysokie poczucie własnej wartości, wątpiała, aby Rowley je docenił. Poza tym, sądząc po jego sprośnym bełkocie na temat koloru włosów łonowych, preferował brunetki. Zresztą ona nie mogłaby znaleźć się na owej liście - i nie znajdzie się - obok takich kobiet jak Zabida.

Nie, wątpliwe, aby pełna rezerwy niewiasta medyk o pospolitej twarzy w ogóle go pociągała. To, że bardzo chciał, aby była przy nim, kiedy trawiła go gorączka, wynikało tylko z pragnienia, by ulżyła jego cierpieniu.

Rowley traktował ją jak istotę pozbawioną płci, inaczej jego opowieści o krucjacie nie byłyby tak szczere i nie obfitowałyby w tyle przekleństw. Tak mężczyzna rozmawiałby z zaprzyjaźnionym księdzem, może z przeorem Gotfrydem, ale nie z panią swych snów.

Zresztą, mając widoki na biskupstwo, nie mógłby nikogo poślubić. Czy ona zostałaby nałożnicą biskupa? Było takich mnóstwo. Niektóre obnosiły się z tym otwarcie i bez wstydu, o innych krążyły tylko złośliwe plotki. Ukrywano je w sekretnych zacisznych posiadłościach, zależały od kaprysu swojego duchownego kochanka.

Witamy u bram nieba, Adelio, cóż uczyniłaś ze swoim życiem? Panie, byłam biskupią dziwką.

A jeśli on zostanie baronem? Wtedy poszuka jakiejś dziedziczki, aby powiększyć swoje włości, tak jak to robili wszyscy. Biedna dziewczyna strawi życie na gromadzeniu zapasów w spiżarni, doglądaniu dzieci, sławieniu męża i zmienianiu jego krwawych czynów w pieśni, kiedy wróci z jakiegoś pola bitwy, na które wyciągnął go król. Gdzie, bez wątpienia, ów mąż posiadzie inne kobiety - w tym wypadku brunetki - i spłodzi im bękarty z zapałem chutliwego królika.

Wyczerpana, celowo wywołała w sobie wściekłość, w jaką wprowadziłoby ją takie hipotetyczne cudzołóstwo sir Rowleya Picota oraz istnienie jego równie hipotetycznych nieślubnych dzieci. Kiedy Gyltha weszła do pokoju z miską, powiedziała jej:

- Dzisiaj ty i Mansur będziecie się troszczyć o tego wieprzka, ja idę do domu.

Jehuda zatrzymał ją u dołu schodów, aby spytać o rannego, i zaciągnął do swojego nowo narodzonego syna. Dziecko ssące pierś Diny było małe, ale zdawało się zdrowe, chociaż rodzice martwili się, że nie przybiera odpowiednio na wadze.

- Zgodziliśmy się z rabinem Gotsce, że *brit mila* powinno odbyć się później niż ósmego dnia. Zrobimy to, gdy będzie silniejszy - podnieconym głosem oznajmił Jehuda. - Co ty o tym sądzisz, pani?

Medyczka powiedziała, że przypuszczalnie to rozsądne nie poddawać dziecka obrzezaniu, póki jeszcze trochę nie urośnie.

- Czy to chodzi o moje mleko? - zapytała Dina. - Nie mam go wystarczająco dużo?

Adelia nie orientowała się dobrze w położnictwie. Znała jego podstawy, ale Gordinus zawsze uczył swoich studentów, że lepiej zostawić te sprawy mądrym kobietom, niezależnie od ich wyznania. No, chyba że nastąpiłyby jakieś komplikacje. Był przekonany, dzięki poczynionym obserwacjom, że więcej przeżywało dzieci, które przyszły na świat pod opieką doświadczonej kobiety niż urodzonych pod okiem mężczyzny medyka. To nie przysparzało mu popularności ani u zawodowych medyków, ani u dostojników kościelnych, bo jednym i drugim opłacało się uznawać większość położnych za wiedźmy. Jednak liczba zgonów, nie tylko wśród dzieci, ale także wśród ich matek, którymi zajmowali się medycy, sugerowała, że Gordinus miał jednak rację.

Ale dziecko rzeczywiście było bardzo małe i zdawało się, że ssanie mleka matki nic mu nie daje. Adelia zatem spytała:

- Zastanawiałeś się nad wzięciem mamki?

- A skąd ją wezmę? - zapytał Jehuda z hiszpańskim, szyderyczym uśmiechem. - Czy tłuszczka, która nas tu wepchnęła, zadbała o to, żebyśmy mieli tu karmiące mamki? Jakoś to przeoczyli. Sam nie wiem dlaczego.

Medyczka zawahała się, potem odpowiedziała:

- Mogę się dowiedzieć u żony szeryfa Baldwina.

Oczekiwała potępienia. Małgorzata początkowo była jej mamką. Adelia wiedziała o innych chrześcijańskich kobietach, zatrudnianych w tym celu przez Żydów, ale czy w owej małej enklawie ludzi o sztywnych karkach pozwoli się, aby najmłodszy członek społeczności ssał pierś gojki...

Dina ją zaskoczyła.

- Mleko to mleko, mój mężu. Powierzę żonie szeryfa Baldwina znalezienie jakiejś czystej kobiety.

Jehuda delikatnie położył rękę na głowie żony.

- Przynajmniej ona wie, że nie ma w tym naszej winy. Przy tym wszystkim, co wycierpieliśmy, to szczęście, że w ogóle mamy syna.

Oho ho, pomyślała Adelia, ojcostwo ci służy, młody człowieku. A Dina, choć nerwowa, wyglądała na szczęśliwszą niż ostatnim razem. Małżeństwo zanosilo się na lepsze, niż to zapowiadały jego początki.

Kiedy od nich wychodziła, Jehuda ruszył za nią.

- Medyczko... Adelia szybko się do niego odwróciła.

- Nie wolno ci tak do mnie mówić. Medykiem jest mistrz Mansur Chajun z Al Amarah. Ja jestem tylko jego pomocnicą.

Najwyraźniej zamek obiegnęła już opowieść o zabiegu wykonanym w kuchni szeryfa. Ona zaś miała już wystarczająco dużo kłopotów, nie potrzebowała jeszcze do tego potępienia, jakie z pewnością spotkałoby ją ze strony Cambridge, nie wspominając już o Kościele, gdyby tylko poznano prawdę o jej profesji.

Może zdoła jakoś wykorzystać obecność Mansura - stał obok podczas całej operacji - wyjaśniając, że mistrz nadzorował jej pracę. Powie, że akurat wypadło jakieś muzułmańskie święto i Allah nie zezwalał na dotykanie krwi. Czy coś w tym stylu. Jehuda się skłonił.

- Pani, ja chciałbym tylko powiedzieć, że dziecku nadamy imię Szymon.

Chwyciła jego rękę i ścisnęła ją.

- Dziękuję. Chociaż nadal zmęczona, poczuła, że ten dzień obrócił się na lepsze, nagle odmieniło się całe jej życie. Czowała się podniesiona na duchu tym wyborem imienia dla dziecka, coś ją dziwnie uciskało w dołku.

Uświadomiła sobie, że to właśnie stan zakochania. Miłość, nieważne, jak bardzo beznadziejna, miała zdolność przypinania duszy skrzydeł. Jeszcze nigdy mowy tak pięknie nie wyglądały, krążąc po błękitnym niebie, nigdy jeszcze ich popiskiwanie nie przyprawiało o takie dreszcze.

Odwiedziny u zmarłego Szymona były najważniejsze. Wracając do ogrodu szeryfa, Adelia

rozglądała się po dziedzińcu za kwiatami na jego grób. Ta część zamku miała wyłącznie użytkowe przeznaczenie, a wałęsające się kury i świny wyjadły większość roślin, jednak nieco czosnaczku zajęło szczyt starego muru, zaś na saksońskim pagórku, gdzie dawniej wznosiła się drewniana twierdza, rozrosła się tarnina.

Po zboczach zjeżdżały dzieci, ślizgając się na desce. Gdy Adelia z trudem odłamała kilka gałązek, zagadnęli ją mali chłopiec i dziewczynka.

- Co to jest?

- Mój pies - opowiedziała medyczka.

Przez chwilę zastanawiali się nad jej słowami i nad zwierzęciem. Potem padło kolejne pytanie.

- Ten czarny, który z tobą przyjechał, to czarodziej?

- Medyk - odparła.

- On składa do kupy sir Rowleya, pani?

- On jest miły, ten sir Rowley - oznajmiła dziewczynka. - Powiedział, że ma w ręce myszkę, a miał ćwierć pensa i nam dał. Lubię go.

- Ja też - bezradnie oznajmiła Adelia, czując, że dobrze to wyznać. Chłopiec odezwał się, wskazując na coś:

- To Sam i Bracey. Nie powinni tamtych wpuszczać, prawda? Nawet po to, żeby zabili Żydów, tak mówi mój tata.

Pokazał miejsce obok nowych szubienic, gdzie stały podwójne dyby, a z nich sterczały dwie głowy, zapewne strażników, którzy pilnowali bramy, gdy Rogerowi z Acton i mieszczanom udało się wejść do środka.

- Sam mówi, że wcale nie chciał ich wpuścić - powiedziała dziewczynka. - Sam mówi, że te gnoje go stratowały.

- O bogowie! - odparła Adelia. - Jak długo oni tutaj są?

- Nie powinni ich wpuszczać, prawda? - powiedział chłopiec. Mała dziewczynka miała więcej współczucia.

- Wpuszczają ich na noc.

Taki pręgierz musi bardzo szkodzić plecom, pomyślała lekarka. Pospieszyła w tamtą stronę. Na szyi każdego z mężczyzn wisiała drewniana tabliczka z napisem: „Zawiódł na służbie”.

Starannie unikając nieczystości, które zebrały się u stóp dyb, Adelia położyła na ziemi swój bukiet i podniosła jedną tabliczkę. Ułożyła tunikę strażnika tak, aby utworzył barierę między skórą a sznurkiem, wrzynającym mu się w szyję. To samo zrobiła przy drugim człowieku.

- Mam nadzieję, że teraz jest wam wygodniej.

- Dziękujemy, pani. - Obaj popatrzyli ku górze, prosto na nią, po wojskowemu.

- Ile jeszcze macie tu być?

- Dwa dni.

- Chryste! - jęknęła Adelia. - Wiem, że to nie będzie łatwe, ale jeśli przeniesiecie od czasu do czasu ciężar ciała na nadgarstki i wysuniecie nogi do tyłu, to odciążą wam kręgosłupy.

- Zapamiętam to, pani - stwierdził jeden stanowczo.

- Zróbcie to. W ogrodzie szeryfa jego żona, lady Baldwin, która stała w jednym rogu, oglądając grządki wrotyczu, krzycząc, rozmawiała z rabinem Gotsce, będącym na drugim krańcu. Żyd pochylał się nad mogiłą.

- Rabbi, winieneś nosić to w butach. Ja tak robię. Wrotycz to środek na zimnicę. - Głos lady Baldwin bez trudu niósł się ponad wałami.

- Lepszy niż czosnek?

- Bez porównania lepszy.

Adelia, urzeczona, ociągała się przed wyjściem z bramy, aż wreszcie żona szeryfa ją zauważyła.

- Tu jesteś, Adelio. A jak się czuje dziś sir Rowley?

- Polepsza mu się. Dziękuję, pani.

- Dobrze, dobrze. Nie możemy stracić tak dzielnego wojownika. A jak tam twój biedny nos?

Adelia się uśmiechnęła.

- Złożyłam go i już o nim zapomniałam. Szaleńczy wysiłek, aby powstrzymać krwotok

Rowleya, odsunął

wszystko inne na dalszy plan. Przypomniała sobie o urazie nosa dopiero dwa dni później, kiedy Gyltha zauważyła, że nabrzmiał i zsiniał. Gdy tylko zeszła opuchlizna, bez problemu nastawiła kość. Żona szeryfa Baldwina przytaknęła.

- Co za piękny bukiet, taki zielony i biały. Rabin dogląda grobu. Chodź, chodź. Tak, pies też, jeśli to w ogóle pies.

Adelia ruszyła ścieżką w stronę wiśni. Na mogile położono prosty drewniany blat, na którym wyrzeźbiono po hebrajsku słowa: „Tu leży pogrzebany”, a potem imię Szymona. Na samym dole widniało pięć liter, skrót od „Niechaj jego dusza zazna życia wiecznego”.

- To, na razie, wystarczy - oznajmił rabin Gotsce. - Żona szeryfa znajdzie nam kamień, żeby to zastąpić, taki, który, jak mówi, będzie za ciężki, żeby go podźwignąć, i da pewność, że grób Szymona nie zostanie sprofanowany.

Wstał i otrzepał ręce.

- Adelio, to wspaniała kobieta - stwierdził.

- Tak, to prawda. - Ogród bardziej niż do szeryfa, należał do jego żony. To właśnie jej dzieci bawiły się tutaj i stąd brała zioła, aby przyprawić jedzenie i zapewnić miły zapach w pokojach. Bez wątplenia poświęceniem ze strony lady Baldwin było oddanie części owego miejsca na mogiłę człowieka, pogardzanego przez jej religię. Trzeba, co prawda przyznać, że skoro grunt ostatecznie należał do króla, to nie było wyboru, ale cokolwiek lady Baldwin czuła w głębi duszy, przyjmowała wszystko z wdziękiem.

Nawet więcej. Żona szeryfa wiedziała, że istnieje zasada, która nakłada zobowiązanie zarówno na darczyńcę, jak i obdarowanego. Troszczyła się zatem o dobro tej dziwnej społeczności zamieszkałej w jej zamku. Ubranka najmniejszego dziecka Baldwina przekazała Dinie, zasugerowała też, że Żydzi powinni mieć dostęp do wielkiego pieca chlebowego warowni, a nie piec chleb samodzielnie.

- Wiesz, oni są takimi samymi ludźmi jak my - pouczała Adelię, kiedy odwiedziła lazaret, niosąc dla pacjenta galaretę z cielejących nóg.

- A ich rabin całkiem dobrze zna się na ziołach, naprawdę całkiem nieźle. Najwyraźniej jedzą ich mnóstwo na Wielkanoc, chociaż zdaje się, że wybierają tylko te gorzkie, chrzan i tak dalej. Zapytałam go, dlaczego nie trochę dzięgielu, żeby było bardziej słodko? Śmiejąc się, Adelia odpowiedziała:

- Myślę, że oni muszą spożywać gorzkie zioła.

- Tak samo mi powiedział. Zapytana, czy zna jakąś mamkę dla małego Szymona, lady Baldwin

obiecała, że kogoś przyśle.

- I to nie którąś z zamkowych ładacznic - oznajmiła. - To dziecko potrzebuje porządnego chrześcijańskiego mleka.

Adelia pomyślała, że tylko ona zawiodła Szymona. Jego imię na tej prostej desce powinno krzyknąć o morderstwie, a nie przedstawiać go jako prawdopodobną ofiarę własnej niefrasobliwości.

- Pomóż mi, rabbi - powiedziała. - Muszę napisać do rodziny Szymona i powiedzieć jego żonie i dzieciom, że nie żyje.

- Zatem pisz - oznajmił rabin Gotsce. - Postaramy się wysłać list, mamy w Londynie ludzi, którzy korespondują z Neapolem.

- Dziękuję, byłabym wdzięczna. Tylko chodzi o to, że... co ja mam napisać? To, że został zamordowany, ale jego śmierć uznano za wypadek?

Rabin chrząknął.

- Gdybyś była jego żoną, co chciałabyś wiedzieć? Odparła natychmiast:

- Prawdę. Potem się zastanowiła.

- Och, nie wiem.

Lepiej, aby Rebeka, żona Szymona, opłakiwała przypadkowe utonięcie, niż wyobrażała sobie, raz za razem, jego ostatnie chwile, tak jak właśnie robiła Adelia. Nie powinna plugawić jej żaloby grozą, rozpalać pragnienia, aby mordercę dosięgła sprawiedliwość, tak wielkiego, że nie sposób było niczym go złagodzić.

- Przypuszczam, że nie powinnam im tego mówić - powiedziała, pokonana. - Nie, dopóki jest niepomszczony. Kiedy zabójca zostanie już odnaleziony i ukarany, może wtedy będziemy mogli przekazać im prawdę.

- Prawdę, Adelio? Tak po prostu prawdę?  
- Czyż nie? Rabin Gotsce westchnął.  
- Może w twoim wypadku. Ale jak uczy Talmud, nazwa góry Synaj pochodzi od hebrajskiego słowa oznaczającego nienawiść, *sinah*, albowiem prawda ściąga nienawiść na tego, kto ją głosi. Jeremiasz...

O Boże, pomyślała, Jeremiasz, płaczący prorok. Żaden z tych powolnych, przepojonych mądrością żydowskich głosów, czytających w zalanym słońcem atrium willi jej przybranych rodziców, nigdy nie wspominał o Jeremiaszu, nie przepowiadając przy tym jakiegoś zła. A dziś przecież dzień był taki miły i tak pięknie kwitła wiśnia.

- Powinniśmy pamiętać stare żydowskie powiedzenie, że prawda to najlepsze kłamstwo.  
- Nigdy go nie rozumiałam - odparła, ocknąwszy się z zadumy.  
- Nie bardziej niż ja - rzekł rabin. - Ale pojmovane szerzej, mówi nam, że reszta świata nigdy nie uwierzy do końca w żydowskie kłamstwo. Adelio, sądzisz, że prędzej czy później prawdziwy morderca zostanie odkryty i skazany?

- Prędzej czy później - stwierdziła. - Z boską pomocą, prędzej.  
- Amen. I w ten szczęśliwy dzień dobrzy ludzie z Cambridge ustawią się pod zamkiem, szlochając i żałując, o jak bardzo żałując, że zabili dwoje Żydów, a resztę trzymali uwięzionych? W to też wierzysz? Że po chrześcijańskim świecie rozejdą się wieści, że Żydzi wcale nie krzyżują dzieci dla swojej przyjemności? W to też wierzysz?

- Dlaczego nie? To prawda. Rabin Gotsce wzruszył ramionami.  
- To twoja prawda, moja prawda, to była prawda dla tego człowieka, który tutaj spoczywa. Może nawet mieszczanie z Cambridge w nią uwierzą. Ale prawda wędruje powoli i słabnie w trakcie podróży. A odpowiednio dobrane kłamstwa są silne i posuwają się szybciej. A to kłamstwo jest w sam raz. Żydzi przybili do krzyża Baranka Bożego, dlatego krzyżują dzieci. Wszystko tu pasuje. Takie kłamstwo jest łatwe do przyjęcia, pędzi przez cały chrześcijański świat. Czyż w hiszpańskich wioskach uwierzą w prawdę, jeśli ono dotrze aż tak daleko? Czy uwierzą chłopci z Francji i Rosji?

- Nie, rabbi. Nie uwierzą.  
Ten człowiek był tak mądry, jakby żył już tysiąc lat. Może i żył. Nachylił się, aby odsunąć z grobu płatkę, i się wyprostował. Chwycił Adelię za ramię i zaprowadził do furty.

- Adelio, znajdź zabójcę. Wyprowadź nas z angielskiego Egiptu. Ale i tak, koniec końców, wierzyć się będzie, że to Żydzi ukrzyżowali to dziecko.

Znajdź zabójcę, myślała, schodząc ze wzniesienia. Znajdź zabójcę, Adelio. Nieważne, że Szymon z Neapolu umarł, a Rowley Picot jest ranny i zostałam tylko ja z Mansurem. On nie zna tutejszego języka, a ja jestem medyczką, nie ogarem. Ale tak naprawdę tylko oni uważali jeszcze, że w ogóle należy szukać zabójcy.

Łatwość, z jaką Roger z Acton pozyskał chętnych do swojego ataku na zamkowy ogród, pokazała, iż Cambridge wciąż wierzy, że to Żydzi są odpowiedzialni za rytualne morderstwo, chociaż pozostawali w zamknięciu, kiedy popełniono trzy następne. Logika nie grała żadnej roli, Żydów się obawiano, bo byli inni, a dla mieszczan ów strach i ich odmienność sprawiały, iż obdarzono ich nadnaturalnymi zdolnościami. Żydzi na pewno zabili świętego Piotrusia, na pewno zabili wszystkich innych.

A jednak, mimo rabina i Jeremiasza, mimo żałoby po Szymonie, mimo decyzji o odrzuceniu ziemskiej miłości oraz zajęciu się nauką i zachowaniu cnoty, dzień ten nadal wydawał się Adelii piękny.

O co tu chodzi? Jestem teraz jakby powiększona, bardzo naciągnięta, wrażliwa na śmierć i ból innych ludzi, ale także na życie w jego bezmiarze.

Miasto i mieszczanie tonęły w jasnożółtym blasku, barwą przypominającym musujące wino z Szampanii. Grupa studentów uchyliła przed medyczką czapek. Darowano jej płacenie myta za przejście po moście, kiedy grzebiąc niezgrabnie w trzosie, szukając półpensówki, odkryła, że nie ma tam nic.

- Och, przechodź i miłego dnia - powiedział mytnik. Na samym już moście woźnice unosili baty, salutując, przechodnie się uśmiechali.

Obrała dłuższą drogę wzdłuż brzegu rzeki do domu Starego Beniamina. Witki wierzb głąskały ją przyjaźnie, ryby podpływały do powierzchni wody i wypuszczały bąbelki, które współgrały z tymi musującymi w jej żyłach.

Na dachu domu Starego Beniamina był jakiś człowiek. Pomachał jej. Odmachała.

- Kto to jest?  
- Gil strzecharz - wyjaśniła Matylda B. - Uznał, że lepiej już z jego stopą i przydałoby się poprawić dachówkę czy dwie.  
- Robi to za darmo?  
- Pewnie, że za darmo - powiedziała Matylda, mrugając oczyma. - Medyk przecież wyleczył mu nogę, prawda?

Adelia uważała dotychczas, że pacjenci z Cambridge są niewychowani, bo nie okazują żadnej wdzięczności. Rzadko, o ile w ogóle, mówili, że czują się do czegoś zobowiązani w zamian za poradę medyka Mansura i jego pomocnicy. Zazwyczaj wychodzili z izby, zachowując się równie opryskliwie, jak wtedy gdy do niej wchodzili. Ostro to kontrastowało z pacjentami z Salerno, potrafiącymi pięć minut rozplęwać się w podziękowaniach.

Ale podobnie jak naprawa dachówek, nieoczekiwanie pojawiła się też kaczka na obiad, przyniesiona przez żonę kowala. Narastająca ślepotą kobiety stała się mniej dokuczliwa, gdy biedaczce przestały ropieć oczy. Pojawił się też garniec miodu, kopa jaj, osełka masła i gliniany garnek z czymś, co wyglądało odpychająco, a okazało się koprem, wszystko to pozostawiano bez słowa u drzwi kuchni. Ludek Cambridge znał więc bardziej konkretne sposoby na wyrażenie wdzięczności.

Jednak brakowało czegoś ważnego.

- A gdzie jest Ulf?

Matylda B. wskazała w stronę rzeki, gdzie pod olchą widać było wystający znad trzciny czubek brudnej brązowej czapki.

- Łapie pstrągi na wieczrę, ale powiedz Gylcie, że mamy go na oku. Zabroniliśmy mu się stamtąd ruszać. Ani po jujubę, ani z nikiem.

- Tęsknił za tobą - dodała Matylda W.

- Ja też za nim tęskniłam. To była prawda. Nawet ogarnięta szałem ratowania Rowleya Picota,

żałowała, że nie ma przy niej chłopca, i słała do niego wiadomości za pośrednictwem Gylthy. Niemal się rozpląkała, gdy poprzez Gylthę podarował jej bukietek pierwiosnków, związanych kawałkiem sznurka, „aby powiedzieć, jak bardzo mu przykro z powodu twojej straty”. Nowa, odczuwana przez nią miłość emanowała na zewnątrz szczęściem; po śmierci Szymona ów blask padł na tych, którzy, jak sobie teraz uświadomiła, byli niezbędni, aby czuła się dobrze, wśród których wcale nie ostatnie miejsce zajmował ów mały chłopiec, siedzący teraz i marudzący nad wywróconym wiadrzem wśród trzciny nad Cam. Trzymał w umorusanych rękach splecioną w domu linkę do łowienia ryb.

- Przesuń się - powiedziała. - Pozwól usiąść damie. Niechętnie przesunął się, zajęła miejsce obok niego. Sądząc z liczby pstrągów kłębiących się w koszu, Ulf dobrze wybrał miejsce. Nie łowił bezpośrednio w Cam, ale w strumieniu, który płynął przez trzciny i zanim dosięgnął rzeki, stawał się całkiem szeroki.

W porównaniu z Królewską Fosą po drugiej stronie miasta, cuchnącym i w przeważającej części stojącym kanałem, kiedyś służącym do powstrzymania napadów Duńczyków, Cam była dość czysta. Jednak przewrażliwiona Adelia, choć z musu w piątce jadła pochodzące z niej ryby, odnosiła się do nich podejrzliwie, bo do rzeki, kiedy wiała się przez południowe wioski hrabstwa, niewątpliwie trafiały liczne odchody ludzi i zwierząt.

Cieszyła się więc, że Ulf postanowił łowić w źródlanej wodzie. Przez chwilę siedziała w ciszy, patrząc na ryby wijące się w toni tak czystej, że wyglądały, jakby unosiły się w powietrzu. Między trzcynami, niczym klejnoty, migotały ważki.

- Jak się czuje Rowley-Powley? - zapytał chłopiec z kpina.

- Lepiej, a ty nie bądź taki niegrzeczny. Mruknął i wrócił do łowienia.

- Jakich robaków używasz? - zapytała łagodnie. - Nieźle na nie biorą.

- Na te? - Splunął. - Poczekaj, aż zaczną wieszać podczas sądów, to zobaczysz porządne robaki, weźmie na nie każda ryba, jakiej zechcesz.

Zapytała dosyć nierozważnie:

- A co wieszanie ma z tym wspólnego?

- Najlepsze robaki są pod szubienicą, jak na niej wisi gnijący trup. Myślałem, że wszyscy to wiedzą. Na szubieniczne robaki każda ryba bierze. Nie wiedziałaś?

Nie wiedziała i wołałaby się nie dowiadywać. Ukarzał ją.

- Będziesz musiał ze mną porozmawiać - oznajmiła. - Mistrz Szymon nie żyje, sir Rowley



jest ranny. Potrzebuję kogoś, kto potrafi myśleć i pomoże mi złapać zabójcę. A ty potrafisz myśleć, Ulf, dobrze o tym wiesz.

- Tak, do licha, wiem.

- I nie przeklinaj. Dłuższa cisza. Używał spławika, urządzenia własnego pomysłu, przełożył linkę przez duże ptasie pióro, które przynęte i żelazne haczyki utrzymywało w odpowiedniej bliskości tafla wody.

- Stęskniłam się za tobą - powiedziała.

Jeśli ona myślała, że mu się przypodoba... Ale po chwili się odezwał.

- Wiemy, że to on utopił mistrza Szymona?

- Tak, wiem, że to on. Kolejny pstrąg chwycił robaka. Ulf zdjął rybę z haczyka i cisnął do kosza.

- To rzeka - powiedział.

- O co chodzi? - Adelia wstała.

Po raz pierwszy na nią spojrział. Mała twarz skrzywiła się w skupieniu.

- To rzeka. To właśnie ona ich wzięła. Rozpytywałem się...

- Nie! - prawie krzyczała. - Ulf, cokolwiek... nie wolno ci, nie wolno. Szymon też się rozpytywał. Obiecuj mi, obiecuj...

Spojrzał na nią z niesmakiem.

- Jedyne, co zrobiłem, to porozmawiałem z ich krewniakami. To nic złego, prawda? Czy on tego słuchał? Zmieniał się w krakra i przysiadł sobie na drzewie?

Kruk. Adelia się wzdrygnęła.

- Wcale by mnie to nie zdziwiło.

- Bzdury. Chcesz wiedzieć, czy nie?

- Chcę wiedzieć. Wyciągnął linkę, odczepił od patyka i spławika, wszystko ostrożnie włożył do wiklinowego pudełka, które we wschodniej Anglii nazywano *frail*. Potem usiadł ze skrzyżowanymi nogami naprzeciwko Adelii niczym mały Budda, mający przekazać oświecenie.

- Piotr, Harold, Maria, Ulryk - oznajmił. - Rozmawiałem z ich kuzynami, tymi, których nikt inny nie chciał wysłuchać. Każde z nich ostatni raz było widziane nad Cam albo w pobliżu. - Ulf podniósł palec. - Piotr? Nad rzeką. - Podniósł drugi palec. - Maria? Była córka Jimmera, który łapał wodne ptactwo, siostrzenicą łowczego Hugona. Gdzie ostatni raz ją widziano? Jak niosła tacie kociołek, gdzieś w turzycy, na drodze do Trumpington.

Zamilknął na chwilę.

- Jimmer - kontynuował - był wśród tych, co ruszyli na zamek. Wciąż obwiniał Żydów o śmierć Marii.

A zatem ojciec dziewczynki należał do tej straszliwej bandy, która poszła wraz z Rogerem z Acton. Adelia przypomniała sobie, że ten człowiek był brutalem i całkiem możliwe, iż napadając na Żydów, chciał zagłuszyć swoje wyrzuty sumienia wobec córki.

Ulf kontynuował wyliczankę. Kciukiem wskazał rzekę.

- Harold? - Bolesny grymas. - Chłopak sprzedawcy węgorzy, poszedł po wodę, żeby wsadzić do niej młode węgorze. Zniknął... - Ulf pochylił się do przodu - ... idąc nad Cam.

Wpatrywała się w niego.

- A Ulryk?

- Ulryk - odparł Ulf - mieszkał z mamą i siostrami na Sheep 's Green. Zniknął na świętego Edwarda. A w jaki dzień wypadało ostatnio świętego Edwarda?

Adelia pokręciła głową.

- W poniedziałek! - Usiadł. Pokręcił głową, dziwiąc się jej ignorancji. - Chyba żartujesz sobie ze mnie, co? To dzień robienia prania, kobieto. W poniedziałki się pierze.

Rozmawiałem z jego siostrą. Skończyła im się deszczówka do gotowania bielizny. Ulryk poszedł więc z wiadrami na drąg...

- ... nad rzekę - dokończyła szeptem. Patrzyli na siebie, a potem razem odwrócili głowy i spojrzeli na

Cam.

Stan wody był wysoki, przez ostatni tydzień padały rześiste deszcze. Adelia zatrzasnęła okiennice izby na wieży, żeby nie wlewało się do środka. Teraz rzeka, niewinna, wygładzona blaskiem słońca, sięgała górnej krawędzi brzegów i wyglądała jak ozdobna, wijąca się

intarsja.

Czy ktoś jeszcze zauważył tę cechę łączącą śmierć dzieci? Na pewno, pomyślała medyczka, nawet koroner szeryfa nie był aż tak głupi. Jednak spokojnie mógł to zlekceważyć. Przecież Cam stanowiła dla miasta spichlerz, drogę i ściek. Jej brzegi dostarczały paliwa, materiału na dachy oraz meble. Wszyscy z niej korzystali, to, że dzieci zniknęły akurat w pobliżu Cam, stanowiło fakt nieco mniej zaskakujący, niż gdyby stało się to gdzie indziej.

Jednak Adelia i Ulf wiedzieli coś jeszcze. Szymon został utopiony w tej samej wodzie - trudno już tu było mówić o przypadkowej zbieżności.

- Tak - powiedziała. - To rzeka. Wraz z zapadającym wieczorem na Cam robiło się tłoczno, łódzie

i ludzie przesuwali się na tle zachodzącego słońca, nie sposób było rozróżnić szczegółów ich sylwetek. Jedni płynęli do domu po całym dniu pracy w mieście, inni wracali z pól, kierując się na południe, albo przeklinali, kiedy ich łódź powodowała zator. Rozpierzchały się kaczki, łabędzie hałasowały, zrywając się do lotu. Łódź wiosłowa wiozła cielaczka, aby nakarmiono go z ręki przy domowym palenisku.

- Masz już może pomysł, w jaki sposób zabrał Harolda i innych na Wandlebury? - zapytał Ulf.

- Nie. Nie mam pojęcia.

Coraz mniej brała pod uwagę wzgórze jako miejsce, gdzie mordowano dzieci. To była zbyt otwarta przestrzeń. Zabójca, aby dopuścić się wobec ofiar tego wyrafinowanego okrucieństwa, musiał mieć więcej spokoju, niż mógł mu zapewnić szczyt wzgórza, jakąś izbę, piwnicę, coś, co ukryłoby i stłumiło krzyki. Wandlebury może znajdowało się na odludziu, ale agonia jest hałaśliwa. Rakszasa bałby się, że coś by usłyszano, nie mógłby zabawiać się długo.

- Nie - powtórzyła. - On mógł tam później zabierać ciała, ale musiał gdzie indziej... - już miała powiedzieć „gdzie indziej je pozabijał”, jednak powstrzymała się. Ulf był w końcu tylko małym chłopcem. - Masz rację - stwierdziła. - Nad rzeką albo gdzieś w pobliżu.

Oboje przypatrywali się ruchliwego pasmu ludzkich figurek i łodzi.

Zjawiło się trzech łowców ptactwa, ich łódź zapadała się głęboko pod ciężarem stosów gęsi i kaczek przeznaczonych na stół szeryfa. Płynął też aptekarz na swoim kajaku - Ulf powiedział, że ma on przyjaciółkę nieopodal Siedmiu Akrów. Tresowany niedźwiedź siedział na rufie, a jego pan wiosłował do rudery, gdzie mieszkali, w okolicy Hauxton. Płynęły też przekupki, wiozły puste skrzynki, dlatego bez trudu odpychały się drągami. Ośmiowiosłowa barka ciągnęła drugą łódź z kredą i marglem, kierując się w stronę zamku.

- Hał, dlaczego umarłeś? - wymamrotał Ulf. - Kto ci to zrobił? Adelia myślała o tym samym. Dlaczego każde z tych dzieci umarło?

Kto na tej rzeczce zdołał je zwieść i skusić? Kto powiedział: „chodź ze mną”, i z kim one poszły? To nie mogła być tylko jujuba, musiały ją wspierać autorytet, ufność, życzliwość.

Medyczka uniosła się, kiedy na płaskodennej łódce przepłynęła jakaś zakapturzona postać.

- Kto to był? Ulf spojrzał przy słabnym świetle.

- On? To stary braciszek Gil. Brat Gilbert?

- Dokąd on płynie?

- Wiezie hostię dla pustelników. Barnwell ma pustelników tak samo jak mniszki. Niemal wszyscy mieszkają przy brzegu, w górze rzeki, w lesie. - Ulf splunął. - Babka ich nie cierpi. Brudne stare straszdyła, tak o nich mówi, odcinają się od wszystkich, a babka uważa, że to nie po chrześcijańsku.

Czyli mnisi z Barnwell też płyną rzeką, aby zaopatrywać swoich pustelników oraz zakonnice.

- Przecież jest wieczór - stwierdziła Adelia. - Dlaczego płyną tak późno? Brat Gilbert nie zdąży wrócić na kompletę.

Ludzie religijni żyli, trzymając się ściśle godzin kanonicznych. Całemu Cambridge kościelne dzwony służyły jako zegar; wedle nich się umawiano, przy nich przekręcano klepsydry, według nich zaczynało i kończyło się różne sprawy. Bijąc na laudę, wzywały chłopów na pola, na niespory posyłały ich do domów. A w nocy ich głos dostarczał mieszczańom złośliwej satysfakcji, że mogą zostać w łóżkach, podczas gdy zakonnice oraz mnisi muszą opuszczać swoje cele i klasztorne sypialnie, aby śpiewać na jutrzni.

Na brzydkiej twarzy Ulfa nagle pojawiło się olśnienie.

- Wiem dlaczego - powiedział. - Dzięki temu mogą się zatrzymywać na noc na polu. Mogą się porządnie wypaść pod gwiazdami, nazajutrz polować albo łowić ryby, mogą odwiedzić kolegę, oni wszyscy tak robią, oczywiście mniszki mają przewagę, mówi babka, bo nikt nie wie, co tam wyprawiają w lesie. Ale...

Nagle spojrzął na nią przymrużonymi oczyma.

- Brat Gilbert? Odwzajemniła spojrzenie.

- To mógł być on.

Jak bardzo dzieci narażone są na ciosy, pomyślała. Skoro Ulf, przy całym sprycie swojej matki i wiedzy na temat morderstw, dopiero teraz zaczął podejrzewać kogoś, kogo znał, to pozostali musieli być łatwym łupem.

- Braciszek Gil jest bardzo nerwowo - niechętnie powiedział dzieciak - ale jest sympatyczny, miło rozmawia z młodszymi. I jest krzy... - Ulf z kłapnięciem zasłonił sobie usta dłonią, Adelia po raz pierwszy ujrzała go zmieszanego. - On przecież był na krucjacie!

Słońce już zaszło i coraz mniej łodzi pływało po Cam, zostały tylko te, które miały latarnie na dziobie, rzeka zaczęła więc przypominać bezładny naszyjnik ze świateł.

Oboje wciąż siedzieli bez ruchu, nie chcieli stamtąd odchodzić, rzeka ich przyciągała i odpychała zarazem, byli tak blisko dusz dzieci, które zabrała, że wydawało się, iż szum trzciny niesie teraz ich szepty.

Ulf się skrzywił.

- Dlaczego, do licha, tego wszystkiego nie da się cofnąć? Adelia objęła go ramieniem, mogłaby nad nim zapłakać. O tak, zawrócić naturę i czas. Sprowadzić ich do domu

Matylda W. piskliwym głosem wezwała na wieczerzę.

- No to co z jutrem? - zapytał Ulf, kiedy szli już do domu. - Możemy zabrać starego Czarnuszka. On nieźle radzi sobie z tym drągiem do łodzi.

- Nawet mi się nie śni iść bez Mansura - oznajmiła - ale jeśli ty nie okażesz mu szacunku, to zostajesz.

Adelia wiedziała, podobnie jak Ulf, że muszą zbadać rzekę. Gdzieś przy brzegu stał dom, a może zaczynała się jakaś wiodąca do niego ścieżka, było miejsce, gdzie wydarzyły się straszne rzeczy, tak okropne, iż na pewno od razu pozna, że tam się działy.

Może na zewnątrz nie będzie żadnego wyraźnego znaku, ale ona na pewno się zorientuje.

Tamtej nocy na drugim brzegu Cam stała samotna postać. Adelia dostrzegła ją przez otwarte okno swojej izby na piętrze, kiedy czesała włosy. Wystraszyła się tak bardzo, że aż nie mogła drgnąć ze zgrozy. Przez chwilę ona i cień pod drzewami wpatrywali się w siebie tak intensywnie, jak kochankowie rozdzieleni przepaścią.

Wycofała się, zdmuchnęła świeczkę i macając w poszukiwaniu sztyletu, który nocą trzymała na stoliku obok łóżka, nie ważyła się oderwać oczu od postaci po drugiej stronie rzeki, tak na wypadek gdyby postać ta skoczyła przez wodę i wtargnęła oknem.

Kiedy już miała stać w dłoni, poczuła się lepiej. Śmieszne. Przecież by dostać się do okna, to coś musiałyby mieć skrzydła lub drabinę obłączniczą. Teraz jej nie mogło widzieć, dom skrywały ciemności.

Ale kiedy zamykała okiennice, wiedziała, że postać cały czas ją obserwuje. Czują oczy przewiercające ją na wylot, kiedy boso człapała na dół, by upewnić się, czy wszystkie wejścia są zaryglowane. Stróż szedł za nią niechętnie.

Kiedy dotarła do głównej sali, dwa ramiona gwałtownie uniosły broń nad głowę.

- O, do licha - powiedziała Matylda B. - Niemal przez ciebie nie umarłam ze strachu.

- Ja tak samo - odparła Adelia. - Ktoś jest po drugiej stronie rzeki. Dziewczyna opuściła pogrzebacz.

- Jest tam co noc, od kiedy poszłaś na zamek. Patrzy, zawsze patrzy. A jedyny mężczyzna tutaj to mały Ulf.

- Gdzie jest Ulf? Matylda wskazała schody na poddasze.

- Śpi bezpiecznie.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. Obie kobiety popatrzyły przez rozetowe okno.

- Poszedł. To, że owa postać zniknęła, było jeszcze gorsze, niż gdyby stała tam dalej.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - Adelia domagała się wyjaśnień.

- Uznałam, że i tak masz już dużo na barkach. Ale powiedziałam strażnikom. Gównu się przejęli. Nikogo ani niczego nie widzieli, co zresztą nie dziwi przy tym hałasie, jakiego

narobili, gdy szli tu po moście. .. Uznali, że to pewnie jakiś podglądacz.

Matylda B. przeszła na środek izby i odłożyła pogrzebacz na miejsce. Przez chwilę drżał na kracie paleniska, jakby ręka, która go trzymała, trzęsła się za bardzo, by go od razu wypuścić.

- To nie był jakiś podglądacz, prawda?

- Nie.

Nazajutrz Adelia przeniosła Ulfa na zamkową wieżę, żeby mieszkał tam z Gylthą i Mansurem.

### Rozdział I 3

Nie pójdziecie beze mnie - oznajmił sir Rowley, z trudem wydostając się z łóżka. Upadł na podłogę. - Au, au, niechaj Bóg sprawi, aby zgnił ten Roger z Acton. Dajcie mi nóż, a odetnę mu jaja, zrobię z nich przynętę na ryby, ja...

Adelia i Mansur, starając się nie śmiać, unieśli chorego z podłogi i położyli z powrotem na pościeli. Ulf podniósł jego szlafmycę i założył mu z powrotem na głowę.

- Z Mansurem i Ulfem będzie bezpiecznie - oznajmiła - i pójdziemy za dnia. Z drugiej strony, tobie przyda się nieco ćwiczeń. Jakiś spokojny spacer dookoła izby, żeby wzmocnić mięśnie, to jak widzisz wszystko, do czego jesteś teraz zdolny.

Poborca podatków warknął wściekle i wałnął pięścią w pościel, co wywołało kolejny okrzyk, tym razem bólu.

- Daj spokój z tymi bzdurami - powiedziała Adelia. - W każdym razie, to nie Acton trzymał nóż. Nie jestem pewna, kto to był, takie było zamieszanie.

- Nieważne. Chcę, żeby on zawisł, zanim podczas sądów zauważą jego tonsurę i puszcza go wolno.

- Powinien zostać ukarany - zgodziła się. Acton bez wątpienia odpowiadał za podburzenie tych ludzi, którzy

wtargnęli na zamek, by zbeczcścić grób Szymona.

- Ale mam nadzieję, że go nie powieszają - dodała.

- Kobieto, on zaatakował królewski zamek, do licha, prawie mnie wypatroszył, jego trzeba przypiekać na wolnym ogniu z rożnem w dupie! - Sir Rowley zmienił pozycję i spojrzał na nią z boku. - Pomyślałaś w ogóle o tym, że tylko ty i ja ucierpieliśmy w tej bijatyce? To znaczy, wyjąwszy tych, których sam załatwiłem.

Nie pomyślała.

- Jeśli chodzi o mnie, złamany nos trudno nazwać raną.

- Mogło być znacznie gorzej. Mogło, ale to stało się przypadkiem. Z jej winy, bo w mieszała się

w walkę.

- Co więcej - kontynuował Rowley, wciąż chytrym tonem - rabinowi nic się nie stało.

Zaczynała czuć się zmieszana.

- Sugerujesz, że Żydzi mieli z tym coś wspólnego?

- Oczywiście, że nie, ja tylko zwracam uwagę, że naszego dobrego rabina nie zaatakowano. Mówię jedynie, że zostały już tylko dwie osoby badające sprawę śmierci tych dzieci, teraz, kiedy Szymon nie żyje. Ty i ja. I oboje zostaliśmy ranni.

- I Mansur - dodała rozkojarzona. - On nie został ranny.

- Nie widzieli Mansura, póki nie włączył się do walki. Zresztą, on nikomu nie zadawał pytań, za słabo mówi po angielsku.

Adelia się zastanowiła.

- Nie nadażam za tobą - oznajmiła. - Mówisz, że to Roger z Acton morduje dzieci? Acton?

- Ja mówię, do diabła - fizyczna słabość uczyniła Rowleya drażliwym - ja mówię, że został do tego zachęcony. Ktoś mu zasugerował, a może komuś z jego bandy, że ty i ja trzymamy z Żydami i lepiej nas załatwić.

- Jego zdaniem lepiej załatwić wszystkich, którzy trzymają z Żydami.

- Ktoś - mówił poborca podatków przez zaciśnięte zęby - ktoś na nas czyha. Na nas, na ciebie i mnie.

Ciebie, o Boże, pomyślała. Nie nas. Ciebie. To ty zadawałeś pytania, Szymon i ty. Na uczcie Szymon zwrócił się do ciebie: „Mamy go, sir Rowleyu”.

Złapała się krawędzi łóżka i usiadła.

- Aha - oznajmił Rowley. - Zaczynam rozumieć. Adelio, chcę, żebyś wyprowadziła się od Starego Beniamina. Możesz przez jakiś czas pomieszkać z Żydami.

Medyczka pomyślała o postaci, którą widziała ostatniej nocy między drzewami. Nie powiedziała Rowleyowi, co widziały ona i Matyllda B. Nie mógłby nic na to poradzić i nie było sensu powiększać tym jego frustracji.

Ten ktoś zagrażał Ulfowi. Ulf był przecież jeszcze jednym dzieckiem. Pewnie wybrał go sobie na kolejną ofiarę. Wiedziała o tym wtedy i wiedziała o tym teraz. To właśnie dlatego chłopiec musiał nocować na zamku, a za dnia zawsze być w pobliżu Mansura.

Ale, dobry Boże, jeśli ta kreatura uznała, że Rowley jest dla niej groźny, to była wszak taka sprytna, miała stosowne metody... Już dwoje ludzi kochanych przez Adelię znalazło się w niebezpieczeństwie.

Wtedy pomyślała, do licha, Rakszasa naszym kosztem osiągnął to, co chciał, i zamknął nas wszystkich w tym przeklętym zamku. Tak nigdy go nie znajdziemy. Przynajmniej ja muszę mieć swobodę poruszania się.

- Ulf - poleciła mu kiedyś - przedstaw sir Rowleyowi swoją teorię o rzece.

- Nie. Uzna to za bzdurę.

Adelia westchnęła, widząc początki zazdrości między dwoma mężczyznami jej życia.

- Powiedz mu.

Chłopiec zrobił to niechętnie, bez przekonania. Rowley go wyśmiał.

- W tym mieście wszyscy są blisko rzeki. Podobnie odrzucił podejrzenia dotyczące brata Gilberta.

- Myślicie, że on jest Rakszasa? Taki cherlak jak on nie dałby rady przebyć wrzosowiska pod Cambridge, nie mówiąc już o pustyni.

Toczyli dyskusję, a do izby weszła Gyltha, niosąc na tacy śniadanie dla Rowleya.

Przyłączyła się do rozmowy.

Kiedy się naradzali i wszyscy mówili o koszmarze i podejrzeniach, Adelia poczuła nagle ukłucie w dołku. Oni, wszyscy ci ludzie, byli jej drodzy. Pogawędka z nimi, nawet o życiu i śmierci, była dla niej, tej, która nigdy nie gawędziła, czymś tak miłym, że przez chwilę czuła dotknięcie szczęścia. *Hic habitat felicitas.*

A ten wielki, niedoskonały i magiczny mężczyzna w łóżku, wpychający sobie szynkę do ust, on był jej. Jego życie było jej, zyskane nie tylko za sprawą jej wiedzy, ale także siły, z jaką przelała z siebie na niego tę upragnioną i uzyskaną łaskę.

Jednak, nieważne, jak wspaniała, była to jednak smutna, nieodwzajemniona miłość i będzie musiała żyć z nią przez resztę swoich dni. Każda chwila spędzona w jego towarzystwie potwierdzała, że okazanie mu uczucia skończyłoby się katastrofą. Albo on ją odepchnie, albo, co gorsza, zmanipuluje. Intencje Rowleya i Adelii znosiły się wzajemnie.

To już był koniec. Gdy rana zaczęła się ładnie goić, nie pozwolił, aby mu ją opatrywała, zdawał się na opiekę Gylthy albo lady Baldwin.

- Nie przystoi, aby niezamężna kobieta grzebała przy tej części mojego ciała - oznajmił zdenerwowany.

- Niezależnie od wszystkiego - powiedziała mu teraz - musimy zbadać rzekę.

- Na Boga, nie bądź tak bezdennie głupia - odparł Rowley. Adelia wstała. Była gotowa umrzeć za tego wieprza, ale nie godziła się, aby ją obrażał. Kiedy mocniej owinęła Picota pościelą, otoczyła go jej woń, mieszanina ziołowej tynktury, jaką podawała mu trzy razy dziennie, i rumianku, w którym myła włosy - zapach ten jednak szybko został zagłuszony smrodem psa, gdy przeszedł obok łóża, opuszczając komnatę w ślad za medyczką.

W ciszy, która zapadła, Rowley rozejrzał się wokół.

- Czyż nie mam racji? - po arabsku odezwał się do Mansura, a potem dodał urywanym głosem, bo był wyczerpany: - Nie chcę jej widzieć tam, badającej tę gównianą rzekę.

- A gdzie chciałbyś ją widzieć, efendi?

- Leżącą na plecach, tam gdzie jej miejsce. - Gdyby nie był taki słaby i drażliwy, to by tego nie powiedział, w każdym razie nie tak głośno. Nerwowo spoglądał na zbliżającego się Araba. Nie był teraz w stanie walczyć z tym drabem. - Nie o to mi chodziło - dodał szybko.

- To bardzo dobrze, efendi - rzekł Mansur. - Inaczej musiałbym otworzyć ci ranę i ją poszerzyć.

Teraz Rowleya owionął zapach, który przeniósł go z powrotem na arabski suk, mieszanina potu, spalonego kadzidła i drewna sandałowego.

Saracen pochylił się nad nim i przed twarzą Rowleya połączył czubki palców dłoni z kciukiem, potem dotknął nimi swojego prawego palca wskazującego. Ten delikatny gest bez wątpliwości podawał pochodzenie Picota, sugerując, iż miał pięciu ojców.

Następnie wyprostował się, uklonił i wyszedł z komnaty, a za nim ruszyło małe dziecko, które pokazało gest równie prosty, choć bardziej bezpośredni i równie obraźliwy.

Gyltha też poszła za nimi, biorąc tacę i resztki posiłku.

- Nie wiesz, coś powiedział. Są lepsze sposoby, żeby to wyrazić. O Panie, pomyślał, opadając z powrotem na łóżko, zachowuję się jak smarkacz. Panie, wybacz, ale to jest prawda. Właśnie takiej jej chcę, w łóżku, pode mną.

Chciał jej tak bardzo, że musiał zabronić jej smarowania rany tym zielonym łąjnem, co to było... żywokost... bo znajdująca się w pobliżu część ciała odzyskała już siły i zaczynała się unosić za każdym razem, kiedy ta niewiasta go dotykała.

Był przez to zły na Boga i na siebie samego, bo znalazł się w takim niewygodnym położeniu. Ona w ogóle nie była w jego typie. Dziwne? Jeszcze żadna kobieta tyle dla niego nie zrobiła. Zawdzięczał jej życie. W dodatku mógł z nią rozmawiać tak, jak nie mógł z nikim innym, mężczyzną czy kobietą. Opowiedział jej więcej o sobie, gdy mówił o swoim polowaniu na Rakszase, niż kiedy składał relację królowi - i jak się oba-

wiał, w goręcej zdradził jeszcze więcej. Mógł przeklinać w jej towarzystwie - choć nie skłócić jej, co pokazała mu wychodząc z pokoju - czując się tak swobodnie, jak przy dobrym kompanie.

Czy zdołałby ją uwieść? Całkiem prawdopodobne. Może знаła się na wszystkich funkcjach ciała, ale bez wątpliwości zachowała naiwność, jeśli chodziło o to, co sprawia, że zwawiej bije serce. Rowley zaś wierzył już w swoją całkiem sporą, choć trudną do wytłumaczenia atrakcyjność dla kobiet.

Jednak gdy ją uwieździe, za jednym zamachem nie tylko obedrze ją z szat, ale także z honoru i rzecz jasna z całej niezwykłości, zmieni po prostu w kolejną kobietę w kolejnym łóżku. A on pragnął jej takiej, jaka była. Pragnął tego jej „hm”, kiedy się skupiała, jej straszliwego gustu co do ubrań - chociaż wyglądała bardzo przyjemnie na uczie w Grantchester. Pragnął jej przykładającej wagę do losu całej ludzkości, nawet szumowin, zwłaszcza szumowin, a także jej skupienia, które zmieniało się w zaskakujący uśmiech, sposobu, w jaki przygarbiała plecy, gdy czuła się zniechęcona, tego, jak mieszała swoje wstrętne lekarstwa, i delikatności jej dłoni, kiedy zbliżała kubek do jego ust. Sposobu, w jaki chodziła, sposobu, w jaki wszystko robiła. Miała urok, jakiego nigdy wcześniej nie poznał. Naprawdę, miała urok.

- Do diabła - powiedział sir Rowley w pustym pokoju. - Będę musiał poślubić tę kobietę.

Wędrówka w górę rzeki nie przyniosła im nic poza pięknymi widokami. Zważywszy na powody wyprawy, Adelii było wręcz wstyd, że tak bardzo cieszy ją dzień spędzony na płynięciu tunelami utworzonymi przez zwisające gałęzie. Wyłaniali się stamtąd prosto w blask słońca, a kobiety przerywały pranie, by pozdrowić ich ruchem dłoni. Raz przy burcie płaskodennej łodzi śmignęła wydra, którą mężczyźni z psami na drugim brzegu rzeki próbowali złowić. Myśliwi polowali na dzikie ptactwo, rozstawiając sieci, dzieci starały się dotknąć pstrągów. Niektóre milowe odcinki wybrzeża były całkiem puste, wyjąwszy ptaki świergoczące wśród trzcin.

Stróż, wygnany z łodzi, biegł smutny wzdłuż brzegu, bo wytarzał się w czymś, co uczyniło jego obecność na pokładzie wielce niepożądaną. Mansur i Ulf na zmianę odpychali łódź drągiem, rywalizowali ze sobą w tej sztuce, która pozornie wydawała się tak łatwa, że Adelia zapytała, czy i ona mogłaby spróbować. Uczepiła się żerdzi jak małpka, a łódź popłynęła dalej bez niej. Na ratunek medycze pośpieszył Arab, bo Ulf za bardzo się śmiał, by w ogóle się poruszyć.

Chaty, szałas, schronienia łowców ptactwa - wiele konstrukcji stało na brzegach. Każdą z nich prawdopodobnie pozostawiano na noc pustą, wszystkie stały na takim uboczu, że wydobywające się z nich krzyki słyszałyby tylko dzikie zwierzęta. Lekarka widziała ich tak wiele, że cały miesiąc zajęłoby jej zbadanie wszystkich, a chyba z rok podążenie ubitymi ścieżkami i mostami przez sitowie ku chatynom położonym nieco bardziej w głębi łądu.

Do Cam wpadały jej dopływy, czasem ledwie strumyki, a niekiedy spore i spławne rzeczki. Adelia spostrzegła, że te olbrzymie równiny całe poprzecinane są ciekami. Kładki,

mosty, drogi często bywały źle utrzymane i nieprzejezdne, ale wszędzie dawało się dotrzeć na łodzi.

Stróż uganiał się za ptakami, a pozostałych troje podróżników, siedząc na brzegu obok szopy, gdzie sir Joscelin chował swoje łodzie, zjadło nieco chleba i sera, wypilo też połowę cydru, który dostali od Gylthy.

Woda rzucała spokojne drżące refleksy na ściany budynku, do których przyczepiono wiosła, tyki i rybackie narzędzia. Nic tu nie mówiło o śmierci. Tak czy owak, rzut oka w stronę mającego w oddali dworu zdradzał, że jak w przypadku innych ziemskich posiadłości, u sir Joscelina działa się zbyt wiele, aby jakieś okropieństwa pozostawały niezauważone. Zakładając, że w uprowadzaniu dzieci nie pomagały mlecarki, nie uczestniczyli pastuchowie, stajenni, oracze i służący, to krzyżowiec z pewnością nie mordował we własnym domu.

Wracając rzeką ku miastu, Ulf splunął w wodę.

- To była tylko strata czasu.

- Nie całkiem - odparła Adelia.

Wyprawa pokazała coś, czego medyczka wcześniej nie potrafiła sobie uświadomić. Dzieci, niezależnie od tego, czy popłynęłyby z porywaczem dobrowolnie, czy też nie, z pewnością byłyby widziane. Każda łódź spotkana na odcinku rzeki za Wielkim Mostem miała niewielkie zanurzenie i niskie burty, co nie pozwalało ukryć obecności kogokolwiek większego niż bardzo małe dziecko - chyba że leżał płasko pod ławkami. A zatem dzieci albo same się schowały, albo też pozbawiono je przytomności i przykryto płaszczem, kawałkiem worka, czymś w tym rodzaju, i trzymano tak, póki nie dotarły do miejsca swojej śmierci.

Powiedziała o tym, po arabsku i po angielsku.

- Więc może on w ogóle nie używał łodzi - stwierdził Mansur. - Ten diabeł przerzucił je przez siodło. Ruszył niepostrzeżenie suchym lądem.

To było możliwe. Większość ludzi w tej części Cambridgheshire mieszkała nad wodą, dalej leżały tereny niemal puste, wyjąwszy pasące się bydło. Jednak Adelia nie zgadzała się z Arabem. Przeczyła temu obecność rzeki przy każdym zniknięciu dziecka.

- On użył *thebaicum* - zasugerował Mansur.

- Opium? - To już bardziej prawdopodobne. Medyczka cieszyła się, że w tej części Anglii rosło niespodziewanie dużo maków, kojarzonych raczej z Orientem, i że łatwo było wykorzystać ich właściwości. Ale zarazem wzbudzało to również jej niepokój. Aptekarz, który nocami odwiedzał kochankę, destylował z maku alkohol, nazywał go kordialem świętego Jerzego i sprzedawał wszystkim, choć skrywał pod kontuarem przed klerykami. Ci potępiali ową miksturę jako bezbożną z powodu jej właściwości uśmierzenia bólu, co wszak powinno należeć tylko do Pana.

- To jest to - oznajmił Ulf. - On dał im kropelkę kordiału. - Zmrużył oczy i wyszczerzył zęby. - „Łyknij sobie, kochaniutki, i chodź ze mną do rajku”.

Ta parodia złowrogiego kuszenia sprawiła, że mimo wiosennego ciepła powiało chłodem.

Adelię zmroziło raz jeszcze, kiedy następnego ranka usiadła w izbie kantoru na wzgórzu zamkowym. Pokój zagracony był dokumentami i skrzyniami, zamkniętymi łańcuchami z kłódkami. To była prosta, męska izba, zbudowana, by straszyć dłużników, a już z pewnością nie żeby przyjmować w niej kobiety. Mistrz de Barque, jeden z braci de Barque, wpuścił learkę niechętnie i teraz odmawiał spełnienia jej żądań.

- Ale list kredytowy wystawiono i na Szymona z Neapolu, i na mnie - zaprotestowała, czując, jak ściany tłumią jej głos.

De Barque wyprostował palec i po stole przepchnął ku niej zwój z pieczęcią.

- Przeczytaj to sama, pani, jeśli tylko potrafisz zrozumieć łacinę.

A zatem przeczytała. Pośród gąszczy „uprzednio”, „przez to” i „zgodnie z tym” wystawcy dokumentu, lukkańscy bankierzy z Salerno, zaręczali, że w imieniu aplikanta, króla Sycylii, wpłacą braciom de Barque z Cambridge takie sumy, jakich potrzebować będzie beneficjent, Szymon z Neapolu. Nie wymieniono jednak żadnego innego imienia.

Uniosła wzrok, spoglądając na tłustą, zniecierpliwioną i znudzoną twarz. Jak łatwo przychodzi kogoś obrazić, jeśli brakuje mu pieniędzy.

- Ale to było przecież zrozumiałe samo przez się - mówiła. - Zajmowałam w tym przedsięwzięciu pozycję równą mistrzowi Szymonowi. Zostałam do tego wybrana.

- Jestem pewien, że tak było, pani - stwierdził mistrz de Barque.  
On myśli, że ja przyjechałam jako kochanka Szymona. Adelia wyprostowała się, napięła ramiona.  
- Wystarczy zwrócić się do banku w Salerno albo do króla Sycylii, żeby potwierdzić moje słowa.  
- A zatem zrób to, pani. Tymczasem... - Mistrz de Barque uniósł ze stołu dzwonek i zabrzączał nim, wzywając skrybę. Był wszak człowiekiem zajęтым.  
Medyczka nie ruszyła się z miejsca.  
- To zajmie całe miesiące.  
Nie miała nawet tyle pieniędzy, aby opłacić wysłanie listu, niezależnie, ile by kosztował. Kiedy przeszukała izbę Szymona, znalazła w niej tylko kilka oberżniętych miedziaków. Czyli albo zamierzał udać się do bankiera, albo wszystko, co miał, trzymał w trzosie, który zabrał mu morderca.  
- Mogę od was pożyczyć, aż...  
- Nie udzielamy pożyczek kobietom. Odepchnęła klerka, który szarpał ją za ramię, chcąc wyprowadzić na zewnątrz.  
- To co ja mam zrobić? Musiała spłacić rachunki u aptekarza, zapłacić kamieniarzowi, by wykuł inskrypcję na nagrobku Szymona, Mansur potrzebował nowych butów, ona też...  
- Pani, jesteśmy organizacją chrześcijańską. Proponuję ci udać się do Żydów. To wybrani przez króla lichwiarze i jak rozumiem, jesteś z nimi w bliskich kontaktach.  
Widziała to w jego oczach. Była niewiastą i żydowską kochanką.  
- Znasz sytuację, w jakiej są Żydzi - powiedziała z rozpaczą. - Obecnie nie mają dostępu do pieniędzy.  
Przez chwilę mistrz de Barque zmarszczył twarz tak, że niemal zagościło na niej ciepło.  
- Czyżby? - zapytał.

Adelię i Stróża, kiedy szli na wzgórze, minął więzienny wóz pełen żebraków. Zamkowy pedel zebrał ich w ramach porządków przed zbliżającymi się sądami. Jakaś kobieta szarpała kraty rękoma chudymi jak u kościotrupa.

Medyczka wpatrywała się w nią. Jakże jesteśmy słabi, gdy nie mamy grosza.  
Jeszcze nigdy nie brakowało jej pieniędzy. Muszę wracać do domu. Ale nie mogę, póki zabójca nie zostanie odnaleziony, a nawet wtedy jak zdołam opuścić... Nie pozwoliła sobie wymówić jego imienia, bo i tak będzie musiała opuścić go prędzej czy później... Tak czy owak, nie mogę podróżować. Nie mam pieniędzy.

Co robić? Była jak Rut wśród obcych zbóż. Rut znalazła rozwiązanie, wychodząc za męża. Teraz jednak nie wchodziło to w rachubę.

Czy w ogóle będzie miała za co żyć? Pacjentów kierowano na zamek, bo tam mieszkała, i w przerwach w opiece na Rowleyem przyjmowała ich razem z Mansurem. Ale niemal wszyscy byli zbyt biedni, by płacić gotówką.

Nie uspokoiła się, kiedy po wejściu do pokoju na wieży, w towarzystwie Stróża, zastała sir Rowleya siedzącego na skraju łóżka i rozmawiającego z sir Joscelinem z Grantchester oraz sir Gerwazym z Coton. Wmaszerowała do izby, ruszyła prosto ku Picotowi.

- On ma wypoczywać - ze złością rzuciła Gylcie, która niczym strażnik stała w kącie izby.  
Adelia zignorowała obu rycerzy, którzy powstali z miejsc na powitanie. Gerwazy zrobił to niechętnie i dopiero na sygnał swojego towarzysza. Sprawdziła pacjentowi puls. Był spokojniejszy od jej własnego.

- Nie złość się na nas, pani - odezwał się sir Joscelin. - Przybyliśmy zapytać sir Rowleya o zdrowie. To prawdziwa łaska boża, że ty i medyk znaleźliście się w pobliżu. Ten nikczemnik Acton... Możemy żywić tylko nadzieję, że sądy nie dadzą mu uniknąć stryczka. Wszyscy się zgadzamy, że powieszenie to jak dla niego zbyt łagodna kara.

- Zaiste? - rzuciła.  
- Lady Adelia nie popiera uwięzienia, ona używa okrutniejszych metod - powiedział sir Rowley. - Wszystkim zbrodniarzom podałaby solidną dawkę hyzopu.  
Sir Joscelin się uśmiechnął.  
- To naprawdę okrutne.  
- A wasze metody działają, nieprawdaż? - zapytała Adelia. - Oślepienie, wieszanie i



obcinanie dłoni sprawiają, że macie spokojniejszy sen? Jak się już zabije Rogera z Acton, to nie będzie już więcej zbrodni?

- A ten zabójca dzieci? - spokojnie zapytał Joscelin. - Co byś z nim zrobiła?

Adelia zwlekła z odpowiedzią.

- I ona się jeszcze waha - stwierdził sir Gerwazy z odrazą. - Co to za kobieta?

Była kobietą, która uznawała zabijanie w imieniu prawa za czyn najokropniejszy ze wszystkich, dokonywany tak łatwo i czasem z tak błahych powodów. Dla niej, ratującej życie ludzkie, stanowiło ono jedyny, prawdziwy cud. Była kobietą, która nigdy nie zasiadała obok sędziego ani nie stawała obok kata, zawsze trwała przy oskarżonym. Czy ja mogłabym przybyć tutaj w jego lub jej roli? Gdybym urodziła się do tego, do czego on lub ona zostali urodzeni, czy zachowywałabym się inaczej? Gdyby kto inny niż dwoje lekarzy znalazł dziecko na zbieczku Wezuwiusza, czy dotarło by ono tam, gdzie ów mężczyzna albo kobieta?

Dla niej prawo powinno stanowić granicę, na której zatrzymuje się barbarzyństwo, albowiem cywilizacja staje mu na drodze. Nie zabijamy przecież dlatego, aby coś ulepszyć. Zakładała, że zabójca będzie musiał umrzeć i najprawdopodobniej umrze, ponieważ wściekłe zwierzę należało zabić, jednak ta jej część, która pozostawała lekarzem, ciągle zastanawiała się, dlaczego on stał się taki wściekły, i żałowała, że tego nie wie.

Odeszła od rycerzy, ruszyła do stolika z lekami i po raz pierwszy zauważyła, że Gyltha stoi dziwnie sztywno.

- O co chodzi?

Gospodyni wyglądała na znużoną, jakby nagle się postarzała. Dłonie miała rozłożone, podtrzymywała niewielkie pudełko z sitowia w taki sposób, w jaki wierni dzierżą hostię, odebrawszy ją od biskupa, przed włożeniem jej do ust.

Rowley zawołał z łóżka:

- Sir Joscelin podarował mi trochę łakoci, Adelio, ale Gyltha nie chce mi ich dać.

- To nie ja - wtrącił się Joscelin. - Ja tylko je przyniosłem. Lady Baldwin poprosiła mnie, abym zabrał je na górę.

Oczy Gylthy to wpatrywały się w Adelię, to spoglądały na pudełko. Przytrzymując je jedną ręką, drugą lekko odsunęła pokrywkę.

Wewnątrz, na ładnych liściach, niczym jajka w gnieździe, leżały barwne, wonne cukierki z jujuby.

Obie kobiety popatrzyły na siebie. Medycze zrobiło się słabo. Odwrócona plecami do mężczyzn, cichutko wyszeptwała:

- Trucizna? Gyltha wzruszyła ramionami.

- Gdzie jest Ulf?

- Z Mansurem - odszeptwała Gyltha. - Bezpieczny. Adelia odezwała się teraz głośniej, mówiła powoli.

- Lekarz zabronił sir Rowleyowi jedzenia słodkiego.

- W takim razie rozdaj je naszym gościom - zawołał Rowley z łóżka.

Nie zdołamy ukryć się przed Rakszą, pomyślała. Jesteśmy jego celem, gdziekolwiek się znajdziemy, jesteśmy wystawieni na strzał niczym słomiane figury.

Skinęła głową ku drzwiom i odwróciła się do mężczyzn, a za jej plecami Gyltha wyszła z izby, unosząc ze sobą pudełko.

Lekarstwa. Adelia pospiesznie je przejrzała. Wszystkie zatyczki były na swoich miejscach, pudełka leżały poukładane starannie, jak pozostawiły je ona i Gyltha.

Popadasz w obłąd, pomyślała. Morderca jest gdzieś na zewnątrz, nie może majstrować przy wszystkim. Ale ostatniej nocy czuła straszny lęk przed skrzydlatym Rakszą i wiedziała, że musi wymienić każde zioło, każdy syrop na tym stole, zanim komukolwiek je poda.

Czy on jest na zewnątrz? Czy zjawił się tutaj? Czy jest tutaj teraz?

Za jej plecami rozmowa zeszała na konie, jak to bywa między rycerzami.

Była świadoma obecności Gerwazego, rozwalonego na krześle. W y -powiadał się mrukiwie, z rzadka. Kiedy spojrzała na niego, w oczach mężczyzny pojawiło się zamierzone szyderstwo.

Zabójca czy nie, pomyślała, jesteś bydlakiem, a twoje istnienie to obelga. Pomaszzerowała do drzwi, były otwarte.

- Pacjent jest zmęczony, panowie. Sir Joscelin wstał.

- Szkoda, że nie spotkaliśmy medyka Mansura, prawda, Gerwazy? Proszę przekazać mu nasze pozdrowienia.

- Gdzie on jest? - dopytywał się sir Gerwazy.

- Doskonali arabski rabin Gotsce - wyjaśnił Rowley. Gerwazy, mijając Adelię w drodze do wyjścia, wymamrotał, tak jakby zwracał się do towarzysza:

- Nieźle. Żyd i Saracen na królewskim zamku. Po jakie лихо my w ogóle ruszaliśmy na krucjatę?

Adelia zatrzasnęła za nim drzwi.

- Do licha, kobieto - odezwał się zirytowany Rowley. - Krążyłem w rozmowie wokół Ziemi Świętej, żeby się dowiedzieć, który z nich gdzie i kiedy tam był. Jednemu mogło się wymknąć coś na temat drugiego.

- I co? Wymknęło się? - pytała.

- Spłoszyłaś ich, do licha! - Lekarka rozpoznała zniecierpliwienie typowe dla powracającego do sił chorego. - Ale dziwne, bo brat Gilbert przyznał się, że był na Cyprze, tak mniej więcej w interesującym nas czasie.

- Brat Gilbert był tutaj? Podobnie jak przeor Gotfryd, szeryf Baldwin i aptekarz. Ten ostatni

przyniósł miksturę, która, jak przysięgał, leczy każdą ranę w kilka chwil. I jeszcze rabin Gotsce.

- Jestem znanym człowiekiem. O co ci chodzi? Jednak Adelia uderzyła teraz pudełkiem ze sproszkowanym łopianem

tak mocno o stół, że odskoczyło wieczko, a z wewnątrz uniosła się chmura zielonego pyłu.

- Wcale nie jesteś znany - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Jesteś trupem. Rakszasa chce cię otruć.

Zawróciła do drzwi, zawołała Gylthę, która akurat szła po schodach, wciąż trzymając plecione pudełko. Adelia wyrwała je, otworzyła i podsunęła Rowleyowi pod nos.

- A co to jest?

- Jezu Chryste - powiedział. - Jujuba.

- Rozpytywałam się - odezwała się Gyltha. - Jakaś mała dziewczynka dała to strażnikom, mówiąc, że to od jej pani dla biednego rycerza na wieży. Lady Baldwin zamierzała zanieść to na górę, ale sir Joscelin powiedział, że zaoszczędzi jej trudu. Zawsze był taki uprzejmy, nie tak jak ten drugi.

Gyltha nie znosiła sir Gerwazego.

- A dziewczynka?

- Strażnik to jeden z tych przysłanych z Londynu przez króla po to, żeby pomóc w pilnowaniu Żydów. Wołają go Barney. Mówi, że jej nie zna.

Zawołano Mansura i Ulfa, całą sprawę rozważono wspólnie.

- To może być zwykła jujuba, na to wygląda - powiedział Rowley.

- To se jedną zjedz - rzucił mu ostro Ulf. - Co o tym sądzisz? Adelia uniosła jujubę szczypczykami i powąchała.

- Nic nie mogę powiedzieć.

- Sprawdźmy to - powiedział Rowley. - Poślijmy jedną do lochu dla Rogera z Acton z pozdrowieniami.

Propozycja kusiała, ale w końcu Mansur zabrał pudełko na dziedziniec i cisnął do paleniska kowala.

- Nikt nie będzie tutaj przychodził w odwiedziny - zarządziła Adelia. - I żaden z was, szczególnie Ulf nie może wychodzić z zamku albo chadzać samotnie.

- Kobieto, do licha, tak nigdy go nie znajdziemy. Rowley, jak się zdawało, prowadził z łóżka własne dochodzenie.

Przepytывał odwiedzających, korzystając z tego, iż jest poborcą podatków.

Od Żydów dowiedział się, że Chaim, zgodnie z kodeksem swojej profesji, nigdy nie rozmawiał o klientach ani nie wspominał o rozmiarach ich długów. Jego jedynymi zapiskami były te, które spalono oraz te skradzione po zabiciu Szymona.

- Jeśli szachownica w Winchester nie ma jego rachunków, choć możliwe, że je ma, wysłałem swojego giermka, żeby to sprawdził, to król nie będzie zadowolony. Żydzi zapewniają temu krajowi sporą część dochodów. A kiedy Henryk nie jest zadowolony...

Brat Gilbert oznajmił, że wolałby raczej spłonąć, niż zwrócić się do Żydów o pieniądze.

Podobnie aptekarz krzyżowiec, to samo mówili również sir Joscelin i sir Gerwazy, choć z mniejszą żarliwością.

- Oczywiście, nie powiedzieliby mi, gdyby coś wzięli, ale wszyscy trzej wyglądali na takich, co dają sobie radę sami.

Gyltha przytaknęła.

- Dobrze im poszło w Ziemi Świętej. Jan, jak wrócił, mógł założyć własną aptekę.

Gerwazy był paskudnym smarkaczem za młodu, a teraz wcale nie jest przyjemniejszy, ale udało mu się zyskać dla siebie więcej ziemi. A młody Joscelin, chociaż dzięki tatusiowi nie miał nawet szmaty, żeby sobie okryć tyłek, przerobił Grantchester na pałac. Brat Gilbert? Brat Gilbert to zawsze brat Gilbert.

Usłyszeli ciężki oddech na schodach, do izby weszła lady Baldwin. Jedną ręką trzymała się za bok, w drugiej miała list.

- Choroba. W konwencie. Panie, miej nas w opiece. Jeśli to zaraza... Za nią weszła do środka Matylda W. List zaadresowano do Adelii. Najpierw dostarczono go do domu

Starego Beniamina, skąd pismo zabrała Matylda. Napisano je na skrawku pergaminu, wyrwanym z jakiegoś manuskryptu, co wskazywało na straszliwy pośpiech. Jednak sama treść była zwieszła i jednoznaczna.

Przeorysza Joanna przesyła pozdrowienia Pani Adelii, pomocnicy medyka Mansura, o którym słyszała same dobre rzeczy. Wśród nas wybuchła zaraza, błagam rzeczoną Panią Adelię, w imię Jezusa oraz Jego drogiej Matki, aby odwiedziła tenże konwent czcigodnej Świętej Radegundy, by opowiedzieć potem o wszystkim zacnemu lekarzowi i zabiegać o jego rady, co czynić, aby złagodzić cierpienie sióstr, które jest wielkie, a niektórym z nich nawet blisko do śmierci.

Niżej był jeszcze dopisek: „Nie będziemy targować się o zapłatę. Wszystko ma zostać załatwione dyskretnie, aby zapobiec panice”. Na dziedzińcu na Adelię czekał już stajenny z koniem.

- Dam ci trochę mojego bulionu - powiedziała żona szeryfa. - Joanna rzadko kiedy czymś się niepokoi. Tam z pewnością jest okropnie.

Pewnie tak, pomyślała medyczka, skoro chrześcijańska przeorysza błaga o pomoc saraceńskiego medyka.

- Pierwsza zachorowała infirmariuszka - opowiadała Matylda W. Usłyszała już wszystko od stajennego. - Większość z nich rzyga i wysrywa trzewia. Boże, pomóż nam, jeśli to zaraza. Czy to miasto nie dosyć wycierpiało? Co jest z tym świętym Piotrusiem, skoro nie uchronił sióstr?

- Adelio, nie pójdziesz - oznajmił Rowley.

- Muszę.

- Obawiam się, że powinna - rzekła lady Baldwin. - Przeorysza nie wpuści żadnego mężczyzny na obszar klauzury, wbrew temu co mówią te wszystkie paskudne plotki, oczywiście poza spowiednikiem. Zważywszy na to, że infirmariuszka sama zachorowała, wezwanie pani Adelii jest jedynym rozwiązaniem, zresztą znakomitym. Jeśli będziesz trzymać przy każdym nozdrzu ząbek czosnku, nie zarazisz się.

Odeszła przygotować bulion.

Medyczka przekazała Mansurowi wyjaśnienia i instrukcje.

- Mój druhu od niepamiętnych czasów, opiekuj się tym mężczyzną i tą kobietą, i tym chłopcem, kiedy mnie tu nie będzie. Nigdzie ich nie puszczaj samych. W okolicy grasuje diabeł. Strzeż ich w imię Allacha.

- A kto cię będzie strzec, maleństwo? Święte kobiety pewnie nie będą miały nic przeciwko obecności eunucha.

Adelia się uśmiechnęła.

- To nie jest harem, te kobiety strzegą swojej świątyni przed wszystkimi mężczyznami. Nic mi nie będzie.

Ulf ciągnął ją za ramię.

- Ja mogę iść. Ja jeszcze nie dorosłem, a one tam mnie znają, tam u świętej Raggy. No i ja jeszcze nigdy niczego nie złapałem.

- No i niczego nie złapiesz - oznajmiła. - Nie pójdziesz - powiedziała też Rowleyowi. Ten, krzywiąc się, zaciągnął Adelię do okna, z dala od innych.

-To jest jakiś przeklęty spisek, żeby cię stąd wyciągnąć, bezbronną - mówił. - Rakszasa macza w tym paluchy.

Kiedy Picot znowu stanął na nogach, Adelia przypomniała sobie, jaki jest wielki i czym dla tak potężnego mężczyzny musi być bezsilność. Nie przyszło jej wcześniej do głowy, że jego zdaniem następny cel zabójcy Szymona może stanowić właśnie ona. Tak jak medyczka lękała się o niego, tak on lękał się o nią. Poczulią się wzruszona, zadowolona, ale należało się jeszcze zająć tyloma rzeczami - musiała powiedzieć Gylcie, aby zmieniła lekarstwa na stole, musiała wziąć nowe medykamenty z domu Starego Beniamina... Teraz nie miała dla niego czasu.

- Ty jesteś tym, który zadawał pytania - oznajmiła łagodnie. - Błagam, zadbaj o siebie i o moich bliskich. Teraz potrzeba ci tylko opieki, a nie lekarza. Gyltha się tobą zajmie. - Próbowała się od niego odsunąć. - Wiedz, że ja muszę do nich iść.

- Na litość boską! - krzyknął. - Czy możesz choć raz przestać udawać medyka?

Udawać medyka. Udawać medyka?

Choć wciąż ją trzymał, poczuła, jakby między nimi powstaje przepaść. Patrząc w jego oczy, widziała swoje odbicie za przepaścią- dosyć miłą istotkę, jednak zwiedzioną, bo tylko szukającą sobie jakiegoś zajęcia, starą pannę wypełniającą sobie czas, aż zostanie powołana do zadań kobiety.

A jeśli tak, to czym była kolejka cierpiących, oczekująca na nią każdego dnia? Czym było to, że Gil strzecharz nadal może wchodzić po drabinie?

A czymże jesteś ty, pomyślała zadziwiona, patrząc mu w oczy, ty, który powinieneś wykrwawić się na śmierć, a jednak żyjesz?

Wiedziała z absolutną pewnością, że nigdy nie może go poślubić. Była Wezuwią Adelią Rachelą Ortese Aguilar, która może czuła się bardzo, bardzo samotna, ale pozostawała medykiem.

Otrząsnęła się, teraz stała się wolna.

- Gyltha, pacjent może zacząć odżywiać się normalnie, ale zmień te leki na świeże - oznajmiła i wyszła.

W każdym razie, pomyślała, potrzebuję zapłaty, którą obiecała przeorysza.

Kościół Świętej Radegundy i pobliskie zabudowania nad rzeką wyglądały zwodniczo miło, wzniesiono je bowiem, gdy Duńczycy zaprzestali już najazdów, jeszcze zanim fundacji zabrakło pieniędzy. Główna część klasztoru, kaplica oraz jej otoczenie były większe, stojące bardziej na uboczu i pamiętały czasy Edwarda Wyznawcy.

Stały z dala od Cam, skryte wśród drzew, tak aby długie łodzie wikingów, skradające się płytkimi dopływami, nie zdołały do nich dotrzeć. Kiedy powymierali mnisi, którzy początkowo je zamieszkiwali, klasztor przekazano zakonnikom.

Tego wszystkiego Adelia dowiedziała się od odwróconego do niej plecami Edryka. Koń zaniósł ich oboje do klasztoru przez boczną furtę w murze, bo główną bramę zaryglowano. Za nimi biegł Stróż.

Podobnie jak Matylda W. stajenny był poruszony tym, iż święty Piotruś zawiódł.

- Nie jest dobrze zamykać to wszystko, akurat kiedy zaczyna się sezon pielgrzymek - oznajmił. - U matki Joanny musi dziać się naprawdę źle.

Zostawił Adelię obok stajni i psich bud, jedynych dobrze utrzymanych budynków klasztoru, które do tej pory dostrzegła. Wskazał ścieżkę oddalającą się od padoku.

- Niech Bóg cię prowadzi - oznajmił, bo najwyraźniej on sam nie zamierzał pójść.

Medyczka jednak nie była przygotowana na odcięcie od świata zewnętrznego. Poleciała mężczyźnie, by co rano chodził na zamek, odbierał każdą wiadomość, jaką chciałaby wysłać, wypytywał, co u jej bliskich i przynosił z powrotem każdą odpowiedź.

Ruszyła ze Stróżem. Zgiełk miasta po drugiej stronie rzeki ucichł. Wokół pojawiły się skowronki, wyskakując niczym pękające bąbelki. Za plecami Adeli szczekały ogary przeoryszy, w lesie przed nią zarżała jakaś sarna.

W tym samym lesie, gdzie, jak pamiętała, rozciągała się posiadłość sir Gerwazego i w którym zniknął święty Piotruś.

- Czy można sobie z tym poradzić? - dopytywała się przeorysza Joanna. Była bardziej wymizerowana, niż kiedy Adelia widziała ją ostami raz.

- Tak, to nie jest dżuma - oznajmiła medyczka. - Ani tyfus, Panu niech będą dzięki. Żadna z sióstr nie ma wysypki. Myślę, że to cholera. - Widząc, jak przeorysza blednie, dodała jeszcze: - Słabsza odmiana niż ta, która występuje na Wschodzie, ale i tak jest niedobrze. Martwię się o twoją infirmariuszkę i o siostrę Weronikę.

Najstarsza i najmłodsza. Siostra Weronika była tą mniszką, która modląc się przy relikwiarzu świętego Piotrusia, wydała się medycze obrazem nieprzemijającego wdzięku.

- Weronika. - Przeorysza wyglądała na niesamowicie wręcz zmartwioną. Adeli i właśnie taka podobała się bardziej. - Najdelikatniejsza istota z nich wszystkich, niech Bóg ma ją w swojej opiece. Cóż należy czynić?

Właśnie, co? Medyczka z konsternacją popatrzyła na drugą stronę wirydarza, gdzie za kolumnami wznosiło się coś przypominającego powiększony gołębnik. Dwa rzędy pozbawionych drzwi łukowatych wejść, każde prowadziło do celi szerokiej na dwa yardy, gdzie leżała schorowana zakonnica.

Nie było tu infirmarium - tytuł infirmariuszki zdawał się tylko honorowym, siostrę Otylię nazywano tak, albowiem jedyna знаła się na ziołach. Nie było tu też wspólnej sypialni - czyli żadnego miejsca, gdzie dałoby się zajmować wszystkim mniszkami naraz.

- Ci zakonnicy, co tutaj mieszkali, byli ascetami, oni woleli prywatność pojedynczych cel - wyjaśniła przeorysza, dostrzegając spojrzenie Adeli. - Korzystamy z tych izb, bo nie mamy jeszcze pieniędzy na rozbudowę. Dasz sobie radę?

- Będę potrzebowała pomocy. - Samodzielna opieka nad dwudziestoma kobietami, dotkniętymi ciężką biegunką i wymiotami, stanowiłaby nierealne zadanie nawet w szpitalu. Ciągłe przechodzenie z celi do celi, w górę i w dół po paskudnie wąskich schodkach bez poręczy, sprawiłoby, że opiekun wkrótce sam potrzebowałby opieki.

- Obawiam się, że nasi służący uciekli, lękając się zarazy.

- W żadnym wypadku nie chcemy, żeby wracali - twardo odparła Adelia. Rzut oka na konwent zdradził, że ci, którzy winni utrzymywać w nim porządek, pozwolili, aby zapanowało niechlujstwo i to już na długo przed nastaniem choroby. Sam brud mógł wywołać zarazę. - Czy mogę zapytać, czy jadałaś pani z mniszkami? - odezwała się medyczka.

- A co to ma z tym wszystkim wspólnego? Przeorysza poczuła się urażona, tak jakby Adelia oskarżyła ją o jakiś grzech.

Co i zresztą uczyniła. Przypomniała sobie, jak bardzo matka Ambrozja dbała o strawę duchową oraz cielesną swoich mniszek, jak modliła się nad pokarmami podanymi w nieskazitelnie czystym refektarzu klasztoru Saint Giorgio, gdzie jedzeniu towarzyszyło czytanie Biblii. Brak apetytu u którejś z sióstr zostałby spostrzeżony i coś by w związku z tym zrobiono. Jednak lekarka nie chciała doprowadzać do konfrontacji, dlatego dodała:

- To może być związane z zatruciem.

- Zatruciem? Sugerujesz, że ktoś próbuje nas zabić?

- Celowo nie. Przypadkowo tak. Cholera to rodzaj zatrucia. Skoro wygląda na to, że akurat ciebie ominęła...

Przeorysza miała taki wyraz twarzy, jakby zaczynała żałować, że w ogóle wezwała Adelię.

- Tak jak to przyjęte, mam własną kwaterę i jestem zwykle zbyt zajęta sprawami konwentu, aby jadać razem z siostrami. W ostatnim tygodniu byłam w Ely. Radziłam się opata w... w sprawach religijnych.

Kupowała od niego konia, jak powiedział stajenny Edryk. Przeorysza Joanna mówiła dalej:

- Proponuję, abyś zawęziła swoje zainteresowanie do spraw bieżących. Powiadom swojego doktora, że tu nie ma trucicieli i w imię Boże, zapytaj go, co trzeba zrobić.

To, co należało zrobić, to wezwać pomoc. Adelia, ucieszona, że to nie powietrze w klasztorze sprawia, iż zakonnice czują się źle, chociaż było wilgotne i pachniało zgnilizną, powróciła w okolice psiarni i wysłała stajennego Edryka po obie Matyldy.

Przybyły razem z Gylthą.

- Chłopiec jest bezpieczny na zamku z sir Rowleyem i Mansurem

- oznajmiła gospodyni, kiedy lekarka ją zganiła. - Domyśliłam się, że będziesz mnie potrzebować bardziej niż on.

Bez wątpienia miała rację, ale to było też niebezpieczne dla nich wszystkich.

- Cieszyć się będę z waszej obecności za dnia - oznajmiła medyczka trójce kobiet. - Nie zostaniecie jednak na noc, póki nie wygaśnie choroba, nie wolno wam również tu jeść

żadnego pokarmu ani pić wody. Nalegam. Poza tym w wirydarzu będą stać wiadra z gorzałką i po tym jak dotknięcie mniszek albo ich nocników, albo czegokolwiek, co do nich należy, musicie zanurzyć tam dłonie.

- W gorzałce?

- W gorzałce. Adelia miała własną teorię na temat chorób w rodzaju tej, która zmogła mniszki. Podobnie jak wiele jej teorii, i ta była sprzeczna z naukami Galena lub innych lekarskich autorytetów. Medyczka uważała, że biegunka w takich wypadkach jak ten stanowiła próbę uwolnienia się ciała od substancji, której nie potrafiło znieść. W tej czy innej formie trafiała do niego trucizna i w tej czy innej formie z niego wychodziła. Woda często bywała skażona, jak na przykład w biedniejszych dzielnicach Salerno, gdzie wciąż panowały choroby, dlatego należało uważać ją za źródło zatrucia tak długo, aż zostanie udowodnione, iż dzieje się inaczej. Skoro destylaty, w tym wypadku gorzałka, często powstrzymywały ropienie ran, mogły także podzielać na jad, przenoszący się przez dotyk, i zapobiec jego wchłonięciu. Tak rozumowała Adelia i tak zrobiła.

- W mojej gorzałce? - wyraziła niezadowolenie przeorysza, widząc, jak zawartość beczułki z jej piwnic trafia do dwóch wiader.

- Medyk kazał tak zrobić - wyjaśniła lekarka, jakby wiadomość, którą Edryk przywiózł z zamku, zawierała instrukcje od Mansura.

- Chciałabym, żebyś wiedziała, że to najlepsza hiszpańska gorzałka - odparła Joanna.

- To nawet lepiej.

Były teraz w kuchni, gdzie Adelia miała przewagę nad przeoryszą. Podejrzewała, że zakonnica jeszcze nigdy nie wchodziła do tego pomieszczenia. Było ciemne i brudne, gdy się w nim zjawiły, spod ich stóp czmychnęło kilka szcurek. Stróż zaszczeł na nie z większą werwą, niż medyczka kiedykolwiek u niego widziała. Na kamiennych ścianach widniały tłuste plamy, szpary w sosnowym blacie, ledwo widoczne spod zalegających na nim odpadków, wypełniał brud. Czuła słodkawą woń zgnilizny. W garnkach wiszących na hakach zalegały porośnięte puszystą pleśnią resztki posiłków, kosze z mąką zostawiono bez przykrycia, zdawało się, że coś się w nich porusza, podobnie w otwartych kadziach z wodą. Adelia zastanawiała się, czy przypadkiem właśnie w jednej z nich zakonnice nie wygotowały ciała świętego Piotrusia i czy naczynie w ogóle potem umyły. Skrawki przylepione do noża do mięsa śmierdziały jak zgniła ropa.

Adelia, skończywszy je wachać, uniosła wzrok.

- Mówisz, że nie było tu żadnego truciciela? Twoich kucharzy należałoby za to wtrącić do lochu.

- Nonsens - odparła zakonnica. - Trochę brudu jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Jednak pociągnęła swojego ogara za obrozę, by nie lizał jakiejś nieznannej masy przylepionej do półmiska na podłodze. Przeorysza, gdy doszła już do siebie, oznajmiła:

- Płacę medykwowi Mansurowi, żeby moje mniszki wydobrzały, a nie żeby jego podwładna myszkowała po obejściu.

- Mansur mawia, że dbałość o pacjenta równa się dbałości o jego obejście.

Adelia nie dawała za wygraną. Najciężej chorym zaaplikowała pigułki z opium, aby powstrzymać konwulsje. Dopóki kuchnia nie zostanie doprowadzona do porządku, to poza umyciem pozostałych cierpiących i podaniem im do picia przegotowanej wody, czym zajęły się Gyltha i Matylda, niewiele można będzie zdziałać.

Medyczka odwróciła się do Matyldy B., albowiem jej przypadła owa herkulesowa praca.

- Dasz sobie radę, malutka? Oczyszczysz tę stajnię Augiasza?

- To oni też trzymali tutaj konie? - Dziewczyna, podwijając rękawy, rozejrzała się wokół.

- Całkiem możliwe.

Adelia, idąc w ślad za urażoną przeoryszą, ruszyła na obchód klasztoru. Na półkach w refektarzu stały poopisywane słoje, które dobrze świadczyły o znajomości ziół przez siostrę Otylię, chociaż znajdowała się tam również spora ilość opium. Zdaniem medyczki zbyt spora. Znajac moc tego specyfiku, trzymała swój mały zapas dobrze schowany.

Woda w konwencie okazała się nieskażona. Zabarwione torfem, ale czyste źródło było ujęte w kanał, który biegł pomiędzy budynkami. Przede wszystkim służył do zaspokajania potrzeb kuchni i dostarczania ryb do klasztornej kociołki, następnie wody do pralni, potem do umywalni, aż wreszcie strumyk spływał łagodnym zboczem pod długą ławką z wieloma otworami, stanowiącą wychodek. Sama ławka wyglądała na dosyć czystą, chociaż nikt nie

oczyszczał ścieku pod nią już od wielu lat. Pracę tę Adelia zarezerwowała dla przeoryszy, nie widząc powodu, aby zajmowała się tym Gyltha czy Matyldy.

Ale to później. Zrobiwszy wszystko, co w jej mocy, by stan pacjentek bardziej się nie pogorszył, całą energię skupiła na ratowaniu im życia.

Przeor Gotfryd przybył zaś, aby ratować ich dusze. To było szlachetne z jego strony, zważywszy na niechęć panującą między nim a przeoryszą. Stanowiło też akt odwagi. Ksiądz, który zazwyczaj wysłuchiwał spowiedzi sióstr, odmówił wizyty, bojąc się zarazy, i wysłał zamiast tego list zawierający odpuszczenie wszelkich grzechów, jakie tylko mniszki mogły popełnić.

Padalo. Gargulce wypluwały wodę z dachu nad krużgankami prosto na zaniedbany ogród pośrodku dziedzińca. Przeorysza Joanna powitała zakonnika, dziękując mu ze sztywną uprzejmością. Adelia zabrała mokry płaszcz Gotfryda, aby wysechł w kuchni.

Do czasu jak wróciła, przeor Gotfryd był już sam.

- Niech Bóg strzeże tę kobietę - powiedział. - Myślę, że ona podejrzewa, iż przyjechałem, aby ukraść jej kości świętego Piotrusia, teraz, kiedy jest w takiej niedoli.

Adelia ucieszyła się, że go widzi.

- Wszystko u ciebie w porządku, przeorze?

- Całkiem nieźle. - Mrugnął do niej. - Na razie, on działa dobrze. Był szczuplejszy, niż kiedy spotkała go po raz ostatni, zdawał się też mniej ociążały. Uradowało ją to, podobnie jak posługa, z którą przybył.

- Ich grzechy zdają się niewielkie, tyle że nie w ich mniemaniu - powiedziała o mniszkach.

Siostry, w chwilach największej męki, kiedy sądziły już, że są bliskie zgonu, wyznały większość win, przez które obawiały się ognia piekielnego.

- Siostra Walburga zjadła trochę kielbasy, jaką wiozła w górę rzeki dla pustelniczek, ale sądząc z jej wyrzutów sumienia, to można by sądzić, że była jeźdźcem Apokalipsy i nierządnicą babilońską w jednym.

W rzeczy samej, medyczka już zdążyła przekonać się o niesłuszności oskarżeń, jakie wysuwał wobec zakonnicy brat Gilbert. Lekarz poznaje od swoich ciężko chorych pacjentów wiele sekretów, dowiedziała się zatem, że te kobiety są co prawda leniwe, niedyscyplinowane i w większości nieuczone, co wszystko zresztą dawało się wytłumaczyć zaniedbaniami, których dopuściła się przeorysza -jednak nie są rozwiązłe.

- Chrystus wybaczy tę kielbasę - poważnie stwierdził przeor Gotfryd.

Do czasu, gdy skończył spowiadać siostry na parterze budynku, zapadł już zmrok. Adelia czekała na niego pod celą siostry Weroniki, na samym krańcu rzędu izb, tak aby oświetlić drogę na piętro.

Zatrzymał się na chwilę.

- Udzieliłem siostrze Otylii ostatniego namaszczenia.

- Przeorze, mam nadzieję, że jeszcze da się ją uratować. Poklepał ją po ramieniu.

- Nie, nawet jeśli potrafisz czynić cuda, moje dziecko. - Obejrzał się ku celi, z której właśnie wyszedł. - Żał mi siostry Weroniki.

- Mnie też. - Młoda zakonnica czuła się znacznie gorzej, niż powinna.

- Spowiedź jej nie ulżyła - oznajmił przeor Gotfryd. - To może być właśnie krzyż takich świątobliwych osób jak ona, że za bardzo obawiają się Boga. Dla Weroniki krew Pana naszego wciąż jest świeżo przelana.

Adelia pomogła mu, przy akompaniamencie utyskiwań, wejść po schodach śliskich od deszczu i wróciła na dół, do celi siostry Otylii. Infirmariuszka leżała już od wielu dni, jej ręce chude jak patyki, pokryte wżartym brudem, łapały koc, starając się go zrzucić.

Lekarka przykryła ją, starła nieco oleju z ostatniego namaszczenia, spływającego po czole i spróbowała nakarmić przyniesioną przez Gylthę galaretką z cielecych nóg. Stara kobieta zacisnęła wargi.

- To ci doda sił - zaklinała Adelia.

Nie było dobrze. Dusza Otylii chciała już się wydostać z wycieńzonego ciała.

Zostawienie jej teraz samej było wręcz dezercją, ale Gyltha i Matyldy wychodziły na noc, chociaż niechętnie, i lekarka musiała nakarmić wszystkie mniszki, zdana tylko na własne siły oraz na przeoryszę.

Walburga, ta siostra Tłuscioszka, o której mówił Ulf, teraz znacznie chudsza, oznajmiła:

- Pan mi wybaczył. Chwalmy Pana.

- Tak właśnie myślałam. No, otwórz buzię. Po kilku łyżkach jedzenia mniszka znowu się zatroskała.

- Kto teraz nakarmi pustelniczki? To będzie już w ogóle okropne, jak one się zagłodzą na śmierć.

- Powiem o tym przeorowi Gotfrydowi. No, otwieraj usta. Jedna łyżeczka za Boga Ojca. Grzeczna dziewczynka, jedna za Ducha Świętego...

Siostra Agata w celi obok po trzech łyżkach dostała ataku torsji.

- Nie przejmuj się - powiedziała medycze, ocierając usta. - Jutro już mi będzie lepiej. Co u innych? Chcę znać prawdę.

Adelia lubiła Agatę, mniszkę, która była na tyle dzielna czy też na tyle pijana, żeby prowokować brata Gilberta podczas uczyty w Grantchester.

- Większość czuje się lepiej. - A potem w odpowiedzi na zdziwione spojrzenie, dodała jeszcze: - Ale siostra Otylia i siostra Weronika wciąż nie mają się tak dobrze, jakbym chciała.

- Och, tylko nie Otylia - szybko powiedziała Agata. - Ten kochany, stary chudzielec. Maryjo, Matko Boża, wstaw się za nią.

A Weronika? Za nią Maryja nie miała się wstawiać? To pominięcie zdało się dziwne, zwłaszcza że zdarzało się ciągle, zawsze gdy chore pytały o swoje siostry w Chrystusie. Interesowała się nią tylko Walburga, mającą mniej więcej tyle samo lat.

Może odpychały je uroda i młodość dziewczyny, podobnie jak fakt, że najwyraźniej była faworytą przeorowszy.

Zaiste, faworytą, pomyślała Adelia. Na twarzy Joanny, kiedy oglądała mękę Weroniki, widziała udrękę świadczącą o wielkiej miłości. Lekarka, wyczulona na miłość we wszystkich jej formach, złapała się na tym, że szczerze żałuje tej kobiety, i zastanawia się, ile energii musi wkładać w łowy, aby odsuwać od siebie tę namiętność. U niej, jako mniszki, zwłaszcza zajmującej wysokie stanowisko, na pewno wywoływała ogromne wyrzuty sumienia.

Czy siostra Weronika wiedziała, że jest obiektem pożądania? Przypuszczalnie nie. Jak powiedział przeor Gotfryd, ta dziewczyna miała w sobie coś niezziemskiego, co widać było po jej życiu duchowym, którego brakowało reszcie konwentu.

Jednak pozostałe zakonnice musiały wiedzieć. Młoda mniszka nie skarżyła się, ale siniaki na jej skórze wskazywały na to, że ją bito.

Kiedy Gotfryd odwiedził już chore z górnych cel, Adelia kazała mu umyć ręce w gorzałce. Rozbawiło go to.

- Zazwyczaj stosuję ją wewnętrznie. Jednakowoż nie kwestionuję niczego, co każesz mi zrobić.

Odprowadziła przeora do furty, gdzie stajenny czekał już na niego z dwoma końmi.

- Co za pogańskie miejsce - powiedział duchowny, ociągając się z wyjazdem. - Może to kwestia architektury albo barbarzyńskich mnichów, którzy to zbudowali, ale kiedy tu jestem, zawsze bardziej czuję obecność rogatego boga niżli światłości i teraz wcale nie mam na myśli przeorowszy Joanny. Już samo ułożenie cel... - Skrzywił się. - Niechętnie zostawiam tu ciebie, samą, bez pomocy.

- Mam Gylthę i dwie Matyldy - odparła Adelia. - I oczywiście, Stróża.

- Gyltha jest z tobą? To dlaczego jej nie widziałem? No, to nie ma się czym przejmować. Ta kobieta potrafi załatwić siły ciemności jedną ręką.

Pobłogosławił ją. Stajenny wziął od Gotfryda pudełko z krzyżem, schował do sakwy przy siodle, pomógł kanonikowi wsiąść na konia i obaj zniknęli w mroku.

Przestało padać, ale księżyc, który powinien być już w pełni, zasłaniały gęste chmury. Pod odjeździe przeora Adelia stała jeszcze chwilę, wsłuchując się w stukot podków, rozchodzący się wśród ciemności.

Nie powiedziała duchownemu, że Gyltha nie zostaje na noc i że ona sama właśnie nocy się lęka.

- Pogańskie miejsce - rzuciła na głos. - Nawet przeor to czuje. Wróciła do wirydarza, jednak zostawiła otwartą furte. Na zewnątrz

konwentu nie znajdowało się nic, czego by się obawiała, ona bała się klasztoru. Nie było w nim czym oddychać, nie było bożej światłości, nie było okien, nawet w kaplicy, tylko wąskie szczeliny w murach z ciężkiego, pozbawionego ozdób kamienia. Ów materiał pokazywał, w obronie przed jaką dzikością tutaj budowano.

Ale ta dzikość i tak dostała się do środka, pomyślała Adelia. Wznoszący się w kaplicy



ohydny, pradawny maszyw grobowca ozdabiała rzeźbione wizerunki gryzących się wilków i smoków. Na ołtarzu zdobne ramy otaczały jakąś postać z uniesionymi ramionami, może świętego Łazarza, chociaż światło świec nadawało jej demonicznego wyglądu. Liściaste dekoracje, wieńczące łuki wejść do cel, naśladowały groźny gąszcz oplatający kolumny bluszczem i pnączami.

Nocą, siedząc przy posłaniu mniszki, Adelia, która nie wierzyła w diabła, spostrzegła, że nasłuchuje go i otrzymuje odpowiedź pod postacią sowego pohukiwania. Dla medyczki, tak jak dla przeora Gotfryda, owe dwadzieścia dziur, dziesięć na górze, dziesięć na dole, w których ulokowano zakonnice, wzmacniało tylko poczucie obcowania z jakimś dawnym barbarzyństwem. Kiedy szła od celi do celi, musiała przywoływać odwagę, by chodzić po tych paskudnych, czarnych stopniach i wąskiej, prowadzącej do nich półce.

Za dnia, kiedy Gyltha i Matyldy już wróciły, przynosząc ze sobą zgiełk i zdrowy rozsądek, lekarka pozwoliła sobie na godzinę czy dwie odpoczynku w kwaterze przeoryszy, ale nawet wtedy owe dwa rzędy cel wciskały się do jej pełnej wyczerpania drzemki, tak jakby były grobowcami jaskiniowców.

Następnego wieczoru, kiedy poszła wzdłuż krużganków, aby zajrzeć do siostry Weroniki, światło jej latarni tak zamigotało na paskudnych głowach u kapiteli kolumn, że wyglądały niczym żywe. Szczerzyły się do niej. Cieszyła się, że u boku ma psa.

Weronika rzucała się na swoim posłaniu, przepraszając Boga za to, że nie umiera.

- Wybacz mi, Panie, że nie jestem z Tobą. O, Panie, porzuć swój gniew, wybacz moje przewiny, jako że przyszłabym do Ciebie, gdybym tylko mogła...

- Bzdura - powiedziała jej Adelia. - Bóg jest z ciebie całkowicie zadowolony i chce, żebyś żyła. Otwórz usta i zjedz trochę tej pysznej galaretki z cielejących nóg.

Ale Weronika, podobnie jak Otylia, niczego nie jadła. Wreszcie Adelia dała jej pół opiumowej pigułki i siedziała przy niej, aż narkotyk zaczął działać. To była najskromniejsza cела spośród wszystkich dwudziestu, jej jedyną ozdobę stanowił krzyż, podobnie jak wszystkie ściennie krucyfiksy tutaj, upleciony z łożyny.

Gdzieś wśród mokradeł zabuczał bąk. Na kamienie na zewnątrz kapła woda z regularnością działającą medycznie na nerwy. Słyszała odgłosy wymiotów, dobiegały z celi siostry Agaty, gdzieś dalej w krużgankach. Poszła do niej.

Wyszła z dziedzińca, aby opróżnić nocnik. Kiedy wracała, chmury przesunęły się nieco, dopuszczając trochę księżycowego światła i Adelia ujrzała postać mężczyzny obok jednej z kolumn podtrzymujących przejście.

Zamknęła oczy, potem otworzyła je i ruszyła przed siebie.

To było złudzenie, wywołane grą cieni i lśnieniem deszczu. Nikogo tam nie było. Położyła dłoń na kolumnie, aby oprzeć się na chwilę, oddychała ciężko. Ta postać miała rogi. Stróż chyba niczego nie spostrzegł, ale on rzadko cokolwiek zauważał.

Jestem bardzo zmęczona, pomyślała.

Przeorysza Joanna krzyknęła z celi Otylii przenikliwym głosem...

Kiedy już odmówiły modlitwy, Adelia i przeorysza zawinęły ciało infirmariuszki w całun i przeniosły do kaplicy, trzymając między sobą. Położyły na katafalku zaimprovizowanym z dwóch stołów okrytych sukniem, u wezglowia i u stóp ustawiły zapalone świece.

Przeorysza została, aby odśpiewać requiem. Medyczka wróciła do celi, chcąc czuć przy Agacie. Wszystkie mniszki spały, co stanowiło dla niej ulgę. Nie powinny dowiedzieć się o śmierci jednej z nich aż do ranka, kiedy będą już silniejsze.

Jeśli w ogóle w tym straszliwym miejscu nastanie jakiś ranek, pomyślała. „Pogańskie miejsce”, mówił przeor. Z tej odległości kontralt przeoryszy odbijał się echem po kaplicy, brzmiąc nie tyle jak chrześcijańskie requiem, ile lament nad poległym wojownikiem. Czy to śmierć Otylii, czy też jakiś żywioł tkwiący w owych kamieniach przywołał na wiry darz rogatą postać?

Znużenie, raz jeszcze powiedziała sobie Adelia. Jesteś zmęczona.

Ale tamten obraz wciąż nie znikał i aby się go pozbyć, używała wyobraźni, przywołując inną postać, bardziej krągłą, weselszą, bezgranicznie ukochaną, aż wreszcie Rowley całkiem zajął miejsce tego straszego cienia. Uspokoiła się jego obecnością, jej strach pozostał gdzieś na zewnątrz, zapadła w sen.

Siostra Agata umarła następnej nocy.

„Jej serce po prostu przestało bić”, napisała Adelia w liście do przeora Gotfryda. „Czuła się nawet dobrze, nie spodziewałam się tego”. I się popłakała.

Dzięki wypoczynkowi oraz dobremu jedzeniu Gylthy pozostałe zakonnice szybko dochodziły do siebie. Weronika i Walburga, młodsze od pozostałych sióstr, wydobrzały nawet szybciej, niż medyczka by sobie życzyła, bo z trudem opierała się ich zapałowi. Nalegały, aby pozwolono im ruszyć w górę rzeki i wieźć zapasy zaniedbanym pustelniczkom, na co Adelia nie mogła się zgodzić. Zwłaszcza że każda z nich musiałaby wziąć jedną łódź, aby zawieźć odpowiednią ilość jedzenia i opału.

Medyczka zwróciła się do przeoryszy Joanny z pretensją, iż nie powstrzymuje zakonnice od nadmiernego wysiłku.

Ze zmęczenia zrobiła to w sposób niezbyt taktowny.

- One są wciąż moimi pacjentkami. Nie mogę na to pozwolić.

- One wciąż są moimi mniszkami. I jestem odpowiedzialna za pustelniczki. Od czasu do czasu zwłaszcza siostra Weronika potrzebuje swobody i samotności, które może wśród nich znaleźć. Zawsze tego poszukuje i zawsze zostaje tym obdarzona.

- Przeor Gotfryd obiecał, że zawiezie pustelniczkom wszystko, czego potrzebują.

- Nie mam dobrego mniemania o obietnicach przeora Gotfryda.

To nie było ani pierwsze, ani drugie, ani nawet trzecie starcie Joanny i Adelii. Zwłaszcza przeorysza, świadoma, że jej częsta nieobecność sprowadziła zarówno konwent, jak i mniszki na skraj upadku, nieświadomie starała się ratować swój autorytet, przeciwstawiając się lekarce.

Kłóciły się już o Stróża, bo zakonnica twierdziła, że cuchnie, co zresztą było prawdą - jednak nie śmierdział bardziej niż miejsce, w którym mieszkały siostry. Kłóciły się też o podawanie opium, albowiem Joanna postanowiła stanąć po tej samej stronie, co reszta Kościoła.

- Ból zsyłany jest przez Boga, tylko Bóg może go odsuwać.

- Kto tak mówi? Gdzie w Biblii jest tak napisane? - dopytywała się natarczywie Adelia.

- Mówi się, że ta roślina uzależnia. Zażywanie jej staje się przyzwyczajeniem.

- Nic takiego się z nimi nie stanie. One nie wiedzą, co zażywają. To tylko czasowe lekarstwo, środek nasenny, aby ulżyć ich cierpieniom.

Może dlatego, że wówczas wygrała, teraz przegrała. Obie zakonnice dostały od zwierzchniczki pozwolenie, by zawieźć zapasy do pustelni - i Adelia wiedziała, że nie zdoła już nic więcej zdziałać. Opuściły klasztor dwa dni później.

Był to ten sam dzień, kiedy w Cambridge wędrowni sędziowie zebrali się na sądy.

Ten hałas w każdych okolicznościach byłby ogromny, a dla Adelii, której uszy przyzwyczały się do ciszy, okazał się wręcz ogłuszający. Zmęczyła się pieszą wędrowką z klasztoru, którą odbyła, dźwigając ciężką medyczną torbę, teraz chciała już tylko wrócić do domu Starego Beniamina i odpocząć. Zamiast tego utknęła w tłumie po niewłaściwej stronie ulicy Mostowej, czekając, aż przejdzie cały pochód.

Na początku nie wiedziała, że to właśnie początek sądów. Kawalkada odzianych w liberie muzyków, dmących w trąby i bijących w bębny, zabrała ją z powrotem do Salerno, gdzie w tydzień przed Środą Popielcową zawsze odbywało się *carnevale*, mimo ustawicznych protestów Kościoła.

Później zjawilo się jeszcze więcej bębnow, ujrzała też pedeli w bardzo ozdobnych strojach z wielkimi złotymi buzdyanami trzymanymi na ramionach. I na Boga, potem jeszcze biskupów w mitrach oraz opatów na koniach o zdobnych rzedach, jeden czy dwaj właśnie machali do tłumu. I jeszcze ktoś przebrany za kata, w kapturze i z toporem...

Wtedy zrozumiała, że kat wcale nie jest przebierańcem, że teraz nie pojawią się akrobaci i tańczące niedźwiedzie. Gdzieniedzie pobłyskiwały trzy lwy Plantagenetów, a piękne lektyki na barkach ludzi w tabardach niosły królewskich sędziów, którzy przybyli, aby położyć Cambridge na wadze sprawiedliwości, i jeśli Rowley miał rację, mieć będą do miasta wiele zastrzeżeń.

Jednak ludzie wokół medyczki wiwatowali, jakby byli wygłodniali rozrywki i jakby właśnie sąd oraz wyroki śmierci mogły im jej dostarczyć.

Adelia, oszołomiona wrzawą, nagle zobaczyła Gylthę, przepychającą się przez tłum, przez ulicę. Usta miała otwarte, jakby też wiwatowała. Jednak wcale tego nie robiła.

Dobry Boże, nie pozwól jej tego powiedzieć. Tego nie można powiedzieć, tego nie dałoby się przecież znieść. Niech ona nie wygląda, jakby miała to powiedzieć.

Gyltha wbiegła na ulicę, jakiś jeździec musiał powściągnąć wodzę, mnąc w ustach przekleństwo, jego koń szarpnął się na bok, aby nie stratować kobiety. Coś mówiła, na coś patrzyła, coś kurczowo ścisnęła. Podchodziła coraz bliżej, zaś Adelia odsuwała się od niej, pragnąc uniknąć spotkania, jednak piskliwy krzyk objawił wszystko.

- Widziałaś gdzieś mojego chłopczyka? Zachowywała się jak ociemniała. Złapała medyczkę za rękaw, nie poznając jej.

- Widziałaś mojego chłopczyka? Wołają go Ulf. Nie mogę go znaleźć.

Rozdział 14

Adelia siedziała na brzegu Cam, w tym samym miejscu i na tym samym przewróconym do góry nogami wiadrze, gdzie siedział Ulf, kiedy łowił ryby.

Patrzyła na rzekę. Nic poza tym.

Za domem, który miała za plecami, ulice pełne były zgielku i wrzawy, częściowo w związku z sądami, a częściowo za sprawą poszukiwań Ulfa.

Gyltha, Mansur, obie Matyldy, pacjenci Adelii, klienci Gylthy, przyjaciele, sąsiedzi, sędzia parafialny, wszyscy szukali dziecka - i ogarniała ich coraz większą rozpacz.

- Chłopakowi nudziło się na zamku i chciał pójść na ryby. - Mansur opowiadał Adelii tak beznamiętnie, że niemal surowym tonem. - Poszedłem z nim. Potem ta mała grubaska - miał na myśli Matyldę B. - zawołała mnie do domu, żebym naprawił nogę od stołu. Kiedy znowu wyszedłem na zewnątrz, już go nie było. - Arab unikał wzroku medyczki, co pokazywało, jak bardzo czuje się zmieszany. - Powiedz tej kobiecie, że mi przykro - dodał.

Gyltha go nie obwinała, nikogo o nic nie winała. Rozpacz, która ją przygniotła, była zbyt wielka, aby przerodzić się we wściekłość. Kobieta zapadła się w sobie, zmieniając się w kogoś znacznie mniejszego, starszego. Nie potrafiła ustać spokojnie. Ona i Mansur przeszukali już rzekę wzdłuż i wszerz, wy pytali wszystkich, czy nie widzieli chłopca, wskakiwali do wszystkich łodzi, aby zrywać przykrycie ze wszystkiego, co tylko było osłonięte. Dzisiaj zaś wypytywali kupców przy Wielkim Moście.

Adelia nie poszła tam z nimi. Całą noc stała w oknie izby na piętrze, patrzyła na rzekę. Dziś zaś siedziała w miejscu, gdzie wcześniej siedział Ulf, i dalej na nią patrzyła, ściśnięta smutkiem tak straszliwym, że nie mogła się poruszyć. Ale i tak, mimo wszystko, tkwiła na tym brzegu. „To rzeka”, twierdził chłopiec, i w głowie wciąż słyszała, jak to powtarza, albowiem gdyby przestała, usłyszałaby jego krzyk.

Przybył Rowley, utykał, przedzierając się przez trzciny. Chciał ją stamtąd zabrać. Mówił coś do niej, trzymał ją. Zdawało się, że namawia, aby poszła na zamek, gdzie sam musiał pozostać, zajęty sprawami związanymi z sądami. Ciągle coś wspominał o królu, ale niemal go nie słyszała.

- Przykro mi - stwierdziła. - Ale ja muszę zostać tutaj. Wiesz, to jest rzeka. To rzeka go zabrała.

- Jak rzeka mogła go zabrać? - pytał spokojnie, brał ją za szaloną, którą zresztą była.

- Nie wiem - odparła. - Muszę tu zostać, póki się nie dowiem. Dręczył ją. Kochała go, ale nie aż tak, by z nim pójść. Teraz kierowała nią inna, silniejsza miłość.

- Wrócę tu jeszcze - oznajmił w końcu. Przytaknęła, ledwie zauważając, że odszedł. To był piękny dzień, słoneczny i ciepły. Niektórzy przepływający na łodziach, wiedząc, co się stało, wołali słowa otuchy do tej kobiety na brzegu, co siedziała na wiadrze odwróconym do góry nogami, z psem u boku.

- Nie martw się, kaczuszko. Może on gdzieś się bawi. Jeszcze wróci jak zły szeląg!

Inni odwracali oczy i trwali w ciszy.

Ale medyczka ani ich nie widziała, ani nie słyszała. Widziała tylko nagiego Ulfa, chudego chłopczyka, szarpającego się w objęciach Gylthy, kiedy trzymała go nad balią, gotowa, by wrzucić do wody.

To rzeka.

Decyzję podjęła wtedy, kiedy późnym popołudniem na swojej płaskodennej łodzi zjawily się Weronika i Walburga. Gruba mniszka dostrzegła Adelię, podpłynęła do brzegu.

- Pani, nie bądź na nas zła. Przeor nie wysłał nawet tyle jedzenia, by nakarmić kociaka, i musimy płynąć tam raz jeszcze. Ale teraz jesteśmy już znowu silne, prawda, siostrzo? Silne

Bogiem.

Siostra Weronika była zatroskana.

- Co się stało, pani? Wyglądasz na znużoną.

- Nie ma się czemu dziwić - oznajmiła Walburga. - Znużona jest opieką nad nami. To prawdziwy anioł, niechaj będzie błogosławiona.

To rzeka.

Adelia wstała z wiadra.

- Popłynę z wami, jeśli można. Uradowane, pomogły jej wsiąść do łodzi i usadowiły na ławeczce

przy rufie. Kolana skuliła pod brodą, pod stopami miała skrzynię z kurami. Zakonnice śmiały się, kiedy Stróż, Śmierdziuszek, jak go nazywały, niechętnie ruszył, by towarzyszyć im na przybrzeżnej ścieżce.

Przeorysza Joanna, opowiadały, głosiła wszem wobec rehabilitację świętego Piotrusia, jako że chociaż tyle mniszek zachorowało, to umarły tylko dwie, w dodatku jedna leciwa. Święty nie zawiódł więc w potrzebie.

Obie zakonnice na zmianę odpychały łódź drągiem, co pokazywało, że jeszcze nie całkiem odzyskały siły, ale niewiele sobie z tego robiły.

- Wczoraj było ciężiej - oznajmiła Walburga - miałyśmy osobne łódki. Jednak siła Pana była po naszej stronie.

Ona mogła popłynąć dalej bez odpoczynku, niemniej to Weronika była szczuplejsza, oszczędniejsza w ruchach i ładniej wyglądała, kiedy jej smukłe ramiona przyciskały drąg, unosiły go, ledwie mącąc wodę, w blasku zachodzącego słońca przybierającą bursztynową barwę.

Minęły Trumpington, Grantchester...

Dotarli na odcinek rzeki, którego Adelia nie zdołała zbadać z Mansurem i Ulfem. Tutaj ciek rozdzielał się na dwie części. Cam płynęła dalej na południe, od wschodu wpadała do niej jakaś inna rzeka.

Łódka skręciła na wschód. Walburga, która teraz ją pchała, odpowiedziała na pytanie Adeli, pierwsze, które medyczka dziś im zadała.

- Ta rzeka? To Granta. Ona zabierze nas do pustelników.

- I do twojej cioteczki - dodała Weronika z uśmiechem. - Zabierze nas też do twojej cioteczki, siostró.

Walburga uśmiechnęła się szeroko.

- Właśnie tak. Ale się zdziwi, widząc mnie drugi raz w tygodniu.

Wraz z rzeką zmienił się też krajobraz, zaczynał bardziej przypominać płaskowyż, gdzie trzciny i olchy zastąpiła trawa oraz wyższe drzewa. W półmroku Adelia dostrzegała częścię żywopłoty i płoty, a nie jak dotąd wały i rowy. Księżyc, dotąd cienki sierp na wieczornym niebie, nabierał objętości.

Stróż zaczął utykać. Weronika stwierdziła, że biedak winien podróżować razem z nimi. Gdy kury przestały już protestować przeciwko jego obecności, nastąpiła cisza, przerywana tylko ostatnimi ptasimi trelami.

Walburga skierowała łódkę do wąskiej zatoczki, skąd wiodła ścieżka na jakąś farmę. Kiedy zakonnica już się wygramoliła na brzeg, oznajmiła Weronice:

- Siostró, nie będziesz targała tego wszystkiego dalej sama. Niech te staruchy ci pomogą.

- Pomogą.

- Zdołasz sama wrócić? Weronika skinęła głową i się uśmiechnęła. Walburga dygnęła przed

Adelią, potem zamachała na pożegnanie.

Granta stała się węższa i ciemniejsza, widać się płytką doliną, gdzie od czasu do czasu jakiś buk schylał się nisko nad wodą. Zakonnica musiała się kulić, aby uniknąć gałęzi. Zatrzymała się, zapaliła latarnię, którą umieściła na pokładzie pod stopami. Oświetliła czarną wodę przed nimi na odległość mniej więcej trzech stóp, blask odbił się w zielonych ślepiach jakiegoś stworzenia, które popatrzyło na wędrowców, a potem zawróciło, aby zniknąć gdzieś w podszyciu.

Kiedy wyłoniły się zza drzew, księżyc znowu sprawił, że otoczył je srebrny, czarno-biały krajobraz pastwisk i żywopłotów. Weronika podpłynęła ku lewemu brzegowi.

- Koniec podróży, chwała Panu - oznajmiła. Adelia spojrzała przed siebie i wskazała

wielki kształt o płaskim

wierzchołku, majaczący w oddali.

- Co to jest? Weronika odwróciła się, aby tam spojrzeć.

- Tam? To wzgórze Wandlebury.

Oczywiście, to mogło być tylko ono.

Na szczycie wzgórza jakby osiadła maleńka, migocząca gwiazda i jak to gwiazda - zwodnicza, jedno mrugnięcie sprawiało, że znikwała, a drugie, iż powracała.

Adelia przesunęła się, aby pozwolić Weronice dźwignąć skrzynię z kurami, tę, którą miała pod nogami.

- Poczekam tutaj - oznajmiła.

Mniszka spoglądała na nią z powątpiewaniem, a potem na kosze w łodzi, które też należało przenieść do niewidocznych stąd pustelni.

- Zostawisz mi latarnię? - zapytała medyczka. Siostra Weronika pochyliła głowę.

- Boisz się ciemności? Adelia zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Tak.

- W takim razie zatrzymaj ją i niech Pan ma cię w opiece, ja za chwilę wrócę.

Mniszka zarzuciła sobie wór na plecy i chwyciwszy skrzynię w wolną rękę, ruszyła między drzewa oświetloną księżycem ścieżką.

Adelia poczekała, aż zakonnica odejdzie, później przeniosła Stróża na brzeg, wzięła latarnię, uniosła, sprawdzając, czy ze świecą wszystko w porządku i czy ma odpowiednią grubość. Potem ruszyła naprzód.

Jakiś czas rzeka i biegnąca obok ścieżka wiły się prawie w tym samym kierunku, co ten obrany przez medyczkę. Jednak milę dalej Adelia dostrzegła, że droga prowadzi ją za daleko na południe. Zeszła z niej, chcąc iść dokładnie na wschód, bo tak trasa wiodąca ku wzgórzu wyglądałaby z lotu kruka - tyle że kruk nie musiałby pokonywać wszystkich przeszkód, z którymi musiała zmierzyć się ona: wielkich połaci jeżyn, górtek i jarów śliskich od niedawnego deszczu, płotków, na które czasem dawało się wdrapać albo przez nie precyzyjnie, a czasem nie.

Jeśli ze wzgórza Wandlebury spoglądały na nią jakieś ludzkie oczy, widziały maleńkie, błędzące światełko, przemierzające ciemności, kręcące się tu i tam, jakby bez konkretnego celu. Naprawdę jednak omijała przeszkodę za przeszkodą. Czasem światło zatrzymywało się, gdy lekarka upadała, a upadała niezgrabnie, chroniąc latarnię od uderzenia w ziemię i zgaśnięcia. Stróż czekał obok niej, aż wstanie.

Od czasu do czasu, choć niczego nie słyszała, zaskakiwał ją przebiegający drogę jeleni albo lis. Jej własny, szlochający oddech stał się zbyt głośny, by mogła słyszeć cokolwiek innego, chociaż nie szlochała ze smutku albo strachu, jedynie z wysiłku.

Ale ten, kto patrzył na nią ze wzgórza Wandlebury, jeśli ktokolwiek na nią stamtąd patrzył, spostrzegł, że pomimo ustawicznego błędzenia, światełko wciąż się zbliża.

Adelia, przedzierając się przez swoją dolinę ciemności, widziała, jak wzgórze z wolna rośnie, aż wreszcie przesłania wszystko. Gwiazda wplątana w jego szczyt już nie migotała, tylko świeciła stałym blaskiem.

Kiedy lekarka szła, mało nie wymiotowała, osłabiona własną głupotą. Dlaczego nie przyszłam tutaj od razu? Mówiły mi to ciała dzieci, mówiły mi... Kreda, powiedziały. Zostałyśmy zabite na kredzie. Rzeka mnie zmyliła. Ale rzeka prowadzi ku wzgórzu Wandlebury. Powinnam od razu się domyślić.

Podrapana i zakrwawiona, kulejąc, chociaż wciąż z palącą się latarnią, podźwignęła się na jakąś płaską powierzchnię i odkryła, że to jest owo miejsce na starej rzymskiej drodze, gdzie kiedyś przeor Gotfryd krzyczał do wszystkich, którzy słuchali, że nie może się wysikać.

Nikogo tu teraz nie było. Zrobiło się już późno, księżyc wisiał wysoko, jednak Adelia znajdowała się gdzieś poza czasem. Nie istniała tam przeszłość, w której żyli jacyś ludzie. Nie istniało dziecko, zwane Ulfem, przestała je słyszeć i widzieć. Było tylko wzgórze, a ona musiała dotrzeć na jego szczyt. Pies podążał za nią. Ruszyła stromą ścieżką, nie pamiętając, kiedy szła nią pierwszy raz, wiedziała tylko, że właśnie wtedy należało iść.

Kiedy spieszyła na szczyt, musiała poszukać tego migoczącego światełka, zdumiona, że choć sprowadziło ją z oddali, to teraz zniknęło. O Boże, nie daj mu zgasnąć. W ciemnościach i wśród tych pagórkowatych bezmiarów ona nigdy nie odnajdzie drogi.

Zobaczyła je między jakimiś krzakami i pobiegła, zapominając o zagłębieniach w ziemi.

Tym razem kiedy upadła, latarnia zgasła. Nieważne, zaczęła się czołgać.

To było dziwne światło, ani ogień, ani rozproszony blask świec. Bardziej promień skierowany ku górze. Kiedy po omacku zmierzała w tamtą stronę, dłonie natrafiły na pustkę i medyczką szarpnęło do przodu, tak że aż zgarbiła się nad opadającym zboczem. Stróż patrzył prosto przed siebie i tam właśnie było to, trzyardy dalej, pośrodku miskowatej niecki. Nie ogień, nie latarnia. Nikt też tam nie stał. Światło wydobywało się z dziury w ziemi. Patrzyła na rozwartą paszczę piekiel, oświetloną przez płomienie, buchające gdzieś niżej.

Adelia musiała teraz wysilić się ze wszystkich mocy i wezwać na pomoc każdy znany jej okruczeństwo filozofii naturalnej, każdą udowodnioną hipotezę, każdy ułamek zdrowego rozsądku, aby przeciwstawić się chęci wycia ze strachu, panice, każącej odczołgać się od tej dziury i płakać z przerażenia. Modliła się o wsparcie: „O Wszechmogący Boże, obroń mnie przed grozą nocy”.

To nie otchłań piekielna, stanowczo powiedział jakiś głos w jej głowie. To tylko zwykła otchłań.

Oczywiście. Jakaś otchłań. Tylko otchłań. A w niej Ulf.

Zaczęła czołgać się przed siebie, uderzyła w coś kolanem, coś leżącego na trawie. Zdawało się tylko kamieniem, ale po chwili dłonie odkryły, że zostało wytworzone przez ludzkie ręce, okazało się wielkim i solidnym kołem. Przeczłogała się nad tym, spostrzegając, że jest okryte warstwą torfu.

Wyciągnęła rękę, by powstrzymać Stróża od podchodzenia zbyt blisko, potem z wolna jak żółw, wyciągając szyję, zerknęła ponad krawędzią otchłani.

To nie była otchłań. To był szyb o szerokości mniej więcej dwóch jardów, Bóg wie, jak głęboki - światło padające z jego wnętrza przeszkadzało w ocenie dystansu - jednak z pewnością głęboki. W dół, gdzieś w biel, prowadziła drabina. Biel, wszędzie była biel, tak daleko, jak tylko Adelia sięgała wzrokiem.

Kreda. Oczywiście, to przecież kreda, ta kreda, którą znalazła na martwych dzieciach.

Rakszasa tego wszystkiego sam nie wykopał. To wymagało prac na wielką skalę. Ale znalazł owe miejsce i wykorzystał, och, jakże dobrze wykorzystał.

Czy właśnie takie były wszystkie zagłębienia terenu na wzgórzu? Czy były zasypanymi wejściami do kopalń? Ale po co komu aż tyle kredy?

Nieważne. Nieważne komu. Tam na dole jest Ulf.

A także zabójca. Oświetlił to miejsce, pozapalał pochodnie. Właśnie to światło widział pasterz. Dobry Boże, przecież powinniśmy to odnaleźć. Chodziliśmy po całym śmierdzącym wzgórzu, zaglądałiśmy w każdą dziurę. Jak mogliśmy przegapić otwarte zaproszenie do podziemi?

Bo nie było wtedy otwarte, pomyślała. Okryte torfem koło, nad którym się przeczłogała, nie było wcale kołem. Było pokrywą. Umieszczone na swoim miejscu sprawiało, że zagłębienie wyglądało jak zwykła niecka.

Co za cwany typ z tego Rakszasy.

Ale przygotowujące o dreszcze przerażenia osobą zabójcy teraz już jakby zelżało, bo Adelia wiedziała, że kiedy wóz Szymona wiózł przeora Gotfryda drogą po wzgórzu Wandlebury, Rakszase ogarnęła panika.

Czując brzemień winy, wyjął nocą ciała z szybu i zaniósł w dół zbocza, żeby jego kryjówka pozostała nieznana.

Właśnie szyb jest twoim sanktuarium, pomyślała, tak cennym, że aż narażasz się dla niego. On jaśnieje dla ciebie, tak jak dla mnie teraz, nawet zasłonięty pokrywą. Jest tunelem do twojego ciała, wejściem do twojej gnijącej duszy, przeznaczeniem, które należy ukrywać. Bo wiesz, iż jego istnienie wzywa o pomstę do nieba.

A ja właśnie to znalazłam.

Nasłuchiwała. Wzgórze wokół szeleściło życiem, jednak z szybu nie wydobywał się żaden dźwięk. Nie powinna przychodzić tutaj sama, na Boga, nie powinna. Jakaż przysługę wyświadcza temu chłopczykowi, skoro nie przyprowadziła ze sobą wsparcia i nie powiedziała nikomu, dokąd zmierza?

Ale przecież taka była potrzeba chwili. Nie miała pojęcia, co innego mogłaby uczynić. W każdym razie, zrobiła to, mleko zostało rozlane i ktoś musiał je posprzątać.

Jeśli Ulf nie żyje, mogłaby wyciągnąć drabinę i wepchnąć pokrywę na miejsce, grzebiąc zabójcę żywcem, potem odejść, zostawiając Rakszase, aby miotał się we własnym grobowcu.

Jednak wierzyła, że chłopiec żyje, jak inne dzieci trzymany jest w spiżarni demona, aż będzie już dla niego gotowy - wiarę tę opierała na tym, co kiedyś powiedziało jej martwe ciało. Cóż to za kruchy dowód, coś za wątła nić przekonania, ale przecież właśnie ona wyciągnęła ją z łodzi zakonnicy i kazała maszerować poprzez bezdroża do owej piekielnej jamy...

I co dalej?

Leżąc na brzuchu twarzą w stronę otchłani, Adelia rozważała poszczególne możliwości, kierując się chłodną logiką rozpaczy. Nie mogła biec po pomoc, zresztą biorąc pod uwagę, jak długo by trwało jej sprowadzenie, niczego by nie wskórała. Ostatnie domostwo, jakie widziała w okolicy, należało do ciotki siostry Walburgi - zresztą teraz, kiedy znalazła się tak blisko Ulfa, nie wolno jej było go zostawiać. Mogła też zejść do szybu i zostać zabita, na co zresztą musi się przygotować, jeśli tylko dzięki temu dziecko zdoła uciec.

A gdyby, co przyniosłoby zdecydowanie większy pożytek, dotarła tam na dół i sama zabiła mordercę? Musiała jednak znaleźć broń. Tak, powinna rozejrzeć się za jakimś kijem albo kamieniem, czymś ostrym...

Obok niej Stróż drgnął gwałtownie. Czyjeś ręce chwyciły Adelię za kostki stóp, uniosły je tak, że medyczka ześlizgnęła się w dół. Wtedy, sapnąwszy z wysiłku, ten ktoś cisnął ją do jamy.

Ocaliła ją drabina. Medyczka uderzyła w nią w połowie spadania, złamała kilka żeber, ale resztę dystansu przebyła, ześlizgując się po szczelkach. Miała nawet czas, który zdawał się jej całkiem długi, aby jeszcze pomyśleć: - nie mogę stracić przytomności, po czym uderzyła głową w podłogę i straciła przytomność.

Świadomość wracała jej długo, wędrując powoli przez zamglony tłum ludzi, którzy nalegali, aby się ruszyła, popychali ją i mówili do niej, irytowali tak bardzo, że gdyby nie wielki ból, kazałaby im przestać. Stopniowo odchodzili, głosy cichły, aż został tylko jeden, który wciąż ją denerwował.

- Cicho bądź - powiedziała i otworzyła oczy, jednak każdy ruch bardzo bolał, więc postanowiła zostać nieprzytomna jeszcze jakiś czas. To jednak było niemożliwe, bo przecież czekała ją groza i ktoś jeszcze, a zatem umysł, zdeterminowany, by zapewnić przetrwanie jej samej i jeszcze komuś, nalegał, by zacząć działać.

Siedź spokojnie i myśl. Boże, co za ból. Jakby rozłupywano jej czaszkę. Pewnie miała wstrząśnienie mózgu - nie dawało się określić, jak bardzo poważne, nie wiedziała bowiem, jak długo pozostawała nieprzytomna. A jedynie to pozwoliłoby ustalić stopień urazu. Do diabła, ale boli. Tak samo zebra, przypuszczalnie dwa złamane, ale - popróbowowała z głębokim, bolesnym oddechem - chyba żadne nie przebiło płuca. Jednak co z tego, skoro ręce miała wyciągnięte do góry, ponad głowę i czuła ucisk na klatkę piersiową.

Głupstwo. Jesteś w takim niebezpieczeństwie, że twój stan zdrowia nie jest ważny. Myśl i przetrwaj.

Aha. Czyli jakoś znalazła się w szybie. Przypomniała sobie, że była na górze. Przez chwilę, w krótkim przeblasku, ujrzała zbliżającą się zewsząd biel. Nie potrafiła sobie tylko przypomnieć, co działo się pomiędzy. Zwyczajny efekt wstrząśnienia mózgu. Pewnie ktoś ją zepchnął albo sama spadła.

Spadł ktoś jeszcze, a może został zniesiony na dół przed nią lub po niej. Gdy medyczka spróbowała otworzyć oczy, dostrzegła postać pod przeciwległym murem. To był właśnie ów ktoś, kto bezustannie i w tak irytujący sposób hałasował.

-Ocal-mnie-zachowaj-Panie-mój-a-ja-podażać-będę-za-Tobą-po--kres-mych-dni-ja-korzę-się-przed-Tobą-ukarz-mnie-swym-batem-i--skorpionami-lecz-zachowaj-mnie...

Tak mamrotała siostra Weronika. Mniszka stała mniej więcej trzy jardy dalej, po drugiej stronie pozbawionej sufitu izby stanowiącej dno jamy. Jej welon zerwano, ściągając w dół, na szyję, włosy opadały na twarz niczym pasma ciemnej mgły. Ręce miała wyciągnięte nad głowę, podobnie jak Adelia. Zakuto je w kajdany i przyczepiono do bolca w ścianie.

Groza odebrała zakonnicy zmysły. Ślina spływała jej po podbródku, ciało trzęsło się tak, iż żelazne kajdany na przegubach grzechotały, akompaniując modlitwie i błaganiom o uwolnienie.

- Chcę, żebyś siedziała cicho - rozkazała Adelia. Oczy Weroniki rozwarły się szeroko, był w nich szok i nieco usprawiedliwionego oburzenia.

- Poszłam za tobą - odparła. - Gdzieś przepadłaś, a ja poszłam za tobą.  
- To nie było mądre.  
- Bestia jest tutaj. O Maryjo, Matko Boża, chroń nas, on mnie tu zabrał, tutaj na dół, on nas pożre. Jezu, Maryjo, ocal nas obie, on ma rogi.  
- Dobra, dobra, tylko przestań wreszcie krzyczeć.  
Wytrzymując ból, Adelia odwróciła głowę, chcąc się rozejrzeć. Pies leżał u stóp drabiny, miał złamany kark.

Do gardła cisnął jej się szloch. Nie, nie teraz, powiedziała sobie w duchu. To nie miejsce na to, nie możesz teraz go oplakiwać. Aby przetrwać, musisz myśleć. Och, biedny Stróžu...

Płomienie dwóch pochodni wetkniętych w uchwyty, wysoko po obu stronach szybu, oświetlały szorstkie, zaokrąglone ściany z bieli, tu i ówdzie oszpecone zielonymi porostami. Medyczka i Weronika wyglądały, jakby znalazły się na dole wielkiej tuby z grubego, brudnego oraz pogniecionego papieru.

Były same. Adelia nigdzie nie widziała żadnego śladu wspomianej przez mniszkę bestii, tylko dwa tunele, wychodzące z obu stron pomieszczenia. Ten z lewej miał tak niewielkie wejście, że trzeba by się przez nie przeczołgać, ograniczała je żelazna krata. Tunel z prawej oświetlały kolejne, niewidoczne stąd pochodnie, powiększono go tak, aby dawało się nim przejść bez schylania się. Zakręcał, dlatego medyczka nie potrafiła określić, jaki jest długi, ale zaraz przy wejściu, oparta i odbijająca kredową ścianę naprzeciwko, stała podniszczona, wypolerowana tarcza z wygrawerowanym krucjatowym krzyżem.

A na honorowym miejscu, pośrodku owej sali tortur, w połowie drogi między medyczką, Weroniką i martwym psem, stał ołtarz bestii.

To było kowadło. Tak normalne na swoim zwykłym miejscu, tutaj wyglądało straszliwie. Kowadło dźwignięte przez kreaturę z przytulnego ciepła krytej strzechą kuźni po to, aby gwałcić na nim dzieci. Na metalu leżała broń, błyszczące wśród płam ostrze włóczni. Fasetowane, tak jak rany, które zadało.

Krzemień. Dobry Boże, krzemień. Krzemień, jego żyły występują przecież wśród kredy. Jakieś pradawne demony natrudziły się nad tą kopalnią, aby wydobywać krzemień, który mogły formować i nim zabijać. Rakszasa, równie prymitywny jak one, używał narzędzia stworzonego przez ciemny lud z ciemnych czasów.

Zamknęła oczy.

Krwawe plamy były zaschnięte. Ostatnio nikt nie umarł na tym kowadle.

- Ulf! - krzyknęła, otwierając oczy. - Ulf! Z lewej strony, gdzieś z głębi ciemnego tunelu, dobiegł stłumiony

jęk, zagłuszany porowatą kredą. Ale i tak wyraźny.

Adelia zwróciła twarz ku kręgowi nieba nad głową i podziękowała Bogu. Mdłości wywołane wstrząśnieniem mózgu, odorem kredy oraz smrodem żywicy, z której zrobiono pochodnie, ustąpiły miejsca powiewowi świeżości, majowemu powietrzu. Chłopiec żył.

Dobrze. Tutaj, na kowadle, ledwie kawałek dalej, leżała broń gotowa, aby ją użyć.

Ale dłonie medyczki były spętane, domyśliła się tego po rękach siostry Weroniki. Jeśli położenie mniszki odpowiadało jej własnemu, to kajdany krępujące wyciągnięte ramiona zostały przyczepione do bolca, umieszczonego w gołej kredzie. Kreda to tylko kreda, kruszy się, aż w końcu wokół bolca zostaje tylko pył, który go nie może utrzymać.

Adelia naprężyła łokcie, pociągnęła za trzpień sterczący nad głową. O Boże, do diabła. Ból gorącym ostrzem przeniknął jej pierś. Tym razem już na pewno, na pewno przebiła płuco. Zawisła, dysząc, czekając, aż ustami popłynie jej krew. Po chwili ujrzała, że jednak nie płynie, ale gdyby ta przekłeta zakonnica przestała wreszcie jęczeć...

- Przestań bełkotać! - wrzasnęła na dziewczynę. - Popatrz, musisz to ciągnąć. Ciągnąć za ten trzpień w ścianie. On z niej wyjdzie, jeżeli szarpniesz.

Nawet mimo bólu czuła, że kreda u góry troszeczkę ustępuje.

Jednak Weronika nie mogła pójść w jej ślady, a dokładnie rzecz ujmując, to nawet nie mogła móc. Oczy miała szeroko otwarte i dzikie, niczym sarna w obliczu sfory psów. Bełkotała.

Czyli muszę to zrobić sama.

Kolejnego pociągnięcia z całych sił dałoby się już chyba uniknąć, wiercenie kajdanami mogło przesunąć bolec tak, by stworzyć wokół niego ubytek na tyle spory, by wyciągnąć ten metalowy trzpień.



Gorączkowo zaczęła kręcić rękoma, w górę i w dół, nie zważając na nic oprócz tego kawałka żelaza, tak jakby została wciśnięta w kredę razem z nim. Kruszyła ją wokół niego, ziarno po ziarnie, walcząc, nadal walcząc, ale już prawie widziała końcówkę opornego bolca, wyłaniającą się z...

Mniszka wrzasnęła.

- Cicho - odkrzyknęła jej Adelia. - Muszę się skupić. Zakonnica nie przestawała wrzeszczeć.

- On nadchodzi! Z prawej kątem oka dostrzegła ruch. Niechętnie odwróciła głowę.

Tunel zakręcał, pozwalając Weronice zajrzeć w jego głąb, ale nie Adelii, wiszącej naprzeciwko dziewczyny. Ona jednak ujrzała odbicie bestii w tarczy. Nierówna, wypukła powierzchnia ukazywała obraz ciemnego cielska, jednocześnie pomniejszony i potworny. Istota była naga, spoglądała na siebie samą. Musnęła swoje genitalia, a potem to, co miała na głowie.

Śmierć przygotowywała się na swoje wejście.

Wśród tej obezwładniającej grozy Adelie opuściła cała odwaga. Gdyby mogła upaść na kolana, czołgałaby się u stóp kreatury, błagając: „weź mniszkę, weź chłopca, tylko mnie oszczędź”. Gdyby miała wolne ręce, skoczyłaby do drabiny, zostawiając Ulfa tu, na dole. Straciła całą odwagę, cały rozsądek, wyjąwszy chęć przetrwania.

I żal. Żal wcisnął się w jej panikę wizją, jednak nie Stwórcy, lecz Rowleya Picota. Miała umrzeć i co okropne, nie zaznając bliskości jedyne go mężczyzny, którego pragnęła.

Kreatura wyłoniła się z tunelu. Była wysoka, a jeszcze wyższą czyniło ją poroże przyczepione do głowy. Górną część twarzy i nos skrywała odarta ze skóry czaszka jakiejś rogatej istoty, jednak ciało było ludzkie, z ciemnymi włosami na klatce piersiowej oraz kroczu. Penis sterczał. Istota przeszła obok Adelii, ocierając się o nią. Tam, gdzie powinny znajdować się sarnie ślepia, były otwory, przez które, mrugając, patrzyły oczy ludzkie i błękitne. Usta szczyrzyły się w uśmiechu. Czują zwierzęcy zapach.

Zwymiotowała.

Kiedy istota odsunęła się, aby uniknąć wymiocin, poroże zachybotało się i Adelia dostrzegła kawałki sznurka, którymi owe rogi przymocowano do głowy Rakszasy, choć nie aż tak mocno, by zapobiec chybotaniu się, kiedy istota wykonywała jakiś nagły ruch.

Ależ prostackie. Medyczkę zdjęły pogarda i furia. Miała ważniejsze rzeczy do roboty, niż tkwić tutaj, straszona przez jakiegoś oszusta w skleconym naprędcie przebraniu.

- Ty śmierdzące psie łajno - rzuciła mu. - Nie boję się ciebie. Zresztą w tej chwili trudno mu było ją przerazić. Zbiła go z tropu. Oczy pod maską drgnęły. Spomiędzy zębów wydobył się syk. Kiedy stwór cofał się, ujrzała, że jego przyrodzenie opadło.

Jednak macał za sobą jedną ręką, nie spuszczać wzroku z Adelii. Jego dłoń natrafiła na ciało siostry Weroniki, przesunęła się po nim w górę, aż dotarła do krawędzi otworu na szyję w habicie i szarpnięciem rozdarła go aż po pas. Dziewczyna wrzasnęła.

Istota, ciągle wpatrując się w Adelię, przez chwilę chybotła się, potem zrobiła zwrot i ukąsiła Weronikę w pierś. Kiedy odwróciła się z powrotem, aby sprawdzić reakcję medyczki, przyrodzenie znowu nabrzmiało.

Medyczka zaczęła kląć. Słowa stanowiły jedyne pociski, którymi mogła miotać, i obrzucała go teraz nimi bez wahania.

- Ty obsrany ryju, ty śmierdzący dziadu, i na co cię stać? Na to, żeby krzywdzić związane kobiety i dzieci? Inaczej się nie podniecisz? Wyglądasz jak żarcie dla psów, ty synu ospowatej świni, pod tym wszystkim wcale nie jesteś żadnym mężczyzną, ale obsranym maminsynkiem!

Kto to wszystko krzyczał, Adelia tak naprawdę nie wiedziała, nie dbała o to. Miała umrzeć, ale nie zamierzała ginąć w poniżeniu jak Weronika, zamierzała przeklinać.

Boże Wszechmogący, trafiła w samo sedno. Istota znowu utraciła erekcję. Kreatura syknęła i nie spuszczać wzroku z medyczki, zszarpała mniszce odzienie aż do kroczu.

Arabski, hebrajski, łacina, saksoński, angielski zasłyszany od Gylthy, Adelia klęła we wszystkich tych językach. Z pomocą przychodził jej brud z niepoznanych rynsztoków.

Nazywała bestię trzęsiworem, smarkulcem, kozojebcą, śmierdzącą rzycią, woniejącym gównem wyrodkiem, *Homo insanus*.

Kiedy krzyczała, spoglądała na przyrodzenie istoty, bo ono było jak flaga sygnalizująca zwycięstwo, jego albo jej. Zabijanie je unosiło, wiedziała o tym, ale żeby mogło sterczeć,

ofiara musiała się bać. Istniały takie stworzenia... kiedyś opowiadał jej o tym przybrany ojciec... takie gady, które zaciągały ludzi pod wodę i trzymały długo, aż ofiarom napuchły ciała, tak by stać się smakowitym posiłkiem. Ofiary tego potwora, tutaj, rozmiękczał strach.

- Ty jesteś... rogaczem! - wrzasnęła. Przerażenie stanowiło dla Rakszasy przyprawę dodającą smaku, ono

było jego podnieceniem, jego solą. Wystarczyło go jej pozbawić, a on, jeśli dobry Bóg pozwoli, nie zabije.

Krzyczała więc na niego. Nazywała zarzyganym pajakiem, dziadem z mózgiem jak purchawka, krzyczała, że większe jaja widziała u komara.

Nie było czasu, aby się sobie dziwić. Przetrywaj. Drwij. Niech krew krąży w twoich żyłach i z dala od niego. Wypowiadając każde obelżywe słowo, szarpała żelaznymi kajdanami na rękach - boleć tkwiący w ścianie wysuwał się z niej coraz bardziej.

Na brzuchu Weroniki pojawiła się krew. Jej strach ze zgrozy przeszedł w stan, w którym ciało zrobiło się wiotkie, zubożniałe na napastowanie przez bestię - głowę trzymała odchyloną do tyłu, oczy miała zamknięte, usta rozciągnięte w kościotrupim uśmiechu.

Adelia dalej klęła.

Ale teraz Rakszasa sam wyrwał kajdany zakonniczy ze ściany. Odsunął się, by uderzyć dziewczynę w twarz, potem złapał ją za kark, zmuszając, żeby pomaszerowała w stronę mniejszego tunelu, gdzie rzucił ją na kolana. Jednym szarpnięciem zdjął kratę.

- Przynieś go - rozkazał.

Potok przekleństw rzucanych przez Adelię zelżał. Ten potwór zamierzał sprowadzić dziecko do owej nieczystości i je splugawić.

Weronika, na kolanach, uniosła wzrok ku swojemu katu, najwyraźniej oszołomiona. Rakszasa kopnął ją w pośladki, kierując w stronę wejścia do korytarza. Ciągłe jednak patrzył na Adelię.

- Przynieś chłopca. Mniszka poczołgała się do tunelu, kiedy pełzła, brzęk jej kajdan cichł, tłumiony.

Adelia odmawiała cichą modlitwę. Wszechmogący Boże, weź mą duszę. Więcej już nie dam rady znieść.

Rakszasa uniósł ciało Stróża. Cisnął je na kowadło, pies upadł na grzbiet. Wciąż nie spuszczać wzroku z kobiety, sięgnął po krzemienisty nóż i jakby próbując ostrza, przejechał nim po wnętrzu przegubu. Uniósł rękę, aby pokazać krew.

On potrzebuje mojego strachu, pomyślała. I ma go.

Zamknęła oczy. To była gra, przedstawienie, a ona nie chciała na to patrzeć. Nawet jak odetnie mi powieki, nie będę na to patrzeć.

Ale musiała słuchać, jak nóż uderza w ciało, słuchać chlupnięć i trzasku kości, raz za razem.

Już nie przeklinała, nie było w niej buntu, dłonie miała spokojne. Jeżeli ona właśnie jest w piekle, pomyślała tępo, to dla niego będzie przygotowane coś naprawdę specjalnego.

Hałasy ucichły. Usłyszała zbliżające się kłapanie stóp potwora, czuła jego odór.

- Patrz - powiedział. Pokręciła głową, poczuła uderzenie w lewe ramię, ból sprawił, że otwarła oczy. Dźgnął ją nożem, by zwrócić na siebie jej uwagę. Był zirytowany.

- Patrz.

Oboje to słyszeli. Odgłosy szarpaniny dochodzące z mniejszego tunelu. Pod rogatą maską wyszczerzył zęby. Rakszasa spojrział w stronę wejścia do korytarza, skąd gramolił się Ulf. Adelia spojrzała wraz z nim.

Boże, ocal go, ten chłopiec zdawał się taki mały, taki naiwny, zbyt prawdziwy, zbyt normalny jak na potworną scenę, którą przygotowała mu kreatura. Tak tutaj nie pasował, że Adelia poczuła wstyd, iż znalazła się tu w jego obecności.

Był ubrany, zataczał się na wpół przytomny, ręce miał skrępowane z przodu. Okolice ust i nosa poplamione laudanum. Przyłożono mu je do twarzy, aby siedział cicho.

Jego spojrzenie z wolna powędrowało na poszarpaną masę na kowadle, a oczy otworzyły się szeroko.

- Nie bój się, Ulf- krzyknęła. To nie było wezwanie, to był rozkaz. Zobaczyła, jak chłopiec próbuje się skupić.

- Nie będę - wyszeptał.

Adelii wróciła odwaga. I nienawiść. I wściekłość. Żaden ból na całym świecie nie mógł jej

teraz powstrzymać. Rakszasa odwrócił się od niej w stronę Ulfa. Szarpnęła rękoma i boleć wyleciał ze ściany, tym samym ruchem przesunęła ramiona do dołu, aby łańcuch łączący kajdany trafił na szyję bestii, pozwalając ją udusić.

Medycze nie udało się podnieść łańcucha wystarczająco wysoko, zaczepił o rogi. Szarpnęła, poroże przechyliło się zabawnie do tyłu i na bok, trzymające je sznurki znalazły się pod nosem Rakszasy i na jego oczach.

Przez chwilę potwór był oślepiiony, atak sprawił, że stracił równowagę. Poślizgnął się i upadł. Adelia wraz z nim, na strzępy psich jelit, od których zrobiło się ślisko na podłodze.

Rozległy się chrząknięcia, jej i Rakszasy, zawisła na nim, ale nie mogła zrobić nic więcej, przyczepiona łańcuchem do jego rogów, do których on z kolei przywiązany był sznurkiem. Tak więc trwali splątani ze sobą, jego ciało wiło się pod jej ciałem, jej kolana wierciły się na wyprostowanym ramieniu potwora, trzymającym ostrze. Leżąc niezgrabnie, starał się zrzucić z siebie medyczkę, tak by móc uderzyć ją nożem w plecy. Walczyła, by nie zdołał się przemieścić i jej zabić. Cały czas krzyczała.

- Uciekaj Ulf! Drabina! Uciekaj!

Grzbiet potwora, który miała pod sobą, wyprężył się, uniosła się wraz z nim, a potem opadła na nowo, kiedy Rakszasa raz jeszcze się poślizgnął. Nóż wypadł mu z ręki, poleciał na bok. Morderca, wciąż niosąc na sobie Adelię, zaczął się czołgać ku broni, tak napierając na Ulfa i Weronikę, że wpadli w sam środek walki. Cała czwórka tarzała się tam i z powrotem po obślizgłej podłodze, spleciona w misterny supeł.

Pojawił się jeszcze jeden nowy element. Rozległ się jakiś dźwięk, ale to nie znaczyło nic, bo Adelia była jakby ślepa i głucha. Jej ręce odnalazły rogi, niezgrabnie je wykręcały, by ich ostre końce wbić w czaszkę Rakszasy. A ten nowy hałas był niczym. Jej własna męka była niczym. Przekrećaj! Prosto w mózg. Przekrećaj! Jemu nie wolno mnie zrzucić! Jemu nie wolno odejść! Przekrećaj! Zabij!

Sznurek trzymający rogi pękł, zostawiając je medycze w rękach. Ciało kreatury wyslizgnęło się spod niej, przekrećiło, skuliło do skoku.

Przez chwilę trwali naprzeciwko siebie, spoglądając sobie w oczy i dysząc. Dźwięk stał się teraz głośny. Dochodził z góry szybu, stanowił połączenie znajomych odgłosów, tak bardzo niepasujących do toczącej się walki, że Adelia nie zwracała na nie uwagi.

Ale dźwięk znaczył coś dla bestii. Wyraz jej oczu się zmienił. Medyczka ujrzała w nich otepienie, umknęła z nich czujna radość zabijania. Istota wciąż pozostawała potworem o wyszczerzonych zębach, jednak zadarła głowę, wężąc, nasłuchując. Przestraszyła się.

Dobry Boże, pomyślała Adelia i aż bała się uwierzyć. Boże, to jest właśnie to, piękny, och, jakże przepiękny głos rogu i szczekanie psów.

Polowanie na Rakszase.

Jej usta rozwarły się w uśmiechu równie zwierzęcym jak ten istoty.

- Teraz umrzesz - oznajmiła. W dół szybu dobiegł krzyk.

- Heeeeeej!

To piękne, och, przepiękne. To był głos Rowleya. A wielka stopa Picota stanęła już na stopniu drabiny.

Istota nerwowo łypała oczyma, gorączkowo szukała noża. Adelia jednak pierwsza spostrzegła broń.

- Nie.

Skoczyła do noża, przykryła go. Nie dostaniesz go! Rowley, z mieczem w ręku, zbliżał się do ostatnich szczebli drabiny, drogę zagrażały mu ciała Ulfa i Weroniki.

Z podłogi lekarka sięgnęła, aby złapać mijającą ją stopę Rakszasy, jednak palce ześlizgnęły się po niej. Picot kopnięciem odrzucił mniszkę i chłopca z drogi. Adelia zobaczyła dłonie oraz pośladki Rakszasy, kiedy ten skoczył do większego tunelu, który po chwili zatarasował poborca podatków, biegiem rzucając się za potworem. Medyczka zobaczyła, jak Picot upada, macha rękoma, potknąwszy się o tarczę. Usłyszała, że przeklina - a potem zniknął.

Usiadła i spojrzała w górę. Szczekanie psów było teraz głośniejsze. Widziała pyski i zęby wystające znad krawędzi szybu. Drabina drżała. Jeszcze ktoś inny nią schodził.

Adelia chyba nie miała takiego miejsca na ciele, które by jej nie bolało. Była bliska omdlenia, ale jeszcze nie ważyła się tego zrobić. To nie koniec. Nóż zniknął.

Podobnie Weronika i chłopiec.

Rowley wypadł z tunelu, kopniakiem usuwając tarczę z drogi, tak że potoczyła się i uderzyła w kowadło. Wziął pochodnię ze ściany, ponownie zniknął w korytarzu.

Medyczka znalazła się w ciemnościach. Zniknęła druga pochodnia. Migoczące światło pokazało obłok kredowego pyłu oraz rąbek czarnego habitu, znikający w tunelu, z którego wcześniej wyłonił się Ulf.

Adelia ruszyła w tamtą stronę. Nie. Nie, nie teraz. Jesteśmy uratowani. Zostaw go.

To był jakiś niewielki górniczy chodnik, niewyeksplorowany, bo blask pochodni Weroniki, kiedy tam weszła, ukazał połyskliwą linię krzemienia, biegnącą przez ścianę niczym pas boazerii. Tunel zakręcał w ślad za pokładem, odcinając lekarkę od światła z przodu. Znalazła się w ciemnościach tak głębokich, jakby oślepla. Szła dalej.

Nie, nie teraz. Teraz jesteśmy ocaleni.

Czołgała się bokiem, lewe ramię miała osłabione tam, gdzie dźgnął Rakszasa. Jestem zmęczona, jestem taka zmęczona, zmęczona strachem. Nie ma czasu na zmęczenie, o nie. Nie teraz. Pod prawą ręką chrzęściły okruchy kredy, kiedy przyciskała do nich wnętrze dłoni. Muszę go od ciebie zabrać. Daj mi go.

Dotarła do nich, byli w małej komnacie, szczepieni ze sobą niczym para królików. Bezwładny Ulf w uścisku zakonnicy, z zamkniętymi oczyma. Siostra Weronika trzymała pochodnię jedną ręką, drugą, którą obejmowała dziecko, dzierżyła nóż.

Piękne oczy patrzyły przytomne. Wrócił jej rozsądek, chociaż z kącika ust spływała strużka śliny.

- Musimy go chronić - oznajmiła Adeli. - Bestia go nie dostanie.

- Nic mu nie zrobi - spokojnie odparła medyczka. - Siostrze, on odszedł. Będzie ścigany. Daj mi nóż.

Jakieś szmaty leżały na ziemi obok żelaznej budy, z której wystawała psia smycz wraz z obrozą, w sam raz pasującą na szyję dziecka. Znaleźli się w spiżarni Rakszasy.

Ujrzała obłe ściany, przez migoczący płomień pochodni zabarwione na czerwono. Obrazki na ścianach zdawały się poruszać. Adelia, która nie ważyła się oderwać wzroku od oczu zakonnicy, nie miała najmniejszego zamiaru tam spoglądać. W tej parodii łona, embriony czekały wszak nie na narodziny, lecz na śmierć.

Odezwała się Weronika:

- „Lecz kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą we Mnie, temu byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi...”.

- Tak siostrze. Tak się stanie.

Medyczka podczołgała się bliżej i wyjęła nóż z dłoni zakonnicy. Trzymając Ulfa między sobą, przeciągnęły go tunelem. Kiedy weszły

do szybu, ujrzały łowczego Hugona, który jak oszołomiony rozglądał się wokół z latarnią w rękę. Z drugiego tunelu wyłonił się Rowley. Kłął, rozgorączkowany.

- Zgubiłem go, tutaj są tuziny korytarzy i jeszcze zgasła mi ta parszywa pochodnia. Drań znał drogę, ja nie. - Odwrócił się do Adeli, tak jakby na nią też był wściekły. Bo był na nią wściekły. - Jest tu jeszcze jakiś inny szymb? - rzucił i po chwili namysłu dodał jeszcze: - Kobiety, jesteście ranne? Co z chłopcem?

Popędzał je, aby wchodziły po drabinie. Lekarka trzymała Ulfa.

Dla Adeli owa wspinaczka trwała nieskończenie długo, wejście na każdy szczebel okupiała takim bólem i osłabieniem, że gdyby nie podtrzymująca jej plecy dłoń Hugona, spadłaby. Ramię bolało ją tam, gdzie dźgnął potwór, bała się, że mógł zatrzeć ostrze. Ależ głupio byłoby teraz umrzeć. Poleję to gorzałką, powtarzała sobie w myślach, można też przyłożyć torfowiec, nie wolno ci teraz umrzeć, nie, kiedy wygraliśmy.

A gdy wystawiła już głowę z szybu, owionęło ją świeże powietrze... Wygraliśmy, Szymonie. Wygraliśmy.

Trzymając się najwyższego szczebla, spojrzała w dół, na Rowleya.

- Teraz wszyscy będą już wiedzieć, że nie zrobili tego Żydzi.

- Wszyscy się dowiedzą - powiedział. - Chodź. Weronika chwyciła go, płacząc i bełkocząc. Adelia z trudem zeszła z drabiny, znalazła się nos w nos z psami. Zwierzęta machały ogonami, ciesząc się, że dobrze wypełniły swoje zadanie. Hugo zawołał je i się wycofał. Kiedy z szybu wyłonił się Rowley, medyczka poprosiła:

- Powiedz im. Powiedz im, że Żydzi tego nie zrobili. Obok pasły się dwa konie.

- To tutaj umarła nasza Maria? - zapytał myśliwy. - Tam na dole? Kto to zrobił?

Odpowiedziała.

Przez chwilę stał spokojnie, latarnia oświetlała mu twarz od dołu, pojawiły się na niej upiorne cienie.

Rowley, rozdygotany z furii, nie wiedząc, co teraz ma robić, popchnął Ulfa w ramiona Adelii. Potrzebowali ludzi, aby tropić potwora w tunelach, jednak żadna z tych dwóch kobiet nie była w stanie ich przyprowadzić, a on nie ważył się iść sam albo wysłać Hugona.

- Ktoś musi pilnować szybu. On jest pod tym diabelnym wzgórzem i prędzej czy później wyskoczy stąd jak tchórzliwy królik, ale może gdzieś jest też jakieś inne wyjście.

Złapał latarnię Hugona, ruszył przez szczyt wzgórza, by, jak wszyscy wiedzieli i on wiedział, odnaleźć Rakszase.

Adelia położyła Ulfa na trawie u skraju niecki. Zdjęła płaszcz i umieściła go niczym poduszkę pod głową chłopca. Potem usiadła obok, wdychała zapach nocy - jak to możliwe, że wciąż jeszcze trwała noc? Wyczuła zapach tarniny i jałowca. Świeża murawa przypominała jej, że sama brudna jest od potu, krwi i uryny, przypuszczalnie własnej, cuchnie też ciałem Rakszasy, który to zapach, jak dobrze wiedziała, nigdy całkiem nie opuści jej nozdrzy, nawet jeśli spędzi resztę życia w kąpieli.

Poczuła się kompletnie wyczerpana, wszystko z niej uszło, zostawiając tylko drżący worek skóry.

Obok niej Ulf szarpnął się i usiadł, gwałtownie wdychając ożywcze powietrze, pięści miał zaciśnięte. Rozejrzał się wokół, spoglądając na krajobraz, na niebo, Hugona, psy. Nie potrafił się wysłowić.

- Gdzie jest... Ja jestem na zewnątrz?

- Na zewnątrz i bezpieczny - odpowiedziała.

- Oni... go dostali?

- Dostaną, Bóg pozwoli, że dostaną.

- On mnie... nie wystraszył - powiedział chłopiec, zaczynając się trząść. - Walczyłem z tym gnojem... krzychałem... szarpałem się.

- Wiem - odparła Adelia. - Musieli uciszyć cię sokiem z maku. Byłeś dla nich za dzielny. - Objęła ramieniem jego kolana, kiedy zaczął płakać. - Już nie musisz być dzielny.

Czekali.

Na wschodzie pierwsze muśnięcie szarości zapowiadało, że ta noc wreszcie dobiega kresu. Po drugiej stronie niecki klęczała siostra Weronika, jej modlitewny szept brzmiał niczym szelest liści.

Hugo trzymał stopą szczyt drabiny, tak aby wyczuć każdy jej ruch, jedna ręka spoczywała na myśliwskim nożu, który miał przy pasie. Uspokoił psy, mruczając ich imiona i mówiąc im, jakie są dzielne.

Zerknął na Adelię.

- Moje chłopaki szły cały czas za tobą po zapachu tego starego kundla - oznajmił.

Psy uniosły ślepią, jakby wiedziały, że o nich wspomniał.

- To sir Rowley na to wpadł. „Ona poszła po chłopca”, powiedział. „I bardzo możliwe, że się przy tym sama zabije”. W nerwach określił cię dosyć nadobnie, i to kilka razy. Ale powiedziałem mu: „ten jej pies to straszny śmierdziel”. Powiedziałem jeszcze: „moje chłopaki na pewno go wywęszą”. Czy to właśnie ten biedak był tam na dole?

Adelia się ocknęła.

- Tak - powiedziała.

- Przykro mi. Dobrze się spisał.

Łowczy mówił opanowanym, beznamiętnym głosem. A gdzieś w tunelach pod ich stopami biegał potwór, który zmasakrował jego siostrzenicę.

Jakiś szelest sprawił, że Hugo wyjął nóż zza pasa. Przyczyną hałasu była sowa wzbijająca się do lotu na ostatnie łowy tej nocy. Rozległo się zaspane świergotanie budzących się ptaków. Widać było teraz już całego Rowleya, a nie tylko jego latarnię, jego wielką sylwetkę, dżgającą ziemię mieczem niczym szpikulcem. Każdy kształt na usianym zagłębieniami, nierównym terenie przykrywał księżycowe światło cieniem, który mógł chować jeszcze więcej groźnej ciemności.

Niebo na wschodzie stało się niezwykle pasem czerwieni ze smugami poszarpanej czerni.

- To „pasterska przestroga” - oznajmił Hugo. - Diabelski świt. Adelia patrzyła na to

apatycznie. Obok niej Ulf okazywał taką samą obojętność.

On został zraniony, pomyślała medyczka, podobnie jak ja. Znaleźliśmy się w miejscach, które przekroczyły wszelkie nasze doświadczenia, i zostaliśmy przez nie splamieni. Może ja to zdołam znieść, ale czy on? Zwłaszcza że został zdradzony.

Wraz z tą myślą powróciła w niej energia. Z bólem podniosła się na nogi i ruszyła krawędzią niecki tam, gdzie klęczała Weronika. Mniszka wysoko uniosła ręce, tak że padał na nie coraz jaśniejszy blask świtu.

Wdzięczną główkę pochyliła w modlitwie jak wtedy, gdy Adelia po raz pierwszy ją ujrzała.

- Jest stąd inne wyjście? - zapytała dziewczyny. Zakonnica się nie poruszyła. Usta jej drgnęły przez chwilę, a potem znów wróciła do przerwanej *Ojczy Nasz*. Adelia lekko szturchnęła ją nogą.

- Jest stąd inne wyjście? Hugo zaprotestował ochryplym głosem.

Spojrzenie Ulfa, które podążyło za medyczką, przeniosło się na Weronikę. Pisał, a jego głos poniósł się przez wzgórze Wandlebury.

- To była ona! - Wskazywał na Weronikę. - To okropna, okropna kobieta!

Hugo, zaszokowany, wyszeptał:

- Cii, chłopcze. Po małej, brzydkiej twarzy Ulfa spływały łzy, ale powróciły na nią inteligencja, skupienie i zawzięta wściekłość.

- To była ona. Ona przyłożyła mi to coś do twarzy, ona była, jak mnie zabrał. Ona była z nim.

- Wiem o tym - powiedziała Adelia. - Wrzuciła mnie do szybu. Oczy mniszki błagalnie spojrzały ku górze na medyczkę.

- Ten diabeł był dla mnie zbyt silny - rzekła. - Torturował mnie, widziałas sama. Nigdy nie chciałam tego robić! - Zmrużyła oczy, załśniły czerwienią, kiedy odbił się w nich blask świtu, wstającego za plecami Adelii.

Hugon i Ulf też gwałtownie zwrócili się na wschód. Medyczka się obróciła. Niebo zrobiło się wściekle czerwone, jakby cały firmament stanął w ogniu, a ten pożar miał zaraz ich wszystkich ogarnąć. I tam też, jakby przywołany, diabeł we własnej osobie zaczął się konturem, biegnąc niczym jeleni.

Rowley, oddalony od niego o piętnaście jardów, pędził, aby go schwytać. Bestia skoczyła, zmieniła kierunek. Spoglądający na tę scenę, usłyszeli wycie Picota:

- Hugo! On się wymyka! Hugo!

Myśliwy klęknął, szepcząc do psów. Spuścił je ze smyczy. Z lekkością koni popędziły w stronę wschodzącego słońca.

Diabeł biegł, Boże, jakże on biegł, ale teraz sylwetki psów widać już było na tle tego samego pasma nieba.

Owa chwila utkwiła w pamięci ludzi, którzy ją widzieli, pozostała niczym obraz piekła w iluminowanym manuskrypcie, w czerni i złocistej czerwieni, ogary zastygłe w połowie skoku oraz męczycy z uniesionymi

ramionami, jakby chciał wspiąć się w powietrze. Zaraz potem sfora dopadła sir Joscelina z Grantchester i rozerwała go na strzępy.

## Rozdział 15

Adelii i Ulfowi pomozono wsiąść na jednego z koni, na których Rowley i łowca przybyli na wzgórze. Hugo wciągnął mniszkę na drugiego wierzchowca. Szarpnąwszy wodze, obaj mężczyźni ruszyli w dół zbocza, unikając wyboistych ścieżek, tak by nie męczyć rannej medyczki.

Wędrowali w ciszy.

W drugiej ręce Rowley trzymał worek zrobiony ze swojego płaszcza. A w owym worku miał coś okrągłego, przyciągającego psy, dopóki Hugo ich nie odwołał. Po pierwszym spojrzeniu Adelia unikała patrzenia na to coś.

Deszcz, którym groził świt, spadł, gdy dotarli na trakt. Chłopi zmierzający do pracy unosili swoje kaptury, aby spojrzeć spod nich na niewielki pochód, za którym biegły psy o umazanych czerwienią pyskach.

Kiedy mijali grzędawisko, Rowley zatrzymał konia i odezwał się do Hugona, który z

chlupotem zjechał z drogi. Wrócił z naręczem bagiennego mchu.

- Czy to jest to świństwo, które kładziesz na rany? Adelia przytaknęła, wycisnęła nieco wody z torfowca, a potem okryła nim ramię.

Byłoby głupio umrzeć teraz wskutek zakażenia, choć nie zostało jej już żadne uczucie pozwalające się zastanowić, dlaczego.

- Przyłóż też sobie trochę do oka - poradził Rowley, a ona uświadomiła sobie, że czuje tam ból i nieświadomie przymyka lewą powiekę.

Koń z mniszką na grzbiecie jechał równo z Adelia. Lekarka bez specjalnego zainteresowania patrzyła, jak dziewczyna chowa twarz w płaszczu, którym Hugo otulił ją przez wzgląd na przyzwoitość.

Picot dostrzegł jej spojrzenie.

- Możemy jechać dalej? - zapytał, tak jakby to ona domagała się zwłoki. Szarpnął wodzami, nie czekając na odpowiedź.

Adelia się wyprostowała.

- Nie podziękowałam ci - odezwała się i poczuła ucisk dłoni Ulfa na swoich ramionach. - Oboje ci dziękujemy.

To nie były odpowiednie słowa.

Równie dobrze mogła wyrwać kamień z tamy.

- Czy ty, do diabła, w ogóle pomyślałaś, co wyprawiasz? Czy ty wiesz, przez co ja przeszedłem?

- Przykro mi - powiedziała.

- Przykro? I to ma być usprawiedliwienie? Czy ty w ogóle miałaś jakiś plan...? Słuchaj, to tylko zasługa Boga, że ja wcześniej wyszedłem z sądów. Ruszyłem do domu Starego Beniamina, bo było mi żal, że jesteś taka smutna. Smutna? Maryjo, Matko Boża, jak ja się czułem, kiedy się okazało, że zniknęłaś?

- Przykro mi - powtórzyła. Gdzieś, głęboko w obejmującym ją bezruchu wyczerpania, coś lekko drgnęło, poruszył się mały bąbelek.

- Matyllda B. powiedziała, że mogłaś pójść do kościoła się pomodlić. Ale ja wiedziałem, och, ja już wiedziałem. „Ona czekała, aż ta przeklęta rzeka coś jej powie”, tak jej powiedziałem. „No i coś powiedziała. Ruszyła za tym łotrem, jak na taką bezrozumną kobietę przystało”.

Bąbelek urósł i dołączyły do niego kolejne. Usłyszała, że Ulf pociąga nosem, jak zwykle, kiedy coś go bawiło.

- Bo widzisz... - zaczęła.

Jednak Rowley pozostał nieubłagany, za bardzo był rozeźlony. Opowiadał, że usłyszał dźwięk rogu Hugona z drugiego brzegu i przeprowił się przez rzekę, aby do niego dołączyć. Łowczy od razu zaproponował, żeby szukać Adelii po zapachu Stróża.

- Hugo powiedział, że przeor Gotfryd właśnie z tego powodu dał ci to zwierzę, martwiąc się o twoje bezpieczeństwo w obcym mieście, bo żaden inny pies nie pozostawia po sobie takiego smrodu. Zawsze się zastanawiałem, dlaczego wszędzie chodzisz z tym kundlem, przynajmniej on miał tyle rozsądku, aby pozostawić za sobą jakiś trop, więcej rozsądku niż ty.

Na litość boską, ależ się zdenerwował. Adelia spojrzała w dół na poborcę podatków i chłonęła urok tego mężczyzny.

Mówił, jak popędził do domu Starego Beniamina i do jej izby. Złapał matę, na której spał Stróż, popędził z powrotem, podsunął ją pod nos psom Hugona. Zdobył konie, zabierając je mijającym go akurat, Bogu ducha winnym i protestującym jeźdźcom.

Pogalopowali ścieżką wzdłuż rzeki... tropili zapach nad Cam, potem nad Grantą. Niemal stracili trop, jadąc przez stały łąd...

- A co by się stało, gdyby ten twój pies nie cuchnął tak, że o Jezu?! Postarzałem się o całe lata, ty bezmyślna harpio! Czy ty wiesz, co ja wycierpiałem?

Ulf teraz już otwarcie się śmiał. Adelia, ledwie mogąc oddychać, podziękowała Bogu Wszechmogącemu za takiego mężczyznę.

- Kocham cię, Rowleyu Picot - udało jej w końcu powiedzieć.

- A co to ma do rzeczy? - zapytał. - Jeśli to żart, to wcale nie śmieszny.

Zaczęła zasypiać, w siodle przytrzymały ją tylko dłonie Ulfa na ramionach, trudno było mu ją całkiem objąć.

Później, kiedy wspominała przejazd pod wielką bramą klasztoru w Barnwell, myślała o tym, jak wcześniej przekraczała ją wraz z Szymonem i Mansurem na wozie domokrażców. Jakże wszyscy byli nieświadomi tego, co ich czeka, niczym nowo narodzone dzieci. Ale teraz wszyscy się dowiedzą, Szymonie. Wszyscy się dowiedzą.

Potem drzemki stały się coraz głębsze, przekształcając się w długi stan półświadomości, kiedy jak z oddali słyszała głos Rowleya, podobny stukaniu w bębenek, a przekazujący oburzenie, rozkazujący. Słyszała też głos przeora Gotfryda, pełen zgrozy, ale również wydający polecenia. Obaj przeoczyli zaś jedną, najważniejszą rzecz, jednak Adelia akurat ocknęła się na tyle, aby im o niej przypomnieć.

- Muszę się wykąpać - oznajmiła i znowu zapadła w sen.

- ... i zostań tutaj, w imię Boga - polecił jej Rowley. Trzasnęły drzwi. Ona i Ulf zostali sami, na łóżku w izbie. Medyczka wpatrywała się

w drewniane krokwie oraz płatwy stropu, które już kiedyś widziała. Palily się świece. Jakie świece? Przecież był dzień. Tak, ale zamknięto okiennice, żeby do środka nie napadał deszcz.

- Gdzie jesteśmy?

- W domu gościnnym przeora - odpowiedział chłopiec.

- Co się dzieje?

- Nie mam pojęcia.

Siedział obok niej ze złączonymi kolanami, patrzył tępo przed siebie.

Co on widzi, pomyślała Adelia, objęła go zdrowym ramieniem i mocno przytuliła. To mój jedyny towarzysz, tak jak ja jestem jego jedyną towarzyszką. Oboje wyszli cało z oparów, z których nikt inny nie zdołał wydobyć się żywcem. Tylko oni wiedzieli, jak długą odbyli podróż, ile czasu im zabrała - oraz jak daleko jeszcze muszą iść. Doświadczyli ciemności, co uczyniło ich świadomymi różnych rzeczy, w tym o sobie samych, których nie powinni wiedzieć.

- No, opowiedz mi - poprosiła.

- Nic tu do gadania. Podpłynęła na łodzi do miejsca, gdzie łowiłem, i zawołała: „Och, Ulfie, łódka ci przecieka”. Słodka jak miód. A potem już było to coś na mojej twarzy i nic nie pamiętam. Obudziłem się w tej jamie.

Odwrócił głowę, w pokoju zabrzmiał jego pełen niedowierzania płacz nad utraconą niewinnością.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Chłopiec zwrócił się do niej z rozpaczą.

- Ona była jak lilia. On był krzyżowcem.

- Byli szaleńcami. Nie widać było tego po nich, ale byli szaleńcami, którzy na siebie natrafili. Ulf, jest więcej takich jak my niż takich jak oni. Niezliczenie więcej. Zawsze o tym pamiętaj.

Sama starała się o tym pamiętać.

Oczy dziecka wpatrywały się intensywnie w jej oczy.

- Przyszłaś tam po mnie.

- Oni nie mogli cię dostać. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem na jego brzydką, małą

twarz wypełzło coś z jego dawnego ja.

- Słyszałem cię. O rany, jak ty kłęsaś, nawet jak do miasta przyszli żołnierze, to nie słyszałem połowy takiego plugastwa.

- Powiesz o tym komuś, a wrócisz do tej jamy. Gyltha stała już w drzwiach. Tak jak u Rowleya, który wyłonił się zza

jej pleców, w jej głosie było słycać równocześnie wściekłość i ulgę. Łzy spływały jej po twarzy.

- Ty mały gnojku! - krzyknęła na Ulfa. - Czy ja ci nie mówiłam? Jak cię zaraz spiorę!

Szlochając, podbiegła, aby przytulić wnuka, westchnął z zadowoleniem i wyciągnął ku niej swoje ramiona.

- Sio - nakazał im Rowley. Za nim stali obładowani służący. Adelia spostrzegła zatroskaną twarz brata Swithina, zajmującego się gośćmi klasztoru.

Kiedy Gyltha zbliżała się już do drzwi z Ulfe w ramionach, zatrzymała się jeszcze, by



spytać Rowleya:

- Jesteś pewien, że już nic nie mogę dla nich zrobić?
- Nie. Sio. Kobieta wciąż się ociągała, zerkając na Adelię.

- To był dobry dzień, ten, w którym przybyłaś do Cambridge - oznajmiła. I wyszła.

Służący zjawili się z wielką cynową wanną, zaczęli wlewać do niej zawartość parujących dzbanów pełnych wody. Jeden z pacholków miał też kostki żółtego mydła, spoczywające na stosie szorstkich kawałków starych prześcieradeł, które w klasztorze służyły za ręczniki.

Medyczka oglądała te przygotowania wręcz zgłodniałym wzrokiem. Chociaż nie mogła zmyć brudu, jaki mordercy zostawili na jej duszy, to przynajmniej mogła zeszkrobać go z ciała.

Brat Swithin zdawał się zakłopotany tymi wszystkimi przygotowaniami.

- Ta pani jest ranna, powinienem wezwać infirmariusza.

- Kiedy znalazłem tę panią - stwierdził ponuro Rowley - to właśnie tarzała się po podłodze, walcząc z siłami ciemności. Nic jej nie będzie.

- To chociaż powinna tutaj przyjść jakaś służąca...

- Sio - rzucił Picot. - Wynocha, już! - Rozpostarł ramiona, objął nimi całe kłębiące się towarzystwo, wypchnął za drzwi i je zamknął. Adelia znów zauważyła, że to bardzo potężny mężczyzna. Tłuszcz, z którego sobie drwiła, zmniejszył się. Teraz lepiej widać było jego potężną muskulaturę.

Podszedł do niej, ujął ją pod pachy, podniósł tak, że stanęła na podłodze, i zaczął rozbierać, zdejmując ubranie ze zdumiewającą delikatnością.

Poczuła się bardzo mała. Czy on ją właśnie uwodził? Z pewnością zatrzyma się, gdy dotrze do giezła.

Nie uwodził i się nie zatrzymał. To była opieka. Kiedy uniósł medyczkę naga i włożył do kąpieli, spojrzała mu w twarz. Równie dobrze ta twarz mogłaby teraz należeć do Gordinusa, przeprowadzającego sekcję zwłok.

Powinam czuć się zakłopotana, pomyślała. Powinam czuć się zakłopotana, ale wcale się tak nie czuję.

Kąpiel była ciepła, Adelia wślizgnęła się do wody, zanim całkiem się zanurzyła, złapała jedno z mydeł. Szorowała się nim, cieszyła szorstkością ocierającą skórę. Nie dała rady unieść rąk, a zatem pozostała nad powierzchnią na tyle długo, by poprosić Rowleya, żeby umył jej włosy. Poczuła, jak męskie palce mocno naciskają skórę jej głowy. Służący zostawili dzbany z zimną wodą, którą Picot wylał, by spłukać mydło.

Z bólu nie mogła pochylić się do nóg, zatem je również umył, starannie, skrupulatnie oczyścił między palcami.

Patrząc na niego, rozmyślała.

Jestem w kąpieli, naga, bez żadnej piany, myje mnie mężczyzna, moja reputacja legła w gruzach i do diabła z nią. Byłam w piekle, wszystko, co chciałam, to przeżyć właśnie dla tego mężczyzny. On mnie stamtąd wyniósł.

Stało się tak, jakby ona i Ulf nagle weszli do świata, na który nie przygotowały ich nawet sennie koszmary, współistniejącego z normalnością tak ściśle, że starczyło postawić jeden nieostrożny krok, aby doń trafić. To był koniec wszystkiego, a może początek, bestialstwo, które, choć je przetrwali, pokazało, że zwyczajność jest kłamstwem. Tak niewiele brakowało, aby nic życia Adelii została przecięta, że ona już nigdy nie zatroska się o przyszłość.

A w tej właśnie chwili pragnęła owego mężczyzny. Wciąż go pragnęła.

Myślała, że poznała wszystkie tajniki ciała, a właśnie odkryła coś nowego. Poczuła się namydłona, zwilżona, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz, jakby wypuściła pąki, a jej skóra unosiła się ku Rowleyowi, rozpaczliwie pragnąc, by jej dotknął. On, który teraz nie patrzył na jej piersi, lecz na siniaki na jej nieszczęsnych żebrach.

- Czy on cię skrzywdził? Tak naprawdę mocno skrzywdził, jeśli wiesz, o czym mówię? - spytał.

Zastanowiła się, za co w takim razie uważał siniaki, ranę w ramieniu i podbite oko. A potem sobie uświadomiła: ach, chodzi o to, czy on mnie zgwałcił? To dla niego ważne. Bo przecież dziewictwo to dla nich święty Graal.

- A gdyby skrzywdził? - zapytała łagodnie.

- No właśnie - powiedział. Klęczał obok wanny, głowy mieli na jednym poziomie. - Przez całą drogę na wzgórze wyobrażałem sobie, co on mógł ci zrobić, ale to wszystko nie miałyby

znaczenia, pod warunkiem że przetrwałabyś to.

Pokręcił głową, wspominając o tej niezwykłości.

- Splugawioną czy w kawałkach, chciałem cię z powrotem. Byłaś moja, nie jego.

Och, och.

- Nie tknął mnie - oznajmiła - tylko pobił. Dojdę do siebie.

- To dobrze - powiedział energicznie i wstał. - Dobrze, jest jeszcze wiele do zrobienia. Nie mogę, ot tak, gawędzić sobie teraz z niewiastą w kąpielni. Trzeba poczynić różne przygotowania i to nie tylko w sprawie naszego ślubu.

- Ślubu?

- Oczywiście, porozmawiam o tym z przeorem, a on porozmawia z Mansurem. Takie rzeczy trzeba robić porządnie. I jest jeszcze król... Jutro, może pojutrze, jak już wszystko się uspokoi.

- Ślubu?

- Kobieto, teraz musisz za mnie wyjść - oznajmił zaskoczony. - Widziałem cię w kąpielni.

Ruszył do wyjścia, naprawdę już wychodził. Z bólem podźwignęła się z wanny, chwyciła jeden z ręczników. To nie może stać się jutro, czy on o tym nie wie? Jutrzejsze dni były pełne strasznych rzeczy. Liczyło się tylko dzisiaj, szkoda czasu na jakieś konwenanse.

- Rowleyu, nie zostawiaj mnie. Nie wytrzymam tutaj sama. Mówiła prawdę. Nie wszystkie moce ciemności zniknęły. Jedna z nich wciąż była w tym budynku. Inne zawsze już będą przemierzać jej myśli. Tylko on mógł to wszystko powstrzymać.

Krzywiąc się, ramionami objęła jego szyję i poczuła ciepło, wilgotną miękkość, jego skórę tuż przy swojej.

Łagodnie ich rozdzielił.

- To co innego, kobieto, nie rozumiesz? Tu chodzi o ślub między tobą a mną, to musi przebiec zgodnie z prawem bożym.

Niezły moment sobie wybrał, pomyślała, aby się martwić o prawo boże.

- Rowleyu, nie ma czasu, nie ma żadnego czasu po drugiej stronie tych drzwi.

- Właśnie, że jest. Muszę przyjrzeć się jeszcze bardzo wielu sprawom - jednak zaczynał już oddychać ciężko. Jej bosa noga stała na jego butach, ręcznik się zsunął, każdy cal ciała kobiety, był teraz przyciśnięty do Rowleya.

- Adelio, och, mój los jest ciężki przez ciebie. - Usta mu drżały. -Pragnę cię.

- Wiem. - Czowała to. Udał, że wzdycha.

- Niełatwo będzie uprawiać miłość z kobietą o połamanych zębach.

- Spróbuj - zachęciła.

- O Chryste - rzekł surowo. I zaniósł ją do łóżka. I spróbował. I wyszło mu bardzo dobrze.

Wpierw tulił ją, przemawiał pięknymi słowami po arabsku, bo ani angielski, ani francuski nie starczały, aby wyrazić, jakże była dla niego piękna, nawet z podbitym okiem. Potem zaś oparł swój ciężar na ramionach, aby jej nie zgnieść.

A ona wiedziała, że jest dla niego piękna, tak jak on jest piękny dla niej i że to właśnie jest cielesna miłość, to pulsowanie, szalona jazda do gwiazd i z powrotem.

- Mógłbyś to zrobić raz jeszcze? - poprosiła.

- Dobry Boże, kobieto. Nie, nie mógłbym. No, jeszcze nie teraz. To był ciężki dzień.

Jednak po chwili spróbował i udało mu się równie dobrze. Brat Swithin nie obdarzył ich zbyt hojnie świecami, wszystkie się wypaliły, pogrążyli się więc w półmroku za sprawą deszczu, co wciąż siekł w okiennice. Adelia leżała skulona, przytulona do ramienia kochanka, wdychając cudowny zapach mydła oraz potu.

- Tak bardzo cię kocham - powiedziała.

- Czy ty płaczesz? - Usiadł.

- Nie.

- Tak, ty płaczesz. Czasem kobietom zdarza się to po szczytowaniu.

- No pewnie, przecież wiesz. - Otarła oczy grzbietem dłoni.

- Kochanie, to już koniec. On nie żyje, ona zaś zostanie... no, zobaczymy. Ja zostanę nagrodzony, tak jak na to zasługuję, ty też, chociaż na nic nie zasłużyłaś. Henryk da mi jakąś miłą baronię, gdzie oboje będziemy obrastać w sadło i dochowamy się tuzinów miłych, tłusciutkich baroniąt.

Wyszedł z łóżka, sięgnął po ubranie.

Nie ma płaszcza, pomyślała. Zostawił go gdzieś poza komnatą, razem z głową Rakszasy w

środku. Za tymi drzwiami zostało wszystko, co straszne. A jedyne wszystko, które ty i ja będziemy kiedykolwiek mieć, jest teraz z nami.

- Nie idź - poprosiła.

- Wróć. - Jego myśli już od niej odeszły. - Nie mogę zostać cały dzień, zmuszany do tego, aby dogadzać nienasyconym kobietom. Jest wiele rzeczy do zrobienia. Połóż się spać.

I wyszedł.

Mogłabym być z nim na zawsze, mogłabym mieć jego i nasze małe baronięta, pomyślała, wciąż patrząc na drzwi. Czymże jest udawanie medyka w porównaniu z takim szczęściem? Niczym. Kimże są zmarli, aby zabierać mi życie?

Uporządkowawszy sobie te sprawy, położyła się, zamknęła oczy, ziewając, nasycona. Ale kiedy osuwała się w sen, jej ostatnia świadoma myśl dotyczyła łechtaczki i tego, jakże zaskakujący i cudowny to organ. Następnym razem, gdy będzie robiła sekcję zwłok kobiety, musi poświęcić mu więcej uwagi.

Zawsze, wszędzie pozostawała medykiem.

Obudziła się, protestując przeciwko temu, że ktoś ciągle powtarza jej imię, chciała dalej spać. Poczła ostry zapach ubrań trzymany w mięcie z obawy przed molami.

- Gyltha? Która godzina?

- Nocna. Czas wstawać, dziewczyno. Przyniosłam ci świeże ubrania.

- Nie! - Wciąż czuła się zeszywniała, bolały ją siniaki. Zostaje w łóżku. Zdobyła się tylko na małe ustępstwo, otwierając jedno oko. - Co z Ulfem?

- Śpi snem sprawiedliwych. - Szorstka dłoń Gylthy musnęła policzek Adelii. - Ale oboje musicie wstawać, zgromadzili się różni wielmoże i chcą, żebyście odpowiedzieli im na pytania.

- Spodziewałam się tego - oznajmiła medyczka zmęczonym głosem. Szybko wzięli się do sądenia. Zeznania jej i Ulfa mogły okazać się kluczowe, ale istniały też rzeczy, o których lepiej było sobie nie przypominać.

Gyltha poszła po coś do jedzenia, kawałki bekonu pływające w gęstej, smakowitej polewce, zaś Adelia poczuła się tak głodna, że aż dźwignęła się do pozycji siedzącej.

- Sama umiem jeść.

- Nie, do licha, nie umiesz! - Nie potrafiąc znaleźć stosownych słów, swoją wdzięczność za bezpieczny powrót wnuka Gyltha najlepiej mogła wyrazić, wpychając Adelii do ust łyżki pełne stawy, niczym małemu pisklakowi.

Było też jeszcze jedno pytanie, które należało zadać między kęsami bekonu.

- Gdzie oni zamknęli...?

Nie potrafiła się zmusić, aby wypowiedzieć imię obłąkanej kobiety. Właśnie dlatego, że jest obłąkana, pomyślała, czując jeszcze większe zmęczenie, muszę przypilnować, żeby jej nie torturowali.

- W izbie obok. Usługują jej niczym królowie. - Usta Gylthy pomarszczyły się jakby dotknięte kwasem. - Oni w to wszystko nie wierzą.

- W co nie wierzą? Kto nie wierzy?

- W to, że ona robiła... te rzeczy razem z nim. Gyltha też nie potrafiła wymówić imion zabójców.

- Ulf może im opowiedzieć. Ja też. Gyltha, to ona wrzuciła mnie do tego szybu.

- A widziałas ją, jak to robiła? A co warte jest słowo Ulfa? Jakiegoś ciemnego smarka, co sprzedaje węgorze razem ze swoją ciemną babką?

- To była ona! - Adelia wypluła jedzenie, poczuła, że panika podchodzi jej do gardła.

Czym innym było oszczędzenie mniszce tortur, a czym innym puszczenie jej wolno.

Weronika miała chory umysł, ona mogła to wszystko zrobić raz jeszcze.

- Piotr, Maria, Harold, Ulryk.... Oczywiście, że oni z nią poszli, bo jej ufali. Zakonnica? Czestująca jujubą, której przyrządzania nauczył ją krzyżowiec? A potem wystarczyło tylko przyłożyć im do nosa laudanum. A wierz mi, w konwencie mają tego spory zapas.

Medyczka znowu oczyma wyobraźni ujrziała, jak delikatne dłonie wzniesione w modlitwie zmieniają się w żelazne szpony.

- Wszechmogący Boże. - Otarła czoło.

Gyltha wzruszyła ramionami.

- Najwyraźniej siostry od Świętej Raddy nie robią takich rzeczy.

- Ale kluczem do wszystkiego była rzeka. Wiem, dlatego weszłam do jej łódki. Ona miała swobodę podróżowania rzeką. Do Grantchester, do niego. Wszyscy ją znali, ludzie machali jej na powitanie albo nawet w ogóle już nie zwracali na nią uwagi. Mniszka wioząca zapasy dla pustelniczek? Nikt nie sprawdzał, dokąd ona pływa i chodzi, a już na pewno nie przeorysza Joanna. A Walburga, jeśli z nią akurat była, to zawsze ją wcześniej opuszczała, idąc do ciotki. Co oni myśleli, że co ona robi, jak zostaje poza klasztorem całą noc?

- Ja to wiem, Ulf to wie. Ale popatrz... - Gyltha weszła w rolę adwokata diabła. - Ona jest niemal tak samo poobijana jak ty. Przyprowadzili jedną z sióstr, żeby ją wykapała, ja bym nie dotykała wiedźmy, ale zerknęłam tam. Wszędzie ma siniaki, ślady ugryzień, oko zapuchnięte jak u ciebie. Ta zakonnica, co ją myła, beczała nad tym, jak to biedactwo ucierpiało i że to wszystko dlatego, że przyszła ci pomóc.

- Ona... to lubiła. Ona lubiła, jak ją bił. Naprawdę.

Gyltha odsunęła się, krzywiąc, nie rozumiejąc tych słów. Jak wyjaśnić, jak wyjaśnić komukolwiek, że wydawane przez mniszkę okrzyki przerażenia, wtedy gdy napastowała ją bestia, mieszały się z wyraźnymi piskami szaleńczego zadowolenia?

Ona nie umie zrozumieć takiej perwersji, z rozpaczą pomyślała Adelia. Ja zresztą też nie.

- Zwała do niego te wszystkie dzieci - powiedziała tępo. - I to ona zabiła Szymona.

Miska wyślizgnęła się Gylcie z ręki, potoczyła po podłodze, zupa chlupnęła na szerokie, wiązowe deski.

- Mistrza Szymona?

Adelia myślami wróciła do Grantchester, do uczy. Patrzyła, jak Szymon z Neapolu, podeksycytowany, rozmawia z poborcą podatków, siedzącym na krańcu wysokiego stołu, o rachunkach w jego trzosie, a tylko kilka miejsc dalej jest gospodarz biesiady, którego oskarżały te rachunki, zaś jeszcze kilka miejsc dalej kobieta, zwabiająca do niego ofiary morderstw.

- Widziałam, jak kazał zabić Szymona. - Ujrzała ich znowu. Tańczących razem, krzyżowca i mniszkę, gdy jedno wydawało polecenie drugiemu.

Dobry Boże, już wtedy powinna się domyślić. Wybuchowy, nienawidzący kobiet brat Gilbert miał rację, kiedy mówił do niej tamte słowa, chociaż i on nie wiedział o najważniejszym...

„Zostają tam całą noc. Nurzają się w rozpuście i żądzy. W porządnym domu zakonnym zostałyby już wychłostane, tak że ich tyłki aż spłynęłyby krwią, ale gdzie jest ich przeorysza? Na łowach!”

Szymon wyszedł wcześniej, chciał przyjrzeć się rachunkom, które zdobył, i znaleźć ów, będący przyczyną rzucenia na Żydów podejrzeń o morderstwo. Gospodarz uczy wrócił z ogrodu po krótkiej nieobecności, po tym jak wysłał swoją kreaturę w drogę.

- Ona wcześniej wyszła z biesiady w Grantchester. Myślę, że widziałam później inne zakonnice, ale ją nie. Na pewno? Tak, jestem pewna. A przeorysza została nawet jeszcze dłużej.

A potem co? Ta najłagodniejsza i najbardziej anielska z sióstr...?

„Mistrzu Szymonie, to taki długi spacer poprzez ciemną noc, może podwieźć cię łódką do domu? Tak, tak, mam miejsce. Jestem sama, uciesz mnie czyjeś towarzystwo”.

Adelia pomyślała o wodach zacienionych wierzbami, wiotkiej figurze i nadgarstkach twardych jak stal, cisnących drąg do wody, napierających nim na mężczyznę, dżgającej zerdzią jak ościeniem w rybę, podczas gdy Szymon miotał się i wreszcie utonął.

- Kazał jej zabić Szymona i ukraść mu trzos - oznajmiła medyczka.

- Zrobiła to, co jej kazał, bo była jego niewolnicą. W tej otchłani musiałam odebrać jej Ulfa, myślę, że chciała go zabić, żeby jej nie wydał.

- A czyż ja tego nie wiem? - zapytała Gyltha, machała rękoma, niemal opędzała się od tej wiedzy. - A czy Ulf mi nie mówił, co ona zrobiła?

I czy ja nie wiem, co oni oboje zrobiliby chłopakowi, gdyby dobry Pan nie zesłał ciebie, abyś ich powstrzymała? Czy ja nie wiem, co oni zrobili innym... - Zmrużyła oczy, zmieniając je w wąskie kreski, wstała.

- Chodźmy do tego pokoju obok i zaduśmy ją poduszką.

- Nie. Wszyscy muszą wiedzieć, co zrobiła. I co on zrobił. Rakszasa uciekł sprawiedliwości. Jego straszliwy koniec... Adelia otrząsnęła się, by nie przywołać tamtej wizji o świcie... To nie było spotkanie z obliczem sprawiedliwości. Usunięcie owej istoty z

ziemi, którą plugawiła swoją obecnością, nie wyrównywało szalek wagi, z których na jednej leżał stos małych ciałek, pozostawionych przez demona na jego drodze z Ziemi Świętej.

Nawet gdyby złapali tę kreaturę, zaciągnęli ją przed sąd i stracili, te szalki wciąż by się jeszcze nie wyrównały, właśnie za sprawą owych małych, poszarpanych ciał. Chociaż ludzie przynajmniej dowiedzieliby się wtedy, co się stało, i ujrzeni za to zapłatę. Żydzi zostaliby publicznie oczyszczeni z zarzutów. A co najważniejsze, obroniono by prawo, zmieniające chaos w porządek, odróżniające cywilizowaną ludzkość od zwierząt.

Kiedy Gyltha pomagała jej się ubrać, Adelia zbadła swoje sumienie, by sprawdzić, czy nie porzuciła już może swoich obiekcji względem kary śmierci. Nie, nie porzuciła. To nadal pozostawało święte. Szaleńca z pewnością należało powstrzymać, jednak nie zabijać w imieniu prawa. Rakszasa uniknął postawienia przed sądem, ale jego współniczka nie może. Czyny Weroniki należy przedstawić publicznie, tak by wprowadzić do świata nieco równowagi.

- Ona musi stanąć przed sądem - powiedziała medyczka.

- Myślisz, że tak będzie? Ktoś zapukał do drzwi. Przeor Gotfryd.

- Moje drogie dziewczę, moje biedne, drogie dziewczę. Dzięki składam Panu za twoją odwagę i poświęcenie.

Nie interesowały ją jego modlitwy.

- Przeorze, ta mniszka... Ona była współniczką mordercy. Zabijała tak jak on, zamordowała Szymona z Neapolu bez namysłu. Wierzysz w to?

- Obawiam się, że muszę. Słuchałem opowieści Ulfa, który choć nieco otumaniony przez środek, jaki mu podała, nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że to właśnie ona go uprowadziła do tego miejsca, gdzie jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Słuchałem także tego, co mieli do powiedzenia sir Rowley i myśliwy. Tego samego wieczoru odwiedziłem z nimi ową jamę...

- Byłeś na Wandlebury?

- Musiałem - ciężko oznajmił przeor. - Jeszcze nigdy nie znalazłem się tak blisko piekła. O Boże! Jakież to narzędzia tam znaleźliśmy! Jedyna radość w tym, że dusza sir Joscelina będzie się smażyć teraz całą wieczność. Joscelin... - wypowiedział to imię z mocą, tak aby łatwiej mu było w to wszystko uwierzyć. - Pochodził stąd. Sądziłem, że to on zostanie nowym szeryfem tego hrabstwa. - Znużone oczy przeora ożywiła iskra oburzenia. - Ja nawet przyjąłem z tych ohydnych rąk darowiznę na naszą nową kaplicę.

- Pieniądze Żydów - powiedziała Adelia. - Był je winny Żydom. Zakonnik westchnął.

- Przyjmuję, że tak było. Ale przynajmniej nasi przyjaciele z wieży zostali teraz oczyszczeni.

- A czy miasto zdaje sobie sprawę z tego, że zostali oczyszczeni? - Medyczka dosyć nieelegancko wskazała palcem w stronę izby, gdzie zamknięto mniszkę. - Postawią ją przed sądem?

Zaczynała się niecierpliwic. W słowach przeora była taka rezerwa, jakby mglistość.

Podszedł do okna, nieco uchylił okiennicę.

- Mówili, że będzie padać. Świt był istną „pasterską przestrogą”. Dobrze, ogrody potrzebują tego po suchej wiośnie.

Zamknął okiennicę.

- Tak, ich niewinność ma zostać ogłoszona przez sędziów, wszem wobec, dzięki niech będą niebiosom, że sądy jeszcze trwają. Ale jeśli chodzi o tę... kobietę... Poprosiłem o zwołanie zebrania wszystkich zaznajomionych ze sprawą, żeby dotrzeć do prawdy. Teraz się właśnie schodzą.

- Zebranie? Dlaczego nie sąd? I dlaczego nocą? Jakby nie słysząc pytań, kontynuował:

- Spodziewałem się, że zbiórą się na zamku, ale skryba przybyły na sądy uznał, że lepiej, aby przesłuchania dokonano tutaj, tak by nie zakłócić procesów prawnych. A poza tym to tutaj pochowane są te dzieci. No, zobaczymy, zobaczymy.

To taki dobry człowiek, jej pierwszy przyjaciel na angielskiej ziemi, a ona jeszcze mu nie podziękowała.

- Panie, zawdzięczam ci życie. Gdybyś nie podarował mi tego psa, niech Bóg go błogosławi... Widziałeś, co mu zrobiono?

- Widziałem. - Przeor Gotfryd pokręcił głową, potem nieznacznie się uśmiechnął. -

Kazałem zebrać jego szczątki i dać je Hugonowi, którego brat Gilbert podejrzewa, że jak nikt

nie widzi, to potajemnie grzebie swoje psy na klasztornym cmentarzu. Stróż może nawet już spoczywa wraz z ludźmi, którzy okazywali się znacznie mniej wierni od niego.

Było w tym wszystkim trochę smutku, a jednak mimo smutku Adelia czuła się pocieszona.

- Jednakowoż - kontynuował duchowny - podobnie jak ty wiem, że swoje życie w znacznie większej mierze zawdzięczasz jeszcze komuś i po części jestem tutaj z jego powodu.

Ale jej myśli wędrowały już ku mniszce. Zamierzają ją puścić wolno. Nikt z nas nie widział, jak zabijała: ani Ulf, ani Rowley, ani ja. Jest zakonnicą, Kościół boi się skandalu. Zamierzają ją puścić wolno.

- Nie pozwolę na to, przeorze.

Usta kanonika układały się już, by wypowiedzieć słowa, które najwyraźniej mu się bardzo podobały, teraz jednak zamarły, otwarte. Zamrugał.

- Adelio, to pochopna decyzja.

- Ludzie muszą się dowiedzieć, co zrobiono. Ona musi trafić przed sąd, nawet jeśli zostanie uznana za zbyt szaloną, aby wykonać na niej wyrok. Przez wzgląd na te dzieci, na Szymona, na mnie. Znalazłam ich kryjówkę i niemal zostałam zabita. Dopilnuję sprawiedliwości, muszę sprawić, aby stało jej się zadość.

Nie z żądzą krwi, nie z żądzą zemsty, po prostu dlatego, że bez takiego zakończenia koszmary zbyt wielu ludzi pozostaną nadal żywe. Wtedy nagle dotarło do niej, co mówił przeor.

- Przepraszam, co powiedziałaś, panie? Gotfryd westchnął i zaczął od nowa.

- Zanim on musiał wrócić na sądy, bo wiesz, przybył król, podszedł do mnie. Z braku kogokolwiek innego, zdaje się, że chce, abym wystąpił *in loco parentis*...

- Co, król? - Adelia nie nadażała. Przeor westchnął raz jeszcze.

- Sir Rowley Picot, sir Rowley podszedł do mnie z prośbą, z prośbą... choć zaiste, jego zachowanie wskazywało na to, że sprawa jest już postanowiona... z prośbą o twoją rękę.

W tym nadzwyczajnym dniu wszystko działo się bardzo szybko. Trafiła do otchłani i została z niej wydobyta. Jakiegoś człowieka rozerwano na strzępy. W izbie obok była morderczyni. Straciła dziewictwo, chwala, że je straciła, a ten mężczyzna, który je wziął, teraz nagle przypomniał sobie o etykiecie, zwracał się do przeora z prośbą o jej rękę.

- Powinienem dodać - zaznaczył Gotfryd - że aby się oświadczyć, musiał ponieść pewne wyrzeczenia. Podczas sądów król zaproponował Rowleyowi biskupstwo St Albans i na własne uszy słyszałem, jak Picot odrzucił to stanowisko, albowiem pragnie się ożenić.

On aż tak bardzo mnie pragnie?

- Król Henryk nie był zadowolony - kontynuował przeor. - Bardzo mu zależało na tym, by umieścić naszego zacnego poborcę podatków na stolcu biskupim w St Albans, a nie przywykł, żeby mu odmawiano. Jednak sir Rowley nie ustąpił.

Teraz to usta Adelii zamarły, nie mogąc wydusić odpowiedzi, o której wiedziała, że musi paść, choć nie potrafiła tego zrobić.

Wraz z przyływem miłości nadszedł strach, że przyjmie te oświadczenia, bo tak bardzo tego chciała, bo tego ranka Rowley ukoił ból zadany jej jaźni, oczyścił ją. Co oczywiście niosło niebezpieczeństwo. On złożył dla mnie taką ofiarę. Czyż to nie będzie stosowne, jeśli ja też złożę dla niego podobną?

Ofiara.

- Może i rozczarował króla Henryka - odezwał się przeor - jednak kazał mi przekazać, że wciąż jest u niego w łaskach i przeznaczony na wysokie stanowiska, dlatego przyjmując jego oświadczenia, nie ucierpisz w żaden sposób.

Adelia wciąż nie odpowiadała, kontynuował więc:

- Zaiste, muszę powiedzieć, że ucieszyłbym się, widząc was tak związanymi.

Związanymi.

- Adelio, moja droga. - Przeor Gotfryd wziął ją za rękę. - Ten mężczyzna zasługuje na odpowiedź.

Zasługiwał. Udzieliła jej.

Drzwi otworzyły się, w progu stanął brat Gilbert, zaszokowany tym, co właśnie oglądał - swojego przełożonego w towarzystwie dwóch kobiet, w sypialni. Uznał ów widok za nieprzyzwoity.

- Przeorze, lordowie już się zgromadzili.

- A zatem musimy się do nich przyłączyć. - Przeor uniósł dłoń medyczki, pocałował ją, ale

puścił przy tym oko do Gylthy, która odwzajemniła mrugnięcie. A oba mrugnięcia były nieprzyzwoite.

Lordowie zebrali się w klasztornym refektarzu, nie w kościele, tak aby kanonicy mogli swobodnie odprawić jutrznię w miejscu i w sposób, w jaki zawsze to czynili. Zgromadzeni, spożywszy wieczerzę, mając jeszcze kilka godzin do śniadania, nie chcieli, by ktokolwiek im przeszkadzał.

Nazwali to zebraniem, ale w rzeczywistości to był sąd. I nie nad młodą zakonnicą, co jak na mniszkę przystało, stała między opiekującymi się nią przeoryszą oraz siostrą Walburgą, ze skromnie spuszczoną głową, potulnie trzymając złożone dłonie.

Oskarżoną okazała się Wezuwia Adelia Rachela Ortese Aguilar, cudzoziemka, która zgodnie ze słowami wścieklej przeoryszy Joanny rzuciła nieuzasadnione, obrzydliwe, diabelskie oskarżenie na niewinną, bogobojną członkinię Zgromadzenia Świętej Radegundy i za karę należałoby ją wychłostać.

Adelia stała pośrodku sali, a maskarony z podpór kolebkowego sklepienia szczyrzyły do niej zęby. Długi stół refektarza wraz z ławami odepchnięto na bok pod ścianę, przez co rząd krzeseł, na których siedzieli sędziowie, nie znajdował się w centrum refektarza. Według medyczki zaburzało to skądinąd zgrabne proporcje pomieszczenia, jeszcze mocniej szarpnęło nerwami i tak już drżącymi z niedowierzania, wściekłości oraz, trzeba przyznać, zwykłego strachu.

Przed Adelia było trzech spośród licznych sędziów przybyłych do Cambridge - biskupi Norwich i Lincoln, a także opat Ely. Reprezentowali prawo Anglii. Mogli zacisnąć swoje upierścienione pięści i rozgnieść medyczkę niczym pęczek suszonych ziół. Ponadto byli rozeźleni, bo nie mogli jeszcze udać się na nocny odpoczynek, na który zasłużyli po długim dniu prowadzenia rozpraw na sądach, rozeźleni też podróżą z zamku do klasztoru Świętego Augustyna wśród ciemności i mżawki. I źli na nią. Czują emanującą od nich wrogość, silną, mogącą zdmuchnąć leżące na podłodze sitowie w stos pod jej stopami.

Najbardziej zaś wrogi był archidiakon Canterbury, nie sędzia, jednak ktoś, kto miał siebie za rzecznika niedawno kanonizowanego Tomasza Becketa i którego, najwyraźniej, za kogoś takiego mieli też inni. Zdawał się sądzić, że każdy atak na członka Kościoła, taki jak potępienie Weroniki, siostry zakonnej ze Zgromadzenia Świętej Radegundy, stanowi rzecz porównywalną z rozbryzganiem mózgu Becketa przez rycerzy Henryka II na katedralnej posadzce.

Zgromadzili się sami duchowni, co wzbudziło sprzeciw przeora Gotfryda.

- Moi panowie, sądziłem, że dołączą do nas jacyś świeccy możni. Uciszyli go. Wszak wszyscy byli jego zwierzchnikami.

- To wyłącznie sprawa Kościoła. Towarzyszył im jakiś młody mężczyzna w świeckich szatach, nieco

rozbawiony całą sytuacją. Kreślił notatki na pergaminie, używając przenośnego pulpitu. Adelia usłyszała, jak się nazywa, bo zwracali się do niego inni członkowie zgromadzenia. To był Hubert Walter.

Za krzesłami zebrał się wręcz cały wybór sług. Dwóch skrybów, z których jeden zasypiał na stojąco, jakiś zbrojny, co zapomniał zdjąć szlafmicy przed włożeniem hełmu, i dwóch bajlifów z kajdanami przy pasie, każdy trzymał buzdygan.

Adelia stała z dala od nich i sama, chociaż przez chwilę towarzyszył jej Mansur.

- Któż to jest, przeorze?

- To sługa pani Adelii, panie.

- Saracen?

- Znakomity arabski medyk, moi panowie.

- Nie potrzeba jej teraz ani medyka, ani sługi. Ani nam. Mansurowi nakazano wyjść z sali.

Przeor Gotfryd stanął z boku rzędu

krzeseł, za nim szeryf Baldwin i brat Gilbert.

Niechaj Bóg go błogosławi, zrobił wszystko co w jego mocy. Opowiedział tę straszliwą historię, wyjaśnił udział w niej Adelii i Szymona, przedstawił ich odkrycia oraz śmierć Neapolitańczyka, opowiedział, co na własne oczy widział pod wzgórzem Wandlebury - i przedstawił oskarżenia wysuwane wobec siostry Weroniki.

Przezornie nie wspominał ani o dokonanych przez medyczkę oględzinach dziecięcych

zwłok, ani o posiadanej przez nią wiedzy, która na to pozwoliła - za co Adelia była wdzięczna Bogu. Miała już wystarczająco dużo kłopotów, dobrze o tym wiedziała, nie potrzebowała jeszcze zmagać z zarzutem uprawiania czarów.

Do refektarza wezwano łowczego Hugona wraz z dwoma poręczycielami, by wedle angielskiego prawa świadczyli o jego uczciwości. Stał, trzymając kapelusz przyciśnięty do piersi, i zeznawał, jak, spoglądając w dół szybu, ujrzał zakrwawioną, nagą postać, w której rozpoznał sir Joscelina z Grantchester. Potem jak zszedł do tunelu. Jak obejrzał krzemienisty nóż. Jak rozpoznał psią obrozę, przyczepioną do łańcucha, w tym przypominającym łono pomieszczeniu.

- To była własność sir Joscelina, wielmożni panowie. Ongiś widywałem ją z tuzin razy na jego psie. Na skórze ma wyciśniętą jego pieczęć.

Przyniesiono obrozę, obejrzano pieczęć.

To, że sir Joscelin zabijał dzieci, nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Sędziowie byli przerażeni.

„Joscelin z Grantchester ma zostać ogłoszony zaprzańcem i mordercą. Resztki jego trupa zostaną powieszane na rynku w Cambridge, tak aby wszyscy je obejrżeli, i nie otrzymają chrześcijańskiego pogrzebu”.

A co do siostry Weroniki...

Nie istniały żadne bezpośrednie dowody świadczące przeciwko niej, albowiem Ulfa nie dopuszczono na rozprawę.

- Ile lat ma to dziecko, przeorze? Nie może zeznawać, póki nie ukończy dwunastu.

- Dziewięć, mój panie, ale to zmyślny i uczciwy chłopiec.

- Jakiego jest stanu?

- Wolnego, nie jest chłopem pańszczyźnianym. Pracuje u swojej babki, sprzedaje węgorze.

Wtedy wtrącił się brat Gilbert, który zdradliwie wyszeptał coś w ucho archidiakona, czyniąc to z wielką satysfakcją.

Aha, jego babka nie ma męża, nigdy nie miała, przypuszczalne poczęła nieślubne dzieci. Chłopiec to prawdopodobnie bękart, zatem w ogóle nie należy do żadnego stanu. „Prawo go nie uznaje”.

Ulfowi, podobnie jak wcześniej Mansurowi, kazano więc odejść do kuchni, za refektarz. Gyltha musiała zatykać mu usta, żeby nie krzyczał. Oboje słuchali rozprawy zza otwartych drzwi, z których wydobywał się zapach bekonu i gęstej polewki, mieszając z mocną wonią mokrego gronostajowego futra, którym obszyto płaszcze sędziów. Rabin Gotsce, też w kuchni, przekładał im na angielski to, co mówiono na zebraniu po łacinie.

Sędziowie zbulwersowali się jego obecnością.

- Przeorze Gotfrydzie, przyrowadzasz przed nasze oblicze Żyda?

- Wielmożni panowie, Żydzi z tego miasta stali się ofiarami rażących oszczerstw. Można udowodnić, że sir Joscelin był jednym z ich głównych dłużników i to za sprawą jego nikiemności oskarżono ich o morderstwo oraz spalono rachunki.

- Czy ten Żyd ma na to dowody?

- Rejestry długów zostały zniszczone, mój panie, tak jak już powiedziałem. Ale z pewnością rabin jest uprawniony do tego, aby...

- Prawo go nie uznaje.

Prawo nie uznawało także, aby jakaś mniszka z obliczem jaśniejącym czystością duszy mogła dopuścić się tego, co wedle Adeli uczyniła. Wstawiała się za nią jej przeorysza...

- Siostra Weronika, tak jak święta Radegunda, nasza umiłowana założycielka, urodziła się w Turynii - opowiadała. - Ale jej ojciec, kupiec, osiadł w Poitiers, gdzie została oddana do klasztoru w wieku trzech lat i wysłana do Anglii, wciąż będąc dzieckiem, choć takim, którego oddanie Bogu i Matce Boskiej było już wtedy wyraźne i takie pozostawało.

Przeorysza Joanna złagodziła głos, stwardniałe od wodzy dłonie schowała w rękawach. Teraz w każdym calu wyglądała na przełożoną dobrze zarządzanego Domu Bożego.

- Wielmożni panowie, świadczyc mogę o skromności tej mniszki, jej umiarkowaniu i oddaniu Panu. Wielokroć, kiedy inne zakonnice odpoczywały, siostra Weronika klęczała przed naszym błogosławionym małym świętym, Piotrem z Trumpington.

Z kuchni dobiegł zduszony pisk.

- Którego zwabiła, aby go zabito - oznajmiła Adelia.

- Panuj nad językiem, niewiasto - powiedział archidiakon. Przeorysza zwróciła się w



stronę medyczki, wskazała na nią palcem, a jej głos zadudnił niczym róg.

- Osądźcie, wielmożni panowie, osądźcie sami, komu wierzyć. Tej rzucającej oszczerstwa zmił czy jej, przykładzie świętobliwości.

Źle się stało, że suknia, którą Gyltha przyniosła medyczce z domu Starego Beniamina, była właśnie tą z uczyty w Grantchester, o zbyt głębokim dekolcie i zbyt jaskrawym kolorze. Nie wyglądała dobrze przy skromnej oraz eleganckiej czerni i bieli mniszek. Źle też się stało, że Gyltha, rozgorączkowana z radości po powrocie Ulfa, zapomniała przynieść medyczce zawój albo jakiś welon do okrycia głowy, a że czepek Adelii został gdzieś pod wzgórzem Wandlebury, stanęła przed sędziami z gołą głową niczym ladacznica.

Wyjąwszy przeora Gotfryda, nikt nie ujmował się za nią.

Nie Rowley Picot. Nie było go tutaj.

Archidiakon Canterbury podniósł się na nogi, które wciąż miał w kapciach. Był malutkim żwawym staruszkim.

- Wielmożni panowie, uporajmy się szybciej z tą sprawą, abyśmy mogli powrócić do naszych łóżek. I jeśli okaże się, że oskarżenia te rzucono ze złośliwości - twarz, która zwróciła się ku medyczce, była pyskiem wrednej małpki - niechaj ci, co je rzucają, zostaną wychłostani. No, a teraz...

Jednemu po drugim przyjrano się kamieniom, z których Adelia zbudowała swoje zarzuty, i kolejno je odrzucono.

Zeznanie jakiegoś bękarta sprzedającego węgorze miało potępić oblubienicę Chrystusa?

Siostra dobrze zaznajomiona jest z rzeką? Ale któż nie był zaznajomiony z pływaniem na łodzi w tym otoczonym wodami mieście?

Laudanum? Czyż nie można go kupić u każdego aptekarza?

Od czasu do czasu mniszka spędzała noc poza klasztorem. No tak...

Młody człowiek nazywany Hubertem Walterem podniósł głos i głowę znad notatek.

- Panie, może to należałoby wyjaśnić. To... nie jest zwyczajne.

- Jeśli mogę zabrać głos, panie... - Przeorysza Joanna znowu wystąpiła naprzód. -

Przewożenie jedzenia naszym pustelniczkom to akt miłosierdzia, który wyczerpuje siły siostry Weroniki, spójrzcie, jakże jest krucha. W związku z tym pozwoliłam jej spędzać noce na odpoczynku i kontemplacji u którejś z eremitek, zanim wróci do zgromadzenia.

- Godne pochwały, godne pochwały. - Oczy sędziów z uznaniem zmierzyły figurę siostry Weroniki, wiotką niczym wierzbową gałązką.

U jakiej znowu eremitki, zastanawiała się Adelia, i dlaczego nie zaciągnięto tej eremitki przed sąd, aby powiedziała, ile nocy ona i ta wiotka Weronika spędziły na kontemplacji?

Jestem pewna, że nie ma żadnej eremitki.

Ale co by to dało? Pustelniczka i tak by nie przyszła, właśnie dlatego, że była pustelniczka. A domaganie się jej przybycia tylko potwierdziłoby złośliwość Adelii, przeciwieństwo pełnego szacunku milczenia Weroniki.

Rowleyu, gdzie jesteś? Nie wytrwam tutaj samotnie, Rowleyu, oni chcą ją wypuścić.

Odpór zarzutów trwał. Kto widział, jak umiera Szymon z Neapolu? Czyż śledztwo nie wykazało, że Żyd utopił się przypadkowo?

Mury wielkiej sali zacieśniały się coraz bardziej. Jakiś bajlif przyglądał się utrzymanym kajdanom, zdawało się, iż rozmyśla, czy będą pasować na małe nadgarstki Adelii. Ponad głową medyczki gargulce bełkotały coś w złośliwej radości, a wzrok sędziów odzierał ją ze skóry.

Teraz archidiakon w ogóle podawał w wątpliwość motywy, które kierowały nią, gdy szła na wzgórze Wandlebury.

- Panowie, a co zaprowadziło ją do tego niesławnego miejsca? Skąd ona wiedziała, co tam się dzieje? Czyż nie moglibyśmy przyjąć, że to ona była w zмовie z diabłem z Grantchester, a nie siostra zakonna, którą oskarża, a której jedyną zbrodnią, jak się zdaje, było to, iż podążyła za nią, martwiąc się o jej bezpieczeństwo?

Przeor Gotfryd otwierał już usta, ale uprzedził go Hubert Walter, wciąż rozbawiony.

- Wielmożni panowie, myślę, że musimy jednak pogodzić się z tym, że cała czwórka dzieci została zgładzona, nim ta niewiasta postawiła stopę w Anglii. Możemy więc przynajmniej zdjąć z niej zarzut morderstwa.

- Naprawdę? - Archidiakon poczuł się rozczarowany. - Udowodniliśmy, że jest potwarczynią i że, tak jak sama przyznała, wiedziała o tej otchłani i tym, co tam się dzieje.

Zacni panowie, uważam, że to dziwne. Uważam, że to podejrzone.

- Podobnie ja - odezwał się biskup Norwich, ziewając. - Zabierzmy tę przeklętą kobietę na chłostę i skończmy już z tym.

- Czy to werdykt was wszystkich? Tak, to był werdykt ich wszystkich.

Adelia krzyknęła. Nie, nie ze swojego powodu, ale z powodu wszystkich dzieci Cambridgeshire.

- Nie wypuszczajcie jej, błagam. Ona może zabić ponownie! Sędziowie nie słuchali jej, nie patrzyli na nią. Ich uwagę zwrócił teraz

ktos, kto wszedł do refektarza z kuchni, przynosząc sobie miskę polewki z bekonem i właśnie ją jadł.

Zamrugnął, spoglądając na zgromadzonych.

- To jakiś sąd, prawda? Adelia czekała, aż ten skromnie odziany człowiek w skórzanym ubraniu zostanie zdmuchnięty z powrotem tam, skąd przybył. Przy jego nogach przywarowały dwa ogary do polowań na dziki. Czyli to jakiś myśliwy, który zawędrował tu przypadkowo.

Ale wielmożni sędziowie nadal stali. Kłaniali się. Nie siadali.

Henryk Plantagenet, król Anglii, diuk Normandii i Akwitanii, hrabia Andegawenii, usadowił się na stole refektarza, majtał nogami. Rozejrzał się wokół.

- No i?

- To nie jest sąd, panie - ocknął się biskup Norwich, zatrzepotał niczym skowronek. - To zebranie, wstępne przesłuchanie w sprawie dzieci zamordowanych w tym mieście. Poznano już zabójcę, ale ta... - wskazał na Adelię - ta niewiasta oskarżyła mniszkę ze Zgromadzenia Świętej Radegundy o to, że mu pomagała.

- Ach tak - oznajmił król łagodnie. - Ja myślę, że tu jakby za dużo duchownych. Gdzież de Luci? De Glanville? Świeccy lordowie?

- Nie chcieliśmy zakłócać im odpoczynku, panie. Hubert Walter opuścił swoje miejsce i stanął obok króla, wyciągnął ku niemu pergamin.

Henryk wziął dokument, odstawił miskę z zupą.

- Myślę, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, że zapoznam się z ową sprawą, bo wiedziecie, przysporzyła mi ona nieco problemów. Moi Żydzi z Cambridge zostali uwięzieni z jej powodu w zamkowej wieży.

Potem dodał jeszcze coś, też całkiem łagodnie, chociaż sędziowie drgnęli podenerwowani.

- I przez to odpowiednio zmniejszyły się moje dochody. Czytając pergamin, nachylił się, wziął z podłogi garść sitowia. Czytał w ciszy, słysząc tylko uderzenia kropelek deszczu o wysokie okno, a także pełne zadowolenia odgłosy psów, ogryzających jakąś kość znalezionej pod stołem.

Adelii tak bardzo drżały nogi, że nie wiedziała, czy zdołają ją unieść. Ten skromny, zwyczajnie wyglądający człowiek wniósł do refektarza aurę grozy.

Król zaczął mamrotać, zbliżył pergamin do kandelabru na stole, aby lepiej widzieć zapiski.

- Chłopiec twierdzi, że został uprowadzony przez mniszkę... nie jest uznawany przez prawo... hm. - Odłożył poza zasięg światła jedno z trzymanyh źdźbeł sitowia. - Znakomita polewka, przeorze - rzucił od niechcienia.

- Dziękuję, panie.

- Wiedza mniszki i to, że korzystała z rzeki. - Kolejne źdźbło trafiło poza zasięg światła. - Opiaty... - Tym razem źdźbło ułożono w poprzek pozostałych dwóch. - Całonocne czuwanie u pustelniczki. - Uniósł wzrok. - Czy tę pustelniczkę powołano na świadka? Och nie, zapomniałem, to przecież nie jest sąd.

Nogi Adelii zmiękły jeszcze bardziej, tym razem od nadziei tak wątpliwej, że aż nie ważyła się z niej cieszyć. Wraz z każdym zeznaniem złożonym przez medyczkę przeciwko Weronice u Henryka Plantageneta wciąż przybywało źdźbeł, starannie poukładanych na przemian, tak jakby zamierzał grać nimi w bierki.

- Szymon z Neapolu... utonął, będąc w posiadaniu rejestru długów... znowu rzeka... to jakiś Żyd, oczywiście, czego można było się spodziewać... - Henryk pokiwał głową nad nieostrożnością Żydów i czytał dalej. - Podejrzenia kobiety świeckiej... wzgórze Wandlebury... ona utrzymuje, że została zrzucona do otchłani... nie widziała przez kogo... szarpanina... kobieta świecka i mniszka... obie ranne... dziecko uratowane... winny jest miejscowy rycerz...

Uniósł wzrok, potem spojrzął na stos źdźbeł, potem na sędziów.

Biskup z Norwich odchrząknął.

- Jak widzisz, panie, wszystkie zarzuty wobec siostry Weroniki nie mają podstaw. Nikt nie może jej oskarżyć, ponieważ...

- Oczywiście, prócz chłopca - przerwał mu Henryk - ale jego zeznania nie mają żadnej mocy prawnej, prawda? No tak, zgadzam się... Same poszlaki.

Raz jeszcze spojrzął na swoje źdźbła.

- Diabelnie dużo poszlak, prawda, ale.... - Król nadał policzki, odetchnął ciężko i źdźbła rozleciały się na wszystkie strony. - Zatem, co postanowiliście uczynić z tą oszczerzynią... jak ona ma na imię? Adele? Hubercie, strasznie bazgrzesz.

- Proszę o wybaczenie, panie. Wołają ją Adelia. Archidiakon zaczynał się niecierpliwić.

- To jest niewybaczalne, aby rzucała takie kalumnie na osobę zakonną, tego nie można puścić płazem.

- Z pewnością - zgodził się Henryk. - I co, może powinniśmy ją powiesić?

Archidiakon nie dawał za wygraną.

- Ta kobieta jest cudzoziemką, przybyła nie wiadomo skąd, w towarzystwie Żyda i Saracena. Czy mamy jej pozwolić, aby zniesławiała Kościół święty? Jakim prawem? Kto ją tu przysłał i po co? By siała zamęt? Powiadam, jaki diabeł ją tu do nas sprowadził!

- Tak naprawdę, to ja ją sprowadziłem - oznajmił król.

Na sali zapadła taka cisza, jakby zasypała ją śnieżna lawina. Zza drzwi, za pleców sędziów dobiegł odgłos szurających i człapiących w kałużach stóp. To kanonicy z Barnwell wędrowali w deszczu wzdłuż krużganków, idąc do kościoła.

Henryk po raz pierwszy spojrzął na Adelię i w szerokim uśmiechu pokazał swoje zwierzęce ząbki.

- Nie wiedziałas o tym, co?

Zwrócił się do sędziów, którzy, jako że nie pozwolono im usiąść, cały czas stali.

- Widzicie, moi zacni panowie, w Cambridge znikają dzieci, a wraz z nimi moje dochody. Żydzi zostali zamknięci, na ulicach wybuchły zamieszki. Zatem powiedziałem Aaronowi z Lincoln, znasz go, biskupie, pożyczył ci pieniądze na twoją katedrę. Powiedziałem mu: „Aaronie, coś trzeba zrobić z tym Cambridge. Jeśli Żydzi zabijają dzieci, by odprawiać swoje rytuały, to musimy ich powiesić. Jeśli nie, trzeba będzie powiesić kogoś innego”. Co mi o czymś przypomniało - podniósł głos. - Chodź tutaj, rabinie, wszak przyznano, że to nie jest sąd.

Otworzyły się drzwi do kuchni i ostrożnie wkroczył przez nie rabin Gotsce, kłaniając się z częstotliwością zdradzającą, jak bardzo jest zdenerwowany.

Król nie zwracał już więcej na niego uwagi.

- Aaron ruszył, aby się tym zająć, a zająwszy się, wrócił. Oznajmił mi, że człowiekiem, którego potrzebujemy, jest niejaki Szymon z Neapolu, obawiam się, panowie, że jeszcze jeden Żyd, ale także znany śledczy. Aaron zaproponował także, by zasugerowano owemu Szymonowi, żeby wziął ze sobą mistrza sztuki śmierci. - Henryk ukazał sędziom kolejny ze swoich uśmiechów. - Spodziewam się, że zadajecie sobie teraz pytanie, kimże jest mistrz sztuki śmierci. No wiem, że tak. Jakiś nekromanta? Jakiś wyrafinowany kat? Ależ nie, wygląda na to, że jest to uczony człowiek, potrafiący czytać z trupów, a w tym wypadku mogący ze zwyczajów dzieciobójcy z Cambridge odczytać wskazówki, pokazujące na osobę sprawcy. Czy jest jeszcze więcej tej wyśmienitej polewki?

Król tak szybko zmienił temat, że dopiero po kilku chwilach przeor Gotfryd, niczym we śnie, wstał i ruszył do okienka kuchni. Zdawało się czymś całkiem naturalnym, że jakaś kobieca ręką podała mu stamtąd parującą miskę. Wziął ją, powrócił i podał władcy, przykleknąwszy na jedno kolano.

Monarcha skorzystał z tej przerwy, aby odezwać się do przeoryszy Joanny.

- Miałem nadzieję zapolować dzisiaj na dzika. Jak myślisz, pani, czy nie jest już za późno? Czy dziki już wróciły do swoich kryjówek?

Przeorysza zdziwiła się, ale ucieszyła.

- Jeszcze nie, panie. Jeśli mogę coś poradzić, wypuść swoje ogary ku Babraham, gdzie lasy... - urwała, coś sobie uświadomiła. - Powtarzam tylko to, co zasłyszałam, panie. Mam niewiele czasu na łowy.

- Naprawdę, pani? - Henryk zdawał się nieco zaskoczony. - Słyszałem, że uchodzisz tu za

istną Dianę.

To była pułapka, pomyślała Adelia. Uświadomiła sobie, że właśnie ogląda ćwiczenie, które niezależnie od efektu, podnosiło spryt do rangi sztuki.

- A zatem - powiedział król, przezuwając. - Dziękuję ci, przeoryszo. Zatem spytałem Aarona: „Gdzie, u diabła, mam znaleźć tego mistrza sztuki śmierci?” A on mi odrzekł: „Nie u diabła, mój panie, lecz w Salerno”. Ten nasz Aaron lubi takie dowcipne uwagi. Wygląda na to, że właśnie znakomita Szkoła Medyków w Salerno wydaje ludzi znających ową tajemną naukę. Skracając tę długą opowieść, napisałem do króla Sycylii. - Uśmiechnął się do przeoryszy. - Wiedźcie, że on jest moim przyjacielem. Napisałem, prosząc o użyczenie Szymona z Neapolu i tegoż mistrza od śmierci.

Król przełknął zbyt szybko, zakrztusił się, Hubert Walter musiał poklepać go po plecach.

- Dziękuję, Hubercie. - Otarł oczy. - No, ale dwie rzeczy poszły nie tak. Po pierwsze, nie było mnie w Anglii, kiedy Szymon z Neapolu przybył do tego kraju, bo musiałem uspokoić tych cholernych Lusignanów. Po drugie, wygląda na to, że w Salerno medycyny uczą się też kobiety. Uwierzycie w to, moi panowie? I jakiś idiota, który nie potrafił odróżnić Adama od Ewy, wysłał mi nie mistrza sztuki śmierci, lecz mistrzynię. I oto ona tu jest. - Spojrzał na Adelię, nie uczynił tego nikt inny. Patrzyli na króla, ciągle na króla. - Zatem obawiam się, moi panowie, że nie możemy jej powiesić, nieważne, jak bardzo byśmy chcieli. Bo widzicie, ona nie jest naszą własnością, ona jest poddaną króla Sycylii, a mój przyjaciel Wilhelm chciałby, by wróciła do niego cała i zdrowa.

Teraz zszedł ze stołu, przespacerował się po podłodze, szczerząc zęby jakby w głębokim zamyśleniu.

- Co powiecie, moi panowie? Czy nie sądzicie, w obliczu tych faktów, że ta kobieta i jakiś Żyd, tak między nami mówiąc, ocalili kolejne dzieci od paskudnej śmierci z rąk jegomościa, którego głowa teraz marynuje się na zamku, w wiadrze z solną zalewą...

Wciągnął powietrze, zadumany, pokręcił głową.

- Czyż możemy coś jej uczynić? Nikt się nie odezwał. Nie zamierzał.

- Panowie, w rzeczy samej. Król Wilhelm czuje się urażony, jeśli coś złego zostanie uczynione mistrzyni Adeli albo podjęta zostanie jakakolwiek próba oskarżenia jej o czary albo niegodne praktyki. - Nagle głos króla smagnął jak biczem - Podobnie ja też czuję się urażony.

Do końca swoich dni będę twoim sługą - medyczka aż osłabła, przepełniona wdzięcznością i podziwem. Ale czy ty, wielki Plantagenet, możesz doprowadzić zakonnicę przed sąd?

Na sali znalazł się też Rowley, wielki, postawny, kłaniający się znacznie niższemu Henrykowi. Coś mu dał.

Obaj wymienili spojrzenia. Picot schylił głowę. Byli w zмовie, on i król.

Ruszył w głąb refektarza i stanął obok przeora Gotfryda. Płaszcz miał pociemniały od deszczu, pachniał świeżym powietrzem. On w ogóle był świeżym powietrzem. I nagle Adelia uradowała się, że ma tak głęboki dekolt, a głowę odkrytą niczym ładacznica. Mogłaby wciążyć się dla niego rozbierać. Będę twoją ładacznicą kiedykolwiek zechcesz i jestem z tego dumna.

Coś mówił. Przeor przekazał instrukcje bratu Gilbertowi, który wyszedł z refektarza.

Henryk wrócił na swoje miejsce na stole. Skinął na najgrubszą spośród trzech mniszek stojących pośrodku sali.

- Ty siostró. T y , ty. Chodź tutaj. Przeorysza Joanna patrzyła podejrzliwie, jak Walburga niepewnym

krokiem zbliża się do króla. Weronika nadal miała spuszczone oczy, dłonie spokojne, tak jak od samego początku.

Teraz łagodniej, jednak by słyszano każde jego słowo, monarcha powiedział:

- Rzeknij mi, siostró, kim jesteś w zgromadzeniu? Mów. Nic ci się nie stanie. Obiecuję.

Padła odpowiedź początkowo urywana, ale niewielu potrafiło oprzeć się Henrykowi, kiedy był miły, a Walburga do nich nie należała.

- Studiuję Słowo Boże, tak jak pozostałe siostry, i odmawiam modlitwy. I rozwożę jedzenie pustelniczkom...

Tu zabrzmiała nuta zwątpienia.

Adelia zrozumiała, że Walburga, z tą jej łamaną łaciną, czuje się oszołomiona całym tym sądem, nigdy jej nie dopuszczano do czegoś takiego.

- I odprawiamy nabożeństwa w godziny kanoniczne, niemal zawsze...

- Czy dobrze jadacie? Dużo mięsa?

- Och tak, panie. - Walburga już stanęła na twardym gruncie i nabrała pewności siebie. - Matka Joanna zawsze przywozi z łąków kozła czy dwa, a moja cioteczka robi dobre masło i śmietanę. Zwykle jadamy dobrze.

- Co jeszcze robisz?

- Poleruję relikwiarz świętego Piotrusia i wyplatam pamiątki, które kupują pielgrzymi, i...

- Mogę się założyć, że wyplatasz najlepsze w całym zgromadzeniu - głos króla był bardzo jowialny.

- Dobrze mi idzie, jeśli mogę powiedzieć, choć może siostra Weronika i biedna siostra Agnieszka mnie doganiały.

- Przypuszczam, że każda z was ma własny styl? - Walburga zamrugła z niezrozumieniem, Henryk więc inaczej sformułował swoje pytanie. - Powiedzmy, że chciałbym sobie kupić jakąś pamiątkę i wybrać ją sobie ze stosu pamiątek. Czy potrafiłabyś mi powiedzieć, która jest twoja, a która Agnieszki? Albo Weroniki?

Mój Boże. Adelia poczuła, jak robi jej się gęsia skórka. Próbowwała uchwycić spojrzenie Rowleya, ale on na nią nie patrzył. Walburga zachichotała.

- Nie ma potrzeby, mój panie. Zrobię ci taką za darmo. Henryk się uśmiechnął.

- Hm, a ja właśnie posłałem sir Rowleya, żeby kilka przyniósł. Wyjął jeden z tych niewielkich przedmiotów, jakichś figurek, plecionek, które dał mu Picot.

- Zrobiłaś tę?

- Och, nie, nie, to siostra Otylia, zanim umarła.

- A tę?

- To Magdaleny.

- Ta?

- Siostra Weronika.

- Przeorze. - To był rozkaz.

Brat Gilbert wrócił. Przeor Gotfryd przyniósł kolejny przedmiot, pokazał Walburdzie.

- A to, moje dziecko? Kto zrobił to? Przedmiot leżał na rozpostartej dłoni, podobny gwieździe z sitowa, pięknie i misternie wypleciony pięcioramienny kształt. Walburdzie podobała się ta zgadywanka.

- No, to też jest dzieło siostry Weroniki.

- Jesteś pewna?

- Pewna, panie. Ona lubi takie coś robić, dla zabawy. Biedna siostra Agnieszka mówiła, że może nie powinna, bo to ma taki pogański kształt, ale my nie widziałyśmy w tym niczego złego.

- Niczego złego - łagodnie powtórzył król. - Przeorze? Przeor Gotfryd stanął przed sędziami.

- Wielmożni panowie, to jest jeden z przedmiotów, które leżały na ciałach dzieci znalezionych na Wandlebury, kiedy je odnaleźliśmy. Ta zakonnica właśnie rozpoznała w nim rzecz zrobioną przez oskarżaną siostrę. Spójrzcie na to.

Sędziowie spojrzeli jednak na siostrę Weronikę.

Adelia wstrzymywała oddech. To jeszcze o niczym nie rozstrzygało, ona mogła podać ze sto usprawiedliwień. To było mądre, ale to jeszcze nie dowód.

Okazało się jednak wystarczającym dowodem dla przeoryszy Joanny. Spoglądała na swoją protegowaną z udręką.

Okazało się też wystarczającym dowodem dla Weroniki. Przez chwilę trwała bez ruchu. Potem wrzasnęła, uniosła głowę i dwie drżące ręce.

- Obrońcie mnie, wielmożni panowie! Myślicie, że on został pożarty przez psy, ale on jest tutaj. On jest tutaj!

Wszystkie spojrzenia powędrowały w górę, gdzie z cieni uśmiechnęły się do nich gargulce, potem z powrotem na Weronikę. Wijąc się, padła na posadzkę.

- On was skrzywdzi. On mnie krzywdzi, kiedy nie jestem mu posłuszna. On mnie krzywdził, kiedy we mnie wchodził. On krzywdzi. Och, ocalcie mnie przed diabłem.

## Rozdział 16

W sali powietrze nagrzało się i zrobiło ciężkie. Mężczyźni przymrużyli oczy, usta im obwisły, ciała zeszywniały. Weronika wyla się po podłodze wśród sitowia, zadarła habit, wskazywała swój srom, wrzeszcząc, że diabeł wszedł w nią właśnie tamtędy, tamtędy.

Stało się tak, jakby wążca tyle co piórko mała plecionka okazała się tak ciężka od win i tak ogromna, że mniszka uznała, iż wszystko wyszło już na jaw. Otworzyły się drzwi do sali, do środka weszło coś cuchnącego.

- Modliłam się do Matki Przenajświętszej... ocal mnie, ocal, Maryjo... ale on przebił mnie swoim rogiem, tutaj, tutaj. Jakże to bolało... on miał rogi... Nie potrafiłam... słodki Synu Maryi, kazał mi patrzeć, jak robi... straszne rzeczy, straszne... tam była krew, tyle krwi. Pragnęłam krwi Pana, ale byłam niewolnicą diabła... on mnie krzywdził, krzywdził. .. on gryzł moje piersi, tutaj, o tutaj, rozbierał mnie... bił mnie., wsadzał mi swój róg w usta... Modliłam się, aby zjawił się słodki Jezus... ale on był księciem ciemności... jego głos w moich uszach kazał mi robić różne rzeczy... bałam się... powstrzymajcie go, nie dajcie mu...

Modlitwy i poniżenie. To trwało i trwało.

Ale pozostawałaś w sojuszu z bestią, pomyślała Adelia. Całe miesiące. Bez końca. Oprawiał dziecko po dziecku, patrzyłaś na ich męki i nigdy nie spróbowałaś się uwolnić. To wcale nie była niewola.

Weronika obnażała nie tylko swoją duszę, ale także młode ciało. Habit zadarła aż ponad kolana. Spod rozdartej szaty ukazały się delikatne piersi.

To jest przedstawienie. Ona zrzuca winę na diabła. Ona zabiła Szymona. Jej się to podobało. Miłość cielesna, o nią właśnie chodziło.

Rzut oka na sędziów zdradził, że są jak urzeczeni, nawet bardziej niż urzeczeni. Ręka biskupa Norwich spoczywała na kroczu, stary archidiakon ciężko dyszał. Z ust Huberta Waltera ciekła ślina. Nawet Rowley oblizywał wargi.

W chwili przerwy, kiedy Weronika łapała oddech, odezwał się biskup, niemal z czcią.

- Opętanie przez demona. Najbardziej oczywisty przypadek, jaki kiedykolwiek widziałem.

A zatem uczyniły to demony. Nastąpiła kolejna próba podważenia autorytetu Kościoła, dokonana przez księcia ciemności. Godny pożałowania, ale zrozumiałym incydent w tej wojnie między grzechem a świętością. Winić można tylko diabła. Pełna rozpacz Adelia spojrzała w twarz jedyemu mężczyźnie w tej sali, który patrzył na to wszystko z sardonycznym uśmieszkiem.

- Ona zabiła Szymona z Neapolu - oznajmiła.

- Wiem.

- Pomogła zabić dzieci.

- Wiem - odparł król. Weronika czołgała się teraz po podłodze jak robak w stronę sędziów.

Złapała za kaptcie archidiakona, a jej miękkie ciemne włosy kaskadą opadły na jego stopy.

- Ocal mnie, mój panie, nie pozwól mu znowu mną owładnąć. Pragnę Pana naszego, zwróć mnie mojemu Odkupicielowi. Odeślij diabła.

Wśród owego szaleństwa i nieładu zniknęła niewinność, a jej miejsce zajęło zmysłowe piękno, starsze i bardziej posiniaczone niż to, które zastąpiło - ale jednak piękno.

Archidiakon schylił się, sięgnął ku niej.

- Chodź, chodź, moje dziecko. Stół zadrżał, kiedy Henryk uderzył pięścią w blat.

- Czy hodujesz świnię, mój wielmożny przeorze? Przeor Gotfryd oderwał oczy od mniszki.

- Świnie?

- Świnie. I niech ktoś postawi tę kobietę na nogi. Wydano polecenia. Hugo wyszedł z sali.

Dwóch zbrojnych podniosło

Weronikę, zawisła między nimi.

- A teraz, pani - odezwał się do niej król - pomożesz nam. W oczach Weroniki, kiedy uniosły się ku niemu, na chwilę pojawiło się zastanowienie.

- Zwróć mnie mojemu Odkupicielowi, panie. Pozwól mi obmyć moje grzechy we krwi Pana.

- Odkupić może tylko prawda, a zatem opowiedz nam, jak ten diabeł zabijał dzieci. W jaki sposób. Musisz nam pokazać.

- Czy Pan tego chce? Tam była krew, tyle krwi.  
- On na to nalega. - Henryk w ostrzegawczym geście wyciągnął rękę w stronę sędziów, którzy nadal stali. - Ona wie, ona to widziała. Ona nam pokaże.  
Zjawił się Hugo z prosięciem, pokazał je królowi, który skinął głową. Kiedy myśliwy niósł je obok medyczki w stronę kuchni, oszołomiona Adelia spostrzegła mały okrągły ryjek. Zapachniało chlewem.  
Jeden ze zbrojnych ruszył, prowadząc Weronikę w tym samym kierunku, za nim szedł drugi, ceremonialnie na wyciągniętych dłoniach trzymał nóż o liściastym kształcie. Krzemienisty nóż. Ten nóż.  
Czy właśnie o to mu chodzi? Boże, miej nas w opiece, miej w opiece nas wszystkich.  
Sędziowie, zgromadzeni oraz mrugająca ze zdumienia Walburga ruszyli w stronę kuchni. Przeorysza Joanna chciała zostać w sali, jednak król Henryk złapał ją za łokieć i pociągnął za sobą.  
Kiedy obok Adelii przechodził Rowley, powiedziała mu:  
- Ulfowi nie wolno na to patrzeć.  
- Posłałem go do domu z Gylthą.  
Potem i on poszedł. Medyczka została w pustym refektarzu.  
Czy to zostało zaplanowane? Chodziło o coś więcej, nie tylko o udowodnienie winy Weroniki. Henryk chciał ugodzić w Kościół, potępiający go za śmierć Becketa.  
Straszne. Pułapka zastawiona przez zmyślnego króla, nie tylko na ową kreaturę, co wpadłaby w nią albo i nie, zależnie od tego, jak sama okazałaby się zmyślna, ale także po to, żeby pokazać największemu wrogowi jego własną słabość. I niezależnie od stopnia splugawienia istoty, na którą zastawiono sidła, to jednak zawsze były sidła.  
Ciągły ruch pozostawił drzwi na krążanki otwarte. Wstawał świt, kanonicy śpiewali, śpiewali cały czas. Kiedy Adelia słuchała ich chóru, splatającego na nowo porządek i piękno, poczuła, że nocne powietrze chłodzi łyż na jej policzkach, te łyż, o których nawet nie miała pojęcia.  
Z kuchni dobiegł ją głos króla.  
- Położyć je na stół do krojenia... Bardzo dobrze, siostrze. Pokaż nam, co on robił.  
W dłoń Weroniki włożono nóż....  
Nie rób tego, nie trzeba... Tylko im powiedz...  
Głos mniszki było słychać wyraźnie.  
- Zostanę odkupiona?  
- Prawda jest odkupieniem - powtórzył Henryk nieustępliwie. - Pokaż to nam.  
Cisza.  
Mniszka odezwała się ponownie.  
- Wiecie, on nie lubił, kiedy one były tak blisko jego oczu - rozległo się pierwsze kwiknięcie prosiaka - a potem...  
Adelia zatkała uszy, ale dłonie nie zdołały stłumić kolejnego kwiknięcia, potem jeszcze jednego, jeszcze jednego... a ponad tym kobiecego głosu.  
- Tak jak teraz, a potem tak. I potem... Ona jest obłąkana. Jeśli to coś wcześniej było sprytem, to sprytem szaleńca. Ale teraz nawet on ją opuścił. Dobry Boże, co też musi dziać się w jej głowie?  
Śmiech? Nie, jakiś chichot, wariacki, narastający, wysysający życie z odbieranego życia. Ludzki głos Weroniki zmieniał się w nieludzki, wznosił się ponad agonijnymi piskami prosiaka, aż wreszcie stał się rykiem pasującym do wielkich, umazanych trawą zębisk i długich uszu. Wydostał się na normalność nocy, skruszył ją.  
To było rzenie oślicy.

Zbrojni sprowadzili mniszkę z powrotem do refektarza i cisnęli na podłogę. Prosięca krew, która splamiła jej habit, zaczęła wsiąkać w sitowie. Sędziowie omijali ją szerokim łukiem, biskup Norwich, zamyślony, wycierał swoje obryzane szaty. Mansur i Rowley mieli skupione twarze. Rabin Gotsce był całkiem błądy. Przeorysza Joanna opadła na ławę, ukryła twarz w ramionach. Hugo oparł się o framugę drzwi, tępo patrzył w przestrzeń.  
Adelia pospieszyła do siostry Walburgi, która zatoczyła się i upadła, rękoma chwytając się powietrza. Uklękła, dłońią ujęła podbródek zakonnicy.  
- Spokojnie, oddychaj spokojnie. Spokojne, płytkie oddechy. Usłyszała głos Henryka.

- I jak, moi panowie? Wygląda na to, że ona w pełni współdziała z diabłem.  
Wyjąwszy przerażony oddech Walburgi, na sali panowała cisza. Po chwili ktoś się odezwał, jeden z biskupów.

- Oczywiście, ona będzie sądzona przez sąd kościelny.
- Masz na myśli to - odparł król - że skorzysta z ochrony dawanej przez stan duchowny?
- Panie, ona wciąż jest jedną z nas.
- I co z nią zrobicie? Kościół nie może wieszać. Nie może rozlewać krwi. Wszystko, co może zrobić ten wasz sąd, to ekskomunikować ją i wyrzucić z Kościoła. Co się stanie, kiedy znowu przyzwie ją jakiś zabójca?

- Plantagenecie, strzeż się - teraz odezwał się archidiakon. - Pragniesz się spierać ze świętym Tomaszem? Czyż on ma ponownie zginąć z rąk twoich rycerzy? Będziesz podawał w wątpliwość jego własne słowa? „Stan duchowny ma za króla tylko Chrystusa i tylko królowi niebieskiemu podlega; winni rządzić się własnym prawem”. Dzwon, księga i świeca są naszym najwyższym prawem. Owa plugawa niewiasta straci swoją duszę.

Oto był głos, który odbijał się echem w katedrze, tej o stopniach splamionych krwią arcybiskupa. Zabrzmiał również echem w owym prowincjonalnym refektarzu, gdzie w deski podłogi wsiąkała krew prosięcia.

- Ona już straciła swoją duszę. Czy Anglia ma stracić więcej dzieci? Zabrzmiał inny głos, używający przeciwko Becketowi rozumnych, świeckich argumentów. Wciąż pozostawał rozumny.

I nagle przestał takim być. Henryk chwycił jednego ze swoich zbrojnych za ramiona, potrząsnął nim. Ruszył dalej, potrząsnął rabinem, następnie Hugonem.

- Widzicie? Widzicie? O to właśnie kłóciłem się z Becketem. Miejcie swoje sądy, mówiłem, ale przekazcie winnych do moich sądów, abym ich karał. - Ludzie rozpierzchali się po sali jak szczury. - I przegrałem, wiecie? Mordercy i gwałciciele chodzą wolno po moim kraju, bo ja przegrałem.

Hubert Walter złapał go za ramiona, prosił, ale monarcha ciągnął go za sobą.

- Panie mój, panie... pamiętaj, błagam cię, pamiętaj. Henryk strząsnął go, spojrzał w dół na niego.
- Nie zapomnę, Hubercie. - Przesunął dłonią po ustach, ścierając rozbryzganą ślinę. - Słyszycie mnie, moi panowie? Nie zapomnę.

Teraz się uspokoił, patrzył na drżących sędziów.

- Osądźcie ją, potępcie, zabierzcie jej duszę, ale ja nie zniosę, żeby oddech tej kreatury kaził moje królestwo. Odeślijcie ją z powrotem do Turynii, wyślijcie do dalekich Indii, gdziekolwiek, ale nie będę już tracił więcej dzieci i na zbawienie mojej duszy, jeśli to coś za dwa dni wciąż jeszcze będzie oddychać powietrzem Plantagenetów, ogłoszę światu, że Kościół wypuścił to wolno. A jeśli chodzi o ciebie, pani...

Zwrócił się teraz do przeorowszycy Joanny. Uniósł jej głowę ze stołu, chwytając za welon, zerwał go, ukazał szorstkie siwe włosy.

- A jeśli chodzi o ciebie... to gdybyś poświęciła pilnowaniu swoich sióstr choć połowę uwagi, z jaką pilnujesz swoich ogarów... Ona ma odejść, rozumiesz? Ona ma odejść albo rozwałę ten twój klasztor kamień po kamieniu, a ciebie razem z nim. Teraz wyjdź stąd i zabierz ze sobą tę śmierdzącą larwę.

To było ponure odejście. Przeor Gotfryd stał u drzwi, wyglądał staro i niezdrowo. Deszcz ustał, ale zimne, wilgotne powietrze świtu podniosło z ziemi mgły. Owych zakapturzonych, odzianych w płaszcze postaci dosiadających koni i wchodzących do lektyk prawie nie dało się rozróżnić. Jednak trwała cisza, wyjąwszy stukot kopyt o bruk, parskanie koni i śpiew drozda, a z wybiegu dla kur dobiegło pianie koguta. Nikt się nie odzywał. Wszyscy wyglądali jak lunatycy, jak czyścicowe dusze.

Tylko król odjeżdżał hałaśliwie, gromada ogarów i konnych pogalopowała ku bramom i otwartej przestrzeni.

Adelii zdało się, że widziała też dwie postaci w welonach, odprowadzane przez zbrojnych. Może tamta sylwetka w kapeluszu, zgarbiona, samotna, była rabinem. Tylko Mansur stał przy boku medyczki, niech go Bóg za to błogosławi.

Podeszła do zapomnianej Walburgi i objęła ją. Czekwała na Rowleya Picota. Czekwała i czekała.

On ani do niej nie przybył, ani stąd nie odszedł.



Ach, tak...

- Wygląda na to, że musimy ruszać na piechotę - oznajmiła. - Dasz radę? Martwiła się o Walburę. Po tym, co dziewczyna widziała w kuchni, a czego nie powinna nigdy oglądać, jej puls był wręcz zatrważająco szybki.

Mniszka przytaknęła.

Razem wolno szły poprzez mgłę. Mansur kroczył obok nich. Adelia dwukrotnie obejrzała się za Stróżem i dwukrotnie sobie przypomniała. Kiedy zaś odwróciła się po raz trzeci...

- Dobry Boże, nie.

- Co się stało? - zapytał Arab.

Za nimi szedł Rakszasa, jego stopy nurzały się we mgle. Eunuch wyciągnął sztylet, potem wsunął go do połowy do pochwy.

- To ten drugi. Zostań tutaj. Wciąż oddychając ciężko z przerażenia, Adelia patrzyła, jak Arab

idzie przed siebie i zagaduje Gerwazego z Coton, tego o sylwetce tak bardzo przypominającej zabitego rycerza, właśnie tego sir Gerwazego, teraz jakby mniejszego i dziwnie onieśmiałego. On i Saracen poszli dalej wzdłuż ścieżki, zniknęli medyczne z oczu. Coś mamrotali. Przez ostatnich kilka tygodni angielski Mansura znacznie się poprawił. Saracen wrócił samotnie. Teraz cała trójka znowu szła razem.

- Poślijmy mu garnek rdestu - odezwał się.

- Dlaczego? - A potem, jako że wszystko, co normalne, zostało ciśnięte gdzieś na bok, Adelia uśmiechnęła się szeroko. - On... Mansurze, on złapał chorobę weneryczną?

- Inni lekarze nie zdołali mu pomóc. Biedak już dawno próbował się mnie poradzić. Mówi, że przypatrywał się domowi Żyda, czekając na mój powrót.

- Widziałam go. Wystraszył mnie na śmierć. Dam mu tego cholernego rdestu, ale zaprawię go pieprzem. To go oduczy czajenia się na brzegu rzeki. Jego i jego chorobę.

- Bądźże medykiem - zganił ją Mansur. - To stroskany człowiek, przerażony tym, co powie jego żona, niech Allah się nad nim zmiłuje.

- No to powinien być jej wierny - odparła Adelia. - Tfu, to będzie akurat w samą porę, jeśli to rzeźączka - wciąż się szeroko uśmiechała. - Ale nie mów mu o tym.

Ulżyło im, kiedy dotarli do bram miasta i ujrzeli Wielki Most. Przechodziło po nim stado owiec, tak wielkie, że wprawiało go w drżenie. Jacyś żacy, zataczając się, wracali do domu po ciężkiej nocy.

Walburga gwałtownie wypuściła powietrze i powiedziała pełna zdumienia:

- Ale ona była przecież najlepsza z nas, najświętsza. Podziwiałam ją, była taka dobra.

- Była obłąkana - odparła Adelia. - Trudno to wytłumaczyć.

- Skąd się to bierze?

- Nie wiem. Może zawsze w niej było. Była dławiona. Skazana na życie w cnotce i posłuszeństwie już w wieku trzech lat. Przypadkowo spotkała mężczyznę, który nad nią zapanował. Rowley opowiadał, że Rakszasa pociągał kobiety. „Bóg wie dlaczego. Nie traktował ich dobrze”. Czy wściekle spółkowanie wyzwoliło obłąd mniszki? Być może.

- Nie wiem - powtórzyła Adelia. - Oddychaj płytko. Powoli. Kiedy dotarli do wejścia na most, klusem zbliżył się do nich jakiś

konny. Sir Rowley spojrział w dół, na medyczkę.

- Czy doczekam się jakichś wyjaśnień, pani?

- Wyjaśniłam już wszystko przeorowi Gotfrydowi. Jestem ci wdzięczna i zaszczycona twoimi oświadczeniami...

Och, niedobrze.

- Rowley, chciałabym za ciebie wyjść, tylko za ciebie, za nikogo innego, naprawdę. Ale...

- A czyż tego ranka nie wychędożyłem cię zanie? Specjalnie mówił po angielsku, Adelia poczuła, jak zakonnica u jej

boku wzdryga się, słysząc to stare, saksońskie i wulgarne słowo.

- Zaiste - odparła.

- Uratowałem cię. Ocalałem przed tym potworem.

- To także zrobiłeś. Ale był tam też ów wir sił, które oplątywały ją i Szymona z Neapolu i doprowadziły do odkrycia na wzgórzu Wandlebury, mimo nieszczęsnego pomysłu Adelii, żeby pójść tam samotnie.

Te same siły doprowadziły do ocalenia Ulfa. Uwolniły Żydów. Choć nikt poza królem o

tym nie wspominał, całe śledztwo stanowiło połączenie logiki, chłodnego rozumowania oraz... och, no dobrze, instynktu, ale instynktu opartego na wiedzy; w tej epoce kierującej się głównie naiwną wiarą, rzadkie to były umiejętności, zbyt rzadkie, aby utonąć, tak jak utonął Szymon, zbyt cenne, aby je pogrzebać, tak jak ona zostałaby pogrzebana w małżeństwie. Medyczka o tym wszystkim myślała w udreće, ale rezultat tych rozmyślań był nieuchronny. Chociaż ona się zakochała, to reszta świata się nie zmieniła. Trupy wciąż krzyczą. Miała obowiązek ich wysłuchać.

- Ja nie mogę wyjść za mąż - oznajmiła. - Jestem medykiem umarłych.  
- Na pewno powitają cię z radością. Dźgnął konia ostrogami i ruszył na most, zostawiając Adelię samą i dziwnie urażoną. Mógłby przynajmniej odprowadzić ją i Walburę do domu.  
- Hej! - krzyknęła za nim. - Ślesz głowę Rakszasy na Wschód, do Hakima?  
Przypłynęła do niej jego odpowiedź.  
- Właśnie tam, do licha, już moja w tym głowa! Zawsze potrafił ją rozbawić, nawet kiedy płakała.  
- To dobrze - stwierdziła.

Tego dnia w Cambridge wiele się wydarzyło.

Sędziowie wysłuchali zeznań i wydali wyroki w sprawach kradzieży, obrzynania monet, ulicznych bójek, uduszenia niemowlęcia, bigamii, kłótni o miedzę, zbyt słabego piwa, za małych bochenków chleba, podważanych testamentów, śmiertelnych wypadków, włóczęgostwa, żebractwa, sporów kapitanów łodzi, sąsiedzkich bijatyk, podpalenia, uciekających dziedziczek i krnąbrnych czeladników.

W południe zrobiono przerwę. Grzmot werbli i dźwięk trąb przykuły uwagę tłumów na podzamczu. Na podwyższeniu, przed sędziami, stanął herold, odczytał z pergaminu, tak by usłyszano go w mieście:

- „Niechaj będzie wiadome, że w obliczu Boga i ku ukontentowaniu sędziów, rzeczonemu rycerzowi, niejakiemu Joscelinowi z Grantchester, dowiedziono, iż to on jest nikczemnym zabójcą Piotra z Trumpington, Harolda z Parafii Świętej Marii, Marii córki Bonninga, łowcy ptactwa, oraz Ulryka z Parafii Świętego Jana i że wspomniany już Joscelin z Grantchester zginął, gdy go chwymano, a jak przystoi w przypadku takiego zbrodniarza, pożarty został przez psy.

Niech będzie także wiadome, że Żydzi z Cambridge oczyszczeni zostali z oskarżeń o te morderstwa, tak aby mogli powrócić do prawnie im przynależnych domów i zajęli je bez przeszkód. W imię Boże, podpisano Henryk, król Anglii”.

Nie było wzmianki o mniszce, Kościół milczał w jej sprawie. Ale w całym Cambridge o tym szeptano. Po południu Agnieszka, żona sprzedawcy węgorki oraz matka Harolda, rozebrała małą chatynkę, w której przesiadywała pod bramami zamku od czasu śmierci syna, zatargła szalas w dół zbocza i odbudowała pod bramą klasztoru Świętej Radegundy.

To widzieli i słyszeli wszyscy.

Innych rzeczy dokonano potajemnie oraz w ciemnościach, chociaż dokładnie nie wiadomo, kto to robił. Na pewno wysocy dostojnicy Kościoła zebrali się za zamkniętymi drzwiami, a jeden wołał: „któż uwolni nas od tej hańbiącej nas kobiety?”, dokładnie jak wołał kiedyś Henryk II, aby uwolniono go od kłopotliwego Becketa.

Co później wydarzyło się za tymi zamkniętymi drzwiami, było już mniej znane, albowiem nie wydano żadnych poleceń, choć pojawiły się sugestie tak delikatne jak skrzydełka komara, tak nikłe, że wprost nie dawało się ich wysłowić, wyrażono życzenia tak subtelnym kodem, iż odczytać mogli je tylko ci, którzy znali do niego klucz. Może wszystko dlatego, aby o tych ludziach - a oni nie byli duchownymi - którzy zeszli z Zamkowego Wzgórza do klasztoru Świętej Radegundy, nie dało się powiedzieć, iż działali z czyjeś rozkazu.

Ani nawet w ogóle, że to oni zrobili.

Przypuszczalnie Agnieszka wiedziała, ale nigdy nikomu o tym nie mówiła.

Owe sprawy, te jawne i te ukryte, działały się bez wiedzy Adelii. Tak jak poleciła jej Gyltha, medyczka przespała całą dobę. Kiedy się obudziła, ujrzała kolejkę pacjentów, wijącą się uliczką Jezusową. Czekali, aż przyjmie ich medyk Mansur. Zajęła się najpoważniejszymi przypadkami, potem zrobiła przerwę, w trakcie której naradziła się z Gylthą.

- Powinnam iść do konwentu i przyjrzeć się Walburdze. Zaniedbałam ją.

- Dasz sobie radę.  
- Gyltha, ja nie chcę tam iść.  
- No to nie idź.  
- Kolejny taki atak może zatrzymać jej serce.  
- Drzwi klasztoru są zamknięte i nikt z wewnątrz nie odpowiada. Tak mówią... I mówią, że... - Gyltha nie potrafiła się zmusić, aby wypowiedzieć to imię. - Jej już nie ma. Tak mówią.  
- Nie ma już? - Nikt się nie ociąga, kiedy rozkazuje mu król, pomyślała. *Le roi le veut.* -  
Gdzie oni ją wysłali?

Gyltha wzruszyła ramionami.

- Po prostu jej nie ma. Tak mówią.

Adelia poczuła, jak ulga spływa jej do żeber i niemal je leczy. Plantagenet oczyścił powietrze królestwa, tak że ona może nim teraz swobodnie oddychać.

Chociaż, pomyślała, czyniąc tak, skaził powietrze innego kraju. Co tam zostanie jej uczynione?

Medyczka usiłowała nie dopuszczać do myśli obrazu zakonnicy wijącej się na posadzce refektarza, tym razem w nieczystościach i kajdanach - ale jej się nie udało. Nie zdołała też uniknąć troski. Była wszak medyką, a prawdziwi medycy nie osądzali, tylko diagnozowali. Zajmowała się ranami i chorobami kobiet oraz mężczyzn, którzy wzbudzali w niej wstręt jako w człowieku, ale nie lekarzu. Charakter odstręczał, jednak nie cierpienia, nie ciało potrzebujące pomocy.

Tak, mniszka była obłąkana. Dla dobra innych musiała pozostać zamknięta do końca swoich dni. Jednak...

- Panie, okaż jej miłosierdzie i traktuj ją dobrze - powiedziała Adelia. Gyltha spojrzała na nią tak, jakby i ona zwariowała.

- Potraktowano ją tak, jak na to zasługiwała - oznajmiła beznamiętnie. - Tak mówią.

Ulf, jakimś cudem, siedział nad książkami. Stał się teraz spokojniejszy i poważniejszy. Z tego, co opowiadała jego babka, stwierdził, że chce zostać prawnikiem. Choć było to bardzo miłe i godne pochwały, Adelia tęskniła za dawnym Ulfem.

- Najwyraźniej bramy klasztoru są zamknięte - oznajmiła mu - ale muszę przez nie wejść do Walburgi. Jest chora.

- Co? Siostra Tłuścioszka? - chłopak znowu stał się sobą. - Chodź ze mną. Mnie nie zatrzymają.

Resztę pacjentów powierzyła Gylcie i Mansurowi. Adelia poszła po szkatułkę z lekarskimi. Obuwik był doskonały na histerię, panikę i bojaźliwość. A różany olejek działał łagodząco.

Ruszyła z Ulfem.

Na zamkowych murach poborca podatków, który udał się tam na bardzo zasłużony odpoczynek od spraw związanych z sądami, patrząc na wiele figurek ludzi, przekraczających rozciągający się w dole Wielki Most, rozpoznał wśród nich dwie małe postaci. Nieco większą z nich po tym brzydkim nakryciu głowy rozpoznałby zresztą wśród milionów.

Teraz nadszedł odpowiedni czas, teraz, kiedy ruszyła w drogę. Zawołał o swojego konia.

Sir Rowley Picot sam nie wiedział, dlaczego o radę dla swojego obolałego serca poprosił właśnie Gylthę, sprzedawczynię węgorków i domową gospodynię. Może dlatego, że w całym Cambridge właśnie ona była najbliższą przyjaciółką miłości jego życia. A może dlatego, że pomagała w opiece nad nim, gdy leżał ranny, i w przywróceniu go do zdrowia, a także dlatego że stanowiła ostoję zdrowego rozsądku. A może za sprawą pewnych niedyskrecji, powtarzanych na temat jej przeszłości... Po prostu zapytał i do diabła z całą resztą.

Ponuro żuł jedno z ciastek wypieczonych przez gospodynię.

- Gyltha, ona za mnie nie wyjdzie.

- Pewnie, że nie wyjdzie, szkoda. Ona jest... - Próbowała znaleźć analogię do jakiegoś baśniowego stworzenia, ale tylko jedno przychodziło jej do głowy - ...ona jest takim jednorożcem. - Potem dodała jeszcze:

- No, rozchodzi się o to, że ona jest taka szczególna.

- Ja też jestem szczególny. Gyltha wyciągnęła rękę, aby poklepać sir Rowleya po głowie.

- Dobry z ciebie chłopiec i daleko zajdziesz, ale ona jest... - Znowu nie udało jej się znaleźć porównania. - Dobry Pan ją stworzył, a potem zniszczył formę. Potrzebujemy jej, my

wszyscy, nie tylko ty.

- Ja więc nie mam jej mieć, tak?

- Nie w małżeństwie, ale są też inne sposoby, aby oskórować kotka.

- Gyltha już dawno temu uznała, że kotek, chociażby i szczególny, może być skórowany dobrze a zdrowo, no i długo. Kobieta jest w stanie zachować swoją niezależność, tak jak ona zachowała własną i wciąż mieć wspomnienia, grzejące ją w zimowe noce.

- Dobry Boże, kobieto, czy ty proponujesz...? Ja względem mistrzyni Adelii mam intencje... miałem intencje... czyste.

Gyltha, która nigdy nie uważała czystości za coś stosownego dla mężczyzny i kobiety wiosenną porą, westchnęła.

- To miło. Chociaż nigdzie cię to nie zaprowadzi, prawda? Nachylił się ku niej i powiedział:

- No to dobrze. Jak? Tęsknota wypisana na jego twarzy zmiękczyłaby nawet najtwardsze serca.

- Panie nasz, cóż za rozumy mąż, naprawdę mądry chłopak. Ona jest medyczką, prawda?

- Tak, Gyltho - starał się zachować cierpliwość, - To właśnie, jak mniemam, jest powodem tego, iż mnie odrzuciła.

- A co robią medycy?

- Opiekują się pacjentami.

- Tak robią i ja myślę, że taki jeden medyk może być dla kogoś bardziej opiekuńczy niż dla innych pacjentów, zakładając, że pacjent jest słabutki, i zakładając, że ona go będzie lubić.

- Gyltho - odezwał się sir Rowley poważnym głosem. - Gdybym nagle nie poczuł się właśnie tak niezmiernie słabutki, to ciebie poprosiłbym o rękę.

Kiedy przeszli most i zbliżali się do wierzb na brzegu, dostrzegli tłum zgromadzony u bram klasztoru.

- O Boże - powiedziała Adelia - wieści się rozeszły. Widziała chatkę Agnieszki - znak ogłaszający bliską obecność mordercy.

Można się było tego spodziewać, pomyślała medyczka. Wściekłość mieszczan przeniosła się na kogoś innego i ciemna tłuszcza zebrała się przeciwko zakonnicom tak jak kiedyś przeciwko Żydom.

Ale to wcale nie była ciemna tłuszcza. Tłum, spory, składał się głównie z rzemieślników i przekupniów, mieli w sobie wściekłość, choć stłumioną oraz zmieszaną z... podekscytowaniem? Adelia nie potrafiła tego stwierdzić.

Dlaczego ci ludzie nie byli już rozjuszeni tak jak wtedy, gdy chodziło o Żydów? Może się wstydzili. Zabójcy, jak się okazało, nie należeli do jakiejś pogardzanej grupy ludzi. Pochodzili z ich grona. Jeden morderca był osobą szanowaną, drugi zaufanym przyjacielem, którego codziennie pozdrawiali. Zakonnicę odesłano tam, gdzie nie mogli dokonać nad nią samosądu, z pewnością jednak zarzucali przeoryszy Joannie lenistwo i to, że dała obłąkanej kobiecie dużą swobodę, jaką Weronika cieszyła się zbyt długo.

Ulf rozmawiał teraz ze strzeżaczem, któremu Adelia ocaliła stopę, obaj mówili w dialekcie używanym przez ludzi z Cambridge. Medyczka nadal prawie nic nie rozumiała. Młody rzemieślnik unikał jej spojrzenia, a zazwyczaj witał ją serdecznie.

Chłopak, kiedy wrócił, też na nią nie patrzył.

- Nie wejdiesz do środka - oznajmił.

- Muszę. Walburga to moja pacjentka.

- Dobra, ale ja tam nie wchodzę. - Rysy chłopca zaostrzyły się tak jak wtedy, gdy się czymś martwił.

- Rozumiem. - Nie była pewna, czy w ogóle powinna go ze sobą zabierać. Dla niego konwent stanowił siedlisko wiedźmy.

W solidnej bramie otworzyła się furtka i wygramoliło się z niej dwóch zakurzonych robotników. Adelia dostrzegła w tym swoją szansę. Rzucając krótkie „przepraszam”, precyzyjnie się do środka, nim zdołano na nowo zamknąć wejście. Drzwi trzasnęły tuż za jej plecami.

Natychmiast ogarnęły ją cisza i poczucie obcości. Ktoś, przypuszczalnie robotnicy, zabił ukośnie deskami wejście do kościoła, kiedyś otwartego dla pielgrzymów, gromadzących się

tłumnie, aby wznosić modły przed relikwiarzem świętego Piotrusia z Trumpington.

Jakże to dziwne, pomyślała medyczka, że ów chłopiec stracił swoją świętość właśnie teraz, kiedy okazało się, że śmierć poniósł nie z rąk Żydów, lecz chrześcijan.

Dziwne także, że niechlujność klasztoru, ignorowana przez niedbałą przeoryszkę, tak szybko przybrała kształty zepsucia.

Idąc ścieżką ku budynkowi klasztoru, Adelia musiała się powstrzymać od myśli, że nawet ptaki przestały tu śpiewać. Nie, nie przestały, wzdrygnęła się, robiły to jednak inaczej. Wyobraźnia płatała jej figle.

Stajnie przeoryszki Joanny były opuszczone. Przed zagrodami dla koni zwisały z zawiasów otwarte drzwiczki.

Tam, gdzie mieszkały zakonnice, panował spokój. U wejścia na dziedziniec Adelia złapała się na tym, że w ogóle nie chce tam iść. W dziwnej jak na tę porę roku szarości dnia kolumny wokół trawiastego wirydarza były tylko bladym wspomnieniem owych nocy, kiedy widziała tu rogaty i złowrogi cień, jakby przyzwany plugawą żądzą jednej z mniszek.

Dzięki Bogu, że on nie żyje, a jej tu nie ma. Że niczego tutaj już nie ma.

Coś jednak było. Jakiś okryty welonem kształt przy południowej ścianie wirydarza, spokojny jak kamienie, na których klęczał.

- Przeoryszo? Kształt się nie poruszył. Adelia podeszła i dotknęła jej ramienia.

- Przeoryszo. - Pomogła jej wstać. Kobieta postarzała się przez noc, jej wielka gładka twarz zapadła się

zmieniła w maskę gargulca. Powoli odwróciła głowę.

- Co?

- Przyszłam do... - Adelia podniosła głos, to było jak rozmowa z głuchym. - Przyniosłam nieco lekarstw dla siostry Walburgi.

Musiała to powtórzyć. Nie sądziła, aby Joanna wiedziała, o kogo chodzi.

- Walburgi?

- Ona jest chora.

- Naprawdę? - Przeorysza odwróciła od niej wzrok. - Ona odeszła. One wszystkie odeszły.

A zatem wkroczył tu Kościół.

- Przykro mi - powiedziała medyczka. I tak właśnie było. Patrzenie na takie poniżenie istoty ludzkiej miało w sobie coś okropnego. To nie wszystko, okropne też było oglądanie umierającego konwentu, który wyglądał, jakby się zapadał. Medycze zdawało się, że dziedziniec nieco się przechylił. Inaczej tu pachniało, inne były kształty.

I ten dźwięk, prawie nieuchwytny, jak brzęczenie owada zamkniętego w słoiku, tyle że o wyższych tonach.

- Dokąd odeszła siostra Walburga?

- Co?

- Siostra Walburga. Gdzie ona jest?

- Och. - Próba skupienia. - Myślę, że poszła do swojej ciotki. W takim razie nie miała tu już nic do roboty. Mogła stąd odejść. Jednak się ociągała.

- Czy jest coś, co mogę dla ciebie zrobić, przeoryszo?

- Co? Odejdź. Zostaw mnie w spokoju.

- Jesteś chora, pozwól mi sobie pomóc. Czy jest tutaj ktoś jeszcze? Na litość boską, co to za dźwięk?

Choć cichutki, niemiłosiernie drażnił ucho.

- Słyszysz to? Takie buczenie.

- To duch - odrzekł gargulec w ludzkiej postaci. - To moja pokuta, mam słuchać tego, aż zamilknie. Teraz odejdź. Zostaw mnie, abym słuchała krzyku śmierci. Nawet ty nie pomożesz duchowi.

Adelia cofnęła się gwałtownie.

- Przyślę kogoś - oznajmiła i po raz pierwszy w życiu uciekła od cierpiącego.

Przeor Gotfryd. On będzie potrafił coś zrobić, zabierze ją, chociaż duchy dręczące Joannę pójdą za nią wszędzie.

Ruszyły też za biegającą Adelią - niemal upadła, skacząc przez furtkę, chcąc jak najprędzej się wydostać.

Nagle stanęła twarzą w twarz z matką Harolda i nie potrafiła oderwać od niej wzroku. Kobieta wpatrywała się w nią tak, jakby dzieliły potężny sekret.

- Jej nie ma, Agnieszko - odezwała się medyczka słabym głosem. - Odesłali ją. Ich wszystkich już tam nie ma. Została tylko przeorysza...

Tego nie było jednak dość, jej syn umarł. Straszliwe oczy Agnieszki mówiły, że jest coś jeszcze. Ona to wiedziała, obie to wiedziały.

I wtedy pojęła. Wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. Ten zapach - dopiero gdy wyrwano go z kontekstu, rozpoznała kwaśny zapach świeżej murarki. Boże, Boże, błagam. Widziała to kątem oka, zauważając z niezadowolaniem brak równowagi, asymetrię owych gołębników, gdzie mieszkały siostry, których powinno być dziesięć u góry i na dole, a było dziesięć u góry i dziewięć na dole. Tam, gdzie znajdowało się wejście do dziesiątej celi na dole, widziała goły mur.

Zrozumiała. Cisza i ta wibracja... niczym brzęczenie owada zamkniętego w słoju. „Krzyk śmierci”.

Adelia, po omacku i zataczając się, przepchnęła się przez tłum. Zwymiotowała.

Ktoś pociągnął ją za rękaw, mówiąc:

- Król...

Przeor. On może to powstrzymać. Przeor Gotfryd. Pociąganie za rękaw stało się natarczywe.

- Król każe ci się stawić przed sobą, pani. W imię Chrystusa. Jak oni mogli, w imię Chrystusa?

- Król, pani.... - Jakiś człowiek w liberii.

- Do diabła z królem - powiedziała. - Muszę znaleźć przeora.

Chwycono ją w pasie i wrzucono na konia. Wierzchowiec ruszył klusem, królewski posłaniec szedł długimi krokami obok, ściskając wodze w ręce.

- Lepiej nie posyłaj królów do diabła, pani - oznajmił wesoło. - Oni zwykle już tam byli.

Dotarli do mostu, poszli w górę zbocza, poprzez dziedziniec. Adelię zdjęto z konia.

W ogrodzie rodziny szeryfa, miejscu pochówku Szymona z Neapolu, Henryk II, co poszedł do diabła i stamtąd wrócił, siedział ze skrzyżowanymi nogami na tym samym trawiastym zboczu, gdzie kiedyś medyczka słuchała, jak Rowley Picot opowiadał o swojej krucjacie. Zszywał igłą i szpagatem myśliwską rękawicę, dyktował też coś Hubertowi Walterowi, który przyklękawszy u boku monarchy, zawiesił sobie na szyi przenośny pulpit.

- Ach, pani... Adelia rzuciła mu się do stóp. W sumie król mógł wystarczyć.

- Mój panie, oni ją zamurowali. Błagam, przerwij to!

- Kogo zamurowali? Co mam przerwać?

- Zamurowali tę mniszkę. Weronikę. Proszę, mój panie, proszę. Oni zamurowali żywcem. Henryk przyjrzał się swoim butom, za które go chwyciła.

- Powiedzieli mi, że wysłali ją do Norwegii. Pomyślałem sobie, że to dziwne. Wiedziałaś o tym, Hubercie?

- Nie, mój panie.

- Panie, każ ją wypuścić, to okropne, to odrażające. O Boże, o Boże, nie mogę tego znieść. Ona jest obłąkana. To jej obłąd jest złem.

Hubert Walter dźwignął swój mały pulpit z szyi, a potem Adelię, by usiadła. Mówił do niej łagodnie, niczym do klaczy.

- Ciiii, pani. Spokojnie. Teraz spokojnie, spokojnie. Podał jej splamioną inkaustem chustkę. Medyczka, walcząc o to, by

zachować panowanie nad sobą, wysmarkała się w nią.

- Mój panie... panie mój. Zamurowali wejście do jej celi, ona jest w środku. Słyszałam jej krzyki. Cokolwiek zrobiła, to nie wolno... nie wolno na to pozwolić. To zbrodnia wołająca o pomstę do nieba.

- Muszę przyznać, że ładnie to nie wygląda - oznajmił Henryk. - No i macie swój Kościół. Ja bym ją po prostu powiesił.

- Przerwij to! - wrzasnęła na niego Adelia. - Jeśli ona jest tam bez wody... bez wody człowiek potrafi wytrzymać trzy, cztery dni. Trzy, cztery dni pełne męki.

Monarcha się zaciekawił.

- Nie wiedziałem o tym. Wiedziałaś, Hubercie? Wyjął chustkę z ręki Adeli i otarł jej twarz, teraz bardzo poważny.

- Wiesz, że ja nic nie mogę zrobić, prawda?

- Nie, nie możesz... Król to król.

- A Kościół to Kościół. Czy słuchałeś tego, co się działo ostatniej nocy? To posłuchaj mnie teraz, pani. - Klepnął jej rękę, kiedy odwróciła głowę, potem chwycił ją w swoją dłoń. - Słuchaj mnie. - Uniósł obie dłonie, swoją i jej, aby wskazywały na miasto. - Tam, na dole, jest szalony obdartus, którego wołają Rogerem z Acton. Kilka dni temu ten łajdak wszczął rozruchy, by zaatakować ten zamek, królewski zamek, mój zamek, podczas których twój przyjaciel i mój przyjaciel, Rowley Picot, został ranny. I ja nic nie mogę mu zrobić. Dlaczego? Bo ten łajdak nosi na głowie tonsurę i potrafi wybełkotać *Ojcie Nasz*, co czyni go człowiekiem Kościoła i uprawnia do korzystania z przywilejów kleru. Hubercie, czy wolno mi go ukarać?

- Skopałeś mu tyłek, panie.

- Skopałem mu tyłek i nawet za to Kościół ma do mnie pretensje. Ramię Adelii unosiło się i opadało, kiedy król gestykułował.

- Po tym, jak ci przekłęci rycerze wzięli moją złość za wydane im polecenie i pojechali zabić Becketa, musiałem poddać się chłóście z rąk wszystkich członków kapituły katedry w Canterbury. Poniżenie, wystawienie pleców na ich rąk, to był jedyny sposób, żeby powstrzymać papieża od obłożenia Anglii interdyktem. Każdy mnich... i wierz mi, te dranie się do tego przyłożyły - westchnął, opuścił dłoń medyczki. - Pewnego dnia ten kraj zrzuci papieską władzę, daj Boże. Ale jeszcze nie teraz. I nie ja to zrobię.

Adelia przestała słuchać, rozumiała może sedno tej wypowiedzi, ale nie jej słowa. Teraz wstała, ruszyła ogrodową ścieżką. Ku miejscu, gdzie pochowano Szymona z Neapolu.

Hubert Walter, zszokowany taką obrazą majestatu, chciał pójść za kobietą, jednak został powstrzymany.

- Panie - powiedział - jesteś bardzo wyrozumiała względem tej niegrzecznej i krnąbrnej niewiasty.

- Mam cierpliwość do osób użytecznych, Hubercie. Cuda takie jak ona nie wpadają mi w ręce codziennie.

Maj wreszcie stał się taki, jaki powinien być, słońce wyłoniło się, by ożywić ogród odświeżony deszczem, a wrotycz lady Baldwin ładnie się rozwinął. Pszczoły trudziły się wśród kaczek.

Jakiś drozd, siedzący na mogile, zeskoczył, widząc nadchodzącą Adelię, jednak nie oddalił się zbyt. Medyczka pochyliła się i użyła chustki Huberta Waltera, by oczyścić grób z ptasich odchodów.

Szymonie, znaleźliśmy się wśród barbarzyńców.

Drewniany blat zastąpiła teraz ogromna marmurowa płyta, na której wryto jego imię i słowa: „Niechaj jego dusza zazna życia wiecznego”.

Ale to są dobrotliwi barbarzyńcy, odezwał się teraz do niej Szymon. Walczący z własnym barbarzyństwem. Pomyśl o Gylcie, o przeorze Gotfrydzie, Rowleyu, tamtym dziwnym królu...

Tak czy siak, powiedziała Adelia, ja tego nie potrafię znieść.

Odwróciła się i teraz, gdy już się pozbięła, wróciła ścieżką do władcy. Henryk zaś wrócił do naprawiania rękawicy, uniósł wzrok, widząc nadchodzącą medyczkę.

- No i? Adelia ukloniła się, powiedziała:

- Panie, dziękuję ci za twoją łaskawość, jednak nie mogę tu dłużej pozostać. Muszę wracać do Salerno.

Odgryzł nitkę swoimi silnymi, małymi zębami.

- Nie.

- Słucham?

- Powiedziałem nie. - Henryk wciągnął rękawicę i poruszał palcami, podziwiając zeszyte miejsce. - Na Boga, nieźle mi poszło. Muszę to mieć po córce garbarza. Wiedziałaś, pani, że wśród przodków mam garbarza? - uśmiechnął się do niej. - Powiedziałem, nie, nie możesz odejść. Potrzebuję twoich szczególnych talentów, medyczko. W moim królestwie jest mnóstwo zmarłych, których chciałbym wysłuchać, na Boga, wielu, a ja chcę wiedzieć, co oni mówią. Wpatrywała się w niego.

- Nie możesz mnie tutaj zatrzymać.

- Hubercie?

- Sądzę, że wiesz, iż może, pani - przepaszającym tonem oznajmił Hubert Walter. - *Le roi le veut*. Teraz właśnie, zgodnie z poleceniem mojego pana, piszę list do króla Sycylii z prośbą

o użyczenie twojej osoby na nieco dłużej.

- Ja nie jestem przedmiotem! - wrzasnęła Adelia. - Nie możesz mnie pożyczyć, ja jestem istotą ludzką.

- A ja jestem królem - odparł król. - Może nie jestem w stanie zapanować nad Kościołem, ale na zbawienie mojej duszy, władam każdym portem w tym kraju. Jeśli ci mówię, że zostajesz, to zostajesz.

Na jego twarzy, kiedy teraz na nią patrzyła, malował się życzliwy brak zainteresowania, teraz, kiedy udawał złość, dostrzegła, że przyjazdy Henryka, jego tak ujmująca szczerłość, były tylko środkiem pomagającym mu rządzić imperium i że dla niego ona to nic więcej jak narzędzie, które kiedyś może okazać się użyteczne.

- A zatem mnie także zamurowano żywcem - powiedziała. Uniósł brwi.

- Przypuszczam, że tak, chociaż mam nadzieję, że swoje więzienie uznasz za nieco większe i bardziej przyjemne niż... no, nie będziemy już o tym mówić.

Nikt nie będzie już o tym mówić, pomyślała. Owad będzie brzęczeć w butelce, aż zapadnie cisza. A ona będzie musiała żyć z echem dźwięku w jej głowie.

- Wiesz, że kazałbym ją wypuścić, gdybym tylko mógł - odezwał się Henryk.

- Tak, wiem.

- W każdym razie, pani, jesteś mi coś winna.

Jak długo ja będę musiała tak brzęczeć, zanim mnie wreszcie wypuszczą? Zastanawiała się. Fakt, że kocham tę butelkę, nic nie zmienia.

A jednak znaczył.

Uspokoiła się teraz i mogła spokojnie myśleć. Zajął ją to trochę czasu. Król czekał - co jak uznała, wskazywało, że jest dla niego cenna. Bardzo dobrze. W takim razie spróbuję coś uzyskać.

- Odmawiam - stwierdziła - pozostania w kraju tak zacofanym, że jego Żydów można grzebać tylko na jednym cmentarzu w Londynie.

Był zdumiony.

- Na boże zęby, to nie ma żadnych innych?

- Na pewno wiesz, że nie ma.

- Nie wiedziałem, naprawdę. My, królowie, mamy wiele rzeczy na głowie. - Pstryknął palcami. - Zapisz to, Hubercie. Żydzi mają dostać cmentarze. - Potem odezwał się do Adellii: - Proszę bardzo, załatwione. *Le roi le veut*.

- Dziękuję - powróciła do zasadniczej kwestii. - Henryku, przez ciekawość, dlaczego jestem ci coś winna?

- Jesteś mi winna biskupa. Miałem nadzieję, że sir Rowley wspomógł mnie w moim boju, będąc w szeregach Kościoła, ale odmówił mi, chcąc się żenić. Jak mniemam, ty będziesz osobą, którą poślubi.

- Ani trochę - odparła zmęczonym głosem. - Ja także mu odmówiłam. Jestem medykem, nie żoną.

- Naprawdę? - Henryk poweselał, ale zaraz przybrał ponury wyraz twarzy. - Ach, ale obawiam się, żadne z nas nie będzie go mieć. Ten biedny człowiek umiera.

- Co?!

- Hubercie?

- Tak mi powiedziano - odezwał się Hubert Walter - otworzyła mu się rana, którą otrzymał w ataku na zamek, a medyk z miasta twierdzi, że...

Spostrzegł, że jego słowa padają w próżnię, znowu nastąpiła obraza majestatu. Adelia odeszła.

Król popatrzył na trzaskającą furtkę.

- Tak czy owak, ta kobieta robi to, co mówi, i szczęśliwie dla mnie, nie wyjdzie za niego. - Wstał. - Sądzę, Hubercie, że jeszcze możemy osadzić sir Rowleya Picota na biskupstwie St Albans.

- Będzie uszczęśliwiony, panie.

- Myślę, że tak. I to już za chwilę, szczęśliwy przechera.

Trzy dni po tych wydarzeniach owad przestał brzęczeć. Agnieszka, matka Harolda, po raz ostatni rozebrała swój szal i wróciła do domu, do męża.

Adelia nie słyszała tej ciszy, usłyszała ją dopiero później. Była bowiem w łóżku z



biskupem elektem St Albans.

### **Epilog**

A zatem ruszają w drogę, owi wędrowni sędziowie, ruszają rzymskim traktem z Cambridge do następnego miasta, aby teraz tam sprawować sądy. Dźwięczą trąby, bajlifowie odpychają kopniakami podekscytowane dzieci i szcękające psy, aby utorować drogę dla lektyk i koni w pięknych rzędach. Słudzy ponaglają muły obciążone skrzyniami ze skrzętnie zapisanymi zwojami pergaminu, skrybowie wciąż gryzmołają coś na swoich tabliczkach, ogary reagują na trzask batów swoich panów.

Odeszli. Droga jest teraz pusta, wyjąwszy dymiące kupy łąjna. Pozamiatane i udekorowane Cambridge oddycha z ulgą. Na zamku szeryf Baldwin kładzie się do łóżka z wilgotną szmatką na głowie, a pod jego zamkiem majowy wietrzyk łagodnie porusza wisielcami.

Byliśmy zbyt zajęci naszymi własnymi sprawami, aby przyglądać się sądom, ale gdybyśmy jednak się przyjrżeli, ujrzelibyśmy rzecz nową, rzecz wspaniałą, chwilę, kiedy angielskie prawo sięgnęło wysoko, wysoko, jak najwyżej, z dala od ciemności i przesądów, prosto ku światłu.

Albowiem w trakcie zgromadzenia nikogo nie wrzucono do stawu, by sprawdzić, czy jest winny zarzucanych mu czynów (niewinni toną, winni utrzymują się na powierzchni). Żadnej kobiecie nie kazano ścisnąć rozżarzonego żelaza, aby sprawdzić, czy popełniła kradzież, morderstwo et cetera (jeśli oparzenie zagoi się przeciągu określonej liczby dni, jest niewinna. Jeśli nie, trzeba ją ukarać).

Żadnego sporu ziemskiego nie rozstrzygnięto też pojedynkiem sądowym (przedstawiciele zwaśnionych stron walczą ze sobą, aż jeden zginie lub odrzuci miecz i się podda).

Nie. Nie poproszono Boga, aby wyraził swoje zdanie poprzez pojedynek, próbę wody czy żelaza, w przeciwieństwie do tego, co zawsze czyniono wcześniej. Henryk Plantagenet w tych sprawach mu nie ufał.

Zamiast tego zeznania dotyczące zbrodni albo sporu rozpatrywało dwunastu ludzi, którzy obwieszczali później sędziom, czy ich zdaniem jakaś kwestia została udowodniona.

Tych ludzi nazywa się ławą przysięgłych. Są czymś nowym.

Jest jeszcze inna nowość. Zamiast pradawnej, bezładnej płątaniny praw sądowniczych, gdzie baron albo pan na włościach mógł wydawać wyroki i wieszać albo nie, zależnie od tego, co mu było akurat wolno, Henryk II dał Anglikom jeden system prawny, obowiązujący w całym królestwie. Nazwany zostanie on prawem powszechnym.

A gdzież jest ów król, który sprawił, że staliśmy się bardziej cywilizowani?

Opuścił swoich sędziów, by zajmowali się własnymi sprawami, i udał się na łowy. Słyszymy ujadanie jego ogarów, niosące się nad wzgórzami.

Może wie, jak i my wiemy, że pamiętać się go będzie i tak tylko jako inspiratora zamordowania Tomasza Becketa.

Może jego Żydzi wiedzą - jak my wiemy - że chociaż tutaj oczyszczono ich z zarzutów, wciąż nosić będą piętno tych, co rytualnie zabijają dzieci i za takie czyny będą karani jeszcze przez wieki.

Taka jest już kolej rzeczy.

Niechaj Bóg pobłogosławi nas wszystkich.

### **Od autorki**

Prawie niemożliwe jest napisanie spójnej historii osadzonej w XII wieku bez wprowadzenia anachronizmów, przynajmniej kilku. Aby nie wywołać zamieszania, używałam współczesnych nazw i terminów. Na przykład Cambridge aż do XIV stulecia nazywano Grentebrydge albo Grantebrydge, długo jeszcze po założeniu uniwersytetu.

Jednak operacja przedstawiona w rozdziale drugim wcale nie jest przekłamaniem. Pomysł wykorzystania trzciny jako cewnika dla ulżenia pęcherzowi, uciskanemu przez prostatę, może wywołać zaskoczenie czytelnika, ale pewien szanowany profesor urologii zapewniał mnie, że takie rzeczy robiono przez wieki - wizerunki podobnych czynności znaleźć można na ściennych malowidłach starożytnego Egiptu.

Medyczne manuskrypty z tamtych czasów, według mojej wiedzy, nie opisują stosowania opium jako środka znieczulającego, przypuszczalnie dlatego, że wywołałoby to sprzeciw Kościoła, uznającego cierpienie za formę zbawienia. Jednak opium było dostępne w Anglii już od dawna, zwłaszcza na terenach podmokłych, i wątpliwe, aby mniej pobożni i bardziej troskliwi medycy nie stosowali go w taki sposób, jak koniec końców, robili to niektórzy chirurdzy okrętowi.

Choć ja wprowadziłam postaci zaginionych dzieci i umieściłam zdarzenia w Cambridge, moja opowieść o świętym Piotrusiu z Trumpington jest, mniej więcej, bezpośrednim zapożyczeniem z prawdziwej, tajemniczej historii ośmioletniego Wilhelma z Norwich, którego śmierć w 1144 roku dała początek oskarżaniu angielskich Żydów o rytualne mordy.

Nie ma żadnego przekazu o tym, aby miecz pierworodnego syna Henryka II został kiedyś zabrany do Ziemi Świętej, jednak miecz następnego syna monarchy, zwanego Młodszym Królem, trafił tam po zgonie królewicza, zawieszony przez Wilhelma Marszałka, co uczyniło księcia krzyżowcem.

Właśnie za rządów Henryka II angielskim Żydom pozwolono na tworzenie własnych cmentarzy. Przywilej ten otrzymali w 1177 roku.

Nie wiadomo, czy w kredzie wzgórza Wandlebury znajdują się kopalniane tunele, ale kóż to wie? Neolityczni górnicy wydobywający krzemień na noże i siekiery, kiedy już wyczerpali złoża, zasypywali wyrobiska gruzem, zostawiając zagłębienia w terenie i tylko one wskazywały miejsce dawnej kopalni. Od kiedy Wandlebury w XVIII wieku stało się terenem, gdzie stoją prywatne stajnie koni wyścigowych (teraz własność Cambridge Preservations Society), nawet owe niecki mogły poznikać, gdy wyrównywano teren dla koni.

A zatem dla dobra powieści uznałam, że wolno mi przenieść do Cambridgeshire jeden z mniej więcej czterystu takich szybów, odkrytych nieopodal Grime's Graves, pod Thetford w Norfolk. I nawet w tych niesamowitych wyrobiskach - zwiedzający mogą do jednego z nich zejść po bardzo wysokiej drabinie - nie rozpoznawano tego, czym naprawdę są, aż do XIX wieku. Zagłębienia w terenie uznawano wcześniej za miejsca pochówków, stąd nazwa całego miejsca.

I na koniec wyjaśniam jeszcze, że w XII-wiecznej Anglii biskupstw było mniej niż dzisiaj i miały ogromne rozmiary. Na przykład Cambridge znajdowało się pod diecezjalną władzą Dorchester w dalekim Dorset. Dlatego biskupstwo Saint Alban jest fikcyjne.

Podziękowania

*Miałam szczególne szczęście, że do wydania tego rękopisu doprowadziło troje znakomitych redaktorów: Rachel Kahan z Penguin Group (USA), Francesco Liversidge z Transworld (Wielka Brytania) i David Davadar z Penguin (Kanada). Jestem wdzięczna im wszystkim.*

*Dziękuję też mojej agentce Helen Heller. Niechaj Bóg ją błogosławi; tylko ona wie, jak wielką jestem jej dłużniczką.*